

... CAMILLA  
**LÄCKBERG**  
HENRIK **FEXEUS**

**KULT**

CZY UDA SIĘ ZATRZYMAĆ  
TĘ SZALEŃCZĄ GRĘ?

CZARNA OWCA

**CAMILLA**  
**LÄCKBERG**  
**HENRIK FEXEUS**

**KULT**

Przełożyła  
Inga Sawicka

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

# Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

TYDZIEŃ PIERWSZY

TYDZIEŃ DRUGI

TYDZIEŃ TRZECI

TYDZIEŃ CZWARTY

TYDZIEŃ PIĄTY

TYDZIEŃ SZÓSTY

GOSPODARSTWO SORUNDA 1996 rok

Podziękowania

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: *Kult*

Redakcja: Anna Brzezińska

Korekta: Bartosz Szpojda, Marta Stochmialek, Beata Wójcik

Projekt okładki: Daniel Rusiłowicz

Zdjęcie na okładce: © Dima Aslanian /Adobe Stock

Zdjęcie autorów: © Elisabeth Toll

Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Copyright © 2022 Camilla Läckberg and Henrik Fexeus

Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden

Copyright © for the Polish translation by Inga Sawicka, 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8143-871-1

WYDAWNICTWO  
**CZARNA OWCA**

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

# TYDZIEŃ PIERWSZY

**FREDRIK UPEWNIĄ SIĘ** po raz chyba setny z kolei, że nic nie widać przez plastik. Nie chciałby spalić niespodzianki. Letnie słońce piecze w twarz, na dworze jest pewnie ze dwadzieścia dziewięć stopni. Mimo upału postanawia się przejść z biura przy Skanstull do przedszkola Ossiana w pobliżu Zinkensdamm. Jest środa, ale udało mu się wyjść nieco wcześniej niż zwykle. W taki upał nikomu nie chce się drobiazgowo przestrzegać godzin pracy, większość kolegów już przesiaduje w jakimś ulicznym ogródku, w cieniu, nad szklanką piwa.

Spacer zabiera mu około dwudziestu minut, ale i tak powinien był zabrać ze sobą butelkę wody z uwagi na upał. Marynarkę musiał ściągnąć, a rękawy koszuli podwinąć. Przepecona koszula lepi się do pleców, ale nie szkodzi. Dziś jest dokładnie tak, jak powinno być.

Znów sprawdza torbę. Pudło z zestawem Lego Technic jest tak duże, że prawie wystaje nad uchwyty. McLaren Senna GTR. Zamiłowanie Ossiana do aut jest prawdziwą zagadką, bo Fredrik i Josefin są – by tak rzec – aktywnie niezainteresowani samochodami. Ojciec i syn dzielają natomiast zamiłowanie do budowania z klocków Lego.

Na pudełku napisano, że zestaw jest przeznaczony dla dzieci od lat dziesięciu, a Ossian ma dopiero pięć, ale Fredrik wie, że syn poradzi sobie z tym bez problemu. Taki jest sprytny. Czasem nawet sprytniejszy od swego taty, myśli Fredrik i śmieje się głośno do słońca. Tak jest, od swego superinteligentnego taty, który właśnie kupił prezent oznaczający, że w jeden z najpiękniejszych dni lata będą przez wiele godzin tkwić w domu. Tak, tak. No trudno. Jutro na pewno też będzie piękna pogoda.

Zresztą Ossian i tak spędził cały dzień na dworze. Jest mu to bardzo potrzebne, inaczej zaczyna chodzić po ścianach w domu, chyba że akurat bawi się klockami Lego. Josefin mówi czasem, że zastanawia się, czy nie należałoby pójść z nim do lekarza, chociaż na razie tego nie planują. Jak dotąd jego żywość wydaje się czymś pozytywnym, zwłaszcza w porównaniu z innymi dziećmi w przedszkolu,

które już w chwili odbierania przez rodziców rzucają się na ich telefony. Coś okropnego.

Fredrik dochodzi do przedszkola Backens i patrzy na zegarek. Mimo upału szedł tak szybko, że dotarł trochę przed czasem. Dzieciaki pewnie są jeszcze w parku Skinnarvik.

*Ey, sexy lady*, nuci Fredrik, wchodząc na wzniesienie za przedszkolem.

*Gangnam Style* to teraz ulubiona piosenka Ossiana. Fredrik uśmiecha się i myśli sobie, że pozostaje tylko się poddać. Ćwiczyli nawet choreografię z teledysku.

Na wzniesieniu znajduje się spory plac zabaw dla dzieci, rośnie też kilka dużych drzew. Dla Ossiana to wręcz las, a chłopiec kocha przebywać w lesie.

*Oppan Gangnam Style*, podśpiewuje Fredrik, a dzieciaki sięgające mu tylko nieco ponad kolana podnoszą na niego zdziwione oczy i zaraz wracają do zabawy.

Dzieci są w żółtych kamizelkach z wymalowanym logo różnych przedszkoli. Plac zabaw jest bardzo popularny, słychać krzyki i śmiechy. Lego Technic będzie chyba na kiedy indziej. To dzień stworzony do zabawy w chowanego między drzewami. Nie muszą się spieszyć do domu, Josefin obiecała, że zajmie się obiadem. Rozejrzawszy się, Fredrik dostrzega Toma, jednego z nauczycieli przedszkola Backen.

– Cześć! – mówi, uśmiechając się do Toma, który właśnie wyciera grubego gila jednemu z dzieci.

– *Opp opp opp opp* – podśpiewuje Tom w odpowiedzi. – Zgadnij, kto dziś wybierał muzykę do zajęć z rytmiki.

– Ostrzegalem was. Przed upływem tygodnia będziecie tu mieć trzydzieścioro dzieciaków tańczących *Gangnam*. Nie wiesz, gdzie jest mój geniusz tańca? Jakoś go nie widzę.

Tom kończy wycierać nos dzieciaka i zastanawia się.

– Sprawdź koło huśtawek – mówi w końcu. – Ossian lubi tam posiedzieć.

No jasne. Jak nie biega, to lubi się huśtać. A właściwie posiedzieć sobie na huśtawce. To jego azyl, nikt mu tam nie przeszkadza w rozmyślaniach o ważnych sprawach.

Fredrik idzie do huśtawek. Wszystkie są zajęte, ale Ossiana nie ma na żadnej. Właśnie odchodzi stamtąd Felicia, jedna ze starszych koleżanek Ossiana w przedszkolu. Dogania ją.

– Cześć, Felicia, widziałaś może Ossiana?

– Tak, ale to było wcześniej.

Fredrik marszczy czoło. Pojawia się niejasne wrażenie, że coś jest nie tak. Fredrik oczywiście zdaje sobie sprawę, że to irracjonalne, że to tylko jego nadopiekuńczy radar rodzicielski, który alarmuje zawsze wtedy, gdy może zdarzyć

się coś złego, niezależnie od tego, czy coś na to wskazuje. Na sawannie mógł to być przejaw instynktu przetrwania, ale teraz jest zupełnie nieuzasadniony, podpowiada mu zdrowy rozsądek. Jednak to i tak na nic, bo Fredrik wciąż ma to nieprzyjemne wrażenie, jak od zimnego podmuchu wiatru w kark. Pudło z klockami Lego, które przedtem wydawało się takie fajne, teraz wyraźnie mu zawadza, gdy pośpiesznie wraca do Toma.

– Koło huštawek też go nie ma – mówi.

– Dziwne.

Tom zerka na listę odhaczonych nazwisk dzieci.

– Powinien być... zaraz, Jenya już wróciła do przedszkola z maluchami. Mógł pójść z nimi, żeby iść do toalety, i już tam został. Przepraszam, Jenya powinna powiedzieć, że go zabiera. Ale wiesz, jak jest.

Owszem, Fredrik wie i wzdycha lekko. Wrażenie, że coś jest nie tak, ustępuje. Tom i Jenya są doskonałymi nauczycielami, ale dzieci mają własną wolę i niezawodną zdolność znalezienia się nie tam, gdzie człowiek spodziewa się je zastać. Fredrik wręcz współczuje Tomowi, widząc jego zawstydzoną minę. Choć na dzieci trzeba uważać. Niejeden rodzic zrobiłby już awanturę.

– Jasne – odpowiada. – Miłego popołudnia, Tom, i do zobaczenia! *Oppa oppa!*

Fredrik zbiega z górki do przedszkola. Drzwi są otwarte. Wchodzi do szatni, gdzie są oznaczone nazwiskami wieszaki na okrycia i szuflady na zapasowe ubrania. Na wieszaku Ossiana nic nie wisi. Jeśli poszedł do łazienki, jego kurteczka może leżeć tam na podłodze. Albo mogła zostać w parku, ponieważ jest gorąco. Fredrik nie powinien był nawet zakładać mu tej kurtki w taki dzień. Wyglupił się. Dziecku musiało być strasznie gorąco.

Fredrik wchodzi do środka, nie zawracając sobie głowy zdejmowaniem butów.

– Ossian? – woła, pukając w pierwsze z brzegu drzwi do toalety. – Jesteś tam?

Jenya idzie do niego korytarzem. Za nią dwulatki chlapią na siebie farbą do malowania palcami, wrzeszcząc z zachwytem i przerażeniem jednocześnie.

– Cześć – odzywa się Jenya. – Zapomnieliście czegoś? Ossian jest w parku z Tomem.

Uczucie, że coś jest nie tak, wraca tak szybko, że prawie zwała go z nóg. To już nie jest podmuch zimnego wiatru na karku, tylko wrażenie, jakby dostał pięścią w brzuch.

– Nie ma go w parku – odpowiada Fredrik. – Właśnie wracam stamtąd. Tom myślał, że poszedł z wami.

– Nie, tutaj go nie ma. Sprawdziłeś koło huštawek?

– Tak. Nie było go tam, przecież mówię. Cholera.

Fredrik odwraca się na pięcie i wybiega. Zdarzało się już, że któreś dziecko uciekło z przedszkola. Choćby Felicia. Zanim w przedszkolu się zorientowali,

udało jej się dojść do samego domu. Jej rodziców pewnie do dziś boli brzuch po tym. Ciekawe, czy można się do czegoś takiego przyzwyczaić? Fredrik nie znosi tego uczucia.

Biegnie z powrotem na wzniesienie. Cholerne pudło z klockami obija mu się o nogi. Wszędzie wpada na dzieci. Rozgląda się desperacko, jednocześnie stara się uspokoić, bo panika na pewno mu nie pomoże. Jednak Ossiana tu nie ma.

Żadne z dzieci nie jest jego synem.

Tom robi wielkie oczy, widząc powracającego Fredrika. Wydaje się, że od razu zrozumiał.

– Przecież on tu musi być – mówi Fredrik, upuszczając torbę z pudłem, żeby móc się poruszać szybciej.

Tom wypytuje dzieci znajdujące się najbliżej, czy któreś widziało Ossiana. Domki do zabawy. Mógł się tam schować. Fredrik biegnie tam, ale z daleka widzi, że są puste. Gdzie jeszcze mógłby... Chyba nie poszedł między drzewa? Sam? Ktoś powinien był to zauważyć?

Felicia.

Powiedziała, że przedtem widziała Ossiana.

Fredrik wraca do Toma i pozostałych dzieci. Z wysiłku drapie go w gardle, pot leje mu się z czoła i po kręgosłupie. Felicia, posługując się wiaderkiem, buduje wieżę z piasku. Jak gdyby nigdy nic. Jakby świat nie rozpadał się właśnie na kawałki.

– Felicia – zwraca się do niej, starając się nie okazywać szalejących w środku emocji. – Mówiłaś, że widziałaś przedtem Ossiana. Kiedy to było?

– Jak rozmawiał z tą głupią panią – odpowiada dziewczynka, nie podnosząc wzroku znad swojej budowli.

– Głupią... – zaczyna Fredrik i chrypcie. – Czy ta pani była stara?

Felicia kręci zdecydowanie głową, jednocześnie wyrównując wieżę łopatką.

– Nie stara – mówi. – Ona była jak moja mama. Mama miała niedawno urodziny i ma trzydzieści pięć lat.

Fredrik przełyka ślinę. Nieznajoma osoba. Przyszła i rozmawiała z jego dzieckiem. Nie nauczycielka i nie mama. Jakaś nieznajoma. Fredrik kuca obok Felicii, powstrzymując chęć, żeby potrząsnąć dziewczynką.

– Wiesz, kto to był? – spytał, starając się nie krzyknąć. – I dlaczego mówisz o niej głupia?

Felicia podnosi na niego wzrok, w oczach ma łzy. Fredrik musi zrobić krok w tył, żeby nie stracić równowagi. Czyta to w jej spojrzeniu; wie aż za dobrze, co się stało. Co nie powinno się nigdy stać. Co nie może się nigdy stać.

– Te jej samochodziki wcale mnie nie ciekawiły – mówi Felicia. – Chociaż Ossianowi się podobały. Ale chciałam pogłaskać szczeniaczki. Mówiła, że ma



pieski w samochodzie. Jednak nie pozwoliła mi pójść z nimi. Tylko Ossian miał je zobaczyć. A potem poszli.

Fredrik czuje, jak otwiera się przed nim czarna dziura, do której bezwładnie wpada.

**MINA STANEŁA** w wejściu do lokalu i rozejrzała się. Tego popołudnia nie było tak wielu ćwiczących. Bardzo dobrze. I raczej starsi ludzie. Licealiści, kobiety trenujące crossfit i mięśniacy już sobie poszli. W powszedni dzień o piętnastej przynajmniej przez godzinę rządzili tu seniorzy. Dla niej to lepiej, bo znacznie staranniej wycierali urządzenia zarówno po sobie, jak i po tych potworach, które się tu wcześniej pociły. Mina i tak nie miała zamiaru ryzykować. W kieszeni bluzy miała jak zawsze cienkie jednorazowe rękawiczki, dwie buteleczki dezynfekującego spreju, ściereczki z mikrofibry i torebkę strunową na te zużyte.

Jej plan treningowy przewidywał dziś ćwiczenia na tułów i nogi. Włożyła rękawiczki, podeszła do jednego z przyrządów do ćwiczenia nóg i zabrała się do starannego spryskiwania wszystkich części. Zauważyła, że niektórzy spryskują tylko uchwyty. Albo jeszcze gorzej, bo samo siedzisko. Przecież brud i bakterie mogą przenosić się na innych. Nie mogła zrozumieć, że ludzie potrafią być tak nierozważni.

Włożyła do torebki strunowej złożoną użytą ściereczkę i wzięła następną. Każde wejście do siłowni było wejściem do potencjalnego ogniska zarazy. Właśnie dlatego nie była w stanie ćwiczyć na siłowni w komendzie, bo wiedziała aż za dobrze, co z nich za brudasy. Tu przynajmniej brud nie miał znajomych twarzy.

Zważywszy na to, co przypuszczalnie unosi się w powietrzu, wolałaby właściwie ćwiczyć w maseczce. Słyszała, że ciężarowcy często puszczają bąki, i aż ją zatykało na myśl o bakteriach fekalnych rozchodzących się w systemie wentylacyjnym. Jednak maseczka na twarzy wzbudziłaby niepotrzebną sensację. Mogłaby jednak kupić sobie specjalną maskę do ćwiczeń mięśni oddechowych.

– Będiesz ćwiczyć czy sprzątać? Jeśli skończyłaś, to chciałbym przejąć to urządzenie.

Drgnęła i podniosła wzrok znad czyszczonego oparcia. Stał przed nią mężczyzna około siedemdziesiątki, całkiem siwy, w małych okrągłych okularkach i w czerwonej koszulce, ale nie takiej z tkaniny oddychającej, tylko w zwyczajnym bawełnianym T-shircie. Z wielką plamą potu na piersi. Wzdrygnęła się.

– A wiesz, jaka niehigieniczna jest ta bawełniana koszulka? – odezwała się. – Pot przechodzi z niej na urządzenia. Powinni zabronić ćwiczenia w takich ciuchach.

Mężczyzna rzucił jej mordercze spojrzenie, pokręcił głową i odszedł. Najwyraźniej uznał, że nie jest warta, żeby tracił na nią czas. Mina wcale się nie przejęła, jeszcze kilka razy przejechała ściereczką, potem włożyła ją do torebki strunowej wraz z rękawiczkami, następnie usiadła na urządzeniu i ustawiła ciężar. Człowiek w czerwonej koszulce siedział przy wyciągu, odwrócony do niej plecami, gdzie rzecz jasna miał równie wielką plamę potu. Skrzywiła się. Gdyby musiała wybierać: ma być lubiana czy zdrowa, odpowiedź była dla niej oczywista. Ludzie mogą zatrzymać dla siebie zarówno swoje bakterie, jak i sympatie.

Mina zdążyła się przyzwyczać, że uważają ją za kosmitkę. Inni ludzie nie byli jej do niczego potrzebni. Poczucie więzi z drugim człowiekiem to pewnie taki sam mit jak „pokrewieństwo duchowe”, „prawdziwa miłość” i inne wydumane koncepty lansowane przez Hollywood. Skutek jest taki, że normalny człowiek dostaje zaburzeń lękowych. Są nawet badania, które tego dowodzą. Czytała, że po obejrzeniu komedii romantycznej ludzie oceniają gorzej zarówno własną relację, jak i swego partnera. Bo żadna prawdziwa relacja nie jest w stanie zmierzyć się z wymyśloną ideą „miłości aż po grób”.

Mina obecnie nie miała poczucia więzi z nikim. W przeszłości zresztą też nie, z wyjątkiem krótkiego czasu spędzonego ze swoją córką. Jednak mężczyzna, z którym kiedyś żyła, nie budził w niej raczej ciepłych uczuć. A na pewno nie czuła z nim „więzi”. Zresztą z nikim innym też nie.

Poza...

Nim.

Mentalistą.

Ale to było jakiś czas temu.

Na Facebooku widziała reklamę nowego przedstawienia Vincenta. Miała nawet kupić bilet, ale tego nie zrobiła. Nie była pewna własnej reakcji, gdyby zobaczyła go na scenie. A co, gdyby nie rozpoznał jej wśród publiczności?

A gdyby rozpoznał?

Skrzywiła się. Lepiej trzymać się z daleka. Na wszelki wypadek. Przecież nawet się do niej potem nie odezwał. Oczywiście wiedziała dlaczego. Po pierwsze, miał rodzinę. Nie miałyby za złe jego żonie, gdyby się zastanawiała, co oni wtedy robili ze sobą. Vincent mówił, że Maria była okropnie zazdrosna, a wydarzenia na wyspie raczej nie zmieniły tego na lepsze. Mina z Vincentem omal wtedy nie zginęli. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby jego żona ją znienawidziła po tym wszystkim. Wprawdzie Mina nie ponosiła za to żadnej winy, jednak była policjantką.

W dodatku połączyło ich coś trudnego do wytłumaczenia, a wydarzenia na Lidö związały ich ze sobą jeszcze mocniej.

Choć właśnie ta więź utrudniła im podtrzymywanie kontaktu. Bardzo się do siebie zbliżyli. Tak bardzo, że Mina nie mogła sobie z tym poradzić. Dlatego lepiej było tak, jak jest. Będąc sama, znajdowała się za wałem obronnym, gdzie czuła się bezpieczna. On pewnie też.

A jednak.

– **PROSZĘ PAMIĘTAĆ** – powiedział Vincent – że to, co państwo zaraz obejrzą, nie jest rzeczywistością, tylko przykładem na to, że można prezentować nadprzyrodzone umiejętności, choć się ich nie posiada. Bo wiercie mi, ja naprawdę ich nie posiadam.

I uniósł jedną brew, jakby mówił *a może?* Mniej więcej połowa widowni zaśmiała się, ale trochę sztucznie, niepewnie. Czyli właśnie tak, jak chciał Vincent.

Sala Crusell została wypełniona do ostatniego miejsca, choć był dopiero środek tygodnia. Tysiąc dwustu mieszkańców Linköpingu i okolic przybyło w środowy wieczór, żeby obejrzeć Mistrza Mentalistę. Jak dla Vincenta aż za wielu; jego udział w policyjnym dochodzeniu przed dwoma laty wzbudził wielkie zainteresowanie. Gdyby nie był znaną osobą już wcześniej, zostałby nią wtedy. Oczywiście nie on sam, bo nikt nie wiedział, kim jest tak naprawdę Vincent. Natomiast Mistrz Mentalista był prawdziwym celebrytą uwielbianym przez media i publiczność, a po informacji, że o mało nie zginął, topiąc się w zbiorniku z wodą, sprzedaż biletów na jego przedstawienia się podwoiła.

Umbertowi udało się ukryć przed mediami szczegóły dotyczące udziału Vincenta w sprawie, zwłaszcza te prywatne. Dzięki temu mógł nadal uprawiać swój zawód. Gdyby się wydało, że pośrednio stał się przyczyną zamordowania trzech osób, prawdopodobnie spoglądano by na niego inaczej. Vincent był oczywiście niewinny. W każdym razie jeśli chodzi o te morderstwa. Jednak dla mediów kwestia winy czy jej braku była sprawą względną. I dlatego Vincent i jego agent zrobili wszystko, co tylko możliwe, by nie ujawnić motywów Jane ani tego, kim była. Ułatwił to fakt zniknięcia Jane i Kennetha.

Reporterzy „Expressen” próbowali szperać w historii o matce Vincenta. Dowiedziawszy się o tym, Umberto spadł na nich jak jastrząb i zagroził, że jeśli o tym napiszą, nigdy nie dostaną od jego agencji żadnych materiałów o jego artystach ani zgody na wywiady z nimi. Czy publikując dość makabryczną historyjkę, chcą sobie zamknąć drogę do połowy szwedzkich estradowców? Okazało się, że jednak nie. Vincent domyślał się, że włoski temperament Umberta też zrobił swoje.

Jednak jeden szczegół, ten mianowicie, że daty morderstw stanowiły szyfr, w którym morderczynie zapisała nazwisko Vincenta, był tak smakowitym kąskiem, że musiał trafić do mediów, gdzie potem żył własnym życiem.

Ludzie zaczęli wysyłać Vincentowi różne zagadki, rebusy i łamigłówki, bez jakiegokolwiek refleksji, że może być to niedelikatne. Gdyby – swoją drogą – ludzie byli tak łatwi do rozgryzienia, nie musiałby zostać mentalistą.

– To, co teraz zaprezentuję, może wyglądać na sytuację z poprzedniego przełomu wieków – ciągnął. – Jednak te same metody są nadal stosowane przy zakładaniu ruchów religijnych. Czy choćby sekt.

Scena została urządzona jak salon z końca XIX wieku, a Vincent był ubrany w strój z epoki. Na środku znajdowały się dwa skórzane fotele ustawione do siebie pod kątem. Na jednym siedział mężczyzna, który wyraźnie się denerwował.

Vincent spytał wcześniej, czy na widowni jest lekarz albo przynajmniej ktoś, kto umie zmierzyć tętno. Człowiek ten był jedną z osób, które się zgłosiły. Kiedy Vincent zaprosił go na scenę, był zupełnie spokojny. Nawet się śmiał. Jednak po tym, jak Vincent poprosił go o podpisanie się pod dokumentem stwierdzającym, że nie poniesie ani medycznej, ani prawnej odpowiedzialności za to, co się wydarzy, bo Vincent bierze ją w pełni na siebie, mężczyzna wyraźnie się zaniepokoił. Nie tylko on, publiczność też. Vincent uwielbiał to. Podpisanie umowy było prostym sposobem na stworzenie dramatycznej atmosfery. Jednak prosząc o taki podpis, Vincent za każdym razem uzmysławiał sobie, że jego numer może rzeczywiście zakończyć się w sposób dla niego fatalny.

– A więc, Adrianie – powiedział, siadając na drugim fotelu, skośnie do mężczyzny. – Spróbujemy nawiązać kontakt z tymi po tamtej stronie. Ze zmarłymi. Czy masz jakiegoś zmarłego krewnego, z którym chciałbyś się skontaktować? Mam wrażenie, jakbym wyczuwał u ciebie żalobę, ale nie po babci... czuję, że ona wciąż żyje... może... po dziadku? Brak ci go?

Mężczyzna zaśmiał się nerwowo i poruszył się niespokojnie.

– O tak, Elsa żyje – odparł. – Ale Arvid umarł dziesięć lat temu. Znaczący dziadek.

Prosty trik, wykonać go mogłoby byle medium, bo opierał się na prostym wnioskowaniu. Adrian wyglądał na niespełna trzydzieści lat. Czyli jego rodzice powinni być w wieku między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Z kolei ich rodzice między osiemdziesiątką a dziewięćdziesiątką. Ponieważ kobiety żyją zazwyczaj dłużej od mężczyzn, statystycznie było bardziej prawdopodobne, że żyje jego babcia niż dziadek. W innej sytuacji Vincent pewnie by się zawstydzził swego blefu, zwłaszcza widząc, jak bardzo poruszyło to siedzącego przed nim mężczyznę. Jednak ten numer miał pokazać dobitnie, w jaki sposób usidla się innych ludzi, by pozyskać ich zaufanie, a w konsekwencji ich pieniądze. A wtedy dozwolone są wszelkie środki.

– Spróbujmy zatem odnaleźć dziadka Arvida – powiedział Vincent.

Spojrzał na publiczność.

– Powtarzam, to nie będzie na serio.

Po czym, robiąc poważną minę, zwrócił się do Adriana.

– Nawiażę teraz kontakt z tamtą stroną – powiedział. – Ale w tym celu muszę najpierw... tam przejść.

Sięgnął po pasek i podniósł go wysoko, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Następnie założył go na szyję i przeciągnął przez klamerkę, tworząc pętlę. Lewą rękę wyciągnął do Adriana, który bladł coraz bardziej.

– Poszukaj mojego tętna – powiedział – i tup nogą w jego takt, żeby wszyscy słyszeli.

Mężczyzna chwycił jego przegub, przez chwilę macał palcem wskazującym i środkowym, szukając tętna, wreszcie znalazł i zaczął tupać o podłogę w rytm pulsu Vincenta, który patrzył mu w oczy.

– Do zobaczenia po powrocie – powiedział. – W każdym razie miejmy taką nadzieję. Pamiętaj o tupaniu w rytm mojego pulsu.

Następnie zaciągnął pasek na szyi i skrzywił się. Nie musiał udawać, naprawdę bolało. Wciąż trzymał napięty pasek, podczas gdy tupanie Adriana podążało za jego pulsem. Kilka sekund później tupanie zwolniło.

Vincent zamknął oczy i zwiesił głowę, ale nie puścił paska. Adrian jeszcze kilka razy tupnął niepewnie i przestał. Na widowni rozległ się szmer zaskoczenia i zdenerwowania. Adrian wciąż trzymał go za przegub, ale jego stopa niczego nie sygnalizowała. Sprawa była oczywista. Vincent nie miał pulsu. Sam się zadusił.

Vincent odczekał, aż z widowni dobiegną do niego odgłosy świadczące, że ludzie wiercą się na swoich fotelach. Był to znak, że naprawdę zaczęli się bać. Wtedy powoli podniósł głowę i puścił pasek. Odwrócił się do Adriana i spojrzał na niego mętym wzrokiem.

– Adrianie – wymamrotał.

Adrian drgnął.

– W pomieszczeniu znajduje się duch, który mówi, że ma na imię Arvid – ciągnął Vincent niewyraźnym głosem. – Upewnijmy się, że to rzeczywiście twój dziadek. Spytaj go o coś, co wiecie tylko wy dwaj. Może o coś z twojego dzieciństwa. Arvid mówi... mówi, że nauczył cię jeździć na rowerze? Może coś z tych rzeczy?

Adrian przytaknął, wyraźnie skonfundowany.

– Spytaj go, gdzie się uderzyłem – powiedział.

Vincent milczał chwilę, jakby słuchał czyjś głos, ale słyszalnego tylko dla niego.

– Rozbiłeś sobie kolano – powiedział. – I umówiliście się, żeby nie mówić nic mamie. Została ci po tym blizna.

Adrian puścił rękę Vincenta, był wręcz wstrząśnięty. Prawda jest taka, że większość ludzi w dzieciństwie rozbiła sobie kolano. Resztę Vincent dopowiedział na rybkę. A jednak wspomnienia to szczególna rzecz, bo jeśli nawet nie było dokładnie tak, to w głowie Adriana tak się stało teraz.

– Arvid ma dla ciebie wiadomość – ciągnął Vincent. – Mówi... mówi, że musisz przetrzymać i wierzyć w siebie. Że będzie dobrze, chociaż potrwa to trochę dłużej, niż myślałeś. Jednak nie wolno ci tracić nadziei. Rozumiesz, co to znaczy?

Adrian przytaknął.

– Chodzi o moje przedsiębiorstwo. Ostatnia rzecz, o której rozmawialiśmy przed jego śmiercią. Wciąż nie udaje mi się postawić go na nogi.

– On mówi, że mu przykro z powodu tego, co się stało. O co chodzi?

– W ostatnich latach nie rozmawialiśmy zbyt wiele – powiedział cicho Adrian.  
– Pokłóciliśmy się.

– On tego żałuje. Mówi też, że kochał i wciąż cię kocha.

Po policzkach Adriana popłynęły łzy. Przesłanie Vincenta w tej części spektaklu było istotne, jednocześnie było mu przykro patrzeć, jak mocno to dotyka ludzi. Wprawdzie nie zrobił nic więcej ponad uzyskanie tak zwanego efektu horoskopowego<sup>1</sup>. Wypowiedział zdania, które mogły się wydawać specyficzne, a w rzeczywistości mogły być rozumiane różnie i mogły się odnosić do większości osób. Klasyczny trik stosowany przez medium polega na tym, że klient sam interpretuje to, co mu powiedziały „duchy”, bo w ten sposób medium się nigdy nie myli. A gdyby coś się nie zgadzało, można zawsze zważyć na to, że klient nie zastanowił się porządnie.

– Kontakt słabnie – powiedział z wysiłkiem Vincent. – Chciałbyś mu coś przekazać, zanim będzie za późno?

– Tylko... że dziękuję – wyszeptał Adrian. – Dziękuję.

Vincent wyciągnął rękę i znów zwiesił głowę, z pozoru nieprzytomny. Adrian z wahaniem chwycił jego przegub i pomacał palcami. Po chwili zaczął tupać nogą. Z początku powoli i nierytmicznie, potem coraz regularniej i głośniejsze do momentu, gdy puls Vincenta wrócił do normy.

Vincent otworzył oczy. Chwycił dłoń Adriana i uśmiechnął się ostrożnie. Po tym numerze nigdy nie było burzy oklasków, ludzie byli zbyt oszołomieni, nie rozumiejąc, czego właściwie byli świadkami. Wiedział jednak, że będzie to coś, o czym będą rozmawiać całymi miesiącami.

– Pamiętajcie – powiedział, zwracając się do widzów tymi samymi słowami, od których zaczął, ale dużo łagodniej.

Teraz widzowie byli przeczuleni i powinien to respektować.



– Nie nawiązuję kontaktu z duchami. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł to robić, bo po prostu nie wierzę w duchy. Natomiast, podobnie jak każde przekonujące medium, potrafię sprawić wrażenie, jakbym się z nimi kontaktował. Techniki psychologiczne i słowne stosowane sto pięćdziesiąt lat temu wykorzystuje się nadal, aby stworzyć pozór, że ktoś – za wysoką opłatą – skontaktuje was ze zmarłym bliskim. Jak zawsze: jeśli coś wydaje się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe, to najczęściej tak jest. Dziękuję państwu za dzisiejszy wieczór.

Zszedł ze sceny przed oklaskami. Tym razem chciał zostawić ich z tą refleksją.

Miał obolałą szyję. Cholerny pasek. Na przyszłość powinien być ostrożniejszy. W dodatku za długo wstrzymywał dziś puls. Kontakt z duchem może i był fejkkiem, ale zatrzymanie pulsu było prawdziwe. Chociaż osiągał je inną metodą niż paskiem i dotyczyło tętna w ręce, a nie w całym ciele. Sposoby na zatrzymanie pulsu w poszczególnych częściach ciała należały do najpilniej strzeżonych tajemnic mentalizmu i Vincent nikomu nie zdradzał swojej metody. Zresztą fakt, że dotyczyło to tylko ręki, był nieistotny, bo po trzydziestu sekundach i tak robiło się bardzo niebezpiecznie. Zazwyczaj ludzie puszczały jego rękę po ustaniu tętna, ale Adrian ją zatrzymał, więc Vincent nie miał wyboru. Pomyślał, że ucieszy się, kiedy jego tournée się skończy. To blokowanie przepływu krwi jest bardzo niedobre.

Zszedł do poczekalni dla artystów i spojrzął na stojące na stole butelki wody Loka. Trzy. Zaciśnął szczęki. Widok trzech butelek podziałał na niego jak dysonans. Otworzył szybko lodówkę i wystawił jeszcze jedną, żeby były cztery. Dopiero wtedy mógł rozluźnić zaciśnięte szczęki. Następnie nalał sobie do szklanki wody z kranu, usiadł na kanapie i odetchnął z ulgą.

Publiczność wciąż klaskała, ale Vincent nie reagował. Mógłby wyjść na scenę, uśmiechać się i zamienić ich doświadczenie w coś niewiele znaczącego, wolał jednak, żeby się jeszcze pozastanawiali.

Kilka minut odpoczynku, potem się przebierze. Wprawiał się w tym, żeby nie kłaść się na podłodze po przedstawieniu. Czasem się udawało, ale najczęściej nie. Sięgnął po telefon. Sains Bergander, jego przyjaciel i twórca iluzji, który pomógł mu przy dochodzeniu w sprawie Tuvy i pozostałych morderstw, siedział dziś na widowni i Vincent był ciekaw jego opinii o nowym przedstawieniu. Sains rzeczywiście wysłał mu esemesa, i to w tym samym momencie, gdy Vincent schodził ze sceny. Jednak wiadomość od Sainsa musi poczekać. Ktoś inny też mógłby wysłać mu wiadomość.

Inny, a właściwie inna osoba.

Otworzył listę esemesów. Rzeczywiście było jeszcze kilka nieprzeczytanych. Jednak nie od osoby, która zmieniła jego życie, gdy do niego wkroczyła. Od tej,

z którą odważył się podzielić tym, co najskrytsze. A potem zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Kiedy widział ją ostatnim razem, był październik. Potem przyszła zima, wiosna, lato, jesień i kolejne lato. Nie rozmawiał z nią przeszło półtora roku. Niedługo miną dwa lata. Wprawdzie sam się też do niej nie odezwał, chociaż bardzo chciał. Jednak poszli z Marią na terapię dla par i wolał nie dawać żonie pretekstu do zazdrości.

Potem i tak zarzucili tę terapię, bo nie pomogła tak, jak na to liczyli. A czas mijał i po tylu miesiącach milczenia Vincent nie chciał się narzucać. Bardzo broniła swojej prywatności, powinien to szanować. Chociaż brakowało mu poczucia, że jest jakoś obecny w jej życiu.

Ona oczywiście nie miała powodu, żeby się do niego odzywać. Wyraźnie podkreślała, że sobie radzi sama. Nie miał pojęcia, jak wygląda teraz jej życie. Może wyszła za mąż. Ma rodzinę. Albo mieszka za granicą.

Co zrobić. Ich pierwsze spotkanie odbyło się po jego przedstawieniu i od tamtej pory, schodząc ze sceny, zawsze jej wypatrywał. Jednak lista esemesów w telefonie nie pozostawiała miejsca na wątpliwości.

Mina się nadal nie odzywała.

**ZDJĘŁA OKULARY** i uśmiechnęła się do niego. Potem założyła nogę na nogę i wychyliła się do przodu. Siedzieli naprzeciw siebie bez żadnego stolika, który by ich rozdzielał. Z początku Rubenowi było z tym nieprzyjemnie. Czuł się nagi. W końcu się przyzwyczał i nawet nie zaglądał jej w dekolt, kiedy się pochylała. Już nie. A przecież Amanda nie była kobietą nieatrakcyjną.

– To mówisz, że jestem gotów? – odezwał się, patrząc na zegarek.

Minęło dopiero pół godziny, jednak Amanda najwyraźniej chciała zakończyć spotkanie.

– Nigdy nie jest tak, że człowiek jest gotów – odparła. – Jednak nie widzę szczególnego powodu, żebyś nadal przychodził, chyba że pojawiłoby się coś nowego. Ale nie ja o tym zdecyduję. A jak ty się z tym czujesz?

Ruben spojrział na Amandę, psycholożkę, z którą od przeszło roku spotykał się w co drugi czwartek. Co czuje? Idiotyczne pytanie, chociaż nie złościło go już tak jak na początku.

– To akurat możemy pozostawić Freudowi – powiedział. – Jeśli czegoś się nauczyłem, to tego, że moje emocje nie muszą być takie, jak mi się wydaje. To, czym postanawiam się kierować, to już nie emocje, tylko racjonalne myślenie. Tak jak od pół roku powstrzymuję się od seksu. Choćbym nie wiem jak miał ochotę się pieprzyć.

Amanda uniosła pytająco brwi.

– Nie, w ogóle nie chodziłem na łowy – dopowiedział. – Tak jak się umówiliśmy. I właśnie to mam na myśli. Nie skończę z tym na zawsze, w końcu jestem mężczyzną w najlepszych latach. Jednak nie jest to już takie ważne, odkąd zrozumiałem, skąd się u mnie brała ta potrzeba.

– A skąd się brała?

Ruben westchnął. I znów wracamy do emocji. Tych cholernych emocji.

– Świadomość, że mogę mieć te kobiety, dawała mi poczucie władzy. Ale odpowiadało to również na głębszą potrzebę...

Znów westchnął.

– Bliskości – dokończył z zakłopotaniem. – Zadowolona?

Bliskości. Nigdy by nie przypuszczał, że wypowie głośno to słowo. Według niego brzmiało strasznie pedalsko. Chociaż nawet ta refleksja wynikała z reakcji obronnej, już się tego nauczył. Kurde. Gunnar i chłopaki z oddziału prewencji umarliby ze śmiechu na wiadomość, że Ruben chodzi do psychologa. Gunnar

mawiał o sobie, że jest z norrlandzkiego surowca i dla niego rozwiązanie wszelkich problemów polegało na tym, żeby pójść w las z bańką bimbru. Gdyby tamci wiedzieli, co Ruben mówi Amandzie, pomalowałoby mu hełm na różowo. Znów zerknął na zegar na ścianie. Parę minut po wpół do dziewiątej. Powinien już być w komendzie, żeby nie zaczęli się zastanawiać, co on robi w niektóre poranki. Tłumaczenie, że musiał pozbyć się poderwanej na noc panienki, miało jednak ograniczoną przydatność.

Taa, podryw na jedną noc... Prawie nie pamiętał, jak to się robi. Podczas pierwszej sesji u Amandy oczywiście podjął taką próbę. Poszło mu tak sobie.

– Została mi jeszcze jedna rzecz do zrobienia – dodał. – Chcę się spotkać z Ellinor.

– Ruben – odezwała się ostrzegawczym tonem Amanda. – Pamiętaj o tym, co mówiliśmy o pójściu dalej. Przez całe lata Ellinor jawiła ci się jak jakieś widmo i stąd wynikało twoje zachowanie. Powinieneś odpuścić. Nie poradzisz sobie, dopóki nie pozbędziesz się tego widma.

– Wiem. I właśnie dlatego chcę się z nią spotkać. Żeby to domknąć raz na zawsze. Słowo, pojedę do niej tylko po to, żeby powiedzieć „cześć”. Rozwalić piedestał, na którym ją postawiłem. Żeby dawnemu Rubenowi nie zostało już żadnego paliwa.

– Wydaje się to... niezwykle rozsądne – odparła, mrużąc oczy. – Pewien jesteś?

– W najgorszym razie dostaniesz honorarium za kilka dodatkowych godzin terapii – powiedział, śmiejąc się.

Jednak naprawdę był pewien swego. Stał się lepszym Rubenem niż jeszcze rok temu. A Gunnar niech się zamknie.

Wstali oboje i podali sobie ręce. Po raz chyba pięćdziesiąty oparł się pokusie zaproszenia jej na drinka. Sama myśl była w porządku, dopóki nie przechodził do działania. W końcu był wciąż tym samym Rubenem. Jednak miał co innego do roboty. Sprawdził już, gdzie mieszka Ellinor. Krótkie „cześć” i już. Sprawdzi, jak się ma. I jeszcze przeprosi. A potem koniec.

**VINCENT ODETCNAŁ GŁĘBOKO**, zanim wszedł do kuchni, żeby przygotować śniadanie. Maria działała tam już od godziny. Wiedział, że będzie stamtąd bił zapach równie przemożny, co nieznośny. I rzeczywiście. Wszelkie odmiany świec zapachowych, mieszanek ziół w szmacianych torebkach, mydeł i perfum do wnętrza tworzyły woń, która nieprzyjemnie go otuliła.

– Kochanie, jak długo będziemy trzymać to wszystko w domu? – spytał, sięgając do szafki po kubek.

Trafił na jeden z napisem: *To nie ja jestem niedojrzała, tylko ty jesteś gówniarzem*. Nalał sobie kawy z ekspresu i usiadł przy stole.

– Nie pamiętasz, co mówił terapeuta? – odpowiedziała mu znad podłogi. – Że powinieneś mnie wspierać w mojej działalności biznesowej.

Nawet się nie odwróciła, układając starannie ceramiczne aniołki w wielkim pudle.

– Owszem, pamiętam. Doskonale wiesz, że wspieram wszystkie twoje działania. Ten założony przez ciebie sklep to... eee... ciekawy pomysł. Chodzi tylko o to, że może byłoby lepiej, gdybyś sobie zrobiła magazyn... w jakimś składzie?

Maria westchnęła, wciąż odwrócona do niego tyłem.

– Jak mówi Kevin, wynajęcie składu jest drogie – odparła. – A zważywszy na to, że koszty produkcji twojego nowego przedstawienia jeszcze się nie zwróciły, to ja muszę wziąć na siebie nasze wydatki i odpowiedzialność za rodzinę.

Vincent wpatrzył się w swoją żonę. Był to z jej strony najrozsądniejszy argument od wielu lat. Może jej chodzenie na kursy dla przedsiębiorców wcale nie było taką stratą czasu. Choć, prawdę mówiąc, miał dość słuchania o Kevinie, bo wspominała o nim w co drugim zdaniu. Zdawał sobie sprawę, że Maria jest osobą poszukującą. W jej naturze leżała ciągła pogoń za jakimś celem. Jednak nie spodziewał się, że jej najnowszym guru stanie się doradca od start-upów.

– Odpowiedzialność? – odezwała się Rebecka, która właśnie weszła wolnym krokiem. – Przecież to będzie tylko kosztowało, kto by kupował takie gówno?

Ponura mina wydawała się ostatnio przyklejona na stałe do jej twarzy. Z obrzydzeniem podniosła dużą białą tabliczkę z drewna i głośno odczytała napis.

– *Żyj Śmieję się Kochaj*. No naprawdę. Raczej *Umieraj Płacz Nienawidź*.

– Bądź przyjemniejsza – poprosił Vincent.

Chociaż w duchu zgadzał się z córką.

– Kevin mówi, że mam fantastyczne wyczucie tego, co cieszy się powodzeniem handlowym – odezwała się kwaśno Maria, patrząc ze złością na swoją patchworkową córkę.

Rebecka zignorowała ją, podeszła do lodówki i otworzyła.

– Kurde, co to jest? Aston! – krzyknęła w stronę salonu, skąd w odpowiedzi rozległ się wrzask.

– CO JEST?!

– Zużyłeś całe mleko do swoich płatków? I wstawiłeś pusty karton do lodówki?

– WCALE NIE PUSTY, TROCZĘ ZOSTAŁO!

Głos Astona odbijał się od ścian. Patrząc ostentacyjnie na Vincenta, Rebecka powoli odwróciła karton, z którego skapnęły trzy krople.

– Co ty wyprawiasz? – Maria zerwała się na nogi. – Wytrzymaj to.

Podnosząc się, niechętnie zrzuciła z kolan aniołka. Figurka rozpadła się na drobne kawałeczki. Tworzywo, z którego ją zrobiono, było cienkie jak papier.

– Ojej! Rebecka, widzisz, co narobiłaś!

– Ja? – parsknęła nastolatka. – Kurde, przecież to nie ja; jak zwykle jesteś niezdarna i jeszcze zwalasz na mnie. Cała ty. Zawsze tylko moja wina. A ty, tato, nie powiesz nawet słowa w mojej obronie, tylko pozwalasz jej, żeby tak mnie traktowała. Kurde. Tu się nie da żyć. Idę do Denisa.

Vincent otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale za późno. Rebecka już ruszyła do drzwi.

– Masz wrócić najpóźniej o ósmej wieczorem! – zawołała za nią Maria. – Dziś dopiero czwartek!

– Mam wakacje! – odkrzyknęła Rebecka, złapała letnią cienką kurteczkę i trzasnęła drzwiami.

– No tak. Dzięki za pomoc – powiedziała Maria, patrząc na niego ze złością i krzyżując ręce na piersi. – Dopilnuj teraz, żeby Aston trafił do świetlicy, bo już późno.

Vincent zamknął usta. Lepiej nic nie mówić. Wciąż nie miał pojęcia, jak sobie radzić z tymi huraganami emocji, każdym słowem ryzykował, że powie coś nie tak. A więc jego nowa strategia polegała na tym, żeby w miarę możliwości siedzieć cicho.

Szukał w pamięci, próbując przypomnieć sobie jakieś przydatne w tej sytuacji słowa terapeuty. Nie było to zbyt łatwe, bo przyjmował pomoc od kogoś z dziedziny, na której sam się lepiej znał. Niemniej starał się być bardzo pokorny.

Z początku była również mowa o tym, żeby chodził na terapię indywidualną. Miałyby przepracować to, co się stało w dzieciństwie z jego mamą, a co przez czterdzieści lat wypierał ze swojej świadomości. Jednak zdecydowanie odmówił.

Nie miał odwagi dopuścić, żeby ktoś się w tym grzebał. Tkwił w nim jakiś cień, który starannie tego pilnował, a Vincent nikomu nie ufał na tyle mocno, żeby go tam wpuścić.

Vincent pragnął, żeby terapia dla par okazała się cudowną kuracją, która sprawi, że znów odnajdą z Marią drogę do siebie i znów, jak na początku, będzie rozumiał jej sposób myślenia. Że każdy jego wyjazd przestanie być dla Marii okazją do zazdrości, niesłuchanie wyczerpującej dla nich obojga, bo jego praca polegała właśnie na wyjazdach. Naprawdę się starali, zwłaszcza ona.

Terapeuta uznał za oczywiste, że jej zazdrość bierze się z niskiej samooceny. Może również z okoliczności, w których się ze sobą zesзли; Vincent odszedł wtedy od swojej ówczesnej żony dla jej młodszej siostry Marii.

Vincent wiedział jednak, że nie jest to aż tak proste. Maria miała w sobie coś takiego, czego ani on, ani terapeuta nie potrafili uchwycić, a co sprawiało, że przechodziła do ataku, gdy tylko skupił się na kimś lub na czymś poza domem i rodziną. Zdawał sobie sprawę, że to nawet nie jej wina, tylko instynkt. Ten sam, który teraz kazał jej patrzeć na niego jak na ufo. I, jak wiele razy przedtem, Vincent zapragnął zrozumieć, czego Maria od niego oczekuje.

Na początku było to łatwe. Kiedy się zakochali i rzucili wszystko, nie zważając na nikogo i na nic, co się nie wiązało z ich miłością. Wciąż pamiętał to uczucie. Gdzieś w środku jeszcze w nim tkwiło. Wspomnienie, jak jedno kończy zdanie drugiego, jak jedno spojrzenie wystarczy do porozumienia. Potem jakby to tracili z każdym rokiem i coraz mniej się nawzajem rozumieli, chociaż powinno być odwrotnie. Nie chciał, żeby tak było, jednak nie wiedział, co zrobić, żeby znów do niej dotrzeć i odnaleźć dawne razem.

Widział, jak Maria czeka, żeby coś powiedział. Może nawet udałoby się odnaleźć jakąś złotą myśl z sesji terapii. Terapeuta proponował, żeby w chwili wzburzenia Marii Vincent zawsze okazywał jej troskę, choćby uważał, że żona jest niesprawiedliwa. Chodziło o to, żeby miała poczucie bezpieczeństwa, które z kolei pozwoli jej wyrażać emocje w sposób bardziej konstruktywny, jeszcze zanim przejdą w złość. Nie bardzo mu to wychodziło, ale co szkodzi spróbować.

– Kochanie, widzę, że jesteś zła – powiedział, świadomie łagodnym i spokojnym głosem. – Ale ta złość ci szkodzi. Na pewno zauważyłaś, że napinają ci się wtedy mięśnie i stawy, przy okazji spowalnia się krążenie, zostaje zakłócona równowaga zarówno w układzie nerwowym, jak i w sercowo-naczyniowym i hormonalnym. Poza tym rośnie ci ciśnienie, a wraz z nim tętno i poziom testosteronu, następuje nadmierne wydzielanie żółci, która trafia do takich miejsc w organizmie, gdzie jest niepożądana.

Maria patrzyła na niego spod uniesionych brwi. Jakby rada terapeuty rzeczywiście podziałała.

– W dodatku kiedy się złościś, następuje zmiana aktywności w mózgu – ciągnął. – Zwłaszcza w płacie skroniowym i czołowym. Czyli jak mówiłem, szkodzi ci, kiedy jesteś zła. Może mogłabyś rozmawiać z Rebecką w sposób bardziej konstruktywny?

Tu umilkł i spróbował ostrożnie się uśmiechnąć. Maria nie przestawała wpatrywać się w niego, wreszcie ściągnęła usta, jakby ugryzła kawałek cytryny, odwróciła się na pięcie i wyszła.



**RADOŚĆ, ŻE WRÓCIŁA**, była tak wielka, że Julia poczuła łyzy pod powiekami. Nigdy by nie przypuszczała, że może tak zatęsknić za przebywaniem w murach, prawdę mówiąc, raczej brzydkiego gmachu Komendy Policji na Kungsholmen. Gdzie akurat było gorąco jak w saunie. Najwyraźniej wysiadł system wentylacyjny i to w najgorętsze lato za pamięci ludzkiej. Wachlując się kartką papieru, otworzyła drzwi sali konferencyjnej. Dla jej kolegów mógł być normalny czwartek, ale dla niej była to chwila absolutnej szczęśliwości.

Przynajmniej do momentu, gdy będzie musiała wyjaśnić, po co się tu spotkali.

– Julia! – odezwał się jakiś brodaty mężczyzna i rozpromienił się na jej widok. Ze zdumieniem zorientowała się, że to Peder.

– To nie hipsterska broda, tylko tatusiowa – wyjaśnił zadowolony, widząc jej spojrzenie.

– Tak czy inaczej, hipsterska – mruknął Ruben, który wszedł tuż za nią. – Całe szczęście, że już jest za gorąco na tę czapkę, którą nosiłeś całą wiosnę.

Najwyraźniej wszystko było jak zwykle. Jeśli się nie myliła, to również Mina i Christer wyglądali na całkiem uradowanych jej widokiem.

– Spóźnione gratulacje – wymamrotał Christer.

Golden retriever Bosse sapał, leżąc na podłodze dokładnie w tym samym miejscu, gdzie widziała go pół roku temu. Jednak na prawdziwe powitanie było mu za gorąco, więc tylko spojrzął i szczeknął radośnie.

– Właśnie, gratulacje! – powiedziała Mina, patrząc ze zgrozą na żakiet Julii.

Julia spojrzała na swój lewy bark, od którego Mina nie mogła oderwać oczu, i głośno zakląła.

– Cholera jasna, że też nie można mieć choćby jednego ciucha bez plam od ulania się!

Ściągnęła żakiet i miała przerzucić go przez oparcie krzesła, ale zerknęła na Minę i powiesiła na wieszaku przy drzwiach.

– Na razie to tylko kaszka – skomentował Peder, uśmiechając się ze zrozumieniem. – Łatwo schodzi. Zobaczysz, jak się zaczną plamy z banana albo od strogonowa ze słoiczka. Wtedy pomaga tylko namoczenie z vanishem, najlepszy jest proszek z tych różowych pudełek. A potem należy prać w dziewięćdziesięciu stopniach z wybielaczem, więc właściwie powinno się chodzić wyłącznie na biało...

– Wezmę to pod uwagę – powiedziała Julia, powstrzymując go uniesieniem dłoni. – I dzień dobry wszystkim.

Miała po dziurki w nosie syzyfowych zajęć, które łączą się z posiadaniem półrocznego dzidziusia, i nie chciała martwić się na zapas tym, co ją jeszcze czeka w kolejnych fazach jego rozwoju.

– A więc. Fajnie jest wrócić i cudownie jest widzieć was wszystkich razem. Oczywiście śledziłam wasze poczynania i jestem z was dumna. Mina, wyrazy uznania za sposób, w jaki mnie zastępowałaś. A teraz cieszę się, że znów tutaj jestem, pełna gotowości i zapału. Raczej nie wypoczęta, ale nie można mieć wszystkiego.

Zaśmiała się bez przekonania. Chciałaby właściwie opowiedzieć o szarpiących nerwy kłótniach, które poprzedziły jej dzisiejsze wejście w progi komendy. O tym, jak jej uświadomiły, że przekonanie, że żyje w równoprawnym związku, było czystą iluzją. Mogła w niej tkwić tak długo, bo wcześniej nie byli narażeni na stres związany z opieką nad małym dzieckiem. Argumenty, jakimi nagle została zarzucona, brzmiały dokładnie tak jak te, których słuchała z westchnieniem, gdy były przytaczane przez jej koleżanki. Że ona jest biologicznie przystosowana do opieki nad dzieckiem. Że Torkel absolutnie nie może odpuścić swojej pracy, bo wtedy wszystko się tam zawali. Firma padnie, obniży się szwedzki PKB, kurs euro runie, katastrofa ogarnie cały świat i doprowadzi do jego upadku.

Jednak najbardziej wzburzyło ją to, że przecież mieli umowę. Umowę, że ona weźmie urlop wychowawczy na pierwsze sześć miesięcy, a on na kolejne pół roku. Oboje złożyli podania w pracy i oboje ten urlop dostali. Nie przewidziała tylko, że ze strony Torkela była to jedynie zagrywka, bo ani przez chwilę nie przypuszczał, że ona naprawdę chce się podzielić opieką nad dzieckiem. Wciąż miała przed oczami jego zszokowaną minę, kiedy tydzień temu mu przypomniła, że w ten czwartek wraca do pracy.

Torkel ponoć sądził, że – tu cytat – „sama dojdzie do wniosku, że chciałaby zostać w domu z Harrym, że po prostu nie zechce wrócić do pracy”.

Przez kilka dni się potem do siebie nie odzywali.

Gdy zaledwie godzinę temu przygotowywała się do wyjścia, miała wrażenie, jakby stanął przed nią zupełnie obcy człowiek. Z paniką i jednocześnie furią w oczach, cały najeżony i bredzący o „więzi biologicznej” i „biologicznym dziedzictwie”, mówiący, że musi „porozmawiać ze swoim szefem”. W końcu przekazała mu synka i wyszła szybko z mieszkania. Jeszcze nie miała odwagi zerknąć na swój telefon.

– Witamy po powrocie – odezwał się Ruben, uśmiechając się drapieżnie.

Starła się nie widzieć, że Ruben nie mógł oderwać wzroku od jej piersi. Tydzień temu przestała karmić, ale do piersi jakby ta informacja nie dotarła. Marzyła o powrocie do miseczek w rozmiarze B, bo z rozmiarem E jakoś nie potrafiła się zaprzyjaźnić.

– Skoro jesteś taka wyczerpana, to zanim zaczniemy, pokażę ci coś, co cię postawi na nogi – oznajmił radośnie Peder, wyjmując telefon.

– Tylko nie to – jęknęli unisono Mina, Christer i Ruben.

Peder wydawał się nie zwracać uwagi. Włożył jej do ręki telefon i uruchomił odtwarzanie filmu.

– To moje trojaczki! – wrzasnął. – Śpiewają do wtóru z Anisem Don Demina podczas festiwalu piosenki! Śliczne, nie?!

Julia patrzyła na trójkę zapieluszkowanych dzieciaków, bujających się entuzjastycznie, choć nie rytmicznie, przed wielkim telewizorem. Przyznała, że są prześliczne, chociaż przyszło jej to z pewnym trudem, bo oglądanie dzieci było w tym momencie ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę.

– Poczekaj, aż pogłośnie – powiedział Peder. – Bo również śpiewały.

Jęki pozostałych osób stały się jeszcze głośniejsze.

– Dzięki, chyba rozumiem – odparła Julia, oddając mu telefon. – Bardzo urocze. Tak czy inaczej, proponuję, żebyśmy od razu przeszli do rzeczy. Wczoraj po południu przyszło zgłoszenie o uprowadzeniu dziecka, niejakiego Ossiana Waltherssona. Pięciolatka. Na skutek pomyłki nie nadano mu statusu Child Alert, co zostało zauważone dopiero dziś rano.

– Boże – odezwał się Peder. – Tak nie może być!

– Nie może być, ale było. W każdym razie kierownictwo przekazało sprawę nam i chce, żebyśmy nadali jej najwyższy priorytet.

Mina skinęła głową i wypila duży łyk wody z butelki. Postawiła ją na stole, starając się wyraźnie, żeby butelka znalazła się jak najdalej od brody Pedera. Butelkę zauważył też Bosse, który podniósł się z podłogi i dotelepał z wywieszonym ozorem do Miny.

– Christer! – odezwała się Mina. – Skoro już go przyprowadziłeś, to musisz go poić. Jeśli podejdziesz jeszcze bliżej, będziesz musiał kupić mi nową butelkę.

– Nie gorączkuj się tak – odparł z westchnieniem Christer. – Psie ozory są naprawdę bardzo czyste. Ale rzeczywiście postawię mu miskę z wodą, bo pewnie spędzimy tu więcej czasu. Wiecie, że dla niego to też żadna przyjemność.

Przywołał skinieniem psa, który spojrzał z wyrzutem na Minę, nim opadł na podłogę u nóg swego pana. Julia zastanawiała się, czy powinna wyjaśnić Christerowi, że psie języki wcale nie są czyste, występujące na nich bakterie różnią się od tych u ludzi, a część jest wręcz groźna. Jednak widząc pełne miłości spojrzenie Christera na Bossego, dała spokój.

– Zapomniałam, że jesteście jak przedszkolaki – powiedziała. – Skupcie się i zabierzmy się jak najszybciej do pracy. Pomoże nam, dołączając do naszego zespołu, osoba, która już ma doświadczenie z podobnego przypadku. Przychodzi od negocjatorów... grupy negocjacyjnej... trochę to niełatwe, że nie mają nazwy. I tak wiecie, o którą chodzi.

Urwała, widząc ich zdziwione miny.

– A właściwie dlaczego nie mają nazwy? – spytał Peder.

– Powód jest czysto psychologiczny – odpowiedziała. – Skoro nie mają nazwy, to nie istnieją jako zespół. Bandyterce będzie trudniej ustalić, kim są.

– Wow. – Peder uniósł brwi.

– Jak powiedziałam, on już nie jest u nich, a dla naszego zespołu będzie bardzo pożądanym uzupełnieniem. W dodatku już ma trochę przemyśleń na temat sprawy Ossiana i zaraz tu będzie.

– Naprawdę potrzeba nas tutaj więcej? – spytała Mina, marszcząc czoło.

– Chcesz powiedzieć, że masz nas po dziurki w nosie? – zachichotał Christer, robiąc gest, jakby chciał trącić Minę łokciem.

Znał ją na tyle dobrze, by unikać dotykania jej. Jednak Julia przewidziała, że Mina zareaguje w ten sposób. Mina Dabiri nie lubiła zmian, zwłaszcza takich, które obejmowały nowe relacje międzyludzkie. A przecież to właśnie ona mogła na czymś takim skorzystać. Od czasu, gdy jesienią dwa lata temu zakończyło się zlecenie dla Vincenta, Julia nie widziała, żeby Mina rozmawiała z kimkolwiek poza swymi kolegami. Domyślała się, że Mina raczej nie rozkwitła towarzysko podczas kilkumiesięcznego urlopu macierzyńskiego Julii. A więc nie zaszkodzi, jak się poszerzy jej krąg koleżeński.

– To pewnie jakiś polityczny wymysł szefostwa – wyraził pogląd Christer. Podrapał po karku Bossego, który w nagrodę spojrział na niego z oddaniem. – Równouprawienie i zróżnicowanie są teraz bardzo modne. Ale mamy już dwie kobiety, więc albo będzie pedał, albo ktoś z importu!

– Christer! – syknął Peder, patrząc surowo na starszego kolegę. – I właśnie takie wypowiedzi sprawiły, że cię przenieśli tutaj. Nic ci nie dały te wszystkie kosztowne kursy, na które policja się szarpnęła? Nie wyciągnęły cię z epoki kamiennej?

Christer westchnął i tym razem podrapał Bossego za uchem.

– Ojej, przecież ja tylko żartowałem – powiedział speszony. – Ludzie są dziś tacy drażliwi. Zresztą w mojej wypowiedzi nie było nic ocennego, zorientowałbyś się, gdybyś chodził na ten sam kurs co ja.

– Chociaż dobór słów już świadczy o...

Pederowi przerwało dyskretne pukanie, odwrócili się do drzwi.

– W samą porę – powiedziała Julia. – Pozwólcie, że przedstawię wam nowego członka naszego zespołu: Adam Balondemu Blom.

– Wymowa godna podziwu – zauważył z uśmiechem wchodzący mężczyzna. – Ale wystarczy Adam Blom.

**GŁUPIA PANI.** *Mówiła, że ma szczenięta, ale to nieprawda. Chociaż jej auto to prawdziwa wyścigówka, wygląda jak jedna z tych jej zabawek, ale to duże prawdziwe auto.*

*Jak wczoraj przysłała do przedszkola, to spytała, czy chciałbym wsiąść do takiej wyścigówki, a ja chciałem. Ale potem odjechaliśmy. Powiedziała, że zaraz wrócimy, tylko pojeździmy chwilkę, żebym zobaczył, jak szybko można jeździć. Ale potem nie wróciliśmy.*

*Wtedy się przestraszyłem. Okropnie się bałem.*

*W brzuchu miałem tak, jak kiedy woda spływa szybko z wanny. Jakby ją wsysało w dół i do środka.*

*Powiedziałem jej to, ale nie odpowiedziała.*

*Potem strasznie długo jechaliśmy. Teraz jesteśmy u niej. Ja chcę do domu, do mamy i taty. Nie chcę tutaj być. Ta pani mówi, że jeszcze trochę. Ciągle jeszcze trochę. I jeszcze mówi, żebym przestał płakać.*

*Tu są jeszcze inni ludzie. Dorośli. Nie wiem, kim są. Boję się ich. Przychodzą, a potem sobie idą. Mówią, że mogę grać w Robloxa na ajpadzie, ile tylko zechcę, ale ja nie chcę. Tutaj jest dziwnie i nie pachnie jak w domu.*

*Jak jest noc, to przez cały czas patrzę w sufit. Jest zupełnie ciemno. Ani trochę światła.*

*Wołam tatę. Potem mamę. Ale nie przychodzą.*

*– Ossian, pobędziesz tu tylko trochę – mówi rano ta pani. – Dzień, dwa. A potem wrócisz do domu.*

*Dają mi jedzenie, ale paskudne, zresztą wcale nie chcę jeść. Pytam, dlaczego muszę tutaj być, ale ona nie odpowiada. Nikt mi nie odpowiada, tylko mówią, żebym nie płakał, że będzie dobrze.*

*Mówią miłym głosem, ale ich oczy nie są miłe.*

**MINA PRZYJRZAŁA** się z zaciekawieniem nowemu członkowi zespołu, ale starała się robić to dyskretnie. Nie wszyscy byli równie taktowni, choćby Ruben, który gapił się otwarcie i bez zahamowań, nawet z pewną wrogością. Jego reakcja jej nie zdziwiła. Adam Blom był wręcz przykładowym okazem męskiej tężyzny ze wspaniale ukształtowanymi bicepsami i wyraźnym sześciopakiem zarysowanym pod obcisłą białą koszulką. Zauważyła z pewnym rozbawieniem, że Ruben podświadomie wyprostował się, wciągając brzuch.

Na nią akurat taka rzeźbiona muskularna sylwetka nie działała. Woląta, żeby mężczyzna był szczupły, elegancki, o dumnej postawie, budowy raczej żylastej niż krągłej. Mógłby chodzić w ładnym garniturze i... Drgnęła, zła na siebie, że się czasem rozpędza w myślach. Zmusiła się do skupienia i słuchania Julii, która stała przed tablicą z poważnym wyrazem twarzy, sugerującym, że ma do powiedzenia coś ważnego.

– Jak mówiłam, powierzono nam dochodzenie w sprawie zaginięcia Ossiana Waltherssona.

– Lat pięć – dopowiedział Peder udręczonym głosem.

Mina rozumiała go. Zaginięcie dziecka to koszmar każdego rodzica, nie sposób od tego uciec nawet doświadczonemu policjantowi. A Peder sam miał małe dzieci. Wprawdzie upłynęło sporo lat, odkąd Mina miała małe dziecko, ale potrafiła sobie wyobrazić siebie w tej sytuacji.

– Właśnie. Podejrzuje się, że Ossian został uprowadzony wczoraj ze swojego przedszkola na Södermalmie. Musimy jak najszybciej porozmawiać ze wszystkimi osobami, które miały jakiś związek ze sprawą. Jednak między uprowadzeniem Ossiana i wcześniejszym przypadkiem istnieją pewne podobieństwa. Kierownictwo chce, żebyśmy się temu przyjrżeli.

Julia zwróciła się do nowego członka zespołu.

– Adamie, wyjaśnij to bliżej?

Adam chrząknął, a Julia usiadła, zachęcając go wzrokiem do zajęcia jej miejsca przy tablicy, co też zrobił. Mina pozazdrościła mu pewności siebie, kiedy stanął przed grupą zupełnie obcych osób, w dodatku chyba nastawionych do niego sceptycznie. Sama zawsze czuła się niezręcznie w takich sytuacjach, i to nawet wtedy, gdy powinna być pewna swego.

– Najpierw może powiem parę słów o sobie i skąd się wziąłem.

Christer rzucił Pederowi znaczące spojrzenie. Jeśli spyta, czy Adam ma na myśli Kenię, czy Gambię, Mina była zdecydowana osobiście go wyrzucić. Razem z psem.

– Byłem w grupie negocjacyjnej – zaczął Adam. – Dość szybko włączyli nas do dochodzenia w tej sprawie sprzed roku dotyczącej Lilly Meyer. Mieliśmy powody przypuszczać, że zaginięcie dziewczynki było skutkiem skrajnie zaognionego sporu o opiekę między jej rodzicami. Zakładano, że została uprowadzona przez kogoś z rodziny, więc włączono mnie na wypadek, gdyby trzeba było negocjować z porywaczem.

– Znaleźli ją potem martwą, prawda? – odezwał się zduszonym głosem Peder.

Mina dobrze pamiętała tę sprawę, choć upłynął już rok od tragicznego wydarzenia, które podziałało jak wybuch bomby. Ciało dziewczynki znaleziono pod brezentem na pomoście w Hammarby sjöstad, kilka metrów od popularnej budki z lodami. Media rzuciły się do gardeł dochodzeniowcom, którzy nie potrafili wskazać żadnego podejrzanego sprawcy, chociaż dziecko zostało od razu zidentyfikowane. Rodzice wydali oświadczenia dla prasy. Dla sztokholmskiej policji sprawa była wciąż zapalna, a przede wszystkim nierozwiązana.

Bosse jakby wyczuł nastrój Pedera. Pies przeszedł do niego pod stołem i położył mu łeb na kolanach. Mina zobaczyła z obrzydzeniem, że powstała tam wilgotna plama.

– Zgadza się. Lilly zaginęła i została zamordowana na początku lata. Ciało znaleziono na Lugnets terrass, czyli wielkim pomoście piknikowym w Hammarby sjöstad, dokładnie naprzeciwko północnego portu Hammarby.

– Ale wniosek był chyba taki, że miało to coś wspólnego ze sporem rodziców o opiekę nad dziewczynką, prawda? – odezwał się dość nieprzyjaznym tonem Ruben. – Tak jak mówiłeś? To jaki tu związek z naszą sprawą? I po co nam ktoś z grupy negocjacyjnej?

Mina widziała, że Ruben nadal wciąga brzuch. Musi mu być okropnie niewygodnie.

– I tak, i nie. Wciąż nie mamy sprawcy, jedynie rysopisy znajdującej się w pobliżu pary starszych ludzi. Zauważył ich zestresowany nauczyciel przedszkolny, ale nie przyjrzał im się dokładnie. I owszem, podejrzenia wobec rodziny wciąż się utrzymują, nie skreśliliśmy ich z listy. A jednak. Nie wydaje mi się, że sprawcą był ktoś z rodziny. Zwłaszcza że metoda postępowania w przypadku Ossiana była niemal identyczna.

– W jakim sensie? – spytała Mina, marszcząc czoło.

– Uprowadzony z przedszkola przez obcą osobę, której nikt nie zauważył – wyjaśnił Adam. – Zdarza się to znacznie rzadziej, niżby wynikało z telewizyjnych seriali o prawdziwych zbrodniach. W rzeczywistości najczęściej chodzi o tak



zwane uprowadzenia rodzicielskie. Czasem plan jest taki, że dziecko zostaje wywiezione z powrotem do ojczyzny. Innym razem w wyniku sporu o opiekę jedno z rodziców chce odebrać dziecko drugiemu. Jednak w tym przypadku mamy do czynienia ze sprawcami, którzy są nieznani zarówno policji, jak i personelowi w przedszkolu. I to się właściwie nie zdarza. A jednak zdarzyło się, i to dwukrotnie. Kierownictwo jest w związku z tym zdania, że moja wiedza wynikająca ze sprawy Lilly może być dla was przydatna. Nie mamy dużo czasu. Mogę szybko podzielić się wszystkim, co zebrałem, zarówno tym, co można przeczytać, jak i tym, co znajduje się tylko między wierszami.

– Zgadza się z kierownictwem, że Adam będzie przydatnym dopełnieniem naszego zespołu – odezwała się Julia, wbijając wzrok w Rubena. – To może przejdziemy dalej? Ruben?

Mężczyzna mruknął coś niezrozumiale, ale skinął głową.

– Ciało Lilly zostało znalezione po trzech dniach, prawda? – powiedział Christer, ścierając rękawem koszuli pot z czoła.

W sali konferencyjnej było duszno i gorąco. Mina starała się powściągnąć swoje poczucie dyskomfortu.

– Więc jeśli Ossian zniknął wczoraj, to nie zostało nam zbyt wiele czasu – ciągnął Christer.

– Czekaj, czekaj – odezwał się Peder. – Czyli uznajemy, że to atak tego samego sprawcy?

– W tym momencie tego nie zakładamy – powiedziała, chrząknawszy, Julia. – Jednak metoda postępowania sprawcy jest podobna. Dlatego powinniśmy zgodzić się, że mamy mało czasu. Faktem jest, że dostałam polecenie, żebym jeszcze dziś wieczorem wystąpiła na konferencji prasowej. Przedtem chciałabym, żeby Adam i Ruben przepytali personel przedszkola Ossiana, a Mina i Peder rozmawiali z jego rodzicami.

– Czy Adam nie mógłby wziąć na siebie tego przedszkola z Christerem? – spytał Ruben, patrząc na zegarek. – Powinienem niedługo być w pewnym miejscu.

– Christer jest mi potrzebny do sprawdzenia rejestru przestępców seksualnych – powiedziała Julia. – Poproszę o listę wszystkich tych, którzy wyszli na wolność w ciągu ostatniego roku. Tak na wszelki wypadek. Zresztą wiesz co, Ruben, wydaje mi się, że nadal pracujesz w policji. I to jest w tej chwili twój priorytet.

– Twoje znajome z Tindera muszą chyba poczekać – wtrąciła się Mina.

– Czyli rejestr – westchnął Christer. – Znowu.

– Jaki Tinder, kurde – parsknął Ruben. – Niepotrzebne mi coś takiego. Co innego komuś takiemu jak ty, starej pannie, która by pewnie wolała iść do klasztoru.

Mina sięgnęła po telefon i podsunęła mu pod oczy. Następnie poszperała wśród aplikacji i załadowała Tindera tak, żeby Ruben to zobaczył.

– Lepiej ci teraz? – spytała. – Czy przestałeś się już martwić o mnie na tyle, że możesz się zabrać do roboty?

Zamierzała odinstalować apkę zaraz po zebraniu.

– Klasa, spokój! – zarządziła głośno Julia. – Bierzemy się do pracy. Poważnie.

Adam stał obok niej z taką miną, jakby nie był pewien, co ze sobą zrobić.

– Jak widzisz – powiedziała z westchnieniem – nie jesteśmy pewnie najbardziej... zdyscyplinowanym zespołem, w jakim pracowałeś. Ale jesteśmy dobrzy. Zazwyczaj.

– To całe szczęście – zauważył Adam i spoważniał. – Bo, jak zauważyłaś, minął już jeden dzień i możemy mieć bardzo mało czasu.

**CHRISTER NIE** był w stanie pracować w swoim nagrzanym pokoju i poszedł z laptopem do otwartej przestrzeni biurowej. Wyjął telefon i zapatrzył się na sześćdziesiąt cztery czarne i białe pola na ekranie. Partia skończyła się właściwie już dawno temu, ale trudno było mu się z tym pogodzić.

Zawsze myślał, że jest dobry w szachy. Wprawdzie nie rozegrał w życiu zbyt wielu partii, ale wydawało mu się, że powinien być dobry. Zgadzałoby się to z innymi wyróżnikami w jego życiu. Whisky. Samotność. Jazz. Wprawdzie nie był już sam, odkąd w jego życiu pojawił się Bosse, ale pies również pasował do tego obrazu.

Wyobrazenie o własnych umiejętnościach szachowych zmieniło się jednak w dniu, gdy trafił na darmowy program do gry. Od tamtej pory grał prawie codziennie zarówno na telefonie, jak i na laptopie. Wkrótce minie pół roku, odkąd się to zaczęło, a on wciąż znajdował się na poziomie dla początkujących. I nie wygrał jeszcze ani jednej partii. Westchnął, zaznaczył w apce przegraną i odłożył telefon. Nie ma sensu odwlekać tego, co ma do zrobienia.

Przyszła Mina i usiadła obok ze swoim laptopem.

– Mogę ci trochę pomóc. Zaczynamy? – spytała. – Nie wolno nam tracić czasu.

– No to zaczynamy – westchnął. – Rejestr przestępców seksualnych. Hurra!

Spojrzał apatycznie na swoją kawę. Zimna. A przedtem chyba się za długo parzyła. Znow westchnął głośno, na co Bosse przekrzywił łeb.

– Połóż się, piesku. Pan musi popracować przy komputerze. Tam jest twoja woda. I posłanie.

Podrapał psa za uszami. Bosse, wdzięczny za uwagę, położył się, zakręciwszy się trzy razy na posłaniu.

– No i już. – Christer otworzył program. – Zobaczmy, jakich my tu znajdziemy delikwentów.

Miał mieszane uczucia w związku z tą pracą, przypominającą szukanie igły w stogu siana. Godzina po godzinie, strona za stroną. Beznadziejne, niewdzięczne zajęcia, które za każdym razem zrzucają na niego. No dobrze, tym razem pomaga Mina, ładnie z jej strony. Jednak przeważnie musiał to robić sam.

Już go nie brali do ścigania łobuzów na mieście. Nie żeby chciał, ale mogliby go czasem spytać. Z czystej koleżeńskiej grzeczności i jako wyraz uznania dla jego doświadczenia po latach spędzonych w radiowozie. Owszem, fajnie, że już nie musi, ale jednak.

– Sprawdzę, czy któryś z nich był poszukiwany w związku ze sprawą Lilly – powiedziała Mina. – W razie gdybyśmy rzeczywiście mieli do czynienia z tym samym przestępcą. A ty mógłbyś sprawdzić, który z tych gości przebywa teraz na wolności.

– Dobry pomysł – odparł Christer i zabrał się do scrollowania.

Szpalta za szpaltą, drań za draniem. Gdyby ludzie wiedzieli, ilu mętów chodzi po ulicach, nie chcieliby wychodzić z domu. A partia Przyszłość Szwecji w mówiła im, że zagrożeniem dla nich jest tylko ktoś, kto nosi imię Ahmed albo Mohammed. Tymczasem on ma przed sobą rejestr z samymi białymi jak śnieg, którzy nazywają się na przykład Sven Westin, Karl-Erik Johansson czy Peter Lundberg. I lubią małe dzieci. A wyglądają tak, że ludzie mówią potem, że „taki był z niego przyjemny człowiek. Kto by przypuszczał...”. Albo „to musi być jakaś pomyłka, zawsze był taki miły dla moich dzieci”.

Bosse zaskomlał przez sen i poruszył łapami, jakby biegł. Ciekawe, kogo goni, pomyślał Christer. Zapewne nie pedofilów, chociaż właśnie tych powinien. Fuj. Oby Julia nie miała racji, a mężczyźni i kobiety, których nazwiska widział na ekranie komputera, nie mieli nic wspólnego z zaginięciem Ossiana. Świat nie powinien być jeszcze gorszy, niż jest.

Christer rozejrzał się. W przestrzeni biurowej było mniej ludzi niż zazwyczaj. Pora urlopów. Wielu spośród jego kolegów popija teraz piwo na jakiejś żaglówce w Sandhamn, fotografuje skałki na Gotlandii albo uwija się z młotkiem przy swoim letnim domku.

Mina wstała.

– Muszę się napić kawy – powiedziała. – Mimo że tu jest tak gorąco. Tobie też przynieść? Mogę ci pomagać jeszcze tylko przez chwilę, potem jadę z Pederem, żeby porozmawiać z rodzicami Ossiana.

Christer kiwnął głową ponuro. Zegar tykał, odliczając czas do odnalezienia porywacza chłopca. Prawie słyszał to odliczanie. Miał przed sobą kilka godzin przeszukiwania spisu najpaskudniejszych drani ze wszystkich rejestrów policyjnych. Wymagało to dodatkowego zastrzyku kofeiny.

– **CZY ABY NA PEWNO** my się do tego nadajemy najlepiej? – odezwał się Peder. Mina zdała sobie sprawę, że nie miał na myśli „my”, tylko „ja”. Jak w stwierdzeniu „jako osoba mająca dzieci”.

– Jeśli wydaje ci się, że nie dasz rady, to zostań – powiedziała miękko. – W takim razie wezmę to na siebie. Nie mam nic przeciwko temu.

Peder pokręcił głową.

– Nie, nie, to taka praca. Przecież wiem. Ale miejmy to już za sobą.

Zeszli do policyjnego garażu i Mina pozwoliła mu usiąść na miejscu kierowcy. Jazda pozwoli mu się skupić na czymś innym niż czekające zadanie. Na wszelki wypadek nakierowała również rozmowę na temat jego dzieci. Ten sposób odwrócenia uwagi zawsze się sprawdzał. Patrzyła w okno, pozwalając sobie na bujanie w obłokach, tymczasem Peder nie przestawał perorować.

– ...no i dziś rano nagle powiedziała „kaszka owsianka” – ciągnął swoją opowieść. – Wyobrazasz sobie, jaka ona musi być inteligentna? Trzy lata, większość trzylatków powie tylko „kaśka”, ale ona mówi „kasz-ka o-wsian-ka”. Naprawdę sędzę, że trzeba będzie ją posłać do szkoły dla szczególnie uzdolnionych dzieci. Słyszałem oczywiście, że posiadanie takiego dziecka jest równie dużym wyzwaniem, jak posiadanie trudnego dziecka, ale oboje z Anniką jesteśmy zgodni, że zmierzmy się z tym w swoim czasie. Jest też Majken, która według nas może mieć przyszłość w sporcie, powinnaś ją widzieć, jak się wdrapuje po różnych drabinkach w przedszkolu, jakie ma wyczucie równowagi i jaka jest silna, skończy się to jakimś sportem wyczynowym, więc już jesteśmy przygotowani na to, że trzeba będzie ją wozić na rozmaite treningi i zajęcia. No i Molly. Ma zupełnie niezwykle podejście do zwierząt. Któregoś dnia przyniosła do domu ptaka z uszkodzonym skrzydłem, trzeba było umieścić go w pudle po butach wyłożonym wata, a potem czuwała nad nim jak jakaś ptasia mama. Cóż, ptaszek niestety padł, ale to uczucie, kiedy ona ma do czynienia ze zwierzątkami... zupełnie jakby z nimi rozmawiała, naprawdę, mówię ci, że będzie z niej weterynarka, może w Kolmården, w Parken Zoo <sup>2</sup> czy jakimś podobnym miejscu, i przypuszczam, że...

Mina patrzyła w okno, wpuszczając entuzjastyczny słowotok Pedera jednym uchem, a wypuszczając drugim. Przejechali przez Stureplan z wylewającym się stamtąd tłumem idealnie opalonych ludzi w drogich okularach przeciwsłonecznych i szykownych ciuchach. Ogródek restauracyjny Sturehof był wypełniony do

ostatniego miejsca, kieliszki z różowym winem mieniły się w słońcu. Mina pozazdrościła im chwil beztroski na słońcu, tego, że mają tyle czasu, gdy ona z bólem w sercu jedzie porozmawiać ze zrozpaczonymi rodzicami, którzy nie wiedzą, gdzie jest teraz ich pięciolatek. A czas być może się kończy. Tak jak w przypadku Lilly.

**NA TWARZY NAUCZYCIELA PRZEDSZKOLNEGO** Toma malowała się taka rozpacz, jakiej Ruben by się nie spodziewał u dorosłego mężczyzny. W ciasnym pokoju nauczycielskim przedszkola Backens znajdowała się oprócz nich również Jenya, koleżanka Toma, i kierowniczką Mathilda. Razem z Rubenem i Adamem zrobił się z nich niemal tłum. Wszystkie okna były szeroko otwarte, choć – jak odnotował Ruben – niewiele to pomagało, Tomowi pot spływał już z czoła na nos i policzki.

Ruben spróbował się skupić. Kiedy Julia otwierała zebranie, on był już myślami u Ellinor. Zastanawiał się, co jej powie. Myślał, że zebranie będzie krótkie, bo chodzi tylko o to, żeby Julia przywitała się po powrocie z macierzyńskiego, a on potem wsiądzie do samochodu i pojedzie. Tymczasem spadła na nich sprawa Ossiana. Musi się skoncentrować na pracy, zamiast myśleć o spotkaniu z osobą, która mu się snuje po głowie od przeszło dziesięciu lat. Na to będzie czas potem. Ossiana trzeba odnaleźć natychmiast. To dziecko wymaga, żeby Ruben wykonał, co do niego należy.

Wyparł z myśli Ellinor i spojrzął na osoby tłoczące się w pokoju. Zanim zdążył coś powiedzieć, odezwał się Adam.

– A więc – rzekł jego nowy kolega – co do wczorajszych wydarzeń. Jak to się stało, że nikt nie zauważył, że nie ma Ossiana?

O Boże. To się nazywa wałnąć prosto z mostu. I Adam ma być ekspertem od negocjacji? Nawet Ruben rozumiał, że nie można zaczynać przesłuchania od oskarżenia. Ci ludzie i tak wyglądają, jakby myśleli, że zaraz trafią do więzienia. Nic się z nich nie wydobędzie, jeśli będą się czuli naciskani. Tom gapił się na ścianę pełną rysunków, na których dzieciaki z większym i mniejszym powodzeniem sportretowały swoich nauczycieli.

– Próbujemy tylko ustalić, gdzie się kto znajdował, kiedy Ossian został uprowadzony – powiedział Ruben możliwie przyjaźnie.

Tom miał minę, jakby chciał się zapaść pod ziemię. Z pudełka na stole wyciągnął papierową chustkę i wytarł oczy.

– Kiedy jesteśmy w Skinnarviksparken, robi się z tego duża grupa dzieci – odparł. – Nie widzi się wszystkich przez cały czas. Starsze dzieci nie potrzebują aż tyle uwagi co młodsze. Wiedzą jednak, że nie wolno im wyjść z parku bez naszej zgody i regularnie je liczymy. W tym, że na kilka minut straciłem z oczu Ossiana, nie było nic wyjątkowego.

Urwał i znów spojrzał na rysunki. Jeden przedstawiał zdumiewająco szczegółową postać mężczyzny na tle wielkiego serca. Na koszulce miał zielone T., a w rogu napisano nierówno ale starannie *opp opp*, obok podpisu. Ossiana. Rubena ścisnęło w gardle, musiał odchrząknąć.

– Ich świat... – ciągnął Tom zdławionym głosem – nasz świat jest zazwyczaj bezpieczny.

– Rozumiemy to – powiedział Adam. – Ale faktem jest, że w tym przypadku zawiiodły i uwaga, i środki bezpieczeństwa.

No super, kurde. Ruben zaczynał rozumieć, dlaczego Adam opuścił zespół negocjacyjny. Z oczu Toma polały się łzy.

– Co jest absolutnie ludzkie – ciągnął Adam. – W moim stwierdzeniu nie ma nic ocennego. Powinniście jednak zrozumieć, że zderzycie się z takimi właśnie postawami. Choćby ze strony innych rodziców. Im lepiej będziemy wiedzieć, co się właściwie stało, tym bardziej wam pomożemy uzyskać u nich postawę empatyczną.

Adam odwrócił się i spojrzał w oczy Mathildzie, kierownicze przedszkola.

– Co, jak się domyślam, byłoby pożądane, zważywszy na to, jak mało dzieci przyszło dziś do przedszkola.

Okej. A więc Adam może nie jest jeszcze do końca beznadziejny. No i nie są to negocjacje, tylko rozmowa, a Adam najwyraźniej nie ma tu zbyt dużego doświadczenia. Ruben poczuł zadowolenie. Adam może sobie mieć sześciopak na brzuchu i metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ale ostatecznie problem rozwiąże Ruben.

– Zastanawia nas – odezwał się – czy widzieliście albo czy wiecie coś, co by nam pomogło w poszukiwaniach. Na przykład kim była kobieta, która go zabrała?

Jenya pokręciła głową. W przeciwieństwie do Toma nie wyglądała na bardzo spoconą, chociaż była w hidżabie. Ruben powstrzymał odruchowe pytanie, czy jej nie gorąco w tej chuście na głowie. Domyślał się, że pytano ją o to więcej razy, niż mogłaby zliczyć.

– Rozmawialiśmy ze wszystkimi dziećmi – odparła. – Zaskakująco dobrze się orientują, kto ma jakich rodziców czy starsze rodzeństwo. Jednak żadne jej przedtem nie widziało.

Adam wstał i podszedł do okna wychodzącego na pagórek, gdzie zniknął Ossian. Miał minę, jakby się nad czymś zastanawiał. A potem wrócił na swoje miejsce.

– Czyli jesteście znów w punkcie wyjścia – powiedział. – Dlaczego nie widział jej nikt z was? Skoro dzieci widziały? Czy to nie dziwne?

– Sugeruje pan, że mieli z tym coś wspólnego moi pracownicy? – Mathilda otworzyła szeroko oczy. – Że świadomie coś ukrywają? Mogę zaświadczyć, że zarówno Tom, jak i Jenya należą do najlepszych pedagogów, z jakimi



kiedykolwiek pracowałam. Mają moje pełne zaufanie. I nie sądzę, żeby był sens ciągnąć tę rozmowę bez przedstawiciela prawnego, jeśli zamierza nas pan oskarżać.

Ruben rozłożył ręce, żeby ją rozbroić.

– Wydaje nam się po prostu, że ta kobieta postarała się, żebyście jej nie widzieli – powiedział miękko. – Więc poczekała na odpowiedni moment. To nie był przypadek. Nikt was o nic nie oskarża.

Mathilda jakby się trochę uspokoiła.

– Ostatnie pytanie – odezwał się Adam. – Coś mi się nie zgadza do końca, chodzi o to, że poszedł z nią z własnej woli. Czy Ossian lgnie do obcych?

– Nie, ale do samochodów wyścigowych tak – powiedział cicho Tom. – Lamborghini, Koenigsegg, Porsche. Zna się na wszystkich markach i modelach. Nieważne, prawdziwe czy z tektury. Najważniejsze, żeby wyglądały na szybkie. I najlepiej, gdyby były czerwone.

– A ta kobieta, jak rozumiem, miała samochodziki – powiedział Adam, kiwając głową.

– Przynajmniej tak powiedziała Felicii. Samochodziki i szczeniaczki. Nie ma powodu sądzić, że Felicia to zmyśliła. Pozostaje pytanie, czy rzeczywiście były szczeniaczki, bo Felicia ich nie widziała.

– I nikt przedtem nie widział tej kobiety – dodał Ruben, patrząc w swoje notatki. – Co nie musi znaczyć, że ona nie znała Ossiana. Czy chłopiec zachowywał się ostatnio jakoś inaczej? Albo jego rodzice?

Tom pokręcił głową.

– Wszystko było zupełnie jak zwykle. Zwyczajny letni tydzień, taki jak wszystkie. Aż... aż do wczoraj.

– No cóż – powiedział Adam, wstając. – Dziękujemy państwu za pomoc. To chyba wszystko.

Mathilda również wstała, żeby odprowadzić ich do wyjścia. Ruben był pod jej dużym wrażeniem. Gdy zjawia się policja, ludzie stają się na ogół aż nazbyt ustępliwi i nie mają odwagi podejmować własnej inicjatywy. Lecz nie Mathilda. W potrzebie potrafiła jak lwica bronić swego stada. Z wyglądu też niezła. Ciekawe, czy w łóżku również jest dominująca. Kiedyś postarałby się dowiedzieć, czy tak jest, dziś musiał poprzestać na zastanawianiu się. Cholerna psycholożka Amanda.

– Oczywiście przeprowadzimy wewnętrzne dochodzenie w tej sprawie – powiedziała Mathilda, podając mu rękę. – Ale na razie to wszystko, co wiemy. Informujcie nas o sytuacji. Zdajemy sobie sprawę z naszej odpowiedzialności, proszę w to nie wątpić.

Ruben i Adam pożegnali się z całą trójką. Ręka Toma wydawała się bezwładna, on sam wyglądał, jakby umierał. Zapewne minie sporo czasu, zanim wróci do pracy.

– Sprytny jesteś – odezwał się cicho Adam, wychodząc. – Chodzi mi o zagranie w złego i dobrego glinę. Dzięki temu szybko ustaliliśmy, co wiedzą. A szybkość jest tu istotna.

Ruben zapatrzył się na niego. Czy wszyscy negocjatorzy myślą, że grają w filmie? O ile mu było wiadomo, zespół negocjacyjny składa się z ekspertów od budowania osobistych relacji, co ma skłonić przestępców, by im zawierzyli. Adam zachował się zupełnie odwrotnie. Choć Ruben nie mógł zaprzeczyć, że rzeczywiście dowiedzieli się wszystkiego, co było wiadomo na tę chwilę.

– Jednak następnym razem – ciągnął Adam – to ja chcę być tym dobrym gliną. No ładnie. Trzeba będzie pamiętać o zabraniu ze sobą łopatkę.

**VINCENT SPOJRZAŁ** przez okno w SlowLife Productions przy Strandvägen. Popołudniowe słońce stało wysoko na niebie, odbijając się pięknie w wodach zatoki. Jednak Vincent nie widział igrania promieni słonecznych na falach, bo jego myśli zajmowało co innego: wyobrażał sobie, że jest wyrzucany z katapulty albo też pełźnie przez pomieszczenie pełne insektów. Ubrany w obcisły dres. Wzdrygnął się. Nie było to zbyt pociągające.

– No nie bądź taki oporny – odezwał się zza jego pleców Umberto. – To będzie z korzyścią dla twojej marki. Powinniśmy cię zaprezentować od takiej bardziej... ludzkiej strony. Na ile to możliwe.

Vincent odszedł od okna i znów usiadł. Tym razem na stoliku agenta nie było domowych ciasteczek. Mogło to sugerować, że ich wzajemna relacja nabrała bliższego, bardziej nieformalnego charakteru. Albo że Umberto zaczyna mieć go dość. Jednak znajdujące się na stole sklepowe roladki ponczowe<sup>3</sup> były sygnałem, że jednak nie trafił do strefy zupełnego zimna.

– No tak, ale *Fort Boyard*? – powiedział z powątpiewaniem Vincent i sięgnął po roladkę, gdy zobaczył, że robi to Umberto.

Na talerzu zostały teraz dwie. Trzeba dbać o jakiś porządek.

– Na pewno jest jakiś inny program telewizyjny, który byłby bardziej... w moim stylu – powiedział. – Jeśli już muszę być w telewizji.

Umberto westchnął i pochylił się z ręką przy podbródku.

– Vincent, *amico mio*, posłuchaj. Moim zadaniem jest dopilnować, żeby jak najwięcej ludzi kupiło bilety na twoje przedstawienia i wykłady. Bo co będzie, jeśli nie kupią?

– Nie będziesz miał zarobku – odparł Vincent.

– Właśnie. Ale przede wszystkim ty nie będziesz miał zarobku. To dość prosta podstawowa zasada ekonomii. Po to, żebyś mógł żyć z tego, co robisz, musimy w miarę wzrostu naszych kosztów sprzedawać więcej biletów. Wiem, przez pewien czas szło nam jak po maśle dzięki temu, co się działo w związku z Jane. Jednak to zainteresowanie nie będzie się utrzymywać po wsze czasy. Co oznacza, że należy ludziom przypominać o tobie, żeby się tobą interesowali. Co z kolei znaczy, że powinieneś być od czasu do czasu wystrzeliwany z armaty w telewizji.

Vincent udawał, że go to wszystko nie stresuje. A więc Fort Boyard, po szwedzku Fångarna på fortet. F P F. W szwedzkim alfabecie to litery nr 6, 16 i 6. 6166. Kiedy Benjamin był mały, Vincent kupił mu zestaw mieszanych klocków

Lego. Rozmawiając na poważnie o zestawach Lego, a Vincent właśnie w ten sposób rozmawiał najpierw z Benjaminem i ostatnio z Astonem, wymieniali się zawsze numer zestawu, bo mogło być więcej części przedstawiających to samo. Otóż Vincent był prawie pewien, że pudło Benjamina z mieszanymi klockami miało numer 6166. Co, rzecz jasna, miało zupełnie przypadkowy związek z Fångarna på fortet. Choć litery LEGO zajmują w alfabecie szwedzkim pozycje 12, 5, 7 i 15. A 125715 to kod odcienia zieleni. Mniej więcej takiej zieleni, jaką mają wody wokół Fortu Boyard, gdzie był nagrywany program. Przynajmniej podczas odpływu. Wszystko się ze sobą łączy, jeśli naprawdę tego chcemy.

– Vincent – odezwał się ostro Umberto. – Dokąd teraz odpłynąłeś?

Umberto, sądząc po tonie, powiedział coś do niego, chociaż Vincent w ogóle tego nie słyszał.

– Do lego – odparł.

Umberto pokręcił głową.

– Musisz to zrobić – powiedział.

Vincent powoli przytaknął, chociaż właściwie nie mieściło mu się w głowie, jak w ogóle może rozważyć taką propozycję. A jednak Umberto pewnie ma rację. Powinien zacząć ćwiczyć, i to na serio. Do tego programu trzeba zdecydowanie lepszej kondycji od jego obecnej. Zresztą treningi będą też niezłym sposobem zajęcia czymś myśli, żeby nie pomknęły w niewłaściwą stronę.

Jak choćby w zastanawianie się, co tam u Miny.

Umberto wziął jedną z dwóch pozostałych roladek ponczowych. Vincent westchnął. Nie miał ochoty nawet na tę poprzednią, tym bardziej na jeszcze jedną. Jednak nie było wyboru. Jedna roladka wyglądała na talerzu niemalże obscenicznie, tak nie można. Sięgnął po nią i w tym momencie zobaczył uśmiech czający się w kąciку ust swego agenta. A niech go. Specjalnie tak zrobił.

– Okej, powiedz, że się zgadzam – powiedział. – Na ten Fort. Kiedy miałbym nagranie?

– Za miesiąc z kawałkiem.

Vincent zakrztusił się okruchami o smaku araku. To tylko trochę ponad miesiąc. Powinien jeszcze dziś umówić się z trenerem personalnym.

**MÓWIĄ MU, ŻEBY** się nie bał. Dziwne słowa. Jak miałby się nie bać? Przecież nie ma mamy ani taty, a oni mu nie chcą powiedzieć, gdzie są. Może im się coś stało?

Ebbie z przedszkola umarła mama. Przyszli po nią babcia z dziadkiem, w przedszkolu powiedzieli, że Ebba musi iść do domu. Jej mama umarła na coś, co się nazywa krak.

A jeśli mama i tata też zachorowali na kraka?

I umarli?

I dlatego zabrali go z przedszkola? Tylko dlaczego nie była to babcia z dziadkiem? Chłopiec kuli się na materacu, który pachnie dziwnie. Wszystko tu dziwnie pachnie.

Właściwie nie ssie kciuka, przestał dawno temu, bo jest już dużym chłopcem. Wtedy się nie ssie kciuka. Zresztą babcia mówiła, że od tego się robią krzywe zęby. Ale teraz ten kciuk jest mu bardzo potrzebny.

Czuje się zmęczony i ociężały, bo nie spał całą noc. Ciągłe myślał o mamie, tacie i o tym kraku. Z dala słychać jakieś głosy. Ale nie mamy i taty.

Chłopiec zamyka oczy.

Jeśli pośpi chwilę, to może już będą przy nim, kiedy się obudzi.

**MIESZKANIE NA BELLMANSGATAN** było nieduże, ale przytulne. Wszystko tu zdradzało obecność dziecka. Tuż koło drzwi między butami leżała plastikowa torba z nieotwartym pudłem klocków Lego. Do zbudowania wyścigówki. W przedpokoju tu i tam leżały zabawki. Widać było, że dużo się działo w tej rodzinie. Rysunki przyklejone do lodówki razem ze zdjęciami z wakacji. Na stole resztki dziecięcego śniadania: zaschnięte płatki w plastikowej miseczce.

– Przepraszam za ten bałagan, my...

Josefin, mama Ossiana, nie dokończyła zdania. Miała nieobecny wzrok. Pewnie jest na silnych środkach uspokajających, domyśliła się Mina. Natomiast Fredrik, tata Ossiana, miał spojrzenie jasne i zdecydowane. Zaprosił ich gestem, żeby usiedli na białym zestawie wypoczynkowym z Ikei i tylko lekkie drżenie ręki zdradzało, co się z nim dzieje w środku.

– Chodź, kochanie. No chodź.

Delikatnie dotknął ramienia Josefin i pociągnął lekko za sobą. Żona poszła za nim i bardziej opadła, niż usiadła na kanapie. Przesunęła dłonią po obiciu z dużą płamą.

– Powinniśmy być mądrzejsi i nie kupować białej kanapy, kiedy właśnie urodziło nam się dziecko. Jednak myśleliśmy... Myśleliśmy, że będzie tak jak w gazetkach dla mam i w telewizji. Słodki, gaworzący dzidzius, który ciągle śpi. I... że bez trudu sobie poradzimy. Kiedy oboje byliśmy nastolatkami, dużo jeździliśmy konno i sądziliśmy, że jeśli człowiek potrafi radzić sobie z narowistym koniem, to dziecko nie będzie stanowić najmniejszego problemu. Ale potem... on był...

– Josefin, nie trzeba...

Fredrik położył jej rękę na ramieniu, ale strąciła ją i zaszlochała.

– Ciągle tylko płakał i krzyczał. Stale. Dzień i noc. Złościł się... Nie mogłam zrozumieć, skąd u niego tyle złości. Jakby nienawidził całego świata i nas. A ja chciałam... pragnęłam... Czasem chciałam, żeby go nie było, żebyśmy wrócili do tego, co było przed jego pojawieniem się, żebyśmy mieli tylko siebie. Ja wiem, że tak nie można mówić, nie można żałować, że się ma dziecko. Ale tak nam było dobrze, Fredriku, pamiętasz, jak nam było dobrze?

Zwróciła się do męża, który przytaknął.

– Josefin, jesteś w szoku, masz poczucie winy i szukasz jakiegoś wytłumaczenia – powiedział. – Nie rób tego. Ale oczywiście, że pamiętam, jak

było.

Znów położył rękę na jej ramieniu i tym razem mogła tam zostać.

– Pamiętam, że na początku było ciężko – mówił dalej. – To prawda. Ale przebrnęliśmy przez to, prawda? Daliśmy radę. Razem. Przestał się tak złościć. Jest pogodnym, radosnym dzieckiem. *Oppa Gangnam Style*, prawda? Owszem, czasem się złości, ale przeważnie jest radosny. A jaki skupiony, kiedy buduje z klocków Lego. Prawda, kochanie?

Milcząc, przytaknęła, ale nie patrzyła mu w oczy.

– Tak, jest pogodny. Ale przypomnij sobie, ile razy chciałam, żeby go nie było. A jeśli to skumulowana karma, ktoś mnie słyszał i uznał, że naprawdę tak myślę, a teraz nas to dopadło?

Twarz mu się wykrzywiła. Puścił jej ramię i wpatrzył się w biały deseń na dywanie.

– Wiesz, że to nieprawda. On wróci. Wiem to na pewno. Wróci. Tylko... teraz nie ma go... przez chwilę.

Spojrzał na zegarek, podniósł wzrok i spotkał się ze wzrokiem Miny.

– Prawda, że tak? Prawda, że prawie zawsze wracają? Przecież minęła dopiero doba. Dokładnie doba. Czyli powinien niedługo wrócić?

Mina przełknęła ślinę. Ona akurat wiedziała, że ludzie znikają. I nie wracają. Tyle że ona zniknęła z własnej woli. Co innego Ossian.

– Większość wraca już po kilku godzinach – odparła. – Ossiana nie ma dobę, czyli nieco więcej niż zazwyczaj, jednak na razie nie ma powodu sądzić inaczej, niż że wkrótce zostanie odnaleziony. Dla nas to absolutny priorytet.

Nie wspomniała, że te dzieci, które wracają do domu po kilku godzinach, po prostu wcześniej zablądziły albo nic nie mówiąc nikomu, poszły do jakiegoś kolegi czy koleżanki. Nie zostały uprowadzone przez kobietę w samochodzie pełnym zabawek.

Każdą komórką ciała odczuwała stres, że Ossian się jeszcze nie odnalazł.

– Proszę opowiedzieć o poranku sprzed zaginięcia – odezwał się Peder, zwracając się do obojga rodziców. – Czy cokolwiek odbyło się inaczej niż zwykle? Czy odprowadzając go do przedszkola, nie zauważyliście niczego odbiegającego od normy? Jakiejś osoby, której dotąd nie widywaliście w pobliżu?

– To ja go odprowadziłam – powiedziała Josefin, wciąż gładząc plamę. – Wiecie, że reklama nie mówi prawdy? O tych proszkach, które wszystko usuwają? Wypróbowałam wszystkie produkty znajdujące się na rynku... próbowałam odplamiacza, potem prałam w dziewięćdziesięciu stopniach z wybielaczem. A ona i tak nie schodzi. Wydaje mi się, że ta plama jest od czekolady. Pozwoliliśmy mu na kanapie jeść kinder niespodziankę, ale chciał się dostać do zabawki w środku

i czekoladowe połówki położył obok siebie. Pamiętasz, Fredriku? Tam był chyba maleńki robot składający się z pięciu części i Ossian się nie poddał, dopóki...

Jej głos zawisł w próżni.

– Kochanie – powiedział Fredrik. Widać było, jak bardzo stara się trzymać. – Kochanie. Skup się. Policja pyta, czy coś zwróciło twoją uwagę, kiedy go przyprowadziłaś do przedszkola. Cokolwiek? Co mogłoby im pomóc znaleźć osobę, która zabrała Ossiana?

– Nie, nic. Nic nie zauważyłam. Wszystko było jak zwykle. Rodzice. Dzieci. Jestem taką mamą, która nigdy nie potrafi się nauczyć nazwisk innych rodziców, nawet tego, czyimi są rodzicami.

– Josefin...

Fredrik pogłaskał ją po ramieniu. Wzdrygnęła się. Jak mokry pies.

– I taką mamą, która nigdy nie pamięta o zebraniach, o zajęciach na powietrzu ani zajęciach tematycznych, ani... jak wczoraj rano. Powinien mieć ze sobą drugie śniadanie. Ale zapomniałam zabrać. Jak zwykle. Lubił naleśniki na zimno. Zwinięte w wałeczki. Gdybym tylko pamiętała, czy to by coś zmieniło? Czy on...

Umilkła.

– Przykro mi, że nie możemy bardziej pomóc – odezwał się Fredrik.

– Moglibyście zrobić jeszcze jedno – powiedziała Mina. – Za waszą zgodą chcemy ogłosić, że poszukujemy Ossiana. Miałoby to nastąpić podczas konferencji prasowej, która odbędzie się za kilka godzin. Społeczeństwo bywa czasem bardzo pomocne.

Fredrik spojrział na żonę, która wpatrywała się znów w kanapę. Przytaknęła w milczeniu.

– Zgodzimy się na cokolwiek – odparł.

Wstał i poszedł do kuchni, odczepił z lodówki kilka zdjęć, przytrzymywanych kolorowymi magnesami.

– To kilka zdjęć Ossiana, pewnie wam się przydadzą – powiedział.

Jak zauważyła Mina, trzymał zdjęcia w taki sposób, żeby żona nie musiała ich widzieć. Josefin zdusiła szloch, w którym było aż za wiele rozpaczy jak dla jednej osoby.

– Dziękujemy – odezwał się Peder. – Proszę pamiętać, że te zdjęcia pojawiają się w mediach, służąc dobrej sprawie. Ale w najbliższych dniach może powinniście unikać gazet i telewizji.

– Ostatnie pytanie – powiedziała Mina. – Czy w waszym otoczeniu nie ma nikogo, kogo moglibyście podejrzewać o chęć skrzywdzenia was albo Ossiana? Kto mógłby uważać, że ma powód, żeby go uprowadzić?

Fredrik gwałtownie pokręcił głową.



– Powiedzielibyśmy, gdyby nam przyszło do głowy cokolwiek, co uznalibyśmy za istotne dla was. Ale my jesteśmy... jesteśmy zupełnie zwyczajni. Ja jestem dyrektorem kreatywnym w firmie reklamowej, Josefin redaktorką w wydawnictwie. Mieliśmy zwyczajne dzieciństwo, zwyczajne rodziny i zwyczajnych przyjaciół. Mamy... zwyczajne życie... Czy raczej mieliśmy.

Mina widziała po nim, że jest bliski utraty panowania nad sobą. Spojrzeli na siebie z Pederem i wstali.

– Rozumiemy was – powiedziała. – Peder ma trzy trzylatki, a ja mam...

Urwała w samą porę i odetchnęła. Mało brakowało. Poczła na sobie zdziwiony wzrok Pedera, ale wołała nie patrzeć mu w oczy.

– Zrobimy wszystko, co tylko możliwe, aby odnaleźć Ossiana – zakończyła.

Siedząca na kanapie Josefin podniosła wzrok i spojrzała na Minę.

– Nie kupujcie nigdy białej kanapy – powiedziała.

Mina skinęła głową. Wychodząc, świadomie nie spojrzała na stojące w przedpokoju dziecięce buciki.

**JUŻ PODCHODZĄC DO DRZWI** mieszkania, Julia poczuła ucisk w piersi. Śmieszna rzecz te odruchy bezwarunkowe. Nabrała głęboko powietrza i nacisnęła klamkę. Z głębi mieszkania dochodził krzyk Harry'ego.

– Halo! – zawołała, przybierając beztroski, pogodny ton. Zawołała jeszcze raz, ale bez odpowiedzi. Poza głośnym krzykiem bardzo niezadowolonego dziecka.

Idąc do sypialni, minęła kuchnię, która wyglądała jak po wybuchu bomby. Puste słoiczki po jedzeniu dla dzieci, brudne talerze, skórki bananów, zwitki papierowych ręczników i mnóstwo filiżanek niedopitej kawy. Ciekawe. Kiedy to ona była w domu z dzieckiem i też tak wyglądało, Torkel po powrocie z pracy robił jej przycinki. Nigdy nie przepuścił okazji, żeby spytać, co ona właściwie robi całymi dniami.

Delikatnie otworzyła drzwi do sypialni.

Harry leżał w łóżeczku cały czerwony ze złości. Wrzeszczał ile sił, a miał ich niemało. Torkel spał na stojącym obok małżeńskim łóżku. Chrapał głośno, leżąc w ubraniu na kołdrze.

Julia spojrzała na zegarek i zaklęła. Właściwie nie miała czasu, żeby jechać do domu, ale przepociła ubranie, więc musiała się przebrać przed konferencją prasową. I chciała ucałować Harry'ego w puciołowate policzki. Zalew esemesów od Torkela w końcu przebił się przez jej skórę i poczuła wyrzuty sumienia. Chociaż wiedziała, że nie powinna.

Wzięła na ręce synka, który natychmiast ucichł, a Julia zorientowała się, co było przyczyną jego wrzasków. Poczła intensywny zapach kupy. Zaniósła go do łazienki i przewinęła. Mały zagulgotał, kiedy już był czysty, i sięgnął rączką do figurek wiszących nad przewijakiem. Babblarna. Kolorowe figurki stały się niezwykle popularne, dla dzieci miały prawie narkotyczną siłę przyciągania.

– Chodź, kochanie, pobędziesz z mamą podczas przebierania się, ale potem trzeba będzie obudzić tatę, bo mama musi wracać do pracy. Widzisz, malutki, gdzieś jest inny chłopczyk, na pewno wystraszony i smutny, który niecierpliwie czeka, żeby znalazła go jego mama.

Harry w odpowiedzi zagaworzył i spróbował pociągnąć ją za włosy. Jego małe pulchne rączki miały niebywałą umiejętność złapania za kosmyk włosów koło uszu, gdzie najbardziej bolało, a potem pociągał zdumiewająco mocno.

– Aua, aua, boli mamę – powiedziała, krzywiąc się i delikatnie odgięła zaciśnięte piąstki.

Posadziła synka na leżaczku i zaczęła się przebierać. Najpierw dezodorant, bez mycia się, potem czysta koszula i nowe czyste spodnie. Teraz mogła wracać do pracy na tak długo, ile będzie trzeba.

Skończyła i wzięła synka na ręce, przytulając twarz do jego tłusciutkiego karku i wciągając zapach niemowlęcej skóry. Harry śmiał się głośno, machając rączkami w powietrzu. Julia poczuła, jakby coś w niej pękło, i zrobiło jej się gorąco.

Do tej pory udawało jej się rozdzielać te dwie rzeczy. Zaginięcie dziecka i własne rodzicielstwo. Oddzielać Ossiana od Harry'ego. Teraz nagle te obrazy jej się połączyły.

Ossian.

Harry.

Ossian.

Harry.

Jeden większy, drugi mniejszy. Czyjeś dziecko. Ich dziecko. Jej dziecko. Zaginione dziecko. Dziecko w jej objęciach.

Powinna szybko wracać do pracy właśnie ze względu na Harry'ego. Dzień nie dobiegł jeszcze końca. Przytuliła synka mocniej. Poczuła jego miękką rączkę na szyi. Odetchnęła głęboko i weszła do sypialni. Położyła go obok Torkela i delikatnie trąciła męża. Torkel drgnął i rozejrzył się rozespianym wzrokiem.

– Co? Co jest? Co się dzieje?

– Przyszłam się tylko przebrać. Muszę wracać. Harry został przewinięty, ale chyba zgłodniał.

– Wracać? Znowu wychodzisz? A ja? Zajmuję się nim cały dzień, myślałam, że chociaż wieczorem będziesz. Nawet ci się nie chciało odpowiadać na moje esemesy. Wiesz co, Julia, tak się nie da. Dzwonili do mnie z pracy, mam tysiące maili i...

Julia wyszła z sypialni, słowa męża odbijały się od jej pleców, a ona miała przed oczami twarz Ossiana.

A nad nią twarz Harry'ego.

Chwyciła torebkę i poszła do drzwi wejściowych, słysząc za sobą nieustający grad słów.

**BATERIA W LAPTOPIE** była prawie pełna. Vincent pamiętał, żeby ją podładować, bo nie chciał, żeby coś mu umknęło, gdyby nagle padła. Zegar na ekranie pokazywał, ile minut i sekund zostało do siedemnastej i transmisji na żywo na stronie policji. Informacja dla mediów wymieniała jedynie nazwisko Julii, ponieważ to ona miała poprowadzić konferencję prasową. Vincent nie wiedział nawet, czy Mina jest jeszcze w jej zespole. Zawsze można mieć nadzieję.

Jeśli mu się poszczęści, zobaczy ją.

Jeśli mu się poszczęści.

W tym momencie poczuł poruszenie się cienia w środku. Tkwił w nim od dzieciństwa po wydarzeniach związanych z mamą. Wtedy w nim zamieszkał. Vincent dość szybko nauczył się trzymać go w szachu w ten sposób, że na przykład liczył różne rzeczy, albo dostrzegał związki między nimi, które układały się w pewne wzorce. Czasem było mu trudno dostrzec różnicę między faktycznymi wzorcami a wyobrażonymi, zresztą nie zawsze było to istotne. Jak teraz, gdy czekając na konferencję prasową, zobaczył na parapecie pułapkę na osy, którą żona zrobiła z butelki pet. A „bi i marinad”<sup>4</sup> to anagram dla „Mina Dabiri”. Najważniejsze, żeby podtrzymywać logiczne myślenie analityczne, bo wtedy nie zostaje wiele miejsca dla mrocznych emocji.

Tak mu dobrze wychodziło ignorowanie tego cienia, że prawie o nim nie myślał. Wielką pomocą była rodzina. Kiedy musiał pamiętać, aby przyszykować Astonowi drugie śniadanie, albo się martwić, czy Rebecka nie ma przypadkiem fałszywych przyjaciół, to na mrok w duszy nie zostawało wiele miejsca. A kiedy poznał Minę, ten mrok zniknął zupełnie. Przy niej czuł się normalny.

Ale potem to się skończyło.

Nie spotykał się już z Miną.

Wtedy cień powrócił, jeszcze mocniejszy niż przedtem. Pobudziły go działania jego siostry i tym razem rodzina nie wystarczyła, żeby zniknął. Vincent nie bał się, że ogarnie go bez reszty, bo i tak był od dawna jego częścią. Niczym pasażer na gapę. Albo fałszywy przyjaciel. W dodatku nadający coraz głośniej.

Sama myśl, że Mina mogłaby zjawić się na konferencji prasowej, odsunęła na chwilę mrok. Zegar na ekranie zniknął, pojawił się obraz jakiegoś pomieszczenia z mównicą na środku, ale nikt tam jeszcze nie stał. Słyszał było za to gwar rozmów i odgłosy poruszających się osób. Najprawdopodobniej dziennikarzy

siedzących tuż za kamerą. Z mównicy sterczało pięć uchwytów na mikrofony. Vincent westchnął. Nawet w policji nie dbają o porządek. Wziął długopis i oparł o ekran laptopa, żeby wyglądał na szósty mikrofon.

Od razu lepiej.

Po kolejnej minucie w kadr wkroczyła Julia i stanęła na mównicy. Strzeliły flesze aparatów fotograficznych, rozmowy ucichły.

– Dziękuję państwu za przybycie na naszą konferencję – powiedziała. – Przejdę od razu do rzeczy. Wczoraj po południu między piętnastą trzydzieści a szesnastą z przedszkola Backens przy Zinkensdam na sztokholmskim Södermalmie zniknął pięcioletni Ossian Walthersson.

Vincent nie widział nikogo z pozostałych członków policyjnego zespołu. Liczył, że zobaczy Minę, i poczuł w piersi ukłucie, że jej nie ma. Może się jeszcze pojawi. Powinien się uspokoić.

Ossian.

Zaczyna się na O.

W greckim alfabecie to omega. Jednocześnie ostatnia z dwudziestu czterech greckich liter, co nadało jej znaczenie symboliczne. Dla dawnych chrześcijan omega oznaczała koniec wszystkiego. Sądnym dzień. Czy istnieje lepszy sposób, by go zapoczątkować, niż porywając dziecko? Vincent zorientował się, że wcale nie oddycha spokojniej.

– Wiele wskazuje na to, że Ossian został uprowadzony – ciągnęła Julia. – Oprócz Ossiana szukamy zatem kobiety w wieku około czterdziestu lat, miała znajdować się na miejscu w samochodzie. Niestety, nie mamy bliższych danych na jej temat poza tym, że odjechała sportowym autem. Być może miała w nim szczenięta, ale nie wiemy, jakiej rasy.

Tu przerwała i wyjęła zdjęcie Ossiana, zrobione przypuszczalnie w Gröna Lund<sup>5</sup>. Chłopiec miał na nim jasne, nieobcięte latem loki i uśmiechał się do obiektywu, połowę twarzy zasłaniała mu wata cukrowa. Vincent podniósł wzrok znad ekranu i spojrzał na drzwi pokoju Astona, gdzie bawił się jego najmłodszy syn. Nakłonienie go, żeby sam się sobą zajął, musiała poprzedzić półgodzinna kłótnia. Wprawdzie Aston zawsze wolał mamę od taty, ale akurat tego dnia konflikt był szczególnie ostry. Mimo tych kłótni Vincent kochał syna nad życie i na samą myśl, że Aston mógłby nagle zniknąć, robiło mu się słabo. Nie potrafił sobie wyobrazić, co w tym momencie muszą czuć rodzice Ossiana.

– To zdjęcie wysłałam wszystkim państwu mailem – ciągnęła Julia. – Wszelkie informacje na temat miejsca pobytu Ossiana, a także wspomnianej kobiety traktujemy absolutnie priorytetowo. Nie musimy dodawać, że sprawa jest pilna.

Znów rozbrzły flesze aparatów fotograficznych.

– A co mówią rodzice? – zawołał ktoś spoza kadru.

– Rodzice Ossiana zwracają się do państwa o pomoc – odpowiedziała Julia. – W tym momencie nie są jednak w stanie spotkać się z mediami i proszą o zrozumienie. Przesłali nam tekst swego apelu.

Na ekranie pojawiło się teraz zdjęcie Ossiana wraz z apelem jego rodziców.

*Oto Ossian, który lubi tańczyć i śpiewać. Synek jest naszym całym światem. Pomóżcie nam odzyskać jego śpiew i nasz świat.*

Pod spodem numer telefonu i adresy mediów społecznościowych.

– Policja zwraca się z prośbą o wszelkie informacje. Można je kierować na nasze konta na Facebooku i na Instagramie. Oczywiście również dzwonić i mailować. Bylibyśmy także wdzięczni, gdyby pisząc o sprawie w gazetach, podawali państwo swoje dane kontaktowe, bo ludziom przychodzi czasem łatwiej zadzwonić do redakcji „Expressen” niż na policję.

– Czy policja ma już jakąś teorię w tej sprawie? – spytał ktoś.

Julia patrzyła długo w stronę, z której padło pytanie. Miała napięte mięśnie twarzy. Vincent zdał sobie sprawę, że mógłby zrobić jej szybki kurs panowania nad mową ciała. Nawet niezły pomysł, żeby zaoferować policji coś takiego. Może Mina by też przyszła. Nie dlatego, że było jej to potrzebne, jej mowa ciała była zawsze wyraźna, wręcz przykładowa. Stała mu przed oczami i Vincent poczuł trzepotanie w środku. Musiał się dobrze postarać, żeby odsunąć od siebie to wspomnienie. Właściwie wbrew sobie, ale głupio byłoby, gdyby coś mu umknęło z konferencji prasowej. Julia chyba się trochę odprężyła, rozluźniła barki.

– Szczerze mówiąc, nie – odpowiedziała na zadane przed chwilą pytanie.

Jej ton sygnalizował, że to koniec konferencji. Tym razem dziennikarze muszą sami odwalić sporą część roboty. Mina najwyraźniej się nie pojawi. Może i dobrze, bo nie wiedział, jak by zareagował na jej widok.

Otworzyły się drzwi wejściowe, przyszła Maria. Odwiesiła kurtkę, westchnęła i opadła na kanapę obok Vincenta.

– Żebyś mnie źle nie zrozumiał, jestem mu nieskończenie wdzięczna za to, że chce się mną zająć – powiedziała, rozciągając się. – Ale jestem zupełnie wypompowana.

Po ukończeniu przez Marię kursu z małego biznesu Kevin zaproponował, że będzie pomagać jej prywatnie. Vincent wprawdzie nie rozumiał, co by to mogło dać. Albo przynieść. W końcu chodziło o internetowy sklep sprzedający ceramiczne aniołki i mydła. Dla Amazona raczej nie będzie to żadna konkurencja. Zerknął ukradkiem na zegarek. Nie było jej trzy godziny.

– Naprawdę potrzebujesz tylu godzin konsultacji? – zdziwił się. – Spotykacie się właściwie co wieczór. Aston ciągle się o ciebie dopytuje.

Od razu pożałował tych słów. Przecież chciał być wobec niej wspierający i życzliwy. Maria powinna mieć coś własnego, żeby móc błysnąć i rozwijać się na

swój sposób. A teraz to znalazła. On mógł liczyć na docenienie w swojej pracy. Zdobył rozgłos, miał swoją publiczność, pozbawiony twarzy tłum, który go oklaskiwał i wychwalał. Maria nie miała nic takiego. A gdyby miał zajrzeć w głąb swego sumienia, to chyba nie poświęcał jej tyle uwagi, na ile zasługiwała. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamilczał. Nie radził sobie bez instrukcji obsługi.

**MINA WŁOŻYŁA KLUCZ** do zamka i otworzyła drzwi. Niewielki opór przy przekręcaniu klucza nagle i niespodziewanie przypomniał jej inne mieszkanie. Przez moment miała przed oczami tamten przedpokój, zamiast obecnego w Årsta. Próbowwała odsunąć od siebie ten obraz. Od lat starannie unikała wspomnień. A zamek w drzwiach wejściowych zawsze był oporny. Dlaczego zatem właśnie dziś wróciła myślami do innego czasu, innego życia? Chciała strząsnąć z siebie to wrażenie, ale zdążyło się wgryźć i nie puszczało.

Tamto mieszkanie, w Vasastan, było mniejsze od obecnego. A jednak się mieścili. Ona i jej mąż.

I Nathalie.

Nathalie była jeszcze mała, spali we trójkę w jednym łóżku. Tak ją nagle zabolalo to wspomnienie, że nie mogła złapać tchu. Niebieska ulubiona kołdra. Nathalie była niepokieszona, gdy trzeba było ją uprać i przykryć się inną. W końcu kupili trzy identyczne.

*Przestań, nie dopuszczaj do siebie tych myśli.*

Nie myśleć o tym, co zmarnowała. Co sama zniszczyła i roztrwoniła przez swoje uzależnienie. A przecież w AA pracowała ciężko nad tym, żeby sobie wybaczyć. Nigdy by nie przypuszczała, że tabletki przeciwbólowe, które dostała w związku z operacją po porodzie, wywołają efekt lawiny. Lawiny, która pogrzebała ją na wiele lat. Małe białe tabletki wyglądały na dłoni tak niewinnie, a odebrały jej wszystko, co było dla niej ważne.

Poświęciła aż nadto dużo czasu na zastanawianie się, dlaczego się od nich uzależniła, jaki to wadliwy gen sprawił, że stało się to tak szybko. A przecież nie powinna się dziwić, zważywszy na swoją matkę. Każda z nich wybrała inny środek uzależniający, ale obie upadły równie łatwo. I przetrwoniły równie wiele.

Mina zdjęła buty na wycieraczkę i zauważyła, że na podłogę upadł mały kamyczek. A tak dbała o to, żeby starannie wycierać buty przed wejściem do klatki schodowej. Wzięła kamyczek między palec wskazujący a kciuk i szybko wyrzuciła za drzwi. Zamknęła je, poszła do łazienki i natychmiast umyła ręce, którymi trzymała zarówno brudny klucz, jak i kamyczek. To wymaga podwójnego mycia. Następnie rozebrała się, bieliznę wyrzuciła do śmieci i wzięła lodowaty prysznic. Miała za sobą długi dzień i normalnie wzięłaby gorący prysznic, żeby pozbyć się całego brudu z ciała. W mieszkaniu było jednak tak gorąco, że spociłaby się zaraz po wyjściu z łazienki, dlatego próbowała to odwlec, schładzając się jak najmocniej.



I przez cały czas starała się nie dopuszczać do siebie wspomnień. Było to trudne. Jak choćby z tą grecką restauracją znajdującą się dwa piętra pod mieszkaniem w Vasastan. Nie była tam od piętnastu lat, ale wciąż potrafiła przywołać dochodzący stamtąd zapach oliwek, czosnku i mięsa z rusztu.

Po prysznicu otworzyła nowy dziesięciopak majtek i paczkę koszulek, włożyła i w samych majtkach i koszulce poszła usiąść na kanapie w salonie.

W niektóre dni udawało jej się utrzymywać dystans do przeszłości, ale bynajmniej nie we wszystkie, i właśnie dlatego nikogo nie dopuszczała do siebie. Ani do mieszkania, ani do emocji. I tak było tam ciasno.

Najgorsze, że sama tak wybrała. To ona odeszła. Uważała, że okazuje w ten sposób wielkoduszność, że tak będzie lepiej dla nich. Jak mogła zachować się tak naiwnie? Tak egoistycznie?

Przycisnęła palcami powieki, żeby powstrzymać łzy, bo przenoszą brud, a wolałaby nie przemywać policzków alkozelem. Ostatnim razem wyjątkowo ją potem piekło.

Była wtedy bardzo młoda i nie chciała być jak swoja mama. A potem przez wiele lat nienawidziła byłego męża za to, że kazał jej wybrać. Nieprawda, bo on tylko dopilnował, żeby dotrzymała swojej własnej obietnicy.

I dotrzymała. Prawie.

Trzymała się z dala od córki poza tym jednym razem dwa lata temu, gdy była z Nathalie w Kungsträdgården, ale nie powiedziała jej, kim jest. Nie kontaktowała się z nią, tylko obserwowała z daleka. Spędziła za to wiele wieczorów, śledząc kropeczkę na aplikacji podłączonej do nadajnika GPS w plecaku Nathalie.

Podeszła teraz do biurka i spojrzała na zdjęcie córki. Wsunęła szufladę i odczytała kartkę z wiadomością, którą Vincent napisał do niej tamtego lata.

*Nie będę o nic pytał, ale wysłucham cię, gdybyś chciała porozmawiać.  
PS Przepraszam za kostkę.*

Wsunęła z powrotem szufladę. „Gdybyś chciała porozmawiać”. To się nigdy nie zdarzy.

Wróciła do drzwi wejściowych, upewniając się, że są porządnie zamknięte. Nikt nie może tu wchodzić.

**VINCENT CZUŁ SIĘ** jak połamany. Wieczorem czekał go kolejny występ. Latem teatry grały zazwyczaj same farsy, ale zainteresowanie jego przedstawieniem było tak duże, że przedłużyli trasę na miesiące letnie. Umberto był zachwycony dodatkowymi zyskami z biletów, natomiast Vincent zaczął żałować tego przedsięwzięcia. Jeszcze dwa tygodnie, potem będzie mógł trochę odpocząć i zabrać swoją rodzinę na urlop. Pod warunkiem że uda się utrzymać ją w komplecie na tyle długo, żeby pojechać gdzieś razem.

Wszedł do kuchni, gdzie zastał Benjamina; był w połowie swego śniadania, zawsze takiego samego: dwa pszenno-żytnie tosty, na których masło musiało się roztopić przed ich złożeniem w kanapkę z plastrem szynki w środku. Pewną nowością było to, że Benjamin pił również kawę. Odkąd Vincent zainwestował w kapsułkowy ekspres, spożycie kawy w ich domu wzrosło lawinowo.

Vincent wyjął dwie kapsułki i jedną załadował do ekspresu, jednocześnie zerknął na starą maszynkę, która dawniej zawsze bulgotała o tej porze. Stała wciąż na blacie, ale pokryta cienką warstewką kurzu. W tym momencie pojawiło się u niego poczucie pewnej straty. Włączył ekspres, mruknął „dzień dobry” do starszego syna i poszedł do pokoju Astona.

– Śniadanie! – zawołał, otwierając drzwi i wsadzając głowę do środka.

Jego dziewięcioletek stęknął i naciągnął kołdrę na głowę.

– Nie chcę iść do świetlicy.

– Pewnie, kto by chciał? Ale dziś jest piątek, jutro weekend i będziesz mógł się wyspać do woli. Chodź zjeść.

Aston wysunął nogę spod kołdry, jakby sprawdzał nią, co tam słychać na świecie. A potem znów schował.

– Masz trzy minuty – powiedział Vincent.

Wrócił do kuchni, załadował ekspres drugą kapsułką. Poranki wymagały podwójnej dawki kawy. W dodatku tylko szalenie zużywałby nieparzystą liczbę kapsułek.

Maria wystawiła na stół miseczki.

– Mogłeś przyszykować śniadanie dla wszystkich – mruknęła do Benjamina.

– Przykro mi, nie zdążyłem, muszę być pierwszy przy otwarciu.

– Przecież giełda startuje dopiero o dziewiątej? – powiedział Vincent, rzucając synowi znaczące spojrzenie. – Mów prawdę, masz po prostu za mało empatii dla swoich bliskich.

Maria postawiła z trzaskiem filiżankę na stole.

– Nie podoba mi się, że się zajmujesz daytradingiem – zwróciła się do Benjamin. – Zarabianie na spekulacji wydaje mi się głęboko niemoralne. Od kiedy zrobiłeś się takim kapitalistą?

Vincent darował sobie uwagę, że Maria zrezygnowała ze studiów z resocjalizacji na rzecz kursów z przedsiębiorczości i otwarcia sklepu internetowego. Jej lekceważenie dla zajęcia Benjamin wynikało prawdopodobnie stąd, że już sporo na tym zarabiał. Prawdopodobnie więcej, niż Maria przez całe lata uzyska ze sprzedaży aniołków, świec zapachowych i obrazków z mądrymi sentencjami.

– Chodź, Aston! – zawołał. – Są nowe płatki!

– Nie! – zawołał w odpowiedzi Aston. I zaraz potem: – No dobra! A jest dżem?

Od kilku miesięcy nie jadł już jogurtu z kawałkami jabłka. W zasadzie nie brał do ust rzeczy, w których nie byłoby czegoś związanego z chlebem i mąką pszenną. Obecnie funkcjonował na diecie składającej się z hamburgerów, pizzy i kiełbasy z chlebem. Do jogurtu jadł cheeriosy zamiast jabłka. Zwykle była ich cała góra, połowa lądowała na podłodze.

Aston, ziewając, wyszedł ze swego pokoju. Usiadł przy stole i istotnie nasypał sobie do miski okazałą piramidkę okrągłych płatków. Maria ostentacyjnie patrzyła w okno.

– No więc wiecie, ten Fort Boyard... – odezwał się Vincent.

– Widział ktoś Rebeckę? – przerwała Maria, stojąc przy oknie. – Obudziła się?

Żona widocznie nie zauważyła, że chciał coś powiedzieć. Może i dobrze. Vincent w trykotach to może nie najlepszy temat przy śniadaniu.

– Nie nocowała w domu – powiedział Benjamin, siorbiąc kawę. – Nie przysłała tacie esemesa na ten temat?

Vincent sięgał właśnie po pudełko płatków Astona i zastygł w pół ruchu.

– Nie dostałem żadnego esemesa.

– Owszem, chyba dostałeś – odparł Benjamin. – Tylko że twój telefon się jeszcze ładuje, więc pewnie nie sprawdziłeś.

– Jest u tego Dennisa? – spytał Vincent, chwytając szybko pudełko, zanim zostanie opróżnione do reszty.

– Tato! – krzyknął Aston.

– On ma na imię Denis – westchnął Benjamin. – Pochodzi z Francji. Postaraj się nadażać.

– *Oui, monsieur* – powiedział Vincent z przesadnie francuskim akcentem i odsunął pudło z płatkami poza zasięg ręki Astona.

Nie zdążył się jeszcze pogodzić z faktem, że jego córka ma siedemnaście lat i zaczyna robić, co jej się podoba. Próbował jej tłumaczyć, że dopóki mieszka pod ich dachem, powinna przestrzegać obowiązujących tu zasad, że nawet stanowi o tym prawo, ale podejrzewał, że nie do końca jest autorytetem dla Rebecki. Może i powinno tak być. Ciekawe, że Maria nie martwiła się Rebecką tak bardzo jak on. Odwrotnie, wydawała się zadowolona, że Rebecka spędza w domu mniej czasu.

– Denis, *l’homme mystérieuse* – powiedział, podwijając górną wargę i wzruszając ramionami w geście zaczerpniętym z pełnego uprzedzeń filmu animowanego. – Kiedy go ujrzemy, *eh?* Czy on w ogóle istnieje? *C’est réel?*

– I to jest właśnie powód, że ona go tu nie przyprawia – zauważył z westchnieniem Benjamin, odchodząc od stołu.

– Żeby się tylko zabezpieczała – odezwała się Maria, płucząc filiżankę przy zlewie.

Vincent głośno zakaszłał. Widać na chwilę znikła jej pruderia. Zakotował sobie, żeby nigdy nie pytać żony, co robiła, kiedy miała siedemnaście lat.

– Potrzebuje plastra? – spytał Aston z buzią pełną cheeriosów.

Kilka płatków odpadło mu z kącika ust, lądując na kupce na podłodze.

– Nie, raczej ten cały Denis – odparła Maria. – Tata ci wytłumaczy.

Vincent schował twarz w dłoniach. Jeśli temat Fortu Boyard był nieodpowiedni na tę wczesną porę, tym bardziej dotyczyło to opowieści o kwiatkach i pszczołkach.

– I tak nie chcę iść do szkoły – oznajmił Aston, zmieniając temat ku radości Vincenta.

– Nie idziesz do szkoły, tylko do świetlicy – odparł. – Zresztą i tak zostało tylko kilka dni. A potem będą prawdziwe wakacje.

– Boże, jak gorąco – powiedziała Maria, otwierając okno. – A nawet nie ma dziewiątej. Przyniosę nowy krem przeciwsłoneczny dla Astona.

Wyszła do łazienki, a Vincent w tym czasie poszedł po ścierkę, żeby zetrzeć lepkie płatki z podłogi. Nachylił się i jednocześnie starł ramieniem pierwsze tego dnia krople potu z czoła. Przed oczami stanął mu przestronny, chłodny pokój o jasnoszarych ścianach, gdzie panował idealny porządek i gdzie nie było ani jogurtu na podłodze, ani wiszących w powietrzu potencjalnych nieporozumień.

Mieszkanie Miny.

Był tam dwukrotnie i nie obyło się bez problemów. Za pierwszym razem Mina była niepokieszona po spotkaniu z Nathalie. Za drugim właściwie oskarżyła go o morderstwo. Nieważne, i tak zatęsknił za jej zadbanym mieszkaniem. Była koleżanka z pracy nie miała pojęcia, w jakim żyje luksusie.

**WIDZIAŁA JUŻ TĘ** kobietę. Wprawdzie nie mogła sobie przypomnieć gdzie, ale wydała jej się zdecydowanie znajoma. Nathalie obejrzała się za siebie. Nocowała u koleżanki i teraz jako jedyna miała wrócić do centrum. Pozostałe dziewczyny przeszły na drugą stronę peronu.

– Hej.

Drgnęła. Kobieta odezwała się do niej. Nathalie zastanawiała się, czy odpowiedzieć. Była rozdarta między udzielanymi jej przez całe życie przykazaniami, żeby nie rozmawiać z obcymi, a napomnieniami, by odnosić się grzecznie do dorosłych. Zresztą ta kobieta wcale nie wyglądała groźnie. Przeciwnie. Jak na taką starą, była wręcz piękna. Długie jasne włosy ściągnięte na karku w zwykły koński ogon. Bez makijażu, długie naturalne rzęsy okalały parę bardzo niebieskich oczu, cera z nielicznymi zmarszczkami. Nathalie nie potrafiła zgadnąć, ile ta kobieta może mieć lat. Generalnie nie umiała ocenić wieku starych ludzi. Z... sześćdziesiąt?

– Cześć – odpowiedziała niepewnie i w tej samej chwili wjechał na stację pociąg metra.

Kobieta wsiadła za nią. Nathalie usiadła na podwójnej kanapie. W wagonie było dość pustawo jak na piątkowy poranek, ale latem było zawsze niewielu dojeżdżających do centrum.

Kobieta usiadła naprzeciwko. Nathalie patrzyła przez okno. Dziwnie się czuła. Pociąg ruszył, przyspieszając, mijane domy wydawały się pędzić coraz prędeziej. Starła z czoła kilka kropel potu i ostrożnie zerknęła na kobietę. Po krótkim spacerze do metra czuła się bardzo spocona i panujący w wagonie chłód stanowił przyjemną odmianę w dusznym nieruchomym upale. A ta kobieta wyglądała, jakby było jej całkiem chłodno, i ani na jej białej bluzce, ani na białej spódnicy nie było żadnych plam potu.

Ich spojrzenia się spotkały. Zażenowana Nathalie odwróciła wzrok i znów patrzyła przez okno. Nie można się gapić na ludzi. Jednak ta kobieta miała w sobie coś swojskiego. Nathalie gorączkowo szukała w pamięci czegoś, co pomogłoby jej zidentyfikować tę jakoś znajomą twarz. Powoli, powoli jej mózg przywoływał coś, co chciało się przedrzeć do świadomości i coraz bardziej napierało. Już było blisko, ale kiedy chciała je uchwycić, znów umykało.

Może wyjaśnienie było proste, bo na przykład to osoba, którą widziała w telewizji i dlatego wydawała się jej taka znajoma. Z celebrytami tak bywa.

Ludzie prawie codziennie kłaniali się radośnie tacie Nathalie, aby po chwili zawstydzić się, gdy zdali sobie sprawę, że nie jest on żadnym znajomym, lecz kimś, kogo właśnie oglądali w wiadomościach.

Rozległ się sygnał i dziarski głos kobiety z głośnika zapowiedział kolejną stację.

– Gullmarsplan.

Kobieta wstała. Nathalie starała się na nią nie patrzeć, ale coś ją zmusiło, żeby oderwać wzrok od okna i skierować na tę jasną postać obok. Kobieta wyciągnęła do niej rękę.

– Nie bój się mnie, Nathalie – odezwała się miękko. – Jestem twoją babcią. Naprawdę mnie nie poznajesz?

Nagle wszystkie kawałki układanki złożyły się w całość. Nathalie, o ile pamiętała, nie znała swojej babci. Nawet nie wiedziała, że ją ma. Teraz uświadomiła sobie jednak, co widziała: w jej miłej twarzy dostrzegła coś z samej siebie. Wrażenie było obezwładniające. Jakby poznała część siebie, o której istnieniu nie wiedziała. Towarzyszyło temu przekonanie, że tak, że to naprawdę jej babcia.

Spojrzała na wyciągniętą do niej rękę. Na przegubie znajdowała się niebieska gumka, a pod nią czerwony ślad świadczący, że gumka była trochę za ciasna. Trudno spodziewać się zagrożenia ze strony starszej kobiety z gumką na przegubie.

– Chodź ze mną, kochanie – powiedziała babcia, kiwając zachęcająco ręką. – Chcę ci coś pokazać. Bardzo długo czekałam na taką okazję.

**BUDZĘ SIĘ** i siadam tyłem do ściany. Muszę widzieć, czy ktoś nie wchodzi, żeby zrobić mi coś złego. Nie wierzę, że są dobrzy. Chociaż do obiadu dali mi lody i mogłem sobie oglądać film Lego, jak długo tylko chciałem.

Nie wierzę tej złej pani. Nie wierzę, że pozwoli mi wrócić do domu. Nienawidzę tego filmu Lego.

Jestem tu od strasznie dawna. Od stu dni. Chociaż właściwie wiem, że minęły dopiero dwa.

Nie mam już siły płakać. Tyle razy pytałem, czy mama i tata umarli na kraka, ale mi nie odpowiedzieli. Ja chcę tylko do domu.

Mówiłem im wczoraj. Wiele, wiele razy, aż mnie brzuch od tego rozbolał i już nie mogłem nic powiedzieć.

Chcę do przedszkola. Wczoraj nie byłem. Ani dzień wcześniej. Mieliśmy budować rakiety do projektu kosmicznego. Moją raketą miało być ferrari. I miałem im pokazać, jak się tańczy Gangnam Style. A teraz nie mogę. Wszystko przez tę panią.

Przyszła potem, żeby powiedzieć, że zostały jeszcze lody, ale nie odpowiedziałem. Udaję, że jej nie ma.

Nie ma tego pokoju.

Nie ma głupich dorosłych.

Nic nie ma.

Mnie nie ma.

– **DZIEŃ DOBRY WSZYSTKIM** – powiedziała Julia.

Mina pomachała jej bez przekonania. Julia stała z przodu, przed tablicą, i jak zauważyła Mina, wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Po wczorajszej konferencji prasowej dostaliśmy mnóstwo informacji od społeczeństwa – ciągnęła Julia. – Zaginięcie dziecka zawsze bardzo porusza ludzi, więc tych telefonów było bardzo dużo. Przy tym nie wolno zapominać, że po południu miną dwie doby od zaginięcia Ossiana. A więc postarajmy się, żeby ten dzień przyniósł coś istotnego, bo szanse na odnalezienie dziecka maleją z każdą godziną.

W tym momencie Bosse wydał z siebie krótkie szczeknięcie. Pies chwilowo zostawił pana i ułożył się na stopach Pedera, któremu chyba zrobiło się gorąco, ale nie próbował go odsunąć. Mina podejrzewała, że z obawy, że Christer spojrzy na niego złym okiem. Nikt nie mógł bezkarnie ruszyć jego ulubieńca. Jednak głośne szczeknięcie pomogło Minie się skupić.

– Informacje są oczywiście takie jak zwykle – mówiła dalej Julia. – Czyli dzwonią różne świry, osoby, które chcą się na kimś zemścić albo przedstawić swoje pomysły lub pobożne życzenia. Ludzie widzieli Ossiana w całej Szwecji od Kiruny po Ystad, są też doniesienia z Norwegii i Danii. Oddzielając ziarno od plew, szukamy igły w stogu siana, by tak rzec. Ale nie jest to coś, z czym byśmy nie mieli do czynienia już wcześniej. Christer sprawdza znajdujących się na wolności przestępców seksualnych, pomoże nam również tu obecna Sara z działu analiz.

Sara skinęła krótko głową na powitanie. Podczas dochodzenia w sprawie z siostrą Vincenta jej pomoc okazała się bezcenna przy analizie połączeń telefonicznych. Teraz zaś jej wsparcie będzie pożądane przy porządkowaniu danych.

Mina zauważyła, że Ruben jakby unikał patrzenia na Sarę. Ciekawe, bo zwykle gapił się tak nachalnie, że graniczyło to z molestowaniem. Przypomniało jej się, że poprzednim razem ich relacje też były sztywne. Ciekawe, czy coś się tam wydarzyło, to znaczy na pewno się wydarzyło, skoro chodzi o Rubena. Chociaż od roku Ruben jakby się trochę wyciszył. Wprawdzie wciąż dużo gada, ale coś się zmieniło w jego nastawieniu.

– Peder, jesteś mistrzem w przedzieraniu się przez wszelkie spisy, pomyślałam więc, że razem z Sarą przejrzycie informacje od społeczeństwa i je posortujecie.



Na kupkę zdecydowanie odrzuconych, kupkę „może” i kupkę, która wydaje się obiecująca. Ale róbcie to wnikliwie, żeby się potem nie okazało, że istotna informacja omyłkowo trafiła do kupki odrzuconych. Nie wolno nam tego spaścić.

Mina lubiła Sarę, która była świetną analityczką, Peder też wyglądał na zadowolonego, że będzie pracować z kimś, kto tak jak on potrafi się wgryźć w różnego rodzaju listy i tabele. Chyba chciał przesunąć stopy, ale Bosse zaskomlał przez sen i przycisnął się jeszcze mocniej do jego nóg.

– Ruben, ty z Christerem naradzicie się, może znajdziecie kogoś lub coś, czemu należy się przyjrzeć dodatkowo.

– Absolutnie – przytaknął Ruben.

– Dobrze, czyli do roboty. Pamiętajcie – ciągnęła Julia – że przypadek Ossiana nie pasuje do wzorca dzieci zaginionych przez dłuższy czas. Urowadzeń dzieci najczęściej dokonuje jedno z rodziców albo jakiś pomocny krewny. Sprawca przeważnie jest znany. Tym razem nie mamy nic, co by wskazywało na ewentualnego porywacza. Jedynym tropem są tu podobieństwa do sprawy Lilly Meyer, gdzie od porwania do znalezienia ciała upłynęły trzy dni. Możemy się tylko modlić, żeby te podobieństwa były mniejsze, niż się wydaje. Jednak nie stać nas na ryzyko. Ossiana nie ma już od dwóch dni. Musimy go znaleźć. Dziś. Nie ma innej możliwości.

**RUBEN PRZESUNĄŁ** dłonią po twarzy i westchnął.

– Nie rozumiem, po co musimy być we dwóch – powiedział.

– Bo wtedy będzie dwa razy szybciej – odparł Christer. – A raczej byłoby, gdybyś się wreszcie zalogował.

Ruben nie miał najmniejszej ochoty siedzieć nad rejestrem przestępców seksualnych. Za bardzo go nosiło.

Jeszcze poprzedniego wieczoru planował, że pojedzie do Ellinor. Tak się jednak nie stało. Oczywiście rozumiał, że Ellinor może poczekać, a Ossian nie. Jednak coś go gnało w środku i nie sposób było tego zatrzymać. Sam potrzebował być w ruchu.

– Zajrzę do Pedera i tej całej Sary – powiedział, wstając. – Może będą chcieli, żebym się czymś zajął. Przyniosę świeżej kawy, jak będę wracał.

Christer miał minę, jakby chciał zaprotestować, ale skinął głową, pewnie na obietnicę przyniesienia kawy.

– Julia się nie ucieszy – mruknął. – Weź te największe kubki.

Ruben poszedł i zajrzał do pokoju Pedera, który ze słuchawkami na głowie robił notatki z nagranych telefonów do policji, podczas gdy Sara przeglądała kupkę papierów, które wyglądały na wydruki maili.

– Całe szczęście, że siedzicie tutaj, a nie aż w dziale analiz – odezwał się Ruben, uśmiechając do Sary.

Spotkał ją kilka razy w przelocie i zawsze miał wrażenie, że ona go nie lubi. Nie wiedział, czym sobie na to zasłużył, ale był zdeterminowany, żeby to zmienić. Sara była atrakcyjna, o zdecydowanie krągłych kształtach. Była też jego rówieśnicą, a tym samym kilka lat starsza od pańienek, na które zwykł był polować. Właśnie „zwykł był polować”, czas zaprzeszy, o czym by mu w tym miejscu przypomniała Amanda.

– W tym upale chyba bym nie przeżył, gdybym miał tam iść – powiedział.

Sara zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

– Przydałoby ci się trochę ruchu – zauważyła zimno.

A to dopiero, kurde. Od tego upału wszyscy robią się jacyś przeczuleni.

– Macie coś ciekawego? – spytał i już nie starał się być miły.

Sara podała mu kilka kartek.

– Tym nadajemy priorytet – powiedziała. – Jest nadzieja, że znajdziemy tego więcej, jednak w przeważającej większości zgłoszenia wydają się niestety dość

nieprawdopodobne. Co nie znaczy, że tak jest. Ale zaczniemy od prawdopodobnych.

Przejrzała kartki. Było ich zaledwie pięć. Porywaczka Ossiana naprawdę się postarała nie rzucić w oczy. Nagle zatrzymał się przy pewnym zgłoszeniu. Ktoś z dzielnicy Östermalm zgłosił, że przez ścianę słyszał płacz dziecka. Przypominało to pozostałe zgłoszenia, ale tknął go adres Danderydsgatan. Z czym mu się to kojarzy?

Sięgnął po telefon i wysłał esemesa do Christera. *Sprawdź w rejestrze pod adresem Danderydsgatan, to ci przyniosę cały dzbanek kawy.*

– Wiesz, że jestem obok – zawołał Christer z głębi korytarza. – Możesz do mnie mówić normalnie.

Sara zaśmiała się, a Peder podniósł wzrok.

– Ruben? – zdziwił się i zdjął słuchawki. – Chciałeś czegoś?

– Już po herbacie – rzucił Ruben przez ramię, wychodząc. – Fajnie, że masz pomoc. Dzięki, Sara.

Skreślił za róg korytarza, żeby pójść do kuchenki, gdzie znajdowała się maszynka do parzenia kawy, gdy Julia wyszła ze swojego pokoju, idąc w przeciwną stronę. W jego telefonie zadźwięczał sygnał esemesa od Christera. *Brak trafień. Będzie whisky do kawy? A jednak uczy się, dziad jeden.*

Julia szła z telefonem dociśniętym do ucha i najwyraźniej go nie zauważyła. Sądząc po jej postawie, była w nie najlepszym humorze. Trudno, Christer będzie musiał poczekać na swoją kawę.

– Julia, czekaj – zawołał, doganiając ją. – Słuchaj, mam taką jedną sprawę, która...

– Mają być pieluchy Up&Go i dobrze o tym wiesz – syknęła do telefonu. – Jeśli chcesz pieluszki tetrowe, to będziesz musiał sam je prac.

Rozłączyła się i spojrzała na Rubena.

– Tak? – spytała, wachlując się ręką.

Powietrze w korytarzu było zupełnie nieruchome.

– No więc... A raczej jak się miewasz? Widziałem cię właściwie tylko od tyłu, ale wszystko u ciebie w porządku?

Zmrużyła oczy.

– Od tyłu? Jeśli to jakaś seksualna aluzja, to nie zrozumiałam.

– Nie, miałem tylko na myśli... nieważne – odparł. – Właśnie przeczytałem jedno ze zgłoszeń, z Östermalmu. Danderydsgatan. Od kogoś, kto słyszał przez ścianę płacz dziecka, chociaż ten sąsiad zza ściany nie jest typem człowieka mającego dziecko.

– No tak, niestety dostajemy wiele takich zgłoszeń – powiedziała z westchnieniem Julia. – W tym mieście jest sporo rodzin z małymi dziećmi

mających nerwowych sąsiadów.

– Może i tak. Jednak coś mi nie daje spokoju. Christer nie znalazł nic w rejestrze skazanych przestępców seksualnych. A jednak... nie daje mi spokoju ten adres.

Julia obserwowała go z wyraźną zmarszczką między brwiami. Nie mógł nie odnotować, że pod jej koszulką jakby coś ciekło, chociaż starał się nie patrzeć na jej piersi.

– To do ciebie niepodobne, Ruben, żeby tak się słuchać swojej intuicji.

– Wiem, jednak sędzę... myślę, że mam rację. Nie potrafię tego wyjaśnić. Jeszcze nie. Przypuszczam... nie, ja wiem, że coś w tym jest.

Julia patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

– Okej – powiedziała w końcu. – Masz godzinę, żeby mi to udowodnić. Nie mogę cię puścić na dłużej. Za dużo jest innych zgłoszeń do sprawdzenia.

Godzinę. Ruben wiedział, że ma rację. Pytanie, jak przekonać kolegów, nie mając nic konkretnego. Jednak był pewien, że już słyszał, jak ktoś wymienia ten adres. To było dawno, wiele lat temu. Wspomnienie straszło w jego podświadomości, było niemal niewidzialne, ale zdecydowanie obecne. Miał godzinę. Godzinę, żeby wpaść na to, co może uratować Ossiana.

– **NIE MUSIAŁEŚ** ze mną przyjeżdżać. Zawracanie głowy.

Miriam Blom perorowała głośno podczas całej jazdy samochodem z Åkersberga, ale Adam puszczał jej protesty mimo uszu. Uwielbiał dźwięk jej głosu, nawet kiedy się złościła. Zawsze rozmawiała z nim po szwedzku, również kiedy był mały, ale wyraźne echo swahili nadawało jej szwedczyźnie melodię piękniejszą od oryginału.

– Masz ważniejsze rzeczy do roboty – powiedziała. – Całe mnóstwo pracy. Nie masz czasu, żeby brać wolne.

Adam znalazł miejsce na parkingu przed oddziałem onkologicznym szpitala Karolinska. Czekał z odpowiedzią, aż manewrując ostrożnie, wjedzie na dość wąskie miejsce.

– Siedź, zaraz ci pomogę.

Obszedł szybko samochód, wiedząc, że inaczej matka spróbuje sama się z niego wydostać.

– Boże, ale ty się ze mną packasz.

– Mówi się cackasz.

– Nie poprawiaj starej matki – powiedziała, klepiąc go żartobliwie w głowę.

Zrobił zręczny unik. Kiedy był mały i źle się zachował, zdarzało mu się dostać cedzakiem. Albo którymś z sandałów Miriam. A unik najczęściej się nie udawał.

– Powinieneś mieć kogoś innego do packania – ciągnęła. – Kiedy ty sobie w końcu znajdziesz dziewczynę?

Adam westchnął. Temat był mu aż nadto znany, by nie rzec wałkowany.

– Moment jest nieodpowiedni – odparł. – Z pracą i...

– Wiesz, może nawet być biała – mówiła dalej mama. – Byle była mądra. I miała szerokie biodra, żeby mogła mi dać wielu wnuków.

Uwiesiła się ciężko na jego ramieniu.

– A więc o to chodzi, wcale nie o moje życie miłosne – zaśmiał się. – Po prostu chcesz zostać babcią.

– No pewnie – odparła. – Chciałabym mieć wnuka, żeby przekarmiać go słodyczami.

Odkąd tylko pamiętał, matka była pokaźnej tuszy. W dzieciństwie uwielbiał dać się ogarnąć jej wielkim ciepłym objęciom. Miriam była dla niego osiłą bezpiecznego świata. Ugruntowała jego podstawy i wiarę, że świat jest dobrym miejscem, wbrew temu, co oglądał w pracy.

– Przecież wiesz, że ja już mam kobietę mojego życia – powiedział. – Masz rację, że jest w tej chwili strasznie dużo pracy w komendzie, ale przez godzinę, dwie poradzą sobie beze mnie. Za to ja, gdyby coś ci się stało, nie poradzę sobie bez ciebie. Obiecuję, że wrócę do pracy zaraz po odwiezieniu cię do domu.

– E tam, mogę wrócić taksówką – odparła.

– Nie stać cię na taksówkę – zauważył. – Uwielbiasz swoją pracę, ale ja wiem, ile wynosi twoja pensja w biurze opieki społecznej. Zaczekam i cię odwiozę.

– Co za uparciuch – mruknęła Miriam, ścierając chusteczką pot z czoła.

– Ciekawe, po kim ja to mam? – Adam przytrzymał jej drzwi do przychodni. – Wiesz, że twoje wnuki będą takie same.

Starał się nie patrzeć na napis na suficie. Przychodnia onkologiczna. Wcześniej to słowo nie pojawiała się w jego myślach, ale teraz szczerze całym sobą go nienawidził.

– Mamy wyznaczoną wizytę u doktora Stjärngrena – zwrócił się do recepcjonistki w okienku.

– Proszę sobie usiąść, zostaną państwo wywołani – odpowiedziała starsza kobieta zza szyby i wskazała znajdującą się za nimi poczekalnię.

Zawsze robiło mu się lekko niedobrze w takich wnętrzach. Posadził Miriam na jakimś krześle i poszedł przynieść im wody w plastikowych kubkach. W poczekalni było na szczęście dość chłodno, poczuł, że pod pachami zrobiło mu się już sucho. Adam patrzył na profil matki, gdy piła chciwie wodę. Odstawiła kubek, wtedy chwycił jej dłoń. Miriam spojrzała gniewnie i wyszarpnęła dłoń, a potem znów trzepnęła go w głowę.

– *Simama*<sup>6</sup>.

– No co jest, nie wolno okazać mamie trochę czułości?

Zaśmiał się.

Miriam prychnęła.

– Wprawiasz mnie tylko w jeszcze większy niepokój. *Simama!*

Adam znów chwycił jej dłoń. Tym razem mu na to pozwoliła.

**MINA SIEDZIAŁA** razem z Christerem przed jego laptopem, na ekranie przelatywały twarze osób z policyjnego rejestru. Tylu drapieżców gotowych zniszczyć życie dziecku, byle przez chwilę poczuć moc wynikającą z władzy nad kimś. Albo seksualną satysfakcję. Mina zdawała sobie sprawę, że przestępców seksualnych nie należy uważać za ludzi racjonalnych, bo w większości są w istocie chorzy psychicznie i nie kontrolują swego zachowania. Mając z nimi do czynienia, powinna właśnie od tego wyjść jako policjantka. Jednak w przypadku niektórych przestępstw potrafiła wyobrazić sobie wyjątek od zakazu kary śmierci.

Ruben stał obok z rękami skrzyżowanymi na piersi, podczas gdy Christer na jego prośbę przeszukiwał ponownie rejestr. Twierdził, że coś znalazł. Plamy z potu pod jego pachami były bardzo wyraźne. Mina wzdrygnęła się w myślach, a Christer podał mu nieduży wiatraczek na baterie. Znalazł sklep, który sprzedawał takie wiatraczki po dziesięć koron za sztukę, a sądząc po wielkości sterty znajdującej się przed nim, kupił ich co najmniej pięćdziesiąt.

Christer spojrzał pytająco na Minę, która pokręciła głową. Drobinki potu Rubena i Christera wzbite do góry wiatraczkiem rozeszły się równo po całym pokoju, teraz miałyby jeszcze opaść na jej twarz, a to ostatnie, czego by sobie życzyła. Choćby było nie wiem jak gorąco.

Christer dotarł do końca rejestru.

– Żaden z delikwentów zamieszkałych w Sztokholmie nawet nie otarł się o Danderydsgatan – westchnął. – Już to sprawdzaliśmy. Sprawdziliśmy też w rejestrze policyjnym nazwiska wszystkich lokatorów Danderydsgatan dwanaście, skąd pochodzi zawiadomienie. Nic to nie dało. Co wy na to, żebyś się zamiast tego skupił na którymś z pozostałych zgłoszeń?

– Nie – zaoponował zdecydowanie Ruben. – To ten adres. Czy możliwe, żeby tożsamość porywacza została ukryta i dlatego nie figuruje w rejestrze?

– Chwytasz się teraz jak tonący brzytwy. Jedynym powodem nadania pedofilowi ukrytej tożsamości musiałoby być zagrożenie dla jego życia. Jednak nie przypominam sobie żadnego takiego przypadku, zwłaszcza przypadku kobiety. A wiemy, że Ossian został uprowadzony przez kobietę.

– Co nie znaczy, że chłopak się nadal u niej znajduje – zareplikował Ruben.

Mina wyjęła swój telefon i przetała wilgotną chusteczką, następnie otworzyła Google Maps i wpisała Danderydsgatan. Po pojawieniu się zdjęcia satelitarnego obróciła je tak, aby zorientować się, jak wygląda ten kwartał.

– Sprawdziliście również listy lokatorów przy Danderydsgatan dziesięć i czternaście? – spytała.

– Nie, a po co? – zdziwił się Christer, podnosząc wzrok znad ekranu.

– Bo do numeru dwanaście przylegają dwa budynki. W zależności od usytuowania lokalu, z którego pochodzi zawiadomienie, sąsiad zza ściany może mieszkać równie dobrze pod dwunastką, co pod dziesiątką albo czternastką.

Podsunała im telefon z mapą. Christer westchnął i otworzył zwykły rejestr adresowy.

– Danderydsgatan czternaście – powiedział. – Mieszkają tam: Mats Palm, Ingrid Börjesson i Gerhard Frisk. Pozostałe lokale to firmy. To znajome nazwiska?

Ruben pokręcił głową.

– A teraz Danderydsgatan dziesięć – ciągnął Christer. – Też niewiele mieszkań. Andreas Wilander, Lenore Silver, Matti...

– Stop! – zawołał Ruben. – Ta Lenore. Kurde, masz jej zdjęcie?

Christer poszukał przez Google.

– Podejrzane – stwierdził. – W zasadzie nie figuruje w żadnych mediach społecznościowych. Ma stronę na Facebooku, ale nie była aktualizowana od pięciu lat. Ostatnia zmiana dotyczy zdjęcia profilowego.

– Pięć lat – powiedział Ruben, pochylając się nad ekranem. – Wydaje się to możliwe.

Przyjrzał się stronie na Facebooku, którą znalazł Christer, i pokazał palcem ostatnie zdjęcie Lenore.

– O kurde, to ona, na pewno – powiedział. – Inny kolor włosów i fryzura, mniejszy... eee, biust. Ale to ona.

Mina nie miała pojęcia, o czym mówi Ruben.

– Wiecie, że ja nie zapominam żadnej twarzy – ciągnął. – To tylko jedna z moich mocnych stron. Gorzej z adresami, ale takiej sprawy się nie zapomina. W każdym razie jeśli jest się kimś takim jak ja.

– A skoro nie jesteśmy tacy jak ty – powiedział cierpliwie Christer – może zechcesz oświecić nas, ignorantów, co wynika z twojej błyskotliwości?

– Z największą chęcią. Pamiętacie tę sprawę sprzed pięciu lat związaną z handlem żywym towarem? Dziesięć osób zostało skazanych za bezprawne pozbawienie wolności i handel ludźmi. Operowali w śródmieściu Sztokholmu, a sąsiedzi się w ogóle nie zorientowali w sytuacji.

Mina pamiętała ją, i to dobrze. Wyrok sądu był surowy z uwagi na wiek dzieci, którymi handlowano, i określił działania oskarżonych jako ciężkie naruszenie intymności. Skazano ich na kary od czterech do dziesięciu lat pozbawienia wolności. Mina wolałaby jeszcze surowsze kary.



– Jako kierującego tą operacją wskazano niejakiego Kaspara Silvera – powiedział Ruben. – Jego siostra zeznawała przed sądem na jego korzyść, twierdząc, że jest całkowicie niewinny, a ukrywał się za tym wszystkim inny człowiek. Naciskana o jakieś nazwisko, żadnego nie podała.

– Zresztą i tak to nie pomogło – uzupełnił Christer, kiwając głową. – Kaspar dostał z nich najwyższy wyrok.

– Siostra zeszła pod ziemię w związku z rewelacjami w mediach – mówił dalej Ruben i znów pokazał palcem ekran. – Najwyraźniej zupełnie zmieniła styl i po pewnym czasie rozstała się z mediami społecznościowymi. Jednak nie zmieniła wyglądu na tyle, żebyśmy jej nie rozpoznał. Oto Lenore, siostra Kaspara Silvera. Siostra, która twierdziła, że za porywaniem dzieci stał ktoś inny. Ktoś... na przykład ona. Sądzę, że Lenore pociągnęła to od miejsca, w którym kiedyś przerwała.

Rozległ się trzask i przestał działać elektryczny wiatraczek w ręce Christera, który rzucił go na stertę zepsutych wcześniej.

– Idę do Julii – powiedziała Mina. – Ruben, dzwoń do oddziału prewencji. Trzeba jechać na Danderydsgatan dziesięć, i to jak najszybciej.

**VINCENT PATRZYŁ** na rybki w akwarium, jednocześnie zaginał żółty papier, usiłując sobie przypomnieć instrukcje. Jego wieczorne przedstawienie odbywało się choć raz w Sztokholmie, więc do wyjścia miał jeszcze kilka godzin.

Kiedy dzieci były młodsze, zapragnęły „prawdziwego” zwierzątka domowego, co w ich świecie oznaczało zwierzę do pogłaskania. Zaklinały się, że będą się nim opiekować, ale Vincent wiedział, że te zaklęcia wystarczą mniej więcej na tydzień.

A więc stanęło na rybkach. Znalazł gatunek zwany amerykańskimi muławkami, a po szwedzku psimi rybkami, co z jakiegoś powodu doprowadzało Astona do wręcz histerycznego śmiechu; rybki te chętnie jadły z ręki przy karmieniu. Wprawdzie nie było to to samo co głaskanie prawdziwego psa, ale musiało wystarczyć.

Wszyscy w rodzinie zdziwili się, on sam zresztą też, bo Vincent naprawdę przywiązał się do rybek. Bywały dni, kiedy czuł, jakby były jego jedynymi przyjaciółmi. W te dni, kiedy brał w nim górę cień. Robiło się ich coraz więcej. Były to dni, kiedy miał wrażenie, jakby nosił w sobie to, co astronomowie nazywają cieniem całkowitym. Miejscem na planecie, do którego nie dociera żadne światło, a więc znajdującym się na zawsze w ciemności. Matka wszystkich cieni.

Wiedział już, kto jest matką jego cienia.

Odłożył pozginaną kartkę i wziął następną. Był to dzień urodzin jego mamy. Nie powiedział tego rodzinie. Im mniej pytań o jego dzieciństwo, tym lepiej. Dokończył zaginanie i złożył dwie części zwierzęcia. Model był zbyt skomplikowany, aby złożyć go z jednej kartki papieru. Jeszcze tylko kropki i origami z lamparta było gotowe. Jednego złożył rok temu jako prezent urodzinowy dla mamy i chyba miał zamiar powtarzać to co rok. By uczyć to, jak wyglądała w ostatnie urodziny, które spędzili razem. Pewnym problemem było to, że lampart kierował jego myśli na Jane, a nią akurat nie chciał się zajmować.

Lepiej skupić się na psich rybkach. Po łacinie *Umbridae*. Z tych liter można złożyć słowa Dubai, radium i Burma. Jednak choćby się nawet bardzo starał, nie potrafił utworzyć z tych liter kompletnego anagramu czy nawet znaleźć między nimi jakiś sensowny związek.

Pokręcił głową. W niektóre dni wzorce nie chciały się ukazywać, czuł się wtedy, jakby był tylko on i rybki przeciw światu. Kiedy zdarzyło się, jak teraz, że

dom był pusty, wyobrażał sobie, że cała ta rodzina była jakimś wymysłem. Halucynacją. Odprężał się, dopiero gdy Rebecka wróciła do domu ze wzrokiem wlepionym w swoją komórkę albo gdy Aston otworzył drzwi szarpnięciem i nie zdejmując butów, pędził do łazienki.

Choć kiedy byli w domu, musiał się starać spełniać ich wyobrażenie o tym, jaki powinien być fajny tata i mąż. Podejrzewał, że pozostawiał pod tym względem sporo do życzenia.

Nasytał sobie trochę karmy na dłoń.

Za to z Miną.

Przy Minie był sobą.

Nie musiał się wysilać, żeby stawać się kimkolwiek.

Wielokrotnie wracał do tych myśli, chociaż zdawał sobie sprawę, że są niezbyt konstruktywne. Bo to było, minęło. Powinien się z tym pogodzić. Mina była wtedy, a nie teraz. Nawet nie przyszła na tę wczorajszą konferencję prasową. Jej życie pewnie potoczyło się dalej.

Jednakże faktem było, że przy Minie czuł się dobrze i tylko dobrze.

Rybki łaskotały go w dłoń, gdy Vincent zastanawiał się, co to znaczy.

– **DLACZEGO NIE** mogłam się z tobą wcześniej spotykać? Bo tata nie chciał? Czy ty nie chciałaś?

Nathalie przyglądała się z zaciekawieniem kobiecie, która była jej babcią. O której istnieniu dotąd nie wiedziała. Oczywiście rozumiała, że musiała mieć babcię, tak jak kiedyś miała mamę. Jednak chyba po prostu założyła, że babcia nie żyje, podobnie jak mama. Tata nigdy nie opowiadał o tej części jej rodziny. Nawet gdy pytała. Przypuszczalnie dlatego, że nie miała już żadnych krewnych ze strony mamy. Może zresztą sama wolała tak myśleć. Ciężka tęsknota za matką, której prawie nie pamiętała, to było aż nadto. Nie została jej już przestrzeń na tęsknotę za kimś jeszcze. Ale oto jest. Babcia. Ines. W związku z tym Nathalie podważyła absolutnie wszystko, co sądziła, że wie.

– W swoim czasie odpowiem ci na każde pytanie – odpowiedziała starsza pani.

– Co to za miejsce? – zaciekawiła się Nathalie.

Ze stacji Gullmarsplan pojechały do Slussen, a stamtąd autobusem na Värmdö. Miasto zostało daleko za nimi. Dróżka, którą szły, wiodła pośród zieleni, pastwisk z owcami i z rzadka rozrzuconych zabudowań.

– To mój dom – odpowiedziała jej babcia.

Nathalie poprawiła ramię torebki, wiszącej ukośnie przez pierś. Telefon w jej kieszeni zawibrował. Znowu. Pewnie tata. Od godziny dzwonił bez przerwy. Bo przecież zapowiadała, że wróci prosto do domu. Dobrze mu tak, że się martwi. Zacisnęła szczęki ze złości, że nie powiedział jej, że ma babcię. Ciągle ją kontrolował. Tłumaczył, że po to, by ją chronić. W rzeczywistości trzymał w zamknięciu. A jeśli już dokądś szła, to wiedziała, że gdzieś w pobliżu są ochroniarze. Chociaż nie zawsze tak, żeby ich widziała. Jednak wyczuwała ich obecność. A tata miał jeszcze czelność spytać, dlaczego tak trudno jej się z kimś zaprzyjaźnić. Idiota.

Kiedy postanowiła pójść z babcią, wysłała mu esemesa.

*Jestem z babcią, napisała. Wiesz, z BABCIA. Nie wrócę na kolację.*

Do tekstu dołączyła emotikon ze sterczącym pionowo środkowym palcem. Potem dostała lekkiego dygotu na samą myśl o tym, co zrobiła, bo nigdy do tej pory nie sprzeciwiła się tacie tak otwarcie. Do pewnego stopnia rozumiała też, dlaczego był taki nadopiekuńczy. Było ich tylko dwoje. Po wypadku mamy nie powinna się dziwić, że dokładał tylu starań, by córce nie stało się nic złego.

Tyle że jak się okazało, nie było ich tylko dwoje. Zawsze tęskniła za dużą rodziną albo kimś, kto dostarczyłby jej wspomnień o mamie, która była zaledwie jakimś cieniem w jej świadomości. No i oto jest taka osoba. Babcia. A tata nic jej nie powiedział. Niech sobie idzie do diabła.

– Jeszcze tylko ta górka i jesteśmy na miejscu.

Babcia pokazała palcem niedużą górkę, na której szczycie znajdowała się tablica: *Epicura*.

– Co to jest? Wygląda na jakiś ośrodek konferencyjny. Mieszkasz tam?

Zmarszczyła czoło, ale zaraz się rozpromieniła, bo weszły trochę wyżej i zobaczyła piętrzący się przed nimi budynek.

– Wow...

– Tak, prawda, że piękny? – powiedziała z dumą babcia. – Owszem, mieszkam tu, ale nie organizujemy tu konferencji, tylko kursy.

– Co to za miejsce?

Nathalie czuła, jak pot ścieka jej po krzyżu, tworząc wielką plamę na koszulce.

– Oprowadzę cię i opowiem. Tak będzie łatwiej ci to pokazać.

Dotarły na szczyt pagórka, gdzie Nathalie zatrzymała się, żeby złapać oddech. Zdała sobie sprawę, że sapie bardziej od babci, która wydawała się silna i jak na swój wiek bardzo sprawna.

Przed nimi mienił się w słońcu budynek oślepiająco biały, nowoczesny w stylu, z długimi oficynami po obu bokach.

– Wow – powtórzyła. – Pomyśleć, że mogłabym spędzać wakacje tutaj zamiast w mieście z tatą.

Babcia się uśmiechnęła. Następnie pociągnęła za niebieską gumkę na przegubie i puściła. Gumka strzeliła głośno o przegub, a babcia na mgnienie oka zacisnęła powieki.

– A to nie boli? – zdziwiła się Nathalie.

– I właśnie o to chodzi – odpowiedziała babcia. – Potem ci wytłumaczę. Rozejrzyj się. Czujesz energię? Sama pozytywna energia. Tutaj naprawdę można odetchnąć. Czujesz?

Babcia zamknęła oczy i nabrała powietrza aż do przepony. Nathalie poczuła się trochę głupio, ale z jakiegoś powodu chciała zadowolić tę starszą kobietę, więc zrobiła to samo. Kiedy zamknęła oczy, wszystko wokół niej się zatrzymało. Słyszała tylko własny oddech i krew pulsującą w żyłach. Powietrze w jej płucach było czyste i przejrzyste. Wiatr szeptał wśród gałęzi.

Zdała sobie sprawę z jednej rzeczy. Między drzewami nie chowali się żadeni ludzie ze słuchawkami w uszach. Nie było nikogo, kto by zabrał ją do domu. Z jakiegoś powodu ochroniarze nie pojechali za nią. Wyjaśnienie mogło być tylko takie, że tata kazał im zostawić ją w spokoju. Innymi słowy, na pewno znał jej

babcię. Chociaż trudno było uwierzyć, aby miał takie zaufanie do babci, skoro nigdy o niej nie wspomniał. Jednak nie mogło być innego powodu. Inna rzecz, że nie bardzo ją to obchodziło. Najważniejsze, że ich przy niej nie było. Po raz pierwszy w życiu poczuła się wolna.

Nathalie poczuła dłoń w swojej dłoni.

– Chodź, zobaczysz mój dom.

Ciepło z dłoni babci rozeszło się po jej ciele. W torebce znów zawibrował telefon. Zignorowała go.

**BUS ODDZIAŁU PREWENCJI** zaparkował na Engelbrektskatan w kwartale sąsiadującym z mieszkaniem Lenore Silver, żeby nie wzbudzić jej podejrzeń. Tym bardziej że działali jedynie na podstawie poszlak. No i absolutnego przekonania Rubena. Adam miał nadzieję, że Ruben nie pojedzie z nimi na miejsce. Kiedy ostatnio poszli razem do przedszkola Ossiana, nie obyło się bez tarć. Choć potrzebna była każda para rąk. Funkcjonariusze rozproszyli się po całym mieście, badając inne zgłoszenia w sprawie Ossiana.

– A więc Lenore Silver – zarechotał Gunnar.

Ruben przedstawił Adamowi ludzi z oddziału prewencji, przy okazji szepnął mu do ucha, że może już zacząć odliczać sekundy, bo Gunnar zaraz powie, że jest z norrlandzkiego surowca.

– Kurde, pamiętam tę Lenore – odezwał się Gunnar. – Zwłaszcza jej cycki. Proszę bardzo. – I pokazał, co ma na myśli, zaokrąglając dłonie przed swoją piersią.

Obecni w busie koledzy pokręcili głowami, ale ich krzywe uśmieški zdradzały, że nie mają nic przeciwko obrazowi przywołanemu przez Gunnara. Adam westchnął. To widocznie jakiś przepis, że zawsze musi być ktoś taki jak Gunnar.

– Ale mówisz, Ruben, że już są mniejsze, tak? – ciągnął Gunnar. – Jaka szkoda. Niektóre to nie umieją się cieszyć tym, co mają. Może miałyby jednak ochotę na trochę norrlandzkiego surowca.

Tu mrugnął porozumiewawczo.

– Z takim kałdunem i tak nie miałbyś szans – odparował Ruben, klepiąc Gunnara po brzuchu. – Ale mundur się zawsze przydaje. Wierz mi, wiem coś na ten temat.

Ruben odczekał, aż wszyscy w busie domyślą się, o co mu chodzi. Adam nie wierzył ani przez moment, że Ruben znalazł się choćby obok Lenore, ale Gunnar zarechotał głośno i walnął go w plecy.

– Powiniennem się domyślić – powiedział, zaśmiewając się. – Obskakujesz wszystko, co się rusza.

Adam przez sekundę nawiązał kontakt wzrokowy z Rubenem i zdziwił się, bo w jego oczach dostrzegł coś jakby mękę. Sytuacja nie pozwalała jednak na rozmowy, mieli zadanie do wykonania, a czas uciekał.

– Skupcie się – odezwał się Adam. – Musimy się skoncentrować na tym, po co przyjechaliśmy. Nie ma pewności, że Lenore przetrzymuje Ossiana ani czy na miejscu nie ma jeszcze kogoś. Powinniśmy się rozeznac w sytuacji, zanim zaczniemy działać. Nie stać nas na ryzyko, dlatego mamy pełną obsadę, na wypadek gdyby Ossian tam był. Ale nie wolno jej wystraszyć, skłaniając do ucieczki. Trudno będzie to wyważyć. Do tej pory dowodziła Julia, ale nie może być na miejscu, bo sprawdza inne tropy. A więc ja obejmuję komendę.

Gunnar mruknął z niezadowoleniem, ale Adam zignorował to. Nie miał ochoty się zastanawiać, czy jest to niezadowolenie spowodowane jego kolorem skóry, czy tym, że nie śmiał się z uwag na temat biustu Lenore. A może tym, że ich dowódcą jest kobieta.

– Julia zadbała, żeby po drugiej stronie ulicy już byli funkcjonariusze po cywilnemu – powiedział. – Według administratora budynku można dostać się do środka i wydostać stamtąd jedynie bramą od frontu. Są wprawdzie drzwi na podwórze, ale otaczają je domy i nie ma wyjścia na ulicę. Ale tak na wszelki wypadek mamy i na nie oko.

– To jaki jest plan? – spytał Gunnar. – Szturmujemy?

– Nie, wchodzę tam porozmawiać z nią.

– Porozmawiać z nią? – powtórzył Ruben. – Chcesz negocjować w sprawie Ossiana? Wiem, mówiłeś, że następnym razem ty będziesz robić za dobrego gline, ale to chyba nieodpowiednia okazja.

Adam wbił wzrok w Rubena. Nie potrzebował mierzyć się z nim na poziom testosteronu, ani teraz, ani później.

– Nie negocjuję z takimi osobami jak Lenore – odparł krótko. – Ale potrafię udać kogoś innego i oszukać ją, żeby opuściła gardę. Pozwoli mi to ocenić sytuację. Bo gdybyśmy się pomylili co do mieszkania, nie powinniśmy się zdradzać przed prawdziwymi sprawcami, jeśli ci są gdzieś obok. Wiesz, że na tym polega moja robota? Że zajmuję się tym na co dzień jako negocjator i jestem do tego przygotowany? Ale może uważasz, że potrafisz zrobić to lepiej, i chcesz sam spróbować?

W oczach Rubena pojawił się błysk, puściły napięte mięśnie twarzy. Adam świadomie go sprowokował. Domyślił się, że właśnie taki język trafi do Rubena, i chyba rzeczywiście tak było.

– Scena jest twoja – odparł.

Adam skinął głową, następnie włożył koszulkę z napisem „Zarząd nieruchomości TryggBo”, wziął czarny skoroszyt i długopis, po czym wysiadł na ulicę. Szybkim krokiem obszedł kwartał. Przed bramą Lenore czekał na niego administrator domu. Tajniacy po drugiej stronie ulicy dali znak, że wszystko w porządku, a wtedy przytruchtał oddział w pełnym rynsztunku. Im krócej był



widziany na ulicy, tym lepiej. Funkcjonariusze weszli do bramy, a potem w milczeniu rozproszyli się na dole schodów. Adam wszedł na piętro i od razu znalazł drzwi mieszkania Lenore.

Zamknął oczy.

Poczuł przyływ adrenaliny. Niewielka dawka była wręcz pożądana, ale za wysoka mogłaby przeszkadzać. Odetchnął głęboko przez nos i wypuścił powietrze ustami, jednocześnie udając, że sprawdza coś w teczce, na wypadek gdyby go ktoś obserwował przez wizjer w drzwiach.

Jeszcze raz.

Wdech przez nos, wydech ustami.

Potem nacisnął dzwonek.

Lenore otworzyła po siedmiu sekundach. Dość szybko, ale nie na tyle, żeby nie zdążyć czegoś ukryć. Albo kogoś. Od razu ją rozpoznał na podstawie zdjęcia z Facebooka. Była boso, w szortach i koszulce, czyli raczej nie ubrała się jak do szybkiej ucieczki. Nie przygotowała się na przyjście policji.

Adam odpalił uśmiech zdolny roztopić górę lodową.

– Dzień dobry – odezwał się przyjaźnie. – Jestem z administracji. Jak pani pewnie wie, sprawdzamy ten przeciek na trzecim piętrze.

Nie spieszył się zaglądać do znajdującego się za nią mieszkania, bo mógłby się wtedy zdradzić. Zamiast tego patrzył jej w oczy i uśmiechał się, czekając, aż złapie się na haczyk. Celowo powiedział „jak pani pewnie wie”, żeby odruchowo zaczęła się zastanawiać, o co mu chodzi.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odparła Lenore, marszcząc czoło.

Namyślała się, błędząc wzrokiem. Właśnie na to czekał. Utrzymał spojrzenie na wysokości jej oczu, ale przesunął je o centymetr w bok, żeby zobaczyć, co jest za nią. Najpierw długi przedpokój, potem kuchnia. Właściwie widział tylko fragment, ale zauważył maszynkę do tostów marki Smeg i zabudowaną chłodziarkę do wina. Nic, co by jakoś nie pasowało, czego nie powinno tu być albo wydawało się dziwne.

Opuścił wzrok, udając, że spogląda w swoje papiery. W rzeczywistości patrzył na podłogę, czy nie ma tam dziecinnych bucików. Zobaczył stojące obok siebie trzy pary szpilek marki Jimmy Choo. Ale nic, co by pasowało na dziecko. Znow podniósł wzrok. Na wieszaku wisiały jakieś płaszcze i kurtki. Lustro, które należałoby umyć. Ale to było wszystko.

Zajęło mu to maksymalnie trzy sekundy.

Na razie nie dostrzegł oznak, by w mieszkaniu znajdowało się dziecko. Należałoby wejść do środka.

– Hmm, powinna pani dostać maila w tej sprawie – powiedział. – Zresztą nieważne. W mieszkaniu na trzecim piętrze doszło dwa dni temu do zalania,

ustalamy teraz ewentualne szkody powstałe w pozostałych częściach budynku. Na podstawie tych ustaleń będzie pani mogła dokonać zgłoszenia do firmy ubezpieczeniowej. Czy mógłbym wejść i spojrzeć na łazienkę?

– N-nie bardzo... w tym momencie – powiedziała, oglądając się szybko za siebie. – Ja... właśnie wychodzę.

Cholera. Nie dowierza mu. Chyba że chce coś ukryć. Jakoś nie wyobrażał sobie, by zamierzała wyjść boso. Pytanie, co w takim razie ukrywa. Tak czy inaczej, w tym momencie się tego nie dowie. Powinien się wycofać, zostawiając jej jak najwięcej przestrzeni i nie podsycać podejrzania, które pojawiło się w jej oczach.

– Nie ma problemu – odparł z uśmiechem, wsuwając długopis do kieszeni. – Sprawdzamy budynek dziś i jutro. Jeszcze mnie pani zobaczy, będę się tu kręcił. Wystarczy dać znać, że już można. A na razie proszę zerknąć do łazienki, jak pani będzie miała czas. Do widzenia.

Skinął dłonią i zrobił krok w tył, zanim zdążyła odpowiedzieć. Ostatnią rzeczą, jaką widział, gdy zamykała drzwi, było brudne lustro w przedpokoju. Z niedużymi tłustymi śladami. Podłużnymi. Drzwi się zamknęły.

Podłużne ślady.

Pięć, jeden obok drugiego.

Na wysokości około metra.

Coś jakby.

Ślady dziecięcych paluszków.

Trochę za mało.

A jeśli?

Jeśli.

Zbiegł po dwa stopnie i znalazłszy się na dole, dał sygnał do interwencji.

**TELEFON WYDAŁ SYGNAŁ**, pięć nowych esemesów od Torkela. Julia zaczynała już igrać z myślą, by zablokować jego numer. A przecież tak nie można. Nie można zablokować numeru własnego męża. Ojca swego dziecka.

Chyba że?

Fakt, że przeszkadzał jej w pracy. Wytrącała ją z równowagi kolejna zmiana cyfry w czerwonym kółeczku po nadejściu następnego esemesa. Zastanawiała się, o co może chodzić tym razem, może to rzeczywiście coś ważnego. A nigdy nie było. Denerwujące pytania zabierały czas i odwracały niezbędną uwagę. Szczególnie że do końca jej dnia roboczego było jeszcze daleko. Być może rozwiązaniem byłoby załatwienie sobie telefonu z nowym numerem, który miałby tylko Torkel. Telefonu, który potem włożyłaby na samo dno torebki.

Przeglądała ustawienia aparatu, sprawdzając, jak się blokuje numer – z czystej ciekawości, nic innego – gdy zadzwonił telefon. Adam.

Odebrała i uważnie posłuchała. Zadała pytanie, rozłączyła się i szybko przeszła do otwartej przestrzeni biurowej, gdzie siedzieli obok siebie Mina, Peder i Christer, sprawdzając ostatnie zgłoszenia. Zrobiło się za gorąco, żeby dało się wysiedzieć w ich pokojach. Choć tutaj powietrze nie było wiele lepsze. Christer zaopatrzył ich przynajmniej w wiatraczki na baterie. Nawet Mina, chociaż się krzywiła, trzymała jeden, ale nie przed twarzą.

– Jak wam idzie? – spytała Julia.

– Nie za dobrze – odparła Mina, sięgając po wilgotną chusteczkę, którą przetarła myszkę komputera. – Do tej pory zgłoszenia prowadziły jedynie do rodzin z małymi dziećmi mieszkających w domach o cienkich ścianach. To znaczy w przypadku, gdy cokolwiek wnosili. A co u ciebie i grupy z oddziału prewencji?

Mina rzuciła serwetkę do kosza, gdzie wylądowała na kupce takich samych.

– Adam właśnie dzwonił – powiedziała Julia. – Pod adresem Danderydsgatan dziesięć znaleźli pięcioletnie dziecko. U Lenore Silver. Wszystko wskazuje, że dziecko było tam przetrzymywane. Wydaje mi się, że przecucie Rubena zasługuje na swego rodzaju medal.

Mina, Peder i Christer zastygli, gapiąc się na nią.

– Dzięki Bogu, że jest po wszystkim – powiedział Peder z miną, jakby był bliski płaczu z poczucia ulgi. – Mamy go. Znow będę mógł spać po nocach.

Julia pokręciła przecząco głową.

– Chodzi o to – dodała – że to nie Ossian. Znaleźli tam dziewczynkę.

– **TAK WCZEŚNIE W DOMU**, przecież dopiero czwarta? – powiedziała Anette. – Czyżby ten elegancki pan liczył na miły piąteczek ze swoją lepszą połową?

– Chciałbym – odpowiedział Peder – ale wpadłem tylko na chwilę i już zawracam.

Objął mocno Anette, wciągając nozdrzami jej zapach, który był mieszaniną ulubionych perfum Chloé i... świeżych wypieków? Drgnął, widząc w kuchni ślady po pieczeniu muffinek.

– Jak to możliwe, że już zdążyłyście upiec? – spytał. – Chyba wróciłyście do domu dopiero co?

– Nie sposób było je powstrzymać – powiedziała Anette. – Mają w przedszkolu nową panią, która ma ponadnaturalne zdolności do pieczenia, więc nie pozostało nic innego, jak w drodze do domu kupić posypkę.

– Jesteś po prostu superkobietą. – Peder pokręcił głową. – Będę musiał uciąć sobie rozmówkę z tą panią na temat zawyżonych standardów. Gdzie dziewczyny?

– Parkują przed telewizorem i oglądają *Klub Winx*.

– Nowe odcinki?

– Nie, te same co zwykle, ale nie mów im tego. Strasznie się boją, że Bloom znów popadła w kłopoty.

– Podpaliła coś?

Anette zmrużyła oczy, patrząc na niego.

– Nie jestem pewna, czy to, że tak się znasz na animowanych bajkach i wrózkach, jest bardziej seksowne, czy niepokojące.

– Pracuję nad tym, żeby było dwa w jednym. – Peder uśmiechnął się, idąc do salonu. – Ogromnie seksowne!

Starął się podtrzymywać żartobliwy ton rozmowy, ale zdawał sobie sprawę, że nie brzmi zbyt przekonująco.

Ostrożnie przeszedł przez pole minowe w postaci porzucanych zabawek. Gryzło go sumienie. Takie dni jak ten, gdy prawie mieszkał w pracy, były trudne dla Anette. Musiała ogarnąć dom i trójkę dwuipółlatek, a jednocześnie pracę nauczycielki w szkole średniej. Obiecał sobie, że da jej pospać przez cały weekend.

– Tata! – wykrzyknęły chórem trojaczki, zrywając się z podłogi. Sam w sobie niezły sukces Pedera, że były w stanie oderwać się od magicznych mozołów wróżki Bloom.

Trzy pary rączek objęły go mocno za szyję, a Peder łykał ślinę, żeby się nie rozpląkać. Ich ciepłe ciała przypomniały mu, dlaczego musi pracować z dala od nich. Czy Ossian też był taki cieplutki, kiedy ścisnął swoich rodziców? Pewnie tak.

– Muszę zaraz jechać – powiedział, obejmując je. – Chciałem tylko wpaść, uściskać moje księżniczki.

– Tato! Nie jesteśmy księżniczkami, tylko wróżkami! Jak w *Winx!*

– Przepraszam, tata zapomniał. No pewnie, że wróżki. Ale tak się składa, że ja... zjadam wróżki!

Wrzasnął głośno, kłapiąc zębami, a trojaczki rozdarły się z zachwytem. W tym momencie animowanym postaciom bajki przydarzyło się coś jeszcze bardziej dramatycznego, więc dziewczynki rzuciły się z powrotem na podłogę ze wzrokiem przykutym do ekranu.

Peder poprzyglądał im się przez chwilę i wrócił do Anette w kuchni. Miał tylko wziąć prysznic i się przebrać, a potem zaraz wracać, ale potrzebował chwili oddechu. Choćby malutkiej. Mimo chaosu, jaki najczęściej panował w ich domu, zawsze potrafił zaczerpnąć od Anette i dzieci nową energię. Była mu absolutnie niezbędna, żeby radzić sobie z okropieństwami, z którymi czasem stykał się w pracy.

– Jak wam idzie?

Anette patrzyła na niego spod grzywki, jednocześnie doprowadzając do porządku kuchnię. Niełatwe zadanie. Peder zawahał się, ale potem opowiedział o znalezionej po południu dziewczynce. Dzielenie się tym, co działo się w pracy, było oczywiście sprzeczne z zasadami obowiązującymi w policji, ale nie poradziłby sobie, gdyby nie mógł o tym porozmawiać z żoną. Była jego wentylem. Czasem się nawet zastanawiał, czy to w porządku, że wciąga ją w te mroczne historie. Jednak Anette nie narzekała, a jemu było to bardzo potrzebne.

– Czyli dalej nie wiecie, gdzie jest ten chłopczyk? – spytała, wstawiając wszystkie brudne miski do zlewu wypełnionego wodą i płynem do zmywania. – A może chcesz jedną?

Pokazała palcem stertę muffinek, udekorowanych wesoło we wszystkich kolorach tęczy.

– Nie, dziękuję, zjem coś w pracy – powiedział, sięgając po ścierkę, chcąc jej pomóc sprzątać.

– Zostaw, ja to zrobię.

Wyjęła mu ścierkę z rąk, a Peder nie sprzeciwił się. Skrzyżował ręce na piersi i oparł się o zlew.

– Odpowiadając na twoje pytanie, nie, nie odnaleźliśmy go. A czas się kończy. Jeśli już się nie skończył.

– Robicie ile się da. Nie można wymagać więcej.

Anette zdecydowanymi ruchami ścierała z wyspy kuchennej resztki surowego ciasta, polewy i posypki.

– Ale czy na pewno robimy ile się da? Nie jestem pewien – odparł. – Wydaje się, że żadne z nas nie ma pojęcia, jak ani gdzie szukać. Jedyne trop, jaki mieliśmy, okazał się nie tym, co myśleliśmy. Błądzimy po omacku, a jutro o tej porze może się okazać, że wcale nie tam, gdzie trzeba.

– Robicie ile się da – powtórzyła Anette. – I, jak powiedziałaś, znaleźliście dziecko.

Wypłukała ścierkę, powiesiła na kranie, wytarła ręce w ręcznik i objęła go.

– Nie wracaj zbyt późno, kochanie – powiedziała, wtulając twarz w jego szyję.

– Oferta piąteczku upływa o północy.

Rozkichała się. Podniosła wzrok i spojrzała mu surowo w oczy.

– A jak już będzie po wszystkim, to porozmawiamy sobie o tej brodzie.

– **ALE CZADOWE MIEJSCE!** – Nathalie zrobiła wielkie oczy i rozejrzała się. – I ty tu mieszkasz?

Weszły do głównego budynku i gdziekolwiek spojrzęła, widziała szkło, szkło i jeszcze raz szkło.

– Tak. Mieszkam tutaj.

– Tu jest megafajnie. A ptaki nie wpadają na te szklane ściany?

Babcia uśmiechnęła się lekko.

– Faktycznie, zdarza się. Jednak niezbyt często.

Nathalie kiwnęła głową, w której aż się kręciło od tego wszystkiego, co się wydarzyło w ciągu zaledwie paru godzin. Poznała swoją babcie. Znalazła się w tym miejscu, w samym środku jakiegoś pustkowia. Uwolniła się ze swoich kajdan – przynajmniej na chwilę.

– Chcesz, żebym cię oprowadziła? – Babcia spojrzęła na nią pytająco.

Przytaknęła gorliwie. Tak tu było cicho, tak spokojnie. Widzięła wprawdzie wiele osób, czyli już wiedzięła, że nie jest tu pusto, ale nie towarzyszyły im żadne odgłosy. Jakby wszyscy nauczyli się nie robić hałasu. Do tej pory nikt się do niej nie odezwał. Same skinienia głowami i szerokie uśmiechy. Jakby byli najbardziej zadowolonymi ludźmi na świecie.

– Co wy tutaj robicie?

Babcia szła przed nią. Plecak Nathalie ciążył jej coraz bardziej, więc postawięła go pod jakąś ścianę. Miejsce nie wyględało na takie, gdzie ktokolwiek mógłby coś ukraść.

– Uczymy liderowania. Głównie. Nova, czyli nasza dyrektorka i właścicielka, należy do czołowych ekspertek w tej dziedzinie, szkoli również kilka spośród najważniejszych osób na stanowiskach kierowniczych w Szwecji. I ileś zarządów, nawet nie potrafię powiedzieć ile. Oprócz tego prowadzimy szkolenia z zakresu rozwoju osobistego, redukcji stresu, przepracowania żałoby, nawet z odprogramowania byłych członków sekt. Nova jest jedną z nielicznych osób w Szwecji, które mają wiedzę w tej dziedzinie. Zwracają się do niej również z zagranicy.

Nathalie słuchała jej, robięąc wielkie oczy.

– Wow... Stres i sekty, no... cool! – Tylko to jej przyszło do głowy.

A potem się zawstydzila komentarza typowego dla nastolatki. Nie chciała, żeby babcia uważała ją za totalną kretynkę, ale rzeczywiście nie znajdowała słów dla

opisania tego, na co patrzy.

Budynek nie przypominał niczego, co dotąd widziała. Taki biały, czysty, taki... przezroczysty. Jego konstrukcja kontrastowała z otaczającą zielenią drzew, pastwisk i kwiatów.

– Dom został zbudowany w latach sześćdziesiątych – powiedziała babcia, jakby się domyślała, co zaprzęta jej myśli. – Przez dziadka Novy. Prowadził hotele w różnych częściach Szwecji, a to miejsce umyślił sobie na ośrodek konferencyjny. Po jego śmierci Nova odziedziczyła ten ośrodek i od tamtej pory postarała się odcisnąć własne piętno na budynku i działalności.

Nathalie zatrzymała się przed portretem mężczyzny z wielką brodą i o sympatycznym spojrzeniu.

– To on?

– Tak, to Baltazar Wennhagen.

Babcia stanęła obok i również spojrzała na portret.

– Nova była jego oczkiem w głowie. Jej ojciec również był jedynakiem, więc była jedyną wnuczką. To zresztą Baltazar zapoznał ją z epikureizmem, filozofią, która stała się podstawą dla całej działalności Novy.

– Epiku... co?

Nathalie usiłowała przywołać w pamięci swoje podręczniki szkolne i lekcje z kolejnych klas, ale słowo nie brzmiało znajomo. Nie przypominała sobie, żeby słyszała je kiedykolwiek wcześniej.

– Chodź, przejdziemy do ogrodu, napijemy się czegoś i przekąsimy, a ja ci opowiem.

Babcia chwyciła ją za rękę, w pierwszym odruchu Nathalie chciała ją wyrwać. Była nieprzyzwyczajona do tego, żeby ją dotykano. Wiedziała, że tata ją kocha, ale nie był z tych, co się ściskają. Albo trzymają za rękę. Nie wychowali jej w ten sposób. Nie pamiętała, jaka była mama, miała tylko pięć lat, kiedy mama umarła.

Ale... Teraz mogła wypytać babcię. Jaka była jej mama. Zatem zostawiła dłoń w dłoni babci i poszła z nią jasnym korytarzem, który otworzył się na duży ogród. Nie były w nim same, ale prawie nie wyczuwało się obecności innych osób. Była to wielka różnica w porównaniu z życiem w mieście. Ludzie wokół niej rozmawiali ściszym głosem, nie zagłuszając odgłosów przyrody. Słyszała szum wiatru w drzewach, świergot ptaków i brzęczenie pszczoł nad krzewem różanym, który rósł przy białej ścianie.

– Są świeże ciastka – powiedziała babcia. – Weź sobie. Pijesz kawę? Czy wolisz sok?

Skinęła głową w stronę stołu, na którym wystawiono to wszystko.

– Poproszę sok. I chętnie zjem kilka ciasteczek.



Babcia przyniosła sobie kawę, szklankę soku dla Nathalie i usiadła przy stoliku, skąd obserwowała dziewczynę, wybierając sobie ciasteczka. Gdy Nathalie również usiadła, babcia dała jej moment na spróbowanie ciasteczek, zanim zaczęła opowiadać.

– Dziadek Novy, Baltazar, studiował w młodości filozofię i ujął go szczególnie kierunek, o którym wspomniałam, mianowicie epikureizm. To starożytna filozofia, kładąca nacisk na pogodę ducha.

– Pogoda ducha – powtórzyła Nathalie, jakby smakowała te słowa.

Smakowały dorośle. Podobało jej się również, że babcia rozmawia z nią w taki sposób. Jak z dorosłą. Chociaż temat wydawał się dość nudny.

– Epikureizm mówi, że osiągamy *ataraksję*, czyli równowagę i spokój ducha, eliminując strach przed śmiercią. Innym ważnym celem jest *aponia*, ostateczny brak cierpienia.

Nathalie wypła łyk soku. Był to pyszny słodki sok truskawkowy, smakował jak domowy.

– Epikureizm opiera się na czterech kamieniach węgielnych – ciągnęła babcia.

– Można je postrzegać jako zasady, których człowiek powinien się trzymać, aby osiągnąć to, co uważamy za cel życia. A jest nim osiągnięcie spokoju ducha i szczęścia. Na to zaś najlepszym sposobem jest unikanie tego, co budzi niepokój, jak choćby polityka. Sposobem jest również spokojne życie wśród przyjaciół. Tak jak my żyjemy tutaj. Należy też szukać tego, co sprawia przyjemność, nie krótkie zaspokojenie, lecz taką, która prowadzi do szczęścia. Czwartym kamieniem węgielnym epikureizmu jest coś jednocześnie najprostszego i najtrudniejszego. To nieobecność cierpienia jako najwyższe dobro.

– Nieobecność cierpienia... – powtórzyła Nathalie. – A twoja gumka na przegubie? Przecież to boli.

Babcia przytaknęła, następnie pociągnęła za gumkę i puściła ją, czemu towarzyszył ten sam odgłos smagnięcia co poprzednim razem. Wzdrygnęła się, ale Nathalie dojrzała w jej kącikach ust coś jakby uśmiech.

– Masz rację – przyznała babcia. – To boli, ale tylko przez sekundę. Czasem musimy się wystawić na coś, żeby móc tego potem unikać. Ból spełnia również ważną funkcję w życiu. Zresztą byłoby zarozumiałością z mojej strony, gdybym wierzyła, że już osiągnęłam najwyższe dobro.

Nathalie kiwnęła głową. Nie zrozumiała połowy z tego, co powiedziała babcia. Mimo to nie chciała, aby ta wspólna chwila miała się zaraz skończyć. Babcia była taka piękna, a jej głos taki ciepły. Ogród trzymał je w objęciach zapachów i odgłosów. Słodycz ciasteczek na języku była taka gładka. Wszyscy uśmiechali się do niej przyjaźnie, otwarcie.

I nikt, absolutnie nikt jej nie pilnował.

Pomyślała, że jest tylko kwestią czasu, jak tata się tu jednak zjawi po nią, a więc zanim to nastąpi, zamierzała się cieszyć każdą sekundą.

– Babciu, czy mogłabym... zostać tutaj? – poprosiła żarliwie. – Tylko do jutra?

Babcia spojrzała na nią swymi niebieskimi oczami, w których była miłość. W promieniach słonecznych jej jasne włosy świeciły jak aureola. Kiwnęła głową.

– Zobaczą, co się da zrobić. Ale w takim razie będziesz musiała wieczorem pobyć sama przez chwilę, bo mamy z Novą występ w telewizji.

**MINA ZAUWAŻYŁA**, że Peder nie jest już taki pełen energii jak jeszcze niedawno. Był wyraźnie zmęczony, siedział przy stole konferencyjnym z głową w dłoniach, przypominając siebie z czasów po urodzeniu się trojaczków. Sięgnął teraz po puszkę Nocco i ją otworzył, czemu towarzyszył syk. Znała to zachowanie.

Ruben i Adam stali oparci o ścianę i również wyglądali na zmęczonych. Zeszła z nich adrenalina związana z akcją u Lenore Silver. Nie była to już ich sprawa, dochodzenie dotyczące znalezionej dziecka zostało przejęte przez inny zespół, podczas gdy grupa Julii skupiła się na dalszym poszukiwaniu Ossiana.

Na stole znajdowała się sterta kanapek zawiniętych w papier. Raczej kiepski zamiennik obiadokolacji, ale też nikt nie wydawał się szczególnie głodny.

Julia miała ciemne sińce pod oczami, ale Mina domyślała się, że powodem była nie tylko praca, sądząc po zaciętym grymasie na twarzy, kiedy ignorowała przychodzące wciąż esemesy, rozświetlające ekran jej telefonu. Julia wyłączyła dźwięk, ale nie wiadomości. Mina widziała, że wszystkie pochodziły od kogoś, zapisanego przez Julię jako „Jęczydusza”.

Tylko Christer nie wydawał się zmęczony, jadł kanapkę, ale wyglądał przy tym jak chmura gradowa. Leżący u jego nóg Bosse zerkał niespokojnie na swego pana.

– Podsumowując – odezwała się Julia – zacznę od tego, że świetnie pracowaliście w ciągu tych paru dni, goniąc za każdym podaniem piłki, w tym dodatkowo z interwencją, która poskutkowała odnalezieniem uprowadzonej dziewczynki.

– Wiadomo już, kim jest? – spytał Adam, prostując się trochę.

– Jeszcze nie – odpowiedział Peder, ziewając. – Sprawdzają wszystkie zgłoszenia z ostatnich dwóch miesięcy zarówno w Sztokholmie, jak i w całym kraju. Zwrócili się również do Interpolu, bo może została uprowadzona za granicą. Ustalenie, kim jest, to tylko kwestia czasu. Lenore się nie wymiga.

– Co za draństwo – mruknął Christer, wycierając usta. – Żeby napastować dzieci. Szlag mnie trafia.

Bosse szczerknął, jakby okazując, że się zgadza ze swoim panem.

– Bystry jesteś, Ruben, że rozpoznałeś tę Lenore – powiedziała Julia.

Ruben wydawał się gotów odpalić uśmiech z kategorii „nie dla dzieci”, ale chyba się rozmyślił. Widocznie również dla niego dzień okazał się wyczerpujący.

– Niestety, nie jesteśmy ani trochę bliżsi zlokalizowania Ossiana – ciągnęła Julia – a porywaczka rozplynęła się jak we mgle.

– To jest po prostu niemożliwe – odezwał się Peder, odstawiając na stół pustą puszkę po napoju. Mówił teraz znacznie szybciej. – Jutro sobota. Czyli upłyną trzy dni od uprowadzenia. Jeśli jest tak jak w sprawie Lilly...

Nie musiał kończyć. Wszyscy wiedzieli, co ma na myśli. Jeśli jest tak jak w sprawie Lilly, to jutro mogą znaleźć ciało Ossiana, chyba że coś zrobią. Pytanie – co. Mina sięgnęła po alkohol i przemyła ręce. Nie żeby potrzebowała, bo dopiero co je umyła, ale musiała coś zrobić. Cokolwiek.

– Jak już mówiłam – odezwała się Julia – nic nie wskazuje na związek między tymi sprawami. Najprawdopodobniej mamy do czynienia z dwoma różnymi porwaczami. Teoretycznie istnieje jednak możliwość, że ktoś naśladuje sprawę Lilly z zeszłego lata. Niczego nie możemy wykluczać. A więc zgadzam się z tobą, Peder, sytuacja jest nie do przyjęcia, tylko nie wiem, co moglibyśmy jeszcze zrobić.

Mina zastanawiała się, jak wiele razy w ciągu ostatniego roku, czy byłoby inaczej, gdyby był z nimi Vincent. Czy mógłby im pomóc. Pewnie nie. Nie mieli niczego, na czym można by oprzeć profil psychologiczny sprawcy albo odkryć jakieś związki z iluzjami czy ukrytymi skomplikowanymi wzorcami. Mieli tylko uprowadzenie dziecka, którego jeszcze nie udało się uratować.

– Musimy liczyć na społeczeństwo, na to, że ktoś coś zauważył – powiedziała, kończąc, Julia. – Zwykle tak jest. Natomiast dziś każde z was zrobiło już co się da. Tu w tym gmachu są również inni i oni pociągną sprawdzanie zgłoszeń, które przyjdą wieczorem albo w nocy. Nie jest ich tyle co na początku, ale wszystkie weryfikujemy. Sara z nimi współpracuje, pozostając w stałym kontakcie ze mną. Idźcie do domu i spróbujcie się przespać.

– Ciekawe, jak miałbym spać? – mruknął Christer. – Ja z Bossem jeszcze tu posiedzimy.

– Ja też – powiedział Peder. – Pomogę Sarze.

Julia z rezygnacją rozłożyła ręce. Nie było śladu jej zwykłej energii. Przypominała raczej balon, z którego powoli uchodzi powietrze. Na wyświetlaczu jej telefonu błysnął kolejny esemes.

– To aż nie do... – powiedziała, patrząc gniewnie na telefon. – No dobrze, róbcie, jak chcecie. Nie będę was zmuszać. Kto wie, może ja też jeszcze posiedzę. Peder, weź do pomocy Sarę i sprawdźcie wszystkie osoby, z którymi kontaktowała się Lenore Silver. Może nam się poszczęści. Taka z niej bizneswoman, to może jednak jest zamieszana. Adam, ty znasz najlepiej sprawę Lilly, sprawdź wszystkie związane z nią szczegóły, może znajdziesz więcej podobieństw do uprowadzenia Ossiana. Wszelkie wnioski mają trafiać natychmiast na moje biurko. Mina i Ruben, przejrzyjcie jeszcze raz zapisy z przesłuchań rodziców Ossiana i personelu przedszkola. Najmniejsza rzecz może

okazać się jakimś tropem. Christer, sprawdź, czy któryś ze znanych nam przestępców seksualnych w ostatnich dniach nagle zmienił swoje zachowanie. Wiem, że już sprawdzałeś, ale zrób to jeszcze raz. Jutro rano macie być zwarci i gotowi, mieć oczy i uszy otwarte. W razie potrzeby Peder rozda puszki z napojem energetycznym. Bo nie mamy nawet najmniejszego wyobrażenia o tym, co się zdarzy jutro.

**TELEWIZYJNY EKRAŃ** ukazywał prowadzącą program Tilde de Paula Eby. Wypytywała osobę, która najwyraźniej była znana. Vincent nie miał pojęcia, kto to. Sam był osobą publiczną, ale nie miał żadnego rozeznania, jeśli chodzi o inne znane postaci. Było to aż zawstydzające i stawało się powodem niezręcznych sytuacji, gdy na jakiejś imprezie był przedstawiany ludziom, o których powinien coś wiedzieć, a w rzeczywistości ludzie ci byli mu kompletnie nieznani.

Po szczególnie żenującym incydencie, gdy pomylił Kaję Bergqvist<sup>7</sup> ze scenografką, z którą kiedyś pracował, obiecał żonie, że będzie czytywał prasę plotkarską, aby nauczyć się, kto jest kim. Nie szło mu to za dobrze. Nie w tym rzecz, żeby nie ciekawili go inni, ale nie potrafił wzbudzić w sobie zainteresowania dla wszelkiego celebryctwa.

Widział zwiastun programu i odnotował, że miała w nim wziąć udział znana wykładowczyni. Nie mógł go oglądać na żywo, bo sam stał wtedy na scenie, ale włączył TV4 Play niemal zaraz po przyjściu do domu. Miał nadzieję, że rozpozna przynajmniej koleżankę wykładowczynię – postać ponadprzeciętnie znaną. Wystarczyło wymówić samo imię, żeby bardzo wiele osób w Szwecji od razu wiedziało, o kim mowa.

Tilde de Paula Eby uśmiechnęła się do kamery.

– Następnej gościni na mojej kanapie pewnie nie muszę przedstawiać – powiedziała, jakby nawiązując do myśli Vincenta. – A przynajmniej tym, którzy mają konta w mediach społecznościowych. Albo w ostatnich latach choćby otworzyli jakąś gazetę. Nova – witam cię serdecznie! Witam również Ines Johansson!

Na kanapie w studio siedziały dwie kobiety. Jedna, Nova, miała ciemnobrązowe włosy i twarz, którą media lubiły określać jako egzotyczną. Co właściwie znaczyło tyle, że oprócz tego, że była piękna, mogła pochodzić skądkolwiek na świecie. Miała około czterdziestki, podczas gdy siedząca obok Ines wyglądała na co najmniej dwadzieścia lat starszą.

Ines była kobietą elegancką, o siwoblond włosach upiętych w ładny kok i niemal przezroczystej cerze. Vincentowi zdarzyło się wielokrotnie wpadać na Novę w związku z wykładami, zawsze miała do powiedzenia coś interesującego. Jednak na widok Ines aż go zatkało. Poza tym, że była świetlista jak postać z bajki, to wyglądała zupełnie jak Mina. Te same rysy i oczy. Tylko w starszej wersji. No i miała jasne włosy.

Chyba że to urojenie.

Przyjrzał jej się lepiej, ale w momencie, gdy poprawiła włosy, podobieństwo zniknęło. Zawstydził się i pokręcił głową. Całe szczęście, że siedząca obok niego Maria była zajęta swoim telefonem i nie widziała, że się zaczerwienił. Widocznie jego pragnienie ujżenia Miny podczas wczorajszej konferencji prasowej było silniejsze, niż był gotów przyznać przed sobą. Na tyle silne, że jego mózg pokazywał mu Minę, choćby była to twarz znacznie starszej kobiety. O niewłaściwym kolorze włosów. Normalny mózg zrobiłby zapewne coś przeciwnego po tych prawie dwóch latach i postarał się o osłabienie skojarzeń z policjantką, zamiast je wzmocnić. Vincent westchnął. Dwadzieścia miesięcy to trochę długi czas na to, żeby wciąż tkwiła w jego płatach czołowych.

– Zacznijmy od ciebie, Nova – powiedziała Tilde, zwracając się do ciemnowłosej kobiety. – Jesteś prawdziwym fenomenem na Instagramie i w innych mediach społecznościowych, gdzie w znakomicie zrealizowanych filmach dzielisz się wartościowymi przemyśleniami i wypowiedziami, jak dobrze przeżyć życie. Jesteś często zapraszana prelegentką, można oglądać cię na zdjęciach w gazetach i w telewizji. W moich papierach czytam, że publikujesz od pięciu lat co tydzień jeden film. Razem to... wiele filmów. Ale masz również przeszło milion obserwujących. Zdaje się, że słuchają cię również za granicą, i to nie tylko na Zachodzie. Trzy procent spośród twoich obserwujących to mieszkańcy Brazylii.

– Milion? – Nova uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – Aż tylu? No, skoro tak mówisz.

Vincent nie znał jej bliżej, ale Nova była zawsze sympatyczna, w dodatku dobra w tym, co robi. Cenił jej prelekcje, w każdym razie te, których wysłuchał. Na pewno zasługiwała na zaproszenie do piątkowego programu w TV4. Miała tylko irytującą skłonność, żeby na powitanie ścisnąć człowieka, zamiast podać mu rękę. Nawet kiedy witała się z nieznanymi.

– Jednak przyszłaś do nas nie po to, żeby rozmawiać o swoim koncie na Instagramie, tylko o twojej książce *Episkt*<sup>8</sup> – powiedziała Tilde, trzymając książkę skierowaną do kamery. – Jak rozumiem, jest to następny krok w twojej podróży zapoczątkowanej przez wypadek samochodowy, w którym uczestniczyłaś jako bardzo młoda osoba?

Maria podniosła wzrok znad swojej komórki i skinęła głową, wskazując telewizor.

– Dosyc to mętne, nie?

Vincent już otwierał usta i zaraz zamknął, nie wiedząc, co miałby odpowiedzieć Marii z jej aniołkami, poradnikami i kursami, która filozofię życiową Novy określa jako mętą.

A Maria wzruszyła ramionami i zajęła się znów swoim telefonem. Wydawało się, że teraz czyta jakiś artykuł na temat marketingu partyzanckiego. Przesłał go oczywiście Kevin. Vincent nie był pewien, czy to najlepsza taktyka sprzedażowa dla ceramicznych figurek Marii, ale nie zamierzał się wtrącać. Niczego nie życzył sobie tak mocno jak tego, by żonie udał się jej biznes. Tylko nie miał pewności, czy aby wybrała właściwy kierunek. Zobaczył, że na wyświetlaczu jej telefonu pojawił się esemes, uaktualniona nazwa nadawcy brzmiała „Guru-Kevin”. Po twarzy Marii przemknął uśmiech. Vincent skierował ponownie uwagę na program telewizyjny. Nieprzyjemne wrażenie sięgnęło aż do trzewi, ale zmusił się, żeby nie pozwolić myślom powędrować do miejsca, gdzie go uwierało, tylko skupił się na programie w telewizji.

– I jak rozumiem, nadal zmagasz się z przewlekłym bólem w nogach po tym wypadku? – ciągnęła Tilde de Paula Eby. – Wypadku, przez który nie tylko poniosłaś trwałe uszczerbek na zdrowiu, lecz także zostałam sierotą.

Vincent przypomniał sobie tytuły w gazetach, mimo że było to dawno temu. Ojciec Novy, John, jeśli dobrze pamiętał, miał wielkie gospodarstwo, w którym pewnego dnia wybuchł pożar. Zginęły w nim wszystkie zwierzęta. Uciekając autem przed ogniem, ojciec Novy wypadł z drogi i zginął. Nova przeżyła, ale jej operacja się nie powiodła, skazując ją na łykanie silnych tabletek przeciwbólowych do końca życia. Media wielokrotnie powtarzały tę historię.

– Widzisz, Tilde, wydaje mi się, że wszyscy zmagamy się z jakimś przewlekłym bólem – odparła poważnie Nova. – Jak nie bólem ciała, to duszy. Ale, jak mawiał mój tata, wszystko jest cierpieniem, a ból oczyszcza. Może to wyglądać na paradoks, ale przykre przeżycia czasem przynoszą jakąś korzyść. W tym sensie, żeby uniknąć ich na przyszłość. I właśnie o tym jest moja książka. Ale to nie tylko książka, to pewna filozofia i styl życia, który mógłby pasować wielu osobom. Zaczerpnęłam z niej większość tego, o czym piszę w mediach społecznościowych, a teraz, poprzez tę książkę, chcę wszystkim umożliwić włączenie epikureizmu do ich życia.

– À propos bólu, jak ci się udaje uniknąć rozżalenia na lekarzy, którym nie powiodła się twoja operacja po wypadku?

– *Hamiltonian paths*, Ścieżka Hamiltona – odparła Nova i uśmiechnęła się, jednak tym razem miała smutek w oczach. – To pojęcie matematyczne – wyjaśniła zdezorientowanej Tilde. – Odnosi się do takiego sposobu poruszania się między wierzchołkami figury geometrycznej, żeby w każdym z tych punktów znaleźć się tylko raz. Ja próbuję żyć właśnie w ten sposób. Zawsze gdy zaczynamy wałkować jakiś problem, wracamy do punktu, w którym już byliśmy. Całkiem niepotrzebnie. Jeśli stoimy przed wyborem, czy powtórnie przeżywać przeszłość, czy starać się o nowe przeżycia, to zdrowiej jest wybrać to drugie.



Tilde skinęła potakująco głową, ale zmarszczyła lekko czoło, jakby uważała, że nie jest to tak jednoznaczne, jak przedstawia Nova. Nie zadała kolejnego pytania, które by pociągnęło tę myśl, z czego Vincent wywnioskował, że czas programu się kończy. A do tej pory do głosu doszła tylko Nova.

– Pora włączyć do rozmowy również ciebie, Ines – powiedziała Tilde, zwracając się do jasnowłosej kobiety. – Jeśli dobrze rozumiem, założyłyście razem pewną organizację, tak?

– Właśnie – odparła Ines niskim, dźwięcznym głosem. – Najpierw uczyłam się u Novy, a teraz współpracujemy. Oferujemy indywidualnie dostosowane szkolenia w dziedzinie liderowania i zarządzania zgodne z zasadami epikureizmu. Szkolimy ludzi z całego świata. A treść tych szkoleń można odnosić do całego życia, nie tylko do firm.

– Ale mętne – odezwała się znów Maria, nie odrywając się od telefonu. – Cholernie mętne.

Vincent częściowo przyznawał jej rację. Postrzegał ten uznany kierunek filozoficzny jako bardzo rozsądny. Jednak rzecz nie w samej filozofii, ale w tym, jak się ją przyjmuje i interpretuje. Bywał prelegentem na tyłu szkoleniach z rozwoju osobistego, że wiedział, iż panujący tam sztucznie podkreśniany nastrój potrafi przechodzić w niemal religijną żarliwość i absolutne przekonanie, że od tej pory uczestnicy zmieniają swoje życie na dobre. Wiedział również, że to przekonanie zazwyczaj zniknęło kwadrans po zakończeniu kursu.

Co stwierdziwszy, uważał jednak, że epikureizm jest znacznie mądrzejszy od wielu metod i filozofii kleconych domowym sposobem, które współcześni guru od samopomocy za duże pieniądze oferują spragnionym prawdy. Vincent uważał nawet, że epikureizm prawie dorównuje stoicyzmowi. Ludzie wyrzucają pieniądze na rzeczy dużo bardziej miałkie niż książka albo szkolenie Novy, która się na tym zna i podchodzi do tego poważnie, co w jej branży wcale nie jest takie oczywiste.

– I na tym dziękujemy Novie i Ines – powiedziała Tilde na koniec. – Novie, autorce książki *Episkt*, która ma się wkrótce ukazać, jak słyszę, w wielotysięcznym nakładzie w związku z ogromnym zainteresowaniem czytelników. Gratuluję z góry, by tak rzec!

Maria podniosła głowę i skierowała surowe spojrzenie na Vincenta.

– Widzisz! Książki da się sprzedać w większych nakładach, niż ci się wydaje. Gdybyś posłuchał mojej rady i napisał coś lżejszego, też byś odniósł sukces. Na przykład kryminał?

Vincent westchnął. Wymyślone dochodzenia policyjne znajdowały się dość nisko na liście interesujących go tematów. Wystarczały mu te prawdziwe.

**DZIŚ MA CAŁKIEM** dobry czas. Średnio sześć i pół minuty na jeden kilometr, a więc lepiej niż wczoraj. Upał zelżał odrobinę w ten sobotni poranek, a nad brzegiem, gdzie biegnie, pojawiła się nawet przyjemna bryza.

Jej czas jest i tak gorszy niż rok temu. Rozwód odbił się nie tylko na psychice, ale również na kondycji. Jeszcze jedna rzecz z listy tego wszystkiego, co jej odebrał.

Powinna być sprytna, a okazała się cholernie głupia.

Niby taka inteligentna, na co ma liczne dowody, świetne wykształcenie, wysokie stanowisko w jednym z największych szwedzkich banków, do tego jeszcze zna większość odpowiedzi, zanim padną w *Milionerach*. A jednak nie domyśliła się. Mimo że z instruktażu, jak poznać, że mąż zdradza, mogłaby odznaczać po kolei punkt po punkcie. Czerwone porsche – haczyk. Nagłe zainteresowanie ćwiczeniami fizycznymi – haczyk. Farbowanie włosów – haczyk. Praca po godzinach – haczyk. Zmiana stylu ubierania się – haczyk.

Haczyk, haczyk, haczyk.

Oczywiście wszystko to zauważyła. Aż tak głupia nie była. A jednak łączyła to raczej z kryzysem wieku średniego i obchodami jego pięćdziesiątki.

I do pewnego stopnia tak było. Nie wiedziała natomiast, że zakochał się w księżniczce, którą na jego pięćdziesiątkę przyprowadził szwedzki ambasador w Nigerii. Bo przecież miało być elegancko, jak to u Rolfa.

Teraz, kiedy jest już na etapie wstrząsów wtórnych, najbardziej dręczy ją, że była gotowa patrzeć przez palce na jego niewierność. Nawet po tym, jak dostała przeciek o nigeryjskiej księżniczce. Kiedy wielkodusznie była gotowa zapomnieć, wybaczyć i przejść nad tym do porządku, spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Ale to jest na poważnie – powiedział. – Na poważnie!

Jakby dwadzieścia lat, które spędzili ze sobą, było na niby, czymś w rodzaju poczekalni przed prawdziwą miłością.

Kobieta biegnie nabrzeżem Skeppsholmen, tam gdzie cumują łodzie. Zazwyczaj trzeba się przepychać między podążającymi za modą miejskimi joggerami, którzy odbywają poranną rundkę wokół zielonej wyspy. W miarę rozkręcania się sezonu urlopowego zastąpili ich nieliczni rodzice nastawieni na turystykę, którzy sami mając oczy zapadnięte z niewyspania, i tak za wcześnie wyciągnęli dzieciaki z łóżek. Upały też się przyczyniły do zredukowania liczby biegaczy.

Teraz biegnie po południowej części wyspy, mija mostek prowadzący na Kastellholmen i podążając za skręcającą linią brzegową, wraca w kierunku północnym.

Pozwala sobie przystanąć, dopiero gdy dociera do af Chapman, pięknego trzymasztowego żaglowca, pomnika historii, dziś służącego jako hostel. Zamierzała przebiec całą trasę bez zatrzymywania, ale musi się napić. Z lekkiego plecaczka, który zawsze ma przy sobie podczas joggingu, wyjmuje butelkę wody. Palce jej zeszywniały, a zakrętka trzyma mocno. Nie daje się odkręcić, chociaż kobieta wyęła wszystkie siły i unika wzroku przechodzącego mężczyzny, który patrzy pytająco. Nie będzie prosić o pomoc żadnego faceta, jeszcze czego. Przez moment już chce dać spokój, w końcu to tylko jedna z wielu drobnych przeciwności przynoszonych przez życie i układających się w coraz większą stertę. Prędzej czy później pojawi się coś małego i trywialnego, co przepełni czarę. Jak płatek miętowy w *Sensie życia według Monty Pythona*.

A jednak za bardzo jest spragniona, żeby odpuścić. W końcu udaje jej się pokonać zakrętkę i teraz już z satysfakcją pije wielkie łyki wody, patrząc na wielki biały żaglowiec. Czytała gdzieś, że został zbudowany pod koniec XIX wieku i miał trafić do Australii. Tymczasem znalazł się w Sztokholmie. Hostel, myśli, kręcąc głową. Rolf pewnie nie wie nawet, co to jest. Ona przynajmniej pojechała kiedyś Interraiłem do Berlina. Miała wtedy dziewiętnaście lat.

Słońce tworzy cienie pod trapem prowadzącym na statek od nabrzeża, ale wyglądają jakoś inaczej, nie tak, jak powinny. Kobieta osłania ręką oczy i mruży je. Chyba jej się zdaje. Na pewno. Jednak chyba coś zostało wciśnięte między nabrzeże a trap. Kobieta podchodzi i staje w taki sposób, by móc się przyjrzeć, osłaniając to miejsce przed słońcem.

Dziecinny bucik.

Najwyraźniej jakiś rodzic nie zauważył, jak go zrzuciła niezadowolona latorośl przypięta do spacerówki. Zawsze się wzdrygała na samą myśl i kłóciła się o to z Rolfem, kiedy ich dzieci były małe.

Kobieta nachyla się, żeby wyciągnąć bucik. Jeśli postawi go na nabrzeżu, rodzice będą mieli szansę go znaleźć. Bucik utkwiał, więc kobieta ciągnie mocniej i w końcu trzyma go w ręce.

Dopiero wtedy widzi stópkę i, głębiej pod trapem, nóżkę.

**VINCENT SZEDŁ** kamienną alejką wijącą się przez ogród pamięci, zmierzał na cmentarz. Wybrał się wczesnym rankiem, kiedy rodzina jeszcze spała. Nie było sensu zrywać ich w weekend, zresztą dzieci miały wakacje.

W rok po wydarzeniach na Lidön Vincent wystąpił o uznanie Jane i Kennetha za zmarłych. Nie z chęci zemsty, ale po to, by dać siostrze coś w rodzaju godnego epilogu. Całe życie spędziła gdzieś na uboczu, chociaż tyle mógł dla niej zrobić, żeby dostrzec ją po śmierci. Ciało Jane wprawdzie nie odnaleziono, jednak Vincent wiedział, że siostra nie żyje. Nie umiałby wyjaśnić, skąd to wie. Po prostu... czuł.

W związku z tym, że ciała nie zostały znalezione, uznanie ich za zmarłych zgodnie z prawem mogło nastąpić najwcześniej rok po zaginięciu. Vincent wystąpił o to dokładnie w rok po tym, jak widział swoją siostrę po raz ostatni. Wymagano przy tym wystąpienia „wysokiego prawdopodobieństwa”, że dana osoba rzeczywiście zmarła, co faktycznie się wydarzyło. Nawet gdyby Vincent nie miał przekonania, że oboje nie żyją, było rzeczą absolutnie niemożliwą, żeby Jane i Kenneth mogli wydostać się z wyspy i ukrywać przez tak długi czas. Nie, z całą pewnością wpadli do wody i utonęli. Zresztą gdyby nawet udało im się uciec, stan zdrowia zarówno Kennetha, jak i Jane nie pozwoliłby im przeżyć samotnie przez dłuższy czas. Początkowo urząd podatkowy był jednak innego zdania i odpowiedź brzmiała, że Vincent musi odczekać kolejne cztery lata, zanim uznanie za zmarłych nabierze mocy prawnej.

Dla Vincenta był to spory zawód, chociaż siostra usiłowała zabić i jego, i Minę. Uważał, że Jane zasługiwała, żeby mieć jakieś stałe miejsce. Jak nie w życiu, to przynajmniej po śmierci.

Doszedł do cmentarza i ruszył między rzędami nagrobków. Mama została pochowana w Kvibille w Hallandzie. Po jej śmierci miejscowa parafia próbowała skontaktować się z Erikiem, ojcem Vincenta, ale bez skutku. W końcu pogrzeb został zorganizowany przez gminę, w której umarła. Jednak Vincent nie chciał, żeby Jane miała wspólny grób z mamą. Chciał mieć siostrę bliżej siebie. Nie prosiła się o to życie, które tak ją zmieniło, napełniając nienawiścią. Poza tym mimo wszystko była jego siostrą. A więc stanęło na nowym cmentarzu w pobliżu kościoła w Tyresö.

Zatrzymał się przy leżącej na ziemi płaskiej tablicy z inskrypcją *Jane Boman* i *Kenneth Bengtsson*. Rok urodzenia. Rok śmierci. Tylko tyle. Cokolwiek

chciałby jeszcze tam napisać, byłoby to kłamstwo. Nachylił się i przesunął dłonią po nagrzanej, polerowanej powierzchni. Jane miała cztery litery. Dobrze. Jednak Kenneth miał siedem. Nic dziwnego, że Vincent go nie polubił.

Po wygrawerowanej literze J w Jane pełzł pajęczek. Vincent wyobraził sobie świat z perspektywy pajęczka. A więc obecnie świat ten składał się z łagodnie wyżłobionego parowu, będącego tymczasową osłoną przed gorącym słońcem. Jednocześnie ten parów był przeszkodą, obniżeniem, z którego trzeba się wydostać. Na górze świat zamieniał się w śliską równinę z polerowanego kamienia. Jeśli pajęczkowi starczy odwagi, aby ruszyć przez tę równinę, nieosłaniany przed pogodą i drapieżnikami, po dotarciu do litery A świat przekształci się dla niego w labirynt następných parowów.

Pajęczek nie będzie miał pojęcia, że te kształty cokolwiek znaczą, łącząc się ze sobą w znacznie większy wzór. Albo że ten wzór jest słowem reprezentującym osobę, która kiedyś też żyła, zatem wyraża również to, co jej się zdarzyło, kogo znała i na kogo oddziaływała. Dla pajęczka nie istnieją tego rodzaju związki. Dla niego istnieją jedynie przypadkowe zmiany otoczenia, zmiany, do których trzeba się przystosować, aby przeżyć. A potem zapomnieć, kiedy przyjdzie następne wyzwanie.

Vincent poczuł ból w kolanach i wstał. Zastanawiał się czasem, czy jego życie jest takie jak pajęczka. Czy to, co jemu się przydarza, jest częścią czegoś znacznie większego, tak wielkiego, że zwariowałyby, gdyby przypadkiem to ujrzał.

Nic dziwnego, że ludzie stają się wierzący, a nawet głęboko religijni. Jednak Vincent nie potrafił się przemóc, uwierzyć we wszystkowiedzącą istotę, w stwórcy i jego dzieło, którego częścią są ludzkie uczynki. Nie potrzebował tego dla tłumaczenia sobie rzeczywistości. Brzytwa Ockhama, jak powiedziała by Benjamin.

Pajęczek dotarł do końca liter i popęzł w dół, na trawę. Dla niego oznaczało to kolejną totalną zmianę rzeczywistości. Vincent dobrze to znał.

**ADAM WPATRYWAŁ** się w wystające spod trapu gołe nóżki. Reszta ciała znajdowała się w ciemności, ale zamajaczyły mu jeszcze krótkie spodenki z Wojowniczymi Żółwiami Ninja.

– Rozmiar tych stópek nie może być większy jak trzydziestka – odezwała się stojąca obok Mina. – Nie widać go, ale obawiam się, że znaleźliśmy Ossiana. Stało się właśnie to, co nie powinno.

Adam poczuł ściskanie w gardle i musiał odwrócić wzrok. Zdarzało mu się uczestniczyć w sytuacjach z tragicznym finałem porwania, kiedy nie mógł nic zrobić i z bliska patrzył na cierpienie zupełnie niewinnych osób. Czasem był to finał gwałtowny. W porównaniu z tym nóżki wystające spod trapu aż tchnęły spokojem.

Jednak to były nóżki dziecka.

Poniósł – ponieśli – porażkę. Nie zrobili, co do nich należało, okazali się niedostatecznie szybcy i mądrzy. Mimo że ciężko pracowali przez parę dni, to nie udało im się znaleźć osoby, która uprowadziła Ossiana. A Ossian zapłacił za to życiem. Była to katastrofalna i niewybaczalna porażka.

Technicy kryminalistyki byli zajęci dokumentowaniem miejsca znalezienia zwłok. Należało zabezpieczyć wszystkie dowody, oczekiwano przybycia lekarza sądowego, który zmierzy temperaturę ciała i pobierze płyn z ciała szklatego w oku, nim zwłoki trafią do worka, a potem do zakładu medycyny sądowej.

Mężczyźni pracujący przy transporcie zwłok byli często oryginałami i lubili się kumpłować z technikami kryminalistyki. Adam słyszał niejedną historię, jak to podczas odwożenia zwłok znajdowali dowody, które technicy przeoczyli.

Zmusił się do skoncentrowania na leżącym przed nim chłopczyku. Mechanizm obronny w mózgu skłaniał do ucieczki od martwego dziecka. Adam odetchnął głębiej i skupił się, starając się zapamiętać jak najwięcej z otoczenia.

Ciało nie było całkiem schowane, ale też nie do końca widoczne. Trzeba było uważnej biegaczki, żeby je zauważyć. Z początku kobieta próbowała je wyciągać, lecz opamiętała się, zobaczywszy plamy opadowe, i zadzwoniła na policję. Pobrali już od niej próbkę DNA, bo na pewno zostawiła swój ślad na zwłokach.

Adam stał z dłonią na ustach, nie bardzo wiedząc, co ma teraz zrobić. Był policyjnym negocjatorem, jego specjalność polegała na tym, żeby rozmawiać z uzbrojonymi sprawcami, a czasem na radzeniu sobie z sytuacją wzięcia zakładnika, by znaleźć takie rozwiązanie, dzięki któremu nikt nie zostanie

poszkodowany. Tak czy inaczej, polegało to na rozmowie. Tu miał do czynienia z czymś zupełnie innym.

Nie miał własnych dzieci. Na szczęście, bo wtedy nie mógłby chyba zostać na miejscu. Za to jego siostra miała dziecko. Pięciolatka. Jak Ossian. Mogli chodzić do tego samego przedszkola.

Technicy odgrodzili sporą część Skeppsholmen. Nie potrzebowali widzów, zwłaszcza kogoś, komu przysłoby do głowy wrzucić potem zdjęcie do mediów społecznościowych. Zabrali się teraz do ostrożnego podniesienia trapu, żeby dostać się do ciała.

Adam natychmiast rozpoznał buzię Ossiana na podstawie zdjęć od jego rodziców. Chłopczyk wyglądał, jakby spał. Tyle że miał zupełnie niewłaściwy odcień skóry. Szary. Z plamami opadowymi. Zapadniętą żuchwę. Cholera jasna.

– Tu pod spodem jest jeszcze coś – odezwał się jeden z techników, pokazując przedmiot obok ciała, którego do tej pory nie było widać pod trapem.

Był to plecak z nadrukiem *My Little Pony*. Równie brudny jak Ossian.

I ten plecak był właściwie najgorszy. Adam mógł próbować wmówić sobie, że ciało to manekin albo rekwizyt z telewizyjnego serialu kryminalnego, ale przez ten plecak wszystko stało się nagle bardzo rzeczywiste. Ossian nosił w nim butelkę z wodą. Drugie śniadanie, kiedy w przedszkolu miała być wycieczka. Siostrzeniec Adama dostawał kanapki z nutellą.

W bocznych kieszonkach pewnie trzymał mnóstwo kamyków z kolekcji, które miał chyba każdy pięciolatek. Adam zgadywał, że na dnie plecaczka ukrywała się zapomniana przytulanka. Siostrzeniec nosił tam podniszczoną żyrafę. Nagle z oczu połały mu się łzy i spłynęły po policzkach. Nie był w stanie patrzeć na plecak i ciało, skierował wzrok na zatokę, jednocześnie ocierając łzy grzbietem dłoni. Piękny widok roztaczający się ze Skeppsholmen wydał mu się aż niestosowny w zderzeniu z okropieństwem znajdującym się zaledwie parę metrów za nim. Na mieniących się w porannym słońcu wodach zatoki perkotały łódki. Po drugiej stronie widać było Gamla Stan, czyli Stare Miasto z jego zielonymi od śniedzi miedzianymi dachami.

– To miejsce wraz ze statkiem i nabrzeżem przywodzi mi na myśl jedną rzecz – odezwała się Mina. – Zakładam, że ty akurat pamiętasz, w jaki sposób została znaleziona Lilly?

Nie zauważył, kiedy podeszła i stanęła obok.

– Na pomoście – powiedział, kiwając głową. – Wiem. To w bardzo nieprzyjemny sposób przypomina to, co się stało z tą małą. Aż za bardzo. I też mieliśmy wtedy trzy dni. Trzy dni, które zmarnowaliśmy.

Mina skinęła głową, również patrząc na wodę.

Ruben stanął po jego drugiej stronie.

– Idziesz? – spytał. – Trzeba przesłuchać personel pokładowy. I obudzić ludków, którzy spędzili tutaj noc. Może ktoś z tych plecakowych turystów widział coś, pod warunkiem że się wcześniej nie upił za bardzo albo nie naćpał.

Adam przytaknął z wdzięcznością. Wreszcie ma jakieś zadanie i może robić coś, w czym jest naprawdę dobry i co będzie przydatne. Cokolwiek, byle nie stać bezradnie, gapiąc się.

– Znajdziemy sprawcę – powiedziała do niego Mina, zanim poszedł za Rubenem. – Przez wzgląd na Lilly i Ossiana. A przede wszystkim, żeby to się już nie powtórzyło.

Adam zatrzymał się i spojrzał na nią wielkimi oczami.

– Myślisz, że to może się powtórzyć?

– Właściwie to nic nie myślę – odparła, wycierając czoło wilgotną serwetką.

Nie było już porannej bryzy, wrócił upał, i to z całą siłą. Adam wyczuł lekki zapach cytryny, już chciał powiedzieć, że takie wilgotne serwetki przesuszają skórę, jednak dał spokój.

– Wiem tylko, że ludzie głupieją od tego upału – ciągnęła. – Słyszałeś, że według amerykańskich badań wystarczy, jak temperatura przekroczy dwadzieścia dziewięć stopni, żeby liczba przestępstw z użyciem przemocy wzrosła o prawie sześć procent?

Adam zerknął na swój smartwatch, który powiedział mu, że temperatura wynosi trzydzieści dwa stopnie.

– A to dopiero początek lata – odparł.



– **WSZYSCY WIECIE**, co się stało – odezwała się Julia.

Nikt nie odpowiedział. Słysząc było tylko chrzęst klimatyzatora, toczącego swą przedśmiertną walkę, i cichutkie skomlenie Bossego znad nowej miski z wodą w kącie pomieszczenia. Nawet Torkel wydawał się mieć dość rozumu, żeby nie zawracać jej głowy. Przez cały ranek nie dostała ani jednego esemesa.

– Ossian został znaleziony dwie i pół godziny temu – mówiła dalej Julia. – Musimy uzyskać identyfikację zwłok, ale właściwie nie ma żadnych wątpliwości. Adam i Ruben zostali na Skeppsholmen, żeby przesłuchać wszystkich z hostelu af Chapman i z pobliskich budynków, na wypadek gdyby ktoś coś widział. Na statku mieszka obecnie prawie sto osób, więc może nam się poszczęści, ale trzeba działać szybko, bo przecież ludzie nie mają obowiązku zostać tam dłużej niż na jedną noc. Mina i Peder byli u rodziców Ossiana w czwartek, w normalnej sytuacji to oni powinni ich zawiadomić. Jednak nie wydaje mi się...

Przerwała, zerkając na Pedera, który mrugał gwałtownie, powstrzymując łzy. Woląca w miarę możliwości nie wystawiać go na kolejne takie spotkanie. Może to z jej strony nieprofesjonalne, ale trudno.

– Christer, weźmiesz to na siebie? – spytała. – Mina i tak musi jechać do Mildy.

Christer westchnął, krzyżując ręce na piersi.

– Jak zwykle – powiedział. – Jak chodzi o śmierć, to sprawa trafia do mnie. Nie wiem, myślicie, że się kumpluję z kostuchą, czy co? Ale oczywiście, ktoś musi wykonać tę brudną robotę. I rozumiem, o co ci chodzi. Peder niech lepiej sprawdzi monitoring na Skeppsholmen i w okolicy. Kamery i tak dalej.

Zauważyła, jak Christer rzucił szybkie spojrzenie na Pedera. Christer, najstarszy policjant w zespole, może i bywał burkliwy, ale miał dobre serce, jak przyszło co do czego.

– Właśnie miałam to zaproponować – odparła. – W podziękowaniu dostaniesz ekstra karmę dla Bossego.

– I miskę wstawioną do tego pomieszczenia?

– I miskę wstawioną do tego pomieszczenia.

Klimatyzator zarzęził i umilkł. Julia od razu poczuła, jak między piersiami ściekają jej krople potu. Zatęskniła za powrotem do domu. Nie tylko po to, żeby wziąć chłodny prysznic, przede wszystkim chciała poczuć obok Harry’ego. Jego

zapach, dotyk skóry. Wiedzieć, że jej synek żyje i ma się dobrze. A Torkel niechby sobie poszedł na spotkanie z kolegami czy cokolwiek.

Peder chrząknął.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Zakładam, że podobieństw do sprawy Lilly już nie uważamy za przypadkowe. W takim razie powinniśmy się dowiedzieć, czy tragedia, która spotkała Ossiana, została spowodowana przez naśladowcę, który czytał o sprawie Lilly w gazetach, czy też faktycznie jest to ten sam sprawca. Dopóki nie będziemy mieli odpowiedzi na te pytania, żadne dziecko w tym mieście nie będzie bezpieczne.

Julia przytaknęła.

– Mina, jedź jak najszybciej do Mildy i dowiedz się, co mogłaby nam powiedzieć na temat sekcji zwłok Lilly – powiedziała. – Poproszę ją, żeby przygotowała dla ciebie protokół z tej obdukcji.

Peder swoim pytaniem otworzył pewne drzwi, do których i tak wiedziała, że zmierzają, chociaż jeszcze nie chciała przyznać, że to ten sam sprawca, który uderzył ponownie. Którego nie udało się schwytąć poprzednim razem. Co by znaczyło, że to ich wina, że Ossian nie żyje.

**MILDA HJORT** zastanawiała się czasem, czy istnieje coś takiego jak potężna waga odmierzająca równowagę życiową. Pilnująca, żeby czyjaś porcja szczęścia nie okazała się za duża, dbająca o to, żeby powodzenie rekompensowało pecha, a po żadnej ze stron nie było przewagi. W jej przypadku to najwyraźniej nie działało, bo kiedy przychodziło rozwiązanie jednego trudnego problemu, zaraz pojawiał się następny.

Syn Conrad wreszcie wyszedł z burzliwego okresu. Uczył się na uniwersytecie ludowym, miał dziewczynę i chyba – przynajmniej tak sądziła – najgorsze miał za sobą. I wtedy szala znów się przechyliła, bo odezwał się do niej brat Adi.

– Możesz zszyć? Już skończyłam.

Skinęła głową, wskazując zwłoki leżące przed nią na lśniąącym metalu. Dwadzieścia pięć lat. Samobójstwo. Dostrzegła ślady po wcześniejszych, nieudanych próbach, ale tym razem się udało. Powieszenie. Znaleziona w piwnicy u matki, która nigdy nie zapomni tego widoku. Będzie tkwił na zawsze w jej banku wspomnień obok pierwszych kroków córki, pierwszego utraconego zęba mlecznego i pierwszego dnia w szkole. Wszystko, co było częścią życia, będzie się teraz mieszać ze wspomnieniem śmierci.

I oto Milda stoi w to słoneczne sobotnie popołudnie, kiedy nic nie zwiastuje jakichkolwiek problemów, i będzie ostatnią osobą, która spojrzy na tę kobietę, zanim przestanie istnieć również jej fizyczna powłoka.

Ściągnęła rękawiczki i wyrzuciła je do śmieci. Jej asystent Loke otrzymał zadanie delikatnego zszycia korpusu, otwartego przez nią jednym pionowym cięciem. Zazwyczaj wołała to robić sama, mimo że należało do zadań asystenta. Jednak w głowie kłębiło jej się za dużo myśli, żeby mogła się skupić, zresztą Loke miał ładniejszy ścieg. Jedną z jego najmocniejszych cech była dokładność. Chociaż właściwszym określeniem byłaby może chorobliwa pedantyczność.

Milda przeszła przez procedurę mycia i już w codziennym ubraniu udała się do swojego służbowego pokoju. Wystarczyło, że otworzyła drzwi, jak buchnął żar. Aż się wzdrygnęła. Odetchnęła głęboko i weszła do środka. Tylko usiadła i zaraz krzesło przylepiło się do pupy, z ubolewaniem spojrzała na oklapłe kwiatki na parapecie. Ona czuła się zupełnie tak samo.

Telefon od Adiego nie powinien być dla niej aż takim szokiem. A jednak, i właśnie dlatego była na siebie wściekła, bardziej nawet niż na niego. Z Adim było tak jak ze skorpionem, który na grzbiecie żaby przeprowadzał się przez rzekę.

W połowie rzeki ukłuł żabę swoim kolcem jadowym, co oznaczało, że oboje teraz utoną. Na pytanie żaby, dlaczego to zrobił, skorpion odpowiedział, że po prostu leży to w jego naturze.

Właśnie tak był z Adim. Od dzieciństwa miał przed oczami tylko własne potrzeby. Zupełnie jakby do niego nie docierało, że inni też mogą mieć zarówno potrzeby, jak i prawa. Wszystko należało do niego. Kompletnie się do niego nie przebiły nauki rodziców o tym, co dobre, a co złe, co moje, a co twoje. Dlatego bardzo się zdziwiła, gdy po jej rozwodzie zgodził się, by zamieszkała z dziećmi w dawnym domu rodzinnym, który oboje odziedziczyli po rodzicach. I jeszcze odsunął na przyszłość spłatę za jego połowę.

Pomyślała, że widać nawet on mógł dojrzeć, dorosnąć, zmienić się. Z biegiem lat wyparła całą tę sytuację, wmawiając sobie, że pewnie już tak zostanie. Status quo. Ta jej nieustająca predylekcja do status quo. A jednak wczoraj zadzwonił. Był sztywny, chłodny. Zresztą w głosie Adiego raczej nigdy nie było śladu uczucia, chyba że był zły albo obrażony.

Powiedział, że chce, żeby go spłaciła. Natychmiast. Raz już tego próbował, prawie dwa lata temu. Otrzymała wtedy list od jego „adwokata”. Ultimatum, jakie jej wtedy postawił, było takie, że albo się wyprowadzi, albo go spłaci, albo też zrzeknie się przypadającej na nią połowy domu dziadka Mykolasa, kiedy dziadek umrze. Domyślała się, że chciał ją zestresować tak, żeby nie potrafiła rozumować w sposób racjonalny.

Tymczasem Milda poszła z tym listem do swoich kolegów w policji. Wydało jej się dziwne, że miałyby podpisać umowę dotyczącą spadku, skoro dziadek jeszcze żyje.

Okazało się, że przecucie jej nie myliło. Adi nie miał prawa dysponować tą schedą przed śmiercią dziadka. Policja była gotowa uznać to za szantaż, chyba że Adi się wycofa. A kiedy w dodatku odkryto, że jego pełnomocnik nie złożył egzaminu adwokackiego, czyli nie ma prawa nazywać siebie adwokatem, brat wycofał się z podkulonym ogonem.

Jednak formalnie rzecz ujmując, Adi miał rację. Dom, w którym mieszkała, był własnością ich obojga. Brat miał prawo domagać się, żeby go spłaciła, jeśli chce tam nadal mieszkać. I właśnie to uczynił. Próbowwała go przekonywać, że nie ma tyle pieniędzy, zresztą wiedziała, że on tych pieniędzy nie potrzebuje. Adi zawsze dobrze zarabiał. Byłaby mu wdzięczna, gdyby zechciał poczekać jeszcze parę lat, aż jej dzieci dorosną i się wyprowadzą. Nienawidziła siebie za błagalny ton, jakim do niego mówiła. Tego, że zawsze potrafił wywołać u niej efekt, że się kuliła, była uległa i starała się być niewidzialna. Jednak zanim się jeszcze odezwał, już wiedziała, co jej odpowie. I przeklinała samą siebie, że pozwoliła sobie zapomnieć o tym, że jest żabą, a on skorpionem.

Drgnęła, słysząc pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołała, głos jej się załamał i chrząknęła.

– Nie przeszkadzam? – spytała Mina, zagładając do środka. – Chciałabym porozmawiać z tobą na temat Lilly Meyer. I przejrzeć protokół z sekcji zwłok.

Milda kiwnęła głową.

– Wcale nie przeszkadzasz. Witaj w mojej łaźni.

**MINA PRZYJRZAŁA SIĘ** z troską kwiatkom na oknie u Mildy. Wyglądały, jakby przegrywały z upałem, a Mildzie było chyba jeszcze bardziej gorąco niż jej. Przeczytała gdzieś, że pot to nie tylko sposób organizmu na obniżenie temperatury, ale również na usunięcie brudu i produktów przemiany materii. Wzdrygnęła się na samą myśl. Musiała walczyć z odruchem, żeby jak tu stoi zedrzeć z siebie ubranie. Gdyby tak móc wziąć orzeźwiający prysznic. Cóż, u Mildy tego nie załatwi.

– Podlałam je, ale woda odparowuje tak szybko, że nie nadążam – powiedziała ponuro Milda, wskazując oklapłe rośliny.

Mina obserwowała ją. Coś było z Mildą nie tak. Zerknęła na krzesło przed biurkiem, zastanawiając się, czy usiąść. Plastikowe siedzisko wyglądało na rozgrzane i lepkie, bakterie na pewno mają się świetnie na jego gładkiej powierzchni.

– Proszę, już ci przygotowałam to, co potrzebne – powiedziała Milda, wysuwając szufladę. – Julia dzwoniła jakiś czas temu. Powiedziała, że pracujecie wszyscy w weekend.

Sięgnęła po skoroszyt i podała Minie, wytarłszy go najpierw wilgotną chusteczką.

Mina uśmiechnęła się z wdzięcznością i otworzyła skoroszyt.

Zawierał rzeczowy opis wszystkich informacji uzyskanych podczas sekcji zwłok Lilly.

– Jesteś prawdziwą opoką – powiedziała i rzeczywiście tak myślała. – Nie bierzesz nigdy wolnego?

Lekarka sądowa była zawsze uosobieniem spokoju. Budziła zaufanie, była rzeczowa, kompetentna i opanowana. Właśnie, słowo „opanowana” chyba określało Mildę najlepiej. Chociaż akurat dziś nie sprawiała takiego wrażenia.

Mina zastanawiała się już, czy spytać, ale nie wiedziała o co. Ich wzajemne stosunki nie obejmowały spraw osobistych, więc nie miała pojęcia, jakich słów użyć. W tym momencie zrozumiała, co musi czuć Vincent. Najczęściej i wobec większości ludzi.

– Przeczytaj to sobie spokojnie – powiedziała Milda – a ja tu będę, żeby ci odpowiedzieć na ewentualne pytania. Serio myślisz, że to ma coś wspólnego z waszym martwym chłopczykiem?

– Naprawdę nie wiem – odparła Mina, przyciskając do piersi skoroszyt. – Ale Adam Blom chyba tak myśli.

Koszulka lepiła jej się nieprzyjemnie do piersi. Naprawdę powinna znaleźć jakiś prysznic. I przebrać się. Zapadła cisza. Milda miała niejednoznaczny wyraz twarzy, jakby powstrzymywała coś, co tylko czeka na wybuch. Mina otworzyła usta. A potem znów zamknęła i poszła do drzwi, rzucając przez ramię krótkie „dziękuję”.

**ZAPARKOWAŁ NA HORNSGATAN**, tuż przy Mariatorget. Nie było powodu, by stawiając radiowóz przed ich wejściem, sygnalizować, dokąd zmierza. Poza tym krótki spacer do domu przy Bellmansgatan dał mu szansę, żeby zebrać myśli.

Nie mógł mieć pretensji do Julii o to, że go wysłała. Policjant powinien czasem umieć wyłączyć własne emocje. Choć dobry policjant powinien również móc dać ujście emocjom, gdy stawały się zbyt silne. A więc znowu padło na niego. Przynajmniej nie musiał być tym, który przekaże tę wiadomość. Już u nich był mundurowy w towarzystwie księdza.

Trafił pod właściwy adres i zadzwonił domofonem. Drzwi mieszkania były już otwarte, kiedy dotarł na piętro. Stała w nich kobieta, zapewne mama Ossiana, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Jej postawa wyrażała protest, ale barki miała opuszczone.

– Nie rozumiem, po co to wszystko – powiedziała. – To nie może być Ossian, bo co on by robił na Skeppsholmen.

– I właśnie dlatego chcemy się upewnić – odparł Christer miękko. – Zresztą to ja przedtem rozmawiałem z panią przez telefon. Na imię mi Christer, może pani pamiętać.

Jej twarz była zupełnie pozbawiona kolorów, jeśli nie liczyć czarnych obwódok wokół oczu. Prawdopodobnie nie spała od środy, gdy synek zaginął. Obecnie znajdowała się na etapie zaprzeczania, pierwszej z pięciu faz żałoby. Z czasem nieuchronnie przejdzie do następnej, do gniewu. Rodzice Ossiana będą mu wtedy złorzeczyć, wymyślać policji, że nie zrobiła, co do niej należało, może zagrozą pozwem do sądu albo pójdą z tym do mediów. To oczywiste, że ludzie różnie reagują. Jednak jakikolwiek wyraz przybierze gniew Fredrika i Josefin, to będą mieli rację. Christer im ją przyzna. Policja nie zrobiła, co do niej należało. On też nie. Wprawdzie szanse, żeby odnaleźć chłopca na czas, były w zasadzie żadne, ale mimo wszystko. Robili, co tylko mogli, a i tak za mało. Zdecydowanie za mało.

Tymczasem Josefin wciąż usiłowała przyswoić informację, że nie ma już syna. Niektórzy bliscy ofiar nigdy nie wychodzą z tej fazy.

Tata Ossiana pojawił się za żoną.

– A nie byłoby lepiej, gdybyśmy pojechali tam z panem? – spytał. – Żeby zobaczyć i wykluczyć, że to Ossian.



Christer zrozumiał, o co mu chodzi. Dopóki Fredrik i Josefin nie zobaczą Ossiana na własne oczy, mogą się nadal łudzić, że to nie on, że ktoś się pomylił. Taka myśl zapewne może doprowadzić człowieka do szaleństwa. Jednak choć mogło się to wydać nieludzkie, musiał prosić ich, żeby poczekali.

– Zobaczycie go w swoim czasie – powiedział. – W tej chwili trzeba dać działać technikom kryminalistyki.

Nie było powodu wdawać się w szczegóły. Ossian miał być poddany sekcji zwłok, ich dziecko miało zostać rozcięte. Wolałyby, żeby o tym w ogóle nie myśleli, ale wydaje się, że zrozumieli. Josefin zbladła jeszcze bardziej, na ile to możliwe, i ukryła twarz w dłoniach. Zachwiała się, stojąc w tym przedpokoju. Fredrik pochwycił ją w ramiona, chociaż wyglądał, jakby też ledwo trzymał się na nogach.

– Jeśli Ossian ma paszport elektroniczny, będziemy mogli przeprowadzić identyfikację na podstawie odcisków palców – powiedział Christer. – W innym razie wystarczy szczoteczka do zębów, żeby pobrać próbkę DNA.

– Pójdę po jego szczoteczkę – odparł Fredrik, jak się zdaje z pewną ulgą, że ma zadanie do wykonania.

Poszedł w głąb mieszkania.

– Badaniu poddajemy również jego ubranie i plecak – dodał Christer. – Mam nadzieję, że państwo rozumieją.

– Plecak? – spytała Josefin, zupełnie zdezorientowana. – Po co panu plecak?

Pokazała żółty plecak w rozmiarze dziecięcym, stojący obok butów. Mały Fjällräven.

– W nim miał mieć drugie śniadanie w tę środę, kiedy... kiedy on... – Głos jej zamarł. – Choć raz pamiętałam o przyszykowaniu drugiego śniadania i włożyłam do plecaka. I zamiast tego zapomniałam dać mu plecak.

Christer zmusił się, żeby nie patrzeć dłużej niż trzeba na plecaczek. Ścisnęło go w żołądku.

– Syn nie ma innego plecaka? – spytał. – Z nadrukiem *My Little Pony*?

Spojrzenie Josefin utkwilo w żółtym plecaku Fjällräven. Wydawała się go już nie słyszeć.

– Dziwne pytanie – powiedział Fredrik, który przyniósł małą szczoteczkę do zębów w plastikowej torebce. – Nie, nie mamy takiego plecaka.

Christer zmarszczył czoło. Obok ciała Ossiana znaleziono plecaczek. Jeśli nie należał do niego, to do kogo? Coś się nie zgadzało.

**WPRAWDZIE GABINET MILDY** w zakładzie medycyny sądowej był okropnie nagrany, ale w gmachu komendy nie było ani trochę chłodniej. Widocznie nikt jeszcze nie przyszedł naprawić zepsutej wentylacji. Niektórzy pewnie mieli wolne w weekend. Jedynym rozwiązaniem była ucieczka na dwór i poszukanie sobie miejsca w cieniu, gdzie byłaby jakaś odrobina ochłody.

Trzymając pod pachą skoroszyt, Mina wyszła przez główne wejście i skręciła za róg budynku. Na chodniku znajdowało się całe morze niedopałków. Był to widocznie punkt zborny dla policjantów popalających w tajemnicy. Większość jest pewnie w związku z kimś, kto mógłby przysiąc, że partner jest osobą niepalącą. Minę fascynowało, że ludzie tak mało wiedzą o sobie nawzajem, chociaż dzielą ze sobą życie. Zastanawiała się, czy w ogóle da się naprawdę poznać drugiego człowieka, czy też każde z nas jest małą bańką, która nigdy nikomu nie pokazuje swego prawdziwego ja. Domyślała się, że Vincent miałby sporo do powiedzenia na ten temat.

Czuła opór przed siadaniem na ławce, ale nie dałoby się stać i wertować kartki ze skoroszytu. A więc sięgnęła do torebki po swoje wyposażenie: wilgotne chusteczki, sprej antybakteryjny i alkożel. Starannie przetarła ławeczkę stojącą w strategicznym miejscu, bo obok przepełnionego kosza na śmieci. Starła się tam nie patrzeć. Wokół kosza roiły się osy, ale ich się nie bała. Stanowiły widzialne zagrożenie, tymczasem Mina bała się tych niewidzialnych.

Uporała się z tym i usiadła ostrożnie, kładąc skoroszyt obok na ławce. W cieniu panował błogosławiony chłód, lekki wietrzyk zakradł się pod jej cienką koszulkę i osuszył ją z potu. Odetchnęła kilka razy. W cieniu, bez upalnej duchoty, jej płuca i drogi oddechowe jakby się odetkały i napełniły tlenem.

Otworzyła skoroszyt. Na wierzchu leżał protokół z obdukcji. Zdawała sobie sprawę, że czeka ją trudne zadanie, bo nawet najbardziej zahartowani policjanci nie byli obojętni na śmierć dziecka. A Lilly miała w chwili śmierci tylko pięć lat. Tym razem, zgodnie ze schematem z kryminałów, ciało dziecka znalazł pod jakąś plandeką człowiek z psem.

Zmusiła się, żeby wyjąć szczegółowe zdjęcia i ułożyć obok siebie na ławce. Długie i kręcone czarne włosy dziewczynki były rozrzucone jak wachlarz na błyszczącej powierzchni stołu do sekcji zwłok. Wyglądała spokojnie. Jakby spała.

Przyczyną śmierci było uduszenie, tyle już Mina wiedziała. Jednak sprawa nie trafiła do jej zespołu, więc nie знаła szczegółów. Z zaciekawieniem wyjęła

protokół i zaczęła czytać, ale powoli, żeby nie uronić jakiejś istotnej informacji. W tego rodzaju dochodzeniach najdrobniejsze szczegóły bywały decydujące.

Osa wylądowała na środku kartki, Mina odgoniła ją ze złością. Osa wróciła, nie zważając na bezsporną przewagę Miny wynikającą z jej rozmiaru, i znów usiadła. Minę zadziwiła ta odwaga. Większość zwierząt żywi naturalny respekt dla gatunków większych od siebie. Ale nie osy. Ich brawura wydaje się wynikać z przekonania, że żądło czyni z nich zwycięzców niezależnie od rozmiarów ofiary. Co Minie przywiodło na myśl różnych znanych jej mężczyzn.

Ponownie ją odgoniła. Tym razem widocznie osa zrozumiała i poleciała na papier po lodach w koszu.

Protokół Mildy był jak zwykle świetnie skonstruowany i łatwy do zrozumienia. Trudniej było ogarnąć przedstawioną informację. Przyczyna śmierci pozornie wydawała się prosta. Uduszenie. Hipoksja. Mózg jest pozbawiony tlenu, a przestanie funkcjonować, co powoduje ustanie funkcji całego organizmu. Mina czytała dalej. W drogach oddechowych nie było nic, co mogłoby spowodować uduszenie. Jedynie maleńkie resztki włókien. Żadnej wody w płucach, a więc można wykluczyć utonięcie. Natomiast Milda zwróciła uwagę na ślady na płucach, jak od mocnego nacisku na żebra. Mina zmarszczyła czoło. Co mogłoby spowodować taki nacisk na ciało?

Wiedziała, że ciała znajdujące się w głębokiej wodzie wykazywały podobne uszkodzenia, ale znów: żadnej wody w płucach.

Czyżby od uderzenia? Jednak Milda to wykluczyła, jak czytała dalej Mina. Uderzenie spowodowałoby podskórne krwawienia, których tu nie było.

Upadek? Mina widziała wiele ciał, które spadły z dużej wysokości, zarówno nieumyślnie, jak i umyślnie. Jednak wtedy występowały zazwyczaj uszkodzenia nieograniczające się jedynie do klatki piersiowej, co również Milda napisała w protokole. Jako najbardziej prawdopodobną przyczynę podała ucisk, ponadto ten ucisk nie mógł być szybki i silny, bo wtedy też spowodowałby wybroczyny pod skórą. Wyraziła pogląd, że chodziło raczej o równomierne uciskanie ciała przez dłuższy czas. Mina w zamyśleniu podrapała się w głowę. Nie potrafiła tego rozgryźć.

Śmierć wskutek ucisku?

Istotny był tu również moment śmierci, zwłaszcza w świetle sprawy Ossiana. Jak zauważył Christer, Lilly była nieobecna przez niemal dokładnie trzy doby od chwili uprowadzenia aż do odnalezienia jej ciała. W ocenie Mildy dziewczynka żyła przez cały ten czas, nie będąc ofiarą przemocy. Przeciwnie, zawartość żołądka wskazywała, że porywacze karmili ją porządnie. Zawsze coś. Zginęła chwilę przed tym, jak została znaleziona.

Mina wróciła do protokołu. Połączyła wszystko to, co miała od Mildy, z tym, co wynikało z badań kryminalistycznych. Technicy znaleźli jakieś włókna pod prawą pachą. Według analizy były tego samego rodzaju co resztki w gardle. Włókna wełny.

Wróciła osa, jeśli rzeczywiście była to ta sama, i od razu usiadła na papierach, które akurat czytała Mina. Teraz cierpliwość Myny się wyczerpała. Sięgnęła do torebki po wilgotną chusteczkę, starannie wycelowała i docisnęła owada. Wyobraziła sobie, jak osa kłuje na ślepo pod chusteczką, coraz wścieklej, a w końcu bez sensu. Znow powróciło skojarzenie ze znajomymi mężczyznami. Rozwinęła chusteczkę i spojrzała na osę. Przyczyna śmierci nie ulegała wątpliwości. Śmierć od ucisku. Złożyła chusteczkę i wrzuciła do kosza.

Przeczytawszy protokół z sekcji, sięgnęła do tego, co jeszcze zostało do obejrzenia. Po zdjęcia ubrań Lilly i rzeczy, które przy niej znaleziono. Według rodziców niczego nie brakowało, te same ubranka miała na sobie, kiedy została wprowadzona. I jeszcze kilka skarbów z jej kieszonek. Gładki biały kamyczek, mieniący się zakładka do książki, wielkooki troll do nałożenia na koniec ołówka i liliowa gumka do wycierania w kształcie kota. Mina uśmiechnęła się, choć kątem oka nadal widziała zdjęcie dziewczynki na stole sekcyjnym. W tych przedmiotach był taki zachwyty nad wszystkim, co ekstra i śliczne. Błyskotki, koniki, szczeniaki, kolor różowy, piórka, flamingi, kocięta i cekiny. Takie rzeczy, których w dorosłości już się nie umie w pełni docenić. Chyba że akurat jest festiwal piosenki albo parada równości.

Starannie włożyła wszystko z powrotem w takiej kolejności jak poprzednio, zamknęła skoroszyt, wstała i nabrała głęboko powietrza, aby zaraz znów wkroczyć w upał. Spojrzała na zegarek. Dzień prawie dobiegł końca. Wiedziała więcej, ale było również więcej znaków zapytania, nie natrafiła na nic, co pomogłoby im odnaleźć mordercę Ossiana lub Lilly. Jak dotąd błądziła po omacku w ślepej uliczce. A gdzieś tam morderca wciąż chodził na wolności.

**VINCENT SIEDZIAŁ** w swoim gabinecie. Maria musiała ponownie pojechać do Kevina, żeby wnieść poprawki do swojej strategii sprzedażowej. Vincent spotkał się z nią w drzwiach, kiedy wrócił z cmentarza. Kevin podobno wpadł na jakiś pomysł, który nie mógł czekać. Rebecka poszła do kina z Astonem, co jeszcze miesiąc temu byłoby nie do pomyślenia. Aston zaczął nagle wielbić swoją starszą siostrę, a Rebecka wydawała się nie mieć nic przeciwko temu, żeby przestawać z siedem lat młodszym braciszkiem. Mimo że miała chłopaka. Widocznie pomieszało im się w głowie od gorąca, jednak klimatyzowane kino w środku dnia wydawało się całkiem roztropnym wyborem.

Benjamin tkwił u siebie, gdzie robił to, co zapewne robi dwudziestojednolatek, zamknąwszy się w pokoju. Czyli szuka mieszkania na portalu Hemnet – taką Vincent miał nadzieję.

Wszystko razem dało taki skutek, że miał dla siebie całe sobotnie popołudnie.

W dawnych czasach czuł się dość dobrze, kiedy zostawał sam ze swoimi myślami. Teraz już nie, odkąd Jane wyciągnęła na wierzch całą tę historię o mamie. Po tym przeżyciu musiał rozpraszać myśli, żeby nad nimi zapanować. Bał się, dokąd mogłyby pomknąć, gdyby im pozwolił na swobodny lot.

Sięgnął po kostkę Rubika, która leżała na regale za biurkiem, i zakręcił nią w palcach. Była to ta sama, którą dostał od Miny. Już próbował ją ułożyć, ale elementy były umocowane tak luźno, że bał się nimi kręcić. Po raz któryś z kolei zastanawiał się, co Mina z nią zrobiła, bo sprawiała wrażenie, jakby się rozpadła i została ponownie poskładana. Kostka przywołała z pamięci obrazy, na które nie był przygotowany. Salon Miny, gdzie zobaczył tę kostkę na jej biurku. Mina, niepokieszona, na sofie. Poczł kłucie w piersi i zdał sobie sprawę, że jego myśli zmierzają dokładnie w miejsce, którego chciał uniknąć. Wysunął szufladę, żeby schować kostkę, usuwając ją z pola widzenia. Jego wzrok padł na kopertę z nalepką przedstawiającą krasnoludka. Po chwili wahania wyjął ją.

Była to świąteczna kartka, którą dostał przeszło dwa miesiące po zakończeniu swojej współpracy z policją. Jedną z wielu łamigłówek i szarad własnego pomysłu, jakie ludzie mu przysyłali od czasu, jak do wiadomości ogółu przedostały się informacje na temat jego zaangażowania w sprawę.

Prawda była taka, że zabawiał się rozwiązywaniem wielu z nich, gdy już się upewnił, że nie chodzi w nich o zagrożenie nowym morderstwem. Część była prosta, inne bardziej skomplikowane. Niektóre zaś zupełnie niezrozumiałe. Jak ta kartka

święteczna. Standardowa, którą można kupić w Coop, niepodpisana, znajdowała się w kopercie wraz z kolorowymi kawałkami papieru w kształcie przypominającym kostki tetrisa.

Wysypał je na biurko z tym samym poczuciem jak wtedy, gdy zobaczył je za pierwszym razem. Wówczas natychmiast odniósł wrażenie, że te puzzle są jakieś inne. Nie potrafił tego wyjaśnić w sposób racjonalny, jednak widok tych kawałków napełnił go niejasnym, nieokreślonym niepokojem, który dziś odezwał się w nim równie silnie jak tamtego dnia.

Na każdym kawałeczku było kilka liter, co bez wątpienia oznaczało, że należy je złożyć, aby odczytać wiadomość. Jednak przy pierwszej próbie rozwiązania został przez nadawcę koperty zwabiony w myślową pułapkę. Uśmiechnął się do siebie. Docenił wysiłek tego kogoś, bo raczej nie dawał się nabierać. W związku z tym, że kształt papierków przypominał grę tetris, próbował je ułożyć brzeg do brzegu, nie zostawiając wolnego miejsca. Jak w grze. Jednak jakkolwiek zestawiał kawałki, wiadomość pozostawała nieczytelna.

W końcu zrozumiał, że skojarzenie z układanką tetris było fałszywym tropem. Fakt, na kartce nie było napisane, że to klocki tetrisa. Domyślił się potem, że znajome kształty i kolory miały celowo skierować go na ten tor rozumowania. Nadawca sugerował tym samym, że poczytał sobie na temat niegdysiejszych iluzjonistycznych sztuczek Vincenta. Bowiem technika polegająca na odwróceniu uwagi publiczności poprzez skupienie jej na czymś innym była podstawą wszelkich sztuczek. *Misdirection*, jak się to określa w języku magików.

Oznaczało to również, że owe puzzle przysłał ktoś, kto go sprawdził. I ta myśl była raczej nieprzyjemna. Kiedy już uzmysłowił sobie swój błąd, wystarczyło mu kilka sekund skupienia na tekście, by odczytać wiadomość. Rozwiązanie mogło być tylko jedno.

Ponownie złożył te kawałki tak, jak to robił wiele razy przedtem. Tekst, który się przed nim ukazał, pozostał wciąż niezrozumiały. Brzmiał: *Witamy, pazerny Timie!* Kiedy ujrzał go po raz pierwszy, poczuł się urażony – nie był pazerny i nie miał na imię Tim. Potem zdał sobie sprawę, że to pozdrowienie zapewne jest jakimś kodem. Pytanie, jakiego rodzaju.

Spróbował znaleźć jakieś różnice w odręcznej wiadomości, ale napisana była starannie i wszystkie litery wyglądały tak samo. Co wykluczało szyfr Bacona, gdzie znaki musiały występować w dwóch różnych krojach. Sprawdził też rot13 i najczęstsze szyfry przesuwające, gdzie każda litera odpowiada innej w alfabecie, jednak tymi metodami rzadko tworzone tak kompletne słowa jak w otrzymanej przez niego wiadomości. To samo dotyczyło innych wariantów, gdzie litery były zamieniane na inne.

Poszedł do salonu i nastawił album *Pollen* AES Dana. Najpierw jak zwykle powąchał winylową płytę, zanim ją położył na talerzu obrotowym.

Wszyscy w rodzinie przewracali oczami, gdy upierał się przy używaniu nośników fizycznych. Mówił, że papierowe książki i płyty winylowe mają zapach. To zapach, który obiecuje przygodę i niespodziewane odkrycia. Owszem, przyznawał, że usługi streamingowe są praktyczne, tyle że nie pachną. Podobna sytuacja co z ekspresem kapsułkowym, którego praktyczność Vincent doceniał, chociaż uważał, że traci na nim samo doznanie.

Gdy z głośnika popłynęły pierwsze dźwięki, pogłodził muzykę tak, żeby słyszeć ją z gabinetu. Cokolwiek by powiedziec o Francuzach, to na muzyce elektronicznej się naprawdę znają. Może ten Denis Rebecki to nie do końca błąd.

Vincent wrócił do gabinetu i spojrzał ponownie na zagadkową wiadomość na biurku. Tam musi być jakieś drugie dno, do którego jeszcze nie dotarł. Pozostało tylko jedno rozwiązanie, że chodzi o anagram, gdzie należy zignorować wersaliki i interpunkcję, a litery przestawić, żeby dotrzeć do poprawnej wiadomości. Jednak osiemnaście liter to całe miliony kombinacji. Bez jakiejś podpowiedzi nie było nawet sensu próbować.

Westchnął, wziął kawałki i włożył z powrotem do koperty. Istniała oczywiście możliwość, że ta układanka była bez sensu i przecenił jej twórcę. W końcu dostawał już różne bzdury. Jednak świadczyły przeciwko temu dwie rzeczy. Pierwszą było to instynktowne uczucie niepokoju, które nie chciało ustąpić.

Drugą zaś, że w rok po pierwszej, czyli zaledwie pół roku temu, dostał nową kartkę świąteczną. Z nowymi kawałkami układanki.

**MINĘ PRZEZ CAŁĄ** noc męczyły koszmary, chociaż nie pamiętała, o co w nich chodziło. Obudziła się jednak taka spocona, że poranne zabiegi higieniczne zabrały jej dwa razy więcej czasu niż zwykle. Co sprawiło, że wyszła do pracy bardzo późno. Julia za moment rozpocznie odprawę. Zadania na niedzielę będą uzależnione od tego, co kolegom udało się ustalić poprzedniego dnia. Mina miała nadzieję, że komuś powiodło się trafić na lepszy trop niż jej.

Wyszła ze swojej klatki na ulicę i stanęła jak wryta. Stało tam wielkie czarne i lśniące auto, od razu domyśliła się, kto to. Serce zatrzepotało jej w piersi jak koliber. Po co on się z nią kontaktuje? I to teraz? Zupełnie jakby go przywołała, kiedy parę dni temu przypomniało jej się mieszkanie w Vasastan. Podbiegła i szarpnięciem otworzyła tylne drzwi samochodu.

– Co się stało?

– Wsiadaj.

Tym jednym słowem sprawił, że znów dopadły ją wspomnienia. Nigdy nie szafował słowami, a to, co mówił, zawsze brzmiało arbitralnie, rozkazująco. Co, zważywszy na jego stanowisko, było bardzo na miejscu. Jednak nawet na początku, gdy już mieszkali razem, a on właśnie stawiał pierwsze kroki w karierze, też nie mówił inaczej. Jakby jego punktem wyjścia było to, że będzie rządził innymi.

Wsiadła do samochodu, spojrzawszy najpierw na siedzenie. Lśniące czystością. No jasne. Na pewno ma ludzi, których jedynym zadaniem jest utrzymywanie auta w idealnym stanie.

– Stało się coś? – spytała ponownie, zerkając na kierowcę.

Dziwnie się czuła z tym, że przy ich rozmowie jest obecny zupełnie obcy człowiek, jednak lustrzane okulary przeciwsłoneczne kierowcy, które widziała w lusterku wstecznym, niczego nie zdradzały. Patrzył wprost przed siebie. W zakres jego obowiązków wchodziło oczywiście to, by w określonych sytuacjach był ślepy i głuchy.

Skierowała wzrok na siedzącego obok mężczyznę. Serce wciąż trzepotało z niepokoju. Dlaczego zaprosił ją do swego niezbyt dyskretnego samochodu?

Nie chciał jej mieć w swoim życiu. W życiu swoim i Nathalie. Rozumiała to. I akceptowała. Taki był jego warunek. Jeśli Mina odejdzie, wszystkie więzy zostaną odcięte, taka była umowa. I tak było przez wiele lat. On nie zbliżał się do niej, a ona do niego. Proste. Nieskomplikowane. Do momentu, gdy tamtego lata ją



przyłapał. Od tamtej pory się nie odzywał, a ona trzymała się ściśle na dystans. Już nie było śledzenia z peronu stacji Blåsut czy chwili przy kawie w Kungsträdgården. A teraz, teraz on się nagle zjawia.

W dodatku przed jej domem.

Skupiła wzrok na oparciu przed sobą, gdzie na idealnym skórzanym licu dostrzegła maleńką niedoskonałość.

Oddychaj.

Oddychaj.

A potem znów skierowała wzrok na niego. Patrzył jej w oczy. Jego spojrzenie było niewzruszone, ale dostrzegła cień niepokoju w niebieskich oczach. Tak podobnych do innych oczu. Poczowała ukłucie w piersi.

– Nawiązała kontakt – powiedział. – A miałaś trzymać ją od niej z daleka.

Mina nie musiała pytać, kogo miał na myśli.

– Nie rozmawiałam z mamą od bardzo dawna – odparła.

– Nathalie jest z nią. Od piątku. Moi ludzie widzieli rzecz jasna, kiedy ją zaczęła, ale powiedziałem im, żeby nie interweniowali.

Minie przypomniał się tamten letni incydent, kiedy nie potrafiła sobie odmówić wspólnej kawy z Nathalie, a ochroniarze zabrali jej córkę, niemal zanim zdążyły usiąść przy stoliku.

– Kiedyś nie miałeś problemu z tym, żeby od razu zainterweniować – zauważyła.

– Wiem – odparł. – Ale też doprowadziło to do tego, że mamy z Nathalie dosyć... napięte relacje. Nie chciałbym ich dodatkowo pogorszyć. To nie tak, żebym nie wiedział, gdzie jest to miejsce, zresztą jest dziś starsza niż... wtedy. Tak czy inaczej. Najpierw przysłała mi esemesa, że poznała swoją babcię. Potem wieczorem kolejnego, że u niej przenocuje. To było w piątek. Od tamtej pory nie odbiera, kiedy dzwonię, i nie odpowiada na moje esemesy. Dziś niedziela. Jest nastolatką i upór uporem, ale są jakieś granice.

Mina ugryzła się w język. Zwykle śledziła swoim telefonem ruchy córki. Maleńki nadajnik GPS, który ukryła w plecaku Nathalie, pewnie trafił do przegródki, z której dziewczyna nie korzystała, dzięki czemu nadal go nie odkryła. Jednak sprawa Ossiana tak pochłonęła Minę, że od środy rano nie sprawdzała, gdzie jest Nathalie. Ostatnim razem była w domu u taty. Mina się zawstydziała. Gdyby była uważniejsza, już by wiedziała.

– To dlaczego po prostu po nią nie jedziesz? – spytała. – Przecież wiesz, z kim ona jest.

Dostrzegła na jego twarzy niepewność. To się czasem zdarzało. Chwile tak krótkie, że potem nie była pewna, czy to było naprawdę. Dziś ta chwila trwała dłużej.

– Sam nie wiem – odparł. – Mieliśmy umowę, że żadnych kontaktów. Jednak to w końcu jej babcia. I minęło tyle lat... Nie wiem, co robić.

Jego słowa zawisły w ciszy. Znów zerknęła na lusterko wsteczne, kierowca nadal patrzył prosto przed siebie, bez jakiegokolwiek reakcji.

Rozumiała dylemat, przed jakim stanął ojciec Nathalie. Otóż obawiał się, jak by to wyglądało w mediach, gdyby się wydało, że separuje córkę od jej najbliższych krewnych.

– Domyślam się, że chciałbyś, żebym ja coś z tym zrobiła?

Pokręcił głową, chyba szukał właściwego słowa. Jedną z jego głównych cech, pomyślała, żeby nigdy nie powiedzieć nic pochopnie, nieprzemyślenie. Była to również jedna z cech, które go zaprowadziły na stanowisko, jakie dziś zajmował.

Przechodnie zwracali uwagę na mijany samochód, bardzo odstający od zwyczajnego bloku, przed którym stał, a przyciemnione szyby jeszcze zwiększały ciekawość, kto jest w środku.

– Chcę, żebyś porozmawiała ze swoją matką – powiedział. – Ale tak, żeby Nathalie się nie dowiedziała. Mnie twoja mama by nie posłuchała, ale może posłucha ciebie. Trzeba załatwić to dyskretnie.

Mina musiała głęboko odetchnąć, żeby się uspokoić. Targało nią mnóstwo emocji. Wspomnienia, sytuacje i chwile, które tak starannie od siebie odsuwała. Wszystko to, bez czego nauczyła się żyć.

– Jestem w trakcie pilnego dochodzenia – odparła.

– Zaginione dziecko – powiedział, kiwając głową. – Widziałem konferencję prasową. Według moich źródeł znaleźliście chłopca wczoraj, martwego.

– Tak jest, czyli rozumiesz, że mam teraz co innego na głowie. Nie martwię się o Nathalie.

Znów spojrzał jej w oczy.

– A może powinnaś się martwić o to, czego się dowie?

Ogarnął ją lęk. Miał oczywiście rację. Zawarli ze sobą pewien układ. Który w gruncie rzeczy nie był trwalszy od domku z kart i każda sekunda spędzona przez Nathalie z jej babcią groziła, że ten domek się rozsypie. Jego szczątki zasypią wtedy nie tylko Minę, ale również jej córkę.

– Spróbuję – odparła cicho.

Wyciągnął rękę w stronę przedniego siedzenia, kierowca podał mu bloczek i długopis. Dobrze jej znanym charakterem pisma szybko coś zanotował, oderwał kartkę i podał jej. Jego poprzednia niepewność ulotniła się jak kamfora. Już był pozbierany, opanowany i spokojny.

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć. Tyle tego było, tyle pytań. Jednak dała spokój i pociągnęła za klamkę, otwierając drzwi auta. Sama zrezygnowała z prawa do zadawania pytań.

Postała jeszcze chwilę, patrząc za autem skręcającym za róg. Potem spojrzała na trzymaną kartkę. Wybrała zapisany numer telefonu. Gdyby nie zrobiła tego od razu, nigdy by się na to nie odważyła. Włączyła się automatyczna sekretarka. Mina odetchnęła głęboko i nagrała wiadomość. Następnie wróciła do swojej bramy, mechanicznie wybrała cyfry kodu i weszła po schodach na górę. I dopiero w mieszkaniu, gdy już zamknęła porządnie drzwi za sobą, pozwoliła sobie krzyknąć.

**NIEDZIELNE SŁOŃCE** odbijało się od dachów szeregowych domów osiedla w Vallentunie. Za jego czasów domy były brązowe, ale w późniejszych latach fasady zostały pomalowane na różne kolory. Ruben zamierzał pojechać tam kilka dni temu, ale poszukiwania Ossiana miały pierwszeństwo. Wczoraj przesłuchał wszystkich z pokładu af Chapman, jak również pracowników zarówno Nationalmuseet<sup>9</sup>, jak i znajdującej się w pobliżu Kungliga Konsthögskolan. Nikt niczego nie widział. No oczywiście. Adam zaoferował się, że sprawdzi pozostałą część wyspy. Gdyby morderca przypląnął łódką, istniała możliwość, że zauważyłby go ktoś z innych cumujących tam łodzi. Ruben powiedział, że musi najpierw coś załatwić, ale potem dołączy do Adama. Teraz zaczął żałować, że nie pojechał prosto na Skeppsholmen. Jednak nie, musi to w końcu zrobić.

W dodatku ta sprawa z Ossianem wytrąciła go z równowagi, potrzebował jakiegoś poczucia przynależności. A przynajmniej tego, że kiedyś to miał. Koleżeństwo z Gunnarem i chłopakami to niezupełnie to, bo chodziło tylko o rywalizowanie, co o poczucie wspólnoty.

Licytowanie się, kto opowie lepszą historię. Kto w weekend widział największe cycki albo kto spuścił największy łomot chuliganom. No i poklepywanie się po plecach. W razie czego mógł liczyć, że pójdą za nim w dym, ale teraz potrzebował czegoś innego.

Łatwo ją znalazł. Okazało się, że Ellinor mieszka w domu, który kiedyś był ich wspólny. Siedząc w samochodzie, patrzył na domy stojące poniżej parkingu. Jej był ten żółty. Wysiadł i ruszył ścieżką do osiedla. Okalał je park, w którym bawiły się dzieci.

Dzieci.

O tym nie pomyślał. A jeśli ma męża i dzieci? Jest niedziela, pewnie cała rodzina jest w domu. Jeśli otworzy jej mąż, Ruben powie, że pomylił adres.

Podchodząc bliżej, rzeczywiście ujrzał dziecienny rowerek rzucony na trawnik. Jakby przywołał go myślami. I nie był to rowerek do nauki jazdy, tylko większy. Czyli Ellinor ma rodzinę od dłuższego czasu. Ta wizyta wydawała mu się coraz gorszym pomysłem, ale lepiej mieć ją za sobą, bo inaczej nigdy nie przestanie się o tym rozmyślać.

Wszedł po schodkach i zadzwonił. Słyszając, jak ktoś idzie do drzwi, cofnął się trochę, żeby nie wyszło, że się narzuca.

Otworzyła Ellinor.

– Tak?

Pierwsze, co go uderzyło, to to, że była jeszcze piękniejsza niż wtedy, gdy od niego odeszła. Wprawdzie wtedy też była piękna, ale dziś miała o dziesięć lat więcej. Była o dziesięć lat mądrzejsza, miała dziesięć lat więcej przeżyć i doświadczeń. Bycia mamą. Życia własnym życiem. Wszystko to po niej widział. I aż mu dech zaparło. Potrzebowała kilku sekund, żeby zarejestrować, kogo ma przed sobą. A potem zmarszczyła brwi.

– Ruben Höök – odezwała się. – A co ty tutaj robisz?

Nie mówiła tonem „miło cię widzieć po latach”, tylko wprost przeciwnie. Spadaj, bo zawołam męża.

– Hej – powiedział możliwie najniższym głosem. – Przepraszam, że zjawiam się tak nagle, chciałem... Czy możemy porozmawiać?

Dostrzegł za nią czyjś ruch, chciał zobaczyć, kto to, ale Ellinor stanęła tak, żeby zasłaniać widok.

– Astrid, to nic takiego – zwróciła się w tamtą stronę. – Zaraz przyjdę.

Z jej twarzy wyczytał wyraźnie, że bardzo ją kiedyś uraził, a ona zdecydowanie nie chce do tego wracać.

– Astrid? – powtórzył pytająco.

– Nie masz tu nic do roboty – odparła. – Idź stąd, bo wezwę policję.

Odważył się uśmiechnąć.

– Ależ Ellie, ja jestem policją.

– Wiesz, o co mi chodzi. I nie nazywaj mnie tak. Proszę, żebyś tu więcej nie przychodził.

Obok Ellinor pojawiła się nagle mała osóbką.

– Hej, mam na imię Astrid, a ty?

– On już idzie, Astrid – powiedziała szorstko. – Cześć.

Ellinor zagoniła dziewczynkę do środka i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Zaraz potem zamknęła je od środka na klucz. Ruben cofnął się trochę, ale jeszcze chwilę postął na trawniku, nie wiedząc, co zrobić. Jednak nie mógł tak stać. Sąsiedzi będą się dziwić. Wprawdzie się tym nie przejmował, ale może Ellinor się przejmuje.

Ruszył z powrotem do samochodu. Cholera jasna. Psycholożka Amanda miała rację. Ze wszystkich jego złych pomysłów ten był zdecydowanie najgorszy. Ellinor, w której się kochał i z którą kiedyś mieszkał, którą zawiódł – tej Ellinor już nie ma. Zostało jej po nim tylko trochę nieprzyjemnych wspomnień. Poszła dalej. Ma rodzinę. To nie jej wina, że nie zrobił tego samego.

Wsiadł do samochodu i odczekał dłuższą chwilę, a potem ruszył. Dziwnie było patrzeć na Ellinor z dzieckiem. Córeczka Ellinor miała oczy po matce, ale usta po kimś innym. Ellinor miała miękkie i pełne wargi, które latem, gdy się spociła,

miały słony smak. Zmusił się, żeby nie myśleć o tych wargach. Nie powinien sobie pozwalać na ponowne zagłębianie się we wspomnieniach.

Dziewczynka miała na imię Astrid. Jak babcia Rubena. Ellinor kochała jego babcię z wzajemnością, babcia często pytała o tę zachwycającą narzeczoną, którą miał kiedyś. Nie potrafił jej na to odpowiedzieć. Jednak jutro, jak zwykle w poniedziałek, spotka się z babcią na kawie. Nabrali takiego zwyczaju, odkąd babcia przeprowadziła się do domu seniora, który szczęśliwym trafem znajdował się pięć minut drogi od jego pracy. Opowie babci, że Ellinor najwyraźniej ma się dobrze i ma córeczkę o takim samym imieniu jak ona. Babcia się ucieszy.

Odetchnął głęboko. Zrobił to. Domknął sprawę. Amanda będzie z niego dumna.

– **W PROTOKÓLE** z sekcji Lilly było kilka rzeczy, które mnie zastanowiły – powiedziała przez telefon Mina.

Piekło ją jeszcze w gardle od krzyczenia.

– Nie znalazłam jednak niczego, co by rzuciło jakieś światło na sprawę Ossiana. Chyba musimy poczekać na wyniki sekcji.

Z drugiej strony dobiegło ciężkie westchnienie Julii.

– Przesłuchania prowadzone przez Adama i Rubena nie przyniosły nic nowego – powiedziała jej przełożona. – A Peder nie znalazł żadnych kamer wzdłuż promenady.

– A co z mostkiem prowadzącym na Skeppsholmen? Albo z af Chapman, chyba powinni mieć?

– Kamery są na Nationalmuseum zaraz przed mostkiem, ale ich pole widzenia jest ograniczone. A jeśli sprawca przypląnął łodzią, to nawet tamtędy nie przeszedł. Można by przypuszczać, że na af Chapman będą mieli kamerę przy trapie, ale mają tylko na samym statku. Czyli znowu nic. Liczyłam, że u ciebie będzie coś więcej.

– Jeszcze nie. Jak powiedziałam, znalazłam parę ciekawych rzeczy, ale nic, co by nam pomogło w sprawie Ossiana. Natomiast sądzę, że Adam ma rację i powinniśmy wznowić dochodzenie w sprawie Lilly.

Julia znów westchnęła.

– Żona Pedera zniełubi mnie jeszcze bardziej po tym, jak do niego zaraz zadzwonię – powiedziała. – Przy odrobinie szczęścia skontaktujemy się jeszcze dziś z mamą Lilly. Wiem, że ojciec wyjechał. A ty chyba i tak nie zdziałasz dzisiaj nic więcej. Odezwij się, gdyby ci przyszło coś do głowy, a jak nie, to widzimy się jutro.

– Jasne.

Mina się rozłączyła. Nieoczekiwane spotkanie z ojcem Nathalie wstrząsnęło nią do tego stopnia, że nie pojechała na odprawę. Czuła, że mogłaby się rozlecieć, i wolała, żeby nie stało się to w komendzie. Julii powiedziała, że boli ją gardło i nie chciałyby nikogo zarazić, w razie gdyby było to coś poważnego. Nie była to do końca nieprawda, bo aż ochrypła od krzyku.

Chodziła po mieszkaniu, nie mogąc się uspokoić. Julia powierzyła jej kilka zadań, które mogła wykonać z domu, i już to zrobiła, jednak to wcale nie złagodziło wrażenia, że znajduje się zbyt daleko od centrum wydarzeń.

W znanych czterech ścianach już nie znajdowała poczucia bezpieczeństwa. Potrzebowała odwrócenia uwagi, bo ciągle miała w głowie zarówno Nathalie, jak i Ossiana, co jej przeszkadzało myśleć w sposób konstruktywny.

Nie znaleźli Ossiana na czas. Pozostało tylko się z tym pogodzić. Zresztą nie miała żadnych tropów. I nie przybędzie ich od przeżywania wszystkiego wciąż na nowo. Wiedziała o tym. Z drugiej strony dobrze, że Julia nie kazała jej przyjść do gmachu komendy, bo po spotkaniu z ojcem Nathalie wciąż była za bardzo roztrzęsiona.

Jakby nie dość tego, że nieustannie wałkowała w głowie sprawę Ossiana, to jej własna córka przebywała teraz ze swoją babcią. Matką Miny. Ines wciąż nie odbierała, chociaż numer zapisany na kartce przez ojca Nathalie był z całą pewnością poprawny. Rzecz jasna mogłaby łatwo sprawdzić przez nadajnik GPS, gdzie teraz są, a potem pojechać tam jako policjantka. Jednak to raczej nie poprawiłoby sytuacji. Nie miała innego wyboru, jak czekać. I denerwować się, co też Ines może opowiedzieć wnuczce. Na samą myśl czuła paralizujący lęk. Niektórych tajemnic nie należy ujawnić. Wręcz nie wolno. Tyle na nich zbudowano, że bez tego fundamentu wszystko by runęło. Co uderzyłoby w nich wszystkich. Nikt nie uszedłby cało z chaosu, jaki by potem nastąpił. Jednak nic nie mogła na to poradzić. Nathalie była razem z Ines, a ona mogła tylko czekać.

Mina nie umiała czekać. Powinna skupić uwagę na czymś innym. Sięgnęła po swój smartfon i zaczęła scrollować apki. Odpowiedziała już na wszystkie maile i nieliczne esemesy, które dziś otrzymała. Może jest coś jeszcze, jakiś ważny artykuł albo... zatrzymała się przy białym płomyczku na czerwonym tle. Tinder. Co za cholera, to ten Ruben. Po co ją do tego namówił? Chociaż, jeśli miała być szczerą, właściwie nie namawiał. Pobrała apkę, żeby się zamknął. Ale teraz nie ma go obok niej i nic nie zmusza Miny, żeby ją otworzyła. Ale może właśnie to będzie idealny ogłupiający sposób na rozproszenie uwagi. Zresztą kto powiedział, że nie powinna wchodzić na Tindera? Najwyraźniej dzisiejsi ludzie tak robią. Normalni ludzie. Zresztą ona nie jest żadną starą panną. A poza tym mężczyźni na tej apce nie dowiedzą się, że ich oglądała. Trochę to ułatwiało sprawę. Nie bardzo. Jednak w wystarczającym stopniu.

A przynajmniej na to liczyła.

Przygotowała się, zaczynając od włączenia komputera i przeczytania kilku artykułów w sieci. Najwyraźniej mężczyznom zalecano, żeby zamieszczali zdjęcia ze swoimi zwierzętami, przyjaciółmi – a jeszcze lepiej z rodziną – oraz takie, na których byli aktywni. Bo to – jak twierdziła autorka artykułu – działa na kobiety. Owszem, Mina potrafiła zrozumieć psychologiczne korzyści z przedstawienia się jako mężczyzna opiekuńczy, empatyczny, prowadzący życie towarzyskie i mający zainteresowania.



Problem polegał na tym, że te same artykuły przeczytały setki tysięcy ludzi, co odbierało autentyczność zdjęciom, które w założeniu miały być szczerze.

Mina odetchnęła głęboko, oczyściła ekran smartfona, otworzyła apkę i zarejestrowała się jako użytkowniczka.

Pierwszy mężczyzna, który pojawił się na ekranie w powodzi innych, z dumą – według Myny aż nazbyt wielką – trzymał w rękach wielką rybę, którą widać złowił. Tego się nie spodziewała i nie bardzo wiedziała, jak czytać tę informację. Ryba jako zwierzę domowe, jako aktywność czy dowód siły? A może członek rodziny? Zapewne miała symbolizować męskość. Zdolność polowania i zdobywania pożywienia. Mężczyzna miał na zdjęciu okulary słoneczne, więc tylko ta ryba mówiła o nim cokolwiek.

I jeszcze fakt, że miał gołe ręce.

Wzdrygnęła się.

Czy kobieta zdrowa na umyśle pozwoliłaby, żeby te dłonie, które z taką dumą trzymały wielkiego oślizgłego leszcza, potem dotykały jej? Minie zrobiło się niedobrze na samą myśl i musiała ponownie wysprejować i oczyścić ekran. Powąchała swoje palce. Prawie czuła rybi zapach.

Nie miała ochoty sprawdzać faceta bliżej, przesunęła palcem w lewo.

Szybkie spojrzenie na następnego i znów ten sam ruch.

Powtórzyła to jeszcze około dziesięciu razy i stało się dla niej jasne, że chyba wszyscy mężczyźni na świecie przeczytali ten sam artykuł co ona. Straciła rachubę wszystkich obejrzanych zdjęć mężczyzny-z-dziadkiem, mężczyzny-z-dziwnym-zwierzęciem-domowym, mężczyzny-na-siłowni i nawet mężczyzny-z-poduszką. Nie mówiąc o ogromnej, wręcz nieproporcjonalnej liczbie facetów na Tinderze, którzy sądzili, że wyglądają najatrakcyjniej, kiedy trzymają wielką rybę. Mówiąc poważnie, co ci faceci mają do ryb? Jeszcze jedna, a będzie musiała przemyć oczy sodą kaustyczną.

Ruben może się z niej śmiać, ile chce, ale poczuła, że ma dość.

Nagle zatrzymała palec na ekranie. Spojrzała w parę brązowych oczu. Mężczyzna miał czarne kręcone włosy ściągnięte w luźny koczek. Gęsty zarost na policzkach i podbródku. Przystojny, ale nie na tyle, żeby jej to przeszkadzało. Wyglądał nawet na lekko zmęczonego. Trochę... prawdziwie. Nie było to zdjęcie od fotografa, tylko selfie zrobione gdzieś po drodze. Nie tyle niedbale, bo wciąż było to dobre zdjęcie. Bezpretensjonalne. Na kolejnym siedział przy biurku z głową w dłoniach, nie patrząc w obiektyw, tylko na coś poza nim. Biała koszula, podwinięte rękawy. Możliwe, że zdjęcie zostało zrobione u niego w pracy. Tylko tyle. Żadnych zdjęć z siłowni. Żadnej ryby. Odetchnęła z ulgą i przeczytała opis.

„Mam na imię Amir i jestem prawnikiem. Nie mam żadnego hobby ani wielu zainteresowań ze względu na pracę. Jednak chciałbym to zmienić. Może

spróbowałibyśmy zrobić to razem?”

Prawnik. Nie ma zainteresowań. Wygląda na miłego. I w odróżnieniu od pozostałych nie sprawiał wrażenia, że mu się... tak okropnie chce. To jedyne określenie, jakie przyszło jej do głowy. Ruben się jeszcze przekona. Postanowiła nawiązać kontakt z Amirem. Oczywiście nie po to, żeby się z nim spotkać, są jakieś granice. Miała przecież tę sprawę Ossiana. Ale Ruben dostałby takiego prztyczka w nos, że aż by go zabolalo i już by nigdy więcej nie gadał o fobiach społecznych czy starych pannach. Przytknęła palec do ekranu i na mgnienie oka zawahała się. A potem, zanim zdąży zmienić zdanie, przesunęła go szybko w prawo.

– **OBIECAŁEM ANETTE**, że po południu zajmę się trojaczkami – powiedział Peder. – Wybiera się z koleżankami na niedzielny drinka.

Wraz z Julią przepychali się między hordami turystów, którzy nie nauczyli się manewrować w tłoku.

– Przekaż żonie, że musi z tym poczekać, aż znajdziemy mordercę Ossiana – warknęła Julia.

I od razu zrobiło jej się głupio. Niepotrzebnie odpowiedziała tak ostro. Pewnie to ze złości na Torkela.

– Ojej, przepraszam – powiedziała. – Głupio palnęłam.

Peder tylko kiwnął głową.

– Na szczęście matka Lilly mieszka niedaleko gmachu komendy – dodała. – Nie powinno nam to zabrać dużo czasu. Będziesz mógł stamtąd pojechać prosto do domu. Anette zdąży na drinka. Wierz mi, jestem ostatnią osobą, która by odbierała matce prawo do czasu dla siebie.

Sięgnęła po telefon i przejrzała esemesy. Dwa nowe od Torkela. Skasowała je, nie czytając.

– Matka Lilly mieszka na... Garvargatan siedem – przeczytała. – Z drugiego końca Kungsholmstorg. Zaraz tam dojdziemy. Spróbujmy, a nuż jest w domu.

Peder zatrzymał się nagle przed gościem w szortach khaki, sandałach i koszulce oznajmijącej z dumą *I love Hjo*. Gość sterczał zdezorientowany na samym środku chodnika, musieli go obejść.

– Cholerni turyści – mruknął pod nosem Peder. – Czyżby w Hjo nie obowiązywało hasło „trzymaj się prawej strony”?

– Ależ Peder – powiedziała Julia z lekkim uśmiechem. – Czy to nie ty się chwalisz, że trojaczki nauczyły cię anielskiej cierpliwości? A może ona dotyczy tylko dzieci?

– Zgadza się – odparł. – Chyba po prostu zazdroścę tym, którzy wydają się nie mieć żadnych problemów.

Na telefonie Julii, zanim go zdążyła schować do kieszeni, pojawił się trzeci esemes.

– Gdybym się spóźnił, mogę zawsze przekupić Anette szprycerem z aperola, kiedy będzie się przebierała – powiedział. – I jeszcze na tym wygram. Ona jest cholernie seksowna, kiedy popija drinka w samej bieliźnie.

– Za dużo tych informacji, Peder – zauważyła Julia, spiesząc się.

Miała ochotę go trzepnąć. Jakie to niesprawiedliwe. Torkel nie przygotowałby jej nawet szklanki soku, gdyby chciała wyjść wieczorem, a on musiał zostać z Harrym. A i tak wyjście byłoby zapewne służbowe. W jej życiu już nie istniały drinki jako takie, ani w niedziele, ani w inne dni. Ulotniły się, podobnie jak to, żeby poczuć, że dla Torkela jest chociaż trochę seksowna.

– Skupmy się teraz na rodzicach Lilly – powiedziała. – O ile wiem, matka jest nadal na zwolnieniu lekarskim. Uprowadzenie dziecka silnie nią wstrząsnęło, co zrozumiałe. Jednak z tego, co zdążyłam przeczytać na temat sporu o opiekę nad dzieckiem, chyba nie należy do najłatwiejszych osób. A więc trzeba postępować z nią ostrożnie.

Okazało się, że Garvargatan jest zacieniona. Oboje zwolnili kroku, ciesząc się chwilowo niższą temperaturą, aż doszli do bramy pod numerem siódmym. Zadzwonili domofonem i wjechali windą na piętro Jenny i Andersa Holmgrenów. Otworzył im mężczyzna lat około trzydziestu pięciu, który drugą nogą odsuwał ujadającego wściekle pieska rasy chihuahua.

– Cześć, jestem Julia Hammarsten, to ja dzwoniłam – odezwała się, podając mu rękę.

Anders uściskał ją dłonią miękką od potu.

– Wchodźcie, wchodźcie. Nie przejmujcie się Molberg, ona tylko dużo szczeka, bo myśli, że jest wilkiem. Jenny jest w salonie, usiądźmy tam.

Poszedł przodem, a za nim ujadająca Molberg. Weszli do salonu połączonego z otwartą kuchnią, bardzo przyjemnego. Wszystkie okna były otwarte, wystarczyło lekko wyciągnąć szyję, aby zobaczyć majaczącą w oddali Riddarfjärden<sup>10</sup>.

– Siadajcie, proszę, napijcie się mrożonej herbaty?

Peder przytaknął z wdzięcznością, podobnie jak Julia, więc Anders poszedł do części kuchennej. Mama Lilly siedziała na kanapie. W spojrzeniu miała pustkę. Była chorobliwie szczupła i biła od niej nerwowość. Jedną stopą tupała szybko i rytmicznie o podłogę.

– Domyślam się, że przyszliście tu w związku z zaginięciem tego chłopca? – odezwała się, zapalając papierosa.

– Miałaś nie palić w mieszkaniu, umówiliśmy się.

Anders odwrócił się, stojąc przy zamrażarce, z której wyjmował lód. Między jego brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. Jenny nie odpowiedziała. Zaciągnęła się głęboko i powoli wydmuchała kilka kółek dymu prosto przed siebie.

– Zgadza się – powiedział Peder w odpowiedzi na pytanie Jenny. – Nazywał się Ossian Walthersson.

Jenny zaciągnęła się jeszcze kilka razy. Stojący w części kuchennej Anders pobrząkiwał szklankami.

– Nie widzieliśmy się od pogrzebu. Wiedzieliście o tym? Ja z Maurem, to znaczy ojcem Lilly. No pewnie, że wiecie. Nie widzieliśmy się, nie dzwoniłiśmy do siebie. Zresztą po co mielibyśmy się kontaktować? W końcu dostał, co chciał. Przecież chciał mi odebrać córkę.

Wściekłym ruchem zgasiła papierosa na spodku stojącym na stole.

– Kochanie, rozmawialiśmy już o tym i wiesz, że Mauro chciał, żeby była u niego co drugi tydzień – powiedział Anders i od razu zrobił minę, jakby żałował, że się odezwał.

– Co drugi tydzień! – krzyknęła Jenny. – Czyli miałabym stracić pół życia mojej córki! Chociaż to on postanowił odejść! Postanowił porzucić swoją rodzinę, porzucić Lilly dla jakiejś blond laluni!

– Cecilia jest brunetką – zauważył cicho Anders.

– Mogłabym przysiąc, że to Mauro zabił Lilly – ciągnęła Jenny. – On i ta jego cholerna rodzina psycholi; wszystko by zrobili, żebym nie miała mojej córki, a ona nie miała mamy. Jeszcze chciał, żeby ta cholerna lalunia bawiła się w mamuszkę! Mojego dzieciaka!

Julia czytała orzeczenie sądu. Niewiele brakowało, a Jenny nie dostałaby nawet opieki naprzemiennej co drugi tydzień. Oceniono, że nie jest dostatecznie stabilna psychicznie, żeby móc opiekować się dzieckiem. Julię to zaskoczyło, bo w sporach o opiekę nad dziećmi rozwodzących się rodziców sądy z zasady opowiadały się po stronie matek. Spory o opiekę to być może jedyna okoliczność, kiedy mężczyzna ma gorzej. Jednak agresywna postawa tej kobiety sprawiała, że zastrzeżenia sądu stały się zrozumiałe dla Julii.

– Między zaginięciem waszej córki a zaginięciem Ossiana w ostatnią środę są duże podobieństwa – powiedziała spokojnie i rzeczowo. – To dlatego chcieliśmy z panią porozmawiać ponownie. Przykro nam, jeśli oznacza to rozdrapywanie ran.

Z wdzięcznością przyjęła szklanekę podaną przez Andersa. W złotawym płynie pływały spore kawałki lodu. Zapach był słodki i świeży. Wypiła duży łyk. Anders naprawdę znał się na tym. Peder już zdążył opróżnić swoją szklanekę.

– Policja bardzo starannie sprawdziła oskarżenia, że ktoś z rodziny mógł stać za uprowadzeniem Lilly – odezwał się Peder i chrząknął. – Również pani oskarżenia pod adresem Maura. Ale nie znaleźli niczego na poparcie...

– Dowody – parsknęła Jenny. – Tylko o tym potrafili gadać!

Anders dolał Pederowi mrożonej herbaty i usiadł na kanapie obok żony. Piesek też tam wskoczył i położył łeb na jego kolanach. Wydawało się, że chwilowo pogodził się z obecnością Julii i Pедера. A przynajmniej był cicho.

– Przecież sam wiesz – powiedziała Jenny, zwracając się do męża. – Za każdym razem, kiedy wracała od ojca, miała zaczerwienienia między nóżkami! Ile ja razy byłam z nią u lekarza, żeby pokazać. Ale ci dzisiejsi lekarze... tak się

strasznie boją popełnienia błędu. On twierdził, że kupiłam jej za małe majtki i od tego ma te ślady. Niech to szlag!

Długie ciemne włosy opadły jej na twarz, Julia pomyślała, że Jenny musiała być piękna, zanim zgorzknienie nie zmieniło jej twarzy we wściekłą maskę.

– Jenny – odezwał się spokojnie Anders. – Wiesz, że to nieprawda. Mauro był ostatnim człowiekiem, który skrzywdziłby Lilly. Kochał ją równie mocno jak ty.

Jenny spojrzała w okno i zapaliła jeszcze jednego papierosa.

– Dziś jest niedobry dzień – powiedział do nich Anders, nie odrywając wzroku od żony.

– Nie pamięta pani nic więcej z dnia, kiedy zniknęła? – spytał Peder.

Jenny gwałtownie pokręciła głową.

– Od razu wiedziałam, że zabrał ją Mauro. I gdzieś ukrył.

– Ale pracownicy przedszkola mówili, że Lilly nie zabrał jej tata, tylko jakaś para starszych ludzi – odezwała się stanowczym tonem Julia.

– O Maurze można wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest głupi – parsknęła w odpowiedzi Jenny. – No pewnie, że sam by jej nie odebrał. Posłał po nią kogoś innego. Kogoś ze swojej rodziny. Rodzice nie żyją, ale jakiegoś innego staruszka. Oni są psychiczni, wszyscy. Powinni się leczyć.

Głos przeszedł jej w falset. Pies drgnął i podniósł łeppek.

– To, co mówisz, nie jest konstruktywne – powiedział Anders. – Na pewno wzięłaś dziś lekarstwo?

– Konstruktywne – powtórzyła Jenny, jękliwie naśladowując jego głos. – Moja córka nie żyje, a przedtem przeszła przez piekło. Zrobiłam wszystko, żeby ją uratować przed nim, przed tym... potworem. A mimo to... mimo to umarła...

Aż się trzęsła z wściekłości. Odpaliła nowego papierosa od niedopałka i zaciągnęła się głęboko, jakby chciała wyssać filtr.

– A teraz mamy nowy przypadek z innym dzieckiem – powiedziała Julia powoli i bardzo wyraźnie. – Okoliczności są podobne do sprawy Lilly, jak już mówiłam. I dlatego...

– On myśli, że jest taki cholernie sprytny – przerwała Jenny.

Popukała się w skroń, kołyszając się w tył i w przód.

– Pewnie się boi, że go zgarniecie za Lilly. A więc co robi? Odwraca uwagę od siebie, od Lilly. Żebyście pomyśleli, że chodzi o takiego...

Strzeliła palcami w powietrze.

– Takiego, no... seryjnego mordercę.

– Myślicie, że o to chodzi? – spytał łagodnie Anders, głaszcząc Molberg.

Peder spojrzał pytająco na Julię, która dyskretnie pokręciła głową.

– Niestety, na obecnym etapie nie możemy za wiele powiedzieć – odparł. – Sprawdzamy wszystkie możliwości. I dlatego tu jesteśmy.

Jenny przewróciła oczami. Ręką trzymającą papierosa wskazała Pedera, a wtedy przydługi słupek popiołu spadł na jasny dywan, przypalając go. Julia widziała, jak oczy Andersa śledzą drogę tego popiołu i lekkie drgnienie powiek, kiedy spadł. Jednak nic nie powiedział, tylko jeszcze mocniej pogłaskał psa.

– Nabraliście się na te jego poprzednie gadki, to teraz też się nabierzecie. Wiem. Mauro jest wcielonym diabłem, ale jest sprytny. Kurde, nie mam już siły z wami rozmawiać.

Podniosła się szybko i wyszła na balkon, stała odwrócona do nich tyłem, a z jej ust płynął potok słów.

– Porozmawiajcie sobie z Maurem, to się przekonacie. Powiem tylko tyle. On i ta jego cholerna rodzina. Psychole cholerni.

Julia i Peder wstali, Anders bez słowa odprowadził ich do przedpokoju. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, usłyszeli znów ujadanie Molberg.

– HEJ!

Nathalie drgnęła. Podeszła do niej, uśmiechając się szeroko, piękna ciemnowłosa kobieta. Nathalie od razu domyśliła się, kto to jest.

– Mogę się przysiąc?

Nie czekając na odpowiedź, Nova usiadła naprzeciw niej. Nathalie wzruszyła ramionami. Podczas lunchu ktoś podszedł do babci i coś jej szepnął, a wtedy babcia zostawiła ją samą. Lunch składał się z zupy, którą podano ze świeżo upieczonym chlebem, najpyszniejszym, jaki Nathalie kiedykolwiek jadła. Naprawdę nie mogła narzekać na jedzenie, chociaż nie odmówiłaby, gdyby podano jej cheeseburgera z frytkami. Porcje podawane w Epicurze były trochę małe jak dla niej.

Ludzie ciągle chcieli czegoś od babci. Z jednej strony napawało ją to dumą. Babcia Ines najwyraźniej była ważną osobą. Wystąpiła nawet w telewizji. Z drugiej strony Nathalie czasem czuła się lekko zagubiona i opuszczona. I wciąż nie dostała odpowiedzi na swoje pytania. „Cierpliwości”, tylko tyle miała do powiedzenia babcia na jej nalegania.

Babcia nie wracała, a nadchodził wieczór. Wprawdzie Nathalie nie miała nic przeciwko temu, że jest sama, tylko chciałyby znaleźć sobie coś do jedzenia. Nawet się rozglądała za ciasteczkami, które tu były, kiedy przedwczoraj przyjechały, a teraz wręcz świeciły nieobecnością.

– Jak ci się u nas podoba? – odezwała się Nova i skinęła kobiecie, która podeszła i postawiła przed nią filiżankę herbaty.

Jednak bez ciasteczek.

– Jest okej czy wszystko wydaje ci się dziwne?

– Jedno i drugie – odparła Nathalie, rozbrojona taką bezpośredniością.

– Rozumiem. Przecież staramy się zrywać z obowiązującymi wzorcami i żyć w taki sposób, o którym współczesne społeczeństwo zapomniało. Na pewno może się to wydawać dziwne. Chociaż w gruncie rzeczy naturalne jest właśnie to, co my robimy.

– Babcia mi mówiła, że to wszystko pochodzi od twojego dziadka.

– Zgadza się. Dziadek był bardzo odczytanym i inteligentnym człowiekiem, który nie wahał się stawiać trudnych pytań. Poszukiwał sensu życia. Chyba można tak powiedzieć i nie musi się to wydawać mętne.

– Szczerze mówiąc, wszystko w tym miejscu wydaje się dosyć mętne.



Nova roześmiała się i był to serdeczny śmiech.

– Wiesz co – powiedziała. – Masz całkowitą rację. Chyba jest supermętne, jednak wiele osób odnalazło tu sens. Sens życia. Odnalazło siebie. I siebie w społeczeństwie.

– Czy twoi rodzice byli tacy sami jak dziadek?

– Przynajmniej mój tata był człowiekiem poszukującym, podobnie jak jego ojciec. Czasem ich drogi się schodziły, a czasem nie. Mój tata dobrze pisał. To on jest autorem wielu cytatów, które widzisz tu na ścianach. Długo studiował epikureizm u boku dziadka. Potem szukał własnych odpowiedzi. To było parę lat przed...

Umilkła, po jej twarzy przemknął cień.

– Przed czym?

Nova zamrugła.

– Zanim umarł – odparła. – Jesteś na tyle młoda, że nie możesz znać tej historii. I chyba zostawimy ją sobie na kiedy indziej.

– Moja mama też umarła, kiedy byłam mała – powiedziała smutno Nathalie.

– Ile miałaś wtedy lat? – spytała Nova.

Nathalie zastanowiła się.

– Dziwne, ale właściwie nie wiem. Kiedy pytam o to, tata mówi tylko, że byłam mała. Ale chyba nie mogłam być bardzo mała. Bo ją pamiętam. Pamiętam kogoś. Jakiś zapach, odczucie, widzę jakąś sylwetkę w drzwiach, słyszę śmiech, pamiętam... Chyba że pamiętam tylko moje sny o niej... – Nathalie chrząknęła. – Więc wiem, co to znaczy szukać odpowiedzi. Fajnie byłoby je dostać. A nikt mi nie chce ich udzielić, ani tata, ani, teraz, babcia. No więc tutaj jest bardzo fajnie, ale mój tata niedługo zacznie świrować, więc przyjedzie po mnie swoim wielkim czarnym samochodem, żeby mnie zabrać, nie pytając o zgodę. A zanim to się stanie, chciałabym chociaż odwiedzić tutejsze zwierzęta.

Zdała sobie sprawę z brzmiącego w jej głosie uporu i już tego pożałowała. Nie chciała wyjść na smarkulę. Wszyscy byli tu dla niej mili. Mogła pojechać do domu, kiedy zechce, sama postanowiła tu zostać.

Nova wstała od stołu. Na szczęście chyba nie wzięła jej tego za złe.

– Porozmawiam z twoją babcią – powiedziała. – Wiem, że zaplanowała dla ciebie coś specjalnego, chociaż nie mam pojęcia co. Jednak to oczywiste, że zdążysz odwiedzić zwierzęta. Może mogłabyś zadzwonić do taty i powiedzieć mu, że zostaniesz tu jeszcze trochę? Mam teraz spotkanie w mieście, ale chciałabym się jeszcze z tobą zobaczyć.

Nathalie przytaknęła.

Nova uśmiechnęła się i poszła. Dziewczynka spojrzała na swój telefon. Wiedziała, że nie zadzwoni do taty. Oczywiście. Lepiej będzie wysłać esemesa.

Jednak ostatni, jaki wysłała, nie był zbyt przyjemny, więc nie bardzo wiedziała, co zrobić, żeby jeszcze nie pogorszyć sprawy. Westchnęła i schowała telefon. Wkrótce wysła tego esemesa. Tylko nie teraz. Może bez problemu zostać tu jeszcze jeden dzień.

# TYDZIEŃ DRUGI

**MINA WPATRYWAŁA SIĘ** w ekran komputera, próbując się skupić, ale ciągle odpływała gdzieś myślami. Wczoraj najpierw nie mogła zasnąć, bo przez cały dzień rozpamiętywała spotkanie z ojcem Nathalie, a dziś nie mogła się obudzić.

W windzie w gmachu komendy ktoś przyczepił kartkę z tekstem:

*It's Monday! Time to SHAKE IT UP!*

Kartka zmięta w kulkę leżała teraz w jej koszu na śmieci.

Spojrzała na swoje dłonie. Drżały lekko. Tyle czasu i tyle energii poświęciła na to, żeby zostawić za sobą przeszłość. Tyle wspomnień, które zepchnęła gdzieś głęboko w tyle mózgu, wierząc, że nigdy nie będzie musiała do nich wrócić. Jednak życie w dziwny sposób przywoływało tę przeszłość. Wystarczyło, że wczoraj rano spotkała ojca Nathalie, żeby wymazać dziesięć ostatnich lat, przeszło dziesięć, poprawiła się. Nagle wróciły wspomnienia tego, co się wtedy wydarzyło. Wszystkiego, co jak sądziła, zostało pogrzebane do końca jej życia. Przecież taką zawarli umowę. A ona zapłaciła za to wysoką cenę.

Przez cały wczorajszy dzień wydzwaniała do matki, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Trudno było jej nie myśleć o tym, co matka mogła ujawnić Nathalie. Albo przed nią ukryć.

Mina sięgnęła po swoją komórkę i aktywowała GPS-a, żeby przynajmniej zobaczyć córkę z daleka, ale apka nie bardzo potrafiła określić, gdzie się znajduje nadajnik. Ostatnio działało się tak coraz częściej. Pewnie kończy się bateria. W końcu nadajnik długo leżał w plecaku dziewczyny.

Komórka w jej ręce zadzwoniła. Recepcja z wiadomością, że ktoś do niej przyszedł. Może mama w końcu zrobiła to, o co ją Mina prosiła, i jednak przyszła?

Widząc na wyświetlaczu jakieś nieznane nazwisko, zawahała się. Nie mama. Poczula nawet lekką ulgę, bo nie miała pewności, czy jest już gotowa na to spotkanie.

Sięgnęła po antyseptyczną chusteczkę i wytarła nią telefon. Następnie poszła do wind i zjechała do recepcji.

Czekała na nią jakaś elegancka kobieta. Mina zdążyła tylko pomyśleć, że nigdy jej przedtem nie widziała, gdy tamta otworzyła ramiona i ją uściskała.

– Mina! – zawołała. – Ależ się cieszę, że wreszcie cię spotykam!

Mina odniosła takie wrażenie, jakby w jej głowie eksplodowały wszystkie synapsy jednocześnie. Tysiące myśli, gdzie była ta kobieta, czy się umyła, czego dotykała, kogo dotykała... Poczła się, jakby milion bakterii pokrył jej ciało, a ta tuląca ją kobieta była żywicielem, który teraz przeniósł wszystkie swoje pasożyty na Minę, gdzie się będą mogły rozmnożyć ze wszystkim, co ze sobą niosą. Chciała się wyrwać, ale sterczała jak sparaliżowana, nie mogąc się ruszyć ani nic z siebie wydusić.

W końcu kobieta zrobiła krok do tyłu. Mina musiała powstrzymać odruch, by zedrzeć z siebie ubranie i nago z krzykiem pobiec pod najbliższy prysznic.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy... – odezwała się.

– Twoja mama tyle mi o tobie opowiadała! – przerwała jej tamta, posyłając jej promienny uśmiech, który sprawiał wrażenie wyuczonoego do pozowania.

Mimo tych panicznych uczuć Mina nie mogła nie zwrócić uwagi na urodę tej kobiety. Na jej długie ciemnobrązowe i gęste włosy opadające na plecy i białą jedwabną bluzkę. Duże niebieskie oczy efektownie kontrastujące z oliwkową cerą. Pozornie bez makijażu, bo ten był perfekcyjny. Zwracająca uwagę. I najwyraźniej była z tych, co się muszą obejmować.

Mina uzmysłowiła sobie jeszcze jedno. Chodziło o ten uśmiech. Pomyliła się, bo jednak wiedziała, kim jest ta kobieta.

– Mówisz moja mama? – Mina rozejrzała się dyskretnie, czy nikt nie słyszał. – Najlepiej będzie, jak pojedziesz ze mną na górę.

Otworzyła dla niej bramkę i zaprowadziła do windy.

– Przepraszam, myślałam, że cię uprzedziła o mojej wizycie – powiedziała tamta, jadąc na właściwe piętro. – Na imię mi Nova. Pracuję z twoją mamą. Czy raczej ona ze mną. Tak czy inaczej, jeszcze się nie spotkałyśmy.

– Rzeczywiście, pamiętałabym – odparła Mina. – Ale wiem, kim jesteś. Kilka lat temu miałaś prelekcję dla wydziału, w którym poprzednio pracowałam. Opowiadałaś o swoim stowarzyszeniu i o... Epsonie, tak? Tym filozofie?

– O Epikurze.

– Hm. Chodźmy do salki konferencyjnej.

Szybko przeszła korytarzem, żeby zabrać Novę z pola widzenia wścibskich kolegów.

– Pewnie się dziwisz, dlaczego przyszłam zamiast twojej mamy.

Mina słyszała zza pleców stuk obcasów Novy.

– Tak, zważywszy na to, że to do niej dzwoniłam – odparła oschle Mina, otwierając szklane drzwi salki konferencyjnej.

Nova usiadła i sięgnęła do leżącego na stole opakowania mokrych chusteczek.

– Mogę? Na dworze jest strasznie gorąco.

Mina skinęła głową. Musi pamiętać, żeby potem wyrzucić opakowanie, bo Nova go dotykała. Nie miało to już wielkiego znaczenia, bo i tak zainfekowana została wszystkim tym, co Nova mogła przynieść ze sobą. Nienawidziła, naprawdę szczerze nie znosiła ludzi, którzy koniecznie muszą się ścisnąć przy powitaniu.

Nova wyjęła jedną chusteczkę i przetarła szyję, żeby się ochłodzić. Następnie wytarła nią dłonie, zmięła w kulkę i celnie wrzuciła do najbliższego kosza na śmieci.

– A więc o co chodzi? – spytała surowo Mina. – Gdzie mama? I gdzie Nathalie?

Nie miała czasu na konwersacje, zresztą cała ta sytuacja była nie do zniesienia, bo nie mogła przestać myśleć o oczyszczeniu pod pryszniczem – może nawet o piaskowaniu.

– Twoja mama mi wszystko opowiedziała – odparła Nova z tym samym szerokim uśmiechem. – O tobie. O was. O Nathalie. Możesz spokojnie rozmawiać ze mną. Twoja mama... Znalazła się na życiowym zakręcie, bo właśnie poznała swoją wnuczkę. I nie jest jeszcze gotowa się z tobą spotkać.

Mina poczuła złość, zadawnioną złość, tak silną i palącą, że aż oczy zaszyły jej łzami.

– Nie obchodzą mnie jej zakręty życiowe, jakkolwiek to nazwiesz. Obchodzi mnie Nathalie. Jej ojca również. Domyślam się, że wiesz, kim on jest?

Nova przytaknęła.

– Tak, wiem, kim jest. Możesz mu przekazać, że nie ma powodu do niepokoju. Ale tu chodzi o proces uzdrowicielski, a to delikatna rzecz. Dla Nathalie byłoby znacznie gorzej, gdyby on się wtrącił albo ty, przerywając ten proces, który jak powiedziałam, dopiero się zaczął.

– Grozisz mi? Poważnie? Chyba wiesz, że mówisz do policjantki?

Nova westchnęła i pokręciła głową. Potem uśmiechnęła się łagodnie.

– Cokolwiek o tym sądzisz, twoja mama odbywa w tej chwili podróż w głąb siebie – powiedziała powoli. – Zmieniła swoje życie i stało się to wiele lat temu, jednak z dawnych czasów zostało jej sporo spraw, z którymi musi się uporać. Wszystko jest cierpieniem, a ból oczyszcza, jak mawiał mój ojciec. Nathalie jest częścią jej podróży. Tak samo jak ty.

– Nathalie jest niepełnoletnia – stwierdziła Mina. – Uważasz, że to etyczne, że moja matka kontaktuje się z nią bez zgody jej opiekuna prawnego? Jestem o włos

od złożenia doniesienia, że dokonałyście uprowadzenia.

Zmusiła się do kilku spokojnych oddechów. Nie może pozwolić sobie na wzburzenie, bo otworzy to pewne drzwi, a tego nie chciała. Spokój. Opanowanie. I ważne drzwi pozostają zamknięte.

– Uprowadzenia – powtórzyła po niej Nova. – Aha. Rozumiem, że bardzo cię wzburzyła sprawa zniknięcia tego dziecka. No tak, to zrozumiałe, że przez pewien czas będziesz patrzeć na świat przez taki filtr. I może masz rację, że należało skontaktować się z opiekunem Nathalie. Ale cóż, twoja mama dokonuje własnych wyborów. Nie mam na nie wpływu, chociaż mam swoje zdanie na ten temat. Jednak tak się to potoczyło, a twoja mama jest babcią Nathalie. Nie ma mowy o jakimkolwiek przymusie. Po prostu poznają się. Nathalie ma pełną swobodę ruchów, ale powiedziała, że chciałaby zostać jeszcze kilka dni. Przyszłam tu, aby cię prosić o zgodę na to. Obie tego potrzebują. Tylko ty możesz przekonać ojca Nathalie, żeby dał jej tę szansę. Ja nie mogę dzwonić do niego w tej sprawie. To możesz zrobić tylko ty. Przyjechałam, żeby patrząc ci w oczy, powiedzieć, że powinniście na to pozwolić. Myślisz, że to możliwe?

Mina wahała się. Była zła na matkę, która sprawiła jej zawód, nie mając odwagi tutaj przyjść. I bardzo pragnęła zniechęcić tę piękną kobietę w ciuchach tak świeżych, jakby upał na nią nie działał. Mina podejrzewała, że ta wilgotna chusteczka była w gruncie rzeczy obliczona na nią. Nova siedziała przed nią absolutnie... nieskazitelna, działając jej mocno na nerwy.

Mina musiała jednak choćby na moment rozważyć, czy babcia i wnuczka nie zmierają przypadkiem ku czemuś dobremu. Trochę zabolalo, że jej to nie objęło, ale co z tego? Z czasem może to się zmienić. No i był jeszcze ten nadajnik GPS. Westchnęła.

– Pozwól, że postawię sprawę jasno – powiedziała. – Nie wierzę ani trochę w to, czym się zajmują tacy jak ty. Rozwój osobisty, samopomoc, leczenie, uzdrawianie, wudu, jakkolwiek to nazwiecie. To są takie przytulanki dla osób, które nie mają siły borykać się z życiem. To, co robicie, wygląda dla mnie równie kiepsko jak to, co robią sekty.

Z przyjemnością zauważyła, jak uśmiech Novy nagle znika.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz – powiedziała Nova. – Część naszej działalności w ośrodku Epicura polega na deprogramowaniu osób, którym udało się opuścić sektę. Zainteresowałam się tym, kiedy jeden z uczestników mojego kursu opowiedział o swoich doświadczeniach z sekty w Knutby. Był jedną z osób, które odeszły stamtąd dość wcześnie. Czyli przed rozpętaniem się tam piekła. Zdałam sobie sprawę, że możemy zrobić coś pożytecznego, bo nasza filozofia umożliwia byłym członkom sekty powrót do w miarę normalnego życia.

– Albo do zamiany jednej sekty na inną – wtrąciła Mina.

– Mówię poważnie. Łatwo patrzeć z góry na ludzi, którzy dołączają do sekt. Uważa się, że są słabi, że dają sobą kierować. To za duże uproszczenie. Często chodzi po prostu o potrzebę więzi. Jeśli dziecko dorasta z rodzicem, który zachowuje się w sposób dla niego szkodliwy, powstaje u niego skrzywiony obraz ludzkich relacji. Skutkuje to oczekiwaniem, że będzie się gnębionym. Co potem zręcznie wykorzystują sekty. Ale może się stać przeciwnie. Ktoś mający dobre i bliskie więzi może wierzyć, że wszyscy są dobrzy, i dlatego staje kompletnie bezbronny wobec osób, które kierują się całkiem innymi motywami. Przecież to dotyczy nie tylko sekt, na pewno w swojej pracy obserwujecie to na co dzień.

– Ale w Szwecji właściwie nie ma sekt? – odezwała się Mina. – Poza Knutby, ale jej już...

– W Szwecji jest od trzystu do czterystu stowarzyszeń, które można zakwalifikować jako sekty – przerwała Nova. – Trzydzieści do czterdziestu z nich można uznać za destrukcyjne. Policja naprawdę powinna mieć w tej sprawie lepsze rozeznanie.

Mina nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Sięgnęła do opakowania wilgotnych chusteczek, ale przypomniała sobie, że Nova go dotykała, i cofnęła rękę. Zamiast tego wyjęła z kieszeni buteleczkę alkoholu.

Nova uśmiechnęła się do niej. Znowu.

– Co do samopomocy, to przecież chodzisz do AA – powiedziała. – Twoja mama mówiła mi, że przeszłaś przez program dwunastu kroków. Chcesz powiedzieć, że ci nie pomógł? Że sama byś sobie poradziła lepiej?

Mina zmarszczyła czoło. *Touché*. Racja. Wprawdzie przy okazji o mało nie zginęła, ale to nie wina AA, że Kenneth i Jane przypadkiem trafili tam na nią. AA okazało się jej wybawieniem, przez wiele lat było jej kołem ratunkowym. Zwyczaj, by tam chodzić i spotykać się z ludźmi mierzącymi się z takimi samymi wyzwaniem, bez poczucia, że jest jakimś zdefektowanym dziwolągiem, ale może liczyć na zrozumienie. Owszem, AA jej pomogło. Sama nie dałaby sobie rady.

– Okej, wygrałaś – odezwała się. – Spróbuję porozmawiać z ojcem Nathalie, ale jest warunek. Mama nie ma mojej zgody, żeby powiedzieć wszystko Nathalie. To nie jej sprawa.

Nova przytaknęła krótko.

– Zrobię, co będę mogła. I przepraszam cię za ten uścisk. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest nie na miejscu, zważywszy na... twoje osobiste preferencje.

Nova zerknęła na stół, gdzie wilgotne chusteczki leżały obok buteleczki alkoholu. Mina westchnęła. Dlaczego nie jest choć trochę bardziej normalna? Tolerancyjna dla brudu, jak inni ludzie? Choć oni na pewno są stale chorzy, wszyscy co do jednego.

– Na pewno masz mnóstwo roboty, sama trafię do wyjścia – powiedziała Nova, podnosząc się. – Porozmawiam z twoją mamą, a ty porozmawiasz z ojcem Nathalie, tak?

Nie była to rozmowa, na którą Mina by się cieszyła.

– Muszę cię odprowadzić i wypuścić – odparła. – Nie możesz sama stąd wyjść.

Była to prawda, przy okazji odwlecze w ten sposób telefon do ojca Nathalie. Zjechały windą.

– Jeszcze jedno – powiedziała, kiedy Nova już przeszła przez bramkę. – Następnym razem chcę się zobaczyć z mamą, a nie z tobą.

Wróciwszy do salki konferencyjnej, naciągnęła rękaw na dłoń, chwyciła paczkę chusteczek i wrzuciła do kosza na śmieci. Następnie sięgnęła po telefon. Jednak nie po to, by zadzwonić do ojca Nathalie. Wybrała numer, na który chciała zadzwonić od prawie dwóch lat, tylko szukała właściwego powodu.



– **CZEŚĆ, VINCENT**, to ja.

Vincent zastygł. Liczył sekundy, godziny, dni i miesiące, które upłynęły od chwili, gdy słyszał ostatnio ten głos. A teraz, kiedy zadzwoniła, okazało się, że był na to kompletnie nieprzygotowany. Odruchowo chciał poprawiać ubranie i fryzurę, upewnić się, że ma świeży oddech. A przecież nie widziała go i nie znajdowała się w pobliżu.

Zamrugnął powiekami, poczuł ciarki.

– Cześć, Mina – odpowiedział cicho i poszedł do swojego gabinetu.

Lepiej, żeby Maria go nie widziała i nie słyszała. Bo wiedział, że tak jak kiedyś, zarumienił się jak dziecko.

– Co słychać? – spytała.

Sądząc po lekkim napięciu w jej głosie, domyślił się, że zwrot grzecznościowy był tylko wstępem, bo właściwie chciałyby rozmawiać o czymś innym.

– Dzięki, auto sprawuje się jak trzeba, z żoną nadal kocham się co drugi miesiąc.

– Vincent!

– Przecież słyszę, że masz dla mnie coś ważnego. Dawaj.

– Okej. – Wydawało się, że się odprężyła. – Mógłbyś dziś po lunchu wpaść do komendy? Chciałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy o pewnej sprawie.

Vincent opadł ciężko na swój fotel biurowy, aż mu zaschło w gardle. W cztery oczy. Po lunchu. Czyli mniej więcej za godzinę. Wprawdzie nie miał planów na resztę dnia. W poniedziałki rzadko się coś działo. Ale... dziś? Już?

Oczy Miny.

Nie był na to gotowy. Serce mu waliło, jakby startowało w castingu na bębniarza w zespole rockowym. Tęsknił, a jednocześnie próbował nie tęsknić. Nie mieć nadziei. Aż tu nagle... dzisiaj?

Oczy Miny.

Teraz?

– Oczywiście – powiedział, udając obojętność. – Sprawdzę jeszcze w kalendarzu, ale chyba mam czas.

**RUBEN, JAK** to w poniedziałek, kupił w kawiarni za komendą swój zwyczajowy zestaw lunchowy – kanapkę i sok. Przedpołudnie spędził na przepisywaniu do komputera wszystkich notatek ze swoich przesłuchań podczas weekendu. W inny dzień tygodnia prawdopodobnie zjadłby lunch przy biurku. Ale to był poniedziałek, czyli dzień szczególny. A więc zjadł swoją kanapkę, idąc do babci. Taki był ich ustalony zwyczaj. Babci został tylko on, a Ruben, od kiedy był małym chłopcem, zawsze mógł na nią liczyć. Czyli teraz jego kolej. Dokumenty na temat Lilly Meyer mogą jeszcze poczekać trzy kwadransy. Ruben wypił resztę soku i wszedł do środka. Babcia Astrid jak zwykle czekała na niego w swoim pokoju.

– Cześć, babciu!

– Cześć, kochanie moje!

Jak zwykle jej twarz pojaśniała na jego widok. Nadstawiła pomarszczony policzek do pocałunku. Pachniała dokładnie tak samo jak zawsze. Świeżo uprana bawełna, lawenda i leciutka woń migdałów z ciasteczek, które trzymała w szufladce szafki nocnej.

– Przyniosłem trochę słodkości – powiedział, podtykając jej drugą zakupioną torebkę.

Jej ulubione drożdżówki z kremem waniliowym.

– Pasiesz mnie, utyję – biadoliła, gładząc się po chudym brzuchu.

Uśmiechnął się na ten żart. Oboje wiedzieli, że babcia składa się z samej skóry i kości, i już nigdy nie utyje. Ale dopóki jeszcze ma apetyt na migdałowe ciasteczka, Ruben nie widział powodu do niepokoju.

Usiadł na łóżku obok niej. Mógłby usiąść na stojącym w kącie podniszczonym fotelu, ale chciał być jak najbliżej babci. Czuć jej zapach, wspominać chwile w jej małym domku w Älvsjö, kuchnię, w której roztaczała się woń świeżo smażonych naleśników i dżemu truskawkowego domowej roboty. Byli tam tylko we dwoje. Spędził u babci wiele miesięcy wakacyjnych, gdy mama chciała pojechać na urlop z nowym facetem, bez uciepionego do niej nieznośnego bachora. U babci zawsze czekało na niego miejsce.

– Chcesz, żebym podzielił na pół?

Wskazał pytająco na drożdżówkę, ale babcia pokręciła głową.

– Życie jest za krótkie na to, żeby zjadać tylko pół drożdżówki – powiedziała, uśmiechając się.

Miała wciąż piękne, mocne zęby, z których zawsze była bardzo dumna. Ani jednej dziurki, mawiała, wskazując na swoje idealne uzębienie.

Położyła mu na nodze kościstą rękę, którą pokrywały starcze plamy.

– Opowiadaj, Ruben. Jak ci się wiedzie w tym życiu?

Zadawała to pytanie co tydzień. Nie wypytywała o pracę, dzięki czemu nie musiał opowiadać, jaki okropny bywa świat. Ciekawiło ją wszystko inne. I za każdym razem opowiadał jej bajki o swoim interesującym życiu bogatym w wydarzenia. Oboje wiedzieli, że to kłamstwa, ale pozwalała mu na to.

Dziś jednak nie chciał kłamać, tylko opowiedział o tym, jak poszedł do Ellinor. Babcia poklepała go po nodze.

– No cóż, ty wiesz, co ja myślę. Że głupstwo zrobiłeś, pozwalając odejść tej dziewczynie. Była nie tylko ładna, ale też fajna w środku. A ty byłeś młody i głupi. Z wami chłopakami często tak bywa.

– No tak, pewnie mam to po ojcu – odparł i jak zwykle, gdy była mowa o ojcu, w jego głosie pojawiał się ton lekkiej gorczy.

Ojciec zostawił jego i mamę, gdy Ruben był mały. Pojechał na jakąś konferencję, z której już nigdy nie wrócił do domu. Żył jeszcze, Ruben wiedział to z Facebooka. Jednak ani on, ani ojciec nie podjęli próby kontaktu.

Babcia Astrid nie odpowiedziała na tę uwagę. Dawno temu przestała tłumaczyć syna. Dokonał pewnego wyboru, a ona miała jego syna do kochania.

– I co, dobrze się powodzi Ellinor? – zaciekawiała się babcia. – Jest zamężna? Bo może jeszcze nie jest za późno, żeby...?

Ruben uśmiechnął się i ugryzł spory kęs drożdżówki. Poczł krem na zębach. Zupełnie jak wtedy, gdy był mały i zajadał drożdżówki w altance u babci, a połowa przyjemności polegała na zlizywaniu kremu z zębów.

– Nie wiem, czy jest zamężna. Prawdopodobnie. W każdym razie ma dziecko, przyszła jej córeczka i powiedziała „cześć”. I wiesz co, babciu, ta córeczka ma na imię Astrid. Tak się lubiłyście, pewnie dała jej to imię po tobie.

– Ojej, jak miło – zachwyciła się babcia. – Mała jest?

– Nie, ma może z dziesięć lat. Śliczna. Ma oczy jak Ellinor.

W oczach Astrid pojawiła się iskierka. Spojrzała na Rubena, mrużąc powieki.

– Nie masz jakiegoś zdjęcia? Z tego całego fejsboka?

– Ale jesteś ciekawska – zaśmiał się Ruben, sięgając po telefon. Zaczął szukać.

Nie było to trudne. Znalazł Ellinor, nadal używała panińskiego nazwiska. Na jej profilu było mnóstwo zdjęć córki. Ruben kliknął na takie, na którym miała na głowie wianek świętojański, rozradowane oczy i szeroki uśmiech.

– To ona. Prawda, że jest podobna do Ellinor? Choć nie tylko, jak widzisz, nie wiem, kim jest jej tata, ale na pewno ma również jego rysy.

Ruben zmarszczył czoło, przyglądając się zdjęciu z głową przy głowie babci. Może jednak zna tego tatę? Dziewczynka wyglądała dziwnie znajomo. Zostało mu trochę kremu na zębach, starł go palcem i potem z palca zlizął resztkę.

Babcia spojrzała na zdjęcie i się roześmiała. Potem wstała powoli i pokręciła głową.

– Ruben, jak na inteligentnego faceta jesteś strasznie tępy.

Z wysiłkiem podeszła do brązowej komody przykrytej koronkową serwetą, jednego z nielicznych mebli, które mogła zabrać ze sobą do domu opieki. Stało na niej mnóstwo zdjęć, głównie oprawionych fotografii Rubena z różnych okresów jego dzieciństwa. Wzięła jedną i kulejąc, podeszła do łóżka, gdzie siedział. A potem zestawiała ze zdjęciem dziewczynki.

Ruben zrobił wielkie oczy. Teraz już zrozumiał, dlaczego jej twarz wydała mu się taka znajoma.

**MINA BYŁA** w salce konferencyjnej sama. Od czasu ostatniego spotkania z Vincentem ściana przed nią była zapełniana, oczyszczana i ponownie zapełniana zdjęciami, dokumentami i słowami zanotowanymi pismem trudnym do rozczytania. Dotyczyły innych ofiar i innych losów. Zdjęcia domowej roboty konstrukcji iluzji zostały zapakowane i leżały gdzieś w zapomnieniu. Tamta sprawa wydawała się strasznie odległa, jakby wydarzyła się w innym życiu.

Wtedy było trudno stwierdzić, gdzie zaczynało się dochodzenie, a gdzie zaczynał się Vincent. Całość, jak się okazało, dotykała go głęboko i osobiście, chociaż początkowo tego nie zrozumieli. Tym razem rzecz miała się zupełnie inaczej.

Zamordowano dwoje dzieci.

Aż strach się zagłębić w taki mrok. Choć nie pierwszy raz stykała się z krzywdzeniem dzieci, przeciwnie. W takiej pracy było to aż nazbyt częste. Dzieci bite. Dzieci wykorzystywane. Dzieci żyjące w biedzie wręcz zawstydzającej w tak rozwiniętym społeczeństwie.

Tym razem chodziło jednak o morderstwa. A morderstwa dzieci nie zdarzały się często. I dlatego te przypadki po ich wyjaśnieniu były znane ogółowi. Helén zamordowana przez Ulfa Olssona. Engla zamordowana przez Andersa Eklunda. I Bobby zamordowany przez ojczyrna, któremu pomagała matka. Te i inne przypadki wryły się na zawsze w zbiorową pamięć szwedzkiego społeczeństwa.

Nieustające pytanie brzmiało: jak? Jak człowiek może być zdolny do takiego zła?

Mina nie była pewna, czy chce znać odpowiedź. Ludzie dokonujący takich rzeczy są potworami i tyle. Nie musi ich rozumieć. Musi ich tylko złapać. A teraz pracowali nad dwoma morderstwami dokonanymi w taki sam sposób. Sugerowało to działanie według pewnego schematu, którego właściwie wolałaby nie dostrzegać.

Ciekawa była, jak Vincent zareaguje, kiedy się dowie. Wprawdzie nie zamierzała prosić go o pomoc, zadzwoniła do niego z innego powodu. Jednak na pewno spyta ją, nad czym pracuje, a wtedy mu powie. Poza tym miał rodzinę, był ojcem. Mina była zdania, że żaden rodzic nie potrafi przejść obojętnie nad leżącymi przed nią zdjęciami Lilly i Ossiana. Cokolwiek by Vincent mówił, wiedziała, że nie jest tak racjonalny i nie panuje nad emocjami aż tak, jak by chciał to pokazać. Podczas ich krótkiej znajomości dostrzegła przebliski czegoś,

co sugerowało, że jest wprost przeciwnie. Wypatrzyła u niego całą otchłań emocji. Może nawet otchłań mroku.

Trudno byłoby jej wskazać dokładnie, kiedy człowiek dostrzega ruch kątem oka, a kiedy spojrzy tam, już go nie ma. Tak właśnie było z Vincentem. Nie potrafiła go uchwycić.

Nie żeby chciała. Nie chciała nikogo chwycić. Nawet nie liczyła, że kiedy przeciągnie palcem w prawo na Amira, Tinder obwieści: *It's a match*. Faktycznie podjęła ten kontakt, ale był to tylko wyraz kognitywnej terapii behawioralnej, nic innego. Jednak Vincent wymykał jej się za każdym razem, kiedy już myślała, że wyraźnie widzi jego kontury. A teraz, prawie dwa lata później, był jeszcze bardziej nieokreślony.

Jakaś część jej samej sprzeciwiała się głośno temu, co teraz uruchomiła. Lepiej byłoby nadal trzymać Vincenta z dala od siebie. A inna część, głębsza, niczego nie pragnęła tak bardzo jak tego, by mieć go w swoim pobliżu.

A Vincent właśnie do niej jechał.

Leżący na stole telefon zabrzączał. Przypomnienie, że jej gość przybędzie za kilka minut. Mina wstała i wyszła na spotkanie mentalisty.

**LEDWIE WSIADŁ** do taksówki, już zaczął się pocić. I to mimo że, jak widział, chłodzenie było ustawione na maksimum piętnaście stopni. W tej taksówce nawet pingwin czułby się dobrze. Jednak Vincent wiedział, że jego pocenie się nie jest skutkiem upału, tylko nerwów. Sama myśl o Minie uruchomiła w nim cały rój motylków.

Tak nie może być. Powinien pomyśleć o czymś innym, w przeciwnym razie dojedzie na miejsce jako wrak człowieka. Wjeżdżając pod górę do Tyresövägen, taksówka wzięła zakręt trochę za szybko i Vincent przez chwilę już widział oczyma duszy, jak Mina odwiedza go w szpitalu.

Wypadek samochodowy.

Ostatnio chyba była mowa o jakimś wypadku samochodowym? Mijali miejski autobus z reklamą tabletek na ból głowy ze zwięzłym tekstem: *Boli?*

Ból.

Właśnie, o bólu też było. Kto... No właśnie. *Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza.* Nova zacytowała te słowa, kiedy widział ją w telewizji w ostatni piątek. Uczestniczyła w wypadku samochodowym, w którym straciła ojca. Tego samego, który miał coś wspólnego z epikureizmem.

Całkiem odpowiednia dystrakcja. Vincent wyjął smartfon i odszukał stronę Epicury. Ładna, nowoczesna i z dobrym handlowym logo.

Przesunął palcem, omijając szereg filmików, na których Nova tłumaczyła różne rzeczy, i w końcu dotarł do swego rodzaju deklaracji programowej epikureizmu.

*Imperatyw Epikura na nowe czasy jest ten sam co zawsze: pozwól sobie tylko na taki niepokój, który przemija, podobny komecie mijającej gwiazdę. Szybko i niezauważenie. Życie w spokoju to życie, które oczyszcza. Nader starannie unikaj wszelkiego bólu i nie miej pragnień, bo dopiero życie bez pragnień jest życiem, które jest wolne od cierpienia, dzięki czemu będziesz mógł cieszyć się sukcesem, gdy już osiągniesz Wszystko*

*John Wennhagen*

John Wennhagen. Ojciec Novy. A jednak dobrze zapamiętał jego nazwisko. Domyślał się, że umieszczenie na eleganckiej stronie Epicury tej nieco

bełkotliwej i niedzisiejszej deklaracji programowej miało być hołdem Novy dla ojca. Vincent przeczytał ten tekst dwukrotnie, ale nie stał się od tego dużo mądrzejszy.

– Szanowny panie, jesteśmy na miejscu – odezwał się z przesadną uprzejmością kierowca, zerkając na niego w lusterku wstecznym.

Vincent zorientował się, że samochód stoi od dłuższej chwili. Zapłacił, ze zdenerwowania nie zwracając uwagi na taksometr, i wysiadł. Słońce świeciło wprost na fasadę gmachu komendy policji, dlatego nie mógł zajrzeć przez wielkie okna na parterze. Wiedział jednak, że ona tam stoi i czeka na niego. Czuł, że tam jest. To znaczy, oczywiście, że nie czuł. Na jego odbiór rzeczywistości wpływał wywołany telefonem Miny hormonalny koktajl z serotoniny, dopaminy, kortyzolu i adrenaliny. Głupio byłoby pomylić emocje z tą rzeczywistością. Mimo swej szerokiej wiedzy sam nie rozumiał, dlaczego Mina tak na niego działa. Gdzieś w środku liczył, że może on również działa na nią w ten sposób.

Vincent najczęściej znajdował naukowe wyjaśnienia dla swojego rozumowania, ale tym razem emocje przeważały nad sumą poszczególnych elementów. W przypadku Miny i uczuć, jakie w nim wzbudzała, było coś, co nie dawało się wytłumaczyć. A teraz ona jest tam w środku i zaraz ją zobaczy.

Chrząknął, bo nagle zaschło mu w gardle. Sprawdził swoją marynarkę, zdjął z rękawa włos Marii. Pożałował, że włożył garnitur. Następnie wszedł po schodach i otworzył drzwi. Mina czekała tuż za nimi.

– Hej – powiedziała, gdy wszedł. – Dawnośmy się nie widzieli.

– Hej – odparł, niezdolny powiedzieć nic więcej.

Prawie zapomniał. Jej czarne włosy, dłuższe, niż kiedy widział ją ostatnim razem, chociaż nie na tyle długie, aby związała je w koński ogon jak dawniej. Ciemne oczy i czerwone pełne wargi. Biała letnia koszulka, którą – jak wiedział – zamieni na golf, gdy tylko pozwoli na to pogoda. I jeszcze drobna zmarszczka między brwiami. Przede wszystkim jednak jej spojrzenie. Zakreśliło mu się lekko w głowie.

Już nie była fikcyjną postacią z piedestału, bo miał ponownie przed sobą osobę z krwi i kości. Ale to jeszcze pogorszyło sprawę.

Do tej pory myślał, że świetnie radzi sobie w życiu bez niej, że włożywszy wspomnienia do mentalnego schowka, zrobił krok dalej. Zdał sobie sprawę, jak bardzo się mylił. Te oczy, które teraz patrzyły na niego badawczo, stale mu towarzyszyły. Była przy nim codziennie, w każdej jego myśli. A teraz stała przed nim cała i zdrowa.

– Jak... jak ci się powodziło? – wykrztusił w końcu. – Wskazał na jej cienkie białe rękawiczki z plastiku. – Są nowe. Pogorszyło ci się?



Koncertowy idiota. Akurat o tym miałyby z nim rozmawiać w pierwszej kolejności. Ale Mina się tylko zaśmiała.

– Nie, nie, po prostu miałam do czynienia ze zdjęciami – powiedziała. – Nie chciałam zostawić odcisków palców. Mam nadzieję, że to dla ciebie okej, żeby tutaj przyjechać? Nawiasem mówiąc, ładny garnitur, ale czy nie jest ci w nim za gorąco?

Vincent zaczerwienił się i zdjął marynarkę. Mina nawet nie wiedziała, ile ma racji.

– Maria się chyba ucieszyła, że tu pojechałem – powiedział. – Otwiera sklep internetowy i bardzo ją to teraz zajmuje.

Umilkł. Patrzyli na siebie. Gdyby tylko wiedział, co ona myśli. Z jednej strony miał wrażenie, że jest dokładnie tak jak kiedyś, z drugiej strony ani trochę. W ciągu dwudziestu miesięcy ludzie mogą zdążyć się pobrać, sprawić sobie dziecko i się rozwieść. Vincent nie był tym samym człowiekiem co wtedy. A Mina nawet na pewno.

A jednak.

Zerknęła w jedną stronę. Potem w drugą. Jakby szukała czegoś. Jakiejś myśli, a może jakichś słów.

– No więc... jedziemy na górę? – spytała.

Przepuściła go przez dobrze mu znane bramki, a potem wsiedli do windy, żeby podjechać do salki konferencyjnej. Wydało mu się, że kiedy wchodzili do windy, dostrzegł jakiś błysk w jej oczach, jakby chciała wspomnieć o pewnej wspólnej jeździe windą, jednak nic nie powiedziała.

– Ćwiczyłem, w razie gdybyś się zastanawiała – powiedział.

A potem uzmysłowił sobie, jak mogła to zrozumieć.

– To znaczy... chodzi o... windę... a nie, że chodzę na siłownię... byłoby dziwne, gdybym to powiedział, chociaż rzeczywiście... chyba tutaj wysiadamy?

Drzwi windy otworzyły się, ratując Vincenta przed dalszym pogrążaniem się. Zakasłał mocno i wysiadł pośpiesznie, zanim Mina mogła dostrzec, że się zaczerwienił.

W salce konferencyjnej leżały zdjęcia i dokumenty rozłożone przez Minę w dwóch równych rzędach. Vincent skupił się na nich. Oznaczyła rzędy imionami: Lilly i Ossian.

– Oglądałem konferencję prasową o nim – powiedział, pokazując zdjęcie chłopca.

– Tak – przytaknęła. – Masz jakąś wiedzę na temat zaginionych dzieci?

– Wiem tylko, że co roku w Szwecji uznaje się za zaginione setki dzieci, ale to wszystko.

– Zgadza się – powiedziała. – Media chętnie koncentrują się na zaginięciach dzieci, które przybywają do nas same, bez rodziców, ale prawda jest taka, że jest jeszcze więcej zaginięć dzieci z rodzin uchodźców. Bardzo to zagadkowe. I nigdy nie są odnajdywane.

– Handel ludźmi?

– Bardzo często. To straszne. Jednak większość dzieci, których zaginięcie zostało zgłoszone, wraca, i to w ciągu kilku godzin.

– Czyli Ossian też wrócił? – spytał Vincent, pokazując znów palcem.

Mina pokręciła głową i zmarszczyła brwi. Vincent nie był pewien, co to znaczy, ale nagle przyszedł mu do głowy Aston i poczuł gulę w brzuchu.

– Ossian został znaleziony w sobotę rano – powiedziała cicho. – Był martwy od kilku godzin. To samo wydarzyło się zeszłego lata z Lilly. Dwoje dzieci w ciągu roku. Z czysto statystycznego punktu widzenia jest to skrajnie nienormalne. Dlatego sprawdzamy, czy między tymi sprawami jest jakiś związek.

Zmrużył oczy, patrząc na zdjęcia. Lilly. Ossian. Mógłby to być Aston sprzed kilku lat. Ciężko mu się oddychało, jakby powietrze zostało wysane z pomieszczenia. Vincent wyciągnął rękę po jeden ze skoroszytów, ale Mina położyła na nim dłoń.

– Uwierz mi, że wolałbyś nie oglądać tych zdjęć.

Nadal szukał sposobu, jak z nią rozmawiać, i ciągle nie mógł trafić na właściwą ścieżkę. Starał się być delikatny, bał się założyć, że wszystko będzie jak dawniej. Jednak dochodzenie dostarczyłoby im przynajmniej neutralnego tematu do rozmowy.

– A więc w czym potrzebujecie mojej pomocy? – spytał. – Oczywiście chętnie pomogę. Nie mogę się doczekać tych bezsennych nocy wypełnionych lekkim strachem. Wręcz mi ich brakowało.

Uśmiechnął się delikatnie, ale Mina wyglądała na speszoną, a wreszcie na zażenowaną.

– Przepraszam, to nie tak – powiedziała. – Nie chodzi o... nie jesteś nam potrzebny... to znaczy nie przy dochodzeniu. Nie ma tu nic dla ciebie. Właściwie nie powinienś nawet tego oglądać. Chciałam tylko zabrać swoje rzeczy.

Wzięła ze stołu telefon i pęk kluczy. Zdjęcia i skoroszyty zostawiła, podobnie jak otwarty laptop – znak, że nie planuje zbyt długiej nieobecności. Przytrzymując jej drzwi przy wyjściu, Vincent starał się nie okazać zawodu. Odruchowo założył, że powodem jego wizyty są materiały, które mu pokazała. Że znów będzie uczestniczył w jej świecie. Jednak skończyło się, zanim się jeszcze zaczęło.

– Chciałabym porozmawiać z tobą o czymś innym, to... prywatna sprawa – wyjaśniła, a jemu serce znów zaczęło walić w piersi.

Przystanęła, spojrzała mu w oczy, potem znów spuściła wzrok. Cokolwiek to miało być, najwyraźniej niełatwo przychodziło jej o tym mówić.

– Chodzi o moją córkę – powiedziała. – Na imię ma Nathalie. Chyba widziałeś kiedyś jej zdjęcie na moim biurku. Przejdziemy się?

– **PODOBAŁ CI SIĘ** wykład?

Nathalie poczuła się zakłopotana. Nie chciała być nieuprzejma, ale nie bardzo słuchała tego, o czym Nova mówiła w sali konferencyjnej. Miło ze strony Novy, że ją zaprosiła, chociaż był to płatny wykład dla jakiejś firmy. Nathalie poszła tam właściwie tylko po to, żeby mieć co robić w oczekiwaniu na babcię. Poprawiła pasek na plecaku, żeby uniknąć odpowiedzi.

– W porządku, nie musisz nic mówić – zaśmiała się Nova. – Domyślam się, że dla nastolatki ten temat musiał być śmiertelnie nudny. Zwłaszcza że nie przeszłaś wiele z tego, co w życiu bywa bolesne, a co sprawia, że pojawia się taka potrzeba.

– Myślisz, że jestem rozpuszczoną smarkułą, której wszystko podano na talerzu? – odpysknęła Nathalie.

Od razu zrobiło jej się głupio.

– Sorry – mruknęła, usiłując dotrzymać kroku Novie, która ruszyła szybko w stronę dużego budynku znajdującego się kawałek za budynkiem głównym.

Do tej pory widziała go tylko z pewnej odległości. I konie pasące się na łące przed tym budynkiem. Tata nie pozwalał jej jeździć konno, chociaż prosiła i błagała, kiedy była mała. Uważał, że to drogi sport, czasochłonny, niebezpieczny i elitarny. To ostatnie brzmiało prawie jak żart, zaważywszy na to, kim jest. Zamiast tego dostała chomika karłowatego. Nazwała go Lisa i bardzo rozpaczała, kiedy po zaledwie trzech tygodniach znalazła go martwego pod stertą siana.

– Przepraszam cię, byłam niesprawiedliwa – odezwała się Nova miękko, nie przestając iść w stronę stajni.

– W jakim sensie?

Potknęła się o wystający z ziemi korzeń.

– Oczywiście wiesz, co to cierpienie. I żałoba. Wiem, że straciłaś mamę. Doświadczyłam tego samego.

Nathalie tylko kiwnęła głową. Nie była przyzwyczajona, żeby rozmawiać o мамie. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią o мамie. Zwłaszcza tata.

– O, jest Ines! – powiedziała wesoło Nova.

Babcia Nathalie szła w ich stronę szeroko uśmiechnięta i z rozłożonymi ramionami. Jeśli Nathalie była trochę urażona długą nieobecnością babci, teraz jej to przeszło. Pozwoliła się objąć i odpowiedziała równie szerokim uśmiechem.

– Hej, Nathalie! – odezwała się babcia. – Przepraszam cię, byłam bardzo zajęta. Mam nadzieję, że to cię pocieszy.

Nova położyła dłoń na ramieniu Ines, po czym odeszła w stronę budynku głównego, a Ines poprowadziła Nathalie dalej. Nagle babcia zatrzymała się, a Nathalie rozpromieniła się, gdy zobaczyła, o co chodzi. Sześć koni pasło się na położonym opodal pastwisku. Serce zabiło jej szybciej. Zawsze kochała konie. Piękne, dzikie, odważne i wolne, czyli będące wszystkim tym, czym ona nie była.

– Chodź.

Babcia wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą, podbiegając w stronę koni, które uniosły łby, wietrząc i strzygąc uszami. Następnie wszystkie zwróciły się do Ines i Nathalie, zbliżając się do ogrodzenia. Wystawiały głowy, przepychając się i potracając wzajemnie, aż Ines przywitała się z nimi, głaszcząc je wszystkie.

– Chcesz wejść ze mną do środka? – spytała, wskazując głową na furtkę w ogrodzeniu.

Serce waliło w piersi Nathalie. Nie była obyta z końmi, wielbiła je z daleka. Poczula lekkie ukłucie strachu przed ich rozmiarem i zawahała się. A potem energicznie kiwnęła głową. Ufała babci.

– No pewnie.

Wsunęły się do środka, gdzie konie od razu otoczyły je, trącąc pyskami.

– Spokój, spokój – mówiła ze śmiechem Ines, sięgając do kieszeni kurtki po marchewki i kawałki jabłek. – Masz. – Podała kilka wnuczce. – Te łapówki to najlepszy sposób, żeby cię pokochały.

Nathalie zaczęła je karmić, starając się, żeby było sprawiedliwie. Jeden koń był nieco mniejszy od pozostałych, ale nadrabiał tupetem, przepychając się bezczelnie i łapiąc kawałki sprzed nosa większym kolegom. Nathalie uśmiechała się, chociaż miała ciarki, bo z tak bliska widziała, że mają naprawdę ogromne zęby.

– To Mascot, nasz mały chuligan.

Nathalie podrapała go po pysku, a konik przycisnął się do niej z oddaniem. I wtedy spadła na nią fala emocji. Wszystkie niewypłakane łzy wezbrały jak rzeka, rozbijająca wszelkie zapory. Konie jakby rozumiały, co się dzieje, stając blisko niej, przyciskając miękkie pyski, dzieląc się bliskością i spokojem, dając jej poczuć wszystko to, na co sama sobie nigdy nie pozwoliła.

Płakała z tęsknoty, złości, smutku i frustracji. Z powodu niewypowiedzianych pytań i zamkniętych drzwi, których nie pozwolono jej otworzyć. Pytań o mamę. O babcię. O to, kim jest.

Znalazła się w objęciach babci. Dziwnie jej było, że oto obejmuje ją mocno obca kobieta i otacza je stadko koni. Chociaż nie, nie dziwnie, poprawiła się, gdy

Mascot przytknął suchy pysk do jej policzka. Właściwie przeciwnie. Jakby wreszcie odnalazła drogę do domu.

Po dłuższej chwili, która zdawała się wiecznością, Ines rozluźniła uścisk.

– Musimy już wracać? – spytała Nathalie. Wolałaby zostać z końmi.

– Nie, nie wracamy – odparła Ines. – Idziemy dalej.

W jej głosie nastąpiła dziwna zmiana. Zniknął miękki ton, do którego Nathalie zdążyła się już przyzwyczaić.

– Udamy się w miejsce, do którego wstęp mają tylko najbardziej wtajemniczeni – powiedziała.

Pociągnęła za niebieską gumkę, puściła, a gumka strzeliła mocno o czerwoną krechę na przegubie, podczas gdy babcia spojrzała Nathalie prosto w oczy.

– Zabierz swoje rzeczy, bo nie wiem, czy tutaj wrócisz.

Mimo letniego upału i ciepła bijącego od koni Nathalie poczuła nagle, że robi jej się zimno.

**POSZLI NA SPACER** do Rålambshovsparken. Poprzednim razem park był pokryty śniegiem, a Vincent opowiadał jej, na czym polega *Bullet catch*. Teraz świeciło słońce, mocno, jakby chciało wypalić ziemię. W cieniu pod drzewami, gdzie było nieco chłodniej, tu i ówdzie ludzie rozłożyli się na trawie, urządzając sobie piknik.

Poszli brzegiem do pomostów. Wtedy nie było łodzi, teraz ich białe kadłuby tłoczyły się przy pomostach podobne do białych liści na pniu drzewa. Mina była ciekawa, czy Vincent ma łódź. Jeśli już, to na pewno motorówkę. Jakoś nie wyobrażała go sobie ściągniętego szoty albo składającego żagiel. Uzmysłowała sobie, że wciąż nie spytał jej o Nathalie. Wyraźnie czekał, co ona powie. A Mina miała do niego tyle pytań i to o rzeczy niemające nic wspólnego z Nathalie. Choćby dlaczego się do niej nie odzywał. Co się u niego działo. Chciała mu opowiedzieć, co u niej, ale nie wiedziała, jak zacząć. A więc zaczerpnęła tchu i zaczęła mówić o córce, żeby nie stracić resztki odwagi.

– Wczoraj rano skontaktował się ze mną ojciec Nathalie – powiedziała. – Ona mieszka z nim. Ani ja, ani moja mama nie mamy z nimi żadnego kontaktu. Jednak w ostatnią sobotę moja mama nawiązała kontakt z Nathalie, która od tamtej pory jest z babcią.

– A opowiadasz mi o tym, bo...?

– Zakładam, że wiesz, kim jest Nova? – spytała.

Vincent uniósł brwi i przytaknął.

– I to bardzo dobrze – powiedział. – Faktem jest, że...

– Spotkałam się z nią dziś rano – przerwała mu. – Mama mieszka w jej ośrodku kursokonferencyjnym, najwyraźniej współpracują. I Nathalie jest tam teraz. Jej ojciec szalał, kiedy zniknęła, moim zadaniem jest uspokoić go. Tymczasem nie wiem, czy sama nie powinnam się martwić.

Vincent zaśmiał się. Mina zmarszczyła czoło. Nie takiej reakcji się spodziewała. Choć przecież śmiech jest dobry. Na pewno lepszy niż jego przeciwieństwo.

– Nova była w piątek w telewizji – powiedział. – A jadąc tu, w taksówce czytałem na temat Epicury. Teraz ty o nich mówisz. Ile byłoby szans na taki zbieg okoliczności?

– Mistrz Mentalista powinien to łatwo wyliczyć – odparła. – Chyba że wynika to z faktu, że ta cała Nova wydaje się pojawiać absolutnie wszędzie. Niezależnie

od tego, czy jej obecność jest pożądana, czy nie.

– A wracając do babci Nathalie – ciągnął Vincent. – Czyli nie przywidziało mi się w tamten piątek. Wydałyście mi się podobne, ale już myślałem, że poniosła mnie wyobraźnia. Twoja mama ma na imię Ines, prawda? Ona też była wtedy w tym programie.

Minie zrobiło się ciepło na sercu.

– Więc... ty... myślisz o mnie, oglądając telewizję? – spytała.

Vincent zakasłał.

– To znaczy ja... eee – jąkał się. – To brzmi bardzo... mam na myśli, kiedy to powiedziałaś... naprawdę nie to chciałem...

Cały on. Vincent, jakiego pamiętała. Ciągłe się bał, że palnie gafę, bo nie potrafił się odnaleźć w towarzystwie. Jednak ją zawsze widział taką, jaka jest.

– Uspokój się – powiedziała. – Żartowałam.

W pierwszej chwili, zaskoczony, nie odpowiedział.

– Oglądałem cię częściej przedtem, zanim zepsuła się kamera, którą zainstalowałem w twoim mieszkaniu – zareplikował w końcu.

– Fe, Vincent. Przerażasz mnie.

Mentalista zrobił bardzo zadowoloną minę.

– Tak czy inaczej – ciągnęła. – Moja mama. No więc dostaję wysypki od takich organizacji. W gospodarstwie na wsi prowadzą kursy z rozwoju osobistego. Mnie wygląda to na sektę. Powiedziałam to Novie.

– I co ona na to?

– Że to nie sekta, oczywiście. Jednak bardziej ciekawi mnie, co ty mógłbyś powiedzieć na ten temat. Bo zakładam, że się orientujesz, co ona robi, choćby jako twoja koleżanka. Przecież jest prelegentką jak ty. Czy powinnam się niepokoić o Nathalie?

Vincent wyglądał, jakby się głęboko zastanawiał. Alejka skrzyła pod ostrym kątem, doprowadzając ich do dużego parkowego amfiteatru.

– Tak jak powiedziałaś, rzeczywiście wpadłem na nią kilka razy z okazji różnych wykładów. Wydaje mi się, że ona ma interesujące spojrzenie, w dzisiejszych czasach nie ma zbyt wielu prelegentów mówiących o filozofii. Ale nie mógłbym powiedzieć, że jesteśmy znajomymi. A na temat Epicury wiem jeszcze mniej.

– Okej, ale wiesz, jak funkcjonuje ludzka psychika. W dodatku lepiej niż ktokolwiek, kogo znam. Czy to będzie dobre dla Nathalie?

– Z tego, co wiem, to Epicura zajmuje się głównie kształceniem liderów. A pomijając to, że najwyraźniej obwołali Novę swoim guru, to nie pasuje do nich klasyczny wzorzec sekty. Począwszy od tego, że istotnie deprogramują byłych członków sekt. Z kolei samorozwój to po prostu samorozwój. Nathalie, mam



nadzieję, może się nadal spotykać z innymi? Może pojechać do domu, kiedy zechce? Nie zaczęła rozdawać swoich rzeczy albo ciągle powoływać się na słowa Novy? Wydaje się zestresowana psychicznie i wyczerpana? Zmęczona i labilna?

– A skąd ja mam wiedzieć? Umknęło ci, że mieszka na stałe z ojcem? Nie mam pojęcia, nie mamy kontaktu ze sobą. Rozmawiamy jednak o nastolatce. Można zatem założyć, że sytuacja wyjściowa to zmęczenie i labilność.

Doszli do amfiteatru, Vincent usiadł na betonowej ławce. Otworzył teczkę i wyjął z niej dwie butelki wody. Jedną podał Minie, która wpatrzyła się w nią, starając się nie myśleć o wszystkich rękach, które jej dotykały, zanim trafiła do teczki Vincenta. Przytknięcie do niej ust byłoby pewnie równoznaczne z oblizaniem dłoni dwudziestu facetów.

Vincent pogrzebał w teczce i wyjął paczkę słomek. Odetchnęła. Pamiętał.

Z wdzięcznością otworzyła butelkę, włożyła słomkę i napiła się chłodnej wody. Najchętniej oblałaby nią twarz, aby przynajmniej na chwilę zwalczyć uczucie gorąca.

– Epicura, podobnie jak inne ruchy propagujące samorozwój, na pewno cechuje się nieco za dużym wzmożeniem – powiedział Vincent, wypiwszy spory łyk wody. – Ale jeśli Nathalie jest osobą poszukującą, to mogłaby trafić znacznie gorzej. Albo epikureizm okaże się czymś odpowiednim dla niej, albo się znudzi. Nie dostrzegam w ich ideach nic szkodliwego. Jednak w moim pojęciu ona jest mentalnie trochę za młoda na taki ruch. Twoja mama na pewno chce jak najlepiej. Ale może dobrze, żebyś z nią porozmawiała. Jedź tam, sama zobacz.

– To niemożliwe – odparła, patrząc w dół na butelkę. – Przed tym weekendem Nathalie nawet nie wiedziała, że ma babcię. I wciąż nie wie, że ma mamę.

W jednej chwili poczuła się słaba, najchętniej oparłaby głowę na jego ramieniu, potrzebowała jego czysto fizycznego wsparcia, tylko że nie byli na tym etapie. Jeszcze nie. Może kiedyś. Ale jeszcze nie. W dodatku nie wiedziała, co on pomyślał po jej ostatnich słowach.

A Vincent wstał i się rozejrzył.

– Właśnie, co do Novy, dobrze, żebyś wiedziała. Ona jest z tych ściskających się.

– Dzięki. To informacja, która by mi się przydała kilka godzin temu.

Mina zastanawiała się czasem, czy może powinna sobie zamówić koszulkę z napisem „Stop! To moje ciało!”. Że też niektórym ludziom tak trudno zrozumieć, że takie obejmowanie ni stąd, ni zowąd nie jest okej. Nawet stanie za blisko.

– Mam wrażenie, że nadal pachnę jej perfumami – powiedziała.

Vincent nachylił się, jakby chciał ją powąchać, ale najwyraźniej przyszła mu do głowy lepsza myśl i cofnął się o krok.

– Naprawdę lubię ten park – powiedział nagle. – Wiedziałaś, że to jeden z pierwszych funkcjonalistycznych parków w Sztokholmie? Zaprojektowany od początku pod kątem tego, jak ludzie będą z niego korzystać, a nie, żeby był możliwie jak najpiękniejszy. Z czasem oczywiście wszyscy zaczęli tak projektować, w środowiskach architektów nazwano to nawet stylem sztokholmskim. Jednak Erik Glemme i Holger Blom byli pierwsi, projektując ten park już w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Betonowy amfiteatr, alejki wytyczone dokładnie tam, gdzie powstałyby w sposób naturalny. I płaski krajobraz. Spójrz tam.

– A związek tego z Epicurą jest jaki? – spytała, ale spojrzała.

Nieco dalej grupka młodych ludzi z obnażonymi torsami rozgrywała zaimprovizowany mecz piłkarski.

– Nie byłoby to możliwe, gdyby tu było mnóstwo drzew, krzewów albo pagórków – zauważył zachwycony Vincent.

Widocznie rozmowa na temat Epicury popadła w chwilowe zapomnienie. Mentalista pograżył się we własnych myślach, jak wiele razy przedtem. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Takiego Vincenta pamiętała. Faceta, który nie rozumiał, że może być za dużo informacji. Patrzyła na niego bez jakiegokolwiek zamiaru przerwania mu.

– Kto powiedział, że park nie może być praktyczny? – ciągnął Vincent. – Zresztą jest tu kilka dość zwariowanych rzeźb.

– Przejście od Novy przez architekturę parkową do rzeźb zabrało ci dziesięć sekund – stwierdziła Mina. – Tak, żebyś wiedział. To chyba rekord nawet jak na ciebie. Co z tymi rzeźbami?

– Chodź.

Vincent ruszył w stronę grających w piłkę. Mina nie miała innego wyboru, jak iść za nim.

Na trawniku istotnie stała wielka rzeźba z brązu. Na pewno miała przeszło trzy metry wysokości. A jednak Mina nigdy nie zwróciła na nią uwagi. Osłoniła dłonią oczy, żeby objąć spojrzeniem całość. Przypominała wbite w ziemię ostre nożyce z siekierą zamiast uchwytu. Albo, przypuszczała, jakieś stworzenie o dwóch wystylizowanych nogach z siekierą zamiast głowy.

– Jest ich więcej, ale to moja ulubiona – powiedział Vincent. – Zatyłowana *Pomnik człowieka z siekierą*. Jej autor, Eric Grate, chyba był dość osobliwy. Wykonał również rzeźbę dla szpitala Karolinska, okazała się tak kontrowersyjna, że początkowo jej nie chcieli, ale w końcu i tak stanęła przed głównym wejściem. A ta jest wciąż zagadką. Nikt nie wie, co rzeźbiarz chciał przez to powiedzieć. Są teorie, że to aluzja do hedonistycznego stylu życia. Widzisz tego fallusa na środku? Niektórzy sądzą, że ta rzeźba to modlitwa do bogini płodności.

Vincent zadarł głowę, patrząc na obuch siekiery, i chyba zatracił się w rozbłyskach promieni słonecznych na brązie. Mina widziała, że jeszcze nie skończył. Jednak nawet jak na Vincenta było to strasznie pogmatwane. Podejrzewała, że próbuje mówić o czymś innym. O czymś, czego jeszcze nie nazwał. Czekala, ale nic się nie działo.

– A więc bogini płodności, tak? – odezwała się.

Vincent kiwnął głową, nie odrywając wzroku od rzeźby.

– Myślę, że Maria ma romans – powiedział.

Mina nie umiałaby powiedzieć, co spodziewała się usłyszeć, ale na pewno nie to.

– Z Kevinem – ciągnął. – To facet, który pomaga jej uruchomić ten biznes.

Mina nie powstrzymała się i wydała z siebie krótki śmiech, prawie jak szczeknięcie.

– Przepraszam – powiedziała. – Kevin? Brzmi jak instruktor od tenisa.

Vincent się nie uśmiechnął.

– Chcesz, żebym go sprawdziła? – spytała. – Nie wiem, co da się zrobić, ale...

– Nie, nic z tych rzeczy – odparł, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. – Nie chcę nic wiedzieć. To co, skończyliśmy z tą rzeźbą?

Mina przytaknęła, znów ruszyli przed siebie przez park.

– Dlaczego nie chcesz wiedzieć? – spytała, pijąc z butelki przez rurkę.

Vincent wzruszył ramionami. Mimo że słońce przypiekało, dobrze jej było tak chodzić razem z nim. Mogła sobie wyobrazić, że mają przyjemniejszy powód do spaceru niż ten, że jej starannie przez dziesięć lat budowany domek z kart właśnie się rozsypuje albo że Vincent traci swoją żonę.

– Jeśli rzeczywiście ma romans, skutki mogą być dwojakiego rodzaju – odparł. – Albo będzie to dla niej swego rodzaju rozbieg i zostawi mnie dla niego. Wtedy dowiem się o tym w swoim czasie. Rzecz jasna poczuję się rozczarowany i zdradzony, ale to poczucie nie będzie mi towarzyszyć równie długo, niż gdybym wiedział o tym z wyprzedzeniem. Nie ma powodu martwić się na zapas, jeśli coś i tak ma się zdarzyć. Albo jest tak, że ona teraz potrzebuje tego romansu, który jednak skończy się tym, że wróci do mnie. W takim razie lepiej, żebym nic nie wiedział. Z jej punktu widzenia ten romans być może wzmocni naszą relację. Jednak gdybym o nim wiedział, nie będę umiał o nim zapomnieć. Wtedy jest ryzyko, że ja zniszczę naszą relację, chociaż rzeczywiście mogłaby się poprawić.

Szli przez chwilę w milczeniu. Mina nie potrafiła się zdecydować, czy to, co powiedział jej Vincent, jest najrozsądniejszą rzeczą, jaką słyszała od dawna, czy też jest jeszcze bardziej emocjonalnie ułomny, niż sądziła. Sama miała problemy z dopuszczeniem do siebie blisko innych ludzi. Jednak Vincent mówił tak, jakby

właściwie się nie przejmował. Czy można być aż tak racjonalnym? A co z miłością?

– Przepraszam, jeśli wejdem z butami, bo to nie moja sprawa – powiedziała – ale nie chciałbyś wiedzieć choćby tego, czy ona jest osobą, która może wdać się w romans?

Doszli prawie do Lilla Västerbron. Znajdujący się pod mostem skatepark był pełen skateboardzystów. Głośny chrobot kółek na betonie mieszał się z muzyką hiphopową płynącą z wielu różnych głośników. Skrzywili się oboje, zawrócili i ruszyli w stronę rogu parku, z którego weszli.

– Wiesz co – powiedział Vincent. – Wydaje mi się, że większość ludzi jest zdolna do prawie wszystkiego. To tylko kwestia momentu, w jakim się znajdziemy. Nie jesteśmy jednostkami statystycznymi. Większość twoich komórek ulega regularnej wymianie. Zaledwie trzy tygodnie temu miałaś zupełnie inny naskórek niż dzisiaj. Twój mózg tworzy nowe komórki w trzy miesiące. Fizycznie nie jesteś dziś tą samą osobą co pięć lat temu ani tą, którą będziesz za kilka miesięcy. To samo dotyczy poglądów, ocen i przemyśleń. Dzisiejsza Mina jest zdolna do rzeczy, których pięć lat temu nie byłaby w stanie zrobić.

Jak skoczyć do kontenera z martwymi norkami, pomyślała. Chociaż tego wyczynu nie zamierzała nigdy powtarzać. Jednak rozumiała jego punkt widzenia.

– Istnieje prawdopodobieństwo, że co najmniej jedna ze wszystkich wersji Marii, z którą będę żonaty, będzie również zdolna do romansu – ciągnął. – Ale nie zyskam nic na tym, że dowiem się, czy to obecna wersja. Bo może następna wersja Marii nie będzie do tego zdolna. Albo też nie jest zdolna do tego w tym momencie, ale następna Maria wybierze życie z kim innym. Rozumiesz? Mogę się dowiedzieć czegoś tylko o obecnej Marii. Co jednakże jest dość nieinteresujące, ponieważ resztę życia będę spędzał z przyszłymi wersjami Marii.

– To... bardzo szczególny punkt widzenia – powiedziała Mina. – A pewien jesteś, że cała ta gadanina, że się nie przejmujesz, służy tylko temu, żeby poczuć się fajnie z powodu jej romansu z Kevinem, zważywszy na to, co dwa lata temu zrobiłeś ze swoją byłą żoną Ulriką w Gondolen?

Vincent zbladł.

– Mam wielką nadzieję, że ewentualny romans Marii jest mniej naładowany nienawiścią. Ale owszem, rzeczywiście jestem na minusie.

Dotarli do krańca parku i ruszyli z powrotem do gmachu policji. Mina wyrzuciła do kosza butelkę po wodzie. Może powinna opowiedzieć Vincentowi o Amirze, skoro był tak otwarty w sprawie Marii. Choć denerwowała się na samą myśl, że miałyby mu o tym opowiadać, chociaż to nie jego rzecz. A jednak chciała, żeby wiedział.

– À propos tego, że dzisiejsza Mina nie jest tą samą co dawniej – odezwała się i odchrząknęła. – Pewnie nie uwierzysz, ale jestem umówiona na randkę.

Wyczuła, jak idąc obok niej, zeszywniał. W mgnieniu oka.

– Kim jest ten szczęściarz?

– Ma na imię Amir. Jest prawnikiem. Nie wiem o nim wiele więcej. Trochę czatowaliśmy i potem... Sama nie wiem właściwie, jak do tego doszło. Jednak umówiliśmy się.

Na ulicy było goręcej niż w parku. Upał odbijał się od ścian domów, powietrze drgało nad asfaltem.

– Wiesz, co to *fovea centralis*, dołek środkowy siatkówki, na którym w oku fiksuje się wzrok? – powiedział Vincent. – Otóż zbiera on informacje z dość ograniczonego pola. A więc, żeby zobaczyć na przykład domy z przeciwnej strony ulicy, ten punkt się przez cały czas przesuwa. Jakby patrzył na kolejne elementy puzzli, jeden po drugim. A potem mózg zbiera to w całość. Jednak twoje oko nie nadąży z patrzeniem, a więc mózg robi to na własną rękę. Czyli znaczna część twojego widzenia tych domów wynika z tego, jak twój mózg przypuszcza, że one wyglądają.

Umysł Vincenta pomknął znów w absolutnie nieprzewidzianym kierunku. Mina w pewnym sensie rozumiała Marię, Kevin na pewno jest łatwiejszy w rozmowie. I dużo nudniejszy.

– Znów zmieniłeś temat rozmowy? – zauważyła. – Gładko ci to poszło, Vincent. A nie rozmawialiśmy o ćwiczeniu się w kompetencjach towarzyskich?

– Ależ ja mówię o twojej randce – zaproponował. – Rozumiesz, kiedy patrzymy komuś w twarz, działa to tak samo. Punkt fiksowania wzroku przesuwa się w trójkącie między oczami tej osoby i czubkiem nosa, żeby w ten sposób ujrzyć całą twarz. Ale gdy nam się ktoś zaczyna podobać, to zaczynamy się również interesować, eee, nie da się tego wyrazić inaczej... ale chodzi o nabrzmiałe wilgotne części ciała. No wiesz...

Mina zerknęła na mentalistę, którego nagle zainteresował jakiś niewidzialny brud na paznokciach.

– Vincent, czy ty się czerwienisz?

– No więc – powiedział, chrząkając – taką częścią ciała są wargi. Zwłaszcza kiedy są czerwone jak twoje. Albo, zresztą, jeśli... Amir, zdaje się, tak? Jeśli Amirowi się spodobaś, zobaczysz to dzięki temu, że jego wzrok przesunie się z oczu na usta zamiast na czubek nosa. Usta stają się erotycznym, eee...

– Wow, Vincent, za dużo tych informacji! – powiedziała i z udawanym przestachem odsunęła się o krok. – Zresztą to nie będzie taka prawdziwa randka. Spotkamy się w Muzeum Kultury Śródziemnomorskiej. W ciągu dnia.

Zbliżali się do siedziby komendy. Czekały tam na nią zdjęcia Lilly i Ossiana. I tak jej nigdzie nie zaprowadzą. Wolałaby zostać w parku z Vincentem i rozmawiać o rzeźbach.

Vincent zamówił taksówkę przez apkę w telefonie, auto już czekało na niego przed wejściem do budynku. W milczeniu patrzyła, jak otworzył tylne drzwi. Przez prawie dwa lata się w ogóle nie kontaktowali, nie było nawet jednego esemesa. A teraz miała wrażenie, jakby tamtych miesięcy nie było, jakby zawsze trzymali się razem. Cieszyła się, że wrócił. Ogromnie. Chociaż właśnie miał znów odjechać. Odpowiedział na jej pytania, ona miała teraz wracać do pracy. Jednak nie chciała, żeby już było po wszystkim. Próbowała wymyślić jakiś pretekst, żeby go zatrzymać, ale nie umiała.

– Mogę się jeszcze trochę podowiadzać na temat Epicury, jeśli chcesz – powiedział. – Nie zaszkodzi. A ty powinnaś jakoś pogadać z Nathalie, nie jestem pewien, czy te ich kursy liderowania są odpowiednie dla młodzieży. No i, wiesz – odwrócił się do niej, unosząc jedną brew – *fovea centralis*, powiem tylko tyle.

– A ty przypadkiem nie jedziesz do domu? – Mina skrzyżowała ręce na piersi.

Vincent zaśmiał się, wszedł i zamknął drzwi, taksówka odjechała. Mina patrzyła za autem, dopóki nie znikło za rogiem. Miała wrażenie, że wraz z nim odjechała jakaś część niej. Trzeba było poprosić go, żeby został. Bez szczególnego powodu.

Po prostu żeby został.

A jednak nie zrobiła tego. Miał oczywiście rację co do Nathalie. Jeśli córka nie wróci z tego ośrodka przed weekendem, Mina pojedzie po nią, ryzykując gniew ojca dziewczyny. Cóż, jeśli to dla niego problem, to niech wcześniej sam tam jedzie. W końcu Nathalie ma wakacje, a Mina ufała matce przynajmniej na tyle, aby zostawić je w spokoju jeszcze kilka dni. Miała co innego na głowie.

– *Fovea centralis* – powiedziała do siebie i wzdrygnęła się.

A więc randka. Co za kretyństwo.

**NASTRÓJ W SALCE** konferencyjnej pod koniec dnia nie był lepszy niż podczas weekendu. W dodatku, na ile to możliwe, zrobiło się jeszcze goręcej.

Mina wciąż krążyła myślami wokół spotkania z Vincentem. Pozostawiło w niej uczucie znajome i jednocześnie niepokojące, bo zakładała, że będzie dokładnie taki jak kiedyś, a przecież sam powiedział, że wszyscy cały czas się zmieniamy. Może nowy Vincent nie będzie jej rozumiał równie dobrze jak dawny? Może sam stał się trudny do zrozumienia dla niej? Jednak nie odniosła tego wrażenia. Było zupełnie jak kiedyś. Prawie. Miała nadzieję, że dla niego również tak było.

– Słuchajcie – powiedziała Julia, wachlując się rękami. – Wiem, że jesteście zmęczeni. Wydarzenia ostatniego weekendu wycisnęły z nas ostatnie soki, a ja spędziłam cały dzisiejszy dzień na tym, żeby utrzymać na dystans media. Na razie zajmują się relacjonowaniem zakończonej sukcesem historii o dziewczynce, którą znaleźliśmy w piątek. Ale zachowują się jak psy gończe, które zwietrzyły krew. W dodatku złota zasada dziennikarstwa mówi, że wszystko, co chwalone, musi być również krytykowane. Oni budują, żeby zaraz to rozwalić. To tylko kwestia czasu, zanim się dowiedzą, że Ossian został znaleziony martwy, a my nie mamy żadnych tropów. Gdyby media osiągnęły to, czego się domagały przy sprawie Lilly, wyleciałoby z pracy iluś policjantów. Na szczęście to nie one decydują.

Bosse jadł chciwie z nowej lśniącej miski stojącej w kącie. Julia dotrzymała słowa. Mina starała się nie patrzeć, jak pies zamiata grubym jęzorem w karmie ani jak włosy z jego sierści unoszą się w powietrzu. Pewnie niedługo wstawią mu jeszcze poślanie.

– Chcę przez to powiedzieć: nie stać nas na popełnianie błędów. Tym razem odnajdziemy sprawcę bądź sprawców. Podczas oczekiwania na wyniki sekcji zwłok moglibyśmy jeszcze raz sprawdzić wszystkie informacje odnoszące się do śmierci Lilly Meyer. Zaczniemy od jej bliskich. Na pewno mają dość policji, ale nie ma wyboru. Peder i ja już rozmawialiśmy z matką dziewczynki. Było to... niezłe przejście. Ona podtrzymuje historię, którą przedstawiła w sądzie, czyli że Lilly zabił jej ojciec Mauro. Mina i Ruben, porozmawiajcie z nim. Wyjechał na weekend, ale dziś wieczorem wraca. Dopilnujcie, żeby się z nim spotkać od razu we wtorek rano. To znaczy jutro.

– A ja? – spytał Christer.

– Ty oczywiście sprawdzisz rejestr – odparła szybko Julia. – Nie, okej, trzeba pójść za rysopisem porywaczy Lilly. Pary starszych ludzi, których podobno ktoś

widział niedaleko przedszkola. To będzie twoje zadanie. Ale potem będziesz musiał sprawdzić rejestr. Wiesz, ktoś to musi zrobić.

Christer zdążył się już wypogodzić, ale zaraz powrócił do swego zwykłego, ponurego wyrazu twarzy.

– Wydaje mi się, że przyda się tu trochę endorfin – odezwał się Peder. – Żeby nam się lepiej pracowało.

Z jego telefonu rozległa się pełna werwy wesoła melodia.

– To trojaczki, jak śpiewają do...

– Wiemy! – wrzasnął Ruben, waląc dłonią w stół. – Ale od festiwalu piosenki minęło chyba pięć miesięcy. Pięć. Miesiące. A my słuchamy tego od tamtej pory. Kiedy w końcu dasz za wygraną?

Zawstydzony Peder patrzył w stół.

– Chciałem tylko wprowadzić jakieś ożywienie – tłumaczył się.

– I bardzo ładnie – skomentowała Julia. – Pożądane jest wszystko, co mogłoby nam ułatwić pracę. Z wyjątkiem rzeczy, które mogą podwyższyć poziom hormonów stresu. Poczekajmy z trojaczkami do momentu, kiedy naprawdę będą potrzebne.

Peder kiwnął głową i trochę poweselał.

– O czym to ja mówiłam? – ciągnęła. – No właśnie. Oprócz przyjrzenia się Lilly Meyer może powinniśmy rozszerzyć nasze pole widzenia w kwestii ewentualnych sprawców. W związku z tym, że rysopisy porywaczy różnią się między sobą, chciałoby się wierzyć, że te sprawy nie są powiązane. Jednak podobieństw jest zbyt dużo, żebym w to uwierzyła. Adam od początku zwracał na to uwagę, a od soboty jestem skłonna przyznać mu rację. Dzieci były w tym samym wieku, zostały uprowadzone w środku dnia i nikt na to nie zareagował, oboje zostali po trzech dobach znalezieni martwi bez widocznych uszkodzeń ciała. To nie może być przypadek. Jednak oznacza to, że za tymi dwoma porwaniami stały co najmniej trzy osoby, a wtedy nasuwają się kolejne pytania: kto to jest i dlaczego. Nie przychodzi mi na myśl żadna podobna sprawa. A więc musimy dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Adamie?

Adam chrząknął i oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

– Jak zapewne wiecie, komenda nie posiada obecnie własnego psychologa kryminalnego – powiedział. – Odkąd odszedł Jan Bergsvik...

– Musiał odejść – przerwał mu Ruben i zakaszłał sztucznie.

– ...postanowił złożyć wypowiedzenie – ciągnął Adam, uśmiechając się kącikiem ust. – A więc pozwoliłem sobie skontaktować się z ekspertem od zachowań skrajnych. Bo niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z różnymi, czy z tymi samymi sprawcami, to nie mogę zaklasyfikować ich postępowania



inaczej niż jako skrajne. Ekspert może pomóc nam zrozumieć naturę osób, z którymi mamy do czynienia. Ich sposób myślenia.

– To może by zamiast tego od razu zadzwonić do Vincenta? – ożywiła się Mina.  
– Skoro i tak mamy wziąć eksperta z zewnątrz?

Adam nie może po prostu ściągać kogoś ot tak. Nie w sytuacji, kiedy mogliby wykorzystać Vincenta.

– Kogo? – spytał zdezorientowany Adam.

– Vincenta Waldera – odparła Julia. – Jakiś czas temu pomógł nam przy jednej sprawie, w którą, jak się okazało, była zamieszana jego siostra.

Adam gwizdnał przez zęby.

– A, on. Tak, pamiętam.

– Odpowiadając na twoje pytanie, Mina, Adam już się z kimś skontaktował. Przekonajmy się najpierw, co nam to może dać, zanim zwrócimy się do Waldera. Vincent jest dobry, ale przy nim wszystko staje się takie... szczególne...

Mina kiwnęła głową, chociaż zupełnie się z tym nie zgadzała. Dopiero co puściła Vincenta i nie przestawała tego żałować. W dodatku uratował jej życie. Na pewno nie da się tego powiedzieć o osobie zaproszonej przez Adama, kimkolwiek jest.

– Ta osoba jest w dodatku ekspertem od zachowań grupowych, zwłaszcza w skrajnej postaci – powiedział Adam.

– Zachowań grupowych? – zdziwił się Peder.

– Tak, to nowa myśl – odparł Adam – ale chciałbym ją na was wypróbować. Do tej pory zakładaliśmy, że Ossian został zamordowany albo przez tę samą osobę, która zamordowała Lilly, albo przez naśladowcę. Otóż widzę trzecią możliwość, która lepiej wyjaśnia fakt, dlaczego rysopisy porywaczy tak się różnią, podczas gdy sposób dokonania morderstwa jest niemal identyczny.

Tu zrobił pauzę i spojrzał na nich. W pomieszczeniu słychać było jedynie sapanie Bossego.

– Możemy mieć do czynienia ze zorganizowaną grupą osób – ciągnął Adam. – Wydaje mi się, że porywacze się znają.

Nikt się nie odezwał. Potworna myśl. Jednakże, dokładnie tak jak powiedział Adam, było to rozsądne wyjaśnienie.

– Zgodnie z tym, co mówiłam od początku – włączyła się Julia – niczego nie powinniśmy wykluczać. A to jest bez wątpienia interesująca myśl.

– Wspomniałem o tym, bo wtedy będziemy mogli również spytać o to moją ekspertkę – powiedział Adam. – Ostatnio bywała często w mediach, więc większość z was na pewno wie, kim jest. Miałem szczęście, że ją złapałem, kiedy akurat miała lukę w swoim kalendarzu, więc zjawi się u nas już w środę przed południem. Nazywa się Jessica Wennhagen, lepiej znana jako Nova.

Mina zapatrzyła się na Adama. To nie może być prawda.

**NATHALIE NIE DOWIEDZIAŁA** się, dokąd pojedą. Babcia nie udzieliła żadnych dalszych wyjaśnień, tylko zaprowadziła ją do samochodu, który stał zaparkowany za pastwiskiem. Myślała, że miejsce wspomniane przez babcię będzie się znajdowało w pobliżu, ale jechały już od co najmniej pół godziny. Kierujący autem miał na imię Karl. Był wysokim blondynem o olśniewającym uśmiechu i emanował tym samym spokojem co wszystkie osoby, które spotykała w Epicurze. Poczowała zazdrość.

Ona by też chciała odczuwać takie zadowolenie. Nie mieć nadopiekuńczego taty, kolegów zafiksowanych na tym, co o nich myślą inni, nie być nigdy w takiej sytuacji, że nie wie o istnieniu swojej babci.

Ten Karl chyba też musi mieć w swoim życiu momenty zmartwienia albo irytacji? Gdyby nawet, to nie widać tego po nim. Fakt faktem, że mimo ciągłego uczucia głodu zaczął jej się udzielać nastrój panujący w Epicurze. Od dawna nie czuła się taka spokojna i pogodna jak w ciągu kilku ostatnich dni.

– Co to za krąg wtajemniczonych, o którym mówiłaś? – spytała babcię, siedzącą z przodu.

Zanim babcia zdążyła odpowiedzieć, odezwała się kobieta siedząca z tyłu obok Nathalie.

– To, czego Nova naucza w Epicurze, to tylko pierwszy krok – powiedziała. – I dla uczestników jej kursów jest to dość. Jednak dla prawdziwego zrozumienia dziedzictwa Johna Wennhagena trzeba czegoś więcej. Wtajemniczając cię już teraz, Ines składa ci wielki dar miłości, bo dla innych dotarcie do wewnętrznego kręgu trwa wiele lat. A przy okazji, mam na imię Monica.

– John Wennhagen? – zdziwiła się Nathalie. – Nie rozumiem, dziadek Novy miał chyba na imię Baltazar?

Ines odwróciła się i popatrzyła na Nathalie. W jej spojrzeniu kryły się tajemnice, ale i obietnice.

– John był ojcem Novy – powiedziała. – Jedynym, który naprawdę rozumiał. Podążamy za nim.

Jechali leśnym duktem. Za oknem przelatywały mijane drzewa, promienie słońca migająy między pniami. Nathalie dostrzegła wyłaniający się duży budynek. Nagle zdała sobie sprawę, że nikt nie wie, gdzie jest. Nawet ona sama. Nawet tata.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – odezwała się siedząca z przodu babcia i strzeliła mocno gumką na przegubie.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – odpowiedzieli chórem Karl z Monicą.

– **ODKRYLIŚCIE COŚ...** Odkryliście coś więcej? Na temat Lilly?

Kierowniczka przedszkola Nyckelpigan niespokojnie szukała spojrzenia Christera.

– Bo chyba dlatego pan przyszedł? Wiem, minął cały rok, ale pomyślałam... Nie przestaliśmy mieć nadziei na jakąś odpowiedź. A może... chodzi o tego chłopca?

Christer zwlekał z odpowiedzią. Niemożność udzielenia jej w momencie, gdy ludzie na nią czekają, należała do najtrudniejszych w tej pracy. Zniknięcie Lilly było w jej dawnym przedszkolu wciąż otwartą raną, zarówno dla wychowawców, jak i dla dzieci. I rodziców. Rozumiał to. Nikt nie pozostawał obojętny, wszyscy chcieli dostać jakąś odpowiedź, co się właściwie stało. A on jej nie miał, tylko stawiał kolejne pytania.

– Nie mogę się wypowiadać podczas trwającego dochodzenia – powiedział, robiąc unik. – Możemy porozmawiać bez świadków?

Standardowy komunikat. Sztywny, bezosobowy, zdystansowany wobec rozmówcy.

– Możemy rozmawiać tutaj. Dzieci są zajęte, nikt nas nie podsłucha. Muszę pomagać w pilnowaniu ich, cały personel jest potrzebny, kiedy dzieci są na zewnątrz.

Kierowniczka o imieniu Johanna mówiła to i przez cały czas rozglądała się po podwórku pełnym dzieci.

– Czy osoby, które porwały Lilly, to również sprawcy porwania chłopca? – spytała.

– Nie mogę...

Christer nie dokończył. Bosse biegał wśród dzieci jak swawolny szczeniaczek. Christer najpierw przywiązał go na zewnątrz, ale kiedy dzieci zbiegły się przy płocie, ktoś z personelu spytał, czy pies mógłby wejść do przedszkola i się przywitać. Szczęście Bossego nie miało granic. Kochał ludzi, ale zwłaszcza dzieci.

– Jak już mówiłem, chciałbym porozmawiać z nauczycielami, którzy pracowali w dniu zniknięcia Lilly. Pamięć bywa kapryśna, z czasem równie dobrze może stać się wyraźniejsza, jak i słabsza. Nie... nie powinniśmy pozostawiać niczego przypadkowi.

– Zawołam ich. – Johanna wstała z ławki, na której siedzieli. – To nie są nauczyciele, tylko wychowawcy. Leopold! Aysha!

Młody mężczyzna i starsza kobieta odwrócili się i ruszyli w ich stronę. Napięcie w ich postawach zdradzało, że już wiedzą, o co chodzi. Nieopodal jakieś dziecko wrzeszczało ze złości, chwyciło garść piasku i cisnęło w twarz chłopcu obok. Natychmiast zjawił się wychowawca, który poradził sobie z sytuacją, i zanim Leopold z Ayshą doszli do Johanny i Christera, dzieci już bawiły się grzecznie ze sobą.

Gdyby w jego świecie było to takie proste.

Przywitał się z nimi i usiedli na ławce obok. Kierowniczką przeprosiła i odeszła, zostawiając ich, żeby mogli spokojnie porozmawiać.

– Chodzi o Lilly? – upewniła się kobieta.

– Czy to ci sami ludzie, którzy uprowadzili tego chłopca? – spytał mężczyzna, czujnie obserwując dzieci na podwórku.

– Nie mogę się wypowiadać na ten temat – odparł znów Christer.

Bosse podszedł, a Christer podrapał go za uszami, zanim pies – zasapany i z wywieszonym ozorem – pobiegł do swoich nowych kolegów.

– Pana pies ma powodzenie – odezwała się Aysha, uśmiechając się.

Podeszła do niej dziewczynka, której pomogła poprawić kapelusik na głowie.

– Musicie się czuć kompletnie wykończeni pod koniec dnia – powiedział Christer, patrząc na morze dzieciaków biegnących każde w inną stronę, w dodatku poziom hałasu był taki, że uszy bolały.

– I tak, i nie. Praca jest bardzo intensywna, ale fajna – odparł Leopold, odchylając się na ławce.

– Co zapamiętaliście z dnia, w którym zniknęła Lilly?

Christer przeszedł do sedna, nie mógł sobie pozwolić na marnowanie czasu.

– To był zupełnie zwyczajny dzień. Nie działo się nic takiego. Nic, na co zwrócilibyśmy uwagę. Oboje z Ayshą widzieliśmy przechodzącą parę starszych ludzi, ale nie zastanawialiśmy się nad tym. Wyglądali zwyczajnie.

– Tak, to byli zupełnie przeciętni starsi ludzie – przytaknęła mu Aysha. – Oboje siwi, on ostrzyżony krótko, ona... na pazia, jeśli pan wie, co mam na myśli.

– I w okularach – dodał Leopold.

Chłopczyk w za dużych spodenkach przewrócił się na ziemię akurat przed Christerem i rozryczał się. Leopold natychmiast się nim zajął, wziął na ręce, żeby pocieszyć, strzepnął mu ubranie i kiedy mały już się uspokoił, odesłał do innych dzieci.

– Ale nic, co by jakoś odstawało? – spytał Christer.

– Nie, wyglądali jak... zwyczajni dziadkowie. Widujemy wielu takich i nie byli jakoś osobliwi. Nic z tych rzeczy. Samego uprowadzenia oczywiście nie

widzieliśmy. Dopiero kiedy nie mogliśmy znaleźć Lilly, inne dzieci powiedziały, że chyba pani i pan ją zabrali. Ale wie pan, jakie są dzieci.

– Skąd wiedzieliście, że chodzi o tę samą parę, którą zaobserwowaliście?

– Bo dzieci mówiły o płaszczu w kolorze lila – odparła Aysha. – Taki płaszcz miała kobieta, którą oboje widzieliśmy. Dlatego założyliśmy, że to ta osoba. Nie jest to często noszony kolor.

– A wcześniej ich nie widywaliście? Z Lilly albo z którymś z pozostałych dzieci? Albo w okolicy?

Oboje pokręcili głowami.

– Oczywiście nie jestem pewien na sto procent, ale nie przypominam ich sobie – powiedział Leopold.

– Ja też nie – dodała Aysha.

Christer zastanowił się. Strzelił w ciemno. Zarówno Leopold, jak i Aysha oraz pozostali wychowawcy zostali przesłuchani bardzo dokładnie po zniknięciu dziewczynki. Również sporo dzieci.

– Okej, w takim razie nie będę wam już zabierać czasu – powiedział, wstając.

Zatrzeszczało mu w stawach, spodnie kleiły mu się do ud z gorąca. Gwizdnął na Bossego, który udał, że nie słyszy. Po paru kolejnych gwizdnięciach i ostrej komendzie pies w końcu przyczłapał niechętnie, ciągnąc za sobą kolejkę dokazujących dzieciaków.

– Piesek nie do domku – odezwała się malutka dziewczynka z kitkami jasnych włosów i w koszulce z księżniczką w śnieżnej mgiełce.

– Piesek musi wracać do domu, musimy popracować – odpowiedział Christer, biorąc na smycz Bossego.

Pies w pierwszej chwili nie chciał się ruszyć z miejsca, przytuliła się do niego czwórka dzieci. Bosse zrobił wielkie, błagalne oczy.

– No, idziemy.

Christer pociągnął znów za smycz, Bosse niechętnie ruszył do wyjścia, ale nadal z dziećmi uczeplonymi do jego jasnozłotej sierści.

– Puśćcie pieska, on musi do domu – przekonywał Christer.

Kątem oka widział, że Leopold z Ayshą obserwują go z rozbawieniem. Ciągnął smycz, więc Bosse w końcu przyspieszył, a dzieci musiały go puścić. Za furtką pies obejrzał się jeszcze tęsknie, wreszcie niezadowolony wskoczył do samochodu.

– MINA, SŁUCHAM.

Na wyświetlaczu zobaczyła tylko „Nieznany numer”. I tak odebrała z nadzieją, że nie będzie to jednak ten, którego się spodziewała.

– To ja – odezwał się męski głos.

Westchnęła. No pewnie, że on. Któż by inny dzwonił do niej wieczorem?

– Udało ci się z nią skontaktować? – ciągnął ojciec jej córki. – Co tak huczy?

– To klimatyzacja. I owszem, dzwoniłam do niej, ale jeszcze z nią nie rozmawiałam.

– To przesądza sprawę. Jest poniedziałek wieczór, a jej wciąż nie ma w domu. Poślę po nią kogoś. To jest nie do przyjęcia.

Mina zmusiła się do tego, żeby odetchnąć parę razy, zanim odpowiedziała.

– Nie rób tego, proszę – powiedziała, starając się mówić pewnie, chociaż wcale się tak nie czuła.

Przez chwilę miała wrażenie, jakby był obok, w jej mieszkaniu. Jakby wdarł się do tej czystej oazy, którą sobie stworzyła. Mieszkanie było jej tarczą, jej bezpieczeństwem, jej zbroją. Jednak on potrafił się wedrzeć wszędzie, gdzie zechciał. Zawsze tak było.

Milczał. Czekał na jej argumenty.

A co miała powiedzieć? Że Nathalie zawsze była dla niej całym światem? Że najgorsze chwile choroby przetrwała dzięki myśli o córce? Że prawie zabiła ją ta ich umowa, że ona odejdzie przez wzgląd na Nathalie? Wiedziała, że żadne słowa nie pomogą. Że jest dorosła i odpowiada za swoje uczynki. Ale na miłość boską, była wtedy chora! Gdyby choć to mógł zrozumieć.

– Wiem, że nie mogę ci mówić, co masz robić – powiedziała, ściszej głos. – Ani jak masz załatwić tę sprawę. Wiem, że utraciłam to prawo. Jednak tym razem to ty przychodzisz do mnie po pomoc. A więc daj mi trochę czasu. Wydaje mi się, że takie wpychanie się na siłę mogłoby bardzo zaszkodzić. Nathalie ma prawo pytać i wiedzieć. Potrzebuje czasu. To my wybraliśmy ukrywanie prawdy, ona nie wybierała życia w kłamstwie. Dlatego proszę, nie rób nic pochopnie. Daj mi szansę to załatwić. Jeśli nie masz zaufania do mnie, to może mógłbyś zaufać Nathalie.

Sapał w słuchawkę. Jak zawsze, kiedy się zastanawiał. Mina wiedziała, że właśnie ustawia sobie w głowie dwie kolumny. Jedna za, druga przeciw. Ciężki



oddech zdradzał, jak starannie je rozważa. Nawet się zdziwiła, że wciąż zna go tak dobrze, że to niewypowiedziane jest dla niej takie znajome.

– Niech ci będzie – powiedział w końcu. – Poczekam na rozwój wydarzeń.

– Dziękuję.

Mina z ulgą opadła na poduszki na sofie.

Milczał. Zastanawiała się, czy mówić dalej. Poczucie winy skłaniało do powiedzenia czegoś, czegokolwiek, co sprawiłoby, że by zrozumiał. Choćby to było za mało i za późno. Moment przyszedł i minął. Rozłączył się.

Zmarszczyła czoło, patrząc na telewizor i usiłując zrozumieć, co zaczęła oglądać jeszcze przed jego telefonem. I tak nie słyszała, co mówią, przez te dwa wielkie klimatyzatory. Jeden w salonie, drugi w sypialni. Wdmuchiwały zimne powietrze, odprowadzając ciepłe przez gruby wąż wychodzący przez okno. Skutek był taki, że mieszkanie było jedynym miejscem, gdzie się nie pociła. Uwielbiała to. Ceną za to był hałas, przez który niemal nie słyszała własnych myśli.

Uczestnicy programu telewizyjnego biegali po studiu w parach, uśmiechając się nerwowo do kamery. Nie potrafili jej zainteresować. Ludzie dobrani przez ekspertów, a spotykali się po raz pierwszy przed ołtarzem.

Dobry Boże. Ten przymus ze strony społeczeństwa, żeby koniecznie łączyć ludzi w pary. Jakby samotność była chorobą, którą należy za wszelką cenę wykorzenić – jednak w bardzo wąskich ramach. Czy prawda, że normą jest para, została ustanowiona przez Biblię? A zaczęło się od Adama i Ewy, a potem od tego, że zwierzęta wchodziły parami do arki Noego? Dziś arką dla ludzi jest Tinder. Apka dla ludzi czepiających się desperacko nadziei, że nie utoną w samotności. Jakby to samotność była niebezpieczna.

Już opowieść o Adamie i Ewie ukazywała braki w logice życia w parze. W rajku musiał być jakiś wąż. Mina zastanawiała się, ile tych par na ekranie wytrzyma razem aż do emisji programu. Raczej żadna, sądząc po lodowatych nastrojach panujących między większością z nich. Miłości nie da się zainicjować na podstawie logiki. Nie istnieje matematyczny kod miłości, wystarczy go tylko złamać. Była to jedna z niewielu rzeczy, które Mina wiedziała na ten temat.

Ciekawe, co powiedziałyby Vincent. Pewnie sporo, podpierając się jednym lub drugim wykresem. Wolałaby, aby to on został poproszony do pomocy w dochodzeniu zamiast Novy. Zwłaszcza zważywszy na Nathalie. Mogło w związku z tym dojść do różnych zawirowań. Mina i tak miała dosyć ingerencji Novy w jej życie.

Powinni byli wziąć Vincenta.

Zmieniła kanał na celebrytów rywalizujących ze sobą w jakimś teleturnieju. To już lepiej.

Vincent.

On również przedarł się do jej fortu. Jednak to było co innego, bo sama go wpuściła. To był jej wybór. A on zrozumiał. Zaakceptował jej warunki. I kiedy był tu Vincent, czuła się... dobrze. Również kiedy spotkali się w parku. Może nawet aż za dobrze. Bo wiedziała, jak mogłoby się to potoczyć. Lepiej jest, jak jest. Sama w swoim forcie. Samotnie.

Samotność jest siłą.

**VINCENT OPARŁ SIĘ** ręką o drzewo. W drugiej trzymał patyk podniesiony z ziemi, żeby zeszkrobać błoto z buta. Zważywszy na to, że od wielu tygodni nie padało, panujący skwar powinien wysuszyć las i to nawet do granicy zagrożenia pożarowego. Mimo to Vincentowi udało się trafić i wejść na prawdopodobnie jedyny podmokły teren w promieniu kilkudziesięciu kilometrów.

Tym razem włożył na szczęście adidas zamiast skórzanych pantofli, w których chodził zazwyczaj. Te na pewno by nie przeżyły. Jednak adidas raczej nie powinny być białe.

Zaplanował sobie poranny spacer po lesie, żeby złapać trochę powietrza i przestrzeni dla myśli. Mimo że mieszkał praktycznie w środku lasu, spędzał w nim oburzająco mało czasu. Ale nigdy nie jest za późno, żeby zacząć. Wprawdzie w lesie brakowało mu możliwości obserwowania ludzi, jak podczas spacerów w mieście, jednak z badań psychologicznych i biomedycznych wynikało, że przebywanie wśród przyrody obniża poziom hormonów stresu i ciśnienia krwi. Dziś istnieje nawet coś takiego jak terapia lasem. A potrzebował się uspokoić po wczorajszym. Odzyskać panowanie nad sobą.

I dlatego dał szansę lasowi, opierając się o drzewo. Rzeczywiście fajnie. Przyjemnie. Tylko nie za bardzo potrafił się skupić.

Bo spotkał się z Miną.

Zaledwie jeden dzień wcześniej.

Czarnowłosą Miną, której oczy mówią, że rozumie więcej, niżby chciała okazać. Miną, która trzyma się z boku i kocha swoją córkę.

I po długim oczekiwaniu, wreszcie, to ona zadzwoniła do niego, ona chciała z nim rozmawiać. Potem wstydził się, że się do niej nie odzywał. Co on sobie właściwie myślał? Że Mina będzie teraz inna? Że nie zechce z nim rozmawiać? Mógł dawno do niej zadzwonić. Powinien był zadzwonić.

Może jednak głupio zrobił, że wyciągnął tę historię z Kevinem. Przecież Minę to nie obchodzi. Ale zwierzyła mu się, opowiadając o swojej rodzinie, więc chciał się jakoś odwzajemnić.

A potem się pożegnali.

Żadnego „zobaczymy się” ani nic.

Wprawdzie wydusił z siebie jakieś mało przekonujące zapewnienie, że dowie się czegoś więcej na temat Epicury, ale sam nie wierzył, że coś znajdzie. A wtedy nie będzie miał powodu, żeby się do niej odezwać. Cholera.

Zdrapał resztę błota z buta i wyprostował się. A cóż to za zapętlenie smutnych myśli? Są jakieś granice. Nie zamierzał popełnić tego samego błędu co poprzednio. To, że nie zaznaczyli w kalendarzu daty następnego spotkania, naprawdę nie znaczy, że nie mógłby się do niej odezwać. Do cholery, przecież się przyjaźnią, a przyjaciele dzwonią do siebie. Wyjął telefon i wybrał numer Miny.

Kiedy czekał, że odbierze, przybiegła wiewiórka i na jego widok zatrzymała się. Zlustrowała go od stóp do głów i pewnie się zastanawiała, czy Vincent stanowi dla niej zagrożenie. Następnie zebrała się na odwagę, najwyraźniej postanowiła zaryzykować i weszła po drzewie tuż obok niego, drżąc ze zdenerwowania, podczas gdy Vincent się łączył. Doskonale rozumiał, jak się czuje ta wiewiórka.

**MINA ODWRÓCIŁA TELEFON** tak, żeby Ruben nie widział wyświetlacza. Wolą, żeby nie wiedział, kto dzwoni.

– Może wreszcie odbierzesz? – spytał Ruben, który siedział za kierownicą. – Wypadnę z drogi, jeśli będzie wciąż dzwonił. Chociaż wyłącz dźwięk.

Wjechał w osiedle domów szeregowych w Upplands Väsby.

– Czekaj – odparła, wkładając sobie świeżo wytarte słuchawki do uszu, po czym odebrała. – Słucham.

Starła się mówić możliwie obojętnym głosem.

– Cześć, Mina, mówi Vincent.

Milczenie. Ruch na drodze sprawiał, że było źle słycać, jednak wydawało jej się, jakby w tle słyszała świergot ptaków.

– Chciałem tylko... – zaczął i znów urwał. – Wszystko w porządku? Z tym, o czym rozmawialiśmy?

Miała ochotę spytać, o co mu chodzi. Czy o dochodzenie, które nigdzie jej nie zaprowadziło? Czy o to, że Nathalie nie wróciła jeszcze od swojej babci, a Mina wciąż jest przerażona tym, czego córka może się dowiedzieć?

Nic nie było w porządku, a mimo to zrobiło jej się lepiej. Oczywiście nie mogła tego powiedzieć. Nie w tym towarzystwie.

Ruben zatrzymał się przed białym szeregowym domem i wyłączył silnik. Spojrzał na Minę, marszcząc pytająco brwi. Kiwnęła głową, wskazując palcem na swoją komórkę.

– Słuchaj, nie bardzo mogę teraz rozmawiać – powiedziała. – Właśnie mamy się spotkać z bliskimi jednej z ofiar. Ale chciałabym... porozmawiać o tym trochę później. Mogę oddzwonić?

Miała nadzieję, że Vincent domyśla się, skąd ten formalny ton. Że nie chodzi o niego personalnie.

Po chwili milczenia powiedział:

– Właściwie chciałem się tylko odezwać – mówiąc to, chyba się uśmiechał. – Miło było... spotkać się wczoraj. A gdybyś chciała to wygooglować, to *fovea centralis* pisze się z s na końcu.

Zakasłała, gdy Vincent się rozłączył. Ruben na szczęście już wysiadł z auta.

Mina również wysiadła i w tym samym momencie ze swego szeregowca wyszedł Mauro Meyer.

– Cześć – powiedział, podając im rękę. – Domyślam się, że już się spotkaliście z mamą Lilly, więc podejrzewam, co o mnie powiedziała. Jednak wierzcie mi, jedyna zbrodnia, której się dopuściłem, polega na tym, że zakochałem się w innej kobiecie.

Odsunął trzykołowy rowerek, żeby mogli przejść. W środku dostrzegli wiele śladów, że mieszka tu rodzina z małymi dziećmi. W przedpokoju stała też witryna z pucharami i innymi laurami.

– W młodości byłem bardzo usportowiony – wyjaśnił Mauro, widząc spojrzenie Miny. – Uprawiałem wszystko od jazdy konnej po szermierkę. Ale to było przed poznaniem Jenny. Uważała, że jestem pretensjonalny, i może miała rację. Chodźcie, usiadzemy sobie za domem.

Poprowadził ich przez środek domu na przyjemny taras z widokiem na zadbane ogródki. Mały chłopczyk pluskał się w nadmuchiwanym baseniku obok kobiety w zaawansowanej ciąży, która siedziała, trzymając nogi w misce z wodą. Mauro przedstawił ją jako swoją żonę Cecilie.

Mina i Ruben usiedli w cieniu pod markizą i przyjęli propozycję kawy, która już czekała w termosie. Chociaż Mina wolałaby właściwie coś zimnego.

– Przepraszam, że nie przychodzę się przywitać – zawołała Cecilia. – Ale stopy mi zaraz pękną, jeśli ich nie schłodzę.

– Znamy to – odparł z uśmiechem Ruben. – Naszemu koledze trzy lata temu urodziły się trojaczki.

– Trojaczki, o mój Boże – przestraszył się Mauro i usiadł z nimi, przyniósłszy najpierw karton owsianego mleka, które postawił na stole. – Da się przeżyć coś takiego?

– Podejrzewam, że umarł i został żywym trupem – odparł Ruben. – Ale z dwójką maluchów jedno po drugim na pewno też nie jest łatwo.

Mina złapała się na tym, że gapi się na Rubena.

Nie tylko był sympatyczny, ale jeszcze rozmawiał o dzieciach. I naprawdę nie udawał. Fakt, że Cecilia miała na sobie bikini, powinien wytrącić go z równowagi mimo jej ciąży. Jednak Ruben wydawał się tego nie zauważać. Oby nie okazało się, że jest chory, czy coś w tym rodzaju. Teraz potrzebni byli wszyscy w zespole.

– Z dwójką, mówi pan – zaśmiał się Mauro. – To dopiero połowa naszego stadka. Mamy jeszcze dwójkę, Cecilia ma siedmiolatka i pięciolatka z poprzedniego związku, ale bawią się teraz u sąsiadów.

– Może porozmawiamy o tym, po co tu przyjechaliśmy? – odezwała się Mina.

Znużyła ją rozmowa o dzieciach, choćby Ruben nawiązał bardzo dobry kontakt z ojcem i macochą Lilly.

– Cóż, szczerze mówiąc, zdziwił nas wasz telefon. Co chcecie wiedzieć? – spytał Mauro, rozkładając ręce i wymieniając szybkie spojrzenia z żoną.

– Dwoje z naszych kolegów rozmawiało wczoraj z pana byłą żoną Jenny. Ona utrzymuje, że był pan zamieszany w śmierć waszej córki.

– Pani rzeczywiście przechodzi do rzeczy – odparł Mauro, popijając kawę. – Ale zgadza się – ciągnął. – Jenny postawiła sobie za cel życia, żeby mnie ukarać. Owszem, poznałem Cecilię jeszcze podczas małżeństwa z Jenny. Przyznaję się. Mam firmę budowlaną, a Cecilia pracowała, wciąż pracuje u mnie w biurze. Jednak między mną a Jenny od dawna się nie układało. Ona... ma problemy, które w gruncie rzeczy są bez związku ze mną. Jednak najłatwiej było jej zrobić ze mnie kozła ofiarnego. No bo zakochałem się w Cecylii, a tego Jenny nie zamierzała mi darować. Więc wykorzystała mój słaby punkt, czyli nasze dziecko.

– Od samego początku urządziła nam piekło – odezwała się Cecilia, gładząc się po brzuchu. – Nienawidzi Maura i jego rodziny tak, że przekracza to granice rozsądku.

– Dlaczego rodziny, nie tylko pana? – spytał Ruben, nalewając sobie trochę mleczka do kawy.

Mina wiedziała, że Ruben pije tylko czarną. Chciał się przypodobać.

– W mojej rodzinie jesteśmy wszyscy blisko ze sobą. I nikt nie polubił Jenny. Zawsze uważali, że to moja pomyłka. Za to Cecilię pokochali od pierwszej chwili i może za bardzo to okazywali. Jest przecież Facebook i Instagram...

– Najgorsze były jej oskarżenia przed sądem.

Głos Cecylii zadrżał, Mina domyślała się, że dla niej jest to wciąż otwarta rana.

– Na szczęście jej nie uwierzyli. Zresztą nie miała żadnych dowodów, tylko same oskarżenia. I jeszcze słowa, które włożyła w usta Lilly już po fakcie.

– Wcale nie chciałem odebrać jej Lilly – odezwał się Mauro, odgarniając z czoła kosmyk czarnych włosów. – Wolałem opiekę naprzemienną. Co drugi tydzień. Jednak dla Jenny zawsze było wszystko albo nic. A córkę traktowała jak swoją własność.

– Ona nas niszczy – powiedziała zapalczywie Cecilia, splatając ręce na kolanach.

– Niczego nie chciałbym tak bardzo jak tego, żeby dowiedzieć się, kto nam odebrał Lilly – ciągnął Mauro spiętym głosem. – Bo nie ja.

– I nie podejrzewamy pana o to – odparła Mina. – Właśnie o tym chcieliśmy z wami rozmawiać. Może słyszeliście, że w zeszłym tygodniu w podobnych okolicznościach zniknął chłopczyk, rówieśnik Lilly? Próbujemy ustalić, czy zachodzi jakiś związek między tymi sprawami. Naprawdę nie mają państwo pojęcia, kto mógł ją uprowadzić?

– Myśmy już powiedzieli wszystko – rzekł Mauro, spuszczać wzrok. – Poszedłem odebrać ją z przedszkola. Nie było jej. A trzy dni później...

Kosmyk ciemnych włosów opadł mu znów na czoło.

– A może wasze rodziny coś łączy? Zna pan rodziców Ossiana? – Mina podsunęła mu zdjęcie w komórce, na którym byli rodzice Ossiana, wymieniła również ich nazwisko. Długo na nie patrzył, a potem z wahaniem pokręcił głową.

– Nie, nie przypominam sobie. Wprawdzie nie jestem pewien tak do końca, bo zupełnie nie mam pamięci do twarzy, ale w pierwszym odruchu powiedziałbym, że ich nie znam.

Mina pokazała jeszcze zdjęcie Cecylii, która również pokręciła głową, i zawiedziona schowała telefon do kieszeni. Do niczego nie doszli.

– Kochanie, mógłbyś przynieść więcej lodu? – zwróciła się Cecilia do męża, który natychmiast wstał.

– Oczywiście.

– A jakieś przypuszczenia co do tego, kim byli ci starsi ludzie? – spytał Ruben. Cecilia najpierw zmarszczyła czoło, jakby nie rozumiała.

– Aha – powiedziała potem. – Nie. Z tego, co wiemy, to nawet nie byli widziani z Lilly, tylko w pobliżu przedszkola. Pewnie to tylko jacyś przechodnie. Dla nas to wciąż zagadka, kto uprowadził córkę Maura. Mogłabym sobie ułatwić sprawę, mówiąc, że pewnie Jenny, jednak... nie, nie wierzę, że to ona.

– A jacyś starsi krewni, którzy zaangażowali się emocjonalnie albo praktycznie w spór o opiekę nad dziewczynką? Po stronie Jenny? Albo po waszej? – spytał Ruben jeszcze, ale Cecilia pokręciła znów głową.

– Nie, nie, niemożliwe. Rodzice Jenny nie żyją, a nasi, cóż, są starzy i niedołążni. Oczywiście przekazemy ich dane kontaktowe, jeśli chcecie sami sprawdzić.

– Będę wdzięczny – powiedział Ruben, jednak intuicja podpowiadała Minie, że Cecilia mówi prawdę.

Szlag by trafił. Same ślepe uliczki. Jutro środa, cały tydzień od zniknięcia Ossiana, a oni wciąż nie wiedzą nic więcej. Miała nawet wrażenie, że jeszcze mniej. Jak mogło do tego dojść? Są dobrymi policjantami, wiedziała że tak jest, a jednak wciąż drepczą w miejscu.

Mauro przetrząsnął zamrażarkę i wrócił z plastikowym pojemnikiem na kostki lodu. Podszedł do Cecylii i popukał w dno pojemnika, aż wszystkie wpadły z pluskiem do miski.

– Ooooo... jak dobrze... – westchnęła, przymykając z rozkoszą oczy.

Mauro pocałował ją w usta i pogładził po głowie. Ich miłość była ewidentna. Mina poczuła ukłucie zazdrości. Mauro nie będzie nigdy musiał pozować z wielką rybą, żeby zwrócić uwagę Cecylii. Uczucie między nimi było prawdziwe.



– Nie będziemy więcej przeszkadzać – powiedziała, wstając nagle.

Chciała zadzwonić do Vincenta, usłyszeć jego głos i nie musieć się nagle rozłączać. Niechby nawet wygłosił jeden z tych swoich wykładów ze zbędnymi szczegółami, których nikt nie był ciekaw.

Samotność wcale nie jest siłą, choćby bardzo sobie tego życzyła.

**PO POWROCIE DO** komendy z Upplands Väsby Ruben pospiesznie przebrał się w zabraną z domu białą uprasowaną koszulę. Specjalnie się rano nie ogolił, wiedząc, że wydaje się wtedy dość drapieżny, co w połączeniu z zawodem policjanta nadawało mu wygląd nieco groźny i interesujący. Wprawdzie obecnie nie podrywał, ale nigdy nie jest źle postarać się o dobre pierwsze wrażenie. Zresztą umowa z psycholożką Amandą przewidywała tylko, że jemu nie wolno podrywać. Nie było mowy o tym, co wolno, jeśli to kobieta zrobi pierwszy krok. A gdyby wtedy niechcący udzielił jej lekkiej podpowiedzi, to już trudno. Zależałoby tylko od niej.

Myślami wciąż wracał do tego, co sobie uzmysłowił, kiedy był u babci. Że Astrid musi być jego córką. I co on, do cholery, ma zrobić z tą informacją?

Na razie trzeba to odłożyć na później, bo niedługo odbywa się spotkanie z ekspertką Adama od skrajnych zachowań grupowych. Przyjdzie Nova. Zważywszy na to, jak wygląda, pewnie jest przyzwyczajona do tego, że zwraca uwagę. Ta jej piękna złotawa cera, jakby przyjechała z Brazylii, Azji albo USA, pewien siebie, a jednocześnie przyjazny uśmiech. Nawet z dołeczkami w policzkach. Mógł przynajmniej spróbować dopasować się do jej stylu.

I liczyć na to, że ona go nie pamięta.

Na wykładzie, który wygłosiła kilka lat temu, obecnych było kilkuset policjantów. Ryzyko, że go zapamiętała, było minimalne. Chociaż po wykładzie dwukrotnie zapraszał ją do restauracji. A potem jeszcze próbował ją uwieść w pomieszczeniu z kopiarkami. No, takiej kobiecie jak Nova na pewno przydarza się to codziennie.

Wyglądało na to, że szlag trafi wszystko, chociaż nawet jej jeszcze nie było. Adam poszedł po nią do recepcji, a Peder wystawił na stół duńskie ciastka. Takiej kobiety jak Nova nie częstuje się lepkiem ciastkiem, tylko kieliszkiem cavy. Ewentualnie orzechowymi kuleczkami.

– Będiesz miał na brodzie krem waniliowy – mruknął do Pedera, siadając przy stole.

Wyliczył sobie, że do chwili otwarcia zebrania jego perfumy Montblanc zdążą się zmieszać z naturalnym zapachem ciała. Wcześniej pachniał, jakby właśnie się nimi oblał, czyli klasyczny błąd nowicjusza. Jednak gdyby zebranie się opóźniło, zapach będzie za słaby. Czemu to tak długo trwa? I dlaczego Mina się na niego gapi?

– O co chodzi? – syknął, trochę bardziej obcesowo, niż zamierzał.

Mina drgnęła.

– Wydajesz się jakiś podenerwowany – powiedziała. – Stało się coś?

– Podenerwowany? – Wysilił się na śmiech. – Ja? Ostatnio mi się to przydarzyło, kiedy musiałem prosić moją panienkę na noc o pokazanie legitymacji.

– Ruben! – odezwała się ostro Julia. – Rozmawialiśmy o tym tysiące razy... O, jesteście!

Adam i Nova weszli do pomieszczenia, przerywając tę rozmowę. Idealne wycucie czasu. Ruben pachniał idealnie. I nie musiał tłumaczyć się przed Miną. Prawie rok strawił na wynajdywaniu nowych historii o podrywach, żeby serwować je w stołówce Gunnarowi i chłopakom. Tak się przyzwyczyił do opowiadania tych bajeczek, że robił to całkiem odruchowo, również w nieodpowiednich sytuacjach. Jak teraz. To tylko kwestia czasu, jak zostanie zdemaskowany. Kończyły mu się tematy.

Nie wydawało się, aby Mina teraz zwracała na niego uwagę. Jej oczy aż pociemniały na widok wchodzącej Novy. Typowa kobieca zazdrość. Wprawdzie Mina też była ładna, choć o surowym typie urody, przynajmniej dopóki człowiek nie musiał patrzeć na jej spierzchnięte dłonie, ale byłaby głupia, gdyby myślała, że może konkurować z elegancką, światową Novą. Ach, te kobiety. Westchnął w duchu i wyprostował się.

– Cześć, nazywam się Julia Hammarsten i kieruję tym zespołem – odezwała się Julia, wyciągając rękę do Novy. – Adama już znasz, pozostali to Ruben, Mina, Christer i Peder.

Ruben uśmiechnął się do Novy, mrużąc lekko oczy i kiwając nieznacznie głową. Taki stary sposób, stosowany przez niego wobec osoby przesłuchiwanej, dzięki czemu tamta się rozluźniała i odnosiła wrażenie, że się rozumieją albo mają ze sobą coś wspólnego. Nova uprzejmie odpowiedziała skinieniem, przeniosła wzrok na Pedera i uśmiechnęła się serdecznie. Kurde. Widocznie jego urok trochę zardzewiał. W każdym razie chyba go nie poznała. A skoro już na niego nie patrzyła, mógł z satysfakcją odnotować, że miała odpięte dwa guziki białej bluzki. Szkoda tylko, że włożyła tak szeroką spódnicę, trudniej było odtworzyć sobie kształt tyłka. Choć spódnica pozostawiała szerokie pole dla wyobraźni. Kobiety w spódnicy nie zawsze noszą majtki. Amanda może sobie mówić, co chce, ale myślenia nie może mu zabronić.

Nova uśmiechnęła się z przymusem, witając się z Miną, która nie podała ręki, chociaż siedziały blisko. Ale prawie nigdy tego nie robiła. Mogłaby się nauczyć manier. Albo nosić rękawiczki.

– Jak ci mówił Adam, pracujemy nad sprawą uprowadzonego chłopczyka o imieniu Ossian – powiedziała Julia, gdy Nova przywitała się również z Christerem. – Do takich uprowadzeń dzieci dochodzi niezwykle rzadko. W dodatku to porwanie jest w zasadzie identyczne z porwaniem sprzed roku. Dlatego podejrzewamy, że jest tu jakiś łącznik.

– Rzadko... to znaczy jak rzadko? – spytała Nova, siadając przy stole.

Znalazła się naprzeciw Rubena, który nie miał nic przeciwko temu. Mogłaby odpiąć jeszcze jeden guzik. Peder podsunął jej talerz z duńskimi ciastkami i Nova wzięła jedno. Na wargach zostało jej kilka okruszków, kiedy je ugryzła. Ruben odnotował, że zlizwała je czubkiem języka.

Nagle zastygła i spojrzała na Rubena. Jej oczy rozszerzyły się. Ojej, nie. Jednak nie zapomniiała.

– Chyba się już spotkaliśmy – powiedziała zimno. – Ktoś ci ostatnio pomagał drukować w kopiarni?

Ruben poczuł gorąco na twarzy.

– Nie, sam sobie radzę – odparł.

I zdał sobie sprawę, jak to zabrzmiało.

– To znaczy nie w tym sensie – wybuchnął. – Tylko... eee... zostawmy to.

Koledzy przyglądali się ze zdumieniem, a w oczach Novy pojawiły się iskiereki powstrzymanego śmiechu. Jeden zero dla niej. Dlaczego nie? Zasłużył sobie.

– Odpowiadając na twoje pytanie, Nova – odezwał się Adam – to co roku dostajemy setki zgłoszeń od zdenerwowanych rodziców, którzy nie wiedzą, gdzie podziało się ich dziecko. W zasadzie jednak wszystkie te dzieci wracają po godzinie, dwóch. Najczęściej okazuje się, że poszły do koleżanki lub kolegi i nie zorientowały się, ile czasu minęło. Tym razem zdarzyło się coś, co się prawie nigdy nie zdarza, choć wszyscy rodzice się tego boją, to znaczy dziecko zostało rzeczywiście uprowadzone i zamordowane. Prawie się nie zdarza.

– Zamordowane? – Nova z przerażeniem w oczach odłożyła ciastko.

Julia skinęła głową i wskazała pytająco na dzbanek z kawą. Nova pokręciła głową.

– Lilly Meyer została zeszłego lata znaleziona martwa na pomoście w Hammarby sjöstad – rzekł z westchnieniem Christer. – Pod plandeką. A Ossiana znaleźliśmy martwego w sobotę pod trapek na statek. Cholera jasna.

– Wyobrażasz sobie, jaki to smakowity kąsek dla mediów – zauważył Ruben. – Telewizyjne wiadomości przypominają przez kilka dni serial HBO, oglądany przez Svenssonów w domu na kanapie. I wszyscy czują ulgę, że nie dotyczy to ich dziecka.

Nova opuściła wzrok.

– Dziewczynka uprowadzona zeszłego lata została znaleziona martwa po trzech dniach – uzupełniła Julia. – Tak samo było w przypadku Ossiana. Został znaleziony przy af Chapman na Skeppsholmen trzy doby od zaginięcia. Co na razie udało nam się ukryć przed mediami, ale na pewno zwietrzą to lada moment. Podobieństwo między tymi sprawami może oczywiście być przypadkowe. Jednak możemy również mieć do czynienia z tym samym sprawcą.

Nova zapatrzyła się na nią.

– Przepraszam – powiedziała – ale na czym miałyby tu polegać moja rola? Jakos nie widzę, jak mogłabym pomóc, choćbym chciała. Nie znam się na... mordercach.

– Sposób postępowania przy uprowadzeniu był identyczny – odparł Adam. – Jednak osoby, które go dokonały, są różne. W obu przypadkach dysponujemy rysopisem. Lilly została uprowadzona przez parę starszych ludzi. Ossian przez kobietę około trzydziestki. A więc albo porywaczka Ossiana przeczytała o sprawie z zeszłego roku i ją skopiowała, albo...

– ...albo ci ludzie się znają – podchwyciła Nova. – Co by oznaczało, że chodzi o grupę ludzi, choćby niewielką, którzy nie mają problemu z tym, że dokonują drastycznych czynów. Już rozumiem.

– Właśnie, podobno jesteś ekspertką w tej dziedzinie – powiedziała Julia. – A my potrzebujemy zrozumieć tok myślenia takich osób.

– Różnice między nami a nimi są czasem mniejsze, niż się wydaje – odparła łagodnie Nova, zwracając się do zespołu. – Z biegiem czasu zdobyłam spore doświadczenie dotyczące grup skrajnych. Najczęściej określanych jako sekty. Zaczęło się od tego, że trafiła do mnie kobieta, którą rodzice próbowali od dawna skłonić do zerwania z grupą o wyraźnych cechach sekty. Przyszła do nas niechętnie, ale udało nam się ją uwolnić. Dziś nawet pracuje dla mnie. A ja nauczyłam się sporo z tej historii. Rozeszła się o tym wieść, otrzymywaliśmy coraz więcej zapytań. Dziś nie jest to główna część naszej działalności, ale jednak. Oby wiedza, jaką zdobyłam przez te lata, mogła się w jakiś sposób przydać w waszej pracy.

Ruben był ciekaw, czy jest równie łagodna podczas seksu, kiedy jej biała bluzka jest rozpięta do końca. Miał nadzieję, że nie. Może powinien ją jednak spytać, czy ma ochotę trochę poddrukować. A potem stanęła mu przed oczami gniewna twarz Amandy i się zawstydził. No, ale to było tylko w myślach. Zresztą od ostatniego razu upłynęło prawie pół roku. To pięć miesięcy i trzy tygodnie dłużej, niż był przyzwyczajony.

– Każdy człowiek może trafić do organizacji lub sekty i jest w stanie robić takie rzeczy, które wcześniej byłyby dla niego niewyobrażalne – ciągnęła Nova. – To wynika z potrzeby znalezienia się w gronie ludzi podobnych sobie.

– Jak w przypadku Mansona i jego „rodziny”?

– Tak, albo oblubienicy Chrystusa i jej zgromadzenia w Knutby<sup>11</sup>. Nawiasem mówiąc, mam w Epicurze dwie osoby spośród dawnych członków zgromadzenia Åsy Waldau – zdradziła Nova.

– Słyszałem, że Åsa żyje dziś w zapomnieniu w małej miejscowości wraz ze swoim ojcem – mruknął Christer. – Dosyć to dalekie od jej narcystycznych marzeń o władzy i złocie. Dobrze jej tak.

– Przepraszam, ale w jaki sposób przeszliśmy nagle do przekonania, że tu chodzi o sektę? – odezwał się Peder, drapiąc się po brodzie. – Przecież to nie to samo co troje szaleńców, którzy przypadkiem się znają? A sekta chyba ma charakter religijny? Od kiedy to porwania mają motywację religijną?

– Na razie nie mamy żadnego poglądu na ten temat – odpowiedziała mu Julia, wachlując się plastikowym skoroszytem. – Badamy wszelkie ewentualne tropy. Jednak musisz się chyba zgodzić, że niezmiernie rzadko mamy do czynienia z grupą ludzi dokonującą czegoś takiego razem i w odstępie roku? Nie wierzę, że są szaleni. Na to ich działania są zbyt planowe. I tu wracamy do wiedzy, jaką ma Nova na temat zachowań skrajnych.

– Nieporozumienia wokół sekt i religii są częste – odezwała się znów Nova.

Ruben widział, że Nova całkowicie przeszła na tryb roboczy. Mógł zapomnieć o kopiarni.

– Sekta może dotyczyć prawie wszystkiego – mówiła dalej. – Niektórzy badacze wskazują na podobieństwa między sektami religijnymi, ruchami politycznymi i ogólnie rzecz biorąc, ideami totalitarnymi. To, co je łączy, to pewne skrajne wzorce myślowe. Owszem, w sekcie mamy zawsze do czynienia z jakąś formą adoracji. Ale równie dobrze może ona być skierowana do prezydenta kraju, jako boga. Donald Trump czy fundamentalizm – do prawie wszystkiego można przekonać. A jeśli wasi porywacze się znają, to sądzę, że podzielają jakąś formę silnego przekonania. W przeciwnym razie nie byłoby w stanie dokonać tak strasznych morderstw. Czy to właściwe określenie? Chodzi o morderstwa?

Christer przytaknął ponuro, drapiąc Bossego po karku.

– Morderstwa Lilly Meyer i Ossiana Waltherssona – powiedział. – Pięcioletnich dzieci.

Bosse zaskomlał i spojrział smutno na swego pana.

– To nie musi być kwestia przekonań religijnych – zaznaczyła Nova. – Wystarczy jeden przywódca, na tyle silny, aby posyłać innych do uprowadzenia dzieci.

Ruben prychnął w duchu. *Niektórzy badacze wskazują*. Ona mówi prawie jak Vincent. Jednak Nova to zdecydowanie szczebel wyżej niż mentalista. Chociaż najczęściej zwraca się do Pedera. Może Ruben nie docenił magii tej hipsterskiej

brody. Julia miała rację o tyle, że sprawa jest nietypowa, w związku z czym rozumowanie też musi być nietypowe. Gdyby to oznaczało, że Nova będzie się u nich pojawiać częściej, to on nie miał nic przeciwko temu.

– Przywódca? – spytała Julia.

– Tak, kiedy grupę ludzi cechują zachowania skrajne, to znaczy robią rzeczy dalekie od normy czy sprzeczne z prawem, prawie zawsze stoi za tym silny przywódca. Ktoś wystarczająco manipulacyjny, autorytatywny albo budzący strach, aby przekonać pozostałych.

– No to załóżmy, że mamy do czynienia z taką grupą – powiedziała Julia. – Przyjmijmy to założenie dla samej dyskusji. Co w takim razie mówi o niej sposób popełnienia morderstw? Co to za ludzie?

Nova zastanowiła się.

– Okej – powiedziała w końcu. – Sekty, i to niezależnie od ich charakteru: polityczne, religijne czy jeszcze inne, lubią rytuały. Bo to sposób na zdefiniowanie swego ruchu. W tym, co mi opowiedzieliście, występują wyraźnie rytualne aspekty. By nie rzec: czysto symboliczne. Zarówno Lilly, jak i Ossiana nie było trzy dni, zanim ich znaleziono martwych. Trzy to, jak pewnie wiecie, najświętsza spośród świętych liczb. Już w starożytnej Grecji Pitagoras uważał, że trzy to liczba doskonała. Może odpowiadać za narodziny, życie i śmierć. Początek, środek i koniec. W chrześcijaństwie mamy Trójkę Świętą. W bajkach wszystko dzieje się trzy razy zgodnie z psychologicznym modelem introdukcji, ustanowienia i zmiany. Problem jednak w tym, że trzy może oznaczać tak wiele. Trudno stwierdzić, co oznacza w tym przypadku. Interesujące jest też umiejscowienie zwłok.

Ruben westchnął. Teraz zdecydowanie za bardzo przypominała Vincenta. To właściwie dziwne, że nie zwrócili się o pomoc do Vincenta zamiast do niej. Może mentaliści nie znają się tak dobrze na sektach. Ruben poczuł swego rodzaju satysfakcję, że Vincent miał jakieś luki w swoim banku informacji.

– W jakim sensie?

– Ciało Lilly i Ossiana zostały znalezione w pobliżu wody. Utopili się?

– Nie – odparła Mina. – Lilly umarła wskutek uduszenia. Przyczyna śmierci Ossiana jeszcze nie została ustalona, ale ciało było suche, kiedy je znaleźliśmy.

Ruben odnotował, że to pierwsze słowa Myny, jakie padły od początku zebrania.

– To dlaczego były nad wodą? – zadała pytanie Nova. – Woda ma niesłychanie mocną, niemal boską symbolikę.

– Czyli szukamy wielbiących wodę fanatyków lubiących cyfrę trzy – podsumowała ostro Mina. – To oczywiście dużo bardziej prawdopodobne niż,

powiedzmy, siatka pedofilska albo handlująca ludźmi. No wiecie, takie rzeczy, jakie zdarzają się w prawdziwym świecie.

Nova wzruszyła ramionami.

– Zgadzam się – powiedziała. – Sekta to niezbyt prawdopodobne wyjaśnienie. Może nie powinniśmy się upierać przy akurat tym słowie. Bo jakkolwiek na to spojrzeć, obydwie te morderstwa mają wyraźne cechy rytuału i symboliki. Byłoby dziwne, gdyby te sprawy się nie łączyły. A zważywszy na fakt, że rysopisy porywaczy się różnią, to przypuszczam, że zamieszanych w to jest więcej osób. Para starszych ludzi i młoda kobieta? Ktoś ich ze sobą połączył i skłonił do dokonania tych czynów.

– Dlaczego przywódcą nie miałyby być osoba spośród porywaczy? – spytała Mina. – Nie rozumiem, dlaczego musi być ich więcej.

Nova przytaknęła.

– Z pewnością masz rację, możliwe, że jest ich tylko troje. Jednak przywódca grupy ekstremistycznej zawsze ma jakiś plan. Uczestnictwo w uprowadzeniach oznaczałoby dla niego zbyt duże ryzyko, że zostanie schwytany, co udaremniłoby plan. I dlatego sądzę, że jest ich więcej.

Nova zwróciła się teraz do Julii.

– Oczywiście nie znam się na pracy policyjnej – powiedziała. – Pozwolę sobie jednak twierdzić, że w Szwecji nie ma nikogo, kto miałby tak duże doświadczenie dotyczące skrajnych ruchów jak ja. Na podstawie faktów, które mi przedstawiliście, dochodzę do wniosku, że są to rytualne czyny dokonane przez grupę osób z hierarchicznej organizacji, na której czele stoi lider. Takie czyny wymagają, jak już powiedziano, silnego przekonania do czegoś większego od siebie. Oczywiście może być wiele innych wyjaśnień, do których wy potraficie dotrzeć lepiej ode mnie. Ja mogę tylko mówić za siebie.

– I bardzo ci za to dziękujemy – odparła Julia. – Rozumiesz, że nieczęsto słuchamy takich teorii. Jednak powinniśmy słuchać wszystkiego.

– Mordercy lubiący wodę – mruknął Christer. – Jakie to szczęście, że Sztokholm jest miastem, które jest w całości położone nad wodą. Głupio byłoby mieć do czynienia z czymś, co by nam uprościło pracę, zamiast ją dodatkowo skomplikować.

– Nie powiedziałam, że ta woda jest ważna – zaproponowała Nova. – Chciałam tylko wskazać na te najwyraźniejsze łączniki, patrząc z mojej perspektywy.

– Masz jeszcze jakieś przemyślenia? – spytała Julia, rzuciwszy spojrzenie na zegarek. – W przeciwnym razie kończymy. Chętnie się jeszcze skontaktuję z tobą innego dnia.

Nova się zastanowiła, następnie pokręciła głową. Ciemna grzywka przez chwilę opadła jej na twarz. Ruben zdał sobie sprawę, że bardzo chciałby dotknąć



tych włosów. Boże drogi. Ten celibat był jednak cholernie nieprzemyślany.

– Owszem, jeszcze jedno – odezwała się Nova, gdy Julia już wstała. – Gdyby się jednak okazało, że macie do czynienia z rozumowaniem typowym dla sekty, to pamiętajcie o jednym. Nie ma znaczenia, że schwytacie i wsadzicie za kratki sprawców porwań; okażą się jedynie nieznaczącymi pionkami, a na ich miejsce znajdą się inni. Jedyne sposob, żeby ich zatrzymać, to odnaleźć lidera, tego, który wydał rozkaz dotyczący... zamordowania. To jego musicie dopaść.

– Czyli mówisz, że w przeciwnym razie grupa będzie działać, dopóki nie zrealizuje planu, o którym wspomniałaś – mruknął Peder. – Co może oznaczać, że zginie więcej dzieci. I więcej rodzin zostanie zdruzgotanych.

Zapadło milczenie. Nova patrzyła długo na Pedera. Ruben poczuł ściskanie w gardle. Wolał się nie odzywać jako pierwszy.

– Obawiam się, że masz rację – powiedziała Nova.

– **CZY MOŻLIWE**, że to był przypadek? – odezwał się Peder, patrząc z troską na wyłamane drzwi.

– Możliwe jest wszystko – odparł Adam. – Ale założmy, że to nie przypadek. Czy oboje rodzice są w domu?

Skinął głową jednemu z techników, który minął ich, wchodząc do mieszkania Waltherssonów na Bellmansgatan.

Zawiadomienie o włamaniu przyszło zaraz po zebraniu z Novą. Adam wyszedł z komendy kupić lunch, więc gdy wrócił, Pedera już nie było. Adam pojechał tam i zastał go na miejscu. Peder zdążył już wejść do środka, Adam jeszcze nie.

– Są oboje – poinformował go Peder. – Zauważyli włamanie po powrocie do domu z odwiedzin u rodziców Josefin. Jakby nie dość było, że stracili dziecko.

– Chciałbym z nimi porozmawiać.

Adam wszedł ostrożnie przez drzwi, Peder za nim. Obaj zwracali uwagę na to, gdzie stawiają stopy. Nie było to wprawdzie miejsce zbrodni, ale jeśli włamanie pozostawało w jakimś związku ze śmiercią Ossiana, trzeba będzie je tak potraktować i odpowiednio dokładnie sprawdzić. Zniweczenie badań kryminalistycznych to ostatnie, czego by sobie życzyli.

– Siedzą tam – powiedział Peder, wskazując mu kuchnię. – Kuchnia wydawała się nietknięta, więc pomyślałem, że najlepiej, jak tam pójdą.

Fredrik zaczął się podnosić na ich widok, ale potem znów usiadł.

– Czy to... ci sami ludzie, którzy porwali Ossiana? – spytał. – Czego oni teraz chcą od nas?

W oczach miał lekką panikę, ale i ogromne zmęczenie.

Josefin patrzyła pustym wzrokiem przed siebie, jakby już nic nie było w stanie jej poruszyć i nic nie obchodziło. Adam domyślał się, że jest na silnych lekach.

– Jeszcze nie wiemy – odparł. – Przeprowadzimy gruntowne badanie waszego mieszkania i zabezpieczymy wszelkie ślady.

– Nie rozumiem tego – powiedział Fredrik. – Nie mamy wrogów. W naszym życiu ani w przeszłości nie ma nic, co by mogło kogoś sprowokować, żeby nam ktoś źle życzył. Mówiłem to już poprzednim razem. Myśleliśmy, że to przypadek, że wzięli Ossiana, ale w takim razie... co... dlaczego... co...

Fredrik zacinał się, nie kończąc zdania, i ukrył twarz w dłoniach. Adam wysunął krzesło i usiadł przy stole naprzeciw nich. Peder podszedł do blatu i bez

pytania zaczął szykować kawę. Adam skinął mu głową z aprobatą. Najlepsza broń policji: czarna kawa.

– Jak długo was nie było? – spytał, splatając dłonie na jasnej powierzchni stołu.

Było na niej sporo kresek po żółtych, czerwonych i zielonych flamastrach. W całej kuchni były ślady pozostawione przez Ossiana. Rysunki przyklejone kolorowymi magnesikami do lodówki. Na suszarce dziecienny talerzyk z obrazkiem przedstawiającym Zygzaka McQueena. Na blacie otwarte opakowanie ciasteczek w kształcie liter. Musiał odwrócić wzrok.

– Pojechaliśmy do rodziców Josefin wczoraj wieczorem – odpowiedział Fredrik – i przenocowaliśmy tam. Czuję, że Josefin musi się stąd wyrwać. Właściwie to oboje musieliśmy. Jej rodzice mają dom w Täby, więc spędziliśmy noc w ich pokoju gościnnym. Wróciliśmy jakąś... tak... godzinę temu.

– I zobaczyliście, że drzwi zostały wyłamane?

Adam zdawał sobie sprawę, że zadaje pytania, które są oczywiste. Jednak doświadczenie nauczyło go, że kiedy rozmawia się z osobami przeżywającymi żalobę albo szok, te najprostsze pytania działają uspokajająco. Przynajmniej one wydają się zrozumiałe w świecie, który właśnie stanął na głowie.

Peder postawił przed nimi filiżanki z gorącą kawą.

– Mleka?

– Poproszę, Josefin pije z mlekiem – powiedział Fredrik, głaszcząc żonę po ramieniu.

Josefin wciąż patrzyła tępo przed siebie. Peder skinął głową, podszedł do lodówki i wyjął otwarte opakowanie mleka, sprawdziwszy datę przydatności do spożycia. Postawił je na stole, a Fredrik wlał odrobinę do kawy Josefin.

– Proszę, kochanie.

Nie poruszyła się.

– Drzwi były częściowo otwarte, więc od razu się zorientowałem, że coś jest nie tak – powiedział Fredrik, zwracając się do Adama. – Byłem pewien, że zamknąłem je na klucz. Potem zobaczyłem ślady koło zamka. A po wejściu do środka zobaczyliśmy bałagan w mieszkaniu.

– Zorientowaliście się, czy czegoś brakuje? – spytał Peder, siadając obok Adama.

– Jakichś drobiazgów. Obrączki Josefin i jej biżuterii, kolczyków i złotej bransoletki. I zegarka, który mój ojciec Allan dostał na urodziny. Przedmioty o wartości jedynie sentymentalnej.

– Okej. Poprosimy was o zrobienie listy wszystkiego, co wam się przypomni – dodał Peder. – Czasem dopiero po czasie człowiek orientuje się, co zginęło.

– Jeszcze i to.... jesteście już zupełnie bez sił – odparł Fredrik, chwytając rękę żony.

W ogóle nie reagowała, jakby była zupełnie gdzie indziej, a nie w rzeczywistości, w której nie ma już jej dziecka. Adam miał cichą nadzieję, że jest jej tam przynajmniej trochę lepiej.

– Nie musi zachodzić żaden związek – powiedział. – Proszę mi wierzyć, widzieliśmy już niejedno włamanie i to w niczym nie różni się od innych.

Fredrik kiwnął głową z miną, jakby nie wierzył, a Adam nie miał mu tego za złe. Jakie były szanse, że to przypadek?

Słyszeli poruszających się po mieszkaniu techników kryminalistyki. Zwykle byli to ludzie z lokalnej grupy technicznej Lokus, przeprowadzającej badania na miejscu włamania. Fachowcy zabezpieczający wszystkie ewentualne ślady w związku z dochodzeniem i po to, by wesprzeć ofiary włamania. Społeczeństwo myśli na ogół, że policja ignoruje włamanie, ale to nieprawda. Lokus wykonuje świetną robotę, niska wykrywalność wynika raczej z tego, że większości włamań dokonują teraz profesjonalne cudzoziemskie grupy przestępcze. Jednak na wypadek gdyby włamanie miało coś wspólnego ze sprawą Ossiana, sprowadzono techników z wydziału kryminalistycznego. Każdy trop może okazać się decydujący. Adam wstał.

– Odezwijcie się, gdybyście wpadli na coś, choćby był to jakiś drobiazg – powiedział. – I zacznijcie od listy rzeczy, których brakuje. Wystarczy do nas zadzwonić.

Fredrik kiwnął głową.

Josefin nadal patrzyła pustym wzrokiem przed siebie.

Adam zamienił jeszcze kilka słów z grupą techników i wyszedłszy z mieszkania, odetchnął głęboko. Peder, który szedł za nim, położył mu rękę na ramieniu.

– Z czasem wcale nie jest łatwiej.

– No nie jest, rzeczywiście.

– Wiesz co, przydałoby mi się obejrzeć teraz ten filmik. Jako przeciwwagę do tego.

– Filmik? – zdziwił się Peder.

– No, mówili o jakimś filmiku z trojaczkami. I festiwalem piosenki.

– Da się załatwić – uśmiechnął się Peder, sięgając do kieszeni po smartfona.

**KELNER W MAŁEJ** osiedlowej knajpce postawił przed nim jeszcze jedno piwo, Ruben mruknął słowo podziękowania. Jadał tam lunch prawie w każdy wolny dzień, odkąd ją otworzyli pięć lat temu. W wolny dzień, to znaczy gdy nie musiał jeść przy biurku, bo trzeba było pracować. Z wyjątkiem poniedziałków, kiedy szedł do babci. Bywały również kolacje. Gotowanie tylko dla siebie nie miało większego sensu. Nie dlatego, żeby nie umiał, przeciwnie, radził sobie z tym lepiej niż większość znajomych facetów, w każdym razie gdy chodzi o grillowanie. Jednak szkoda mu było czasu, gdyby miał jeść sam.

W weekendy czasami jadał tam nawet śniadania, brunch. Zwłaszcza jeśli musiał czekać na wyjście panienki, którą przyprowadził sobie poprzedniego wieczoru. Od zimy nie było zatem śniadań, a gdyby miał być szczery wobec Amandy i samego siebie, dawno nie czuł się tak dobrze.

Osiedlowa knajpka stała się dla Rubena drugim domem. Dobrze mu było z tym, że zna z imienia pracujących tam ludzi, a oni znają jego zwyczaje. Choćby ten, że zawsze wypijał jedno piwo przed jedzeniem, drugie po, a kawy już nie. Dziś jeszcze przed jedzeniem zamówił drugie piwo, co sprawiło, że kelner Mikael ociągał się z odejściem.

– W porządku? – spytał.

– Trochę dużo spraw do przemyślenia – odparł Ruben, wypijając łyk piwa. – Wszystko będzie dobrze.

– Żebyś się tylko nie przepracował, dopiero środa – zauważył tamten, kiwnął mu głową i go zostawił.

Wiedział, że Ruben tak woli. Żadnego gadania o niczym. Zresztą Ruben nie kłamał. Świat mu się trochę rozchwiał. Z jednej strony sprawa Ossiana, paskudna. Miał wielkie poczucie klęski, owszem, również żałoby, i wiedział, że koledzy czują tak samo. Nic ich tak nie poruszało jak śmierć dziecka. Nic. I nagle poczuł strach, kiedy uzmysłowił sobie, że on, Ruben Höök, ma córkę. Wiedział o tym od trzech dni, ale jeszcze nie zdążył tego przetrwać, bo tyle się działo. Córkę, do diabła. Którą mógłby stracić. Odepchnął od siebie tę myśl i spróbował skupić się na bardziej praktycznych aspektach swego odkrycia. Jak choćby jej imieniu.

Astrid.

Astrid Höök.

Nie Höök, poprawił się. Nosi nazwisko po matce. A jednak. To jaki będzie następny krok? Ellinor dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce jego

powrotu. Ale to było, zanim dowiedział się, że ma córkę.

– Proszę bardzo.

Stek z łąty wołowej z frytkami. Według Rubena absolutny szczyt ewolucji gastronomicznej. Do tego trochę fasolki szparagowej dla zachowania pozorów i nie trzeba nic więcej. Kroił kruche mięso, ale nie potrafił skupić się na jedzeniu. Zamiast tego próbował sobie wyobrazić, jak Astrid mogła wyglądać w różnych okresach dzieciństwa. Wszystkich, które go ominęły.

Odsunął talerz. Nie będzie mógł jeść, dopóki czegoś nie zrobi. Zarechotał. Kurde, zachowuje się, jakby był jakimś kłębkiem nerwów. Może powinien porozmawiać o tym z Amandą? Na pewno mogłaby mu pomóc. Sam się zdziwił, że tak pomyślał. Gunnar padłby ze śmiechu, gdyby go teraz widział.

Wyjął smartfon i pod zdjęciem Astrid z facebookowej strony Ellinor napisał do niej: *Chyba powinniśmy o czymś porozmawiać.*

Następnie wyłączył dźwięk telefonu i wypił duży łyk piwa. Motylki w brzuchu tańczyły cza-czę. Nie chciał wiedzieć, czy Ellinor odpowiedziała ani co odpowiedziała, dopóki nie przygniecie tych owadów porządną porcją mięsa z frytkami.

Ma dziecko.

Córkę.

Którą najbardziej na świecie chciał uchronić przed złem.

**JULIA SPOJRZAŁA ZE** złością na zegarek, jednocześnie naciskała aż za mocno przyciski pilota do telewizora, który stał w kącie salki konferencyjnej.

– Ruben idzie już? – spytała.

– Wraca z lunchu, będzie za pięć minut, spieszy się, jak może – odpowiedział Peder i ostrożnie pokazał uniesiony kciuk. Według Pedera i Adama u Waltherssonów doszło do zwykłego włamania, choć oznaczało to utratę wartościowych przedmiotów i przemoc emocjonalną. Niektórzy ludzie mają po prostu pecha.

Julia skinęła głową i dalej naciskała na pilota, ale nie mogła trafić na kanał z sygnałem z podłączonego komputera. Wzbierała w niej złość, chwilowo skierowana przeciwko pilotowi, ponieważ prawdziwy powód był niejasny i nieuchwytny. Najbardziej wściekało ją to, że z policji znów poszedł przeciek. Usiłowali ukryć przed ogółem informację o śmierci Ossiana, jednak ktoś widocznie dojrzał możliwość podreperowania sobie kasy na urlop i doniósł mediom. Miała ochotę rzucić pilotem o ścianę.

– Daj mi go – powiedział Adam.

Natychmiast wcisnął właściwy kanał, zobaczyli powiększony obraz z ekranu laptopa Julii. Na stronie internetowej „Aftonbladet” miała się zaraz rozpocząć transmisja z konferencji prasowej. Na razie widać było jedynie mównicę z dwoma mikrofonami, a pasek na dole ekranu informował, że transmisja rozpocznie się o pierwszej. Czyli za trzy minuty.

– O co chodzi? – spytała Mina, spoglądając na pilota w dłoni Adama.

Jakby urządzenie mogło się wyrwać i ją zaatakować. Julia zastanawiała się, czy Mina notuje, ilu ludzi trzymało tego pilota, odkąd trzy lata temu do salki konferencyjnej wstawiono nowy telewizor. Zdawała sobie sprawę, że jest złośliwa, niemniej podejrzenie wydawało się całkiem zasadne, bo Mina właśnie odeszła krok dalej od Adama i pilota.

– Chyba możesz poczekać te trzy minuty – odparła Julia. – Wiemy tyle samo co ty w tej sprawie.

Sama słyszała irytację w swoim głosie. Brak snu, stres w pracy, stres w domu, tęsknota za Harrym, poczucie niewystarczalności, wrażenie, że zaraz się wszystko przeleje, i do tego jeszcze rozmowa z kierownictwem w możliwie najgorszym momencie. Lider Przyszłości Szwecji, partii politycznej, która według ostatniego sondażu mogła liczyć na przeszło dwadzieścia procent głosów szwedzkiego

społeczeństwa, zwołał konferencję prasową w związku z „morderstwami dzieci”. W normalnych warunkach media by się nie przejmowały. Ted Hansson jak zwykle stałby sobie i wygłaszał swoje poglądy na partyjnym kanale na YouTube. Ale teraz nic nie było normalne. Zatem media posłuchały w nadziei, że Ted Hansson coś wie.

Julia przeczytała komunikat prasowy, nie podano w nim tematu konferencji, co w przypadku Hanssona nie zwiastowało nic dobrego. Jego przywództwo nigdy nie cechowało się niczym innym jak oportunizm i własny interes. Julia nie miała wątpliwości, że celem wystąpienia będzie wzniecanie nienawiści i niepewności, poprawione nieufnością wobec policji. To ostatnie mogło zawsze liczyć na popularność.

Wprawdzie jak dotąd nic w dochodzeniu nie wskazywało na jakiegokolwiek związku tych spraw z imigracją albo Szwedami o cudzoziemskim pochodzeniu, jednak dla Teda Hanssona i jego zwolenników nie stanowiło to żadnej przeszkody. Jeśli w jego osiedlowym sklepie spożywczym wzrosła cena sera, była to wina Kurdów. Jeśli Postnord nie dostarczył paczki na czas, było to spowodowane przez dodatkowo zatrudnionych pracowników pochodzenia somalijskiego. Nazbyt wielu Szwedom podobały się tego rodzaju proste wyjaśnienia. Julia ostrożnie rozluźniła szczęki, które nieświadomie zacisnęła na samą myśl o Tedzie Hanssonie.

– Jestem! – wykrzyknął Ruben, wpadając przez drzwi. Na piersi miał wielkie plamy potu. – Zaczęło się już?

Usiadł obok Miny, która natychmiast odsunęła się kawałek dalej. Wszystkim było gorąco w dusznej salce konferencyjnej, ale Ruben pocił się szczególnie obficie. Unosił się wokół niego zapach frytek. Julia żałowała, że Christer nie kupił więcej jednorazowych wiatraczków. Policja mogłaby zapłacić za karton takich wiatraczków, albo i dwa.

– Jeszcze minuta – odpowiedziała i z ponurą miną usiadła najbliżej telewizora.

Instrukcje z góry były wyraźne. Nie godzą się na rosnącą liczbę krytycznych uwag pod adresem pracy policji. Potrzeba wyników. Konferencja prasowa pokazywała, że zamordowane dzieci stały się sprawą polityczną, nie tylko ludzką tragedią i zagadnieniem prawnym. Wiedziała też, że kiedy wkracza polityka, zakłóci im to pracę bardziej niż cokolwiek innego.

Do mikrofonów na mównicy podeszły dwie osoby. Gwar zgromadzonych reporterów ucichł. Wydawało się, że reprezentują wszystkie główne media i jeszcze sporo mniejszych.

Przywódca Przyszłości Szwecji chrząknął. Julia nie mogła się nigdy nadziwić, ile nienawiści może się mieścić w tak nijakiej postaci. Włosy mysiego koloru i nieciekawa fryzura. Druciane okulary, wąskie usta i lekko cofnięty podbródek. Ubrany zawsze w jakiś ciemny garnitur, jeśli sytuacja była formalna, albo



w beżowe chinosy i luźną białą albo niebieską koszulę. Tym razem wybrał chinosy i błękitną koszulę. Bez plam od potu, jak zauważyła.

Peder głośno zaczerpnął tchu. Rozpoznał kobietę stojącą obok Teda sekundę po tym, jak Julia zdała sobie sprawę, kto to jest. Mama Lilly Meyer. Jej twarz przedstawiała studium wściekłości, a ciało zdawało się wibrować pod obejmującym ją ramieniem Teda.

Hansson zaczął mówić, zabrawszy najpierw ramię. Lubił gestykulować, najlepiej z zaciśniętymi pięściami, dla podkreślenia swego przesłania. Julia westchnęła. Dlaczego ludzie nie chcą widzieć, że to klaun, wprowadzie groźny, ale jednak?

– Szwecja stała się państwem bezprawia – zaczął przywódca Przyszłości Szwecji. – Przestępczość rośnie gwałtownie, a funkcjonariuszy jest wyraźnie mniej. Policja jest bezradna wobec przestępczości, którą nasze władze tak naiwnie importowały do Szwecji. Do naszego kraju. Dziś stoję przed wami nie jako przywódca najszybciej rosnącej partii Szwecji, ale jako ojciec. Dzieci giną. W Szwecji. Są mordowane. W Szwecji. A nasza policja nie ma ani woli, ani środków, by znaleźć winnych. Rok temu odebrano nam Lilly Meyer. Jak ja, ojciec, mogę dziś spojrzeć w oczy matce Lilly? Skoro nie mogę powiedzieć, że moje państwo i policja wykorzystały wszelkie środki, by móc odpowiedzieć jej na pytanie, co się stało z jej małą córeczką? Mama Lilly stoi tu obok mnie. I co ja mam jej powiedzieć?

Łzy płynęły mu po policzkach, gdy odwrócił się do Jenny Holmgren w blasku fleszy z aparatów strzelających zdjęcia. Prasa będzie zachwycona. To zdjęcie trafi jutro na postery wszystkich gazet. Wydawało się, że fotografowanie nigdy się nie skończy. Tyle że Julia chodziła do tego samego liceum co Ted Hansson, który już wtedy był znany ze swojego popisowego numeru, polegającego na tym, że potrafił się rozplakać na zawołanie. Nie chodziło mu ani trochę o Jenny albo jej córeczkę. Ale media jady mu z ręki.

– A rodzice Ossiana Waltherssona – ciągnął Ted, ocierając łzy. – Fredrik i Josefin. Mają prawo oczekiwać zarówno odpowiedzi, jak i sprawiedliwości. Zamiast niekompetencji i bezradności.

Ted podniósł głos i zaczął wygrażać pięściami. Teraz dopiero będzie.

– Nie ma już Szwecji bezpiecznej dla naszych dzieci. Nie ma już Szwecji, gdzie można zostawić dziecko choćby na moment bez nadzoru. Niebezpieczeństwo czai się za rogiem. A my je sami sprowadziliśmy. Z zewnątrz. Szwecja była jasna, piękna i bezpieczna. A teraz na ulicach jest ciemno.

Zrobił pauzę i czekał. Następnie odsunął się, żeby Jenny Holmgren mogła podejść o krok do mikrofonu. Matka Lilly zacisnęła pięści i odetchnęła kilka razy. Patrząc na jej spiętą twarz, Julia miała mieszane uczucia. Z jednej strony

rozumiała wściekłość i ból rodziców ofiar, z drugiej czuła głęboką niechęć do wykorzystywania rozpaczyny Jenny w zupełnie innych celach. Jedynym skutkiem będzie utrudnienie pracy policji i odwrócenie się od niej społeczeństwa, i to w sytuacji, gdy było potrzebne policji jako jej najważniejszy sojusznik.

– Co za kretyn – mruknął Christer, kręcąc ponuro głową. – Oczywiście nie ona, tylko to chamidło obślizgłe.

– Ludzie go wybrali – zauważył sucho Adam, nie odrywając oczu od ekranu. – Ci, którzy go wybrali, zasługują na to, żeby przez jakiś czas nimi porządził. Może by wtedy zrozumieli, na co głosują.

Głos zabrała mama Lilly.

– Rok. Minął rok, jak nie ma mojej córki. I nikomu nie udało się dowiedzieć, kto ją zamordował. Teraz zginęło kolejne dziecko. A policja nic nie robi!

– Nic – powtórzył Ruben i zacisnął zęby. – Dokładnie. Nie robimy nic. Siedzimy tylko, kręcąc młynka.

– Ćśśś – uciszyła go Julia, słuchając.

Konferencja toczyła się w ten sposób jeszcze piętnaście minut. Julię ścisnęło od tego w żołądku. Wreszcie znów zabrał głos Ted Hansson, wyrażając niepokój o „wojnę toczoną w Szwecji z mrocznymi siłami zewnętrznymi”. Następnie padły pytania od obecnych dziennikarzy, którzy według Julii byli aż za bardzo bezkrytyczni. Łzy Teda zrobiły swoje. Niezłe to skręcił. Narzekania na policję i jej niekompetencję zawsze podwyższają sprzedaż gazet, to znana rzecz.

– No i tyle tego – odezwał się zza jej pleców Adam i wyłączył telewizor. – Nic nowego pod słońcem.

Julia milczała przez chwilę. Adam był prawdopodobnie tym w ich zespole, który najboleśniej odbierał brednie wygłaszane przez Przyszłość Szwecji. Zastanawiała się, jak to musi wpływać na człowieka, gdy stale słyszy, że nie jest mile widziany. I stwierdziła, że nie potrafi sobie tego wyobrazić.

Odwróciła się z krzesłem do zespołu.

– Wiemy, że wszystko, co przed chwilą usłyszeliśmy, to głupie gadanie. A więc cokolwiek przeczytamy na ten temat albo usłyszymy, ignorujemy to i robimy swoje. Może nawet będzie dobrze nie czytać gazet przez pewien czas. Zostawmy sprawę kierownictwu, a sami skupmy się na tym, co musimy zrobić.

– Zabrzmiało to jak plan – zauważyła Mina.

Julia przytaknęła.

– Tak jest. I pamiętajcie, jesteśmy w tej robocie najlepsi. Nie dajcie sobie wmówić, że jest inaczej.

Nikt na to nie odpowiedział, ale Adam, wychodząc wraz z innymi, poklepał ją po ramieniu. Julia została. Leżąca w kieszeni komórka wibrowała od esemesów.

Tak było podczas całej konferencji prasowej. Wtedy nie zwracała na to uwagi i tak miało być jeszcze przez jakiś czas. Szlag by trafił Torkela.

**WYCISNĘŁA TROCHĘ** alkożelu na papierowy ręcznik i przetrła nim skoroszyty, które właśnie położyła Julii na biurku.

– Co chcesz, żebym teraz zrobiła? – spytała.

– Idź do domu, Mina – odparła Julia, sięgając po jeden skoroszyt.

– Przecież tak nie można – zaproponowała Mina. – Jesteśmy w środku dochodzenia, a to przedpołudniowe spotkanie z Novą było kompletną stratą czasu. Woda i liczba trzy. I to ma być czołowa ekspertka w tej dziedzinie w Szwecji? Mówiłam, że trzeba było zadzwonić po Vincenta. Bo nawet jeśli Nova jest ekspertką od sekt, to co ona wie na temat związków przyczynowych? Na tym polega siła Vincenta, podczas gdy Nova tylko teoretyzuje i zgaduje.

Julia zamknęła skoroszyt, który dopiero co otworzyła, i spojrzała na Minę.

– Według mnie to było interesujące – powiedziała. – A myśl, że ci porywacze się znają, to pomysł nie gorszy od innych. Nie zamierzam całkiem wykluczyć możliwości, że mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą.

Mina nie miała siły odpowiadać. Zawsze uważała, że osoby takie jak Nova mają w głowach jakieś fiu-bździu, a dzisiejsze spotkanie tylko to potwierdziło. Nieważne, że być może pomogła wielu osobom.

– Wyglądasz na równie zmęczoną jak ja – ciągnęła Julia. – A może bardziej. To ten okropny gmach. I upał. Wiesz, że robimy wszystko, co się tylko da. Jeśli ci poproszę o zrobienie czegoś więcej, istnieje ryzyko, że zaczniesz popełniać błędy. A to jeszcze gorsze, niż nie robić nic. Chętnie bym się z tobą zamieniła. Zresztą chyba miałaś jakieś plany na popołudnie?

Podczas lunchu Mina wspomniała mimochodem, że może mieć jakieś plany na popołudnie. Nie powiedziała, o co chodzi. Jednak, co było dla niej typowe, Julia pamiętała.

Już przedwczoraj, kiedy rozmawiała z Vincentem, nie bardzo wierzyła, że naprawdę to zrobi. Teraz wydawało się to absolutnie niemożliwe. Ruben może sobie mówić, co chce. Julia potrzebuje jej tu, na miejscu. Z całą pewnością mogłaby zrobić coś jeszcze. Coś, co by ją tutaj zatrzymało.

Powinna zadzwonić do Vincenta, mówiła, że to robi, ale wciąż nie miała czasu. Jednak nie chciała dzwonić z komendy.

– Mogę jeszcze raz przejrzeć rejestry sprawców sprawdzonych już przez Christera – zaproponowała.

– Mina. – Julia wbiła w nią wzrok. – Nie możesz tu siedzieć. Idź do domu. Obejrzyj jakiś film. Zjedz lody. Wypij butelkę wina. Zrób, co miałaś zrobić. Albo idź spać. Nie obchodzi mnie to. Ale nie chcę cię tutaj widzieć przez co najmniej siedem godzin. Nie możecie pracować na okrągło, bo jako pracownicy będziecie dla mnie bezwartościowi. Weź sobie kilka godzin wolnego i wracaj odświeżona z jasnym umysłem.

Mina westchnęła. Wszystko byłoby dużo łatwiejsze, gdyby nie przesunęła palcem w prawo na Tinderze. A Amir nie odpowiedział prawie natychmiast. Teraz nie miała wyboru. Została jej godzina do randki. Cholera jasna.

**NATHALIE POGRZEBAŁA** w plecaku, chociaż wiedziała, że to bezcelowe. Na ogół nosiła w nim jedną albo i dwie zmiany czystej bielizny, na wypadek gdyby miała nocować u jakiejś koleżanki i nie chciało jej się pakować walizki. Jednak czyste ciuchy skończyły jej się już dawno temu. Karl dał jej komplet ubrań, ten sam rodzaj białej koszulki i lnianych spodni, jaki nosili on, Ines i Monica. Były chłodne i przyjemne w tym upale, ale fajnie byłoby mieć coś własnego. Nie mówiąc o bieliźnie. Wyciągnęła z plecaka koszulkę Ramones i powąchała. Śmierdzi.

Znów jej zaburczało w brzuchu. Fajnie, że ją karmią, nie domagając się niczego w zamian, ale porcje były zdecydowanie za małe. Jej żołądek zaczął protestować już w sobotę, teraz była zdecydowanie wygłodniała. Trudno jej się od tego myślało.

Ines i pozostali zachowywali się wobec niej niesłuchanie troskliwie, Nathalie była zachwycona, że poznała swoją babcię. Jednak pora wracać do domu. Nie miała kontaktu z ojcem, odkąd do niego esemesowała, potem telefon się rozładował i oczywiście nigdzie nie było żadnej ładowarki. Wiedziała jednak, że ojciec ma swoje sposoby na dowiadywanie się różnych rzeczy i to zapewne tylko kwestia minut, jak pojawi się czarne auto z przyciemnionymi szybami, żeby ją zabrać. Zawsze będzie mogła tu kiedyś wrócić.

– Wybierasz się gdzieś?

Nathalie podniosła wzrok znad plecaka. Karl stał w drzwiach, oparty o framugę.

– Tak, muszę wracać do domu – powiedziała. – Zanim tata dostanie białej gorączki. Nie widziałeś mojej babci? Chciałabym się tylko pożegnać przed wyjściem.

– Nie ma jej, załatwia jakąś sprawę – odparł Karl. – Będzie za jakąś godzinę.

Wyprostował się i wszedł do sypialni, którą dzieliła z innymi. Był naprawdę wysoki. I całkiem przystojny, uzmysłowiła sobie Nathalie. Dziwne, ale ponieważ nosili takie same ubrania, miała wrażenie, jakby byli częścią jednej rodziny.

– Może przez ten czas mogłabyś mi w czymś pomóc – powiedział. – Robimy przebudowę i potrzebna mi dodatkowa para rąk.

– Ale... Ja nie mam pojęcia... – zaczęła.

Chciała tłumaczyć, że od czasu zajęć technicznych w podstawówce nie robiła nic w drewnie, wtedy zresztą też skutki były wątpliwe, ale Karl przerwał jej,

roześmiewszy się głośno i serdecznie. Zrobiłoby jej się pewnie cieplej na sercu od tego śmiechu, gdyby nie była taka głodna.

– Kiedy ja naprawdę muszę już wracać do domu – powiedziała.

– Podejrzewam, że przynajmniej widziałaś na obrazku, jak się trzyma młotek? – ciągnął, jakby nie usłyszał. – Tyle wystarczy. A tata może jeszcze trochę poczekać.

Oczywiście miał rację. Mogłaby przynajmniej odplacić się za gościnność. Przecież byli niemal rodziną. Położyła rękę na brzuchu, żeby nie słyszał, jak w nim burczy, i wyszła za nim.

**WOKÓŁ NIEJ** aktywność aż kipiała. Mina wiedziała, że mogłaby wyjść na trochę, pracowali na zmiany, żeby dawać radę, czyli wszystko odbywało się tak, jak należy, i Julia miała rację. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby nie przebywać wśród obłoków potu. A jednak trudno było jej się wyrwać, chociaż wiedziała, że w ciągu najbliższych pięciu minut powinna wyjść, żeby nie spóźnić się na spotkanie z Amirem.

Jednak ciągle nie potrafiła.

Wpatrywała się w leżące na biurku akta spraw Lilly i Ossiana, jakby chciała je zmusić, by przemówiły. Wypisała sobie wszystko, na co zwróciła uwagę. Lepiej jej się myślało, kiedy mogła w pewnym sensie trzymać słowa, wertować papiery, podkreślać i wycinać. To był jeden z niewielu momentów, kiedy pozwalała sobie na bałagan. John Cleese miał rację, mówiąc, że ludzka kreatywność nie odnajduje się na ekranie. A Mina potrzebowała znaleźć cokolwiek. Bo nic się nie zgadzało.

Z którejkolwiek strony spojrzała, nie mogła uwolnić się od wrażenia, że te sprawy się ze sobą wiążą. Choć nie była gotowa pójść równie daleko jak Nova co do sposobu, w jaki się wiązały. Musiała znaleźć coś innego, jakiś łącznik, którego do tej pory nie dostrzegli.

Przejrzała materiały jeszcze raz.

Na jej biurku znajdował się też plecaczek Ossiana z obrazkiem z *My Little Pony*. Julia użyła swej czarodziejskiej różdżki, uzyskując zgodę NFC <sup>12</sup> w Linköpingu, by dostarczyć go dopiero po weekendzie. Plecaczek był całkiem zwyczajny, względnie nowy i zupełnie pusty. Nie było w nim nic szczególnego.

Poza tym, co powiedział Christer, mianowicie, że nie należał do Ossiana. Fredrik i Josefin, rodzice Ossiana, powiedzieli, że syn takiego nie miał. Christer wysłał im nawet zdjęcie, ale potwierdzili, że nigdy go nie widzieli. Ossian nie pożyczył go również w przedszkolu, bo Ruben dzwonił tam, żeby spytać, ale nie słyszeli o takim. I na tym urywały się wszystkie tropy wokół plecaczka. Technicy nie znaleźli żadnych śladów DNA ani odcisków palców. A mimo to Mina była przekonana, że ktoś rozmyślnie położył go obok ciała.

Ale dlaczego?

Spojrzała na sufit, jakby tam znajdowało się wyjaśnienie. Coś jakby poruszyło jej się z tyłu głowy. Na tyle słabo, że nie była to jeszcze myśl. Jednak coś jej się przypomniało. Czy również w sprawie Lilly nie było czegoś, co wydawało się dziwne? Drobiazg, który podczas tamtego dochodzenia uwierał jakoś, ale nie na



tylę, żeby o nim nie zapomnieć, kiedy wyszedł na jaw spór o opiekę nad dziewczynką.

Mina rozłożyła przed sobą zdjęcia ze skoroszytu Lilly i oglądała je po raz zapewne setny z rzędu. Przeczytała protokół. Kiedy znaleziono ciało Lilly, miała kieszenie pełne zabawek, były tam jeszcze kępkę włosów i kolorowa zakładka. Rodzice rozpoznali wszystkie te przedmioty.

Z wyjątkiem zakładki.

W związku z tym przyjęto, że dostała ją od jakiegoś dziecka w przedszkolu. Ale jakie dziecko ma dzisiaj takie zakładki<sup>13</sup>? Mina wątpiła, żeby pięciolatka wiedziała w ogóle, co to jest. Sama takich nie widziała, odkąd w dzieciństwie dostała jedną u dentysty. Trzymała ją w pomarańczowym plastikowym pudełeczku razem z innymi, z jakiegoś powodu przedstawiającymi same aniołki. Motyw był mniej ważny, chodziło o znalezienie takiego z największą ilością sreberka. Problem w tym, że sreberko przyklejało się do palców. Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Przynosiła do domu te obrazki w plastikowych torebkach, a potem mama wklejała je do specjalnego albumu. Sama ich nie dotykała. Nawet nie otwierała potem albumu ze strachu, że sreberko się przyklei. Jednak miało go być na obrazku jak najwięcej. Tak było i już.

Mina wzięła zdjęcie przedstawiające przedmioty z kieszeni Lilly. Trolle nakładanego na ołówek, gumkę do wycierania, kamyk, obrazek-zakładkę. Nie widać było wyraźnie, co przedstawia, ale sreberka na nim nie było.

A jednak. Obrazek był jakiś dziwny.

Trudno było dostrzec szczegóły, wydawał się jednak... zbyt płaski. Kawałek papieru, który leżał w kieszeni u dziecka, powinien być pognieciony i brudnawy. A nie czyściutki i płaski.

Jakby ktoś podłożył go po fakcie.

Podobnie jak z plecaczkiem Ossiana.

Mina zalogowała się do policyjnego systemu DurTvå, odszukała dokumentację sprawy Lilly i kliknęła na cyfrową kopię zdjęcia, które miała przed sobą na biurku. Powiększyła je maksymalnie, żeby obejrzyć szczegóły.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu. Spojrzała na plecak Ossiana. Znów na zakładkę. I jeszcze raz na plecak. Niemożliwe. Sama myśl wydawała się absurdem. To pewnie tylko jej umysł się zagalopował, chcąc odnaleźć w tym jakiś wzorzec. Bardzo, bardzo niewyraźny. W dodatku niezrozumiały.

A jeśli nie, jeśli nie jest niewyraźny?

Zaczęła rozumieć, jak w takich sytuacjach czuje się Vincent.

Wypadła na korytarz ze zdjęciem w ręce i pobiegła do pokoju Christera.

**CZARNE I BIAŁE KWADRATY** na ekranie wydawały się szydzić z Christera. Tym razem był bliski wygranej. Nawet bardzo bliski. Gdy nagle jego zaprogramowany przeciwnik zrobił zaskakujący ruch, po którym w ciągu zaledwie paru sekund nastąpił szach i mat.

– Christer, masz... – powiedziała Mina, wpadając do pokoju, i urwała.

Christer westchnął głęboko. Ogłada i dobre wychowanie należą, jak widać, do przeszłości. Za jego czasów należało najpierw zapukać i spytać uprzejmie, czy można wejść.

– Co ty robisz? – Mina spojrzała z ciekawością na jego komputer.

– Sam się upokarzam – odparł, zamykając plik z programem szachowym. – Chciałaś czegoś?

– Tak. Odkryłam coś dziwnego w związku z Lilly Meyer. A może i nie. Sama nie wiem. Zobacz.

Podowała mu zdjęcie. Wziął je i zmarszczył czoło. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakieś śmieci, a potem uzmysłowił sobie, że to rzeczy należące kiedyś do Lilly.

– Chodzi o ten obrazek-zakładkę na końcu rzędu – wyjaśniła, pokazując palcem. – Nie należał do Lilly. Rodzice myśleli, że dostała go od kogoś w przedszkolu. Muszę wiedzieć, czy to się zgadza. Czy mógłbyś zadzwonić do przedszkola, również do rodziców dzieci, które rok temu chodziły tam razem z Lilly, żeby dowiedzieć się, czy któreś zbiera takie obrazki?

Christer z westchnieniem odłożył zdjęcie i przesunął dłonią po twarzy. Koniec z szachami na dziś. I pewnie na wiele następnych dni.

– Wiesz, ile to będzie rozmów? – powiedział. – Ile dzieci chodzi do takiego przedszkola? Trzydzieścioro? Pięćdziesięcioro?

Usiłował przywołać w pamięci, czy któryś z jego ulubionych powieściowych detektywów spędził kilka dni z rzędu, prowadząc z rodzicami przedszkolaków rozmowy o zabawkach. Nic z tego. Oni nie robili takich rzeczy. Choć dałby głowę, że wszyscy co do jednego byli mistrzami w szachy. Trochę mu jeszcze brakuje do Harry'ego Boscha mimo jazzu i Bossego.

– Wydaje mi się, że ten obrazek może być ważny – powiedziała Mina. – Nie potrafię jeszcze wytłumaczyć dlaczego, po prostu zaufaj mi. Zapisalam na odwrocie zdjęcia numer telefonu do przedszkola.

Christer znów westchnął, odwrócił zdjęcie i spojrzał na ten numer.

– Zdajesz sobie sprawę, że mogła go znaleźć na ziemi? – spytał.

– Od czegoś trzeba zacząć.

Ruszyła do wyjścia, ale w drzwiach się zatrzymała.

– Dziękuję, Christer – powiedziała.

– A ty co będziesz robić?

Czekała chwilę z odpowiedzią.

– Zadzwońię do Vincenta – odparła.

Wyglądała na zaskoczoną, jakby sama nie wiedziała, co powie. A potem uśmiechnęła się sztucznie i powtórzyła powoli i z naciskiem:

– Tak, zadzwonię do Vincenta, naprawdę pora, żebyśmy go włączyli, nie uważasz?

Christer nie wiedział, co powiedzieć.

– Chciałabym, żeby jutro rano spojrzął na jedną rzecz – ciągnęła. – Ale teraz wychodzę i... tak.

Uśmiech na jej wargach zniknął, a Christer kiwnął głową, chociaż nie bardzo rozumiał i machnął jej dłonią na pożegnanie. A więc Vincent. Cokolwiek odkryła, jak sama sądzi, jeśli znów włączy tego mentalistę, będzie gorzej, dużo gorzej. To pewne jak w banku.

Pytanie, co jest bardziej upokarzające: przegrać w szachy z komputerem czy polować na znaczki w przedszkolu. Westchnął. Zawód policjanta to nie to co kiedyś.

**VINCENT WOLAŁ** nie myśleć za wiele o zakończonej przed chwilą telefonicznej rozmowie z Miną, ale starał się zapanować nad rozradowaniem. Mina poprosiła go o przyjscie już w piątek, czyli jutro, żeby przedyskutować coś, co dotyczy dochodzenia. Mógłby choćby zaraz wsiąść do samochodu, ale może wydałoby się to dziwne. Zresztą wieczorem miał przedstawienie, więc spróbował rozproszyć myśli, skupiając się na czymś innym.

Jak te dwie leżące przed nim koperty z nalepkami z krasnalami.

Miał wrażenie, że krasnale gapią się na niego złośliwie. Wysypał na biurko papierowe kawałki przypominające kostki tetris i posortował na dwie kupki. Wiadomości na nich znał już na pamięć. Wymawiając głoski, przeciągał je, jakby chciał podstępnie nakłonić je do ujawnienia, co znaczą. Tym razem to rozwikła. Będzie jutro miał co opowiadać Minie.

A może nie. W tej układance było coś takiego, że wolał to jeszcze zatrzymać dla siebie, jakby to była osobista tajemnica.

Już wcześniej próbował połączyć kawałki w jedną dużą układankę, ale okazało się to niemożliwe. Wszystkie zawierały połowę albo jedną trzecią jakiegoś wyrazu i nie dało się utworzyć z nich innych słów niż te, do których już doszedł. Jedynym sposobem uzyskania zrozumiałego tekstu było ułożenie osobnych układanek. Ułożył kawałki w ten sam nieregularny kształt co dziesiątki razy wcześniej.

*Witamy, pazerny Timie!*

*Mizerny order u Marii.*

Nie umknęło mu, że druga wiadomość zawierała osiemnaście liter tak samo jak pierwsza. W dodatku w obu występowały prawie takie same litery. Pytanie, co to znaczy. Czy chodzi o anagramy? Czy liczbę znaków? A może powinien zwracać uwagę jedynie na wielkie litery? Czy fakt, że zostało wymienione imię jego żony, to przypadek, czy jednak jest ważne?

Z kuchni dobiegł go głośny śmiech, trochę sztuczny. Widocznie rozmawiała właśnie przez telefon z Kevinem. Wcześniej mówiła, że właśnie przechodzą do następnego etapu, a Vincent miał nadzieję, że chodzi o jej firmę, a nie ich relację. Jednak nie odważył się spytać.

Wstał z krzesła i stanął u krótszego boku biurka, by spojrzeć na kawałki układanki z innej perspektywy. Najlepsze z rozwiązanych przez niego zagadek przysyłanych mu przez ludzi stały w rzędzie na półce. Bardzo chciałby, żeby i ta

została odesłana na półkę. Jednak obawiał się, że chodzi tu o coś innego. Za tymi skromnie, niemal po amatorsku uformowanymi kostkami tetrisa kryło się... coś więcej.

Nie wiedząc dlaczego, domyślał się jednak, że to ważne, aby zrozumiał, o co chodzi.

Zmrużył oczy, jednak wciąż mu się wymykało. Tim i Maria, dwa imiona. Prawdopodobnie nic to nie znaczy. Z początku myślał, że chodzi o jakiś kod. Ale może nie jest to aż tak skomplikowane?

Może przez te wszystkie miesiące sięgał prawą ręką za lewe ucho? Może tekst jest mimo wszystko nieinteresujący. Może chodzi tylko o to, żeby ułożył kawałki w określonej konfiguracji, której by sam nie odkrył? Albo o sam kształt, choć nie ten, na który dał się nabrać podczas układania za pierwszym razem?

Delikatnie przeniósł obie układanki na papier w taki sposób, żeby nie naruszyć porządku, w jakim były ułożone. Następnie wziął flamaster i ostrożnie poprowadził go wzdłuż krawędzi nieregularnych kształtów. Nagle zrobiło mu się jakoś radośniej. Wpadł na coś i czuł to całym ciałem.

W kuchni Maria zaśmiała się jeszcze głośniejszym głosem. Nie słyszał jej śmiejącej się w ten sposób od czasu, gdy byli świeżo zakochani. Widocznie dobrze jej idzie ten biznes. Znowu poczuł niepokój, ale jak zwykle odsunął go od siebie.

Po konturach zamalował również kształty przestrzeni między kostkami, pilnując, żeby się nie przesunęły. A potem zsunął kostki z papieru i przyjrzał się rezultatowi tych działań.

Patrzył na pewną liczbę asymetrycznych kratek.

Nic.

Wciąż nic. Jednak wrażenie, że jest to coś, co tylko on może zobaczyć, utrzymywało się, podobnie jak jego niepokój. Narastający. Który już nie odnosił się do Marii i Kevina.

**MINA ODETCHEŃŁA GŁĘBOKO.** Idąc przez śródmieście, starała się nie myśleć o swoim ewentualnym odkryciu. Nie myśleć o tym, że jutro spotka się z Vincentem, ani o jego zapachu. Starła się nie myśleć o Ossianie i Lilly, o tym, co będzie, jeśli jej matka wygada się przed Nathalie, ani o tym, że jej świat może w każdej chwili runąć. Ile mama jej powie? Powie o lekach czy przedstawi to tak, jakby Mina po prostu zwiła? Jednak cokolwiek powie, córka pewnie ją znienawidzi. Minę ścisnęło w żołądku, aż musiała przystanąć na środku chodnika.

Nie.

Nie myśleć o tym teraz.

Powinna się skupić na tym, żeby popołudnie okazało się przyjemne. Nic innego. Bardzo przyjemne. I niczego z góry nie przesądzać.

Nie szło jej to najlepiej.

Spróbowała unieść kącki ust w sztucznym uśmiechu, ale rozmyśliła się i wyszła z za rogu. Amir czekał na nią przed wejściem do Medelhavsmuseet <sup>14</sup>. Wyglądał dokładnie tak jak na swoich zdjęciach na Tinderze, zawsze coś. Domyślała się, że często zdjęcia dzieli kilka lat od rzeczywistości. Zresztą nie tylko lat, również liczba kilogramów i gęstość włosów. Nie zwracała na takie rzeczy większej uwagi, niemniej nie lubiła niespodzianek.

Amir miał ciemne loki związane luźno na karku, tak jak na zdjęciach. Kusilo ją, żeby zaproponować mu siatkę na włosy, jeśli nadal chce utrzymywać je w takim nieporządku. Biała koszula była uprasowana, ale nie za mocno. Nie dostrzegła na niej pojedynczych włosów. Mogła odrobinę rozluźnić spięte barki.

– Cześć, przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Idę prosto z pracy.

– Ja też – odparł. – Dzięki tobie wypadłem trochę lepiej, bo musiałbym przyznać, że też się spóźniłem.

Spojrzał na wejście do muzeum i reklamy trwających tam wystaw. Nie obchodziło jej, co znajduje się w ich gablotach. Wybrała to muzeum jedynie z tego powodu, że zawsze mieli tam dobrą klimatyzację. Mowy nie ma, żeby miała się pocić, chodząc po mieście z obcym człowiekiem.

– A więc muzeum? – spytał. – Nawet miałem kupić bilety, ale zdaje się, że wejście jest za darmo.

Zmarszczyła brwi. Nie podobało jej się, że chciał za nią płacić.

– Nie rób takiej miny – zaśmiał się. – Spóźniłaś się, chciałem tylko oszczędzić czas.

W odpowiedzi uśmiechnęła się lekko. Prawda, spóźniła się, a przecież zjawił się tu dla niej. Zerknęła na zegarek. W razie potrzeby może w ciągu dwudziestu minut wrócić do komendy.

Weszli do środka i dalej na główną wystawę.

– Interesuje cię to? – spytał Amir, czytając głośno napis – *Cypr na przestrzeni wieków*.

– A ciebie nie?

– *Nope*. Ani trochę. Ale mogę się zainteresować. Tak jak napisałem, muszę nauczyć się mniej pracować, żeby zająć się czymś innym. Tylko nie wiedziałem, że zaczniesz się to od figur z terakoty.

Główną atrakcją wystawy była wielka szklana gablota zawierająca więcej miniaturowych figurek z terakoty, niżby Mina mogła zliczyć. Prawdopodobnie byłaby to idealna okazja, żeby zadać tego typu pytanie, o jakich czytała w artykułach Tindera. *Z jaką rzeźbą identyfikujesz się najbardziej i dlaczego?* Gdyby powiedział coś takiego albo spytał, jaką pizzę by wybrała, natychmiast by sobie poszła.

Zerknęła na Amira, wychylnego w stronę gabloty. Wydawał się prawdziwie zaniepokojony tymi figurkami. Byle nie okazał się fanem unihokeja. W policji było ich aż za wielu. Ale nie, taki facet jak Amir jest chyba bardziej świadomy. Pewnie gra w padel.

– Jednak chyba robisz coś poza pracą? – spytała.

Zaśmiał się, prostując plecy.

– No oczywiście. W końcu jestem prawnikiem. Możesz zgadywać, co robię poza tym. Mogę ci podpowiedzieć tyle, że wszystkie twoje uprzedzenia będą prawdziwe.

– Tylko nie mów, że... grasz w golfa?

Amir jęknął i zachwiał się w tył, trzymając za pierś, jakby został postrzelony, a przy tym udał, że jest zażenowany, a nawet zawstydzony. Mina nie mogła powstrzymać kolejnego uśmiechu.

– Trafiaś przy pierwszej próbie – powiedział. – Prawda jest taka, że uprawiałem golfa zawodniczo już w liceum. Wtedy oczywiście nie wiedziałem, że zostanę prawnikiem. Moi koledzy też grają, ale głównie dlatego, że robią to wszyscy inni prawnicy. W moim przypadku było chyba odwrotnie. Przez golfa zostałem prawnikiem.

– No cóż, nie ma zbyt wielu innych zawodów związanych jakoś z golfem – zauważyła. – Więc pewnie nie miałeś wyboru. Biedaczysko.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Poszli dalej przez wystawę. Jednak Minie trudno było się skupić na oglądaniu, gdy słuchała Amira. Pewnie tylko dlatego, że

pozostała część ekspozycji nie była tak imponująca jak wielka gablota na początku. Na pewno tak było. To musiał być ten powód.

– A ty? – spytał. – Jesteś policjantką i dużo pracujesz, tak samo jak ja. A co poza tym?

– Poza tym niewiele więcej – odparła.

– Ojej – przystanął, robiąc poważną minę. – Trzeba będzie to zmienić.

Przez moment nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć.

– No to opowiedz mi o golfie – odezwała się wreszcie, żeby się nie zastanawiać, czy Amir z nią flirtuje.

– A co chcesz wiedzieć? – zdziwił się, jednocześnie był lekko rozbawiony.

Widocznie na innych randkach idzie mu łatwiej.

– No bo w tym jest chyba dużo matematyki – powiedziała. – Jak wyliczenie wysokości uderzenia w stosunku do odległości od dołka i temu podobne. Jak to robisz? Istnieją jakieś podstawowe formuły czy to sprawa indywidualna, uzależniona od fizycznych warunków zawodnika?

Za grą w golfa stoi z pewnością cała nauka, zważywszy na to, ilu ludzi wydaje się mieć obsesję na jej punkcie. Nie zdziwiłaby się, gdyby Vincent w tym miejscu zaczął rysować jej na ścianie różne wektory, żeby to wyjaśnić. Chociaż nie podejrzewała, by znał się na golfie, za to prawdopodobnie miał i tak zbędną wiedzę na temat odnoszących się do niego równań.

Amir wyglądał na zakłopotanego.

– Mogę chyba powiedzieć, że wiem co do metra, jaki jest zasięg którego kija – odparł. – Niezależnie od tego, czy jest bezwietrznie, czy gra się z wiatrem, czy pod wiatr, od różnicy wysokości i tak dalej. Ale to nie tak, że sobie świadomie wyliczam albo choćby wiem, co zrobić, gdybym wyliczył. Po prostu... gram. Człowiek uczy się jakby ciałem. Nie zastanawiam się nad tym.

Patrzyła na Amira. Był troskliwy i miły w naturalny, niekalkulujący sposób. Uważny podczas rozmowy i niespieszny. Wydawał się mieć ciekawe życie, ale nie aż za bardzo. Był fajny. I przystojny. Niezwykły mężczyzna, z którym kobieta chciałaby sobie zrobić dziecko i potem mieć go na tatę dla tego dziecka. I był kompletnie niezainteresowany niepotrzebnymi wyliczeniami.

To by się nigdy nie udało.



– **JESTEŚ JEDNAK!** Już myślałam, że nie przyjdiesz.

Mina zdusiła ziewnięcie, zasłaniając usta, i usiadła przy stoliku w głębi kawiarni, nie patrząc w oczy Ines. Środowy poranek, godzina siódma, były wśród pierwszych gości kawiarni Ritorno na Odengatan.

Mina zaproponowała spotkanie tak wcześnie, żeby na wypadek gdyby matka rzeczywiście miała jej coś ciekawego do powiedzenia, nie musiała potem pędzić stamtąd w stresie. Ines nie oponowała, chociaż miała do pokonania spory kawałek drogi.

Mina nie wiedziała, jak się zachowywać w stosunku do matki. Ich relacja pochodziła z innego czasu, kiedy żyła innym życiem.

Nawet jeśli Ines nie zostawiła fizycznie swojej rodziny, to jednak ją opuściła. Jej alkoholizm sprawił, że Mina częściej przebywała u swojej babci Ellen niż we własnym domu. Kiedy Mina miała piętnaście lat i babcia umarła, musiała zamieszkać w willi matki i spędzić z nią kilka lat. Raczej z jej duchem, bo matki prawie nigdy nie było. A jeśli była, to pijana.

Mina wyprowadziła się, kiedy tylko stało się to możliwe, zaklinając się, że nigdy więcej się do matki nie odezwie. Jednak po urodzeniu się Nathalie Ines nawiązała kontakt, chcąc pogodzić się z Miną. Powiedziała, że jest trzeźwa i chce być babcią. Wtedy jednak to Mina wpadła w uzależnienie, w jej przypadku były to leki.

Odchodząc od Nathalie i jej ojca, Mina zabroniła matce kontaktowania się z wnuczką. Uznała, że dziewczynka nie powinna zamieniać jednej osoby uzależnionej na inną.

Od tamtej pory Mina spotykała się z matką najwyżej raz do roku. Przeważnie około świąt Bożego Narodzenia. Choć od ostatniego razu minęło tych świąt więcej. Mina nie była już tą samą osobą co przedtem, Ines zapewne też nie. Może i były matką i córką, ale jednocześnie były sobie obce. Przynajmniej z punktu widzenia Miny.

Prawda była taka, że więcej wiedziała o Amirze, z którym wczoraj spędziła zaledwie dwie godziny, niż o własnej matce. A Amir okazał się na tyle wrażliwy, że nie zaproponował następnego spotkania, chociaż wyglądał jak smutny psiak, kiedy go zostawiła przed muzeum. Była bliska powiedzenia „nie chodzi o ciebie, chodzi tylko o mnie”, ale uznała, że są granice komunau, których nie przekroczy.

– I dzień dobry – dodała Ines, przerywając jej myśli. – To była twoja ulubiona kawiarnia, kiedy byłaś mała, pamiętasz? Zawsze zamawiałaś...

Strzeliła palcami, patrząc w stronę witryny z ciastkami.

Mina poczuła irytację. Myliła się. Ines nie była dla niej obcą osobą, tylko aż nazbyt znajomą, budzącą zbyt wiele wspomnień. Takich, na których odepchnięcie od siebie Mina strawiła sporo czasu.

– Uszy słonia – powiedziała krótko, wróciwszy do teraźniejszości. – A przychodziłam tu z babcią. Nie z tobą.

– Uszy słonia – powtórzyła Ines i klasnęła w ręce. – Właśnie. Ale źle zapamiętałaś, bo myśmy też przychodziły tu razem.

Mina wolała nie odpowiadać. Doskonale wiedziała, że u osoby uzależnionej pamięć selektywna stanowi część jej osobowości. W jej DNA jest wpisana skłonność do upiększania, uwznioślenia i korygowania w razie potrzeby. Żeby wszystko wydawało się lepsze, niż w istocie było, i żeby radzić sobie jakoś z egzystencją.

– Chcesz coś?

Mina wstała, żeby pójść zamówić.

– Poproszę filiżankę herbaty – powiedziała Ines. – Jakiegokolwiek.

Herbaty. To coś nowego. Minie obecność matki kojarzyła się zawsze z całymi wiadrami kawy. Czarnej. Do tego zawsze papieros.

Zamówiła filiżankę earl greya dla Ines i podwójne espresso dla siebie. W papierowym kubku. Zerknęła na ciastka za szkłem. Nadal mieli uszy słonia, ale nie wiadomo, jak długo tam leżały ani ile osób ich dotykało. Więc zrezygnowała. Otworzyła jednorazowe opakowanie z wilgotną chusteczką i przetarła brzeg papierowego kubka, zanim wróciła do stolika. Ines nie musi widzieć.

– Nie mam za dużo czasu – powiedziała, siadając. – Jesteśmy w trakcie dochodzenia.

Złapała się na tym, że próbuje schować swoje spierzchnięte dłonie, i znów poczuła, jak wzbiera w niej złość. Dlaczego miałyby się wstydzić? Nadal? Ostentacyjnie położyła je przed sobą na stoliku, zwalczywszy odruch, żeby najpierw wytrzeć blat kolejną wilgotną chusteczką.

– Chciałaś porozmawiać o Nathalie – odezwała się miękko Ines.

Wydawała się nie zauważać dłoni Miny.

– Tak, jej ojciec się niepokoi, co najmniej. Wkrótce nie będę mogła mu przeszkodzić w tym, żeby pojechał do was i zabrał ją siłą. A jeśli mam być szczerą, pomysł ten podoba mi się coraz bardziej. Nie możesz tak po prostu pojawiać się znikąd, a potem przetrzymywać Nathalie w tym... lesie. Niedługo minie tydzień. Nie wydaje się to w porządku.

Ines roześmiała się serdecznie. Wokół jej oczu pojawiły się drobne zmarszczki śmiechu, Mina odnotowała niechętnie, że matka jest bardzo piękna. A jak zdrowo wygląda. Wcale nie tak jak ostatnim razem, chociaż nawet nie pamiętała, kiedy to było.

– No coś podobnego – powiedziała Ines. – Zawsze miałaś skłonność do dramatyzowania. Nigdzie nie przetrzymuję Nathalie. Boże, przecież ona nie jest w żadnym więzieniu. W dodatku ma wakacje. Co może być lepszego, niż pozwolić jej przebywać na łonie natury?

Mina z irytacją machnęła ręką.

– Dobrze, dobrze, wiesz, o co mi chodzi.

– Owszem, wiem, nie zamierzałam kpić.

Spowaźniała. Ostrożnie upiła łyk gorącej herbaty.

– Rozumiem wasz niepokój – powiedziała. – Ale dajcie mnie i Nathalie jeszcze kilka dni. Wciąż się poznajemy. I obiecuję ci, że dotrzymam tajemnicy. Nathalie pyta, ale odpowiadam tylko tyle, ile mogę, nie zdradzając niczego.

– Na pewno?

– Na pewno. Wiem, że ona by doceniła, gdybyś nie poddała się naciskom jej ojca. Ja również. Wiesz, jest jej przyjemnie. Przyjemnie nam ze sobą.

– Okej – powiedziała Mina niechętnie.

Nie potrafiła zmusić się choćby do wypicia łyku kawy. Wstała nagle.

– Muszę wracać do pracy. Postaram się dać ci jeszcze kilka dni. Ze względu na Nathalie. Ale nie zawieź mnie. Nie zostało ci na to zbyt wiele przestrzeni. Całe moje dorastanie z tobą wspominam jako jeden wielki zawód. Za każdym razem, kiedy wybierałaś alkohol zamiast swojej rodziny. Nie możesz mnie znów zawieść.

– Wiem o tym – odparła Ines wciąż tym miękkim tonem, który zaczął działać Minie na nerwy.

Kiwnęła matce głową, odwróciła się i wyszła z kawiarni. Papierowy kubek został na stoliku.

– **MYŚLAŁAM, ŻE PRZESTAŁEŚ** się spotykać z tą policjantką.

Maria spojrzała ze złością znad otwartego kartonu stojącego na stole w kuchni. Otrzymała próbki ulotki reklamowej, która miała być rozsyłana razem z jej przyszłymi zamówieniami. *Zapisz się na nasze powiadomienia i otrzymaj 15% zniżki na następny zakup!* Vincent nie musiał pytać, czy był ten pomysł. Rebecka i Aston weszli właśnie do domu, śpiewając na cały głos.

– *All we hear is...* – zaczęła Rebecka.

– *Radio gaga!* – uzupełnił Aston, a potem oboje zawyli – *Radio goo goo, radio ga ga!*

Wiosną Rebecka odkryła cały katalog muzyczny Queen, co Vincent przyjął z niemałym zdumieniem. Jaka siedemnastolatka w ogóle słyszała o takim starym zespole, nie mówiąc o interesowaniu się nim, i to w czasach lalkowatych boysbandów jak BTS? Vincent bynajmniej nie ubolewał z tego powodu. Uwielbiał to, że dzieci wciąż potrafią go zaskakiwać, choć czasem bywało trochę strasznie. A zważywszy na to, jak bardzo zachwycony swoją starszą siostrą był obecnie Aston, nic dziwnego, że do niej dołączył. *Radio Ga Ga* stała się jego ulubioną piosenką. Rebecka teraz nie tylko akceptowała, ale wręcz zachęcała młodszego brata, co bardzo wzruszało Vincenta. Przewidywał jednak, że więź, jaka między nimi powstała, wytrzyma tylko do końca miesiąca. Najwyżej. A potem wróca swary. Jednak w tym momencie byli razem po prostu rozkoszni.

Na widok Marii i Vincenta jednak oboje umilkli.

– Oops, ale lodowaty nastrój – skomentowała Rebecka. – Aston, wychodzimy jeszcze raz. Idziemy na lody, w końcu są wakacje. Chociaż może powinniśmy kupić mleko, rano chyba znów całe wypiliśmy.

– Czekaj chwilę – odezwał się Vincent. – W którym tygodniu masz razem z Benjaminem być z mamą? Chciała zmienić terminy w ciągu lata, ale potem nic mi nie powiedziała.

– Nie przysłała ci esemesa?

Kontakty Vincenta i Ulriki były dość powściągliwe jeszcze przed incydem w restauracji Gondolen przed dwoma laty. Potem porozumiewali się możliwie jak najrzadziej i tylko esemesowo. W miarę dorastania ich wspólnych dzieci mieli coraz mniej powodów do kontaktowania się i Vincent podejrzewał, że Ulrika jest z tego powodu równie zadowolona jak on. Czasem prowadziło to jednak do pewnego zamieszania w kwestii zamieszkania dzieci. Podczas rozwodu ustalili, że

dzieci będą mieszkać naprzemiennie dwa tygodnie u matki i tyle samo u ojca, ale ta decyzja utrzymała się tylko przez parę lat. Od pewnego czasu syn i córka robili raczej tak, jak chcą, co Vincentowi, o dziwo, nie przeszkadzało mimo jego wyraźnej potrzeby kontroli. Mogło to oczywiście być związane z faktem, że nie przypominał sobie, kiedy ostatnio przebywali dłużej u matki. Podobało mu się, kiedy mieszkali u niego, zwłaszcza w takich okresach, kiedy sporo podróżował. Wracając do domu do rodziny, naprawdę lądował w rzeczywistości.

– Myślałam o tym, żeby zostać tu jeszcze parę tygodni – ciągnęła Rebecka, kiedy na pytanie o esemesa pokręcił głową. – W końcu są wakacje. Co do Benjamin, to nie wiem. Nie powinien się niedługo wyprowadzić z domu? Chętnie zajmę jego pokój. Jak go najpierw wysterylizujesz miotaczem ognia. No chodź, Aston.

– Możesz sobie pić to mleko – zaprotestował Aston. – Ja chcę największą porcję lodów.

Maria wpatrywała się w drzwi, które Rebecka zamknęła, wychodząc razem z braciszkiem, a potem skierowała wzrok na Vincenta.

– Policjantka, o której rozmawialiśmy. Nie pamiętasz, co mówił terapeuta? Że nie powinniśmy robić takich rzeczy, które szkodzą naszemu małżeństwu. A ty znowu robisz swoje.

– Ale co to jest za... okej.

Ugryzł się w język. Świetnie pamiętał słowa terapeuty. Również to, że odnosiły się do jej zazdrości, która szkodzi ich wzajemnej relacji. Fakt, że po terapii nastąpił okres, kiedy ta zazdrość się uspokoiła. Vincent odważył się nawet liczyć na to, że w ogóle zniknie.

Jednak to się widocznie zmieniło, kiedy Mina znów się do niego odezwała.

– Nie rozmawiałem z Miną od czasu tamtych wydarzeń z Jane – powiedział. – Gdy zadzwoniła w zeszły poniedziałek, byłem tak samo zdziwiony jak ty. Chciała pogadać o pewnej mojej koleżance. Myślała, że się znamy, i dlatego zadzwoniła. Mina martwi się o swoją córkę, to wszystko.

Maria prychnęła i zamknęła karton.

– A to, że twoje bokserki nagle pachną damskimi perfumami, nie ma nic do rzeczy? Ani to, że znów się dzisiaj spotkacie?

– Po pierwsze, to nieprawda, co powiedziałaś o moich bokserkach. Po drugie, w tym tygodniu to ja robiłem pranie. Więc nie mogłaś poczuć żadnego zapachu z mojej bielizny, nawet gdyby był. Owszem, zgadza się, że niedługo jadę do komendy. Wygląda na to, że jednak chcą, żebym im pomógł w dochodzeniu.

Maria nie zamierzała się poddać, wyczytał to w jej oczach, zanim jeszcze otworzyła usta.

– Właśnie, byłam ciekawa, dlaczego tak się zabrałeś do tego prania – powiedziała. – Pewnie lepiej usunąć plamy razem z perfumami. Zanim coś zauważę. Brałeś ją na biurku?

Cała roczna terapia poszła na marne po tych słowach. Vincent wiedział, że nie powinien jej odpowiadać, ale adrenalina w jego ciele już szalała i nie mógł na to nic poradzić. Wyleciały mu z ust słowa nie do powstrzymania.

– Nie robimy niczego, czego ty byś nie robiła z Kevinem – odparł. – Zresztą esemesował do ciebie trzy razy w ciągu ostatniego kwadransa.

Odwrócił się i wyszedł, zanim Maria zdążyła zareagować. Za bardzo się bał, co mogłaby odpowiedzieć.

**W HALLU WEJŚCIOWYM** komendy klimatyzacja zazwyczaj była lepsza niż w pozostałych częściach gmachu, ale i tak nie sprostała upałowi. Okna były na to stanowczo za duże. Przebywanie tam było jak stanie pod szkłem powiększającym, gdy z góry świeci słońce. Mina wyobrażała sobie, że szyby rozpuszczają się powoli od gorąca. Wilgotne chusteczki jej się skończyły. Wyjęła z kieszeni zwykłą papierową, przetarła czoło i z obrzydzeniem upuściła do najbliższego kosza na śmieci. Da mu jeszcze minutę. Najwyżej.

Sekundę po tym, jak się pojawiła ta myśl, po drugiej stronie szyby zobaczyła jasną czuprynę.

Vincent wszedł i wpisał się do księgi gości w recepcji.

- Przepraszam za spóźnienie – powiedział, podchodząc do niej przy bramkach.
- Pokłóciliśmy się z Marią i... Zresztą nie chcesz wiedzieć.
- Skoro tak mówisz – odparła, wpuszczając go.

Na wchodzenie po schodach było zdecydowanie za gorąco, więc zaprowadziła go do wind. Przecież poprzednim razem było dobrze.

- Jak ci poszło z tym... o czym rozmawialiśmy? – spytał ostrożnie.
- Babcia Nathalie okazuje się nagle jej najlepszą przyjaciółką – powiedziała.
- Jej ojcu nie podoba się, że tak długo nie ma jej w domu, ale to jego problem. To on musi dbać o wizerunek. Najbardziej boję się, że skończy się to jakąś przykrością dla Nathalie.

Było to więcej, niż kiedykolwiek powiedziała o ojcu Nathalie. Vincent chyba chciał spytać o coś, ale dał spokój. Jednak nauczył się trochę subtelności.

Zamiast tego spytał:

- Czy tym razem jestem tu oficjalnie, czy nie?
- Może się przesłyszała, ale zabrzmiało to prawie, jakby był lekko urażony.
- Po pierwsze, chciałabym zaznaczyć, że to nie był mój pomysł – powiedziała.
- Cały czas uważałam, że powinniśmy wezwać ciebie.
- Co nie było twoim pomysłem?
- Tamci... postanowili powołać Novę na swego rodzaju konsultantkę. Jakbym i bez tego nie miała jej dosyć.

Vincent uniósł brwi.

- Ja miałam od początku wątpliwości, na ile ona mogłaby pomóc w dochodzeniu – ciągnęła Mina. – A teraz nie jestem do niej bardziej przekonana niż przedtem. Tyle że ona ma prawdopodobnie rację w jednym: z tych morderstw

wyłania się pewien wzorzec. Wydaje się, że mamy do czynienia z mordercą, który działa według jakichś niewidocznych reguł. Choć Nova nazywa to rytuałami. Tylko że my nie potrzebujemy jakiegoś guru, który będzie nam opowiadał o zachowaniach grupowych. Nam jest potrzebny ktoś, kto rozumie ludzką psychikę i potrafi tłumaczyć, co znaczą czyny mordercy. Potrzebny nam Vincent.

– Rozumiem – odparł. – Jednak Nova jest bardzo kompetentna, w każdym razie w swojej dziedzinie. No i piękna. Pod względem medialnym to dla dochodzenia lepsza twarz, jeśli już.

Musiała się opanować, żeby nie zatrzymać się w pół kroku. Vincent uważa, że Nova jest piękna? Mógł zatrzymać tę opinię dla siebie, choć nie ma to żadnego znaczenia. Absolutnie żadnego.

– Tak się składa, że Nova tu jest – powiedziała, wchodząc do windy. – Znów. Ma spotkanie z Julią.

– Fajnie byłoby się przywitać – odparł, gdy Mina nacisnęła guzik właściwego piętra.

– Zobaczymy, czy zdążymy.

Odechciało jej się mówić. Wjechali na górę w milczeniu.

– Wiesz – odezwał się tuż przed tym, jak się otworzyły drzwi windy. – Fajnie... cię znów widzieć.

Mina odwróciła się, ich spojrzenia się spotkały. Odniosła wrażenie, jakby teraz widziała go na wskroś. I nie był to Mistrz Mentalista, ale prawdziwy Vincent, który nie odsłaniał się przed nikim, ale poprzednim razem odważył się odsłonić przed nią. Wyłącznie. Wreszcie jest. Omal nie straciła równowagi.

Winda otworzyła się, wyszli na korytarz. Wskazała palcem swój pokój.

– Pamiętam – powiedział.

– No oczywiście. Ale proszę cię, żadnych wykładów o numerycznym znaczeniu powierzchni pokoju w metrach kwadratowych. Mamy co innego do omówienia.

– Ja miałbym? – Vincent udał obrażonego.

Mina otworzyła drzwi do pokoju. Na podłodze stały dwa wentylatory pracujące z całą mocą, ale bez efektu w postaci chłodzenia. Jedynym skutkiem było wzniecenie w pokoju kurzu, którego większość prawdopodobnie zdążyła już wchłonąć. Trudno. Gdyby otworzyła okno, wpuściłaby brud i spaliny z ulicy, co byłoby znacznie gorsze. Vincent był tym razem w koszuli z krótkimi rękawami zamiast w garniturze, ale widziała, że pocił się równie mocno jak ona.

– Pytałeś, czy jesteś tu oficjalnie – powiedziała, wskazując swoje biurko. – Prawda jest taka, że zobaczymy. Właśnie po to tu jesteś. Żebyśmy zobaczyli.

Zabrzmiało to bardzo apodyktycznie i twardziej, niż zamierzała.

– Pomóż mi, Vincent – odezwała się miękko. – Żebyśmy zobaczyła. Albo powiedz, jeśli zmyślam. Jesteś mi potrzebny.



Na jednej połowie biurka znajdował się plecak Ossiana i zdjęcia, które dali policji jego rodzice, oraz wydruk z dotychczasowych ustaleń dochodzenia. Drugą połowę biurka zajmowały powiększone zdjęcia przedmiotów, które miała w swojej kieszeni Lilly, plus dołączone sprawozdanie i zdjęcia. Mina ułożyła te rzeczy tak, aby żadna nie zwracała większej uwagi od pozostałych. W sumie było to pewnie ze sto różnych informacji, które dałyby się połączyć ze sobą na tysiąc sposobów. Byłoby fatalnie, gdyby już teraz niechcący naprowadziła Vincenta na jeden konkretny trop. Ściągnęła go tutaj, by się przekonać, do czego sam dojdzie.

– To, co tu mam, dotyczy dwóch spraw, o których ci przedtem wspominałam – powiedziała. – Co widzisz?

Vincent podszedł do biurka i przesunął dłonią po podbródku. Może się przesłyszała, ale jakby westchnął z zachwytem.

– Zakładam, że pytasz mnie, czy istnieje między nimi związek. Mogę?

– To są rzecz jasna informacje poufne, ale możesz wszystkiego dotykać.

Najpierw przyjrzał się dokładnie portretom Ossiana i Lilly. Przypuszczała, że szukał podobieństw. Przerzucił kartki raportów, wrócił do portretów i tym razem chyba przyglądał się ubraniom dzieci.

– Podobne uprowadzenie, ale przez różnych sprawców... – mruknął. – Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Hmm.

Pokazał palcem przedmioty na biurku.

– To są rzeczy, które... Ossian i Lilly mieli przy sobie, kiedy ich znaleziono?

Przytaknęła.

– Ten obrazek – powiedział, pokazując na zdjęciu – jest zupełnie nowy. Sądząc po pozostałych rzeczach z jej kieszeni, prawdopodobnie nie należał do niej. A plecak nie należał do Ossiana, co wynika z zapisu przesłuchania rodziców, tak? Czyli też został podłożony po fakcie.

Od razu trafił na to. Vincent wziął do ręki plecak. Potem spojrział na obrazek.

Mina wstrzymała oddech.

Na plecaku wokół logo *My Little Pony* było siedem wielkookich koników. Wszystkie kolorowe i roześmiane. Ten na przedzie miał nawet skrzydła.

Obrazek Lilly też był rysunkiem, ale bardziej realistycznym. Przedstawił brzeg nad jakąś wodą i fale załamujące się dramatycznie na nogach stojącego dęba pełnej krwi araba.

– Konie – powiedział. – I tu, i tu są konie.

Mina odetchnęła. Mógł wyciągnąć wiele wniosków, a dostrzegł to samo co ona. A przecież ta informacja była dostępna dla policji od roku. Spojrzała na zegar na ścianie. Vincent potrzebował na to niecałych dziewięćdziesięciu sekund.

– Pomyślałam to samo – przyznała. – Ale czy mamy do czynienia z jakimś wzorcem?

– Nie potrafię tego stwierdzić – powiedział, otwierając plecak. – Wydawałoby się, że to raczej przypadek, gdyby nie to, że te przedmioty zostały dodane po fakcie. A co na to Nova?

– Na te konie? Nic. Tylko ja zwróciłam na nie uwagę. I ty. Nova ma jakąś niedorzeczną teorię, że dla mordercy znaczenie symboliczne ma woda. I liczba trzy. Ona sądzi, że te morderstwa są dziełem jakiejś grupy z tajnym przywódcą.

– Czyli byłyby organizowane? – Vincent uniósł brwi. – Zgadza się z nią?

Był wyraźnie po jej stronie. Mogłaby go ucałować. To znaczy nie dosłownie. Metaforycznie, obrazowo. To znaczy nie jak obraz, ale... owszem. Zmarszczyła czoło. Co się z nią dzieje? Musi wziąć się w garść, zanim Vincent to zauważy.

– Organizowane morderstwa dzieci, to brzmi jak wzięte z jakiegoś kioskowego powieściadła – zauważył. – Chociaż może to tylko cynizm z mojej strony. Skupmy się na tym, co oboje odkryliśmy. Potrzebujemy trzech podobnych elementów informacji, żeby z całą pewnością móc mówić o wzorcu. Odnosi się to zarówno do... teorii wody Novy, cokolwiek to jest, jak i do naszych koników. Na razie mamy tylko dwa elementy. To samo dotyczy metody uprowadzenia. Może chodzić o przypadek, bo utwierdzi nas w tym dopiero trzeci element. Trochę jak wtedy, gdy masz narysować linię prowadzącą od punktu A do punktu C. Aby uzyskać pewność, że będzie prosta, powinien między nimi być jeszcze punkt B.

– O czym ty mówisz?

Odłożył plecak i przez chwilę trzymał w palcach zdjęcie obrazka-zakładki. Je także odłożył i sięgnął do kieszeni po chustkę do nosa. Przetarł nią twarz i schował z powrotem do kieszeni.

– Nie martw się – powiedział, widząc wyraz jej twarzy. – Po powrocie do domu wypiorę ją w wybielaczu. Chyba że sama chcesz się nią zająć...?

Sięgnął ponownie po chustkę, jednocześnie patrząc na nią znacząco.

– Twoja obecność tutaj okaże się zaraz najkrótszym udziałem w jakimkolwiek dochodzeniu – odparła.

Schował chustkę z powrotem do kieszeni i Mina z ulgą zobaczyła, że ze stojącej na biurku butelki wycisnął sobie kroplę alkożelu, żeby oczyścić dłonie.

– A więc Lilly i Ossian – powiedział. – Jest wzorzec czy go nie ma? To straszne pytanie, ale czy... na pewno jest ich tylko dwoje? Żadnych innych martwych dzieci w tym okresie?

– Dwoje to i tak za dużo – odparła, kręcąc głową. – Wiedzielibyśmy, gdyby było więcej. Martwe dziecko, zwłaszcza niewyjaśnione sprawy, stawiają na baczność policję w całym kraju.

Usiadła przy komputerze i zalogowała się do DurTvå.

– Oczywiście mogę jeszcze raz sprawdzić, czy mamy jakieś inne zgłoszenia o zabójstwach dzieci, ale jak mówiłam, wiedzielibyśmy o tym. Nie było...

Urwała, wpatrując się w ekran.

– Cholera jasna.

Miała przed sobą sprawę sprzed sześciu miesięcy. Odwróciła monitor w taki sposób, żeby Vincent mógł zobaczyć.

– W zimie była sprawa śmierci czterolatka – powiedziała. – Przypomniałam ją sobie, chociaż to nie myśmy się nią zajmowali. Okoliczności śmierci były jednak zupełnie inne. Ciało dziecka – nazywał się William Carlsson – zostało znalezione na Beckholmen, wiesz, to ta maleńka wysepka koło Gröna Lund, gdzie znajduje się stara stocznia. Leżał w suchym doku, jakby do niego wpadł i się zabił. Jego rodzina miała jednak za sobą historię przemocy. Sąsiedzi złożyli do służb socjalnych doniesienie, że ojciec prawdopodobnie krzywdzi dziecko, a na ciele chłopczyka znaleziono ślady wcześniejszej przemocy. Policjanci prowadzący dochodzenie byli przekonani, że William nie wpadł do doku, tylko była to prymitywna próba ukrycia przemocy wobec chłopczyka. Ojciec został natychmiast zatrzymany jako podejrzany o morderstwo. Sprawa była dość oczywista, żadnych innych tropów. Nie ma nic wspólnego z Lilly ani Ossianem. Niemniej jest to sprawa zamordowanego dziecka.

Vincent skrzywił się i nachylił nad nią, patrząc na ekran. Pachniał lekko przyprawami. Nawet nie wiedziała, jak jej brakowało tego zapachu. Odruchowo wychyliła się minimalnie do tyłu, żeby znaleźć się jeszcze bliżej.

– Jaką pewność ma policja, że to ojciec zamordował dziecko? – spytał.

– Bardzo dużą – powiedziała, wskazując na ekranie fragment raportu. – Sprawa trafiła na wokandę w rekordowym tempie, ojciec siedzi teraz w Hall <sup>15</sup> i jak widzisz, przyznał się prawie w całości do stosowania przemocy. Jedyne, do czego się nie przyznaje, to że również zamordował syna. Wiadomo jednak, że brał narkotyki. Powstaje zatem pytanie, czy chociaż był trzeźwy, kiedy to się stało. Dostyc okropna historia.

Razem czytali o chłopczyku, którego w samym środku mroźnej zimy znaleziono w szarej trykotowej koszulce i długich kalesonach. Nie było żadnego plecaka, żadnych dziwnych przedmiotów z konikami ani bez nich. Tylko wielkie siniaki i niesłychana tragedia.

– Ale nie wiecie tego do końca – podkreślił Vincent. – Ojciec się nie przyznał. Zresztą...

Pokazał palcem zdjęcie miejsca znalezienia zwłok dziecka. Na wysepce znajdowały się trzy suche doki, ale tylko jeden z nich był w użyciu. Ciało Williama leżało tam między dwoma łodziami. Na zdjęciu świadczyła o tym jedynie policyjna taśma odgradzająca to miejsce.

– Znów mamy wodę – zauważyła Mina. – To by wspierało teorię Novy.

Vincent przytaknął, ale nadal był niezadowolony.

– Może i tak – przyznał. – Całe szczęście, że w doku nie było wody, bo nigdy byście go nie znaleźli. Mimo to uważam, że powinniśmy tam pojechać. To, że policja nie znalazła niczego na miejscu, nie znaczy, że niczego tam nie było.

– Mówisz, że źle pracujemy? – Trzepnęła go lekko po ręce.

– Wcale nie. Jednak technicy kryminalistyki badający to miejsce nie mieli powodu szukać tam czegoś dziwnego. Jestem świadom tego, że szansa, że coś tam jeszcze zostało, jeśli w ogóle było, jest minimalna. Policja pewnie ma rację, że ten chłopczyk został zamordowany przez ojca. Mamy zaledwie cień podejrzenia, które w każdej chwili może się rozpuścić. Jednak sądzę, że powinniśmy, na ile to tylko możliwe, zdobyć pewność, że ta sprawa naprawdę nie ma nic wspólnego z Ossianem i Lilly. Bo jeśli jednak ma...

Nie dokończył zdania, ale znów wyciągnął chustkę z kieszeni. A potem z powrotem schował, rzuciwszy szybkie spojrzenie na Minę.

Mina patrzyła na ekran komputera i nagle mimo upału zrobiło jej się zimno.

– Musimy najpierw omówić to z zespołem i z Julią. Sprawdzę, czy uda się ich od razu ściągnąć, wszyscy powinni być na miejscu.

– My musimy? – zdziwił się.

– Witaj z powrotem, Vincent.

**ZESPÓŁ POWIĘKSZYŁ SIĘ** od ostatniego spotkania z Vincentem. Nowym nabytkiem był Adam, wysoki mężczyzna o subtelnie rzeźbionych rysach twarzy i inteligentnym spojrzeniu. Wyglądał jak wyjęty z amerykańskiego serialu.

– Cześć, Vincent – powiedział, podając mu rękę.

Tak mu potrzęsnał prawą ręką, że doprowadził do chlapięcia kawą, którą Vincent trzymał w lewej.

– Cześć, Adamie. Wiele o tobie słyszałem.

Trzy wyraźne ruchy ręką w dół i w górę, kontakt wzrokowy i dziesięcioprocentowe nachylenie torsu do przodu. To był uścisk ręki na szóstkę. Mocny, zdecydowany, ale nie dominujący. Uścisk mówiący zarówno „mam kontrolę nad sytuacją”, jak i „będzie nam się dobrze współpracowało”. Vincent zerknął na pozostałe osoby w pomieszczeniu. Christer i Peder skinęli do niego z uznaniem, u Pедера towarzyszyło temu podskakiwanie brody, natomiast Ruben powitał go niechętnym spojrzeniem i skrzyżował ramiona na piersi.

– Ruben, nie podziękowałem ci za przesyłkę – odezwał się Vincent. – Wiele dla mnie znaczyła. Przepraszam, mógłbyś mi potrzymać tę kawę, to odwieszę torbę?

Podał kawę Rubenowi, który wziął ją odruchowo, robiąc zdziwioną minę. Vincent liczył na ten odruch, zanim zareaguje świadomość i Ruben zastanowi się, czy rzeczywiście jest gotów potrzymać filiżankę Vincenta. Kiedy już ją wziął, było za późno na odmowę.

A naprawdę chodziło o to, by Ruben rozluźnił ręce i otworzył się na to, co mieli do powiedzenia Vincent z Miną. Najprostszym sposobem było poproszenie go, żeby coś potrzymał.

Jednak Vincent miał również powód, żeby szczerze podziękować Rubenowi. Wkrótce po tym, jak mieli ze sobą do czynienia ostatnim razem, czyli w październiku prawie dwa lata temu, przysłała do niego pocztą koperta od Rubena z wycinkiem z gazety na temat okoliczności śmierci matki Vincenta. Tym samym artykułem, który Ruben przedstawił jako dowód, że Vincent był zamieszany w morderstwa będące przedmiotem ich dochodzenia. Rzeczywiście był zamieszany, tylko nie w tym sensie, jak myśleli.

*Nadal nie mam pojęcia, kto mi to przysłał – napisał Ruben na karteczce doczepionej do wycinka. Niemniej nie jest mi potrzebny. Nie wydaje mi się, żeby ktoś miał do niego wracać. Spal go albo zrób z nim, co ci się podoba.*

Vincent naprawdę się wtedy wzruszył. Jednak tamten Ruben, który przysłał mu wycinek, wydawał się dziś nieobecny. Wzruszył ramionami na słowa podziękowania Vincenta i oddał mu filiżankę. Innymi słowy, wszystko jak zwykle. Choć Vincent zapewne nie weźmie znaczącego udziału w obecnym dochodzeniu, przecież zaangażowali Novę. Mógł zatem odnieść się pobłaźliwie do niektórych zachowań. Całe szczęście, że na każdego Rubena przypada w policji jakiś Adam.

– Miło cię znów widzieć, Vincent – odezwała się Julia. – Domyślam się, że z Miną wymienialiście się przemyśleniami na temat obecnych spraw. Wolałabym oczywiście, aby odbywało się to odpowiednimi kanałami, żebym jednak wiedziała, że znów jesteś z nami.

– Nie byłam przekonana, czy nas to gdziekolwiek zaprowadzi – powiedziała przepraszająco Mina. – Chciałam najpierw mieć pewność. Właściwie to wciąż jej nie mam, ale chcielibyśmy przyjrzeć się sprawie Williama Carlssona, zaczynając od miejsca znalezienia jego zwłok.

– Tego chłopczyka, który zimą został zamordowany przez swojego ojca? – zdziwił się Ruben. – A co on ma do rzeczy?

– Jeśli mogę się wtrącić – odezwał się Adam. – Ojciec chłopca Jörgen Carlsson rzeczywiście został skazany za morderstwo w niezwykle szybkim postępowaniu sądowym. Jednak jeśli dobrze pamiętam, to nie przyznał się do tego, co było o tyle dziwne, że bez zastrzeżeń przyznał się do stosowania przemocy wobec syna. Nie wiem, czy myślał, że się łatwiej wywinie w ten sposób. W dodatku, ale mogę się mylić co do szczegółów, na wczesnym etapie dochodzenia pojawił się świadek, starsza pani z mieszkania z widokiem na plac zabaw. Otóż według niej to nie Jörgen, ale ktoś inny zabrał Williama. Ten trop został jednak porzucony w związku z tym, że Jörgen nie potrafił powiedzieć, gdzie wtedy był, a wzrok starszej pani pozostawiał sporo do życzenia.

– W świetle sprawy Lilly i Ossiana wygląda to na błąd – przyznała Julia. – Jörgen Carlsson mógł mówić prawdę i w takim razie został niesłusznie skazany.

Ruben ponownie skrzyżował ramiona na piersi z taką miną, jakby właśnie zjadł coś paskudnego.

– Jörgen Carlsson to wręcz okazowe bydlę i trafił tam, gdzie powinien – parsknął.

– Zgadza się – powiedział Peder. – Też to pamiętam. Ten chłopczyk miał na calusieńkim ciele ślady na różnym etapie gojenia. Był tak katowany, że to właściwie cud, że nie umarł wcześniej. A jego matka, z tego, co wiem, też dostawała.

Bosse zaskomlał i polizał dłoń Pedera, jakby rozumiał, jak bardzo boli Pedera sama myśl o biciu dziecka.

– Według mnie nie ma żadnych wątpliwości, że to ojciec zabił dzieciaka – ciągnął Ruben. – Sam byłem tam kilka razy z interwencją, raz w wigilię Bożego Narodzenia. Kurwa mać, tam była po prostu jatka. Jörgen walił głową żony Lovis o piecyk, więc w całej kuchni było pełno krwi. Za choinką z prezentami, bombkami i sreberkiem znaleźliśmy Williama. Miał wtedy ze trzy lata. Nie, kurwa, Jörgen nie jest niewinny. To jest taki gość, którego należałoby zamknąć na cztery spusty, a klucze wyrzucić.

Zapadło milczenie. Vincent utkwiał spojrzenie w jedynej ozdobie w tym pomieszczeniu, była to wisząca na przeciwległej ścianie wielka mapa Sztokholmu. Próbował nie stwarzać sobie obrazów z tego, co właśnie opowiedział Ruben. Za późno. Oczy mu łzawiły od wpatrywania się w plan Starego Miasta, bo usiłował nie pamiętać sińców, jakie widział na zdjęciach ciała Williama. Chłopczyka tak podobnego do Astona sprzed kilku zaledwie lat.

Christer chrząknął.

– Zgadzam się z Rubenem, że Jörgen Carlsson to bydlę – mruknął. – Nie powinien w ogóle oglądać światła dziennego. Do tego, żeby jeszcze sporo posiedział, wystarczy na szczęście to, do czego się przyznał. I o to chodzi, że na szczęście. Bo Adam ma rację. Nie ma pewności, że Jörgen zabił swego syna.

– Adamie i Rubenie, porozmawiajcie jak najszybciej z matką Williama – odezwała się znów Julia. – I jeszcze z tą sąsiadką, która podobno widziała, jak William został uprowadzony; oceńcie, czy rzeczywiście mogła coś zobaczyć. Dobrze, gdybyście zdążyli z tym jeszcze dziś. A w poniedziałek odwiedzicie Jörgena w więzieniu Hall. Zawiadomię ich o waszym przyśściu.

Ruben zwrócił się do Adama.

– Zapomnij o tym, żeby tym razem robić za dobrego policjanta. Nie przed tym ścierwem.

Adam skinął ponuro głową. Był chyba tego samego zdania. Julia spojrzała na Minę i Vincenta.

– Nie wiem, co moglibyście tam znaleźć – powiedziała. – Ale jedźcie na miejsce. Zabierzcie ze sobą Pedera i tę jego brodę. Gdybyście po drodze mijali jakiegoś barbera, to policja zapłaci za usługę. Ale wiesz, Vincent, skoro już tutaj jesteś, to chciałabym, żebyś spotkał się z kobietą, która siedzi u nas w areszcie. Nazywa się Lenore Silver.

– **DŁUGO MIESZKASZ** w Szwecji?

Adam westchnął w duchu. Właściwie nie zamierzał odpowiedzieć, ale rozumiał, że pogawędki w radiowozie są częścią policyjnej codzienności. Wolałby tylko, by kiedyś pytania brzmiały inaczej.

– Urodziłem się tutaj.

– Aha. Okej.

Milczenie. Adam ciągle nie mógł się nadziwić, że ta odpowiedź może budzić takie milczące zdumienie.

– A twoi rodzice? Skąd są? – spytał Ruben.

– Z Ugandy.

– Aha, z Ugandy.

Ponowne milczenie.

– Kurde, muszę przyznać, że nie mam bladego pojęcia na temat Ugandy.

– Nie, a dlaczego miałbyś mieć? Ja też nie mam zbyt wielkiego pojęcia o Ugandzie.

Adam przewrócił oczami. Ruben miał w sobie coś, co go drażniło, chodziło o coś więcej niż to stereotypowe wypytywanie. Wielokrotnie miewał do czynienia z takimi policjantami. Wielkie skupienie na mięśniach, niewielkie na mózgu.

– A kiedy oni tu uciekli?

– Nie uciekli. Moja mama przyjechała objąć tu profesurę. Po przyjeździe odkryła, że jest w ciąży, ale nie chciała mieć nic wspólnego z moim ojcem.

– O kurde. – Ruben pokiwał głową. – Nigdy cię nie korcił ten ojciec? Nie kontaktowałeś się z nim?

– Nie, po co? Polegam na zdaniu mamy. Skoro nie uznała go za wartego pojawienia się w moim życiu, to przypuszczam, że miała do tego jakieś podstawy.

– Ooo. – Ruben nagle zrobił smutną minę. – A więc to taki ojciec.

Adam zerknął na niego, ale zaraz wrócił spojrzeniem na drogę. Nie miał najmniejszej ochoty grzebać się w życiu prywatnym swoich kolegów. Zwłaszcza Rubena.

Przed nimi wyrosły wysokościowce w Rissne, gdzie mieszkała Lovis. Adam skręcił, wjeżdżając na parking. Ruben wciąż milczał ze zgnębioną miną. Adam sprawdził w komórce adres, pierwsza klatka za parkingiem. Rozejrzał się i wskazał palcem.



– Tam. To pewnie plac zabaw, na którym, jak twierdzą rodzice, widzieli Williama ostatni raz.

– Nadal nie wierzę, że to nie ojciec go zabił – mruknął Ruben.

– Nie będę się z tobą spierał. Mamy zadanie do wykonania.

Zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to surowo, ale miał dość policjantów, którzy wolą najprostsze rozwiązania. A rzeczywistość rzadko bywa prosta i łatwa.

Weszli na trzecie piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie Lovis. Przed mieszkaniem znajdującym się po sąsiedzku stał wózek ze śpiącym niemowlęciem, które poruszyło się przez sen i zakwiliło, gdy zapukali do drzwi. Minęła dłuższa chwila, w końcu dobiegły ich człapiące kroki. Cisza. Wahanie. Wreszcie zgrzyt zamka i drzwi otworzyły się powoli. A właściwie uchyliły.

– Co jest?

Głos był ochryply; nawet przez tę wąską szparę w drzwiach Adam poczuł zapach przetrawionego alkoholu.

– Policja. Chcielibyśmy porozmawiać o Williamie.

– Ach tak, teraz wam się zachciało?

Chciała zamknąć drzwi, ale Adam wstawił nogę.

– Niech nas pani wpuści. Ze względu na Williama.

Znów cisza. Potem jednak otworzyła i poczłapała przodem w głąb mieszkania. Panował w nim mrok. Do środka nie wpadało żadne światło, wszystkie okna były zasłonięte czarną tkaniną. Śmierdziało, była to woń śmieci zmieszana ze zjełczalym jedzeniem i dymem z papierosów. Ruben zakasłał lekko za jego plecami.

– Możecie tam usiąść.

Lovis wprowadziła ich do dużego pokoju i wskazała mocno wysiedzianą sofę, poplamioną i z wypalonymi dziurami od papierosów. Stał przed nią stolik, na którym wały się pełne popielniczki i butelki po wódce i winie. Jediną dekorację stanowiło kilka porozwieszanych tu i ówdzie oprawionych zdjęć. Lovis z Williamem. Jörgen i Lovis we dwoje. Dziecko, być może Lovis, siedzące z dumną miną na koniu.

Adam usiadł bez wahania, ale kątem oka zobaczył, że Ruben chyba postanowił stać. Rzucił mu znaczące spojrzenie. Przyszli przesłuchać matkę zamordowanego dziecka i nie mogą stroić fochów jak księżniczka na ziarnku grochu. Ruben zrozumiał i usiadł na kanapie, chociaż pozwolił sobie na lekki grymas.

– Chodzi o Jörgena? Coś mu się stało? Nie powinien siedzieć, bo on nie zabił Williama.

Lovis zapaliła papierosa drżącymi rękami, zaciągnęła się głęboko i spojrzała na nich gniewnie. A potem w stanie podniecenia zaczęła pokazywać palcem.

– Ten chłopiec, ten zaginiony chłopiec! Dlatego tu przyszliście! Uprowadził go ten sam człowiek, który zabił Williama! Przecież mówiłam! Mówiłam, że to nie Jörgen!

– Na ten moment nie możemy nic powiedzieć – odparł Adam, rozkładając ręce.

– Poza tym, że badamy okoliczności śmierci waszego syna. Dlatego chcielibyśmy...

– Wynocha! – powiedziała, patrząc na nich.

– Chcielibyśmy spytać...

Adam chrząknął, dym drażnił jego drogi oddechowe i oczy, które zaczęły łzawić.

– Wynocha!

Lovis wstała, przy okazji zwałając ze stolika pustą butelkę po wódce Smirnoff, która spadła z brzękiem i potoczyła się spory kawałek.

– Wyjdźcie! Wynocha!

Ruben wstał, Adam poszedł za jego przykładem. Być może będą musieli wrócić, ale teraz będzie lepiej, jeśli Lovis się uspokoi.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi, Adam starał się pozbyć uczucia zawodu. Rozmowa z Lovis niewiele im dała.

Zostały im jeszcze dwie wizyty. U świadka. A potem u Jörgena.

**MINA ZNAŁA TE KORYTARZE** jak własną kieszeń, ale Vincent rozglądał się z zaciekawieniem, gdy Julia zaprowadziła ich do aresztu śledczego Kronoberg, który był praktycznie połączony z gmachem Komendy Policji.

– Tak jak mówiłam, nazywa się Lenore Silver i jest podejrzana o bezprawne pozbawienie wolności i handel nieletnimi. Do tej pory zaprzeczała, że ma cokolwiek wspólnego ze sprawą Ossiana albo któregoś z pozostałych dzieci, ale nie zaszkodzi spytać jeszcze raz. A raczej, że ty ją spytasz, Vincent.

Vincent zatrzymał się i zmarszczył czoło.

– Mówiłem już poprzednim razem... – zaczął.

– Wiemy – przerwała mu Julia. – Nie jesteś policjantem ani osobą przeszkoloną w technice przesłuchiwania, nie możesz brać na siebie odpowiedzialności tego rodzaju. To fakt i wierz mi, że kiedy ostatnio dla nas pracowałeś, dostałam za to nie raz po uszach. Ale skończyło się dobrze. Więc chciałabym tylko, żebyś... z nią porozmawiał. Przecież jesteś w tym dobry.

Doszli do pokoi przesłuchań znajdujących się za anonimowymi drzwiami oznaczonymi czarnymi cyframi. Mógłby to być zwyczajny korytarz w jakimś państwowym urzędzie. Jednak kobieta czekająca za jednymi z tych drzwi przyprowadziła Minę o ciarki na całym ciele. Była wszystkim tym, czym nie była Mina. Pewna siebie. Elegancka. Ładna. Miała długie wymanikiurowane paznokcie zamiast spierzchniętych czerwonych palców. I prawdopodobnie była psychopatką.

– Okej, mogę spróbować, chociaż niczego nie obiecuję – powiedział Vincent. – Ale zrobię to po mojemu. Któraś z was ma długopis?

Julia podała mu wieczne pióro.

Mentalista narysował sobie starannie kropeczkę na policzku, jakiś centymetr pod jednym okiem.

– Co ty robisz? – spytała.

– Po mojemu – powtórzył.

Julia pokręciła głową. Najwyraźniej już szło nie w tę stronę, co trzeba.

– Mina, przejmij to – powiedziała. – Muszę pójść piętro wyżej i wytłumaczyć kierownictwu, na czym będzie polegać nasz następny krok. Lenore czeka w pokoju przesłuchań numer trzy.

A potem odeszła korytarzem. Mina aż się spociła pod pachami, ale nie miało to rzecz jasna nic wspólnego z osobą, która na nich czekała, bo było tylko wściekle gorąco.

Odetchnęła głęboko i otworzyła drzwi do pokoju przesłuchań, gdzie Lenore Silver mimo upału i faktu, że znajdowała się od pewnego czasu w areszcie, wyglądała świeżo, elegancko i jakby się dopiero co umalowała. Siedziała na jednym z trzech znajdujących się tu krzeseł, nie było natomiast stołu. Prawdopodobnie dopilnowała tego Julia, żeby ułatwić zadanie Vincentowi.

Uśmiech Lenore zniknął, gdy zobaczyła mentalistę.

– Co on tu robi? – spytała. – Widziałam go w telewizji.

– Vincent zada ci kilka pytań – wyjaśniła Mina, zajmując krzesło naprzeciw niej. Poczowała się znacznie lepiej i wcale nie tak spocona, gdy Vincent usiadł obok.

– Nie będę odpowiadała na żadne pytania – powiedziała Lenore, krzyżując ręce na piersi. – Nic nie powiem bez adwokata. Siedzę tu od piątku. Dziś... środa, nie? Nie możecie mnie trzymać dużo dłużej.

– Masz rację – odparła Mina. – Tylko widzisz, ustaliliśmy tożsamość dziewczynki, którą u ciebie znaleźliśmy. Wiemy już, że jest z nowo przybyłej rodziny mieszkającej w Midsommarkransen. Wiemy, że zamierzałaś sprzedać ją dokładnie tak, jak to robiłaś pięć lat temu. Wydały cię inne osoby, które liczą na złagodzenie kary.

To ostatnie było kłamstwem. Policja nie miała żadnych innych podejrzanych, знаła jedynie tożsamość dziewczynki. Jednak Mina, choć strzelała w ciemno, najwyraźniej trafiła, sądząc po tym, jak Lenore zacisnęła dłonie na ramionach.

– Żaden adwokat nie zechce teraz tknąć twojej sprawy – ciągnęła Mina. – Dostaniesz oczywiście adwokata z urzędu. Jednak wątpię, żeby ci dali takiego, który będzie ostry jak brzytwa. Masz teraz szansę pokazać, że jesteś gotowa współpracować. Bo wierz mi, że będzie ci to potrzebne.

Lenore wyprostowała się na krześle i położyła dłonie na kolanach.

– To co on chce wiedzieć? – spytała.

– Będzie to raczej przypominało zabawę – powiedział Vincent i uśmiechnął się. – Powiem słowo, a ty odpowiesz mi słowem, które jako pierwsze przyjdzie ci na myśl. Nie zastanawiaj się za bardzo, najważniejsze, żeby pierwsze było to, co ci przyjdzie na myśl. Choćby było najdziwniejsze. Spróbujemy?

Lenore westchnęła i przytaknęła.

– Okej. W takim razie zaczynamy – powiedział Vincent. – Koń.

– Siodło – odpowiedziała Lenore, patrząc mu w oczy.

– Woda.

– Chce się pić.

– Dziecko.

– Czyjeś.

Lenore znów skrzyżowała ramiona na piersi, wpatrując się w mentalistę.

– Śmierć.

- Życie.
- Ossian.
- Irlandia.
- Lilly.
- Ślub.

Vincent uniósł brwi.

– W mieście jest sklep o tej nazwie ze strojami ślubnymi – wyjaśniła Lenore.

– Planujesz wziąć ślub? – wtrąciła Mina.

– To moja sprawa. Skończyliśmy?

– Prawie – powiedział Vincent. – William.

– Spetz <sup>16</sup>.

– Zabić.

– Seriale.

– Dziękuję, doskonale – powiedział Vincent, podnosząc się. – Skończyliśmy.

Dziękuję, że zgodziłaś się z nami porozmawiać.

Podał jej rękę, Lenore chwyciła ją odruchowo. Wtedy Vincent nagle podłożył swoją lewą dłoń pod jej przegub, a jego prawa dłoń puściła jej rękę. Skutek był taki, że jej ramię opierało się na jego dłoni. Pobujał nią ostrożnie w taki sposób, że jej ramię zaczęło poruszać się w przód i w tył, jednocześnie pokazał palcem kropkę namalowaną pod jego okiem.

Mina przyglądała się zafascynowana.

– Lenore, patrz na ten punkt – odezwał się zupełnie innym tonem niż poprzednio. Miękkim i jednocześnie rozkazującym. Minie też było trudno nie patrzeć na jego policzek. Sytuacja była tak dziwna, że chętnie słuchała instrukcji tylko dlatego, że było to coś zrozumiałego. I domyślała się, że o to chodzi.

Spojrzenie Lenore zmętniało. Wydawała się nieświadoma swojego ramienia.

– I gdy będziesz patrzeć – ciągnął Vincent – zauważysz, że twoje myśli są tak samo rozproszone jak twój wzrok, właśnie tak, i im większe rozproszenie, tym mniej musisz myśleć, możesz sobie pozwolić popłynąć myślami, masz wrażenie, jakby cię wciągało wielkie przyjemne morze... a ty po prostu podążasz w dół w tę przyjemną głębię... teraz.

Cofnął podparcie dla ręki Lenore, która od razu opadła. Od szarpnięcia opadła również głowa Lenore. Mina widziała, że Lenore zamknęła oczy.

– Doskonale, tak trzymaj – powiedział Vincent, kładąc dłoń na karku kobiety, żeby głowa była nadal pochylona. – Opadnij jeszcze głębiej, gdzie jesteś bezpieczna i jest dobrze. Jesteś tam?

Lenore powoli kiwnęła głową. Mina właściwie nie wierzyła w hipnozę, ale cokolwiek Vincent zrobił z Lenore, kobieta rzeczywiście sprawiała wrażenie zahipnotyzowanej. Prawdopodobnie nie było to nawet dozwolone, ale

podejrzewała, że Julia na to liczyła, kiedy zgodziła się na skorzystanie z pomocy Vincenta.

– Zadam ci teraz te same pytania co wcześniej – powiedział Vincent. – I tym razem odpowiesz mi słowami, które znajdziesz w samej głębi siebie. Okej?

Lenore przytaknęła. W pomieszczeniu słychać było jedynie skrzypienie krzesła, kiedy Vincent usiadł naprzeciw niej.

– Koń – powiedział.

– Kutas.

Jej głos brzmiał wyraźnie, wcale nie tak jak u osoby zahipnotyzowanej według wyobrażenia Myny. Jednak w tej chwili Lenore wyraźnie znajdowała się zupełnie gdzie indziej. Mina nie wierzyła, żeby to było udawane.

– Woda – powiedział Vincent.

– Topić się.

– Ossian.

– Ocean.

Vincent zerknął na Minę. Skinęła mu głową na znak, żeby kontynuował.

– Dziecko.

– Pieniądze.

– Śmierć.

– Ja.

– Lilly.

– Białe lilie.

– William.

– Wola.

– Zabijać.

– Koszmary senne.

Vincent chwycił znów jej rękę i podniósł do pozycji poziomej. Kiedy ją puścił, ręka została w tej pozycji.

– Poczujesz, jak twoje ramię opuszcza się powoli – powiedział – a ty pozwolisz sobie zagłębić się jeszcze bardziej w myślach.

Ramię opuściło się powoli. Znikła gdzieś pewna siebie kobieta, twarz Lenore miała wyraz jak u dziecka.

– A gdy ręka dotrze do kolana, otworzysz drzwi do miejsca, gdzie są twoje sny. Ręka wylądowała na kolanie, a Lenore zmarszczyła czoło.

– Spytam cię o to ostatnie, co powiedziałaś – odezwał się Vincent. – Masz koszmary senne od zabijania czy śnią ci się koszmary o zabiciu kogoś?

– To drugie – odpowiedziała.

Jej głos był teraz niższy, niewyraźny, jakby wydobywał się z samej gardzieli.

– A gdy to robię, przestaje to być koszmarem. Ciemność się kończy.

– Zabijasz to, co jest w ciemności?

– Tak.

– Co jest w ciemności, Lenore?

– Ulf. Mój stryj.

Vincent przerwał i spojrział na Minę. Wyglądał na głęboko zasmuconego.

– Zaczę teraz odliczać wstecz, zaczynając od pięciu – powiedział do niej. – Na pięć możesz zacząć wypływać na powierzchnię. Na cztery zaczniesz się ożywiać, wracając do poprzedniego stanu. Na trzy możesz wybrać, czy pamiętać, o czym rozmawialiśmy, czy zapomnieć o tym, czego nie chcesz pamiętać. Na dwa odetchniesz głęboko, a na raz otworzysz ponownie oczy.

Lenore otworzyła oczy i rozejrzała się zdezorientowana.

– Co to było? – spytała. – O czym właśnie rozmawialiśmy?

– O niczym – powiedział Vincent, wstając. – Podziękowałem ci za poświęcenie mi czasu. Nie będziemy ci więcej przeszkadzać. Jeszcze jedno: gdzie śpi Król Lew?

Lenore zrobiła jeszcze bardziej zdezorientowaną minę.

– Co? O co chodzi?

Vincent wyszedł, nie pozostawiając wyboru Minie, która poszła za nim. Lenore patrzyła za nimi zdumiona, gdy Mina zamykała drzwi.

– Król Lew? – spytała Mina na korytarzu.

– Chcąc doprowadzić do utraty pamięci po hipnozie, należy odwrócić uwagę mózgu, żeby nie zaczął zastanawiać się nad tym, co się właśnie wydarzyło.

– To czego się dowiedziałeś?

– Chyba słyszałaś – odparł, patrząc na nią ze zdziwieniem. – Zastanowiło mnie, kiedy najpierw skojarzyła wodę z topieniem się, a potem Ossiana z oceanem. Myślałem, że to może być trop. Jednak sądzę, że to było słowne skojarzenie. Te słowa brzmią podobnie. Już rozmawialiśmy o wodzie, więc nic dziwnego, że pozostała w następnej myśli. A imiona Lilly i William nie budziły żadnych skojarzeń. To samo w przypadku koni. Nie sądzę, żeby ona miała coś wspólnego z naszymi zamordowanymi dziećmi.

Mina przytaknęła. Ona również doszła do tego wniosku. Jednak warto było spróbować.

– A jednak – ciągnął, przystając – Lenore postrzega dzieci przede wszystkim jako sposób na zarabianie pieniędzy. Podejrzewam, że ona ma silne zaburzenie empatii. Może chodzić o fizjologiczny defekt w mózgu, jak dysfunkcja ciała migdałowatego albo uszkodzenie synaps między płatami czołowymi a hipokampem. Jednak sądzę raczej, że to rodzaj psychologicznej obrony. Białe lilie? Ona jest zafiksowana na śmierci. W dzieciństwie była wykorzystywana

przez swego stryja. Tego Ulfa. Wyparła to, ale to on stworzył w dużej części tę kobietę. Chyba powinniście ściągnąć do niej psychologa.

Mina zapatrzyła się na Vincenta. Poza wymienieniem imion dzieci spytał Lenore o pięć słów. Tylko tyle. A jednak teraz wiedzieli o niej więcej niż po prawie tygodniowych przesłuchaniach.

– Tylko jedno pytanie – powiedziała. – Bo potem musimy zabrać Pедера, żeby jechać na Beckholmen. Ale nie będę mogła przestać o tym myśleć. Gdzie śpi Król Lew?

Vincent uśmiechnął się kącikiem ust.

– W łóżku Simby – odrzekł.

I zawył, kiedy uderzyła go mocno w ramię.



**NATHALIE POZBIERAŁA** swoje narzędzia i powoli odniosła je do szopy. Była potwornie zmęczona. Młotek należało odwiesić na miejsce, piłę również. Dla Karla ważny był porządek.

Dołączyło do nich kilkoro innych członków z najściślejszego kręgu, którzy ciężko pracowali przy renowacji. Wszyscy w takich samych białych ubraniach. To białe ubranie okazywało się totalnie niepraktyczne, po codziennej pracy było całe pokryte brudem. Zwłaszcza kiedy musiała sprzątać w wypalanej budowlu położonej nieco dalej. Pytała, co się tam dawniej znajdowało, ale odpowiedzią było milczenie.

Rozciągnęła się, żeby rozluźnić mięśnie. Praca fizyczna sprawiała jej pewną satysfakcję, dotąd nieznaną. Jednak Nathalie była do niej nieprzyzwyczajona, mięśnie nie miały tyle siły ani oczekiwanej wydolności, więc nawet zamknięcie drzwi szopy kosztowało sporo wysiłku.

Rankiem była wraz z innymi zaprzęmana do pracy przez Monicę i Karla i tak to trwało całymi dniami. W rezultacie była tak zmęczona, że mogłaby zasnąć na stojąco. I pewnie by zasnęła, gdyby nie była taka głodna. Choć w grupie panował świetny nastrój, więc nie chciała się wychylać i narzekać. Tegoroczne wakacje okazały się zupełnie inne od tych, które знаła.

Weszła za innymi do budynku, który ostatnio stał się jej domem. Nie nauczyła się jeszcze ich imion, chociaż nie było ich tak wielu. Jednak przez te białe ubrania i niezmiennie uśmiechy wszyscy wydawali się łudząco podobni. Mrugając mocno powiekami, skierowała się do dormitorium. Cudownie będzie położyć się na pryczy, na której ostatnio sypiała. Powinna jeszcze odezwać się do taty. Nie odzywała się do niego, odkąd...

Przystanęła.

A właściwie kiedy to było?

Dni jej się zlewały. Próbowała policzyć na palcach, ile czasu minęło, odkąd spotkała się w metrze z Ines. Tydzień? Dwa? Głowa ją bolała od tego myślenia, musi najpierw trochę odpocząć. Ale później, później się odezwie do taty.

Tylko trzeba jeszcze naładować telefon. Ale skąd by tu wziąć ładowarkę?

– Nathalie? Nathalie, gdzie idziesz?

Była blisko, jej łóżko stało zaledwie parę metrów dalej. Jednak po głosie babci słychać było, że chodzi jej o coś szczególnego. Nathalie odwróciła się, spojrzała i drgnęła. Ines była podobnie jak ona ubrana na biało, ale T-shirt

i spodnie zamieniła na długą koszulę. A na ramionach miała udrapowaną zieloną szarfę.

– Co się dzieje? – spytała. To jedyne, co jej przyszło do głowy.

– Pora, żebyś zaczęła rozumieć znaczenie słów Johna – odparła Ines. – Chodź.

Babcia wzięła ją za rękę i poprowadziła do jadalni. Nathalie była zbyt zmęczona, żeby się sprzeciwić. Stoły, przy których zwykle siedzieli, zostały odsunięte pod ściany, a środkiem biegła długa deska na drewnianych koźlach. Pozostali członkowie grupy stali ramię przy ramieniu, trzymając ręce na desce. Ines pokazała jej gestem, żeby stanęła razem z nimi. Nathalie ustawiła się u najbliższego końca deski, obok Karla, podczas gdy Ines zajęła miejsce z drugiego końca.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – powiedziała Ines.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – odpowiedziała grupa.

– Wszyscy nosicie w sobie cierpienie różnego rodzaju – ciągnęła Ines. – Cierpienie, które pomaga wam widzieć klarownie świat. Dziś jest wśród nas nowa osoba, moja wnuczka Nathalie. Jej cierpienie ma charakter raczej duchowy niż fizyczny, ale nie jest przez to mniej prawdziwe. Witamy Nathalie wśród nas i przypomnijmy sobie, że nie boimy się bólu. Bo ból przynosi nam klarowność.

Ines wzięła szpicrutę i podeszła do stojącego najbliżej siwego mężczyzny około sześćdziesiątki. Mężczyzna spał się cały.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – powiedziała babcia.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – powtórzył cicho mężczyzna.

Szpicruta przecięła ze świstem powietrze i wylądowała na desce, odgłos odbił się echem od ścian, gdy mężczyzna dostał po palcach. Drgnął jak kopnięty prądem, ale ustał z dłońmi na desce. Na jego palcach pojawiła się wściekle czerwona krecha, oczy napełniły się łzami. Nathalie usiłowała zrozumieć. Są poddawani karze? Nie, chyba nie. Babcia nie wyglądała, jakby się gniewała. Przeciwnie. W pomieszczeniu panował nastrój niemal religijnej czci. Mężczyzna zmarszczył czoło w skupieniu, na jego wargach pojawił się potem lekki uśmiech. Skinął głową Ines, która przeszła do następnej osoby.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – powiedziała, unosząc do góry szpicrutę.

Nathalie była tak zmęczona i głodna, że myślenie przychodziło jej z trudem, wolałaby jednak, żeby babcia jej nie uderzyła. Wydawało się, że to strasznie boli. Nie chciała, żeby ją bolało.

– Nie bój się – szepnął jej Karl. – Ból mija, za to przenikliwość, jaką się zyskuje... Słowo, potem ujrzysz świat w zupełnie nowym świetle.

Ines szła dalej wzdłuż rzędu. Pięć osób uderzonych przez nią szpicrutą obejmowało się wzajemnie, to śmiejąc się, to płacząc. Nathalie wiedziała jedno,

że jeśli puści deskę, prawdopodobnie upadnie ze zmęczenia. Tamci wydawali się tacy rozradowani. Chciała być wśród nich.

Szpicruta świsnęła tuż obok, usłyszała, jak Karl złapał oddech tuż przed uderzeniem, które zabrzmiało jak strzał z pistoletu. A potem Ines zwróciła się do niej. Karl zwiesił głowę, oddychał z wysiłkiem. Z czerwonej krechy na jego palcach wypłynęła kropelka krwi.

– Hej, kochanie moje – powiedziała Ines i odsunęła kosmyk włosów z jej twarzy. – Witaj w prawdzie.

Kiedy szpicruta spadła na jej palce, Nathalie odniosła wrażenie, jakby w części jej mózgu nastąpiła eksplozja. Krzyknęła wprost przed siebie. Jakby ktoś podpalił jej ręce albo włożył do gniazda os. Ines przytrzymała jej ręce, żeby dłonie zostały na desce.

– Nie opieraj się – szepnęła babcia. – Rozważ ten ból. Ogarnij go. Wejrzyj w niego.

Nathalie próbowała zrobić, co jej powiedziała babcia, ale ból był zbyt wielki i przytłaczający. Chciałaby uciec od niego jak najdalej.

– Jesteś w szoku – powiedziała jej do ucha Ines. – Jednak ujrzyj ten ból takim, jaki jest.

Znów spróbowała. Bolało, tak bardzo bolało. Ale co z tego, tak naprawdę, że boli? Przecież to tylko sygnały w mózgu. Postarała się dotrzeć do części składowych bólu, jak dorośli, których widziała, gdy pili wino i próbowali odnajdywać smaki, zapachy i odczucia. I nagle ból okazał się łatwiejszy do zniesienia. Nadal straszliwie bolało, ale już nie tak jak jeszcze przed chwilą. Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. I gdzieś poczuła jasność, przenikliwość dzięki wyrzutowi adrenaliny. Ujrzała, co ważne, a co nieważne. Zrozumiała, co babcia miała na myśli, wspominając słowa Johna.

Następnie Ines włożyła jej dłonie do miski z lodowatą wodą łagodzącą ból, którą ktoś postawił na desce. Nadmiar wrażeń sprawił, że Nathalie się rozplakała. Babcia miała rację. Ból oczyszcza. Nathalie nosiła w sobie wiele bólu, o którym nawet nie wiedziała. Babcia przytuliła szlochającą Nathalie do piersi.

– No już, no już – pocieszała. – Będziemy się zawsze tobą opiekować. Obiecuję. Teraz jesteś już jedną z nas.

**PEDER OPARŁ SIĘ** o szorstką ścianę. Liczył, że czterometrowa głębia suchego doku zapewni jakąś ochronę przed upałem, ale nic z tego. W doku znajdowały się trzy łodzie ustawione na metalowych rusztowaniach, jak zgadywał, przygotowane do napraw.

– Tak, ta historia zimą to była prawdziwa tragedia – powiedział stojący przed nim człowiek. – Mam na myśli tego chłopczyka.

Człowiek miał na imię Bengt i był z zarządu suchego doku Beckholmen. To wprawdzie nie on znalazł Williama, za to zawiadomił policję.

– Łodzie mamy tu właściwie przez cały rok – ciągnął – ale większość latem i tylko na tydzień. W innej sytuacji ciało spłynęłoby do morza po otwarciu doku. Jednak żaglowiec, który był u nas w zimie, potrzebował nowych plank, więc znajdował się tutaj przez dobry miesiąc. I to jego załoga go znalazła. Coś okropnego. I jeszcze potem żaglowiec został, żeby dokończyć naprawy w miejscu, gdzie... no oczywiście, wszystko się opóźniło, bo policja musiała sprawdzić, czy żaden z pracowników nie był zamieszany, wywróciło nam to cały harmonogram do końca roku, można powiedzieć, ale...

– Jakich plank? – przerwał mu Peder.

Tamten popatrzył na niego spojrzeniem zarezerwowanym dla ludzi, którzy nie mają pojęcia o łodziach.

– Widział pan kiedy łódź z drewnianym kadłubem? No wie pan, te deski na burtach? Z których jest zbudowany cały kadłub? To są planki.

Peder kiwnął głową. Następnie udał, że dojrzał coś kawałek dalej, i uciekł do Miny, która schroniła się w rogu doku, gdzie promienie słoneczne nie dotarły.

Vincent założył ręce za plecy i chodził między jednostkami, rozglądając się po otoczeniu. Miał okulary słoneczne, a mimo to Peder widział skupienie na jego twarzy. Były to okulary w rogowych oprawkach, które przestały być popularne już w latach pięćdziesiątych, ale Vincent wyglądał w nich nie najgorzej.

Peder zdziwił się, kiedy Vincent pojawił się na zebraniu, nikt nie mówił o włączeniu go do sprawy. Pomysł pochodził zapewne od Miny, ale Julia się zgodziła. Poprzednim razem wykonał dobrą robotę, nie dałoby się powiedzieć nic innego. Dopóki tylko Peder będzie mógł uniknąć kolejnego wykładu na temat snu, nie zaszkodzi, jeśli Vincent przyjrzy się trochę tej sprawie.

Nie potrafił tylko zrozumieć, co Vincent miałby tu jeszcze znaleźć. Przy każdej wymianie łodzi dok był napełniany wodą, dokładnie tak, jak mówił Bengt.

A według Bengta odbywało się to nawet raz w tygodniu. Ewentualne ślady były wtedy wypłukane.

– Wypatrujesz czegoś konkretnego? – zawołał, drapiąc się w brodę.

Walka o tę brodę między nim i Anette wciąż trwała. Z jednej strony Anette mówiła, że broda chyba drapie bardziej ją niż jego, dodając, że dostaje od niej wysypki. Z drugiej strony przyznawała, że ta broda jest niesamowicie seksowna – ale na zdjęciu. W przyszłości Peder będzie pewnie pokazywać się w domu tylko na fotografii.

Vincent pokręcił głową, podchodząc do Pedera i Miny.

– Chcę wczuć się w to miejsce – powiedział. – Może samo w sobie jest jakimś tropem. Ale idzie mi tak sobie, nie znajduję żadnego kontekstu. Może teoria Novy, że te morderstwa mają coś wspólnego z wodą, jest jednak prawdziwa. Znajdujemy się w końcu w suchym doku dla łodzi. Tylko wydaje mi się, że to twierdzenie jest zbyt... ogólne. Nieostre. W tym mieście woda jest wszędzie, więc mówienie o tym wydaje się jakoś bez sensu. Ee, może Ruben ma rację, że sprawa Williama nie ma nic wspólnego z pozostałymi, że zabił go jego ojciec, a potem umieścił ciało tutaj, żeby upozorować wypadek. William nie jest punktem B, a my nie mamy wzorca.

– Ruben byłby zachwycony, słysząc to – zauważyła Mina.

– A my wracamy do punktu wyjścia – westchnął Peder.

– Nawiasem mówiąc, czy wiesz, że według niemieckich badań kobiety uważają brodatych mężczyzn za bardziej atrakcyjnych od innych?

– Ee, nie, ale to może tłumaczyć... – zaczął Peder, po czym zdał sobie sprawę, że znów się drapie w brodę.

– Właśnie, a Amir miał brodę? – spytał Vincent, patrząc znacząco na Minę.

Peder nie miał pojęcia, do czego pije Vincent, ale Mina chyba wiedziała, zważywszy na mordercze spojrzenie, jakie mu rzuciła.

– Choć jednak większość badań wskazuje na coś przeciwnego – ciągnął niefrasobliwie Vincent. – Przeprowadził je na przykład Barnaby Dixson z Nowej Zelandii, również Nick Neave i Kerry Shields w Anglii. Według nich kobietom podoba się lekki zarost, ale nie więcej. Najzabawniejsza jest właściwie niemiecka interpretacja ich odmiennego wyniku badań. Otóż zgadują, że broda zasłania tak dużą część twarzy, że kobiety mogą znacznie swobodniej fantazjować na temat wyglądu tych mężczyzn.

Peder już zaczął się zastanawiać, czy może Anette ma trochę niemieckiej krwi. Wiele by to tłumaczyło w ich wzajemnej relacji, nie tylko jeśli chodzi o jej nastawienie do brody. Vincent chyba nie zauważył, że nikt mu nie odpowiada, rozkręcił się na dobre i nic go nie mogło zatrzymać.

– Jednak w twoim zawodzie może powinieneś znać spostrzeżenia Dixsona, że broda wzmacnia gniewny wyraz twarzy – dodał Vincent. – Na wypadek gdybyś kiedyś chciał wydawać się groźny. W takim razie jesteś na dobrej drodze.

Stojąca w cieniu Mina uśmiechnęła się krzywo.

– Teraz masz chyba na myśli Rubena – powiedziała.

Vincent odwrócił się do niej i skinął głową, by podjąć wątek.

– Jednakże istnieje pewna interesująca praca magisterska z uniwersytetu w Twente w Holandii, gdzie stwierdza się, że podczas rozmowy rekrutacyjnej długa broda ma równie pozytywny efekt co ogolona twarz, podczas gdy pośrednie stopnie zarostu przynoszą bardziej negatywny efekt. To na wypadek gdybyś chciał zmienić pracę. Zakładając, rzecz jasna, że godzisz się z tym, że w brodzie jest więcej bakterii chorobotwórczych niż w sierści bardzo brudnego psa, co kilka lat temu stwierdziła pewna grupa radiologów szwajcarskich...

Urwał. Mina zrobiła wielkie oczy z przerażenia, gdy wspomniał o bakteriach. Typowe. Peder wiedział już, że nie będzie mógł siedzieć obok niej na zebraniach w salce konferencyjnej. Dopóki się nie ogoli, będzie trzymała się w odległości co najmniej dwóch krzeseł od niego. Pytanie, czy po tych słowach Vincenta będzie w ogóle mógł tam przychodzić Bosse, pies Christera. Ale ten Vincent narozrabiał. Peder powinien teraz szybko odwrócić jej uwagę, zanim zażąda od niego, aby wracając do komendy, rzeczywiście odwiedził barbera.

– A propos – przerwał milczenie – pokazywałem ci filmik, jak trojaczki śpiewają podczas festiwalu piosenki? No tak, śpiewają, nie śpiewają...

Już wyjmował telefon, ale wtedy spojrzął na Minę. Westchnął i schował go z powrotem do kieszeni. O brodzie to można rozmawiać, ale nie o filmiku z jego słoneczkami? Typowe dla osób, które nie mają własnych dzieci. Nic nie rozumieją.

– Ostatnim razem pokazywałeś ten filmik w poniedziałek – powiedziała. – Tydzień temu też. I jeszcze kilka razy wcześniej. Faktem jest, że Ruben nie przesadził. Szczerze mówiąc, oglądaliśmy go dość regularnie od czasu festiwalu, który odbył się zimą czy jakoś tak.

No i co z tego? Przecież nie można znudzić się trojaczkami. A jednak posłuchał. Całe szczęście miał jeszcze wiele innych filmików do pokazania, co najmniej równie słodkich. Za to Mina przestała zerkać z odrazą na jego brodę.

Mentalista nagle zmarszczył czoło i przeszedł do miejsca w doku, gdzie zostało znalezione ciało Williama, po czym kiwnął na Pedera i Minę, żeby podeszli.

– O co chodzi? – spytała.

– Właśnie zdałem sobie sprawę, że wszystkie zdjęcia z miejsca znalezienia zwłok zostały zrobione pod tym kątem – powiedział Vincent. – Stań w tym miejscu

i wyobraź sobie, że jesteś aparatem fotograficznym. Powiedz mi, co widzisz w obiektywie.

– Dlaczego... no dobra. Widzę... betonowe podłoże, na którym leżał. Kilka metrów dalej skalną ścianę, która wznosi się na wysokość około czterech metrów. Wiszą na niej opony samochodowe, zapewne po to, żeby wpływające do doku łodzie nie uderzały o szorstką ścianę. Nad krawędzią skały widzę czerwoną poręcz. I czerwony dom.

– Zejdź trochę niżej – poprosił. – Tam gdzie skała styka się z poręczą.

– Okej, byłam niedokładna. Ostatni metr ściany to beton. Górna krawędź doku. Ludzie wymalowali na betonie kwadraty, do których wpisali różne nazwy... Altarskär. Sunbeam. Panama. Afrodite.

Odwróciła się do Vincenta.

– Zgaduję, że to pewnie nazwy łodzi, które były w tym doku.

Przytaknął.

– To, co opisałaś, znajduje się na zdjęciach policji. Spójrzmy teraz na zdjęcie, którego nie widzieliśmy. Tego, co było za obiektywem, kiedy fotografowali Williama.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Odwróć się w drugą stronę, Mina. Co wtedy widzisz?

Zrobiła, o co prosił. Peder spojrzał w tę samą stronę. Czuł się równie zdezorientowany jak ona.

– Wygląda to tak samo – powiedziała. – Betonowe podłoże, skalna ściana, beton, napisy, poręcz. Tym razem nie ma czerwonego domu na górze. I nie ma tylu nazw łódek.

– Dobrze. Wyobraźmy sobie, że William leży tu, u naszych nóg. Gdybyś miała zrobić zdjęcie z nim na pierwszym planie, ile napisów z tej ściany zmieściłoby się w kadrze?

Mina uformowała palcami prostokąt, odcinając kawałek pola widzenia.

– Dwa. Jera i H... coś. To na H zostało starte przez wodę, nie widzę, co tam jest dalej. W każdym razie kończy się na O. Chociaż nie, Jera nie zmieściłaby się w kadrze, bo trzeba by stać tak, żeby weszła cała ściana. Więc zostałyby tylko ta nazwa na H.

Peder nie potrafił powstrzymać śmiechu.

– To ci dopiero nazwa łodzi – powiedział.

Spojrzeli na niego, nie rozumiejąc. Nic dziwnego, że Vincent się nie domyślił, ale zdziwił się, że Mina nie odgadła.

– Chyba widzicie, co tam jest napisane? – powiedział. – No dobra, woda zatarła litery, ale nietrudno się domyślić, o co chodzi. To nazwa osławionego pojazdu policyjnego, który był używany w Afryce Południowej w latach

siedemdziesiątych zarówno w policji, jak i w wojsku. Skonstruowano go tak, żeby mógł oprzeć się minom. Powiedziałem, że go skonstruowano, ale to były właściwie przestarzałe brytyjskie ciężarówki wojskowe, tyle że wzmocnione. Były cholernie ciężkie, kierujący nimi ledwo co widzieli, a przypominały bardziej pojazd opancerzony niż policyjną sukę. Jednak sprawdziły się, i to na wielu wojnach. Oczywiście dopóki nie zostały ostrzelane. Bo dawały radę minom, ale z kulami było gorzej. Mam nadzieję, że łódź o tej nazwie nie była tak opancerzona, boby chyba zatonała.

Mina z Vincentem nie przestawali się w niego wpatrywać.

– No co? A wy nie macie jakichś pozazawodowych zainteresowań? Bo mnie zdarza się czasem robić coś innego, niż tylko zajmować się trojczkami, nie myślcie sobie.

To ostatnie nie było tak do końca zgodne z prawdą. Peder obejrzał dokument na Discovery z wojen w Afryce Południowej, bo trojczki zasnęły mu na brzuchu po tym, jak go pokonały w zapasach. Nie odważył się ruszyć z podłogi z obawy, że się obudzą. Czterdzieści centymetrów dalej stał włączony telewizor. Film trwał godzinę. A potem przyszła Anette i go uratowała.

Vincent przywołał Bengta z zarządu doku i pokazał mu nieczytelny prawie napis na ścianie.

– Kiedy ta łódź była u was?

Bengt osłonił oczy dłonią, mimo swojej cyklistówki, i długo się namyślał.

– Wie pan co – powiedział z wahaniem. – Nie pamiętam wszystkich łodzi, które tu były, ale wydaje mi się, że chyba nie mieliśmy łodzi o tej nazwie. Pewnie namalowały to jakieś nastolatki.

– Nie wydaje mi się – odpowiedział Vincent i spojrzał na Pedera. – Może wiesz, czy armia południowoafrykańska inspirowała się bitwą o Troję, kiedy wymyśliła nazwę dla swojego pojazdu?

Typowe. Nie powinien z taką pewnością siebie rozprawiać na temat swego rzekomego zainteresowania. W dokumencie nic nie mówili o bitwach starożytnej Grecji.

– O Troję? – spytał, żeby zyskać na czasie. – Gdzie zbudowali tę rzecz z drewna, w której ukryli swoich żołnierzy?

– Właśnie. Bowiem nazwa twojego pojazdu wojskowego, nazwa, którą ktoś wymalował dokładnie nad miejscem znalezienia zwłok Williama, to greckie słowo. *Hippo*.

Vincent odczekał parę sekund, dając również Minie czas na wypatrzenie częściowo startego słowa na betonie.

– *Hippo* znaczy koń – dodał.



**RUBEN SZEDŁ** przez podwórze. Plac zabaw, gdzie widziano Williama po raz ostatni, był pusty. W tym upale nikt się tam nie bawił. Ludzie albo uciekli nad jakąś wodę, albo siedzieli w domu przy włączonym wentylatorze.

– Ty chyba lepiej znosisz upał? – wyraził przypuszczenie Ruben, wycierając spocone czoło krótkim rękawem mundurowej koszuli.

– Dlaczego miałbym znosić go lepiej? – spytał idący przed nim Adam.

Przeszli przez podwórko do klatki, w której mieszkała sąsiadka Lovis.

– No bo... A zresztą.

Ruben musiał przyspieszyć kroku, żeby go dogonić. Adam albo udaje głupka, albo naprawdę jest głupi. Co jest dziwnego w jego pytaniu? Przecież czarni mieszkańcy mieli być przystosowani do silnego słońca i gorąca w Afryce, podczas gdy biali mieszkańcy Północy, jak Ruben, zostali przystosowani do długich i mroźnych zim. Nie widział w tym rozumowaniu nic rasistowskiego, to czysta biologia.

W ich stronę szła kobieta około trzydziestki, prowadziła wózek dziecięcy. Parasolka umieszczona po jednej stronie wózka osłaniała dziecko przed słońcem, ale kobieta wyglądała na bardzo zgrzaną. Zatrzymała się na wprost nich, Adam musiał również stanąć, żeby nie wejść prosto na wózek.

– Muszę panom coś powiedzieć – odezwała się.

– Oczywiście – odparł Ruben, podchodząc. – O co chodzi?

– Maximilian ma za rok pójść do przedszkola – powiedziała, wskazując dziecko. – Przedtem cieszyliśmy się na tę chwilę, ale teraz już nie.

Uniosła palec wskazujący, jakby chciała przebić nim Rubena.

– Porywają dzieci z przedszkoli, a wy nic nie robicie – powiedziała, naciskając palcem odznakę policyjną na jego koszuli. – Nie wstyd wam? Na pana miejscu zmieniałabym pracę. Albo lepiej, rzuciłabym się pod pociąg. Ted Hansson ma rację. Maximilian nie może wychowywać się w świecie, gdzie na naszych oczach imigranci uprowadzają nasze dzieci, a policja nic nie robi.

Spojrzała na Adama przez zmrużone oczy.

– Chociaż powód jest dość oczywisty – dodała.

– Nic nie wskazuje na to, żeby w te przestępstwa byli zamieszani imigranci – odpowiedział Ruben z lodowatym uśmiechem.

– Może pan to sobie wmawiać – syknęła kobieta i ruszyła przed siebie. – Jak Ted wygra wybory, to ani pan, ani ten czarnuch nie będziecie mieli tej pracy! –

zawołała jeszcze przez ramię.

Ruben zerknął na Adama, który patrzył za nią do chwili, gdy skręciła za róg po przeciwnej stronie placu zabaw.

– Klatka B, prawda? – odezwał się Adam, po czym odwrócił się w stronę wejścia do najbliższego budynku.

Ruben przytaknął.

– Klatka B, siódme piętro. Słuchaj...

– Zapomnij o tym – powiedział Adam. – Nie pierwszy raz i na pewno nie ostatni.

– Przyzwyczyłeś się?

– A ty byś się przyzwyczyił?

Ruben pokręcił głową. Po wejściu do klatki schodowej poczuli bijący ze środka żar. Na przywitanie zobaczyli kartkę, że winda jest zepsuta.

– O kurde – jęknął Ruben, zadzierając głowę do góry.

Siedem pięter. Siedem cholernych pięter schodami.

– Będzie okazja przetestować kondycję – powiedział niepotrzebnie dziarsko Adam, przesadzając stopnie.

Ruben poczuł, że na ile to możliwe, lubi go jeszcze mniej niż dotąd. Po pokonaniu siedmiu pięter był bliski zawału. Cały mokry od potu, sapał jak popsuty miech. Jednak ku swemu zadowoleniu stwierdził, że Adam jest równie spocony i ma lekko zakłopotaną minę. Nieduże zwycięstwo, ale jednak. Zawsze to zwycięstwo.

Zadzwonili do drzwi, po chwili usłyszeli człapiące kroki. Otworzyła malutka zasuszona pani w nieokreślonym wieku i spojrzała spod łańcucha na drzwiach.

– Słucham? Niczego nie kupuję i nie interesuje mnie Jezus, jego łaska i zbawienie.

– Jesteśmy z policji. – Adam podsunął jej swoją legitymację.

Ruben zastanawiał się, czy też pokazać swoją, ale nie miał siły. Po tym spacerze pod górę nie słuchały go ani ręce, ani nogi.

– Policja. Aha, dobrze. Proszę wejść.

Zamknęła drzwi, żeby zdjąć łańcuch, i otworzyła je ponownie, wpuszczając ich do przedpokoju. Ruben poczuł ukłucie w sercu, bo pachniało zupełnie jak u babci. Gdzieś tykał zegar, który brzmiał tak samo jak ten, który słyszał przez całe swoje dzieciństwo. Odgłos, który mu komunikował, że jest bezpieczny.

– Napijecie się kawy?

Pani, z ich papierów wynikało, że nazywa się Viola Berg, poszła powoli przodem w stronę kuchni. Tykanie rozbrzmiewało coraz głośniej, jak się okazało pochodziło ze stojącego w kącie pięknego szafkowego zegara Mora <sup>17</sup>.

– Pani jest z Dalarny? – spytał Ruben. – Moja babcia jest z Älvdalen.

– Älvdalen? No to urodziłyśmy się po sąsiedzku. Ale to było wiele lat temu. Miałam dziewiętnaście, kiedy się przeprowadziłam do Sztokholmu. Chociaż wam, takim ładnym chłopakom, nie powiem, w którym to było roku.

Mrugnęła do nich i odwróciła się do maszynki, w której już bulgotała kawa.

– Pewnie przyszliście w sprawie tego chłopczyka? – spytała, nalewając kawę do trzech filiżanek w błękitne kwiatki z fabryki Rörstrand.

Potem poczłapała do szafki w drugim rogu kuchni i na stole wylądowały również kruszaki. Ruben zawahał się. Powinien uważać na swoje zdrowie, skoro został ojcem i tak dalej. Wolałby nie dostać udaru po kolejnym wejściu na siódme piętro. Jednak kiedy Adam, nie żałując sobie, sięgnął po ciasteczko, Ruben zrobił to samo. Jeśli Adam może mieć kaloryfer na brzuchu i pozwalać sobie na ciasteczka, to on też może.

– Chłopczyk, no właśnie, zgadza się – odezwał się Adam. – Wiemy, że pani już to opowiadała, nawet nie raz. W dodatku upłynęło sporo czasu. Jednak poprosimy, żeby pani powtórzyła, co pani widziała tamtego dnia, gdy zniknął William.

– Więc już nie wierzycie, że to ojciec? – spytała Viola, mrużąc oczy.

Włożyła kostkę cukru między zęby i z widoczną przyjemnością wypięła kilka łyków kawy przez tę kostkę. Dokładnie tak samo, jak robiła babcia Rubena, który aż się wzruszył.

– Nie możemy się wypowiadać na tematy odnoszące się do dochodzenia – odparł Adam, sięgając po jeszcze jedno ciasteczko.

Ruben też wziął.

– Nie, no oczywiście – powiedziała Viola. – Ale wiem, że Lovis cały czas mówiła, że ten jej typek tego nie zrobił. Cóż, nie wypowiadam się. Wszyscy tutejsi mieszkańcy widzieli, jak traktował ją i dziecko. Wiadomo, tutaj ściany nie są zbyt grube. Ale wiem, co widziałam, chociaż nikt z waszych nie chciał mnie słuchać.

– A więc tamtego ranka... – odezwał się Adam, żeby pomóc jej ruszyć z miejsca.

– Tak, no właśnie. Był wczesny ranek, zobaczyłam Williama samego przy huśtawkach. Nie było w tym nic dziwnego, w weekendy zawsze wcześniej wychodził na plac zabaw, zupełnie sam. Domyślałam się, że przynajmniej miał spokój.

– Może pani powiedzieć mniej więcej, która to była godzina?

– Wiem dokładnie, która była godzina, i mówiłam wam to za każdym razem. Siedziałam na balkonie i miałam zamiar rozwiązywać melodyjną krzyżówkę<sup>18</sup>. Zwykle startują około dziesiątej, czasem jedenastej, ale tamtego ranka zaczęło się, ledwo zdążyłam włączyć radio. Było dokładnie wpół do dziesiątej. I wtedy zobaczyłam go, jak podszedł do Williama i zaczął z nim rozmawiać.

– Czyli mężczyzna. Był sam?

– Tak, zupełnie sam. Młody i przystojny, schludny. Nie było tam nic, co by raziło. Marynarka w jakimś ciemnym kolorze. Krótkie włosy. Blondyn. Był za daleko, żebym widziała twarz. Wyglądał jak... czy ja wiem, jak każdy.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy – odezwał się Ruben. – Ale naprawdę widzi pani stąd, co się dzieje na placu zabaw?

– Cudak z pana – zaśmiała się Viola. – Dziś mój wzrok nie jest już taki, żeby się nim chwalić, dlatego mam lornetkę. Przez nią mogłabym nawet zaglądać do mieszkań po drugiej stronie placu zabaw.

Ruben roześmiał się i zerknął na Adama.

– Jak długo ten mężczyzna rozmawiał z Williamem? – spytał.

Polizał palec i zebrał nim okruszki, które spadły na kraciatą ceratę.

– Niezbyt długo. Może minutę, dwie. Nie zastanawiałam się nad tym za wiele. Zaczął się program, a ten człowiek, cóż, nie wydawał się... niebezpieczny. Miał przyjemny uśmiech, to widziałam aż tutaj.

– A potem?

Adam pił kawę, obserwując Violę. Krucha filiżanka wyglądała w jego dużej dłoni nie na miejscu.

– Potem wziął Williama za rękę i sobie poszli. No tak, myślałam, że wszystko w porządku. Że to jakiś krewniak albo znajomy Lovis, który postanowił jej pomóc. A Bóg jeden wie, że czego jak czego, ale ta rodzina naprawdę potrzebowała kogoś, kto by pomógł. Nieźle, gdyby to był jakiś silny facet. Może na to liczyłam. Że Lovis wreszcie poszła po rozum do głowy.

– I więcej ich pani nie widziała? To znaczy Williama z tym mężczyzną?

– Nie, już ich nie widziałam. Już wtedy próbowałam przekonać policjantów, że to nie był ojciec chłopca. Tylko nie chcieli słuchać.

Pokręciła głową. Podsunęła talerzyk z ciasteczkami i częstowała, ale Ruben poklepał się po brzuchu.

– Nie, dziękuję – powiedział. – Wystarczy tego dobrego.

– Ja już też dziękuję – rzekł Adam, wstając. – Pożegnamy się i pójdziemy sobie.

– Było mi bardzo miło – odpowiedziała starsza pani i zaczęła sprzątać naczynia. – Niewiele mam takich odwiedzin. Z czasem tak się robi.

Zamknęła za nimi drzwi, zza których Ruben wciąż słyszał tykanie zegara. Myślał nad ostatnimi słowami Violi. Wracając do domu, powinien chyba złożyć babci dodatkową wizytę.

# TYDZIEŃ TRZECI

**POCZĄTEK NOWEGO TYGODNIA.** Czwartek i piątek poświęcili na porządkowanie nowych informacji zebranych przez członków zespołu, chociaż po prawdzie nie było tego wiele. Mina, korzystając z okazji, spróbowała odpocząć trochę podczas weekendu. Wiedziała, że tego potrzebuje. Jednak przed końcem weekendu prawie chodziła po ścianach. Musiała być w ruchu, pracować, żeby nie utkwic myślami gdzie indziej. A więc w poniedziałkowy poranek była bardzo zadowolona, że jest u Mildy Hjort w Zakładzie Medycyny Sądowej, mimo że musiała czekać, aż Milda skończy to, co robi.

Nachyliła się zaciekawiona, żeby popatrzeć. Asystent Loke podał instrument Mildzie, która skupiła się na zwłokach leżących na stole sekcyjnym. Należały do kobiety w wieku około trzydziestu pięciu lat. Drobnej, jasnowłosej, z wyraźnymi śladami po zagojonych uszkodzeniach na ciele. Loke trzymał w ręku skalpel, którym powoli i zdecydowanie zrobił krechę, nacinając tułów od szyi aż po kość łonową. Następnie wziął nożyce żebrowe, żeby rozciąć klatkę piersiową. Mina zupełnie to nie raziło. Wiedziała, dlaczego Milda zaprosiła ją tu zamiast do swojego biura. Niewiele było miejsc, w których Mina czuła się równie komfortowo jak w tej sterylnej sali sekcyjnej.

– Na co umarła? – spytała Mina. – Wiesz już?

Milda poruszyła głową, co mogło znaczyć zarówno tak, jak i nie. Klatka piersiowa została już całkiem otwarta, odsłaniając organy wewnętrzne.

– Kiedy ją przyjęli do szpitala, jej mąż twierdził, że spadła ze schodów – odparła Milda. – Umarła kilka godzin później, a wiele rzeczy sugerowało, że przedstawiony przez niego opis zdarzeń nie był zgodny z rzeczywistością. Między innymi mocne zasinienia na szyi. Teraz chciałabym wydobyc wewnętrzne organy szyi.

Loke cofnął się o krok, robiąc jej miejsce przy stole sekcyjnym. Mina wiedziała, że to, co nastąpi, należy właściwie do zadań asystenta, ale domyśliła

się, że jest to czynność, którą Milda chce przeprowadzić sama.

– Tylko nie rozumiem, dlaczego w takim razie grzebiesz w klatce piersiowej? – spytała. – Skoro chcesz zajrzeć do szyi.

Obserwowanie Mildy w akcji było jak przyglądanie się pracy artystki. Artystki, która gdy jest sama – jak wiedziała Mina – podśpiewuje do przebojów.

– Zaraz zobaczysz – powiedziała Milda, majstrując nożem. – Uwalniam teraz mięśnie i więzadła przytrzymujące organy.

Przesunęła teraz dłonie do głowy martwej kobiety.

– To najtrudniejszy etap.

Z największą ostrożnością wykonywała drobne nacięcia nożem.

– Oddzielam teraz skórę od mięśni szyi. Między innymi. Starając się oczywiście nie przeciąć skóry.

– Jak możesz widzieć, co robisz? – spytała Mina, zafascynowana.

– Nie widzę. Kieruję się doświadczeniem i wyczuciem.

Milda wyprostowała się, odłożyła nóż i włożyła dłoń pod zuchwę kobiety. Pociągnęła delikatnie, po czym język i gardziel znalazły się w klatce piersiowej, skąd zostały wyjęte w pakiecie z pozostałymi organami.

– *Et voilà!*

Milda ściągnęła rękawiczki, czemu towarzyszyło pełne triumfu plaśnięcie, i wskazała na komplet organów ułożonych porządnie obok zwłok na lśniącej metalowej powierzchni stołu.

– Będę kontynuować za pięć minut – powiedziała do Lokego. – Jak chcesz, to idź rozprostuj nogi. Mam coś do omówienia z Miną.

Asystent wymknął się dyskretnie z pomieszczenia. Milda, patrząc za nim, uśmiechnęła się, a potem pokręciła głową.

– No więc ja go nie rozumiem – powiedziała. – Znaczący Lokego. Czy wiesz, że on jest niezależny finansowo? Chociaż jest taki młody. Chyba odziedziczył jakieś pieniądze czy coś w tym rodzaju. Gdyby chciał, mógłby całymi dniami aż do końca życia grać na konsoli. A jednak przychodzi rano jako pierwszy i wychodzi wieczorem jako ostatni. I jest niesamowicie dobry w tym, co robi. Ja mówię, że to powołanie. Nie jestem pewna, czy na jego miejscu robiłabym to samo.

– A mnie się wydaje, że gdybyś nie pracowała, to śniłyby ci się sekcje – powiedziała z uśmiechem Mina. – Jesteś najlepsza, wiesz o tym.

– Dzięki – odparła Milda i wskazując skinieniem na wyjęte organy, spytała: – Co widzisz?

Mina przyjrzała się uważnie.

– Stłuczenia?

– Masz oko. Owszem, wyraźne stłuczenia, i nie tylko na krtani, ale również na kości gnykowej i chrząstkach. Sumując to z wcześniejszymi urazami, mogę

skonstatować, że jej męża czekają kłopoty.

– Fuj. Ale to prowadzi nas do Williama. Jak wiesz, jego ojciec siedzi za morderstwo.

– To zrozumiałe, zważywszy na to, co wtedy o nim wiedzieliśmy – odparła Milda, nalewając sobie wody do papierowego kubka. – Możemy tylko opierać się na faktach znanych nam w danym momencie.

– Nikt nikogo nie oskarża. Dokładnie tak jak mówisz, teraz mamy informacje, które stawiają śmierć tego chłopczyka w innym świetle. I dlatego Ruben z Adamem mają dziś przesłuchać ponownie jego ojca. Zdążyłaś spojrzeć jeszcze raz na protokół z sekcji zwłok?

Milda napiła się wody, po czym przytaknęła.

– Przejrzałam go, można by powiedzieć, że przeczesałam gęstym grzebieniem. I dostrzegam pewne podobieństwa między śmiercią Williama, Lilly i Ossiana.

– Jakie? – spytała Mina.

– William ma rzecz jasna dużo więcej zewnętrznych urazów od tamtych dwojga. Nie ma w tym nic dziwnego, że jako ofiara przewlekłej przemocy ma ślady na płucach od wgniecenia żeber. Jednak staje się to ciekawe w świetle faktu, że takie same ślady mają na płucach Lilly i Ossian. Niestety wciąż nie potrafię tego powiązać z jakimś prawdopodobnym działaniem.

– Czekaj, co ty mówisz? Ossian też miał ślady na płucach? Czemu wcześniej nie mówiłaś?

Milda spojrzała zdziwiona.

– Przecież to jest w protokóle z sekcji.

Mina zakłęła w duchu. Był to bardzo istotny szczegół, który im umknął. Jej umknął. Bo nie przeczytała protokołu. Osoba z ich zespołu, która się nim zajmowała, powinna dostać burę. Ale, ale. Ta informacja i tak była bezcenna, choćby przyszła z opóźnieniem.

– Więc mówisz, że te trzy przypadki definitywnie są ze sobą powiązane? – dopytywała, nawet nie próbując ukryć swego przejęcia.

– Gdyby chodziło jedynie o te wewnętrzne ślady, nie odważyłabym się wyciągnąć takiego wniosku – odparła Milda. – Jak powiedziałam, William miałby je i tak. Jednak...

Umilkła, patrząc na Minę.

– Chodzi o włókna – ciągnęła. – Miał w gardle włókna. Zupełnie tak samo jak Lilly i Ossian. Niby nie ma w tym nic dziwnego, nie masz pojęcia, ile mikroskopijnych fragmencików różnych rzeczy trafia do naszych gardeł w ciągu całego życia. Jednak oni mieli dokładnie takie same włókienka wełny. Ten fakt w połączeniu z dziwnymi zasinieniami na płucach...

Nie był to stuprocentowy związek. Jeszcze nie. Zawsze trudno jest ustalić, które szczegóły są rzeczywiście istotne, a które zupełnie przypadkowe. A jednak Mina czuła to całym ciałem. Milda znalazła właśnie to, czego szukali.

Nareszcie mieli jakiś wzorzec.

– Trzeba zbadać, co to za włókna – powiedziała, starając się ukryć podekscytowanie.

– Boję się, że to leży już poza moimi możliwościami – odparła Milda. – Ale w NFC powinni ci pomóc.

Wrócił Loke, towarzyszył mu słaby zapach dymu papierosowego.

– *Undo my sad, undo what hurts so bad* – zanucił, myjąc ręce.

Mina zdała sobie sprawę, że to piosenka Sanny Nielsen.

– Tak jest, kiedy się tutaj pracuje – powiedział przeprasząco, zrobiło mu się głupio, że Mina go słyszała.

Nastąpił koniec przerwy.

– Jeszcze jedno i już idę – powiedziała Mina. – Czy masz coś jeszcze w sprawie Williama?

– Tylko tyle, że niektórzy ludzie nie powinni móc chodzić wolno – stwierdziła sucho Milda. – Jörgen Carlsson niechby zgnął tam, gdzie siedzi.

Włożyła parę nowych rękawiczek z pudełka znajdującego się na blacie.

– Dziękuję, pracujcie sobie dalej – powiedziała Mina i wychodząc, skinęła asystentowi Mildy.

W chwili, gdy drzwi się za nią zamknęły, w jej kieszeni zabrzączał telefon. Wyjęła go i spojrzała na wyświetlacz. Był to ponownie ojciec Nathalie. Nadal nie mogła polegać na GPS-ie, ale skoro dostała od niego esemesa, przypuszczała, że Nathalie nie wróciła jeszcze do domu. Pewnie to tylko kwestia sekund, jak ojciec poleci po nią helikopterem.



**RUBEN ZDJĄŁ ZEGAREK** i odłożył do szarego pudła razem z telefonem. Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął klucze i również położył. A potem zdusił ręką ziewnięcie. Poniedziałki zawsze wymagały dłuższego rozbiegu od pozostałych dni. Choć czekał cały weekend, żeby już mieć to za sobą.

– Tak, Magnus mówił, że zjawicie się zaraz po weekendzie – powiedział strażnik, który dostał polecenie, żeby przeprowadzić ich przez służbę.

– Jaki Magnus?

– Svensson. Tutejszy inspektor kryminalny. Wasza przełożona Julia rozmawiała z nim w piątek. Broń służbowa? Jeśli jest, to proszę zostawić w szafce.

Wskazał wiszącą szafkę z wielką kłódką.

Ruben pokręcił przecząco głową. Żadnej broni.

Zastanawiali się, czy pojechać do Hall w mundurach, ale doszli do wniosku, że mniej formalny cywilny strój będzie odpowiedniejszy, by skłonić Jörgena Carlssona, żeby się przed nimi otworzył. Jak go zapamiętał Ruben, policja nieszczerze mu imponowała, co o tyle nie dziwiło, że prawdopodobnie został niewinnie skazany. Nie zmieniało to faktu, że był z niego prawdziwy łobuz, ale nigdy nie jest dobrze, gdy postępowanie sądowe skręci w złą stronę.

Ruben z Adamem stali ze strażnikiem w małym pomieszczeniu służącym jako śluza. Znajdowały się tam szafki do przechowywania z wyraźnymi instrukcjami, co należy w nich zostawić. Hall było zakładem karnym o maksymalnym rygorze, co oznaczało, że niczego nie pozostawia się przypadkowi.

– Nie dostałem informacji o żadnym dodatkowym urządzeniu technicznym – powiedział strażnik. – Jeśli któryś z was coś ma, będę to musiał zatwierdzić.

– Żadnej broni, żadnego urządzenia technicznego – powiedział Adam. – Będziemy z nim tylko rozmawiać.

Strażnik kiwnął głową i kazał im podejść do bramki w końcu pomieszczenia. Ruben ostatnio przechodził przez taką, kiedy miał lecieć do Palmy na Majorce.

– Przechodźcie pojedynczo – poinstruowano ich. – Carlsson czeka w drugim pokoju odwiedzin na prawo.

– Najbardziej ponura wycieczka w tym roku – mruknął Adam, przechodząc przez wykrywacz metali.

Ruben przeszedł za nim i znaleźli się w korytarzu.

– Dlaczego Jörgen odsiaduje karę właśnie tutaj? – spytał, dogoniwszy Adama.  
– Ostatnio, jak sprawdzałem, to Hall było przeznaczone dla osadzonych mających

skłonność do ucieczek albo też istniało ryzyko, że zostaną uwolnieni. Członkowie gangów i przestępcy zorganizowani. Jörgen Carlsson jest najmniej zorganizowaną osobą, jaką znam.

Adam wzruszył ramionami.

– Już z aresztu próbował ucieczki. A zważywszy na to, za co został skazany, raczej nikt nie chciał mu dać drugiej szansy.

Doszli na miejsce. Jörgen Carlsson czekał na nich, siedząc przy stole. Miał półdługie włosy zaczesane do góry i najcieńszy wąsik, jaki Ruben kiedykolwiek widział.

Chude ramiona, wręcz cienkie, pokryte tatuażami. Ruben nie był w stanie zrozumieć, jak ktoś o tak wątłej budowie mógł terroryzować swoją rodzinę do tego stopnia. Jednak przemoc wynika nie tylko z mięśni.

– O co chodzi? – odezwał się Jörgen, krzyżując ramiona.

– Nazywam się Adam Blom, a to jest Ruben Höök – powiedział Adam, siadając. – Jak wiesz, jesteśmy z policji. Chcemy porozmawiać z tobą o zaginięciu twojego synka.

Jörgen wyprostował się i położył ręce na stole.

– Zaginięciu? – powtórzył z krzywym uśmiechem. – Ciekawe słowo, tym bardziej że według was zabiłem chłopaka. Nie żebym narzekał, jedzenie dają tu lepsze, niż ta durna Lovis ugotowała kiedykolwiek. Pierdolić się umiała, rzecz jasna. Ale na dobitkę był z tego dzieciak.

Jörgen był jeszcze bardziej odrażający, niż go zapamiętał Ruben. Wyobraził sobie, że wstaje i przywala mu piąchą w roześmianą mordę. Odetchnął głęboko, żeby się opanować. Jörgen prawdopodobnie dobrze wiedział, co robi. Szukał u nich jakichś miękkich miejsc, żeby nacisnąć. *Ale na dobitkę był z tego dzieciak.* Ruben nie zamierzał zdradzić, że właśnie został trafiony.

– Dowody przeciwko tobie się nie utrzymały – odparł Adam. – W związku z tym rozpatrujemy inne wyjaśnienia. Ale potrzebna nam twoja pomoc.

Najwyraźniej teraz Adam szukał jakiegoś miękkiego miejsca i trafił. Jörgen wychylił się do przodu, w jego oczach pojawił się błysk.

– Okej, więc jeśli wam pomogę, to zakładam, że moja kara zostanie cofnięta? Uniknę tego gówna?

– Przed chwilą mówiłeś, zdaje się, że ci tu dobrze – powiedział zimno Ruben.

– Mówiłem, że jedzenie jest w porządku, ale wolałbym chodzić srać bez towarzystwa do podcierania, dobra?

Adam kiwnął głową i również się nachylił. Odezwał się teraz tonem spiskowca, jakby dzielili z Jörgenem jakąś tajemnicę.

– Jeśli nam pomożesz, twój wyrok za morderstwo zostanie uchylony – powiedział. – Nie mogę ci niczego obiecać, ale prawdopodobnie nie tylko

będziesz mógł liczyć na wyjście na wolność, ale jeszcze dostaniesz niezłe odszkodowanie.

Ruben nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ściszony głos sprawia, że słuchacz się angażuje. Nie można powiedzieć, żeby Adam kłamał. Nie wprost. Bo nawet gdyby Jörgen rzeczywiście nie był już uznawany za winnego morderstwa, to przecież nadal był skazany za wielokrotne stosowanie przemocy wobec Williama i Lovis, co oznaczało jeszcze wiele lat towarzystwa w ubikacji. Ruben liczył na to, że wiedza Jörgena z dziedziny prawa pochodzi głównie z seriali telewizyjnych.

– Dlatego pomóż nam, żebyś został uznany za niewinnie skazanego – podsumował Adam, odchylając się na krześle. – Powiedz, kto zabrał Williama z placu zabaw, skoro to nie ty.

Jörgen rozłożył ręce i tak jak Adam odchylił się do tyłu.

– Nie mam pojęcia – odparł.

– Musisz się bardziej postarać – odezwał się Ruben. – Według nas jakiś twój kumpel mógł zabrać Williama na Beckholmen, gdzie go razem zabiliście. Myślałem, że jesteś cwańszy.

Na górnej wardze Jörgena pojawiła się kropla potu. Przesunął palcem wskazującym i kciukiem po wąziutkim wąsie. Klimatyzacja nie działała tu lepiej niż w komendzie. Przynajmniej tyle sprawiedliwości na tym świecie.

– Nigdy nie lałem chłopaka poza domem, okej? – powiedział Jörgen. – Przecież głupi nie jestem. Ale nie było mnie, kiedy William zniknął, i nie wiem, kto go zabrał. Mówiłem to podczas wszystkich przesłuchań.

Ruben chwycił mocno blat stołu. Jak ten skurwiel może na zimno mówić, że bił kogoś, kto najprawdopodobniej chciał tylko kochać swego tatę? Kogoś tak małego? I w dodatku uważał, że jest taki sprytny, bo przemoc stosował tylko w czterech ścianach mieszkania? Strasznie go korciła ta piącha.

– To prawda, mówiłeś, że się... „kręciłeś po rynku” – powiedział Adam, zerkając na Rubena. – Niestety, nikt tego nie potwierdził, bobyś tu nie siedział.

Jörgen strzelał oczami na boki i odgarniał dłońmi włosy do tyłu.

– Okej – powiedział cicho. – Okej, wygraliście. Nie chciałem mówić ze względu na nią, ale pół roku tutaj wystarczy, kurde. Byłem u Sussi. Byłem u niej w domu i pieprzyliśmy się jak króliki, dobra? Tylko nie chciałem mówić, bo Sussi jest kumpelą Lovis. Ee, kurde, kumpela to mało. Ona jest najlepszą przyjaciółką Lovis. A Sussi nigdy by nie powiedziała policji, bo wie, co by się wtedy działo. Tak czy inaczej, jak wróciłem od niej do domu, hehe, i aż śmierdziałem od tego pierdolenia, to Williama już nie było.

Ruben westchnął. Nawet siedząc w więzieniu, Jörgen był przekonany, że ma innych w swojej władzy. Adam wyjął notes i poprosił o adres Sussi, ale Ruben właściwie nie słuchał, tylko wpatrywał się w cienki i teraz już bardzo spocony

wąsik Jörgena. Najchętniej by go wyszarpał. Adam powiedział coś jeszcze i wstał, wtedy Ruben również się podniósł. Usłyszał, jak Adam, machając notesem, powiedział:

– Chyba mamy to, co nam potrzeba.

Ruben wiedział, że zeznanie Sussi nie wniesie nic istotnego. Jörgen mówił prawdę, że nie ma pojęcia, kto zabrał jego synka.

– Odezwiemy się jak najszybciej.

Ruben odwrócił się, żeby wyjść. Im prędzej, tym lepiej.

– Powinniście wiedzieć jedno – odezwał się nagle Jörgen za ich plecami. – Kochałem Williama, tak? Ten mały był dla mnie wszystkim.

Ruben zatrzymał się z ręką na klamce. Już nie wytrzymał. Czuł, jak w środku mu coś eksploduje.

Przed oczami stanęły mu zdjęcia ciała Williama.

Wszędzie sińce, ale pod ubraniem, żeby nie było widać.

A potem żyłaste wytatuowane ręce Jörgena uniesione do góry, grożące laniem.

*Ten mały był dla mnie wszystkim.*

Twarz Lovis wykrzywiona ze strachu, może osłaniała chłopca, ale raczej nie.

I nagle: Astrid. Jego Astrid.

Tylko kilka lat starsza od Williama.

*Chciałbym chodzić srać bez towarzystwa do podcierania, dobra?*

William.

Bity.

Astrid.

Ruben odwrócił się, doskoczył do Jörgena i złapał go za włosy.

– Aua! – wrzasnął Jörgen. – Kurwa, co ty ro...

Urwał, gdy Ruben walnął jego twarzą o blat stołu. Jörgen wrzeszczał jak zarzynany prosiak, co według Rubena było bardzo w porządku. Wytarł zatłuszczone ręce o spodnie i wrócił do Adama, który przyglądał mu się ze zdumieniem.

Idąc korytarzem, Adam nic nie powiedział. Przeszli przez bramkę, gdzie zwrócono im rzeczy. Adam wciąż milczał. Ruben odebrał klucze i komórkę.

– A, właśnie – odezwał się do strażnika. – Zakładam, że pokoje odwiedzin są monitorowane. Jak będziecie oglądać film, to zauważycie, że Jörgen Carlsson potknął się i rozbił sobie czoło, kiedy już wychodziliśmy. Jeśli nagranie jest z dźwiękiem, to usłyszycie, jak to się stało. Może potrzebować pielęgniarki, ale to chyba nie jest pilne.

## – DOSTALIŚMY CYNK!

Mina właśnie wracała ze spotkania z Mildą i o mało nie wylała na siebie swego cappuccino, kiedy Ruben wybiegł z gmachu komendy. Uratowała kawę, i całe szczęście, zważywszy na to, jak daleko musiała pójść, żeby kupić ją od jedynej zaufanej osoby, która z kubkami na wynos obchodziła się tak jak należy. Wypiła łyk.

W kafejce za rogiem, gdzie Julia postarała się o rabat dla całego zespołu, kawa była w gruncie rzeczy lepsza, ale co z tego, skoro Mina wzdrygała się przy każdym dotknięciu kubka i prawie nie była w stanie z niego pić. Natomiast w Espresso House pracował Wille, który wiedział o jej specjalnych wymaganiach i za każdym razem otwierał przy niej nowe opakowanie kubków. Jeśli go nie było na miejscu, zawracała w drzwiach, nie kupując. Nie wolno ryzykować z kubkami na wynos. Dziś Wille był na miejscu, więc niosła gorące cappuccino, którego omal nie rozlała na ubranie.

– Czego tak krzyczysz? – spytała, idąc za Rubenem. – Nie miałeś przypadkiem jechać z Adamem do Hall?

Przed wejściem do komendy stał radiowóz, a w ręce Rubena zobaczyła kluczyki.

– Przed chwilą stamtąd wróciliśmy – odparł, idąc wielkimi krokami do drzwi po stronie kierowcy. – Adam pisze teraz raport. Ale to jest ważniejsze. Opowiem ci w samochodzie. Wskakuj.

Zawahała się przed otwarciem drzwi po stronie pasażera. Tylko we własnym samochodzie mogła pozwolić sobie na luksus plastikowego pokrowca, więc takie sytuacje zawsze stanowiły dla niej pewną próbę. Była to jednak cena, którą musiała zapłacić, żeby prowadzić normalne życie. W każdym razie prawie normalne. Gdyby poszła na całego z tą fobią, nie mogłaby pracować. A pracę kochała.

Kochała również to, że dostaje pensję i stać ją na czynsz, dzięki czemu nie mieszka pod mostem. Wzdrygnęła się. Myśl, że naprawdę mogło być gorzej, sprawiła, że łatwiej jej się wsiadało do auta, zresztą dzięki Bogu było dość wysprzątane jak na radiowóz.

– Jak powiedziałem, dostaliśmy zawiadomienie – ciągnął Ruben, ruszając. – Jakiś gość znalazł dziecięce ubranka w toalecie restauracji na Sveavägen, która należy do Mauro Meyera.

– Dziecięce ubranka?

– Tak, w rozmiarze pasującym na Ossiana.

– Wydaje się to naciągane – stwierdziła i ostrożnie wypła łyk kawy. – Może jakiś gość przebierał dziecko, które – czy ja wiem – się oblało? Albo zsiusiało i dlatego ciuszki zostały?

Ruben pokręcił głową i trochę za ostro wziął zakręt. Mina po krótkim zawahaniu złapała się uchwytu nad drzwiami i zmusiła do powolnego, głębokiego oddychania.

– Wysłaliśmy zdjęcie ubranek rodzicom Ossiana – powiedział. – Rozpoznali je. Zresztą niektóre są oznaczone jego imieniem.

Mina zacisnęła zęby. Nie mogła sobie jakoś poskładać tej informacji z obrazem ojca Lilly. Mauro, którego poznała, był kochającym mężem wrzucającym kostki lodu do kąpeli nóg swojej ciężarnej żony i czule masującym jej ramiona. Choć w ciągu lat służby widziała dostatecznie dużo, by wiedzieć, że po żadnym człowieku nie widać, co się u niego dzieje w środku.

Przypominała sobie tę prawdę za każdym razem, kiedy patrzyła w lustro.

– Nie rozumiem, jak to mogą być ubranka Ossiana, przecież był ubrany, kiedy znaleźliśmy jego ciało.

– No tak, ty nie masz dzieci, ale w tym wieku często daje im się do przedszkola jakieś ubranka na zmianę – odparł przemyślając Ruben. – Rodzice Ossiana nie pamiętają, co miał ze sobą na zmianę w dniu zaginięcia, ale mówią, że to mogły być te ubranka. Poza tym zostały oznaczone, żeby się dzieciom nie mieszały.

Mina aż się zagapiła na niego. Od kiedy to Ruben jest ekspertem od dzieci i zwyczajów panujących w przedszkolu? Ugryzła się w język, by nie odpowiedzieć, że ma w tej sprawie więcej doświadczenia, niż on będzie miał kiedykolwiek.

Zajechali przed restaurację i zaparkowali bezpośrednio za innym radiowozem. Restauracja została opróżniona z gości i odgrodzona taśmą policyjną, żeby ekipa mogła pracować spokojnie. Włoska flaga na fasadzie anonsowała kulinarny kierunek przyjęty przez tutejszą kuchnię, a w razie jakichś wątpliwości, rozproszyłby je zaraz za progiem zapach pomidorów i bazylii. Mina musiała przełknąć ślinę. Znała coroczne dane dotyczące liczby sztokholmskich restauracji ocenionych negatywnie przez inspekcję sanitarną. Było ich nazbyt wiele, żeby dobrze się czuła w lokalach, gdzie nie miała pewności co do ich standardów higienicznych. Na szczęście nie przyjechała tu, żeby zjeść.

– Tutaj – powiedziała funkcjonariuszka, która przywitała ich przy wejściu.

Poszli za nią do znajdujących się w głębi dwojga drzwi oznaczonych symbolami płci. Znaleźli je w toalecie damskiej. Zajrzeli ostrożnie bez

wchodzenia. Technicy zdejmowali odciski palców, Mina zauważyła, że porcelanowa pokrywka rezerwuaru była zdjęta.

– To tam...? – spytała, wskazując sedes.

– Z tego, co zrozumiałem, klientka znalazła ubranka w foliowej torebce włożonej do rezerwuaru.

Minie zrobiło się trochę niedobrze.

– Niby dlaczego klientka restauracji miałaby podnosić pokrywę rezerwuaru? Żeby ukryć dragi?

Chciało jej się wymiotować na samą myśl o dotykaniu albo, co gorsza, grzebaniu w czymś w restauracyjnej toalecie. Ruben pokręcił głową.

– Nie, nie tym razem – powiedział. – Babcia po siedemdziesiątce poszła z wnukiem do toalety, zobaczyła, że pokrywka leży krzywo, i chciała ją poprawić. Wtedy odkryła, że w wodzie coś leży. W dodatku czytała w gazetach o Maurze i morderstwie Lilly, również o Ossianie, więc od razu zadzwoniła na policję.

– Prawdziwa panna Marple – zauważyła Mina, unosząc jedną brew.

– Nie, wydaje mi się, że to była Szwedka.

– Panna Marple jest postacią z... E, nieważne.

Domyślała się, że Ruben nie znał nawet nazwiska autorki.

– A co na to Mauro? – spytała i dała Rubenowi znak, żeby wrócić do części restauracyjnej.

– Pracownicy mówią, że godzinę temu pojechał z żoną na porodówkę do SÖS <sup>19</sup>. Możemy posłać po niego radiowóz.

– Sądzę, że lepiej się z tym wstrzymać – powiedziała Mina. – Skoro jest z żoną na porodówce, to raczej nie będzie od razu stamtąd uciekać.

Podeszła do młodej dziewczyny, która na bluzce miała logo restauracji. Siedziała przy stoliku i patrzyła wielkimi oczami na to, co się dzieje.

– Cześć. Nazywam się Mina Dabiri. Mogę usiąść?

Kątem oka widziała, jak Ruben podchodzi do dwóch innych osób z personelu, sterczących w kącie obok drzwi do kuchni.

– Jasne – odparła dziewczyna, wzruszając ramionami. – Co... o co chodzi?

Była ładna, ale miała taki lekko obrzmiały wygląd modny wśród młodego pokolenia. Jej wargi były zbyt pełne, żeby mogła czuć się z tym komfortowo, Minę ciekawiło, czy jest w stanie zamknąć usta, czy też musi ciągle mieć półotwarte, co nadawało jej twarzy wyraz lekkiego zdziwienia.

– Może zacznę od tego, że poproszę cię o imię i nazwisko.

– Paulina. Paulina Josefsson.

– Dziękuję. Niestety, nie mogę udzielać informacji, muszę raczej być tą, która zadaje pytania. W porządku?

– Jasne.

Znów wzruszyła ramionami.

– Kiedy twój szef był tu ostatnio? – spytała Mina.

– Mauro? Był rano. Zawsze przychodzi pierwszy. I chcę podkreślić, że jest cholernie dobrym szefem. Najlepszym, jakiego kiedykolwiek miałam. Strasznie miły.

– Wierzę – odparła Mina. – Kiedy wyszedł?

Już miała oprzeć łokcie na stole, ale w ostatniej chwili dostrzegła na nim okruchy i resztki masła. Paulina najwyraźniej nie zdążyła posprzątać po szczycie w godzinach lunchu.

– Mniej więcej godzinę temu. Zadzwoiła jego żona. Zaczęły jej się bóle, więc pojechał do domu. Albo na porodówkę. Nie wiem. Tak czy inaczej, pojechał.

– To wprawdzie wyświechtane pytanie, ale czy zauważyłaś coś dziwnego w związku z nim? Zachowywał się jak zwykle?

– No... zmienił się trochę po informacji o tym chłopczyku, który zaginął. Ale trudno się dziwić, mam na myśli Lilly. Przecież dopiero rok minął.

– A kiedy wyszło na jaw, że znaleziono tego chłopczyka martwego? Jak zareagował?

– Zdaje się, że wziął wtedy zwolnienie lekarskie, co mu się nigdy nie zdarza. Ale to zrozumiałe. Cholernie mi go szkoda po tej historii z Lilly. A jego byłej całkiem odbiło. Zjawia się regularnie, wchodzi do środka i zaczyna się wydzierać, a goście pytają, co się dzieje. Ona ma niedobrze w głowie. Całkiem, kurde, niedobrze.

Mina skinęła głową. Zgadzało się z obrazem Jenny, jaki przedstawili Julia z Pederem. Choć wiedziała, że to, iż ktoś pyskuje i wrzeszczy, nie zawsze znaczy, że się myli.

– Jak często sprzątane są toalety? – spytała Mina, nie będąc pewna, czy chce znać odpowiedź.

– Codziennie. Mauro ma sprzątaczkę, która przychodzi codziennie. On bardzo pilnuje takich rzeczy.

Codziennie. To nie musi nic znaczyć. Nawet najbardziej staranna sprzątaczką nie zaglądałaby pod pokrywkę rezerwuaru. Natomiast może mieć znaczenie przy badaniu odcisków palców, które teraz zdejmowali technicy kryminalistyki. Chociaż w publicznych miejscach odwiedzanych przez wielu ludzi jest to zazwyczaj koszmarnie zadanie.

Podszedł Ruben i kiwnął głową, że wychodzą.

– Rozmawiałem z Julią – powiedział. – Zgarniamy go.

– Kogo zgarniacie? – spytała Paulina i po raz pierwszy wyglądała na zaniepokojoną. – Chyba nie Maura?



– Jak mówiłam, niestety nie mogę nic powiedzieć – odparła Mina, wstając. – Ale dziękuję za pomoc.

Przed restauracją zebrała się grupka ciekawskich. Natura ludzka jest zawsze taka sama. Policjanci musieli w dodatku mierzyć się z mnóstwem nagrywających telefonów. Jedną twarz w tym tłumie rozpoznała. Jak, u diabła, zjawił się już reporter „Expressen”? Widziała, że Ruben też go zauważył. Pospieszyli do auta. Coś jej mówiło, że czeka ich wielkie zamieszanie. Że to, co jest teraz, to dopiero cisza przed burzą.

**VINCENT ZAPUKAŁ** do drzwi pokoju Benjaminą i wszedł. Jeszcze nie przestał się dziwić, że w piętnastometrowym pokoju panuje obecnie względny porządek. Syn siedział przy komputerze, studiując liczby.

– Nigdy nie sądziłem, że będziesz ślęczał nad notowaniami kursów giełdowych zamiast nad zasadami Warhammera – powiedział z uśmiechem Vincent. – Jak ty z tym nadążasz między wykładami?

– Muszę zamknąć kilka pozycji – odparł Benjamin, nie odrywając oczu od ekranu. – Możesz parę minut zaczekać?

Vincent przytaknął i się rozejrział. Łóżko było nieposłane, więc nie nadawało się jako alternatywne miejsce do siedzenia. Oparł się zatem o ścianę i czekał, aż Benjamin dokończy swój handel akcjami. W tym, że syn zainteresował się daytradingiem, nie było właściwie nic zaskakującego, ale Vincent był ciekaw, jak Benjamin znajduje na to czas, godząc to ze studiami prawniczymi. Uznał jednak, że Benjamin jest dorosły, więc sam podejmuje decyzje. Vincent mógł tylko ugryźć się w język i liczyć, że będzie dobrze.

– Chciałeś czegoś? – spytał Benjamin, wstając.

– Tak. Pamiętasz tę sprawę, do której zostałem wciągnięty prawie dwa lata temu. Pomagam teraz Minie... to znaczy im przy nowej sprawie. Byłem tam cały dzień i niedługo wracam.

Benjamin się zaśmiał.

– Co jest, masz więcej sióstr, czy jak? Twoja rodzina jest kompletnie świrnięta.

Vincent pokręcił głową, a Benjamin podszedł do łóżka i przykrył byle jak narzutą. Vincent spojrzał z wdzięcznością, po czym usiadł.

– Tym razem żadnego rodzeństwa – powiedział. – Ani innych krewnych. Słowo. Jednak wydaje się, że podobnie jak tamtym razem, istnieje tu jakiś kod, a przynajmniej wzorzec. Problem w tym, że nie wiem, czy tak jest rzeczywiście, czy uprawiam myślenie życzeniowe. Wiesz, kto to jest Nova?

Benjamin usiadł znów na krześle i zaczął kręcić nim tam i z powrotem.

– Kto by nie wiedział – odparł. – W strumieniu filmików na Instagramie ciągle jest coś jej.

– No dobrze. Otóż wydaje mi się, że udało jej się urobić policję, żeby uwierzyli, że zamieszana w to jest jakaś sekta, a w każdym razie organizacja o strukturze jak w sekcje.

Przedtem tego nie zauważył, ale również pomalowane figurki z gier, zajmujące dotąd osobną półkę na ścianie, zostały stamtąd usunięte. Zamiast nich tłoczyły się tam rozmaite kompendia o niezrozumiałych tytułach prawniczych.

– Dlaczego ona myśli, że chodzi o sektę? Brzmi to bardzo radykalnie.

– Zapewne dlatego, że chodzi o bardzo radykalne działania podejmowane przez różne osoby. Wydaje się, jakby ktoś kazał im robić... rzeczy, których ci ludzie inaczej by nie robili. Oprócz tego w sposobie dokonania morderstw są rzekomo komponenty jakiegoś rytuału. Według Novy.

– Znow są morderstwa? – Benjamin aż zbladł.

Głupia sprawa, Vincent nie zamierzał tego zdradzać. Przynajmniej nie powie, że chodzi o dzieci. Ta informacja jest Benjaminowi naprawdę niepotrzebna.

– Tak, obawiam się – przyznał. – Trzy, w najgorszym razie. Trzy osoby zostały uprowadzone i następnie zamordowane.

– A ty co sądzisz? Też myślisz, że to sekta?

Vincent zastanowił się, następnie pokręcił głową.

– To niepotrzebnie skomplikowane wyjaśnienie – powiedział. – Sam stale mówisz o brzytwie Ockhama. Czy sądzę, że za tymi zbrodniami stoi ta sama osoba? Owszem. Ale do tego nie trzeba aż przywódcy sekty. Wystarczy ktoś dysponujący argumentami, które będą dostatecznie przekonujące, by skłonić ludzi do pozornie niewinnych, a w istocie drastycznych czynów. Narzucenie ludziom innego odbioru rzeczywistości, na podstawie którego potem będą działać, wcale nie jest takie trudne. A porywacze być może nie wiedzieli, że osoby uprowadzone potem umrą.

– Chcesz powiedzieć, że myśleli, że to taki kawał czy coś w tym rodzaju? – spytał Benjamin.

Vincent skinął głową i wzruszył ramionami.

– Ten trop z sektą jest o tyle przerażający, że otwiera mnóstwo możliwości. Shōkō Asahara, przywódca sekty Aum Shinrikyō, który wpuścił sarin do metra w Tokio, zabijając dwanaście osób – trzynaście, jeśli doliczyć osobę zmarłą potem w szpitalu – twierdził potem, że przyjmuje na siebie karmę ofiar i uwalnia je, by mogły dostąpić nirwany. Przy takim pojmovaniu rzeczywistości nie zrobił nic złego, przede wszystkim zaś nie był żadnym mordercą, a raczej spełnił dobry uczynek.

– A więc członkowie takiej sekty mogliby być przekonani, że nie są źli, tylko wyświadczają przysługę ofiarom, kiedy je zabijają – powiedział Benjamin, otwierając szeroko oczy.

– Tak. W Szwecji działa wiele destruktywnych sekt, ale nie słyszałem, żeby któraś zwracała się przeciwko ludziom spoza organizacji. A więc zanim

wskoczmy do tego dołka, chciałbym sprawdzić, kto mógłby zaaranżować te porwania, nie będąc szalonym przywódcą sekty.

Benjamin kiwnął głową i odwrócił się do komputera.

– No to jak przedstawia się ten kod czy też wzorzec? – spytał, otwierając taki sam dokument podobny do Excela, jakiego użyli poprzednim razem.

– I właśnie w tym rzecz – odparł Vincent, kręcąc się i usiłując usiąść trochę wygodniej na zbitej pościeli przykrytej narzutą. – Poza tym, że... osoby zamordowane były przedtem zaginione przez trzy dni, łączy je właściwie tylko dwie rzeczy. Przede wszystkim to, że zostały znalezione w bezpośrednim sąsiedztwie wody. Co rzecz jasna nie dziwi w takim mieście jak Sztokholm, który jest zbudowany w całości nad wodą. Niemniej Nova wierzy, że ma to jakieś symboliczne znaczenie. Może ma rację, ale ja mam co do tego wątpliwości. Co najmniej. Sam natomiast odkryłem, że przy... zwłokach... ktoś umieścił rzeczy odnoszące się do koni.

Spodziewał się wybuchu śmiechu, ale Benjamin zapisał tylko tę informację, nie komentując. Vincent nie mógł nie poczuć dumy, że syn jest tak skupiony na zadaniu.

– Trzy dni, woda – powiedział Benjamin. – Konie, masz na myśli żywe czy pionki do gry?

– Ani to, ani to, ale co masz na myśli? Jakie pionki do gry?

– Jak w szachach. Przecież skoczek wyobraża konia, ponieważ rycerze mający chronić króla najczęściej jeździli konno. Nazwa tego pionka po szwedzku (*springare*), duńsku, norwesku, niemiecku i w paru innych językach wywodzi się od „biegania” po szachownicy. Ale w wielu innych nazywa się go po prostu koniem, jak *caballo* po hiszpańsku albo *cavallo* po włosku. Po rosyjsku chyba też. Po sycylijsku jest to osioł, jeśli dobrze pamiętam. Właściwie tylko po angielsku ma nazwę, która nie wywodzi się wprost od konia: *knight*, czyli rycerz.

Vincent wpatrzył się w swego syna.

– Mam przyjaciółkę, która daje mi „wikipedyczne” ostrzeżenia – powiedział. – Nigdy nie zrozumiałem tak naprawdę, co ona chce przez to powiedzieć, aż do teraz. Dlaczego ty wiesz takie rzeczy?

– Bo to ciekawe – odparł Benjamin. – Wiesz, jak jest.

Vincent przytaknął. Owszem, wiedział. Właściwie to był niezwykle dumny, że Benjamin jest jego synem. Zaraz, Benjamin na początku wspomniał coś o pionkach... O cholera.

– Masz rację – powiedział z ożywieniem. – Co do pionków. Powiązanie ze skrajnymi ruchami występuje już na takim poziomie, niezależnie od sekt.

Benjamin spojrzał zdziwiony znad ekranu.

– Teraz już się pogubiłem.

– Wiesz, kim jest Robert Jay Lifton?

Benjamin zmarszczył czoło na sekundę.

– Chyba tak – odparł. – Psychiatra, badał pranie mózgow i fundamentalizm, tak?

Vincent kiwnął głową. Oto jego syn. No chyba. Postanowił nie mówić, że podczas swoich przedstawień korzystał z wielu technik z obserwacji Liftona dotyczących kontrolowania myśli w komunistycznych Chinach.

– Lifton napisał, że w ruchu fundamentalistycznym dla większości członków wcześniej czy później przychodzi moment, kiedy uzmysławiają sobie, że być może nie jest on tym, za co go uważali. Ale opuszczenie ruchu jest już wtedy niemożliwe. Utknęli w nim. A więc by nie rozpaść się mentalnie, często wybierają całkowite podporządkowanie swojej woli ruchowi. Co rzecz jasna również oznacza, że stają się prymusami w zdradzaniu i manipulowaniu innymi. Za cenę samodzielnego i całkowitego wymazania własnej woli.

– Tylko nie rozumiem, co to ma wspólnego z końmi albo pionkami do gry? I do tego z morderstwami?

Benjamin otworzył Spotify i zaczął szukać jakiejś playlisty. Czas Vincenta z synem najwyraźniej się zaraz skończy.

– Lifton ma nazwę dla strategii, w której człowiek świadomie pozbywa się własnej woli – powiedział. – *The Psychology of the Pawn*. Pawn to pionek, który można poświęcić. Jak w szachach. I gdzie, jak wykazałeś ze szczegółami, występują również konie.

Vincent próbował ogarnąć wszystkie skojarzenia, jakie pojawiały mu się w głowie, ale jego wysiłki były zupełnie bezowocne. Potem będzie musiał pójść do swego gabinetu i położyć się na dywanie, żeby uporządkować myśli. Przy odrobinie szczęścia puzzle zaczną się same układać w jego podświadomości.

Benjamin wygooglował już *psychology of the pawn* i zaczął czytać.

– Wiesz co, według Liftona taki człowiek staje się nie tylko pionkiem – powiedział, mrużąc oczy w stronę ekranu – ale również prawdziwym zawodowcem w tej grze. A więc przyjmijmy, że to jest sekta. Czy to możliwe, że ofiary to członkowie sekty, którzy nie sprostali wymaganiom? Którzy nie grali dostatecznie dobrze w tę grę? Może morderstwa i ten koń mają być sygnałem dla innych pionków, to jest członków sekty, żeby się odpowiednio zachowywali? Ostrzeżeniem, żeby nie spotkało ich to samo?

Vincent zamknął oczy i oparł głowę o ścianę.

– Interesująca teoria, niestety nieprawdopodobna – powiedział. – Z dwóch powodów. Po pierwsze, te konie nie były pionkami. Po drugie... po drugie... Benjaminie, ofiary. Nie mogły być członkami sekty.

– A skąd wiesz?

Było tak blisko. Jednak te kawałki puzzli wciąż nie dawały się złożyć w całość. Do niczego nie doszli. A tam na zewnątrz wciąż był ktoś, kto się nie powstrzymał przed dokonaniem czegoś najokropniejszego. Vincent odetchnął głęboko.

– Stąd, że miały po pięć lat.

**MINA MIAŁA** dziwne wrażenie, kiedy wchodziła przez drzwi z napisem „Oddział położniczy”. Było to jak niewyraźne wspomnienie z bardzo odległych czasów. Tym, co przywołało świadomość rzeczywistości, był zapach. W głowie rozbłysło od wspomnień bólu zmieszanego z poczuciem szczęścia w takiej kombinacji, jakiej nie było w stanie zaoferować nic innego w życiu.

– Słyszysz te krzyki? – spytał Ruben, wzdrygając się. – Dwie wrzeszczą na wyścigi. Nie powinno się jakoś wygłuszyć takiego miejsca? Przecież to brzmi jak jakiś gabinet strachów. Okropność.

Mina, nie zwracając na niego uwagi, podeszła do okienka. Po dłuższej chwili przekonywania i po okazaniu blachy policyjnej zostali wpuszczeni. Niechętnie przyznała rację Rubenowi. Wrażenie po wejściu do długiego klinicznego korytarza z zamkniętymi drzwiami, zza których tu i ówdzie dochodziły krzyki mieszające się ze sobą w szczególnym bolesnym chórze, było przejmujące.

– Która sala? – spytał.

– Pięc.

– To tu – powiedział, naciskając kłamkę w drzwiach oznaczonych piątką.

Pokój okazał się pusty.

– Chyba nie mogli pojechać do domu? Nawet jeśli dzieciak już przyszedł na świat. To dzieje się tak szybko?

– Nie, Ruben, tak szybko się nie dzieje – prychnęła. – Skup się. Na pewno poszli gdzieś na kawę.

– To tu są takie miejsca? – zdziwił się.

– Tak, wszystkie oddziały położnicze mają własnego Starbucksa. Firma nastawiła się głównie na szpitale i lotniska.

– Naprawdę? – Ruben zrobił jeszcze większe oczy.

– O Boże, czyś ty całkiem... No oczywiście, że nie. Nigdy nie widziałeś żadnej porodówki? Ze standardowym pokojem socjalnym, gdzie mają kawę, kanapki i temu podobne? Chyba w ciągu lat służby musiałeś być na jakiejś porodówce, nie?

– W żadnej nawet nie postawiłem nogi – odparł Ruben.

Minie wydało się, jakby zobaczyła na jego twarzy jakiś żal.

– Tam – powiedziała, wskazując większe pomieszczenie z częścią kuchenną, kanapami i telewizorem.

Na jednej z kanap siedzieli Mauro z Cecilią. Obok stał plastikowy pojemnik na kółkach.

– Cześć – odezwała się Mina, wchodząc.

Głupio jej się zrobiło. Mauro i Cecilia właśnie powitali na świecie nowe życie. Był to moment dużego wyczerpania, ale opromieniony prawdziwym blaskiem. A teraz ona i Ruben mają im to rozwalić, włączając z butami. Zerknęła do plastikowego pojemnika, w którym leżąc na pleckach, spało niemowlę nieokreślonej płci, zawinięte w kocyk. Obok był pluszowy szary słoń.

– Cześć! – odpowiedział ze zdumieniem Mauro. – To wy?

Domyślała się, że wizyta policji to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. A potem pociemniał na twarzy i wstał.

– Co się stało? – spytał.

– Możemy porozmawiać na osobności? – spytała Mina, zerkając na Cecilię, która mimo szpitalnej koszuli wyglądała aż nieprzyzwoicie rześko jak na kobietę, która dopiero co urodziła.

– Nie, powiedzcie nam obojgu, co macie do przekazania.

Mina wymieniła spojrzenie z Rubenem, który skinął głową. Otworzyła usta, ale nie zdążyła nic powiedzieć, gdy Mauro i Cecilia pobledli, wpatrując się w znajdujący się za nią telewizor.

Mina się odwróciła. Na ekranie widać było Jenny, która stojąc przed restauracją Maura, rozmawiała z reporterem „Expressen”, tym samym, którego wcześniej tam widziała Mina.

– Pogłośnij! – krzyknął Mauro, rzucając się na pilota.

Pokój wypełnił głos Jenny, mówiącej z furią do kamery. Miała dziki wzrok, a w jej głosie była taka nienawiść, że Minę przeszedł dreszcz.

– Zawsze wiedziałam, że to on – powiedziała z naciskiem. – Tylko ja się domyślałam, widziałam, co kryje się za tą fasadą. Wiem, co robił naszej Lilly, i mam nadzieję, że ona mi wybaczy, że nie byłam w stanie jej ochronić. A teraz to jego zło uderzyło w inną rodzinę. To jest zły człowiek. Teraz wie o tym cały świat.

Patrzyła z triumfem, nawet nie mrugnęła. Mauro zadygotał. Ruben podszedł i chwycił go za ramię.

– Chyba powinien pan pójść z nami.

Niemowlę w pojemniku zakwiliło.



**LEŻĄC NA SWOIM ŁÓŻKU** polowym, Nathalie patrzyła na belki łączące się na suficie parę metrów nad nią. Brała udział w ich budowaniu. Czuła się tak lekka, jakby mogła frunąć pod te belki zbudować sobie tam gniazdo. Nieustanny głód nie był już taki straszny. Wprawdzie nie dostawała więcej jeść, ale zaczęła się przyzwyczajać i brzuch nie bolał już tak bardzo jak na początku. Czuła się... lżejsza. Czujniejsza. Jakby jedzenie, którym się dawniej opychała, było ciężarem, który przytrzymywał ją przy ziemi.

Ale już nie.

Mogła się teraz unosić.

Chociaż trudniej było przytrzymać się jakiejś myśli, bo raczej odlatywała i zbierała się wśród innych myśli między tymi belkami w górze. Zdawała sobie sprawę, że zwykle było jej łatwiej rozmyślać nad różnymi rzeczami. Ale dlaczego miałyby zajmować się skomplikowanymi myślami? Jest z Ines i jest bezpieczna. Tylko tyle potrzebowała wiedzieć. Rozmyślanie należało do jej poprzedniego życia, do świata na zewnątrz.

A ten zewnętrzny świat nie był już ważny. Jakby nie istniał. Wszystko było tu i teraz. To miejsce. Ci ludzie. Babcia.

Spojrzała na bandaż na palcach. Zastanawiała się, czy czerwona krecha się jeszcze utrzymuje, i miała nadzieję, że tak. W przeciwnym razie może będzie pora na następną. Chyba że dostanie taką twardą gumkę, jaką nosiła babcia. Nie chciałyby, żeby inni jej nie lubili albo uważali, że się nie stara. Czuła, że tu przynależy, a oni dają jej wiele miłości. Powinna co najmniej odpłacić im się tym samym.

Do tej pory żyła w bezpiecznej bańce. Jednak to nie była rzeczywistość. Nie było życie. Egzystencja i tyle. Tu żyła naprawdę.

Chciała usiąść, ale ukazały jej się mroczki przed oczami i zakreśliło w głowie. Opadła z powrotem na łóżko i pozwoliła sobie znów polecieć myślami pod sufit. Zamierzała coś zrobić, ale nie mogła przypomnieć sobie, co to było. Nieważne. Ines jej powie, co powinna wiedzieć. Babcia wie, co dla niej dobre. Babcia posiada wszystkie prawdy.

**VINCENT ROZMYŚLNIE** włożył ubranie dopiero przed samym wyjazdem na spotkanie z Miną i resztą zespołu, żeby nie zdążyło się przepocić. Podczas przedstawień w ostatni weekend zorientował się, że nawet jego sceniczne ciuchy nie pachną zbyt przyjemnie i poprzedniego ranka oddał je do pralni chemicznej zaraz po otwarciu. A Mina była znacznie wrażliwsza od jego widowni. Przez moment chciał nawet wsypać sobie do kieszeni trochę proszku do prania. Może jego zapach przyniesie korzystny efekt. Jednak zdał sobie sprawę, że prędzej czy później przez pomyłkę wsunąłby rękę do kieszeni.

Mina wyszła mu na spotkanie do bramki w recepcji komendy z tak zatroskanym wyrazem twarzy, jakiego dawno u niej nie widział. Pewnie by nawet nie poczuła zapachu proszku do prania.

– Cześć, Vincent – odezwała się posepnie.

– Co jest nie tak?

– O Boże – powiedziała, przepuszczając go przez bramkę. – Nie możesz nawet poudawać?

– Przepraszam. Mam nadzieję, że treningi padła są udane?

Uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Teraz już lepiej – odparła. – Oczywiście masz rację. Coś jest nie tak. Wczoraj zgarnęliśmy podejrzanego o morderstwo Ossiana. Już zeszłego lata był posądzany o zamordowanie Lilly.

Vincent patrzył na nią, podziwiając efektywność jej ruchów. Mina szła krokiem osoby, która się nigdy nie waha. Domyślał się, że wyćwiczenie takiego chodu musiało zająć jej sporo czasu.

– To świetnie, nie? – powiedział. – Wspaniały początek tygodnia. Sądząc po twoim tonie, chyba nie mówisz o którymś z porywaczy, czyli Nova miała rację, że to zorganizowana akcja? I dotarliście do mózgu tej akcji?

– Właśnie o to chodzi – odparła. – Bardzo to problematyczne. Mauro Meyer w tej chwili ledwo zarządza samym sobą. Jeśli on miałby stać za tym wszystkim, to jest najlepszym aktorem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Choć dowody przeciwko niemu są znacznie mocniejsze od tych znalezionych przeze mnie i ciebie. Chciałam tylko, żebyś wiedział. Gdybyś zrobił tę prezentację dwa dni temu, koledzy by cię prawdopodobnie posłuchali. Teraz nie wiem, jak zareagują. Poza tym mówi się podobno, że kierownictwo uznało wciągnięcie Novy za błąd. Chcą, żeby się skoncentrować na Maurze.

A więc powrócił do roli stukniętego mentalisty, który ma wydumane teorie. Niewiele się zmieniło od ostatniego razu. Zdał sobie sprawę, że jak dla niego to całkiem okej. Nawet bardziej niż okej. Nie szkodzi, jeśli okaże się, że się mylił, że połączenia, które dostrzegł, należą do nieistniejącego wzorca.

Ale Mauro Meyer. Nazwisko wydało mu się znajome. Chyba natknął się na nie zupełnie niedawno. Słyszał, jak je wspomniano... Nie, czytał o nim. Zaledwie parę dni temu. Jednak był tam jeszcze jakiś głos. Miny. On i Mina byli... Otworzył szeroko oczy.

– Mauro, jak ojciec Lilly? – spytał.

– Przecież ci mówiłam, że to skomplikowane. Chodź, czekają na nas. I pamiętaj, żeby poprosić Christera o wiatraczek.

**POWIETRZE W SALCE** aż wibrowało od gorąca. Najgorzej było w samym środku dnia. Mina stanęła na progu i już nie wiedziała, czy chce przebywać w tym samym pomieszczeniu co tamci. Gdyby nie Vincent, chyba by wymyśliła jakiś pretekst, żeby tego uniknąć.

Wiatraczek na baterie w ręce Christera wydawał odgłos brzęczący jak osa. Przed nim na stole leżała torebka kolejnych około dziesięciu zakupionych właśnie wiatraczków. Zapas musiał być stale odnawiany, bo szybko się psuły, ale rzeczywiście pomagały. Podał jeden Vincentowi, na którego twarzy odmalowała się udręka, gdy uderzył go panujący tu żar.

Plamy potu pod pachami Rubena urosły do olbrzymich rozmiarów, odcinając się na jasnej koszuli. Nawet Julia wyglądała na umęczoną upałem.

– Dziękuję za tak szybkie działania w sprawie Williama – zwróciła się do Rubena i Adama. – No i całe szczęście, że wczoraj pojechaliście tak wcześnie do Jörgena Carlssona w Hall. Zaraz potem przydarzył mu się jakiś wypadek. Przewrócił się dość paskudnie i trzeba mu było założyć dwa szwy. Nie orientuję się, co tam się stało, ale mówią, że sprawcy przemocy domowej często mają potem w więzieniu problemy z równowagą. Coś wam wiadomo na ten temat?

Przyjrzała im się badawczo. Ruben zakaszłał, a Adam utkwił spojrzenie w suficie.

Mina zorientowała się, że to odpowiedni moment dla niej i Vincenta. Tyle że już nie wiedziała, od czego zacząć.

– Być może mamy coś innego – odezwała się w końcu i zerknęła na Vincenta. – My, to znaczy... ja i Vincent. Mam świadomość, że ten trop z Maurem jest mocny, a to, co mamy my, to same poszlaki. Vincent zwrócił mi uwagę, że jest to balansowanie między znalezieniem istniejącego wzorca a tworzeniem go poprzez myślenie życzeniowe. Jednak według nas prawdopodobieństwo, że chodzi tylko o przypadek, nie jest duże, chociaż taka możliwość oczywiście istnieje.

– Mówisz my – odezwał się Ruben – ale czy nie jest to tylko Vincent? Bo mnie to już wygląda na Vincenta, chociaż nawet nie zdążyłaś powiedzieć, o co chodzi.

– Faktem jest, że oboje dostrzegliśmy ten wzorec – odparła Mina. – Ale Vincent znalazł coś jeszcze. Vincent?

– No cóż – powiedział mentalista i odchrząknął. – Słyszałem, że mieliście u siebie Novę, która mówiła o cechach rytualnych tych morderstw, trzydniowych interwałach i o tym, że skoro porywaczami były różne osoby, nie wydaje się

prawdopodobny seryjny morderca, lecz raczej grupa ludzi. Co z kolei świadczyłoby o tym, że zostało to jakoś zorganizowane. Dostrzegamy też pewien wzorzec wokół tych trzech ciał.

– Powiedziałeś o trzech ciałach, ale mamy dwa – zauważył Ruben. – Pozwól, że przypomnę, że choć nie wiemy, kto zamordował Williama, to on jeszcze nie przynależy do waszego ewentualnego wzorca. Wiemy już, że to Mauro najprawdopodobniej zabił Ossiana i Lilly. Natomiast nie ma żadnego łącznika ze sprawą Williama.

– W takim razie to, co powiem – odparł Vincent – albo pomoże wam w sprawie Maura, albo też wskaże zupełnie inny kierunek. Jak powiedziała Mina, mamy tu jedynie poszlaki. Jednak im jest ich więcej, tym bardziej będziemy się skłaniać do stwierdzenia, że się ze sobą łączą. Oboje z Miną znaleźliśmy jeszcze jedną rzecz, która łączy Ossiana z Lilly i również z Williamem. Dostrzegliśmy to u Ossiana i Lilly, ale nie miałem pewności, że to coś istotnego, dopóki nie odkryliśmy tego również w związku z Williamem, kiedy w środę byliśmy w suchym doku. Teraz jestem już pewien. Peder też to widział.

– Mów wreszcie – powiedział Ruben. – O czym ty trajkoczesz?

– O koniach.

Wszyscy rozdziawili usta jak pisklęta w gnieździe. A potem Ruben roześmiał się na całe gardło, broda Pedera trzęsła się od powstrzymanego chichotu. Mina westchnęła cicho. Mógł to przedstawić w sposób bardziej przekonujący. Jednak trudno było mu coś zarzucać, bo sama nie była pewna, czy ma odwagę w to wierzyć.

– Nie chodzi o prawdziwe konie – wyjaśnił Vincent, chrząkając. – Lilly miała obrazek-zakładkę, prawdopodobnie podłożoną po fakcie, przedstawiającą araba pełnej krwi. Ossian miał nienależący do niego plecaczek z obrazkiem *My Little Pony*. A tam, gdzie znaleziono ciało Williama, ktoś namalował na ścianie greckie słowo *hippo*, co znaczy koń. Jest to zbyt dziwne, żeby mogło chodzić o przypadek.

– Czyli ktoś próbuje powiedzieć, że dzieci to konie, to masz na myśli? – śmiał się Ruben.

– A może szukamy kogoś, kto aż za bardzo lubi przedmioty kojarzące się z końmi? – odezwał się Peder.

– No tak – zarechotał Christer. – Żeby znaleźć naszego mordercę, będziemy w takim razie musieli przesłuchać wszystkie dziesięciolatki z całego miasta.

Ruben nagle przestał się śmiać.

– Co za głupie uogólnienie – warknął. – Nie wszystkie dziesięcioletnie dziewczynki mają hopla na punkcie koni.

Christer spojrział na Rubena ze zdumieniem i nawet nie zauważył, że trzymany przez niego wiatraczek przestał działać. Mina nie miała pojęcia, o czym ten Ruben

mówi. Ostatnio zrobił się jakiś dziwny.

– To nie jest takie proste – ciągnął Vincent.

Wziął do ręki mazak i zaczął pisać na tablicy.

– Jeśli przypuszczenia Novy są słuszne co do rytualnych cech tych morderstw, to konie mogą być dla sprawców ważnym symbolem. Sekty wielbiące konie istniały od czasów epoki żelaza. Koń był postrzegany jako boskie stworzenie, król albo wojownik. Konie były czczone również w bardziej znanych mitologiach religijnych, pierwszego konia stworzył ponoć grecki bóg Posejdon, nie powinniśmy również zapominać o Lokim z mitologii nordyckiej, który przemienił się w klacz i urodził Sleipnira, „pierwszego wśród koni”. Ale sam nie wiem. Jest coś, co...

Urwał, patrząc przed siebie. Mina podążyła za jego spojrzeniem. Wydawał się zastanawiać, patrząc na mapę na ścianie, gdzie centralne dzielnice Sztokholmu zostały obramowane w idealny kwadrat. A potem wrócił do teraźniejszości.

– Dziś się również oddaje cześć koniom – ciągnął – między innymi w Azji Południowej. Może to nic dziwnego, koń jest powszechnie symbolem wolności bez barier.

Zrobił przerwę i znów zapatrzył się na mapę. Na czole pojawiła się nieduża zmarszczka. Nie zachowywał się jak zwykle. Chciała mu pomóc, ale zrobiło się dziwnie.

– A więc... gdybyśmy mieli posłuchać ciebie i Novy, powinniśmy teraz ścigać jakąś wodną sektę oddającą cześć koniom i mordującą małe dzieci – stwierdził sarkastycznie Ruben. – Cóż, brzmi to znacznie bardziej prawdopodobnie niż to, że mordercą jest Mauro Meyer. Jesteś foliarzem, Vincent? Dostarczyć ci wielopak folii aluminiowej? O Boże. Wiesz co, jeśli chciałeś wpaść tu na kawę albo spotkać się z Miną, to wystarczyło powiedzieć. Zamiast... opowiadać to wszystko.

Mina poczuła, że się czerwieni. Jednak Rubenowi nie będzie aż tak łatwo nią zachwiać.

Podniosła oczy i trafiła wprost na przeszywające spojrzenie Adama. Od którego zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

– Co... nie... – odezwał się Vincent w zamyśleniu. – Nie wierzę ani przez chwilę, że mamy do czynienia z czymś takim. Mam tylko na myśli, że...

Znów urwał i podszedł do mapy, po której przeciągnął palcem, jakby rysował krzyż.

– Choć raz masz rację – stwierdził Ruben. – Nie mamy do czynienia z czymś takim, tylko z Mauro Meyerem, którego była żona oskarża o to, że zamordował własną córkę, a teraz wydaje się zamieszany w zabójstwo Ossiana. Co do Williama, to nie ma żadnego związku, poza twoją wyobraźnią.

– Mina, dlaczego czekaliście, żeby nam to powiedzieć? – spytała Julia. – W suchym doku byliście w środę, a dziś jest już wtorek. Nie pomyślałaś, że ta informacja może być ważna?

– Owszem, ale podejrzewałam, że reakcja będzie mniej więcej taka jak dziś – odparła Mina. – Dlatego chciałam poczekać, aż porozmawiam z Mildą o sekcji zwłok Williama, żeby sprawdzić, czy dowiem się czegoś więcej. I owszem, jest jeszcze jedna rzecz. Ossian, Lilly i William: wszyscy mieli w gardle takie same włókna wełny i podobne ślady na płucach. Na razie brak wyjaśnienia, skąd te włókna i ślady na płucach. Jednak w sumie jest to zbyt duży zbieg okoliczności, żeby nie powiązać tych wszystkich spraw.

Zapadło milczenie.

– Cholera – odezwał się w końcu Ruben. – Czyli William mógł jednak być jednym z nich. Mauro jest seryjnym mordercą.

– *The Psychology of the Pawn* – mruknął do siebie Vincent, stojąc przed mapą. – Czekajcie chwilę.

Mentalista wrócił do tablicy, zabrał jeden z mazaków i długą linijkę. Następnie przystawił krzesło do ściany z mapą i wszedł na nie. Posługując się linijką i mazakiem, zrobił szybko siedem pionowych kresek z jednego końca miasta do drugiego. A potem siedem poziomych.

– Coś było przedtem nie tak z tą mapą? – spytał Ruben.

Vincent nie odpowiedział. Zszedł z krzesła i cofnął się, żeby przypatrzeć się powstałej siatce.

Mina miała nadzieję, że nie dostał udaru cieplnego, bo będzie musiała słuchać o tej porażce przez najbliższych dziesięć lat. Zapewne codziennie. Rzeczywiście wyglądało to tak, jakby Vincent się całkiem pogubił.

– Vincent, może by tak jakieś wyjaśnienie? – odezwała się Julia.

Vincent odwrócił się, spojrzał zdezorientowany, jakby zapomniał, że nie jest tu sam.

– Coś mi ktoś... przyjaciel mi powiedział. Coś, że konie są pionkami do gry. Zupełnie jak członkowie sekty. Więc zastanawiałem się, w jakich grach występuje koń.

Ruben westchnął, rozkładając ręce.

– W szachach – odezwał się Christer, który się nagle zainteresował. – I na wyścigach kłusaków. To drugie jest kosztowne, a pierwsze upokarzające.

W tym momencie Mina zorientowała się, co zrobił Vincent. Otóż podzielił śródmieście na porządne kwadraty, osiem na osiem. Jak na szachownicy. Skraj jego siatki obramował dokładnie całą część centralną miasta.

– Przyszło mi na myśl, że dzieci być może symbolizują pionki do gry – powiedział Vincent i szybko ponumerował rzędy cyframi od jednego do ośmiu,

licząc od dołu do góry. Następnie pod kolumnami napisał a, b, c, d, e, f, g i h.

– Dlaczego w takim razie nie ma innych pionków, jak piony albo wieże? – spytał Christer. – Przecież nikt nie gra w szachy samymi końmi, to znaczy skoczkami.

– Normalnie miałybyś rację. Jednak...

Vincent podszedł do mapy i odszukał na niej miejsce znalezienia zwłok Lilly. Był to prawy dolny róg w kwadracie oznaczonym h1. Napisał tam „Lilly”. Następnie wpisał „William” na Beckholmen w kwadracie g3, przedostatnim w trzecim rzędzie od dołu. I wreszcie „Ossian” na Skeppsholmen, czyli f4, w szóstym kwadracie w czwartym rzędzie.

– Jest coś takiego, co się nazywa *Knight's tour*, problem skoczka szachowego – powiedział. – Jedna z najwcześniejszych wzmianek o nim została napisana w sanskrycie. Wtedy nazywał się Turagapadabandha, co dosłownie znaczy „porządek kroków konia”.

Mina zakasłała dyskretnie w dłoń. Gdy Vincent spojrział na nią pytająco, nieznacznie pokręciła głową. Skoro go w końcu słuchają, byłoby niedobrze, gdyby ich uwaga osłabła.

– Chciałem tylko dodatkowo wyjaśnić ten wątek z końmi – powiedział przepaszająco. – Ale wy może... Tak czy inaczej. Problem polega na obejściu skoczkiem wszystkich pól szachownicy, ale tak, by na każdym stanąć tylko raz. Jeśli zaczniemy od miejsca, gdzie znalezione zostało ciało Lilly, jest to prawy dolny róg. Stamtąd są dla skoczka, czyli konia, tylko dwie możliwości zgodnie z zasadami szachowymi.

Dotknął mazakiem dwóch kwadratów na mapie.

– Jedna z tych możliwości ruchu to g3, gdzie pół roku później znaleziono ciało Williama. Stamtąd skoczek ma pięć możliwych ruchów.

Postawił kropki na pięciu ewentualnych kwadratach.

– Jednak w żadnym z nich nie ma miejsca, gdzie znaleźliśmy Ossiana – zauważył Adam.

– Całkiem słusznie. Ale chyba widzicie?

Mentalista skinął głową w stronę mapy. Upłynęło kilka sekund bez reakcji z ich strony, wtedy westchnął i wskazał na jedną kropkę w kwadracie e2. W środku tego kwadratu znajdował się Fatbursparken.

– To jeden z ewentualnych ruchów z kwadratu Williama. A stamtąd można potem przejść bezpośrednio do Ossiana na f4. Faktem jest, że Fatbursparken to jedyny sensowny ruch od kwadratu Williama, żeby zagonić skoczka do rogu.

– Okej, ale twoja teoria nie wytrzymuje próby rzeczywistości – odezwał się Ruben. – Bo w Fatbursparken nie zginęło żadne dziecko. Coś takiego zostałoby zauważone natychmiast, zważywszy na to, ilu ludzi tam chodzi. Całkiem ładny



pomysł, że dzieci są pionkami w gigantycznej partii szachów obejmującej całe miasto. I, przyznaję, dosyć to było pomysłowe, żeby zakładkę do książki, plecaczek i ten napis na ścianie skojarzyć z... jak to się nazywało? *Knight's day*?

– *Knight's tour*.

– Nie wiem, ile razy mam to jeszcze powtarzać. Tym razem nie mamy do czynienia z żadną układanką, tylko z Mauro Meyerem. I wierzcie mi, on nie jest zdolny do czegoś takiego. Jest do reszty zajęty zmienianiem pieluszek swoim dzieciom. – Ruben był wyraźnie zirytowany.

– Faktem jest, że na środku parku jest fontanna – mruknął Peder. – To à propos wody.

– No co za... – wymamrotał pod nosem Ruben.

– A sprawdziliście pod fontanną? – spytał Vincent.

– Nie, a po co? – skontrował Ruben. – Bo nie mając nic lepszego do roboty, zgarnialiśmy Maura?

Bosse, który leżał na podłodze obok Christera, ziajał z wywieszonym ozorem. Zachowywał się tak cicho, że Mina nawet nie zdała sobie sprawy z jego obecności. Ten cholerny upał wykończy ich wszystkich.

– W takim razie mam propozycję – powiedział Vincent. – Sprawdźcie ten park. Jeśli niczego nie znajdziecie, nie będę wam więcej zawracać głowy. Może mi nie uwierzycie, ale naprawdę chciałbym, żeby to Ruben miał rację, że macie już sprawcę, a zarówno ja, jak i Nova gadamy od rzeczy. Że dostrzegamy jakieś nieistniejące schematy. Niczego bym tak nie chciał jak tego. Ale gdybyście jednak coś znaleźli, to ja będę miał rację.

Julia powachlowała się jakimś skoroszytem i wszyscy spojrzeli w jej stronę.

– To by oznaczało pokaźny koszt – zauważyła. – Rozkopywanie parku, rozwalanie fontanny. Tego się nie robi pod wpływem intuicji, na podstawie kratki narysowanej na mapie. Zwłaszcza kiedy już zatrzymaliśmy jednego podejrzanego. Bardzo bym chciała, żeby ten zespół utrzymał się jeszcze przynajmniej jakiś czas. Musiałbyś dać nam coś więcej. Poza tym... – zawahała się. – ...otrzymałam wyraźne polecenie od kierownictwa. Uważają trop z sektą za niewiarygodny i oczekują, że dochodzenie skupi się dokładnie na Maurze. Powiedzieli mi to bardzo wyraźnie. Jeśli ich nie posłuchamy, istnienie zespołu może być zagrożone. I nie mówię, że oni się mylą. Skłaniam się nawet do przekonania, że wyjątkowo mają rację. To mi wygląda na za bardzo wydumane.

Vincent założył skuwkę na mazak i puknął nim w puste kwadraty na mapie.

– Słyszałem, co powiedziałaś. Ale założmy, że oni się mylą. Rozważmy możliwość, że nie stoi za tym wszystkim Mauro Meyer. I że ktokolwiek nim jest, sprawca jest wciąż na wolności. Jeśli Ossian, Lilly i William znajdują się rzeczywiście na początku *Knight's tour*, to pozostaje jeszcze wiele ruchów. Każdy

ruch może w takim razie oznaczać kolejne zamordowane dziecko. Po tych pierwszych trzech polach na szachownicy pozostało ich jeszcze sześćdziesiąt jeden. Czy na pewno możecie pozwolić sobie na takie ryzyko?

**VINCENT POCZEKAŁ**, aż wszyscy wyjdą. Przechodzącemu obok Pederowi coś wypadło z kieszeni. Było to płaskie czerwone pudełeczko. Vincent podniósł je z podłogi. Wszędzie by je rozpoznał. Zawierało talię kart, ale nie była jaką, lecz „Bicycle” firmy United States Playing Card Company. Z czerwoną „koszulką”, w formacie pokerowym, zatem nieco szerszym od klasycznych szwedzkich kart do brydża.

Vincent znał tylko dwa rodzaje osób używających takich kart: pokerzystów i iluzjonistów. Peder nie wyglądał na żadnego z nich.

– Peder, zaczekaj – zawołał Vincent, spiesząc w jego kierunku i wymachując pudełeczkiem. – Zgubiłeś coś.

Peder zatrzymał się i zrobił wielkie oczy, widząc, co Vincent trzyma w ręce.

– Ojej, dziękuję.

– Pokerzyści nie mają zwyczaju nosić kart przy sobie – powiedział Vincent, podchodząc. – A więc dlaczego ty je nosisz?

Peder rozejrzał się. Kiwnął mu ręką, żeby weszli do najbliższego pokoju, i szybko zamknął drzwi.

– Nie chcę, żeby tamci słyszeli – powiedział cicho. – Trojaczki mają kuzyna imieniem Casper. Jego mama i moja żona Anette są siostrami. Casper ma urodziny za niecałe trzy tygodnie, no i Anette z siostrą ustaliły, że ja mam czarować na jego przyjęciu. Casper był zachwycony, kiedy się dowiedział, więc próbuję desperacko nauczyć się kilku sztuczek karcianych.

Mówiąc to, Peder miał tak nieszczęśliwą minę, że Vincent musiał zagryzać wargi, żeby się nie roześmiać.

– A ile lat ma Casper?

– Pięć.

Vincent odłożył karty na biurko i wskazał Pederowi krzesło. Sam też usiadł.

– Boję się, że zabrałeś się do tego od niewłaściwej strony – powiedział. – Robienie czarów dla dzieci to jedna z najtrudniejszych rzeczy na świecie.

Pederowi, na ile to możliwe, mina zrzędnęła jeszcze bardziej.

– Dlaczego tak wiele osób fascynuje się czarami? Otóż dlatego, że oznaczają złamanie praw, którymi rządzi się świat. Wiemy, że ludzie nie mogą latać. Więc jeśli ktoś jednak lata na scenie w Las Vegas, stanowi to wyzwanie dla naszej wyobraźni i rozumienia świata. A dzieci nie zdążyły się jeszcze nauczyć tych

praw. Dla nich świat jest wciąż niezbadany. Nie ma powodu, aby magia nie mogła być rzeczywista.

– Jak czarodziejki w *Klubie Winx* – zauważył ponuro Peder. – Dla trojaczek ich przygody są bardzo rzeczywiste.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale tak, absolutnie. Chcę przez to powiedzieć, że dziecku nie zaimponujesz tym, że jedna karta w twojej talii zamieni się miejscami z inną. Dzieci nie mają powodu sądzić, że to niemożliwe.

Peder westchnął, przesuwając dłonią po twarzy.

– Czyli mówisz, że nie da się czarować dla dzieci? – powiedział. – Dziękuję. Przedstawię to Anette. Jej siostra mnie znienawidzi. Mogę im podać twój numer telefonu?

– Źle mnie zrozumiałeś – odparł Vincent. – Oczywiście, że możesz czarować dla dzieci. Możesz je zaskoczyć. Wciągnąć do zabawy. Sprawić, żeby trzymały w rękach różne rzeczy. Żeby je rozśmieszyć. Jeśli zamiast uczenia się idealnych sztuczek postawisz sobie taki cel, odniesiesz sukces. Tylko skup się na tym, co trzeba.

– Zaskocz i wciągnij do zabawy. Już jestem martwy.

Vincent wziął karty i stanął nad koszem do śmieci.

– A o kartach lepiej zapomnij – powiedział, upuszczając je.

– **JAK TWOIM ZDANIEM** poszło?

Vincent zniknął po zebraniu, chyba musiał przedyskutować coś z Pederem, ale potem ją odszukał, a Mina bardzo chciała z nim porozmawiać. Tylko nie w budynku komendy, gdzie ściany mają uszy, nie mówiąc o spojrzeniach kolegów. Przecież widziała, jak Ruben przewracał oczami, gdy Vincent przedstawiał swoją teorię.

Dlatego zabrała stamtąd Vincenta i poszła z nim do Kronobergsparken, który właściwie był tylko pagórkiem porośniętym drzewami, wciśniętym między komendę a Fridhemsplan. Drzewa dawały przyjemny cień. W biegnącej pod nimi alejce temperatura była chociaż parę stopni niższa niż w salce konferencyjnej.

– Bardzo jestem wdzięczny za tę leśną audiencję, królowo Mino – odezwał się Vincent – ale powtórzę moje pytanie. Czy oni mnie uważają za wariata?

Mina spojrzała na niego, udając zdziwienie.

– A miałeś jakiegokolwiek wątpliwości? Przecież wszyscy wiemy, że postradałeś rozum.

– Aha. No tak.

Vincent podniósł jakiś patyk i zaczął nim zeskrobywać coś z buta.

– Przypomnij mi, żebym już nigdy przenigdy nie kupował sobie białych sneakersów.

– Faktycznie trochę się zmartwiłam na ich widok – odparła. – Pomyślałam, że na starość straciłeś styl.

Vincentowi udało się zeskrobać grudkę błota i teraz pomachał jej brudnym patykiem, mszcząc się za ten komentarz. Rzuciła mu spojrzenie, które mogłoby podpalić patyk.

– Wystarczy mi, że przynajmniej ty uważasz mnie za geniusza – powiedział, upuszczając patyk.

– No pewnie. – Mina kopnęła patyk dalej. – Jesteś taki mądry. I silny. By nie powiedzieć tajemniczy.

– I dobry dla dzieci, nie zapominaj o tym.

Dlaczego nie potrafiła rozmawiać tak naturalnie z Amirem? Zresztą z kimkolwiek innym? Amirowi naprawdę nic nie brakowało. Za to jej tak, wiedziała o tym. Zawsze tak było.

Aż pojawił się Vincent.

Przy nim już nic jej nie brakowało.

Co samo w sobie było problemem.

– Mówiąc poważnie, to, co tam mówiłeś... – zaczęła – to było dosyć ekstremalne. Matematyczne szachy? Z końmi?

– Wiem.

Vincent odwrócił się do niej z nieszczęśliwą miną.

– Po tej historii z Jane coś się ze mną stało – powiedział. – Nie udaje mi się poskładać schematów, które powinienem widzieć, a widzę takie, których czasem nie ma. Jakbym już nie pozostawał w przyjaźni z moim umysłem. Część mnie ma nadzieję, że macie rację, że odnaleźliście mordercę i już jest po wszystkim. Jednak wydaje mi się, że jest tu zbyt wiele podobieństw, żeby były to tylko moje fantazje.

– W takim razie musisz mieć bardzo dziwne fantazje – stwierdziła Mina.

Vincent zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

– Dlaczego się nie odzywałaś? – spytał cicho.

Pytanie padło tak niespodziewanie, że chwilę zajęło jej zrozumienie, co Vincent miał na myśli.

– Ja? – zdziwiła się. – Myślałam, że nie chcesz... Przecież ty się też nie odzywałaś.

– Wiem. Nie wiedziałem jak... Sprawa została przecież wyjaśniona. Próbowałem wymyślać najróżniejsze powody, ale żaden z nich nie był prawdziwy.

Mówiąc to, wciąż nie patrzył na nią.

– A jaki byłby prawdziwy? – spytała.

– Boję się, że coraz gorzej idzie mi odpowiadanie na to pytanie – powiedział i w końcu popatrzył.

Spojrzała prosto w te jasnoniebieskie oczy. Jego barki opadały bardziej niż zwykle, bo dotąd trzymał się zawsze dumnie i prosto. Ale nie dziś. Coś go najwyraźniej niepokoiło. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy na to, co wcześniej opowiadał jej o Marii, jednak wydawało się, że jest coś jeszcze. Coś, co dotyka go aż do głębi, do miejsca, które jej tylko mignęło przed oczami. Tego miejsca, w którym był prawdziwy Vincent. Mina położyła dłoń na jego ramieniu.

– Vincent... – zaczęła.

– Randka! – wykrzyknął nagle. – Byłaś na tej randce?

– Na tym koniec audiencji – odezwała się. – Miałaś chyba jakiś patyk do zabawy?

**STOJĄC PRZED** złotym szeregowcem, Ruben zbierał się na odwagę. To absurd tak się denerwować, i to on, który nigdy się nie denerwował. Sytuacja nie była jednak zwyczajna. W dodatku poprzednim razem nie za dobrze mu poszło. Odetchnął głębiej i nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyły się niemal od razu. Stała przed nim. Miała długie brązowe włosy, T-shirt i dżinsy. I wyglądała zupełnie jak swoja mama, ale również jak jeszcze ktoś, kogo codziennie rano oglądał w lustrze.

– Cześć, Astrid – odezwał się.

Z trudem przełknął ślinę.

– Cześć, Ruben – odpowiedziała wesoło.

Cofnęła się do przedpokoju, a Ruben wszedł za nią. Zdjąć buty i kurtkę czy to za duża śmiałość? Lepiej nie robić nic nieprzemyślanego. Astrid trzymała się blisko, jej wzrok był pełen oczekiwania, ale nic nie mówiła.

– No więc... – zaczął. – Jak tam szkoła?

– Mam wakacje.

Puknąłby się w czoło. Zgłupiał czy co? No pewnie, że ma wakacje. Ojciec powinien wiedzieć takie rzeczy.

– Cześć, już jesteś? – Ellinor wyszła z kuchni. – Nie słyszałam dzwonka.

Spojrzała na zegarek z taką miną, jakby nie do końca ucieszona jego widokiem, ale jej ton był chociaż odrobinę miłszy niż poprzednim razem.

– Rozbierz się i wejdź.

Małeńki przedpokój przechodził dalej w jadalnię z dużym dębowym stołem, zawalonym kredkami i papierami. Ktoś tu najwidoczniej lubi rysować. Wnętrze było urządzone przestronnie, z białymi ścianami i jasnymi meblami. Panująca tu jasność eksponowała kolorowe obrazy na ścianach. W czasach, gdy byli jeszcze razem, Ellinor często mówiła, że chciałyby malować. Najwyraźniej przeszła od słów do czynów. W dodatku miała talent, stwierdził.

Usiedli przy stole. Ellinor nie spytała, czy może go czymś poczęstować, stojąca w kuchni maszynka do kawy wyglądała na wyłączoną. Sygnał był wyraźny. Nie powinien zostawać dłużej, niż to konieczne.

– Cieszę się, że znów cię widzę, Ellinor – odezwał się. – Szczerze. Cieszę się, że mogłem się spotkać z wami obiema. Dziękuję, że mi odpowiedziałaś.

Nie mylił się, kiedy był tu poprzednio. Ellinor potrafiła wypełnić swoją osobą cały pokój i jeszcze więcej. Idiota z niego, że pozwolił jej odejść. Jednak nie

zamierzał popełniać błędów i wracać do przeszłości, bo tylko pogorszyłby sytuację.

– Przyznam, że zdziwiłam się, że chcesz porozmawiać – odparła. – Chociaż fakt, że już wiesz, to jedno, ale zaufanie to co innego. Jak to sobie wyobrażasz?

– No, pomyślałem, że może Astrid poszłaby gdzieś ze mną – powiedział. – Oczywiście, jeśli będzie chciała. I mogła. I oczywiście, kiedy jej pozwolisz.

Ellinor spojrzała na niego podejrzliwie.

– Nie jesteś najbardziej odpowiedzialną osobą, jaką znam – odparła. – Równie dobrze mógłbyś zapomnieć i zostawić ją w „Riche”.

– Może mi nie uwierzysz, ale nie jestem tym samym człowiekiem co dziesięć lat temu. Ani nawet rok temu. Zdziwiłabyś się.

– Co powiesz, Astrid? – zwróciła się do córki. – Wiem, że wiele razy o tym rozmawialiśmy, ale ciągle możesz zmienić zdanie. Nieważne, że Ruben jest twoim ojcem biologicznym, nie musisz się z nim spotykać, jeśli nie chcesz. Jak się z tym czujesz?

– Mam ciary – odpowiedziała Astrid. – Ale myślę, że będzie dobrze, mamo. Zresztą mam przy sobie komórkę.

– Okej. Dwie godziny. Na początek. Potem wracasz na kolację.

Dwie godziny. Niezupełnie tak to sobie wyobrażał. Ale lepsze to niż nic, w końcu jest już popołudnie. Nie miał pojęcia, o której dziesięciolatki jedzą kolację. Ani kiedy chodzą spać. Jeśli nie popełni wielkich błędów, może następnym razem spotkają się na dłużej.

Wyszli do przedpokoju. Ruben wyjął policyjną czapkę i włożył na głowę Astrid. Wpadła aż na uszy. To fajnie czy będzie niezadowolona? Nie miał pojęcia, jak się zachowywać wobec takich dziewczynek. Pamiętał jednak, co sam lubił, kiedy miał około dziesięciu lat. Różnica nie powinna być aż tak duża.

– Pomyślałem, że może pojeździmy trochę radiowozem – powiedział. – I przywitamy się z psami w komendzie. Bo właściwie to dziś pracuję, wiesz? Lubisz psy?

Astrid kiwnęła energicznie głową. Zastanawiał się, czy może dołożyć jeszcze wypad na strzelnicę, ale może to za dużo. Zresztą powinien sobie zostawić coś na następny raz.

– Strasznie lubię psy – odpowiedziała. – A czy psy policyjne nie są przypadkiem bardzo duże i gryzą?

– Mogłyby być groźne, gdybyś była złodziejką – zaśmiał się Ruben.

– Oj, to dobrze – odparła Astrid, poprawiając czapkę policyjną. – Bo ja nie jestem złodziejką. Mamo, to my jedziemy.

Astrid wyszła przez drzwi. Ruben miał już pójść za nią, gdy Ellinor go przytrzymała.



– Jeśli się nie spieszysz, to więcej jej nie zobaczysz – powiedziała, wbijając w niego wzrok. – Daję ci szansę. Jedną.

Ruben przyjął to, chociaż nie był przyzwyczajony do sytuacji, w których czułby się tak niepewnie. Nie było to fajne. Skinął głową i wyszedł. Astrid już szła w stronę parkingu. Cholera jasna. Nawet nie spytał Ellinor, czy Astrid może jeść lody. A potem pomyślał, że przecież sam może o tym zdecydować. W końcu jest jej tatą.

**VINCENT ODCZYTAŁ** ponownie maila od Umberta. Dostał go, kiedy był w parku z Miną, ale zauważył dopiero po powrocie do domu. W polu nadawcy lśniło czerwone logo TV4 obok uśmiechniętej paniusi z logo spółki producenckiej Jarovskij. Jedynym komentarzem Umberta były słowa „Dzieje się, *amico mio!*” plus uśmiechnięta buźka w okularach słonecznych. Reszta tekstu pochodziła od producentów. Siedząc na krześle kuchennym, Vincent miał wrażenie, że powoli umiera.

Mail zawierał trasę jego podróży, której celem była maleńka wyspa na francuskim wybrzeżu, a dokładnie wyspa, na której nagrywano program *Fort Boyard*. Do maila dołączono również zdjęcia samego fortu, zapewne po to, by obudzić jego ciekawość. Jednak zdjęcia kamiennej budowli o lekko militarnym charakterze odniosły skutek wprost przeciwny. Było to ostatnie miejsce na ziemi, które Vincent miałby ochotę odwiedzić. Powiększył zdjęcie i chyba dostrzegł armatę. Do wystrzelenia kogoś z armaty na pewno wybiorą jego. Po prostu wiedział, że tak będzie.

Napisali mu również, że ma się tam znaleźć za nieco ponad trzy tygodnie. Dwadzieścia pięć dni. To pewnie dość czasu, żeby skontaktować się z prawnikiem i spisać testament. Przede wszystkim chciał się upewnić, że gdyby nie przeżył, to Umberto i ShowLife Productions nie dostaną ani grosza.

– Co to jest?

Rebecka stanęła za nim i nad ramieniem zaglądała mu z zaciekawioną do telefonu.

– Przecież to *Fort Boyard*! Ale tato... – powiedziała z przerażeniem. – Nie weźmiesz chyba udziału w tym programie?

Vincent odwrócił się i spojrzał na córkę. Trzymała w ręce kanapkę, o której nagle zapomniała. Przerażenie na jej twarzy było nieudawane.

– A gdybym wziął?

– Przez cały semestr nie będę mogła chodzić do szkoły. Wyprowadzę się do Denisa i już nigdy nie wyjdę na ulicę.

– Niemożliwe – odparł. – Zabiorę ze sobą Dennisa, żeby był moim tłumaczem, przecież on jest Francuzem. Już zamówiłem T-shirty z naszym rodzinnym zdjęciem z Liseberg<sup>20</sup>, no wiesz, gdzie struchlała ze strachu siedzisz na samym przodzie wagonika kolejki górskiej. Ja i Dennis będziemy je nosić przez cały czas.

Przerażenie w oczach jego córki zamieniło się w czystą nienawiść.

– On ma na imię Denis – podkreśliła, akcentując po francusku. – A jeśli kiedykolwiek to zdjęcie znajdzie się choćby w jego pobliżu, to zginiesz.

Przez kuchnię przejechał samochodzik Lego, a zaraz za nim Aston, który nucił coś, pewnie jakąś melodię zespołu Queen, chociaż niełatwo było ją zidentyfikować. Wpływ Rebecki na Astona był jednocześnie niepokojący i wzruszający.

– Zobacz, tato! Urlopową wyprawę samochodem! Wszyscy się pomieścimy. Bawię się w rodzinę z krainy fantazji. Zupełnie jak ty!

– Chyba masz na myśli rodzinę z koszmaru sennego – powiedziała do Astona Rebecka.

– Aston, to, że Benjamin i Rebecka mają inną mamę, nie znaczy, że... – Vincent westchnął, a potem się poddał.

Rebecka wbiła w niego wzrok.

– Mam nadzieję, że wystrzelą cię z tej armaty, ale zapomną przywiązać – powiedziała cicho i poszła do swego pokoju z kanapką w garści.

– Mogłabyś nakarmić rybki, skoro i tak przechodzisz koło nich? – spytał.

– Może nakarmiłabym tobą? – syknęła i trzasnęła drzwiami.

Aston wrócił do śpiewania, teraz był to refren. Wydarł się na całe gardło, wyśpiewując jedyne zapamiętane słowa: *The show must go ooon!*

Vincent zgadzał się z tym całkowicie. *The show must go on.* Pytanie, jak długo jeszcze.

**MINĘ OBUDZIŁ JAKIŚ** głośny dźwięk. Z początku nie potrafiła go zidentyfikować, bo nadal tkwiła we śnie, w którym występowały konie, włókna, Milda ze skalpelem w ręce i pionki szachowe, które były większe od niej i poruszały się po gigantycznej szachownicy, grożąc, że ją zgniotą.

Rozejrzała się zdezorientowana. W telewizorze leciał jakiś letni program rozrywkowy. Widocznie zasnęła na kanapie. Głośny dźwięk rozległ się ponownie i Mina zdała sobie sprawę, że to jej komórka. Leżała na stoliku, świecąc wściekle.

– Halo...

Odebrała niewyraźnym, łamiącym się głosem. Chrząknęła i spróbowała jeszcze raz.

– Halo?

– Mina, nie zamierzam dłużej czekać.

Miał koszmarną zdolność, żeby dzwonić, kiedy spała. Na dźwięk jego głosu poczuła jak zwykle lekki niepokój. Teraz po latach prawie nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek tak nie było. Zawsze umiał sprawić, by czuła się gorsza, wybrakowana, podczas gdy on był doskonały. Lubił naprawiać rzeczy, doprowadzać sprawy do porządku. Może z nią też. Tak czy inaczej, dzięki temu był świetny w roli, w jakiej obecnie występował.

– Dziś wtorek. Minęło jedenaście dni – powiedział. – A ja nie mam od niej znaku życia. Odpowiedzialny rodzic zabrałby ją stamąd dawno temu.

Odpowiedzialny rodzic. Świetnie rozumiała, kogo ma na myśli.

– Nie ma sensu, żebyś jechał tam i napędził im strachu – powiedziała, patrząc na zegarek. – Jutro wybiorę się tam służbowo. Może Ines spuści z tonu, kiedy pojawię się w mundurze. Nie sądzę, że przyzna się, kim jestem.

– Dlaczego jutro? – zniecierpliwił się. – Dlaczego nie zaraz?

– Dlatego, że jest kwadrans po jedenastej wieczorem. I nie wydaje mi się, żeby sprawa była aż tak nagła. Parę dni temu rozmawiałam z Ines, zapewniała mnie, że wszystko w porządku.

– A od kiedy wierzysz swojej matce? Jedź tam zaraz z rana. I zadzwoń, kiedy już wrócicie.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Mina od razu poczuła rozluźnienie w ramionach.

Żołądek zaburczał głośno. Chyba zapomniała zjeść kolację.

Wstała, podeszła do zamrażarki i wysunęła szufladę. Przez chwilę patrzyła na jej zawartość i wybierała: pasta Alfredo czy nasi goreng. Zdecydowała się na Alfredo. Ostrożnie przyjrzała się pod lampą próżniowemu opakowaniu z plastiku, szukając jakichś pęknięć, przez które mogłyby się dostać do środka bakterie. Jednak plastik wyglądał na nienaruszony. Ściągnęła go ostrożnie i wstawiła pudełko do mikrofali. Nastawiła na maksymalny efekt i potrzywała nieco dłużej, niż powinna. Jedzenie było wtedy przegotowane, ale już lepsze to. Chociaż nie miała żadnych naukowych dowodów, niemniej była przekonana, że im więcej promieniowania, tym skuteczniej zginie w jej daniu wszystko, co żywe.

W końcu nacisnęła przycisk, otwierając kuchenkę, i wyjęła pudełko. Para oparzyła jej palce.

– Cholera!

Rzuciła pudło na blat i dmuchnęła na palce. Oby tylko nie pojawiły się pęcherze. Już sobie wyobrażała pełne płynu wielkie pęcherze na palcach i o mało nie zwymiotowała. To już lepiej obciąć sobie te palce. A właściwie to może powinna zrezygnować z jedzenia. Taka późna godzina. Jednak żołądek mówił jej co innego.

Kiedy pudełko trochę wystygło, ponowiła próbę podniesienia go. Tym razem poszło jej lepiej. Zabrała do tego widelec i wilgotne chusteczki i rozsiadła się na kanapie. Kolacja przed telewizorem. Zawsze to samo. Starannie przetręła widelec chusteczką, potem nabrała na niego trochę jedzenia i odetchnęła głęboko. Pewna firma chwaliła się, że oferuje kefir z żywymi bakteriami. Co za obrzydliwość. Mina miała szczerą nadzieję, że wszystko w tym daniu jest martwe. W telewizorze Benjamin Ingrosso śpiewał coś o utraconej miłości. Zamknęła oczy i włożyła widelec do ust.

– **MASZ ŚWIADOMOŚĆ**, że to raczej nie wzmacnia twojej teorii, co?

Fontanna w Fatbursparken miała zaledwie pół metra wysokości i była stanowczo za płytka, żeby mogło leżeć w niej ciało niezauważone przez nikogo. Było to niemożliwe, nawet gdyby leżało pod sklepieniem kolumn fontanny. Vincent obszedł ją dookoła, podczas gdy Peder pozwolił sobie ochłodzić dłoń w zimnej wodzie.

– Julia wyświadczyła ci przysługę, prosząc mnie, żebym tu z tobą przyjechał – ciągnął Peder, tłumiąc poranne ziewnięcie. – Trochę trudno było przetrwać to, co powiedziałeś. Wydaje mi się, że jesteś winien policji nową mapę ścienną. A jesteśmy tutaj, bo Julia chce, żebyś sam zrozumiał niedorzeczność tej twojej gry w szachy. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, o jaką stawkę toczy się jej osobista gra, kiedy daje ci wolną rękę. Będzie miała wielkie problemy, jeśli kierownictwo się o tym dowie. Co z kolei znaczy, że nasz zespół będzie miał problemy.

– To nie jest żadna gra – wymamrotał Vincent. – *Knight's tour* to matematyczne wyzwanie, żeby obejść skoczkiem wszystkie pola i w żadnym nie znaleźć się dwukrotnie. Tak jak nasz morderca, który zawsze znajduje nowe miejsce dla swoich ofiar.

Spojrzał na park, płaski i na tyle niewielki, że z łatwością mógł ogarnąć wzrokiem jego oba końce.

– Ale sam widzisz – przekonywał Peder. – Poza fontanną nie ma w tym parku miejsca, gdzie można by ukryć ciało tak, żeby nie zostało natychmiast odkryte. Już byśmy to zrobili. I wtedy może miałbyś rację. Jednak nie odkryliśmy, a więc nie masz racji. Niestety, tak uważam. Bo to bardzo ciekawa teoria, chociaż trochę szalona.

– Chyba że ciało zostało pogrzebane – powiedział Vincent. – Może należałoby tu trochę pokopać.

Peder westchnął i trącił nogą bruk otaczający fontannę.

– Jak powiedziała Julia: nie możemy odgrodzić całego parku i rozkopać go na chybił trafił tylko dlatego, że lubisz grę w szachy – odezwał się, ochlapując sobie twarz wodą z fontanny. – Przecież nawet nie wiemy, gdzie należałoby w takim razie szukać. To ja już wierzę raczej w nieprawdopodobną wodną teorię Novy.

Westchnął z ulgą, gdy poczuł chłód od wody.

Vincent ruszył chodnikiem okalającym fontannę.

– Nova jest bardzo dobra w swojej dziedzinie – powiedział. – Jednak jej teoria jest bezużyteczna i tylko was hamuje. A nawet gdyby była prawdziwa, to w tym mieście jest więcej miejsc nad wodą niż innych. Symbolika zostawiania kogoś nad wodą nie jest już tak mocna, gdy okazuje się, że to najłatwiejsze wyjście. Może chodzi o coś tak prostego jak to, że macie do czynienia z mordercą, który przy pływa łódką?

– I rzuca ciała w miejscach, do których może dopłynąć, tak? – odezwał się Peder w zamyśleniu. – Nieglupia myśl. Byłoby to znacznie prostsze zarówno od jej sekty, jak i twojej rozgrywki szachowej.

Na jego bujnej brodzie lśniły wciąż kropelki wody. Mina mogłaby pewnie niejedno powiedzieć na temat czystości wody z fontanny, ściekającej teraz z brody na koszulę Pedera.

– Wierz mi, że bardzo chcę się mylić co do poziomu inteligencji, który przypisałem naszemu mordercy. – odparł Vincent. – Byłbym najszcześliwszym z ludzi, gdyby okazał się człowiekiem, który w życiu nie słyszał o problemie skoczka szachowego, natomiast jest właścicielem motorówki. Taką osobę prawdopodobnie będzie łatwiej schwytać. Niestety, widzę tu pewien problem. William został odnaleziony, gdy dok był suchy, bez wody. Jedyne łodzie, które mogły znaleźć się w pobliżu, to były te już zamknięte w doku.

– Z drugiej strony w tym parku nie ma miejsca, gdzie można by ukryć ciało – zaproponował Peder. – Żeby odnieść się do twoich szachów.

– To, że go nie widać, nie znaczy, że go nie ma – zauważył Vincent w zamyśleniu.

– Mam wrażenie, że ciągle mówimy w kółko to samo – odparł Peder. – Czy moglibyśmy zawrzeć deal? Muszę zajrzeć do domu do Anette. Rano zostawiłem nowe pieluszki w samochodzie. Ale ty możesz tu jeszcze pobyć. Jeśli przyjdzie ci do głowy miejsce, które według ciebie jest tym właściwym, i potrafisz nas o tym przekonać, to obiecuję, że spróbuję nakłonić Julię, żeby zgodziła się pokopać. Ale tylko w tym jednym miejscu. I tylko raz. Okej?

Vincent patrzył na park, na jego trawniki, drzewa i starannie wytyczone ścieżki.

Park, gdzie nie dało się niczego schować tak, by zaraz tego nie odkryć.

Park, gdzie niczego nie odkryto.

– To ma sens – odparł.

**MINA SKRĘCIŁA** na dziedziniec przed siedzibą Epicury. Na wszelki wypadek zadzwoniła rano, uprzedzając o swoim przyjeździe, żeby Ines i Nova były przygotowane i nie zdradziły się przed Nathalie. Mina miała tam się zjawić wyłącznie w charakterze policjantki. Mimo tej historii z Nathalie Nova mogła się przydać w dochodzeniu, dlatego Mina nie chciała, żeby jej sprawy osobiste naraziły w jakiś sposób relacje Novy z zespołem. Powinna rozdzielać te dwie sprawy.

Pomachała ręką na widok Novy, która czekała na nią na dziedzińcu. Mimo wczesnej godziny powietrze aż wibrowało od upału, jednak Nova wyglądała świeżo w swoim białym jedwabnym ubraniu. Mina tylko wysiadła z samochodu, gdy poczuła pot spływający jej po plecach. Co za sadysta wymyślił, że policyjne mundury mają być czarne? Musiała się opanować, żeby nie wskoczyć z powrotem do samochodu, podkręcić klimy na maksa i nie zaproponować, by porozmawiały tam.

– Witaj! – Nova uśmiechnęła się szeroko.

Podeszła do Miny, ale tym razem nie zamierzała jej obejmować.

Zawsze coś.

– Chodź, wejdziemy do środka – powiedziała, zerkając na mundur Miny. – Jest zdecydowanie za gorąco, żeby być na dworze.

Ruszyła rażno w stronę głównego budynku. Mina szła za nią, a pot lał się jej ze wszystkich porów. Upewniła się, że ma przy sobie paczuszkę wilgotnych chusteczek, a potem z zaciekawieniem się rozejrzała. Sama nie wiedziała, czego się spodziewała, ale na pewno nie tego, że będzie tu tak... miło.

Za ciężkimi drzwiami wejściowymi panował błogi chłód. Mina zamknęła oczy, jej puls uspokajał się powoli. Może powinna poprosić Vincenta, żeby nauczył ją na przyszłość jakichś ćwiczeń oddechowych.

W holu, gdzie przyjmowani byli goście, panował spokojny, przyjemny nastrój. Pomieszczenie było wysokie, a duże szklane powierzchnie wpuszczały szczerze światło. Mina wzdrygnęła się, gdy kropelki potu zrobiły się zimne na skórze.

– Zimno ci? Mamy tu bardzo chłodno – powiedziała Nova przepraszająco.

– Nie, jest dobrze. Lubię, jak jest chłodno.

– Chodźmy do mojego biura – ciągnęła Nova, uśmiechając się. – Tam będą nam mniej przeszkadzać. Wszyscy ciągle czegoś ode mnie chcą. Zresztą ty może też nie chcesz być... niepotrzebnie widziana?



Skreśliła w lewo w długi korytarz i otworzyła drzwi znajdujące się na końcu. Mina weszła za nią do pokoju, który był duży i również bardzo widny. Wnętrze było wysmakowane i ascetyczne, w jasnych barwach, jedynym mocniejszym akcentem kolorystycznym były zielone rośliny. Nova usiadła za dużym biurkiem z przezroczystego plastiku, które wyglądało na designerskie i drogie, i gestem zaprosiła ją, by usiadła na jednym z dwóch stojących przed nim foteli. Ścianę na prawo od Novy pokrywał regał wypełniony książkami. Oprócz nich znajdowały się tam również fotografie w starannie czyszczonych srebrnych ramkach.

– Mogę popatrzeć?

Mina podeszła do regału, żeby móc się lepiej przyjrzeć.

– Oczywiście.

Nova podniosła się i podprowadziła ją do mebla. Pokazała palcem jedną z fotografii, czarno-białą, przedstawiającą eleganckiego starszego pana o postawie wyrażającej rezerwę. Na wózku inwalidzkim obok niego siedziała nastolatka, mająca w gipsie obie nogi i jedną rękę, a na szyi kołnierz ortopedyczny. Wyraz jej twarzy był poważny. Mina dopiero po chwili rozpoznała Novę.

– To mój dziadek. I ja. Po wypadku.

– Co się wtedy stało? Jeśli można spytać – odezwała się delikatnie Mina.

– Wypadek samochodowy. Mój tata zginął w nim, ja ocalałam, ale byłam poważnie ranna.

– Bardzo mi przykro.

Nova wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– To było tak dawno. W innym życiu. A dziadek się mną opiekował. Miałam szczęście.

– Doszłaś całkiem do siebie?

Mina przeniosła wzrok na inne zdjęcie. Przedstawiało młodszego mężczyznę. Otwarta, pogodna twarz, włosy do ramion i rozpięta pod szyją koszula.

– I tak, i nie. Wszystko się zagoiło, ale ból pozostał. Nauczyłam się postrzegać go jako swego rodzaju zaletę. Wiele z tego, co tu robimy, polega na tym, żeby nauczyć się radzić sobie z bólem i zmienić go w coś pozytywnego. Dotyczy to zarówno bólu fizycznego, jak i psychicznego. Jeśli w ogóle należy je rozróżniać. Ból to ból, różnica między ciałem a duszą nie jest aż tak duża, jak się wydaje.

Nova podeszła do biurka i ponownie usiadła. Mina stała jeszcze i wskazując na zdjęcie, spytała:

– Twój ojciec?

– Tak. Mój ojciec.

Nova nie powiedziała nic więcej, Mina czuła, że nie powinna pytać. Dosłyszała smutek w głosie tamtej i wolała nie grzebać w emocjach, jakie u

swojego dziecka budzi nieobecny rodzic, bo bała się, co mogłaby usłyszeć.

Zamiast tego usiadła na fotelu. Nova przyglądała jej się swymi intensywnie brązowymi oczami.

– Jak wam idzie? Macie jakieś postępy w dochodzeniu?

– Mamy kilka tropów, który które wydają się obiecujące – odpowiedziała Mina niejasno.

Nova wciąż patrzyła na nią uporczywie, a Mina zaczęła się wiercić.

Miała wrażenie, jakby Nova potrafiła ją przejrzeć. Do tej pory miała tak jedynie z Vincentem. Tylko że Vincent patrzył zawsze miękko i delikatnie, podczas gdy spojrzenie Novy było jak promień lasera. Jej można było odpowiadać tylko w stu procentach uczciwie.

– Niczego jeszcze nie wykluczaliśmy – odparła. – Również wersji, że mogła to być jakaś zorganizowana działalność. Tylko między nami mówiąc, wydaje się to takie...

– Wydaje się nieprawdopodobne – uzupełniła Nova. – Wiem.

Uśmiechnęła się, tym razem trochę krzywo, bardziej do siebie niż do Miny.

– Właśnie to sprawia, że sekty mogą się zakorzenić – ciągnęła. – Każdy myśli, że nie dałby się wciągnąć do sekty. Nikt nie wierzy, że one naprawdę są, a już na pewno nie w najbliższym otoczeniu. Nikt nie wierzy, że mogłyby poddać się wpływom sekty. Jednak my, ludzie, jesteśmy zwierzętami stadnymi. Chcemy podążać za stadem, a stado chce mieć przywódcę, za którym pójdzie. Sekta tylko wykorzystuje nasze najbardziej instynktowne i głęboko psychologiczne zaprogramowanie, nic innego.

– Wolę jednak wierzyć w ludzką zdolność do samodzielnego myślenia – odparła Mina.

– Ona oczywiście istnieje. Ale jest niesłychanie bardziej ograniczona, niżbyśmy chcieli. Ludzie są jak owce. I to właśnie nasza niechęć, żeby się z tym pogodzić, sprawia, że nie widzimy sieci utkanych przez pająki, które źle nam życzą. I wpadamy w nie. Przekonani aż do końca o naszej sile woli.

– To bardzo mocne stwierdzenie – zauważyła Mina, patrząc na nią ze zdziwieniem.

Twarz Novy rozpląnęła się w ciepłym uśmiechu.

– Tak, przepraszam cię. Zabrzmiało mocniej, niż zamierzałam. W pracy Epicury zajmujemy się w dodatku wzmacnianiem naszej samoświadomości. Wierzymy we wrodzone umiejętności człowieka. To przeważnie lęk ciągnie ludzi do grupy, a wszystkie lęki są w gruncie rzeczy takie same. Lęk przed spróbowaniem czegoś nowego pochodzi z lęku przed ocenianiem, który wywodzi się z lęku, że nie będzie się lubianym, co z kolei wywodzi się z lęku przed wykluczeniem, a ten z lęku, że nie będzie się miało dostępu do środków grupy, a to

wreszcie wywodzi się z lęku przed śmiercią. Wszystkie lęki sprowadzają się w gruncie rzeczy do lęku przed śmiercią. A samą esencją epikureizmu jest osiągnięcie zarówno *ataraksji*, poczucia równowagi i spokoju ducha, jak i *aponii*, nieobecności bólu – a tym samym wyeliminowania lęku przed śmiercią. Dopiero gdy nie boisz się śmierci, jesteś w pełni wolnym człowiekiem. Wierzmy, że każdy może osiągnąć szczęście i spokój ducha. Ile współcześnie żyjących ludzi może to powiedzieć?

– To wielkie słowa – skomentowała Mina, kiwając głową w zamyśleniu. – Jednak nie mam pojęcia, co znaczą w praktyce. Chodzi mi o to, w jaki sposób wasza filozofia rządzi na co dzień działalnością Epicury? Czego można się nauczyć, od strony praktycznej, na waszych kursach?

– Mogę cię zapisać na jeden kurs, serdecznie zapraszam.

– Wydaje mi się, że wystarczy ci członków mojej rodziny.

Nova roześmiała się dźwięcznie.

– Spróbuję to wytłumaczyć. Podwaliny zbudował mój dziadek, a ja postanowiłam zarządzać ośrodkiem, gdzie stwarzamy ludziom warunki do życia zgodnie z podstawowymi zasadami epikureizmu. Można się tu odsunąć od wszystkiego, co budzi obawy. Od polityki, awantur, konfliktów. Można żyć w spokoju i prostocie, ucząc się tego, co zapewnia trwałe szczęście zamiast krótkiej i natychmiastowej przyjemności. Nie każda przyjemność jest dobra. Nie każde cierpienie jest złe. Krótkotrwała przyjemność może prowadzić do długotrwałego bólu. I odwrotnie. Przede wszystkim jednak uczymy ludzi życia w terażniejszości.

– Jak długo zostaje tutaj większość z nich?

Mina złapała się na tym, że słucha z pewną niechętną fascynacją. W pewnym sensie zazdrościła Novie jej silnego przekonania, chociaż nadal uważała, że całość jest kompletnie oderwana od rzeczywistości.

– Mamy wszystko, od dziennych kursów dla grup leaderskich po osoby, które robią sobie odpoczynek od swego życia i zostają na dłużej – odparła Nova. – Niektórzy są u nas od lat. Jak na przykład twoja mama.

– Skoro już o niej mowa – powiedziała Mina. – Przyjechałam tu również w prywatnej sprawie. Nathalie musi wracać do domu, do ojca. Mam nadzieję, że ta podróż do swego wnętrza, o której wspomniałaś, była pożyteczna zarówno dla niej, jak i dla Ines. Niemniej to koniec. Najlepiej, żebyście wsadziły ją do autobusu jeszcze teraz, przed południem. Zresztą jeśli chcesz, może również wrócić ze mną radiowozem. Taki wybór macie ty i Ines. Jeśli nie chcesz, żeby zjawiał się tu jej ojciec z oddziałkiem zbrojnych i zabrał ją stąd siłą. Jego cierpliwość się wyczerpała.

– Chętnie bym ją odesłała – odparła Nova. – Oczywiście, że powinna wracać do domu. Problem w tym, że nie widziałam Nathalie ani Ines od... przeszło tygodnia, chyba.

Minę przeszedł zimny nieprzyjemny dreszcz. Powinna być mądrzejsza i nie ufać matce.

– Chcesz powiedzieć, że ich tu nie ma? A gdzie są?

– Nasi uczestnicy nierzadko odbywają kilkudniowe wędrówki po lesie – odpowiedziała Nova, uśmiechając się ponownie. – To skuteczny sposób, żeby się wzajemnie poznali, a w okolicy jest sporo miejsc noclegowych. Domyślam się, że Ines zabrała Nathalie na taką wędrówkę. Tylko taki pomysł przychodzi mi do głowy.

– Na przeszło tydzień?

– Przy tej pogodzie i z odpowiednim bagażem można bez problemu pójść nawet na dwa tygodnie – powiedziała Nova. – Często robimy sobie takie wędrówki. Nie ma nic lepszego, jak spanie latem pod gwiazdami i szykowanie sobie jedzenia prosto z natury. Powinnaś spróbować.

Absolutnie. Jak już wyasfaltują las. Ines, jaką Mina kiedyś znała, nie wiedziałaby nawet, jak zasznurować buty do chodzenia po lesie. Ale mama się zmieniła, Mina mogła to sama dostrzec, kiedy się spotkały. Nie doceniła jednak tej „podróży w głąb siebie”. Znaczyło to rzecz jasna również odnalezienie się w przyrodzie. Mama, dawniej żłopiąca litrami kawę, zaglądająca do kieliszka i dymiąca jak komin, została amatorką życia na łonie natury. Czemu nie? Nie było to bardziej niezwykle od wszystkiego innego.

Jednak nie podobało jej się, że zbiegiem okoliczności Nathalie zniknęła akurat wtedy, kiedy ona tu przyjechała. Nie wyglądało to na przypadek. Popatrzyła na Novę, która ciągle się tylko uśmiechała.

– Bez obaw, zapewniam cię. Ines się świetnie orientuje w lesie.

– Przekażę to ojcu Nathalie – powiedziała Mina. – Jednak proponuję, żebyś się skontaktowała z Ines. Ze względu na nią mam nadzieję, że wrócą wcześniej, niż mówiłaś. W przeciwnym razie jej pierwsze spotkanie z wnuczką będzie zarazem ostatnim.

**PO SPOTKANIU Z NOVA** Mina pojechała prosto do Fatbursparken, gdzie czekał na nią Vincent. Jednak po powrocie do komendy zamierzała zmienić przepoconą bieliznę. Zużywała co najmniej dwie pary majtek dziennie, czasem więcej w zależności od tego, jak bardzo się zgrzała. Do wielkich pak z majtkami dodała teraz całe stopy pięciopaków tanich koszulek, które również wyrzucała po jednym użyciu. Niewielki magazynek, jaki dotąd miała w swoim gabinecie, zaczął tego lata urastać do rozmiarów magazynu sklepowego. Było to właściwie bez znaczenia, przecież i tak nikt do niej nie przychodził.

Zerknęła na Vincenta, kiedy się spotkali w parku. Nawet w białym luźnym T-shircie potrafił wyglądać elegancko. Za to ona pewnie wyglądała jak wrak. Spocony wrak. Cholerny Vincent.

Spacerowanie po parku przeszło im niemal w zwyczaj, chociaż akurat Fatbursparken był na to właściwie za mały. A więc usiedli na ławce i rozejrzeli się. Mina siedziała na przyniesionej plastikowej nakładce. Wykluczone, żeby ławka mogła dotknąć jej ubrania, choćby wyglądała na czystą. Mimo to nie zdecydowała się jej dezynfekować. Nie w obecności Vincenta.

Nie powtórzyła mu, co jej powiedziała Nova. Vincent jako jedyny wiedział, że Mina ma córkę, chociaż nie znał szczegółów. Jednak nad sytuacją w Epicurze Mina nie miała żadnej kontroli i czuła, jakby tylko jeden oddech dzielił ją od tego, że cały świat dowie się o wszystkim. A wtedy padną pytania. Na które nie miała najmniejszej ochoty odpowiadać.

Myślała przede wszystkim o Nathalie. Bardzo nie chciała, by dziewczyna poznała prawdę. Mina powinna przynajmniej móc sama ją przedstawić. Może potrafiłaby osiągnąć tyle, że córka by ją zrozumiała. A teraz nie będzie miała tej szansy, bo Ines na pewno opowie wszystko podczas tej leśnej wędrówki. Banialuki jakieś. Poznawanie samej siebie wśród drzew. Skutek będzie taki, że gdy Nathalie dowie się, że matka jednak żyje, nie będzie chciała jej znać.

– Dziękuję ci, że przyjechałaś – odezwał się Vincent, przerywając jej rozmyślenia. – Lepiej mi się teraz myśli.

– Chcesz powiedzieć, że w mojej obecności, tak?

Zobaczyła, że się zaczerwienił. Odchrząknął i spytał:

– Właśnie, a jak ci idzie randkowanie?

– A jak tobie idzie z Ulriką? – skontrowała. – Były jeszcze jakieś samorzutne spotkania w Gondolen?

– Aua.

Wyglądał na dotkniętego.

– Mnie to naprawdę ciekawi – tłumaczył. – Moja córka ma chłopaka. W każdym razie tak mówią. Na imię mu Denis. Nigdy się nie spotykają u nas w domu i widocznie ja jestem tego powodem. Ponoć jestem żenujący. A więc skoro nie wolno mi stawiać trudnych pytań o jej życie miłosne, to muszę pytać ciebie.

Mina poprawiła się na ławce, żeby było wygodniej. Plastik zaszeleścił pod nią. Vincent mówił żartobliwym tonem, ale sądząc po wyrazie twarzy, pytał szczerze. Naprawdę chciał wiedzieć. Tylko co miałyby mu powiedzieć? Pytanie było bardzo osobiste, by nie mówić prywatne. Choć przy nikim nie czuła się tak swobodnie jak przy Vincencie. Jeśli nie z nim, to z kim miałyby rozmawiać? Zresztą pewnie już się domyślił, jak się skończyła jej randka.

– Powiedzmy w ten sposób, że dowiedziałam się, czego bym chciała naprawdę – odparła. – A więc Fatbursparken, i co powiesz? Naprawdę myślisz, że leży tu ktoś, kto został zamordowany?

Zmiana tematu dokonała się w sposób niemal żenująco prostacki, ale najwidoczniej Mina znalazła właściwy przycisk, bo jego twarz pojaśniała.

– To zdecydowanie jeden z najdziwniejszych parków w Sztokholmie – powiedział. – Południowa część, ta naprzeciw nas, jest, jak widzisz, półkolem z trawnikami i alejkami. Północna, w której siedzimy, to beton i proste linie. Jeśli dobrze pamiętam, architektom chodziło właśnie o zilustrowanie chaosu naprzeciw porządkowi. Yin styka się z yang. Dionizos i Apollo.

Pokazał palcem pomnik z brązu w odległości metra, może dwóch od ich ławki.

– Przywitaj się z greckim bogiem Apollinem – powiedział. – Po drugiej stronie stoi Dionizos. Co prawda tylko w postaci winnej amfory. Apollo jest przynajmniej mężczyzną, choć z nogami konia.

– Co ty masz z tymi pomnikami parkowymi? – zaśmiała się Mina. – Ta fiksacja nie wydaje się do końca zdrowa.

Vincent wzruszył ramionami.

– Pomniki w przestrzeni publicznej mają częściej, niż się sądzi, symbolikę pogańską, a nawet okultystyczną. Mnie to fascynuje. W mieście tworzą wielką sieć, której nikt nie dostrzega i nad którą nikt się nie zastanawia. Gdybym był mistykiem, widziałbym to w ten sposób, że wypełniają miasto okultystyczną energią. W to akurat nie wierzę, niemniej pomniki mogą jednak wywierać pewien efekt psychologiczny. W niektórych przypadkach jest on dość oczywisty.

Pokazał palcem niską fontannę pośrodku parku. Mina nie potrafiła zdecydować, czy przypomina powiększoną wanienkę dla ptaków, czy podzielony na pół talerz o wygiętych brzegach.

– Jak myślisz, o co rywalizują ze sobą w tym parku Apollo z Dionizosem? Oczywiście o Afrodytę, boginię miłości. A oto ona. A właściwie jej otwarte szeroko łono.

– Vincent!

Jednak widziała dokładnie, o co mu chodziło. Fontanna miała wyraźnie erotyczne kształty, choć nieprzesadnie oczywiste dla tego, komu trzeba zwrócić na to uwagę.

– Cała rzecz z tą symboliką jest taka, że działa na naszą podświadomość – ciągnął. – Jak myślisz, ilu przechodzących obok czuje się nagle trochę zawstydzonych, podnieconych albo oburzonych, choć nie wiedzą dlaczego? Albo dlaczego jest tu tyle obściskujących się par?

Rzeczywiście, po drugiej stronie parku widać było sporo tulących się par na kocach, pochłoniętych sobą i z pozoru nieświadomych otoczenia.

– Jeśli w tym parku jest jakieś martwe ciało, to mam nadzieję, że leży tam, pod trawą – powiedział Vincent, podnosząc się z ławki. – Łatwiej rozkopać trawnik, niż rozwalać asfalt i beton.

Mina również wstała. Wzięła plastikową podkładkę w dwa palce i wrzuciła do kosza na śmieci. Następnie podeszła do fontanny. Podejrzewała, że ma na siedzeniu mokrą plamę. Stała tak, by Vincent nie mógł widzieć jej od tyłu. Na wszelki wypadek.

– Zazdrościsz im, że sam nie możesz się obściskować na trawie, i tyle – powiedziała.

Wiedziała, że nie dałoby się ukryć żadnych zwłok w fontannie, która była na to za niska. Bruk pod stopami też nie wydawał się prawdopodobnym miejscem pochówku. Kto miałby tyle czasu i środków, by rozebrać i ułożyć z powrotem całą brukowaną ścieżkę, żeby ukryć zwłoki, choćby nieduże?

Podążyła alejką za Vincentem aż do trawnika. Południowe półkole parkowe mierzyło ledwo sto metrów od końca do końca.

– Gdybyś miała zakopać tu ciało, gdzie byś to zrobiła? – spytał trochę za głośno.

Najbliżej leżąca para na żółtym kocu, mężczyzna i kobieta około trzydziestki, drgnęła i wpatrzyła się w niego.

– Może przy brzegu którejś z alejek – odparła, starając się przybrać równie poważny wyraz twarzy jak Vincent.

Kobieta usiadła i podciągnęła kolana pod brodę, rozglądając się z nieszczęśliwą miną po trawie wokół koca. Mężczyzna wyglądał, jakby miał ochotę ich zamordować.

Vincent kiwnął głową w zamyśleniu.

– Trawę w tym miejscu jest zapewne łatwiej odciąć, a potem z powrotem ułożyć tak, żeby nie było widać.

Wspomniana para zabrała się do pakowania kieliszków, butelki wina i koca. Zdecydowanie było już po randce.

– To było złośliwe, Vincent – powiedziała Mina, dźgając go lekko palcem w bok.

Uniósł brwi i spojrzał na nią niewinnym wzrokiem.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. – A potem dodał, ścisząc głos: – Ale co sądzisz o tamtych drzewach? Rosną na tyle gęsto, że ludzie nie chodzą między nimi i nie można tam siedzieć. Gdyby w tamtym miejscu ktoś rozkopał ziemię, zachowując odpowiednią ostrożność, prawdopodobnie nikt by tego nie zauważył, zanim trawa zdążyła odrosnąć.

Podeszli do zagajniczka. Vincent nagle chwycił ją za ramię i pokazał palcem. Rzadko jej dotykał, na tyle ją znał, że tego unikał. Prawdopodobnie nawet nie był świadom, że jej dotyka. W dodatku miała na sobie tylko koszulkę, więc ramię było gołe. Jego skóra o jej skórę.

Nie wolno jej panikować.

W każdym razie jeszcze nie.

Zamierzała nic nie mówić, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Zamiast tego próbowała zrozumieć, co on jej pokazuje. Trawa między drzewami była ciemniejsza od trawnika poza nimi.

Vincent nachylił się i urwał kilka źdźbeł.

– Jak myślisz, dlaczego są ciemniejsze? – spytał.

– Nie wiem, ale też to widzę. Może dlatego, że pod drzewami nie dostają tyle samo światła słonecznego?

– Może. W każdym razie jest to zdecydowanie 125715.

– O czym ty mówisz?

– To kod tego ciemnego odcienia zieleni. Tłumacząc na litery, będzie to LEGO. Nie pytaj, czy to ma coś wspólnego z Fortem Boyard.

Mina nic nie rozumiała i nie była pewna, czy Vincent przypadkiem z niej nie żartuje. Prawdopodobnie jednak nie.

Vincent przyjrzał się liściom na najbliższych drzewach, potem podszedł do drzewa stojącego nieco dalej i zrobił to samo. Wracając, trzymał w ręce kilka liści.

– Hmm, liście drzew w tym miejscu również są bardziej zielone niż na tamtych drzewach. I rośnie więcej chwastów. To dziwne, bo zarząd parku zazwyczaj pilnuje takich rzeczy.

Mina tylko patrzyła na niego.

– Masz może jakąś plastikową torebkę?



Nie musiał pytać. Doskonale wiedział, że zawsze ma. Wyjęła niedużą torebkę strunową. Vincent włożył do niej listki i źdźbła, a następnie zamknął.

– Zostałeś botanikiem? Jeśli chcesz je wyprasować w książce jak za czasów szkolnych, to można wybrać ładniejsze. Może zasuszyłbyś również kilka róż, żeby powiesić na ścianie?

– Nie potrzeba. W tym roku dostałem na urodziny suszone róże od Marii. Wiszą nad łóżkiem.

Wyjął telefon.

– Nie wiem, jak długo liście i trawa utrzymują świeżość, więc może powinienem również zrobić kilka zdjęć.

Sfotografował zawartość torebki, potem zrobił to samo z trawą na ziemi między drzewami i zrobił zdjęcia z bliska liściom na drzewach.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć, co ty robisz – powiedziała. – Wracając do naszego dochodzenia, naprawdę wierzysz, że jakiś maniackalny szachista zakopał tu czyjeś zwłoki?

Rozległo się brzęczenie jej telefonu, na który Vincent przesłał wszystkie zrobione zdjęcia.

– Może to nic takiego – odparł, podając jej torebkę z liśćmi i źdźbłami trawy. – Nic nie powiem, dopóki nie będę miał pewności. Po wczorajszym zebraniu i tak mam kiepskie notowania u waszego zespołu. Zresztą powinienem się przygotować do wieczornego przedstawienia. W najbliższy weekend wypadają ostatnie występy w tym sezonie. Wydaje mi się jednak, że mogłabyś przekazać Mildzie te zdjęcia i torebkę. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, to lepiej, żebyście się tego dowiedzieli od niej.

– **TY NIE MASZ CZASU** na takie rzeczy! – fuknęła mama, zakładając ręce na piersi.

Adam się tylko uśmiechnął.

– Przestań mi mówić, na co nie mam czasu – odrzekł. – Będę zapraszał moją mamę na kolację, ile razy zechcę.

– Wiesz, co ja sędzę na ten temat – fuknęła jeszcze raz Miriam, przyglądając się krytycznie aranżacji wnętrza jego kawalerki z wnęką kuchenną. – To mieszkanie potrzebuje kobiecej reki.

– Świetnie daję sobie radę sam.

– Jakoś nie wierzę. Spójrz!

Oskarżycielskim gestem wskazała na roślinę doniczkową, której dobry czas już minął.

– Uważam, że ty również potrzebujesz kobiecej ręki – powiedziała. – Żaden mężczyzna sobie bez niej nie radzi.

– Mamo, przestań. Nie widzisz, że się czerwienię.

– Mówię tylko, że nie zawsze przy tobie będę. Potrzebujesz kogoś, kto się tobą zaopiekuje.

Umilkli. Sens jej słów zawisł ciężko w powietrzu. Nie spytał jeszcze o wynik jej ostatniego badania w Karolinska. Nie miał pewności, czy chce go znać. Miriam chrząknęła i z wysiłkiem się uśmiechnęła. Rozumiał, że mama robi to dla niego, i kochał ją za to. Chociaż wcale mu to nie ułatwiało sytuacji.

– Mówiłeś, że masz w pracy nowych kolegów – ciągnęła. – Nie ma tam jakiejś kobiety, która by ci przypasowała?

– Owszem, może i jest. Dosyć szczegółna.

– Powiedziałeś jej to?

– Coś ty! Staram się nie okazywać jej, że jestem zainteresowany. Wydaje mi się, że ona nie... że to by tylko wszystko skomplikowało. Zresztą gdzie ja bym pomieścił tutaj kobietę?

Odlewając do zlewu wodę ze spaghetti, Adam powiódł wzrokiem po swojej małej kawalerce, liczącej trzydzieści metrów kwadratowych powierzchni.

– Pac! – powiedziała Miriam, trzepnąwszy go po karku, przez co woda nie trafiła do zlewu. – Skupiasz się nie na tym, co trzeba! Jak ja cię wychowałam? I co znaczy pomieścił? Pomieściłbyś tu i kobietę, i czwórkę dzieci. To jest pałac

w porównaniu z tym, co ja z twoim ojcem mieliśmy w Ugandzie. Mieszkaliśmy w...

– Tak, tak, możesz mi nie powtarzać, z twojej opowieści mogłoby wynikać, że mieszkaliście w szałasie na klepisku.

– Rozpuszczony dzieciak – mruknęła i znów trzepnęła go w kark.

– Aua! Wiesz, że w Szwecji nie wolno bić dzieci, co?

– Głupstwa opowiadasz. Urodziłam cię, będę robić, co mi się podoba. I nie myśl sobie, że nie możesz dostać chochlą tylko dlatego, że niby taki wysoki i dorosły...

– A więc wyobrażasz sobie, że będziesz miała czwórkę wnuków – przerwał. – Słyszałem, co powiedziałaś.

– Tak na początek. Więc pospiesz się, bo nie robisz się coraz młodszy. Tylko zdejmij te obrazki z Ikei, żadna kobieta nie postawi tu nogi, dopóki wiszą na tych ścianach.

Głową wskazała na czarno-białą fotografię przedstawiającą robotników budowlanych, którzy siedząc na grubej belce zawieszanej wysoko nad Nowym Jorkiem, jedli drugie śniadanie.

– Siadaj – powiedział ze śmiechem Adam, stawiając na stole garnek z gorącym makaronem.

Wziął ronderek z sosem mięsnym i postawił obok.

– Jedzenie dla dzieci – skomentowała Miriam, ale i tak nabrała sobie porządną porcję. – W kuchni też potrzebujesz kobiecej ręki.

Jedli w milczeniu przez chwilę, a potem Adam odłożył sztucce.

– Co ci powiedzieli?

Uciekła wzrokiem i sięgnęła po łyżkę, którą nałożyła sobie dokładkę.

– Jutro zacznym leczenie – mruknęła.

W ciszy, jaka zapadła w kuchni, szcęknięcie sztucców zabrzmiało jak wystrzał z pistoletu.

Adam odsunął talerz. Odechciało mu się jeść.

**JEJ SERCE ZATRZEPOTAŁO** radośnie, jak zawsze, kiedy odwiedzała dziadka. Czerwony dom w Enskede stał się dla Mildy symbolem tylu fajnych rzeczy z jej dzieciństwa. Był personifikacją dziadka Mykolasa.

Otworzył jej, zanim zdążyła zapukać.

– Dzień dobry! – zawołał. – Nastawiłem kawę!

Weszła do przedpokoju, żeby zdjąć buty. Było tam pełno olśniewających kolorami pelargonii i hortensji. Idąc za dziadkiem do kuchni, skrzywiła się lekko. Mówił głośno, bo od roku źle słyszał, co jej w nieprzyjemny sposób przypomniało o jego zaawansowanym wieku. Wolałaby się łudzić, że dziadek będzie żył po wsze czasy. Ale jej akurat trudno było wyobrazić sobie coś takiego.

– Siadaj, wyglądasz na zmęczoną – zagrzmiął dziadek, stawiając na stole filiżankę gorącej kawy.

– Wrzeszczysz, dziadku – powiedziała głośno.

Zaśmiał się, a w jego ogorzałych policzkach pogłębiły się dołeczki.

– Ojej, no cóż, z moim słuchem jest trochę byle jak. Ale mogło być gorzej! Mógłby być wzrok!

– Przyniosłam bułki – powiedziała, wyjmując z papierowej torebki drobne okrągłe pieczywo. Bez niczego, tak jak lubił dziadek. Rozcięła je, potem ze środkowej półki w lodówce wzięła masło i ser, a następnie usiadła przy stole naprzeciw niego.

Nie zwracając uwagi na masło, wziął pół bułki i ugryzł kęs, zamykając oczy.

– Mmm, świeże. To jest dopiero radość życia. – Zaraz spowaźniał. – No więc co się dzieje? Bo widzę, że jest coś.

– Ależ skąd – odparła i machnęła dłonią, chociaż wiedziała, że to właściwie nieskuteczne, bo dziadek się nie podda.

– Chodzi o Adiego?

Westchnęła. Dziadek świetnie umiał trafić w najczulszy punkt. Posmarowała sobie bułkę i w krótkich słowach opowiedziała o żądaniach brata w sprawie domu. Dziadek przewrócił oczami i położył szorstką dłoń na jej ręce.

– W każdej rodzinie trafia się jedno zgniłe jabłko – powiedział. – Ale ty jesteś dobrym jabłkiem. Jesteś Mio. Wiele osób mówi, że te jabłka są najlepsze, bo mięsz jest soczysty i owocowy w smaku, trochę truskawkowy. To odmiana pochodzenia szwedzkiego i angielskiego, ma najlepsze cechy obojga rodziców.

Urodę po matczynym gatunku Worcester Pearmain, a delikatny smak po ojcowskim gatunku Oranie.

– Czy nazwa Mio została wzięta z bajki Astrid Lindgren?

Milda uśmiechała się, miło jej było, że porównał ją do pięknego jabłka.

– Właśnie tak!

Oczy dziadka zalśniły.

– Złote jabłko. Tak. Przynajmniej tak się wierzy.

– W takim razie jakim gatunkiem jabłek jest Adi?

Dziadek fuknął.

– Żadnym. Adi jest szkodnikiem jabłek. Ich larwy przegryzają się przez mięsz, dochodząc aż do gniazda nasiennego.

– Dziadku, ale on też jest twoim wnukiem.

Dziadek prychnął.

– Właśnie. Nie wolno się tak zachowywać wobec swojej rodziny – mruknął, ściągając brwi. – Powinienem chyba zamienić kilka słów z tym szkodnikiem.

Zerknęła na dziadka. Tylko kilka razy w życiu widziała, jak się gniewa. Sądząc po jego minie, niezłe natrze uszu Adiemu.

Po chwili dziadek się ponownie uśmiechnął.

– Domyślam się jednak, że nie dlatego tu jesteś. Nie przyszłaś rozmawiać tylko o Adim.

Milda spojrzała na stół. Obiecała sobie, że pewnego dnia odwiedzi dziadka, nie mając do niego żadnego interesu. Niedługo. I nie tylko przyniesie bułki, jeszcze zabierze ze sobą Verę i Conrada. Ale to nie dziś.

– W porządku – ciągnął dziadek. – Bardzo się cieszę, kiedy moja wiedza może się jeszcze przydać poza tą szklarnią. Wolałbym tylko, gdybyś tym razem nie przyniosła ze sobą torebki z włosami. To było dość... szczególne.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Dziadek umiał wszystko ułatwić. Zawsze tak było. Z dziadkiem nic nie było trudne. Ledwo miała odwagę myśleć, jak to będzie kiedyś bez niego.

Odsunęła na bok śniadanie i sięgnęła po zdjęcia i plastikową torebkę, którą dała jej Mina. Zdjęcia wydrukowała w powiększeniu, żeby dziadek mógł łatwiej dostrzec szczegóły.

– Żadnych włosów – powiedziała. – Za to źdźbła trawy. I one, i liście pochodzą z Fatbursparken na Söder. Jak widzisz na tych zdjęciach, w jednym miejscu trawa jest ciemniejsza. Ciemniejsze liście pochodzą z drzew rosnących wokół tego miejsca. Liście pozostałych drzew i trawa w parku są znacznie jaśniejsze. Jak myślisz, o co chodzi? Czy to z powodu tego, ile promieni słonecznych dociera między drzewa albo czegoś w tym rodzaju?

Dziadek Mykolas zgarnął okruszki ze stołu i wysypał listki na blat. Dwa obejrzał pod światło. Potem roztarł je ostrożnie między palcem wskazującym a kciukiem, wreszcie powąchał.

– Słońce bez wątpienia jest ważnym czynnikiem dla wszystkiego, co rośnie – powiedział. – Ale równie ważne jest to, co pod nimi. W ziemi. A ziemia jest różna w różnych miejscach. Różna jest zawartość minerałów i różne składniki odżywcze. Mniej lub więcej wilgoci. Te źdźbła trawy i liście są ciemniejsze, bo wytworzyły więcej chlorofilu od pozostałych. Co oznacza, że ziemia w miejscu, gdzie rosną, zawiera prawdopodobnie więcej azotu. Wydaje się, że ta ziemia jest w ogóle żyźniejsza, jeśli spojrzeć na chwasty, które są na zdjęciach.

– Czyli rozmawiamy o miejscowej zmianie składu chemicznego gleby – podsumowała Milda. – Co może powodować zwiększoną zawartość azotu na tak małej powierzchni? Przechodzące w pobliżu przewody elektryczne? Miedziane rury? Różnice temperatur?

– Naprawdę nie wiem – odparł. – Musiałbym pobrać próbkę ziemi, żeby się dowiedzieć.

Starannie włożył listki i źdźbła trawy z powrotem do torebki i zamknął ją.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego się nagle zainteresowałaś fotosyntezą? – spytał. – Chodzi o jakiś szkolny projekt Very?

Jednak Milda już nie słuchała. Przyszła jej do głowy przerażająca myśl. Ludzkie ciało zawiera około dwóch kilogramów azotu. Duża część zamienia się w amoniak podczas procesu gnilnego, na co jako lekarka sądowa musiała być wyczulona przy dokonywaniu sekcji starych zwłok. Człowiek wolał tego nie wdychać. Jednak nawet po tym procesie pozostały azot w zwłokach pogrzebanego człowieka wystarczyłby do pięćdziesięciokrotnego zwiększenia naturalnej zawartości w tym miejscu. Co z kolei wystarczyłoby aż nadto, by wpłynąć na zmianę poziomu chlorofilu, o czym mówił dziadek.

Milda zapatrzyła się na powiększone zdjęcie ciemnozielonego miejsca między drzewami. Miało niecałe dwa metry kwadratowe. W sam raz na dziecko.

**POLICYJNA CZAPKA** o tyle chroniła przed słońcem, że nie piekło czaszki bezpośrednio, za to pod czapką temperatura zrobiła się nie do wytrzymania. Julia wymagała od nich, żeby w tym dniu wszyscy byli w mundurach. Chodziło o to, by pokazać się przed społeczeństwem, niech ludzie widzą, że pracują. Jednak Mina już zdążyła pożałować, że się na to zgodziła. Poszła do cienia pod jednym z parkowych drzew i zdjęła czapkę. Od razu zrobiło jej się lepiej.

Vincent podszedł i stanął obok.

– Jak to się stało, że Julia zorganizowała to tak szybko? – spytał.

Julia stała kilka metrów dalej razem z technikami, którzy kopali ostrożnie trawnik, zdejmując warstwę po warstwie.

Specjaliści od georadaru ustalili za pomocą fal radiowych emitowanych do ziemi, że pod trawą w Fatbursparken znajduje się coś, co może być ludzkim ciałem. Wkrótce dowiedzą się, czy faktycznie tak jest.

Przed rozpoczęciem kopania w ziemię wetknięto długie patyki, by sprawdzić, gdzie w pokładach ziemi zachodzą jakieś zmiany. Dzięki temu udało się ustalić ewentualne kontury tego miejsca bądź grobu. Ciało, jeśli rzeczywiście były to ludzkie zwłoki, prawdopodobnie zostało zakopane bez osłony.

Milda wyjaśniła Minie, że gdyby na przykład znajdowało się w plastikowym worku, to azot nie przedostałby się do ziemi. Technicy mogli w każdej chwili trafić na ciało w stadium rozkładu. A ponieważ woleliby go nie uszkodzić, wyglądało to wręcz jak wykopaliska archologiczne.

– Już we wtorek, kiedy wspomniałeś o parku, poprosiłam Julię o pociągnięcie za odpowiednie sznurki – odparła Mina. – Więc kiedy Milda zadzwoniła przed południem i powiedziała o swoich podejrzeniach, wszyscy byli już w gotowości. Zespół techników udało się zebrać w zaledwie parę godzin.

– Czyli gdy byliśmy tu wczoraj, Julia już zdążyła wystąpić o zgodę na kopanie? I nic mi nie powiedziałaś?

– No wiesz, ty mi nie powiedziałaś, że mam mokrą plamę na tyłku od plastikowej podkładki na ławkę.

– To nie to samo. Zresztą, po pierwsze, nie przysłoby mi do głowy patrzeć na twój tyłek. Po drugie, dżentelmen nie mówi takich rzeczy, nawet gdyby je zauważył.

– Czyli jednak widziałeś? Więc mówisz, że jednak spojrzaleś na mój tyłek?

Vincent zaczerwienił się po same uszy i rozkaszał się.

– Zawsze obserwuję mowę ciała, a w ogóle to strasznie dużo czasu im to zajmuje – powiedział. – Chyba powinienem się tam przejść.

Może była to złośliwość z jej strony, ale drażnienie się z Vincentem stało się jednym z jej ulubionych zajęć. Podejrzewała, że zemsta będzie straszna, ale i tak warto było.

– Wydaje mi się, że twoja pomoc jest im potrzebna w takim samym stopniu jak instruktor pływania architektowi – odpowiedziała z uśmiechem. – Ale masz rację. To nie to samo. Nic ci nie powiedziałam, bo miałam nadzieję, że się mylisz. Uzyskanie takiej zgody trwa zazwyczaj wiele tygodni. Jednak urząd miejski najwyraźniej nie był zachwycony perspektywą, że jakiś turysta natknie się w parku na zwłoki dziecka. Pewnie byliby nawet gotowi dostarczyć łopaty, gdyby ich Julia poprosiła. Ja wciąż mam nadzieję, że się mylisz. Wręcz liczę na to, bo gdybyś miał rację, to konsekwencje tego...

– Wiem – powiedział. – Wolę o tym nie myśleć.

Jeden z techników machnął do nich nagle.

– Tutaj! Mam coś! – zawołał.

Vincent patrzył prosto na technika i znów złapał Minę za ramię, jak poprzednim razem, kiedy byli w parku. I tak jak wtedy wydawał się nieświadom tego, co robi. Czują jego dotyk i wcale jej to nie przeszkadzało.

Julia, która stała obok techników, nachyliła się nad ich znaleziskiem, w tym samym momencie w powietrzu rozeszła się silna woń amoniaku.

Wydawało się, że Julia studiuje znalezisko. Być może potrzebowała czasu, żeby zrozumieć, na co patrzy. Albo też wolała nie rozumieć. Następnie podeszła do Miny i Vincenta.

– To będzie miało dość niepożądane następstwa – powiedziała do Miny. – Mówienie w tych okolicznościach o polityce może się wydawać dość makabryczne, ale muszę to robić. Bo polityka w komendzie wpływa na istnienie całego naszego zespołu. A dzisiejsze znalezisko stoi w całkowitej sprzeczności z tym, czego życzyło sobie kierownictwo. Nie pasuje do układanki, którą mieliśmy ułożyć.

Zwróciła się do mentalisty.

– Wygląda na to, że miałeś rację, Vincent. Gratuluję.



**JULIA ODCHRZĄKNEŁA.** Między jej prywatną relacją z ojcem a ich stosunkami zawodowymi panował wyraźny rozdział. Co w istocie nie było dziwne, raczej odwrotnie. W końcu ojciec był komendantem policji.

– Otrzymuję niepokojące sygnały, z których wynika, że znowu słuchacie tego... magika.

– Tato, on nie jest żadnym magikiem – westchnęła Julia. – Jest mentalistą.

Ze spojrzenia ojca wywnioskowała, że ta definicja wcale nie pomogła.

– Mamy bardzo wiarygodny trop – powiedział. – I przypuszczalnego sprawcę. Mauro Meyera. A moje doświadczenie w tym zawodzie jest nieco większe od twojego. I ono mi mówi, że najprostsza odpowiedź jest zazwyczaj tą najbardziej prawdopodobną. Co do tego drugiego tropu... Wkrótce zbliżę się do takiego momentu, że będę musiał wydać ci rozkaz porzucenia go. Miałem wątpliwości już wtedy, gdy zaprosiliście na konsultacje Novę. Ona chociaż... no tak. Ale teraz wymknęło się to zupełnie spod kontroli. Żeby zamienić ją na tego... tego...

Julia odetchnęła głęboko. Poczwała się jak siedmiolatka, którą tata gani, bo zapomniała wstawić mleko do lodówki.

– Słyszę, co mówisz. Jednak nie sposób pominąć faktu, że kilka godzin temu rzeczywiście znaleźliśmy zwłoki w Fatbursparken. Dzięki Vincentowi i jego teoriom. Zatem nie da się powiedzieć, że to, na co zwrócił uwagę, nie jest zgodne z prawdą.

– Nigdy nie mówiłem, że... ten Vincent... się myli – odparł Östen tym samym tonem co tamtym razem, gdy zapomniała zamknąć furtkę, a ich owczarek alzacki wymknął się i zmajstrował potomstwo należącej do sąsiadów spanielce cavalier king charles. – Jedno nie wyklucza drugiego. Jego wnioski mogą być słuszne, co nie wyklucza, że winnym jest Meyer. Powinniście się skupić, przycisnąć go, żeby się przyznał, i dowiedzieć się, kto mu pomagał.

– A motyw? – spytała Julia, wierząc się na krześle.

– On się zdradzi. Zawsze jest motyw. Czasem udaje się go ustalić, czasem nie. Jednak powinnaś zacząć od samego czynu. Fakty. Dowody. To, co konkretne i namacalne. Jak to, że ubranka chłopca znaleziono w jego restauracji. Fakty. Z tego, co rozumiem, była żona od dawna ostrzegająca przed nim. Fakty. I wiesz co, czasem chciałbym, żebyśmy jako społeczeństwo potrafili lepiej słuchać. Jednak niestety rzeczywistość jest, jaka jest.

Pokręcił głową z ubolewaniem, a Julia ugryzła się w język. Zdawała sobie sprawę, że to bezcelowe. Skoro tata już dosiadł moralnego konia, nic do niego nie dotrze. Chciał dobrze i serce miał po właściwej stronie. Należał jednak do odchodzącego pokolenia policjantów ukształtowanych do rozumowania w ściśle określonych ramach. Jeśli okazywało się, że ramy nie pasują, to treść dopasowywano do ram, czasem kosztem prawdy. Julia była zmuszona częściowo grać w tę grę, bo to wciąż oni ustalali jej zasady i podejmowali decyzje. Kiedy została policjantką, wiedziała, w co się wdaje. I to pewnie lepiej od innych.

– Nie trać więcej czasu na tamte wygłupy, tylko zabierz się do prawdziwej roboty policyjnej.

Powiedział to tonem kończącym sprawę. Julia zrozumiała, że jest już po audiencji i stosownej reprimendzie. A potem jego twarz pojaśniała.

– To kiedy znów zobaczymy naszego maluszka? Tak dawno go nie widzieliśmy. Jeszcze trochę, a Harry zdąży się wyprowadzić z domu!

Wstał i objął ją ramieniem. Julia pozwoliła sobie na chwilę oprzeć głowę na jego ramieniu. Jak wiele razy w latach swego dorastania. Potem się wyprostowała.

– Wpadniemy, jak tylko to się skończy – powiedziała i pocałowała ojca w policzek.

– Nie martw się, Julio, to już niedługo. Przecież go macie!

Słowa ojca towarzyszyły jej do wyjścia.

**VINCENT STAŁ NA SCENIE.** Miał przedstawienie tego wieczoru, potem jeszcze jutro, czyli w piątek i w sobotę. I wreszcie koniec. Spektakl zaczął zbliżać się do momentu, gdy miał dusić się paskiem. Szczęście, że musiał wykonać ten numer jeszcze tylko trzy razy, wystarczy tego dobrego. Po poprzednim spektaklu musiał zamalować czerwone ślady na szyi. Ostatnio ten numer skupiał się na czymś innym niż zjawiska paranormalne. Vincent już nie opowiadał, że utrzymuje kontakt z duchami. Był to wciąż ten sam pokaz, ale ramy zostały uaktualnione. Być może chciał w ten sposób poradzić sobie z ostatnimi strasznymi wydarzeniami. Tak czy inaczej, efekt jeszcze się wzmocnił. Nowy przekaz dotyczący sekt trafił pod strzechy.

Do sztokholmskiego Oscarsteatern przyjechał trzy godziny przed spektaklem, żeby zdążyć się dobrze przygotować. Ponieważ miało to być jedno z ostatnich przedstawień, postanowił pojechać po bandzie. Przybyłych do teatru widzów witali jego asystenci, którzy chętnym rozdawali darmowe czapki z daszkiem. Czapki były ozdobione ładnym wzorem w postaci czarnych kropek na białym tle.

W tym momencie na widowni siedziało co najmniej pięćdziesiąt osób w takich czapkach. A w drugim akcie przedstawienia Vincent wyszedł na scenę przebrany w T-shirt z tym samym wzorem.

– Bardzo się cieszę, że tyle osób odważyło się wziąć czapkę, chociaż nie wiedzieliście, co się z tym będzie wiązało – powiedział, rozkładając rękę i odsłaniając swoją koszulkę.

– Mam dowody na to, że wszyscy jak tu siedzicie, to jest osiemset pięćdziesiąt siedem obecnych tu osób, należycie do najinteligentniejszych w tym społeczeństwie. Dowodem na to jest choćby fakt, że tu jesteście.

Żart cokolwiek głupawy, ale pochlebstwo miało na celu obudzenie poczucia wspólnoty u publiczności. I rzeczywiście, większość uśmiechała się z zadowoleniem. To poczucie wspólnoty Vincent zamierzał teraz zburzyć.

– Z drugiej strony niektórzy z was są bardziej zaawansowani od pozostałych – powiedział. – Ci, co wzięli czapki, są najwyraźniej bardziej zaciekawieni od innych. Moje stwierdzenie to nie ocena, ale fakt. Przypuszczam, że większość z was mających te czapki jest zainteresowana tym, żeby się doskonalić, z całą pewnością macie na swoich regałach książki na temat rozwoju osobistego, a może nawet wzięliście udział w jakimś kursie z tej dziedziny. Tych z was, którzy są

w czapkach, łączy wyjątkowe podejście, którego pozostałe osoby wśród tej publiczności jeszcze nie osiągnęły.

Wielu widzów w czapkach żywo pokiwało głowami, podczas gdy inni spośród pozostałych widzów z wyrazem rozczarowania krzyżowali ręce na piersi. Oto jak łatwo wzbudzić poczucie my przeciw nim. A jedyne, co zrobił, to zastosował tak zwany efekt Barnuma, to znaczy użył ogólnych sformułowań, które wydają się odnosić osobiście do konkretnych osób, choć w gruncie rzeczy odnoszą się do większości ludzi. Postarał się również o nieco łagodniejszy ton i częstsze uśmiechy, gdy zwracał się do tych w czapkach. Na skutek nie trzeba było długo czekać.

– Kiedy ma się tak wyjątkowy i otwarty umysł jak wy – powiedział – można się również komunikować ze sobą na specjalnym poziomie. Dzielicie ze mną unikalną sferę umysłową.

Znów pochlebstwa. I totalny nonsens. Gdyby od początku wygłaszał twierdzenia na temat „unikalnych sfer umysłowych”, pewnie nikt by tego nie kupił. Jednak zdania, które dopiero co wygłosił, zostały umyślnie przykrojone tak, aby psychologicznie doprowadzić publiczność do zaakceptowania rzeczy, których normalnie by nie zaakceptowała. Przerazające, że działo się to tak szybko. Tego rodzaju przedstawienie się rzadko wymagało większej liczby słów niż te, które właśnie wypowiedział.

– Ja wiem, że to się wydaje dziwne – powiedział, uśmiechając się przeprasząco. – Jednak jest to cecha, którą da się wyćwiczyć. Chodzi o odłączenie ciała od mózgu. Pozwólcie, że to zademonstruję.

Sprężył się. Przyszła pora na pasek. Asystent wprowadził na scenę jednego z widzów w czapce, który następnie usiadł na krześle obok Vincenta. Vincent zaciągnął pasek na szyi i jak zwykle przez widownię przeszedł szmer.

– To jest po to, aby symbolicznie i również dosłownie odłączyć ciało – powiedział z wysiłkiem.

Wyciągnął rękę do przestraszonego człowieka w czapce.

– Proszę mnie chwycić za puls. I zaznaczyć, kiedy zacznie zwalniać. A ja spróbuję zanurkować w naszą podzielną świadomość.

Cholerny pasek sprawiał ból jak zawsze. Jeszcze tylko parę takich występów. Dalszy ciąg był mniej więcej taki sam jak przedtem. Vincent zatrzymał puls w ręce i udał, że stracił przytomność. W ciągu kilku następnych minut częściowo zrelacjonował dzieciństwo tego mężczyzny, w tym kilka osobistych zdarzeń, i jeszcze zdradził jedną czy dwie tajemnice, o których tamten nikomu nie mówił. Bezsprzecznie wyglądało to tak, jakby Vincent i ten człowiek dzielili się myślami.

W rzeczywistości Vincent zastosował mieszankę sformułowań Barnuma, strzałów w ciemno, wniosków wyciągniętych ze stylu ubierania się delikwenta,

jego sposobu wyrażania się i mowy ciała oraz stwierdzeń na tyle niejasnych, żeby ten człowiek sam pomógł mu „zinterpretować”, co znaczą.

Jeśli coś, co Vincent powiedział, okazało się niezgodne z rzeczywistością, tłumaczył to tym, że widocznie zostało wzięte od kogoś z pozostałych osób należących do specjalnej grupy widzów w czapkach. I za każdym razem ktoś z tej grupy łapał głośno powietrze i przyznawał, że to od niej albo od niego.

Vincent skończył, ostrożnie poluzował pasek wokół szyi i przywrócił puls w ręce.

– Dziękuję wam za uwagę – powiedział, kierując te słowa tylko do osób w czapkach. – Jednak jest to umiejętność, którą posiadacie wszyscy. Fakt, mam ośrodek kursowy, gdzie nauczam, jak uzyskać taką podzielną świadomość. Program wygląda w ten sposób, że przyjeżdża się na pobyt dwutygodniowy, podczas którego ja was trenuję. Jednak muszę ostrzec, że to bardzo droga impreza. I mam tylko dziesięć miejsc. Ile osób jest zainteresowanych?

Natychmiast podniosło się do góry dwadzieścia pięć rąk. Vincent pokiwał głową w zamyśleniu. Policzył w myślach do dziesięciu, robiąc możliwie najdłuższą pauzę.

– I właśnie w ten sposób tworzy się sektę – rzekł powoli.

Zapadła grobowa cisza.

Przez widownię przeląła się fala całkiem nowych emocji. Ci bez czapek przeszli od poczucia odrzucenia do pełnej zachwyty złośliwej satysfakcji i zadośćuczynienia. Z kolei noszący czapki, którzy do tej pory mieli się za wybrańców, poczuli się zdradzeni. Zaufali mu, a on – w przerośni – zostawił ich bez spodni. Miał teraz pięć sekund na to, żeby włączyć u wszystkich racjonalne myślenie, zanim dadzą się całkowicie ponieść emocjom. Sztuka polegała na tym, aby łyknęli gorzkie lekarstwo, ale go nie znieawidzili.

– Przepraszam – powiedział, postarawszy się o wyraz twarzy świadczący, że mu wstyd.

Co, rzecz jasna, też było aktorską zagrywką.

– Zanim wyjaśnię, co się tu wydarzyło, chciałbym wyraźnie powiedzieć jedno. Naprawdę jestem przekonany, że jesteście ludźmi inteligentnymi, co do jednego. Jednak nie ma żadnej różnicy między tymi, którzy mają czapki, a tymi, którzy ich nie mają. Żadna z tych grup nie jest ani mądrzejsza, ani głupsza od drugiej. Jedyne różnica polega na tym, że niektórzy z was dostali od mojego asystenta czapkę. Jednakowoż te czapki natychmiast obudziły wrażenie wspólnoty u osób, które je włożyły. To wrażenie starałem się potem umocnić. Czapki pomogły również zatrzeć u was poczucie indywidualnej tożsamości, co jest niezwykle istotne, kiedy zakłada się sektę. Staliście się częścią kolektywu. A termin „podzielna

świadomość”? To nonsens. Jednak w sekcie istotne jest tworzenie własnych określeń, aby jeszcze wzmocnić poczucie wspólnoty.

Większość czapek została teraz zdjęta. Ci, którzy je przedtem nosili, wiercili się nieswojo na swoich krzesłach.

– Powtórzę jeszcze raz – powiedział Vincent. – Czapka mogła przypaść każdej i każdemu z was. Między wami a pozostałymi nie ma żadnej różnicy, niezależnie od tego, co mówiłem przedtem. Zresztą między wami a mną również nie ma. To, co widzieliście, to z mojej strony psychologiczne podstępny i triki. Jednak na tyle przekonujące, żebyście chcieli sporo zapłacić i nawet zamieszkać ze mną. Wydaje mi się, że puenta powinna być następująca: uważajcie na fałszywych proroków.

Vincent nie zamierzał zamieniać pełnospektaklowej rozrywki na wykład, ale czasami nie dało się na to nic poradzić. Następny numer powinien dla wyrównania być szczególnie barwny.

– Czy te symbole coś znaczą? – zawołał ktoś na widowni, wymachując czapką. – Chodzi o te czarne kropki.

– A, kropki! – Vincent mrugnął szelmowsko. – To pismo Braille’a. Na głowach macie napis „JESTEM POSŁUSZNY”.

Nastąpiła eksplozja uwalniającego śmiechu. Vincent patrzył na morze głów i uśmiechał się. Jeśli tak chcą, to niech sobie myślą, że posunął się za daleko. Niemniej miał przed sobą osiemset pięćdziesiąt siedem osób, które od teraz będzie znacznie trudniej nabrać.

Światło się zmieniło i nagle Vincent ujrzał znajomą twarz. Wcześniej, podczas spektaklu, jej nie zauważył. Nova siedziała na pierwszym balkonie. Nie śmiała się. Nie klaskała. Skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na niego.

A potem wstała i wyszła.

**WSZEDŁ DO GARDEROBY** i drgnął mimowolnie, widząc, że ktoś siedzi na kanapie. Nie spodziewał się, że kogoś tam zastanie. Bo nie powinno nikogo być.

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć – odezwała się Nova, widząc jego reakcję – ale ochroniarz powiedział mi, że mogę tu poczekać.

Vincent potrzebował dłuższej chwili, żeby się pozbierać. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że wróciła Anna, Anna z tatuażami, jego stalkerka. Mimo że bardzo się różniły wyglądem. Spojrzał na stolik. Podczas przedstawienia ktoś postawił tam miseczkę ze słodyczami i trzy butelki wody. Jakby chciał zrobić mu na złość.

– Bez obaw – odpowiedział w końcu. – W czasie mojej poprzedniej objazdówki miałem stalkerkę, która robiła wszystko, żeby przedostać się za kulisy. W końcu się z nią spotkałem i... nie za dobrze się skończyło. Miała w mieszkaniu jeden pokój z mnóstwem moich zdjęć. I ołtarzyk. Od tamtej pory jestem trochę nerwowy. Tutaj jestem zwykle sam.

Zerknął na podłogę. Przedtem miał plan, żeby zamknąć drzwi na klucz i położyć się na dłuższą chwilę, ale Nova by się zapewne dziwiła. No i powinien zrobić coś z tymi trzema butelkami. Usiadł na drugiej kanapie, naprzeciw niej i przygotował się na ostrą krytykę za numer o sektach. Nie wymienił nazwy Epicura, ale prawie.

– Nie chcę się narzucać – powiedziała. – Właściwie chciałam się tylko przywitać. I podziękować za interesujące przedstawienie. To było bardzo zajmujące.

– Tak uważasz? Myślałem, że może byłaś niezadowolona, zważywszy... na to, co powiedziałem na końcu. O różnych guru i sektach. Wody?

Pokręciła głową. Cholera. Miał nadzieję, że pozbędzie się jednej butelki.

– Dlaczego miałabym być niezadowolona? – spytała. – Przecież masz rację. Zresztą uważam, że tego rodzaju rozróżnienie jest bardzo ważne. Powinno się ludzi nauczyć, żeby odróżniali konstruktywne, prawdziwe ruchy jak ten, którym ja się zajmuję, od szkodliwych manipulujących sekt.

Vincentowi niezupełnie o to chodziło, ale nie odpowiedział.

– Nawiasem mówiąc, gdybyś chciał się zainteresować... – ciągnęła i otworzyła torebkę.

Odnótował, że była to torebka Louis Vuitton. Nova wyjęła z niej broszurę z logo Epicury na okładce i podała mu.

– Może mnie tam kiedyś odwiedzisz.

Vincent przewrócił kartkę w broszurze. Na pierwszej stronie znajdował się cytat kursywą.

*Imperatyw Epikura na nowe czasy jest ten sam co zawsze: pozwól sobie tylko na taki niepokój, który przemija, podobny komecie mijającej gwiazdę. Szybko i niezauważenie. Życie w spokoju to życie, które oczyszcza. Nader starannie unikaj wszelkiego bólu i nie miej pragnień, bo dopiero życie bez pragnień jest życiem, które jest wolne od cierpienia, dzięki czemu będziesz mógł cieszyć się sukcesem, gdy już osiągniesz Wszystko*

*John Wennhagen*

– Widziałem ten cytat na waszej stronie internetowej – powiedział. – Nie wiedziałem, że twój ojciec również był epikurejczykiem.

– Był nim przede wszystkim mój dziadek – odparła. – Ojciec czasem pomagał, pisząc coś i robiąc inne rzeczy. Nie do końca podzielał filozofię dziadka. To są ostatnie słowa, które napisał, zanim... zniknął.

– Zniknął? Myślałem, że zginął w wypadku?

Nova zbladła i spuściła wzrok.

Vincent ugryzł się w język. Brak wrażliwości. Nova widocznie nie chciała mówić o śmierci ojca tak dosłownie. A on nie tylko ją do tego zmusił, ale w dodatku przypomniał jej o wypadku, po którym wciąż cierpiała na przewlekłe bóle. Nieźle jak na kogoś, kto uważa, że potrafi czytać w ludziach.

– Szukali go w jeziorze jeszcze dwa tygodnie po wypadku – powiedziała. – Jednak nie znaleźli ciała. Oczywiście wiem, że go nie ma, ale część mnie, dziewczynka, która wtedy była w tym samochodzie, ciągle ma nadzieję, że pewnego dnia tata się pojawi. Że będzie cały i zdrow, może tylko będzie miał mokre włosy.

Vincent starał się odsunąć od siebie wizję zmartwychwstałego Johna Wennhagena, rozpulchnionego, z wodorostami we włosach, który dzwoni do drzwi Novy. Wprawdzie wiedział, że nie o to jej chodziło, ale jednak.

– Twój ojciec miał dość poetyczny sposób wyrażania – zauważył, żeby zmienić temat rozmowy.

Zaśmiała się. Widać poskutkowało.

– Nie musisz silić się na uprzejmość – odparła. – Ten tekst jest prawie niezrozumiały dla kogoś z zewnątrz. Napisał go, wychodząc od reguły użycia określonej liczby słów. Nie mniej i nie więcej, niż postanowił na wstępie. Często stawiał sobie tego rodzaju kreatywne wyzwania. Rezultat był trochę... Tak czy



inaczej, wykorzystujemy ten tekst, aby oddać mu cześć. Adres jest na odwrocie. Gdybyś miał ochotę do nas wpaść, jak powiedziałam. Czy mogę zmienić zdanie co do tej wody?

Wskazała na jedną z butelek na stole. Wreszcie.

– Weź, którą chcesz – powiedział możliwie najspokojniej i odłożył broszurę.

Nova sięgnęła po leżący na stole otwieracz do kapsli i otworzyła butelkę. Vincent wypuścił powietrze, chociaż nawet sobie nie zdawał sprawy, że wstrzymywał oddech. Sam wziął pustą szklanę i nalał sobie wody z kranu na umywalce.

– Nawiasem mówiąc, zostałem włączony do tego samego dochodzenia co ty, sprawa zamordowanych dzieci – odezwał się i znów usiadł. – Miałaś interesującą myśl, że kryje się za tym jakaś zorganizowana grupa. Tylko że większość skrajnych ruchów trzyma się raczej jak najdalej od oczu społeczeństwa, prawda? A w tym przypadku wygląda na to, że oni raczej chcą, żeby ich widzieć.

Nova piła prosto z butelki, jednocześnie patrząc na niego. Szminka na idealnie umalowanych ustach pozostała nienaruszona.

– Może sami nie chcą być widziani, za to chcą, by zauważono ich przesłanie?

– Jakie przesłanie? Masz na myśli swoją wodną teorię? Niestety okazuje się niezgodna z rzeczywistością. Policja znalazła dziś kolejne zwłoki dziecka w Fatbursparken. O ile wiem, jeszcze nie było sekcji, ale jestem przekonany, że sprawa jest powiązana z tamtymi morderstwami. A Fatbursparken znajduje się dość daleko od cieków wodnych. Jeśli wykluczyć fontannę.

Nova uśmiechnęła się, jej oczy zabłyśły. Wydawało się, jakby swoją osobą wypełniała cały pokój. Vincent wbrew sobie był pod wrażeniem. Chciałby być równie... oczywisty i magnetyczny, by tak się wyrazić. Nawet się dziwił, że od dawna nie miała własnego programu w telewizji. Przypuszczalnie dostała taką ofertę, ale odmówiła. Nova jakby nie szukała więcej uwagi, niż to niezbędne, co w branży prelegentów było raczej rzadkością.

– Ja bym powiedziała, że to znalezisko właśnie potwierdza moje twierdzenie – odparła. – Akurat ty powinieneś wiedzieć, że cały ten park był kiedyś jeziorem. Mniej więcej sześćset lat temu znajdowało się na samym środku Södermalmu i było bardzo ważne dla ludzi, którzy brali z niego i wodę, i ryby.

Oczywiście miała rację. Park był pozostałością po jednym z najważniejszych jezior sztokholmskich. Zrobiło mu się wstyd, że tego nie pamiętał. Peder na pewno chciałby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

– Pod koniec siedemnastego wieku w jeziorze zebrano się tyle śmieci i odpadków, że zaczęto je nazywać bagnem, Fatbursträsket – ciągnęła Nova. – Podobno śmierdziało potwornie. Ale trzeba było czekać do połowy dziewiętnastego wieku, zanim teren został osuszony w związku z budową

infrastruktury kolejowej wokół Södra station. Jednak woda była tam od początków miasta aż do czasu sprzed niecałych dwustu lat. Potem zrobili tam park. Gdzie teraz znaleziono zwłoki. Dlaczego się uśmiechasz w ten sposób?

Vincent się zaśmiał. Nie zdawał sobie sprawy, że się uśmiechał. Nova również się zaśmiała, a potem odpaliła olśniewający uśmiech. Musiał rozważyć możliwość, że to ona ma rację, a nie on. Jeśli tak, jeśli opierał się na fałszywych wnioskach, to nie miał najmniejszego pojęcia, co teraz będzie. Był jeszcze dalszy od zrozumienia mordercy niż na początku.

Nova wstała, położyła dłoń na jego ramieniu.

– Chyba jesteśmy do siebie bardziej podobni, niż myślisz – powiedziała. – Tylko ja jestem trochę sprytniejsza. Mógłbyś wpaść, żeby mnie odwiedzić. Adres już znasz.

**PEDER POSTARAŁ SIĘ** być przed sklepem, kiedy raniem przyjdzie tam Herman. W piątki otwierał właściwie dopiero w porze lunchu, bo przed południem inwentaryzował rzeczy z całego tygodnia. Jednak po tym, co usłyszał od Hermana przez telefon, Peder wolał załatwić sprawę, zanim drzwi sklepu zostaną otwarte dla klientów.

Pochylił się nad szklaną gablotą i przyjrzał przedmiotom leżącym na kawałku ciemnoniebieskiego materiału.

– Dziękuję ci, że wczoraj zadzwoniłeś – powiedział.

– To oczywiste. Od razu rozpoznałem ten zegarek z opisu, który rozesłaliście. Szkoda, że nie było to parę dni wcześniej. Jednak pilnowałem go aż do waszego przyjscia... – Herman poklepał się po brzuchu.

Peder wielokrotnie spotykał się Hermanem, a właściciel lombardu zawsze się cieszył, kiedy mógł pomóc policji.

– I mówisz, że ma inskrypcję?

Herman uśmiechnął się dobrodusznie i odwrócił zegarek.

– „Dla Allana Waltherssona w 60-lecie urodzin” – odczytał Peder.

Allan Walthersson. Dziadek Ossiana. Ojciec Fredrika.

Herman ledwo mieścił się za ladą z tym swoim brzuchem, z roku na rok coraz większym. Peder z kolegami czasem żartowali, że pewnego dnia trzeba będzie wyrzynać go piłą ze staromiejskiego sklepiku.

– To wszystko, co dostałeś? – dopytywał Peder, przyglądając się reszcie rzeczy. – Zdażyłeś już coś sprzedać?

Oprócz zegarka był złoty pierścionek, broszka z perłami i komplet złotych łańcuszków bismarck.

– Nie, tu jest wszystko. Nie przyjmuję przedmiotów z kradzieży, więc od razu zadzwoniłem, kiedy zrozumiałem, co to jest. Przecież wiesz, że mój stary był policjantem. Wpoił mi, że należy pomagać stróżom sprawiedliwości.

– I jesteśmy ci za to wdzięczni – odparł Peder, klepiąc go po ramieniu. – A teraz najważniejsze pytanie. Kto ci to przyniósł?

– Ooo, to stary znajomy nas obu – zarechotał Herman. – I pewnie dlatego byłem taki czujny.

Tu zrobił przerwę. Peder dobrze znał jego gierki. Herman starał się zawsze wysączyć z sytuacji, ile się da, a Peder gotów był zafundować mu tę przyjemność. Rozejrzał się po sklepiku. Panował tam absolutny miszmasz, którego widok budził

w nim wręcz dziecięcy zachwyty. Było tam wszystko: od starego zwałistego telewizora po biżuterię, sprzęt do nurkowania, zakurzone zbiory filatelistyczne, aż po coś, co wyglądało na wypchanego borsuka.

– Nie chciałbyś wiedzieć, kto to był? – spytał Herman, patrząc chytrze.

– Bardzo chciałbym – odparł Peder. – Bardzo, bardzo.

– To najpierw musisz rozwiązać zagadkę.

– Nie może być inaczej – zaśmiał się Peder. – No, co tam wymyśliłeś?

Herman zachichotał.

– No to proszę: jaka żonka jest najlepsza?

– Hm, to trudne – zauważył Peder, drapiąc się w brodę, podczas gdy się zastanawiał. Zazwyczaj mu się udawało, ale tym razem nie mógł wpaść na rozwiązanie. Westchnął.

– Za bardzo jesteś podchwytliwy, Herman. Poddaję się.

Herman odczekał chwilę dla większego efektu.

– Mrozonka – ryknął, pękając ze śmiechu.

Peder uśmiechnął się, kręcąc głową.

– Naprawdę nie wiem, skąd ty to wszystko bierzesz. A teraz zlituj się nad tępym gliną. O kim mowa? Kimś ze starej gwardii?

Herman kiwnął głową.

– Tak jest, to stały bywalec. Rymuje się z patte...

Znów zachichotał.

Peder zmarszczył czoło. Teraz się uda. Patte... Rozpromienił się.

– Matte! Matte Skoglund!

– Tak jest. – Herman, zadowolony z siebie, poklepał się po brzuchu.

Wskazał na przedmioty leżące na materiale.

– Ładne rzeczy. A nie ma przypadkiem możliwości, żeby...

– Niestety. Muszę je zabrać. Dobrze o tym wiesz. I wymyśl jakąś zagadkę na następny raz!

– Pod warunkiem że się ogolisz! – zawołał za Pederem, który był w drzwiach.

– Miłego weekendu!

Peder zaraz po wyjściu sięgnął po telefon.

– Cześć, Adamie, tu Peder. Możemy dać sobie spokój z teoriami spiskowymi wokół włamania u rodziców Ossiana. To sprawa zwykajnego menela. Mattego Skoglunda. Właśnie. Powiem chłopakom z miejskich patroli, żeby go wypatrywali. Odzyskałem rzeczy, które ukradł. Możemy przestać się tym zajmować.

Rozłączył się. Potem się zaśmiał pod nosem. Mrozonka. Bardzo dobre.

– **ŚWIETNA ROBOTA** – skonstatowała sucho Milda, zwracając się do Miny.

W tle Charlotte Perelli śpiewała piosenkę *Tusen och en natt*, a lekarka sądowa, wyraźnie tego nieświadoma, od czasu do czasu nuciała do wtóru. Loke jak milczący cień trzymał się w pobliżu, gotów wykonać jej polecenia.

– Nie mogę sobie przypisać tego zaszczytu, to robota Vincenta – powiedziała Mina, zerkając na mentalistę.

Vincent miał tego ranka jakąś dziwną jasnoczerwoną krechę na szyi. Właściwie to widywała ją u niego od czasu do czasu. Przy okazji musi go o nią spytać.

Vincent patrzył na zwłoki leżące na stole sekcyjnym. Przed wejściem tutaj pytała go kilka razy, czy jest pewien, że da radę. Zwłoki dorosłego człowieka to jedno, ale zwłoki dziecka to coś znacznie gorszego. Jednak nalegał. A teraz nie radził sobie za dobrze, sądząc po jego jeszcze bledszej niż zwykle twarzy.

– Właśnie go zszyłam – powiedziała Milda, ściągając rękawiczki z plaśnięciem.

– I co powiesz? Czy ma takie same urazy jak tamte dzieci?

Mina odwróciła wzrok od ciała anonimowego chłopczyka na stole. Według niej to aż niegodne, że nie wiedzą, kim był. Przecież komuś gdzieś musiało go brakować, i to od dawna.

Słyszała, jak Vincent przełyka głośno ślinę, jakby zawartość żołądka to podchodziła mu do gardła, to schodziła z powrotem jak jojo. Mina zachowywała spokój, co wcale nie znaczyło, że lepiej znosi tę sytuację. Martwe dziecko to sprzeczność z naturą, a doszli już do czworga.

– W związku z tym, że zwłoki były przez jakiś czas pogrzebane, okoliczności przedstawiają się nieco inaczej – powiedziała Milda, ścisząc dźwięk głośnika. – Z faktu, że ciało leżało w ziemi, wynika taka korzyść, że rozkład postępuje wolniej, częściowo dlatego, że temperatura w ziemi jest niższa, a częściowo, bo nie ma tam much. Jednakże proces gnilny jest mocno zaawansowany. Skóra się rozwarstwiła, co zawsze jest dla mnie jakimś utrudnieniem, w dodatku doszło do przemiany tkanki tłuszczowej w tak zwany tłuszczowosk. Ale owszem, są podobieństwa do pozostałych ofiar.

Umilkła. W tle Charlotte Perelli śpiewała cicho *Du finns i mina drömmar*.

Vincent musiał znów przełknąć ślinę.

– Jakie podobieństwa? – spytał zduszonym głosem.

– Bardzo wyraźne – odparła. – Takie same ślady na płucach. A w gardle znalazłam te same włókna co u tamtych ofiar.

Skinęła głową w stronę stalowego wózka, na którym znajdowały się najrozmaitsze próbki przygotowane do wysłania do analizy.

– Czy według ciebie jest to ciągle ten sam sprawca?

– To nie moja rzecz, tylko wasza, żeby to ustalić. Muszę jednak powiedzieć, że w mojej ocenie, jako patologa, są duże podobieństwa w metodyce działania sprawcy.

Mina w zamyśleniu kiwnęła głową. Kątem oka widziała, że chyba pora zabrać stamtąd Vincenta. Jednak zanim zdążyła powiedzieć, że wychodzą, Vincent otworzył usta.

– A czas? Co powiesz na temat czasu popełnienia morderstwa?

Milda spojrzała na zwłoki, marszcząc czoło.

– Bardzo trudno określić. Mogę tylko domniemywać. Sądząc po ich stanie, zgaduję, że nie leżały w ziemi dłużej jak dwa miesiące. Ale z pewnym marginesem, bo trudno to określić, gdy zacznie się tworzyć tłuszczowosk. Chociaż czasem to nawet pomaga, bo jeśli tworzy się szybko, to mogą się wizualnie zachować urazy na zwłokach. Tym razem niestety tak nie jest. Zresztą w pobliżu zwłok znaleźliśmy również to, co jednak nie pomoże nam ustalić czasu morderstwa, bo plastik nie ulega rozkładowi.

Milda wskazała na przezroczysty pojemnik na stole sekcyjnym. Znajdowały się tam dwie zabawki, czerwona i niebieska.

Vincent podszedł, żeby się przyjrzeć. Zaczął odzyskiwać kolory na policzkach.

– Samochodziki Lego – powiedział i sięgnął po telefon. – Mogę...?

Mina skinęła głową, Vincent zaczął robić zdjęcia. Jego zainteresowanie tymi modelami Lego wydawało się prawie tak wielkie jak zainteresowanie Mildy martwym ciałem.

– Myślisz, że te zabawki należały do niego? – spytała Mina.

– Nie ma powodu sądzić inaczej – odparła Milda. – Oczywiście może dziwić, że zostały zakopane razem z ciałem, ale to doprawdy nie jedyna dziwna rzecz w tej sprawie.

Mina kiwnęła głową. Milda miała więcej racji, niż Mina chciała przyznać. Vincent wrócił, był pochłonięty robieniem zdjęć.

– Dziękujemy, Milda – powiedziała Mina. – Skontaktujemy się, kiedy będą wyniki badań próbek, albo daj znać, gdybyś coś miała, choćby jakieś luźne wrażenie. Przyda się wszystko, co tylko możliwe.

– Jasne, rozumiem – odparła sztywno Milda i kiwnęła głową asystentowi, który zabrał się do wywożenia ciała.

Wychodząc, Mina i Vincent słyszeli, jak Perelli śpiewa już głośniej:

*Cienie o zmierzchu budzą we mnie tęsknotę za miłością, za tym, by móc tylko marzyć, nigdy nie zapomnę...*

Drzwi za nimi trzasnęły ciężko. Vincent odetchnął kilka razy głęboko z głową zwieszoną na pierś. Podniósł potem wzrok i jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Miny.

– Czworko dzieci – powiedział. – Uprowadzone przez różne osoby, zamordowane w ten sam sposób. Już nigdy nie będę mógł spać.

– Wiem. Mamy jednak problem. To ciało miało dowieść prawdziwości twojej teorii o szachowym wyzwaniu *Knight's tour*. I rzeczywiście, tak jak przewidziałeś, znaleźliśmy ciało w Fatbursparken. Jednak bez nawiązania do jakiegoś konia nie wiadomo, czy ciało rzeczywiście mieści się w schemacie szachowym, czy jest to jedynie przypadek. Przecież twój schemat opiera się na dwóch rzeczach: umiejscowienie ciał to jedno, a zakładka, plecaczek i graffiti to drugie. Jednak o ile mi wiadomo, samochodziki Lego nie mają nic wspólnego z końmi.

Vincent kiwnął głową w zamyśleniu.

– Wiem – powiedział. – W dodatku jedna z tych zabawek wydaje mi się jakoś znajoma. Jest w tym coś dziwnego.

**VINCENT NACISNĄŁ** przycisk domofonu domu w Birkastan<sup>21</sup>. Natychmiast rozległ się brzęczyk i kliknięcie zamka w drzwiach na znak, że otwarte.

– Nie jestem pewna, czy to właściwy sposób wykorzystania naszego czasu – powiedziała Mina.

– Ja wiem, że macie podejrzanego – odparł. – Jednak nadal nie da się wykluczyć, że chodzi o jakąś grupę. Bo jak to, cztery morderstwa? Dzieci? Do tego trzeba naprawdę czegoś wyjątkowego. Do tej pory nie chciałem użyć słowa „seкта”, ale zaczynam się zastanawiać, czy to nie najlepsze określenie. Może na ich czele stoi Mauro, ale to następna kwestia. W Szwecji jest jednak osoba, która dysponuje najpełniejszym obrazem tego, jakie ruchy zdobyły sobie pozycję w kraju. Mam nadzieję, że po tej wizycie będziemy mogli zdecydować, czy rezygnujemy z teorii o zorganizowanej grupie ekstremistycznej, jak chciałby szef waszej policji.

– Ale Mauro siedzi w areszcie od poniedziałku. A dziś jest piątek. Powinniśmy się raczej skupić na nim, póki siedzi u nas.

– Pomyśl w ten sposób: jeśli za tymi wszystkimi morderstwami stoi Mauro, to i tak go macie. A ty masz tyle czasu, ile tylko chcesz, na tę wizytę. Jeśli jednak nie jest to Mauro, oznacza to, że zegar wciąż tyka. Gdzieś jakieś dziecko może być w niebezpieczeństwie. Nie stać nas, żeby coś pominąć. A to, czego się tu dowiemy, może być niesłychanie ważne.

– Gdyby chodziło o kogoś innego... – zaczęła, patrząc na niego. – No dobrze. Zakładam, że to ma sens.

Weszli po schodach na drugie piętro. Winda wydawała się ledwo mieścić jedną dorosłą osobę, a więc mowy nie było, żeby Vincent mógł zamknąć się w czymś tak ciasnym. Na szczęście winda wyglądała również, jakby nie była sprzątna od dawna, więc Mina od razu odrzuciła tę możliwość.

– Zaufaj mi – powiedział Vincent, naciskając dzwonek przy drzwiach z tabliczką Ljung. – A potem zapraszam na lunch.

Ruda kobieta około trzydziestki otworzyła natychmiast i przywitała ich.

– Dziękuję, że zgodziliście się spotkać ze mną w domu – powiedziała przeproszającym tonem, robiąc im przejście w drzwiach. – Trzymam tu większość moich materiałów.

Vincent widział, że Mina rozgląda się niespokojnie. Prawdopodobnie nikt nie utrzymywał w swoim mieszkaniu czystości na takim poziomie, żeby mogła się



rozluźnić. Podejrzewał też, że jego prośba o zaufanie nie wystarczyła do zmiany zdania, że niepotrzebnie tracą tutaj czas.

Na szczęście w mieszkaniu Beaty Ljung panował porządek. Mina odetchnęła lekko. Vincent spojrzał badawczo, wtedy kiwnęła głową, że jest okej.

– Zapraszam do gabinetu.

Beata zaprowadziła ich do dużego jasnego pokoju pełnego regałów z rzędami porządknie ustawionych książek i skoroszytów.

– Z tego, co dowiedziałam się od Vincenta, jesteś największym w Szwecji autorytetem w dziedzinie badań i faktów dotyczących sekt? – odezwała się Mina, siadając na fotelu w biało-niebieskie paski, przyjrzawszy się najpierw obiciu. Pewnie sprawdzała, czy nie ma plam.

– Eee, zabrzmiało to aż nadto dostojnie – zauważyła Beata, siadając przy biurku.

Było to duże i piękne biurko z jakiegoś drewna w ciemnym kolorze. Vincent stał na środku, nie wiedząc, gdzie usiąść.

– Mogę ci zaproponować tylko to – powiedziała Beata, wskazując mu worek-siedzisko.

Mina zdusiła chichot, a Vincent opadł na worek i starał się na nim umościć, szukając takiej pozycji, w której mógłby nadal prezentować się jako profesjonalista. Nie szło mu za dobrze. W dodatku jego lniany garnitur był w tym samym szarym kolorze co worek, zlewał się z nim, przez co – jak sam podejrzewał – Vincent wyglądał jak pływająca głowica. Jedynym odstępstwem kolorystycznym były jego jaskrawoturkusowe skarpetki z Ciasteczkowym Potworem.

– Przeczytałem sporo twoich artykułów – odezwał się, bezskutecznie starając się brzmieć naturalnie – i jestem pod wrażeniem twojej głębokiej wiedzy na ten temat. A więc oprócz studiów dziennikarskich skończyłaś też psychologię?

– Tak, nie mogłam się zdecydować – powiedziała ze śmiechem Beata. – Z początku myślałam, że chcę być psychologką, ale przed samym egzaminem końcowym zdałam sobie sprawę, że jednak wolę zostać dziennikarką. Prawdę mówiąc, uważam, że studia psychologiczne bardzo mi się przydały w pracy, więc nie narzekam, kiedy przychodzi termin spłaty kredytu studenckiego.

– Zaraz, to ty jesteś autorką tej książki o sprawie z Järvsö? – spytała Mina, pokazując książkę leżącą na biurku.

Vincent nie znał jej, ale parę lat wcześniej książka ta była szeroko dyskutowana. Opisywała ponoć w sposób niezwykle wnikliwy, co wydarzyło się w Järvsö owej fatalnej styczniowej nocy, gdy dwie rodziny zostały praktycznie starte z powierzchni ziemi. Była to kulminacja wieloletniego izolowania się – prawdopodobnie sekciarskiego – od maleńkiej społeczności Järvsö. Wydawało

mu się, że na podstawie tej książki powstał również serial telewizyjny. Vincent był pod dużym wrażeniem.

– Tak, zgadza się – przyznała. – A więc co chcecie wiedzieć?

– Sami nie jesteśmy pewni – odparł, wierząc się na worku, który szeleścił pod jego ciężarem. – Nie bardzo wiemy, czego szukamy. Grupy ludzi, którzy działają w sposób... niezrozumiały. Dlatego potrzebujemy zorientować się w istniejących w Szwecji organizacjach przypominających sekty. I które z nich są potencjalnie groźne.

– Chyba wiem, do czego się odnosisz, chociaż celowo mówisz niejasno. Zrozumcie, temat jest niesłychanie obszerny. Mogę go tylko dotknąć, chociaż postaram się odpowiedzieć, jak tylko mogę. Mój syn ma pięć lat, więc obchodzi mnie to szczególnie.

Kiwnęła głową, wskazując zdjęcie na ścianie; był na nim uroczy rudy chłopczyk o szerokim uśmiechu, w którym brakowało jednego przedniego zęba.

– Dobrze, najpierw ogólnie o pojęciu sekty – ciągnęła. – Co wam już wiadomo?

– Rozmawialiśmy z Novą, trochę nam opowiedziała – odparła Mina.

– Ona jest dobra. I zrobiła wiele dobrego dla osób, które odeszły z sekt – powiedziała Beata. – Pewnie wspomniała, że w Szwecji działa od trzystu do czterystu sekt, z których około trzydziestu ocenia się jako destrukcyjne.

– Tak, wspomniała coś na ten temat – przyznała Mina.

– Samo słowo „seкта” nie znaczy, że chodzi o coś niebezpiecznego. To tak, jakby mówić, że nóż jest wyłącznie niebezpieczny. Jeśli używa się go po to, żeby zrobić komuś coś złego, to oczywiście taki jest, ale jeśli kroimy nim składniki do wspaniałej potrawy, nóż nie będzie miał negatywnej konotacji. Tak samo jest z sektą. Pytanie dotyczy zamiaru, celu i treści działania ruchu. Sekty są bardzo różne. Wielu myśli, że sekta to coś religijnego, i pewnie najczęściej tak jest. Istnieją jednak sekty zbudowane na ekonomii, światopoglądzie, nawet na sprzedaży.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób – odezwała się Mina.

– Jednak niezależnie od swego profilu – ciągnęła Beata – większość destrukcyjnych sekt jest ukierunkowana na władzę. Założyciele dążą do władzy. Niekoniecznie od początku, jednak władza korumpuje, doprowadza ludzi do tego, że psują się od środka. Często ręka w rękę idą z tym pieniądze. Jednak pieniądze nie zawsze są konieczne, czasem najważniejsza jest sama władza. Niestety, często kończy się to tragedią. Na pewno słyszeliście o zbiorowych samobójstwach. W Jonestown zginęło przeszło dziewięćset osób, większość z nich wypila sok winogronowy doprawiony valium i cyjankiem. Kto odmawiał, zostawał

zastrzelony. W sekcje Heaven's Gate prawie czterdzieści osób umarło po wypiciu wódki ze środkami nasennymi. Podobnych przykładów jest wiele.

– Brzmi to potwornie – powiedziała Mina. – Jednak do sekt trafiają chyba ludzie o specyficznych cechach? Osoby dające się łatwo przekonać, niewykształcone i samotne?

Poprawiła się na fotelu, siadając bliżej brzegu. Ta rozmowa okazała się zdecydowanie ciekawsza, niż sądziła. Vincent miał nadzieję, że mu wybaczyła, że nalegał na tę wizytę.

– To niebezpieczne założenie – odparła Beata. – Do sekt garną się nie tylko osoby wykluczone społecznie, samotne czy żyjące w trudnych warunkach. Ludzie mają wrodzone dążenie do poszukiwania sensu życia. Do znalezienia sobie jakiegoś celu. Można go poszukiwać nawet wtedy, gdy się jest z dobrego środowiska, prowadzi ustabilizowane życie, ma się rodzinę i przyjaciół. Wszystko to można porzucić szybciej, niżby się wydawało, gdy ktoś wskaże ci jakąś rację bytu. No tak, jestem pewna, że Vincent może bardzo dobrze to wyłożyć.

– Jeśli człowiek wychowuje się w chaosie, jako człowiek dorosły może to znienawidzić – odezwał się Vincent – i poszukać sobie organizacji, która jest silnie kontrolująca. Ale równie dobrze można pochodzić z rodziny, w której panował rygor, i dlatego cenić sobie ruch o surowych zasadach. W związku z tym, że w procesie dorastania mamy do czynienia zarówno z elementami kontroli, jak i chaosu, jest całkiem możliwe, że ich wpływ na nas jest tego rodzaju, że nie potrafimy się uwolnić. Ale mam pytanie. Jakie sekty, poza tak oczywistymi jak Kościół scjentologiczny i jemu podobne, należy wymienić w tym kontekście?

Poruszył się na worku, który zaszeleścił. Beata zmarszczyła czoło. Z miseczki na biurku wzięła gumkę i związała rude włosy w ogonek. Dostrzegł zazdrość w oczach Miny. Na temat rudych kobiet istnieje mnóstwo durnych przesądów, że niby takie pełne życia, szalone. Może przemknęło jej przez myśl coś w tym rodzaju. Podejrzewał, że w świecie Miny rudowłose kobiety nie dezynfekują rąk równie starannie jak ona. Że nie dają się ograniczać jak ona. A może po prostu uważała, że włosy Beaty są ładne.

Chciałby jej powiedzieć, że cokolwiek twierdził biblijny Samson, osobowość nie tkwi we włosach. Że jej gęste i czarne jak u kruka włosy są fantastyczne. Zarówno kiedy były długie, jak i teraz, gdy są krótkie. Ale jak miałby powiedzieć coś takiego i nie wyjść na idiotę?

– Zależy, pod jakim kątem wybierzemy – odparła Beata. – Sekty mające już jakąś pozycję? Znane nam dobrze? Nowe? Te, o których jeszcze niewiele wiemy? To, co mogę zrobić, to dać wam listę, którą sama sporządziłam. Jednak nie gwarantuję, że jest pełna. Zestawiłam ją na podstawie faktów zebranych przez

innych, na podstawie moich rozmów z osobami, które z sekty odeszły, a w niektórych przypadkach na podstawie informacji zdobytych „na Wallraffa”, czyli podszywając się pod członków sekt. Dokumentuję sekty w Szwecji od wielu lat, a i tak nie mogę twierdzić, że moja lista jest pełna. Sekty mają niezwykłą zdolność udawania normalności. Oczywiście nie wszystkie. Niektóre są od początku absolutnie zwariowane. Jednak większość nie chce się prezentować w ten sposób. I właśnie te są czasem najgorsze. A przeciętny człowiek nigdy o nich nie słyszał, chociaż są naprawdę duże zarówno co do swojej liczebności, jak i zasobów finansowych. Słyszeliście na przykład o Błyskawicy Wschodu?

Vincent i Mina pokręcili przecząco głowami.

– Pełna nazwa to Kościół Boga Wszchemogącego, założony w Chinach w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku i mający miliony wyznawców w różnych krajach. Ich historia obejmuje morderstwa, porwania i przejmowanie innych zgromadzeń religijnych. Podstawowym wierzeniem jest to, że Bóg powrócił na ziemię w osobie chińskiej kobiety, miss Yang. W Chinach dopuścili się przestępstw, po których ich działalność została zakazana, wtedy rozeszli się po świecie. Teraz są w Szwecji. Są również Bracia plymuccy, czy to znajoma nazwa?

Mina znów pokręciła głową, ale Vincent ją znał.

– Kontrolują potężne imperium w przemyśle wytwórczym – ciągnęła Beata. – Mają powiązania z trzydziestoma ośmioma szwedzkimi firmami. Jest to bardzo zamknięta sekta religijna, która w Szwecji liczy około czterystu członków. Są niesłychanie konserwatywni, mężczyźni stoją ponad kobietami, izolują się od reszty społeczeństwa, co również oznacza, że mają własną szkołę. Jak widzicie, mogłabym tak bez końca. Mam nadzieję, że znajdziecie w mojej pracy coś, co wam pomoże, chociaż są w niej dziury. Musiałam składać puzzle mimo braku wielu kawałków.

– Doskonale to rozumiemy – odparł Vincent.

Chciał wstać z worka, ale nie udało się. Mina musiała znów zdusić chichot. Spojrzał na nią gniewnie i spróbował jeszcze raz, a jego wysiłkowi towarzyszyło mimowiedne chrząknięcie. Teraz Mina się już nie powstrzymała. Roześmiała się głośno, a Beata dołączyła, ale potem się zlitowały, wstały i chwyciły Vincenta każda za jedną rękę, podciągając go z szeleszczącego worka.

– O Boże – odezwał się. – Panowie w średnim wieku nie powinni siadać na meblach przeznaczonych dla nastolatków. Już myślałem, że będę musiał na nim nocować.

Przesunął dłonią po spodniach i marynarce, sprawdzając, czy się nie wygniótł. W gruncie rzeczy nie chciał widzieć spojrzenia Miny. Bardzo mocno odczuł jej bliskość i ciepło, kiedy mu pomagała wstać.

Mina chyba też wolała na niego nie patrzeć, zresztą już szła do drzwi.

– Bardzo dziękuję, Beato, prześlesz ten dokument mailem? – spytała przez ramię.

– Tak, oczywiście.

Vincent i Beata podali sobie ręce, a Mina wyszła pierwsza.

Kiedy Vincent również wyszedł, Mina znajdowała się już piętro niżej. Schodząc, machinalnie sprawdził wiadomości na telefonie. Na widok jednej drgnął i przyspieszył kroku.

– Czekaj! – zawołał. – Mina, czekaj!

Dogonił ją już przy wyjściu z bramy i podsunął jej telefon.

– Chyba musimy odłożyć ten lunch. Spójrz.

– Co takiego?

Podeszła jeszcze bliżej, żeby zobaczyć. A potem głośno zakląła.

– Jasna cholera. Mauro.

**NA EKRAKIE KOMPOTERA** widniał tytuł wybity wielkimi czarnymi literami.

*Mężczyzna podejrzany o morderstwa dzieci był w przeszłości sądzony za wykorzystanie dziecka.*

Mina z irytacją bębniła palcami po stole. Przyjechali z Vincentem prosto do budynku komendy, jej żołądek był jedną pustą i głodną dziurą. Powinna była dać się namówić na ten lunch po drodze, bo teraz była taka zła, że mogłaby wybuchnąć.

– Dlaczego o tym nie wiedzieliśmy? – spytała.

– Bo miał wtedy siedemnaście lat – powiedziała Julia. – Był nieletni. Z rejestru karnego został wykreślony dawno temu.

– Ale jak gazety mogły się do tego dobrać? – ciągnęła Mina. – Że im w ogóle wolno publikować coś takiego?

– Przecież to bez znaczenia – wtrącił Ruben, wyraźnie tak samo poirytowany jak ona. – Najważniejsze, że to prawda. Zresztą to logiczne. Tacy jak on nie zaczynają jako dorośli, tylko dużo wcześniej.

– Ale tu jest za dużo rzeczy, które się nie zgadzają! – odparła Mina i sfrustrowana popatrzyła po kolegach siedzących przy stole. – W dodatku on cały czas zaprzecza, że miał coś wspólnego z morderstwami.

– No jasne, że zaprzecza! – prychnął Ruben.

– Jednak nawet przy takich informacjach nie wydaje mi się, żebyśmy mogli trzymać go jeszcze zbyt długo w areszcie – zauważył Peder.

– Faktem jest, że ubranka Ossiana znalazły się w jego restauracji – powiedziała Julia. – W dodatku schowane. Teraz dochodzi wcześniejszy wyrok. Przychyłam się tu do opinii Rubena.

– Ubranka leżały w rezerwuarze w ubikacji – doprecyzowała Mina. – Gdyby miały być jakimś trofeum, to nie słyszałam o mordercy, który by przechowywał swoją zdobycz w sposób tak niedbały.

– A ile miałaś dotąd doświadczeń z mordercami i ich trofeami? – spytał zjadliwie Ruben. – Co byłoby według ciebie charakterystycznym dla mordercy sposobem przechowywania swoich zdobyczy?

Julia spojrzała karcąco, a Ruben ostentacyjnie przewrócił oczami. Od tego upału wszyscy zrobili się okropnie drażliwi. W dodatku media jeszcze przed ostatnim odkryciem zachowywały się jak rekiny, które poczuły krew. Wyciekła informacja o zatrzymaniu Maura, co nie zmniejszyło napięcia. Ted Hansson, lider

Przyszłości Szwecji, nie tracił okazji, żeby raz za razem w mediach społecznościowych i gdzie indziej podkreślać, że Mauro nie urodził się w Szwecji. Teraz będzie miał jeszcze więcej wody na swój młyn. Mina wolała nie myśleć, co się będzie działo, jeśli media dowiedzą się, że zamordowanych dzieci jest już czworo.

– Mówię tylko, że nie zgadza się bardzo wiele rzeczy – westchnęła. – Sposób przechowywania ubranek. Jak niby Mauro miał zabrać te ubranka z przedszkola, żeby nikt tego nie zauważył? Powinny były znajdować się w szafce Ossiana w szatni przedszkola. A świadectwo dziewczynki, że Ossiana uprowadziła kobieta? Jenny twierdziła, że Mauro miał współnika, ale nikt z jego rodziny nie odpowiada rysopisowi porywaczki. Wcześniej oceniliśmy świadectwo tej małej jako wiarygodne, nie ma powodu, żeby teraz je podważać dlatego tylko, że do okrągłego otworu próbujemy dopasować kostkę. Nie rozumiem też, gdzie jest nic łączące Maura z Ossianem czy Williamem albo ofiarą znaną we wtorek w Fatbursparken. Milda potwierdza, że u niego również znalazła te same włókna i ślady na płucach co u pozostałych. Po co miałyby na nich uderzyć? Żeby wrzucić fałszywy trop? Wydaje się to skrajną przesadą. A może uważacie, że zaczął od własnej córki, a potem ciągnął to z innymi, przypadkowo wybranymi dziećmi? Wszyscy mieliście już do czynienia z Maurem. Wydaje wam się to prawdopodobne? Poza tym powinniśmy się dowiedzieć, jak to było z tamtym wyrokiem. Wiecie równie dobrze jak ja, że niektóre sytuacje wcale nie są czarno-białe. Vincent, powiedz coś!

Zwróciła się do mentalisty, który do tej pory milczał.

– Nie mogę się wypowiadać – powiedział, wiercąc się. – Przykro mi. W sprawie Maura nie mam nic, na czym mógłbym się oprzeć. Nie zetknąłem się z nim. Jednak z tego, co słyszę, to zgadzam się z tobą. Te kawałki do siebie nie pasują.

– To oczywiste, że zgadzasz się z Miną – zauważył z westchnieniem Ruben.

– A jeśli to nie Mauro – odezwał się Peder, pociągając za brodę – to powinniśmy jeszcze wyjaśnić kilka ciekawych zbiegów okoliczności. Mianowicie jest tego więcej. Choćby te konie, o których mówił Vincent.

– Co masz na myśli? – spytała Mina.

Peder pokazał leżący na stole egzemplarz „Aftonbladet” z widoczną czołówką. *Były zawodnik drużyny jeździeckiej zatrzymany w związku z morderstwami dzieci.* A pod nim zdjęcie Maura z częściowo zaczerwienioną twarzą.

Mina drgnęła. Jeździec. Przypomniały jej się puchary na półce w domu Maura. Nawet sam mówił o tym. „W młodości byłem bardzo usportowiony. Od jazdy konnej po szermierkę”.

Była w jego mieszkaniu i widziała z bliska jego dawne trofea jeździeckie z wygrawerowanymi obrazami koni. Powinna była sobie to skojarzyć wiele dni temu. Jak mogła zapomnieć? Ale przecież dotyczyło to jego młodości, parę dekad temu. Zresztą komentarz padł mimochodem w przedpokoju. Mauro nie był jedyną osobą na świecie interesującą się końmi. Więc może nic dziwnego w tym, że nie skojarzyła.

Peder rozejrzał się pytająco.

– To jednak trochę dziwne – zauważył. – Że nasz podejrzany miał w swoim życiorysie konie, a my mamy te... konie... ciągle się tu pojawiają, jeśli wierzyć tobie, Mino, i Vincentowi. Chcesz powiedzieć, że to przypadek? Bo ja myślę, że raczej przeciwnie, że to umacnia dowody przeciwko Maurovi.

– W tym kraju jest bardzo dużo ludzi, którzy kiedyś mieli w swoim życiu do czynienia z końmi. – Mina rozłożyła ręce. – Kiedy chodziłam do szkoły, w mojej klasie jeździła konno połowa dziewczyn.

– No ale jednak. – Peder czuł się wyraźnie niezręcznie z tym, że choć raz miał inne zdanie niż Mina.

– Masz rację – odezwał się Vincent. – Połączenie Mauro – konie jest ewidentne, podobnie jak połączenie konie – morderstwa. Zarówno przez szachy, jak i te znalezione przedmioty. Ale Mina też ma rację. Szwedzki Związek Jeździecki ma sto pięćdziesiąt pięć tysięcy członków. Czyli ludzi mających coś wspólnego z końmi jest więcej niż tylko Mauro.

Julia uniosła brwi.

– Sprawdziłem wcześniej – powiedział Vincent przepaszająco.

– Na dodatek Mauro ma alibi – przypomniała Mina.

– Tak, ale zapewniła mu je żona – zauważyła Julia. – Więc albo mówiła prawdę, albo i nie.

Bosse przyczłapał od swojej miski z wodą w rogu pokoju, Christer podrapał go za uszami.

– Wydaje mi się, że Mina ma jednak dużo racji... – odezwał się niepewnie.

Julia zwróciła się do Adama, który stał oparty o ścianę z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– A ty co myślisz?

Adam nie odpowiedział od razu, chyba się namyślał.

– Rozumiem argumenty obu stron – powiedział w końcu. – Zgadza się z Miną, że tu jest sporo znaków zapytania. Choć dowody materialne są właśnie materialne. Bo jakie mogłoby być rozsądne wyjaśnienie faktu, że Mauro miał u siebie ubranka Ossiana? Co zaś dotyczy dziwnego miejsca, w którym zostały znalezione, wytłumaczenie może być proste. Mógł schować je w innym miejscu, gdzie łatwo było je odkryć, więc w panice schował je tymczasem w ubikacji.



– Chciałabym przesłuchać Maura – powiedziała Mina, patrząc pytająco na Julię. – I żeby mi towarzyszył Vincent.

Po krótkim wahaniu jej szefowa kiwnęła głową.

– Mnie wystarczy powiązanie w postaci wątku konia i te ubranka – stwierdził kwaśno Ruben, wertując „Expressen”. – Plus ten dawny wyrok za wykorzystanie dziecka. Sprawa załatwiona. Mamy go.

– **NIC Z TEGO NIE** rozumiem.

Mauro wyglądał na wyczerpanego wielodniowym pobytem w areszcie. W nagim pomieszczeniu świetlówki rzucały długie cienie od ich krzesel, a zielone ubranie więzienne sprawiało, że jego twarz wydawała się szara. Mina siedziała przy stole z Maurem, Vincent usiadł na krześle pod ścianą, żeby móc lepiej obserwować ich rozmowę.

– Ktoś musiał podłożyć te ubranka – ciągnął. – To Jenny, na pewno ona.

– Ona ma alibi i żadnych związków z Ossianem – odparła Mina. – A poza tym pojawiły się inne okoliczności obciążające dla ciebie.

Starannie uważała, żeby nie dotknąć stołu. W sytuacji przesłuchania nie mogła pozwolić na sięgnięcie po wilgotne chusteczki. Trzymała ręce na kolanach i starała się nie myśleć o krześle, na którym siedzi. Którego też nie mogła wytrzeć.

– Co? To niemożliwe. Przecież nic nie zrobiłem. Nigdy bym...

– Kiedy miałeś siedemnaście lat – przerwała mu. – Co się wtedy wydarzyło?

Tapnęło nim.

– Co? To... to było...

– Chyba rozumiesz, że zastanawiamy się, dlaczego nam nie powiedziałeś o swoim dawniejszym wyroku? Przejrzałam protokoły z twoich przesłuchań. Nigdzie nie było o tym wzmianki.

– Nikt mnie nie spytał. – Mauro rozłożył ręce.

– Nie udawaj głupiego, świetnie rozumiałeś, że w tym kontekście będzie to istotne. W sporach sądowych o opiekę nad córką to nie wyszło? Jenny o tym nie wiedziała?

– Nie – odparł cicho. – Nie wiedziała. Na pewno by to wykorzystwała przeciwko mnie. Ale to... to nie było tak, jak by się mogło wydawać.

– A jak było? – spytała Mina.

– To nie było żadne wykorzystanie – powiedział Mauro. – Byliśmy parą. Ja miałem siedemnaście lat, ona czternaście. Oboje tego chcieliśmy, to było dobrowolne. Jeździła konno w tym samym klubie co ja. Tylko że jej rodzice nie chcieli mnie zaakceptować. Dla nich nie byłem odpowiedni albo wystarczająco szwedzki...

– Powiedziała to w sądzie? Że to było dobrowolne?

Mauro uśmiechnął się krzywo.

– Nie. Rodzice obiecali jej nowego konia, pod warunkiem że zmieni zeznanie. Od dawna marzyła o tym koniu.

Umilkł. Skrzyżował ramiona na piersi, dłonie wsunął pod pachy, wpatrzył się z rezygnacją w stół. Mina zerknęła na Vincenta, który nieznacznie kiwnął głową. Mauro w sposób oczywisty mówił prawdę.

Zapanowało chwilowe milczenie. W ciszy słyhać było tylko brzęczenie wentylatora.

– Musimy jeszcze porozmawiać o tych koniach – odezwała się Mina.

– O koniach?

– Tak. W sprawie tych dzieci istnieje trop dotyczący... koni. Domyślasz się, że kiedy okazuje się, że miałeś kiedyś do czynienia z końmi, nie świadczy to na twoją korzyść.

– Nie można powiedzieć, żebym był jakimś wyjątkiem, gdy chodzi o konie.

– Wiem. To ty i jeszcze sto pięćdziesiąt pięć tysięcy osób.

Kątem oka zobaczyła, jak siedzący pod ścianą Vincent uśmiecha się lekko.

– Jak to się stało, że zacząłeś jeździć konno? Jak na chłopaka było to chyba nieczęste?

Mauro namyślał się nad odpowiedzią.

– Nieczęste to mało powiedziane – stwierdził. – Dziewięćdziesiąt procent jeżdżących konno to dziewczyny. Moja mama chciała, żebym jeździł. Wychowała się w stadninie we Włoszech i kochała konie, więc pewnego lata wysłała mnie na obóz jeździecki. W tyle głowy była to pewnie również myśl, żebym zobaczył coś poza asfaltem i betonem. A ja to pokochałem od pierwszej chwili. W dodatku miałem talent do jazdy. Tak to było. Rodzice zainwestowali w mój sport mnóstwo czasu i energii, a oprócz tego każdy zarobiony grosz.

Mina poczuła ukłucie w sercu, gdy Mauro mówił tak pięknie o swoich rodzicach. U niej tak nie było. I sama nie była takim rodzicem. Wstała.

– Pewnie jeszcze tu trochę posiedzisz, ale obiecuję, że sprawdzę twoje informacje.

– Dziękuję – odparł.

– Mam tylko jedno pytanie – odezwał się Vincent, który również wstał. – E cztery, e pięć. Włoskie otwarcie. Jak byś bronił?

Mauro, zdezorientowany, patrzył to na Vincenta, to na Minę.

– Bronił? Kogo mam...? Przykro mi, ale zupełnie się nie znam na futbolu. Dlaczego pytasz?

– Nieważne – odparł Vincent. – Coś mi się przywidziało.

Mina otworzyła drzwi i Vincent wyszedł z pomieszczenia.

– On nie ma pojęcia o szachach – szepnął, przechodząc obok niej.

Mina zobaczyła jeszcze, jak spojrzenie Maura znów gaśnie.

Wentylator nie przestawał brzęczeć.

**RUBEN PATRZYŁ** z niechęcią na ekran telewizora i triumfującą buźkę Teda Hanssona. Poprzednia konferencja prasowa okazała się sukcesem, kilka klipów z liderem Przyszłości Szwecji stało się viralami. Gdy zatem Hansson oznajmił, że ma coś nowego, media nie zwlekały. Tym razem na miejscu były wiadomości TV4, żeby nadać z nim wywiad na żywo.

Ruben był gotów założyć się, że będzie o Maurze. Nawet nie zawołał kolegów, byli zajęci, zresztą nie przypuszczał, że Hansson będzie miał do powiedzenia coś interesującego z ich punktu widzenia. A w razie czego obejrzą później. Chcą czy nie chcą, będą musieli żyć z tym, że nowy kawałek będzie powtarzany.

Również tym razem ramię w ramię z szefem partii wystąpiła mama Lilly, Jenny. Stali na Mynttorget przed siedzibą Riksdagu. Hansson pewnie ocenił, że na ulicy wypadnie bardziej swojsko. A złośliwa satysfakcja malująca się na ich twarzach nie podlegała kwestii.

Ruben przewracał kartki ostatniego wydania „Aftonbladet”, zerkając jednocześnie na ekran. Nie wątpił w winę Maura. W odróżnieniu od Miny uważał, że jeśli słyhać stukot kopyt, prawdopodobnie jest to koń, a nie zebra. A jednak zrobiło mu się naprawdę nieprzyjemnie, gdy widział, jak Ted Hansson i Jenny Holmgren wręcz upajają się tym, co się dzieje.

– Czujemy wielką ulgę i wdzięczność, że prawda wyszła na jaw. Sprawcą jest Mauro Meyer. Jest to człowiek wykorzystujący niewinne dzieci, jak cały czas mówiła Jenny, mama małej Lilly, tylko nikt jej nie słuchał. To drapieżnik, który nie powinien chodzić wolno po naszych ulicach. Oczekujemy teraz, że zostanie mu wymierzona sprawiedliwość, a Jenny otrzyma zadośćuczynienie za córkę, o którą tak długo walczyła.

Objął ramieniem Jenny, która otarła niewidoczną łzę w kąciku oka.

Ruben fuknął. Nie mógł zrozumieć, po co media dają miejsce na takie przedstawienia.

– Chciałabym podziękować za wielkie wsparcie, jakie otrzymałam, odkąd prawda wyszła na jaw – powiedziała Jenny. – Oczekuję, że Mauro dostanie wyrok, na który zasłużył. Wiem, że moja Lilly uśmiecha się do mnie z nieba, że się cieszy i jest mi wdzięczna za to, że ani na chwilę nie zaprzestałam walki o nią.

Jenny starła kolejną niewidoczną łzę, Ted ścisnął jej ramię w taki sposób, że wyglądało, jakby złapał ją w szpony. Ruben odwrócił wzrok i zaczął wertować gazetę. Nie miał siły patrzeć, wystarczyły mu aż nadto ich głosy.

Zatrzymał spojrzenie na rozkładówce z wielkim wywiadem z Jenny. Zdjęcia zrobili jej w mieszkaniu, żeby nadać całej tej historii jeszcze bardziej osobisty charakter. Jedno przedstawiało Jenny, jak siedzi na kanapie, trzymając fotografię Lilly; na komodzie za jej plecami stały inne fotografie rodzinne.

Nagle Ruben pochylił się nad zdjęciem, studiując je wnikliwie. Zaklął głośno.

– Cholera jasna, kurwa mać. Mina ma rację. To nie Mauro.

Patrzył na dużą oprawioną fotografię za plecami Jenny. Przedstawiała ją samą i pewną znajomą mu twarz. Ruben spojrział ponownie na telewizor i zaśmiał się. Po złośliwej satysfakcji Hanssona zaraz pozostanie samo wspomnienie.

**JADĄC WINDĄ**, Vincent starał się zachować spokój. Wyszedł z gmachu komendy policji, żeby spokojnie pomyśleć. Rozmowy o koniach przypomniały mu, że przy ostatnich zwłokach wciąż nie mieli tego wątku. Nie rozwiązał też zagadki dwóch modeli Lego. A więc przespacerował się do sztokholmskiego ratusza, aby uzyskać nową perspektywę, i to dosłownie.

Zamknął powieki i udawał, że stoi w kolejce do kasy w Ica zamiast w ciasnej windzie jadącej na wieżę. Napierające ciała wzmacniały tę iluzję. Gdy drzwi windy otworzyły się i turyści wylali się na zewnątrz, mógł już odetchnąć.

Wysiadł jako ostatni i chwilę postał, żeby się rozejrzeć. Znalazł się w połowie drogi na wieżę, winda dowiozła ich do czegoś, co przypominało niewielkie muzeum.

– *Entschuldigung!*

Obok przecisnęła się niemiecka rodzina z dwoma synami w czapkach ze śmigielkiem w szwedzkich barwach narodowych.

– *Bitte* – mruknął, wypatrując wyjścia na schody, które zaprowadzą go na platformę widokową.

Lepiej mu się myślało, kiedy miał przed sobą widok. Dal. Patrzenie na miasto z góry zawsze mu pomagało, kiedy próbował odkryć nowe schematy. Mógł błądzić w siatce ulic, umiejscowieniu parków i gmachów publicznych, dostrzegać związki i konteksty ukryte dla ludzi chodzących w dole między domami.

Nie dało się dostrzec całego wzorca, dopóki poruszał się między jego poszczególnymi elementami. Mózg wymagał pomocy, żeby odjechać kamerą.

Znalazł schody i zerknął w górę. Spiralne schody w wąskiej wieży. Podobieństwo do schodów w *Zawrocie głowy* Alfreda Hitchcocka było uderzające. Dopiero co winda, teraz jeszcze to. W dodatku mnóstwo ludzi. Vincent nie był pewien, czy podoła.

Jednak ratusz znajdował się w odległości zaledwie spaceru od komendy policji. A do swego wcześniejszego miejsca widokowego w Gondolen nie miał odwagi wracać. Nie był tam od dwóch lat, czyli od spotkania z byłą żoną Ulriką. Kiedy razem... Nie, nie chciał o tym myśleć. Chyba będzie musiał poczekać, aż wymienią cały personel, zanim się odważy tam wrócić.

Postawił nogę na pierwszym stopniu i usiłując nie myśleć o tym, że ściany są tak blisko, ruszył w górę. Na szczyt wieży prowadziło w sumie trzysta sześćdziesiąt pięć stopni. Tyle samo co dni w roku. Wieża miała sto sześć metrów

wysokości, winda zawiozła ich do przeszło połowy wysokości, na pięćdziesiąt cztery metry. Czyli zostało jeszcze pięćdziesiąt dwa. Tyle, ile jest tygodni w roku. Czy to przypadek, że schody i liczba metrów symbolizuje rok kalendarzowy? Oczywiście, że nie.

Żeby trochę rozproszyć lęk, idąc powoli krok po kroku, sięgnął po komórkę i odszukał w niej zdjęcia obu modeli Lego, które znaleźli w Fatbursparken. Zagadka, którą miał rozwiązać. Bo Milda mogła się mylić. Nie podzielał jej pewności, że to zabawki ofiary.

Niebieska wyścigówka i czerwone auto pomocy drogowej. Pełne znaczeń.

Chyba że dostrzeżga znaczenia tam, gdzie ich nie ma. Coraz częściej mu się to zdarza, pomyślał, idąc dalej w górę. Bo jaka była szansa na zbieg okoliczności, że pewnego dnia myślał o lego i kolorze zielonego mchu, a parę dni później policja znalazła właśnie lego pod ciemnozieloną trawą, i to w miejscu, które sam im podał? Prawie jakby sam podłożył te zabawki. Czego przecież nie zrobił. Takie zwariowane rzeczy czasem dzieją się zupełnym przypadkiem, ale nie cierpiał, kiedy tak było.

Zatrzymał się, żeby nabrać tchu. Do szczytu został mu wciąż spory kawałek.

Pamiętał niebieski samochodzik Lego. Myślał, że będzie wiedział skąd, ale mu się nie udało. Przyjrzał się ponownie fotografiom. Po jednej stronie zdjęcia znajdowała się dość wytarta naklejka. Powiększył obraz, na ile to było możliwe, i dostrzegł litery *drif*.

Idąc, wpisał do Google „Lego drift”. Przypuszczenie wydawało się zasadne, zważywszy na to, że chodziło o samochód<sup>22</sup>. Wyskoczyło mu wiele samochodzików Lego, ale tego właściwego nie było. Przyjrzał się naklejce jeszcze raz. Teraz zobaczył, że słowo nie zaczyna się na *d*, poprzedzała ją inna starta litera. Nie dało się jej odczytać, ale na pewno nie było zbyt wielu możliwości. Zaryzykował i do wyszukiwarki wpisał „Lego adrift”. Tym razem trafił. Wyskoczyły mu zdjęcia autka znalezione w parku. Zarówno reklamy tego modelu, jak i instrukcje montażu i numer artykułu.

I od razu zrozumiał, dlaczego wydało mu się takie znajome. Należało do serii Lego Racers wypuszczonej w minizestawach, kiedy Benjamin był mały. Syn dostał identyczną niebieską wyścigówkę wraz z pudełkiem klocków, które mu się ostatnio przypomniały.

W końcu Vincent dotarł na platformę widokową. Pod nim rozpościerał się Sztokholm w całej swojej letniej wspaniałości, ale mentalista nie potrafił się skupić na widoku. W jego mózgu kawałki puzzli zaczęły już wskakiwać na miejsca. Sięgnął po wieczne pióro, ale zdał sobie sprawę, że nie ma na czym pisać, pozostało pisanie na grzbiecie dłoni. Zanotował więc to, co dotąd ustalił.

*Lego Racers. 8151. Lego Adrift.*



*Lego Classic. 6116. Pudełko klocków.*

Zastanowił się przez chwilę i przekreślił dolny rząd. Pudełko klocków Benjamina nie mogło mieć tu nic do rzeczy. Ale czerwone auto miało tę samą wielkość co niebieskie. A więc przypuszczalnie było częścią tej samej serii. Przyjrzał się z bliska zdjęciu w komórce i na nim również dostrzegł wytartą naklejkę. Widniał na niej napis na niej *Tow t*. Do wyszukiwarki wpisał „Lego Racers Tow truck” i od razu wyskoczyła instrukcja budowy czerwonego auta pomocy drogowej. Wreszcie przyspieszyło. Dopisał nowe informacje.

*Lego Racers. 8151. Lego Adrift*

~~*Lego Classic. 6116. Pudełko klocków.*~~

*Lego Racers. 8295. Tow truck.*

Teraz trzeba znaleźć schemat.

Spojrzał na zatokę w stronę Södermalmu. Na wschodzie widział bujną zielen drzew na Långholmen, wyspie, gdzie dawne więzienie zamieniono na hotel. Wszędzie gdzie okiem sięgnąć, widział wodę. Wodę i martwe dzieci.

*Adrift. Truck.*

Połączenie z lego Benjamina ukazało mu przynajmniej jedno. Czerwone autko było trochę nowsze od niebieskiego, jednakże były to wciąż modele Lego, których od przeszło dziesięciu lat nie można kupić. A na wtórnym rynku ten typ malutkich modeli nie pojawiał się zbyt często. Jeśli przyjąć, że chodzi o komunikat od mordercy, znaczy to, że ktoś od bardzo dawna planował zamordowanie dziecka z Fatbursparken. I to dłużej, niż żyło dziecko, zdał sobie sprawę Vincent. Co to znaczy? Jak można planować zamordowanie kogoś, kogo nie ma? Prawdopodobnie było to bardzo istotne pytanie. Chociaż właśnie teraz nie musiał na nie odpowiadać.

Bez powiązania z *Knight's tour* dziecko znalezione w Fatbursparken było tylko tragiczną ofiarą zabójstwa. Może jednak te autka nie były tropami podrzuconymi przez mordercę, który lubi zagadki. Vincent nie dostrzegł w nich niczego dziwnego. Wydawały się zbudowane dokładnie według instrukcji. Istniała możliwość, że Milda ma rację, że dziecko miało przy sobie te zabawki w momencie śmierci.

A jednak czuł, że tak nie było.

Chłopcy w czapkach ze śmigielkiem przebiegli obok, wykrzykując coś po niemiecku. Przycisnął się do poręczy, żeby zrobić im miejsce. Daleko w dole ludzie opalali się, leżąc na trawie. Jeśli tropem nie są same przedmioty, to może ich nazwy? Słowa nic mu nie dały. Spróbował przełożyć numery artykułów na litery w kolejności wyprodukowania obu modeli. Cyfry 81518195 dały litery HAEAHAIE. Bez sensu.

Jednak alfabet ma więcej liter niż dziewięć pierwszych. Aby dotrzeć do tych późniejszych, należało pogrupować cyfry parami. Zaczął od początku. Pierwsze dwie cyfry to 81. Nie dały się przełożyć na żadną literę. A więc pierwsza litera musiała być ósma z kolei, czyli H. Ale następne dwie to 15. I to mogłaby być litera O. Podobnie 18, to litera R. A 19 to S. Dalej została tylko cyfra 5, czyli litera E.

Zapatrzył się na litery napisane na dłoni.

HORSE.

Koń.

Turagapadabandha, porządek utworzony z kroków konia.

*Knight's tour.*

Od początku miał rację.

Niemieccy turyści pokrzykiwali jeszcze głośniej niż przedtem.

– **ZDAJECIE SOBIE SPRAWĘ** z tego, co zrobiliście?

Głos Rubena trząsał się z powstrzymywanej złości. Zazwyczaj panował w pracy nad emocjami. Jednak to było coś tak głupiego, że przekraczało jego wyobrażenie. Wraz z Julią udali się jak najszybciej na Mynttorget, gdzie dotarli akurat w momencie, gdy wywiad dla telewizji się skończył. Powiedzieli, że chcą rozmawiać z Jenny Holmgren, a wtedy Ted Hansson się szybko ulotnił. Pewnie wolał nie być widziany w pobliżu policji, domyślił się Ruben. Zwłaszcza że na widok kamer pojawiła się publiczność. Zawsze to jakaś weekendowa rozrywka.

Kazał Jenny, żeby pojechała z nimi na komendę, i dał jej do zrozumienia, że nie ma wyboru. A Jenny była na tyle bystra, by nie robić sceny.

Jednak kiedy wprowadzili ją do pokoju przesłuchań, jej nonszalancja przeszła w zaciętrzewienie.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – powiedziała. – I nie rozumiem, jak można być tak bezdusznym, żeby przyjeżdżać po mnie radiowozem przy tych wszystkich ludziach. Mam ochotę was pozwać. W końcu chodzi o moją reputację, muszę o nią dbać. I jeszcze ten biedny Ted, co sobie ludzie pomyślą? Przypuszczam, że Mauro znów wam nakłamał. Wszyscy się dają nabrać na jego urok, na pozory, które stwarza. Boże, jacy wy jesteście łatwowierni...

Ruben wymienił spojrzenia z siedzącą obok Julią. Jej zaczerwienione uszy zdradzały, że jest tak samo wściekła jak on. Woleliby radzić sobie bez durniów, przez których marnują swój czas. Matte Skoglund już został zatrzymany w związku z włamaniem do rodziców Ossiana. Nie mógł się nie przyznać, kiedy go zabierali.

– Proszę się lepiej zastanowić, zanim się pani jeszcze bardziej pograży – powiedziała Julia aksamitnym głosem.

W oczach Jenny po raz pierwszy pojawiła się iskierka niepokoju.

– Nasz kolega już rozmawiał z pani bratem Mattem – ciągnęła Julia wciąż tym samym aksamitnym głosem. – Właśnie go prowadzą do innego pokoju przesłuchań. Ciekawe, co powie? Zwłaszcza jeśli mu zaproponują złagodzenie kary w zamian za współpracę.

Oczy Jenny błyskały jednocześnie furią i strachem. Dopadli ją. Wiedziała o tym.

– Mattemu nie ma co wierzyć – powiedziała, machając dłonią. – Na pewno znacie jego przeszłość. Odsiadki. Dragi. Kradzieże. Pobicia. Łatwiej wymienić, czego się jeszcze nie dopuścił.

– Znamy to – odparł Ruben. – Jego specjalnością były zwłaszcza kradzieże, tak jak pani powiedziała.

Podsunał jej kilka zdjęć.

– To rzeczy, które oddał do lombardu. Zgadnie pani, skąd pochodzą?

Jenny zakłęła.

– Mówiłam temu idiocie, żeby się ich pozbył.

– Po tej wypowiedzi zakładam, że przestaniemy udawać – odezwała się Julia.

– Pani wie, że te przedmioty pochodzą z mieszkania rodziców Ossiana. Poprosiliśmy ich, żeby przejrzeni ubrania Ossiana, a oni zorientowali się, że kilku brak. Opis pasował idealnie do ubranek znalezionych w rezerwuarze w ubikacji w restauracji pani byłego męża.

– Eee, Mauro pewnie zabrał ciuchy dzieciaka, kiedy go uprowadził z przedszkola.

– Myśmy też tak myśleli. Ale dodatkowa zmiana ubrań Ossiana została w jego plecaku w domu. Natomiast ubranka z restauracji zostały ukradzione z mieszkania jego rodziców podczas włamania. Sugeruje pani, że to zbieg okoliczności?

Jenny nie odpowiadała, patrzyła w stół.

– Uwolniliśmy Maura od wszystkich podejrzeń. – Ruben nie ukrywał satysfakcji. – Wypuściliśmy go, jedzie już do domu, do rodziny. Słyszała pani, że znów się powiększyła?

– Zatrzymujemy natomiast zarówno panią, jak i brata – uzupełniła Julia, wstając. – Pod różnymi zarzutami, począwszy od kradzieży i paserstwa, po utrudnianie dochodzenia.

– Nie możecie tego zrobić, mam dobrze umocowanych przyjaciół, oni...

– Ma pani na myśli swojego nowego kumpla Teda Hanssona? – przerwała jej Julia. – Lidera Przyszłości Szwecji? Nie zechce mieć z panią nic wspólnego, kiedy się dowie. Przez panią media zjedzą go na śniadanie, obiad i na kolację. Obawiam się, że pani czas w świetle reflektorów się skończył.

– Pizda – syknęła Jenny.

Julia zastygła. Pochyliła się nad stołem, przybliżając twarz do Jenny.

– Mówisz do matki. Powtórz to. Powiedz. Jeszcze. Raz.

Jenny uciekła spojrzeniem.

– Tak myślałam – powiedziała Julia. – Miłego weekendu.

Ruben i Julia wyszli z pokoju przesłuchań, gdzie Jenny została, patrząc ponuro przed siebie.

– Dobra robota, Ruben – rzekła Julia.

Tak go zatkało, że tylko kiwnął głową.

**BABCIA NATHALIE** zrobiła zmartwioną minę. Siedziała na jednym z mebli ogrodowych, które sami zbudowali i ustawili w cieniu pod drzewami. Czytała wciąż od nowa jakiś papier.

– Coś nie tak? – zaniepokoiła się Nathalie.

– Kończą nam się pieniądze – odparła Ines, odkładając papier. Nathalie zobaczyła, że to rachunek. – Ten remont kosztował więcej, niż zakładaliśmy. A mamy więcej gęb do nakarmienia. Naprawdę nie wiem, czy będziemy mogli tu zostać.

Słowa jak cios. Nathalie usiadła ciężko obok babci.

– Nie będziemy mogli? Ale... ale... gdzie ja się podzieję?

Babcia wzruszyła ramionami z rezygnacją.

– Większość tutejszych osób przyczyniła się jakoś, dorzucając pieniądze, bez których mogą się obyć. Ale to nie wystarczy. A ciebie nie chcę prosić, jesteś za mała. Zresztą nie miałoby to większego znaczenia, bo potrzeba nam dość sporo.

Nathalie się zawstydziała. Jak mogła być taką egoistką? Nie zdając sobie sprawy, żyła na koszt tamtych. A powinna się domyślić, bo przecież musieli skądś brać te pieniądze. Chciała się wytłumaczyć przed babcią, że nie jest smarkatą, że też się troszczy o tamtych. Jednak słowa to mało. Powinna pomóc. I nawet wiedziała jak.

– Mamy z tatą w domu odłożone pieniądze – powiedziała. – W moim pokoju stoi miniatura skrzyni pirackiej. Kiedy na urodziny dostaję pieniądze, wkładam je do tej skrzynki. Co pewien czas tata mi jeszcze dokłada. Jak zbierze się ich dość, to za te pirackie pieniądze, jak je nazywamy, mamy pojechać na jakieś wakacje. W skrzyni jest dobre dziesięć tysięcy koron. Moglibyśmy po nie pojechać.

Babcia patrzyła na nią wielkimi oczami. A potem się uśmiechnęła.

– Pewna jesteś? – spytała. – To by wiele znaczyło, poza tym pokazałabyś innym, ile jesteś warta, ale to jednak sporo pieniędzy. Twoich pieniędzy.

– Co masz na myśli, mówiąc, ile jestem warta?

– Przepraszam, nie powinnam tak mówić – powiedziała Ines, chwytając jej rękę. – Po prostu tamci wyrażają czasem wątpliwości. Myślą, że jesteś traktowana w szczególny sposób, ponieważ jestem twoją babcią.

Gdyby Nathalie nie zdążyła podjąć decyzji, zrobiłaby to teraz.

– Chcę, żebyście dostali te pieniądze – powiedziała. – Jedźmy zaraz.

Babcia znów się uśmiechnęła tym swoim ciepłym wszechobejmującym uśmiechem, mówiącym, że wszystko dobrze.

– Zaczekajmy na Karla – powiedziała. – Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się silny mężczyzna. Bądź co bądź mamy do czynienia z twoim ojcem.

**WCHODZĄC DO RESTAURACJI** Ulla Winblad na Djurgården, Christer otarł czoło z potu. Od miesiący chodził tam co sobota, ale w ciągu dwóch ostatnich tygodni brakowało mu czasu, miał za dużo pracy związanej z dochodzeniem w sprawie Ossiana. Wszedł do historycznej sali restauracyjnej i rozejrzał się niespokojnie. Już podczas drugiej wizyty tutaj postanowił, że stolik dla dwojga w rogu po lewej to jego stolik. Pewnego razu zdążyła tam usiąść jakaś młoda para, Christer niechętnie zajął wtedy stolik obok. Potem przez cały lunch rzucał im ukradkiem niezyczliwe spojrzenia, ale dyskretnie, żeby nie zauważyli. Robił to bardziej dla siebie – bo skąd mieliby wiedzieć, że to jego stolik.

– No proszę! Powrócił syn marnotrawny!

Kelner rozpromienił się na widok wchodzącego Christera, który poczuł, jak mu się robi ciepło na sercu. Żeby się tylko nie spocić. Zerknął na kelnera i jak zawsze uderzyło go, że włosy tamtego były tak samo jasne, jak je zapamiętał. Bez śladów siwizny czy oznak farbowania.

– Zacząłem się martwić, że już nas pan nie lubi – odezwał się kelner, mrużąc oko. – Pana stolik jest wolny.

Przechodząc, złapał kartę i poszedł przodem do stolika, pięknie nakrytego białym obrusem, srebrnymi sztućcami i płonąca świeczką.

Christer był zdecydowany, tym razem zrobi to. Przedstawi się. Powie, kim jest. Dziś to nastąpi. Na pewno.

– Nie, no skąd. Tylko miałem dużo pracy – mruknął.

– Chce pan zerknąć na kartę? Obawiam się, że jest to samo, co zawsze. Zamawiamy to co zwykle?

Kelner podał mu kartę, Christer wziął ją, siadając plecami do ściany. Zamawiamy to co zwykle? Jacy my? Może go jednak rozpoznał? Christer i chciał tego, i desperacko nie chciał. Jeszcze nie. Najpierw musi się trochę pozbierać.

Widok z okna był wspaniały. Mnóstwo ludzi spacerowało po ścieżkach, wielu z psami na smyczy. Brakowało mu Bossego. Pies zazwyczaj wszędzie mu towarzyszył, ale do restauracji nie wolno było przyprowadzać zwierząt, a Christer nie chciał zostawiać go w nagrzanym samochodzie, więc Bosse musiał grzecznie poczekać w domu. Za pierwszym razem kosztowało to Christera jego ulubione buty, a tydzień później lewe oparcie tapicerowanego fotela telewizyjnego. Ale niech tam.

– Może rzeczywiście spojrzę – mruknął, starając się nie patrzeć na kelnera.

Tętno biło mu tak mocno, że pewnie było słyhać głośno i wyraźnie. Wkrótce. Wkrótce coś powie.

– Proszę się nie spieszyć, dziś jest spokojnie. Ludzie chyba się porozjeżdżali do swoich domków letnich albo pływają po archipelagu.

Christer udał, że studiuje kartę, chociaż już się zdecydował. Jak zwykle śledź. Jednak chciał przedłużyć tę chwilę, dać sobie jeszcze kilka sekund na znalezienie idealnego otwarcia. Trzy miesiące i ciągle go nie znajdował, może nawet był kiedyś właściwy moment, ale przeszedł niezauważenie, sam już nie wiedział.

– Proszę pana? – odezwał się blondyn w białym kitlu kelnerskim.

Już odchodził w stronę kuchni, ale zatrzymał się i obejrzał. Christer podniósł wzrok znad karty, ich spojrzenia się spotkały. Oczy też miał takie niebieskie, jak zapamiętał.

– Chciałem już kilka razy spytać – powiedział kelner – ale najczęściej dzieje się tyle, że nie mogę zdążyć. Tak sobie... czy myśmy się kiedyś spotkali? Wydaje mi się pan bardzo znajomy.

Lekka zmarszczka między brwiami. Błękit oczu spotęgowany jeszcze przez światło słońca, które padło pod idealnym kątem. Christer miał wrażenie, że donośne bicie jego tętna powinno wypełniać cały lokal, a wszyscy goście odwrócić się i dziwić, co się dzieje przy tym małym stoliku w rogu. Jednak nikt się nie odwrócił, najwyraźniej nikt nie usłyszał buczenia w jego uszach. Christer odetchnął głębiej. W końcu miał to otwarcie, którego szukał.

Wreszcie.

A jednak.

– Nie, nie wydaje mi się. – Christer sam usłyszał, jak to powiedział. – I wie pan co, rzeczywiście poproszę o śledzie. I piwo.

Zamknął kartę i podał kelnerowi, który wzruszył ramionami i poszedł do kuchni przekazać zamówienie. Christer podązał wzrokiem za jego plecami, aż tamten zniknął mu z oczu. Wtedy westchnął głęboko.

Następnym razem. Wtedy to nastąpi.

Wtedy coś powie.



**JEDEN DZIEŃ WOLNEGO** to przecież niewygórowane oczekiwanie. W dodatku była niedziela. W piątek wykonali dobrą robotę, zatrzymując Jenny i Mattego, a wypuszczając Maura. Ruben był zdania, że zasługuje na odrobinę odpoczynku.

Najwyraźniej nie.

Jechał szybko, na ile starczyło mu odwagi. Wprawdzie ze względu na Astrid wziął radiowóz, dzięki czemu nie musiał się martwić o ograniczenia. Jednak gdyby ktoś zobaczył, że na przednim siedzeniu auta pędzącego po autostradzie siedzi nieduża dziewczynka, to pewnie by się zdziwił. Liczył, że policyjna czapka na głowie Astrid zakrywa ją choć trochę. Ruben był zdania, że mała już zaczyna do niej dorastać.

Cały Vincent, żeby zwoływać zebranie zaledwie parę minut po tym, jak Ruben po raz drugi odebrał Astrid od Ellinor. „Rzucajcie wszystko i bądźcie na wczoraj”, tak powiedział. Co to za metody! I to w niedzielę. Choć ostatnim razem Vincent zwołał zebranie latem dwa lata temu. Wtedy mentalista potrzebował tylko pół godziny, żeby zrobić z siebie głównego podejrzanego. Ruben nie mógł się doczekać, co też Vincent narobi tym razem.

– Ale szybko jedziesz – śmiała się Astrid. – Ścigamy złodzieja?

– Prawie – odparł Ruben. – Mamy się spotkać z jednym panem, który czyta w myślach. On ci może skraść twoje myśli, wiesz.

Astrid milczała, jakby zastanawiała się nad tym, co Ruben powiedział.

– A możemy w takim razie włączyć syrenę? – spytała.

Rubenowi zrobiło się gorąco. Do diabła z zasadami. Jego córka chce, żeby była syrena, no to będzie miała syrenę i jeszcze koguta. Ruben wcisnął mocniej pedał gazu. Astrid aż krzyczała ze szczęścia.

Po wejściu do gmachu komendy Astrid przywitała się swobodnie z panem w recepcji. Następnie wjechali windą na górę i potruchtali do salki konferencyjnej. Astrid dotrzymała mu kroku. Wszedł i w pierwszej chwili nie odczytał zdumionych spojrzeń kolegów. Do momentu, gdy zorientował się, że patrzą nie na niego, tylko na jego córkę.

– No tak, to jest Astrid – powiedział. – Ona tu będzie dzisiaj ze mną.

Zapadło milczenie.

– Nie wiem, czy to odpowiednie... – zaczęła Julia, a potem tylko pokręciła głową.

– Czy ona... – mruknął Peder przez brodę. – Mam na myśli... jak ty...

A potem i on umilkł.

Vincent stał przed ścianą w głębi salki, gdzie wisiała pokreślona w kratę mapa Sztokholmu. Zdjęcia przedstawiające Lilly, Williama, ofiarę z Fatbursparken i Ossiana zostały przypięte w miejscach ich znalezienia. Ktoś, zapewne Vincent, namalował między nimi kreski, żeby można śledzić drogę mordercy.

– Cześć, Astrid – powiedział Vincent, uśmiechając się do córeczki Rubena. – Miło cię poznać. Ale jesteś podobna do swojego taty! I to nawet bez tej czapki policyjnej.

– Swojego taty? – Christer aż usta rozdziawił, jakby się spodziewał, że coś tam wleci.

– No co? – syknął Ruben, odsuwając krzesła dla siebie i Astrid. – Chyba widać, że to moja córka? Pogłupieście, czy co? Vincent ma rację. Przecież widać, jacy jesteśmy podobni. Któż inny mógł być dostatecznie przystojny, żeby zostać jej ojcem?

Przysunął talerz z ciasteczkami, nie zwracając uwagi na szczere uśmiechy osób siedzących przy stole. Nawet Mina miała coś miłego w spojrzeniu.

Na talerzu zostało z wczoraj tylko kilka kruchych ciastek z kremem waniliowym i konfiturą. Astrid zabrała się do nich radośnie. Julia uśmiechała się tak szeroko, jakby jej usta pękły.

– Wiesz, znam pewnego Astona, który chyba jest w twoim wieku – powiedział Vincent. – To prawie takie samo imię jak Astrid.

– Czy on tu jest? – spytała Astrid z nadzieją. – Możemy się razem pobawić?

Christer, który właśnie podniósł do ust kubek z kawą, zarechotał.

– Oj tak, Ruben – powiedział. – Od tej pory będziesz randkował, umawiając się na zabawy u Vincenta.

Była to myśl, która jakoś nie potrafiła zagościć w głowie Rubena. Chrząknął głośno.

– I co było takie pilne? Mamy z Astrid jeszcze inne rzeczy do roboty.

– Racja – odezwała się Julia. – Zaczynajmy. Co masz dla nas, Vincent? A ty, Ruben, zatkasz uszy Astrid, w razie gdyby zrobiło się strasznie.

– Będzie dobrze – odparł, poprawiając czapkę na głowie córki, która sięgnęła po kolejne ciasteczko.

– Chodzi o... znalezisko... w Fatbursparken – zaczął ostrożnie Vincent, zerkając na Astrid. – Tam również był koń. To znaczy nie był to prawdziwy koń, Astrid, tylko klocki Lego. Jednak te klocki zawierały komunikat, słowo *horse*. Okazuje się, że moja teoria Knight's tour się zgadza. Choć, na co mi zwrócono uwagę, nie podważa to teorii Novy na temat wody. Wydaje mi się również, że miała rację o tyle, że naszego mordercę i jego pomagierów można porównać do

sekiarskiego ugrupowania. Zbyt wiele... ofiar... zostało uprowadzonych przez całkiem różne osoby, aby mogło chodzić o coś innego niż zorganizowaną grupę.

– Co do ofiary w Fatbursparken, nie mamy pojęcia, kto był porywaczem, czy była to jedna osoba, czy więcej – wtrącił Christer, a Vincent przytaknął.

– Zgadza się. To się jeszcze okaże. Jednak można stwierdzić, że kilka innych okoliczności wskazuje na to, że mordercą jest wciąż ten sam człowiek.

Astrid zrobiła wielkie oczy, gdy Vincent wypowiedział słowo „morderca”. Cały on, tak się zagapić. Nic nie powiedziała, ale mocno złapała Rubena za rękę. Gdyby wcześniej nie był dumny z córki, poczułby tę dumę teraz. Na pewno nie jest strachliwa, a w przyszłości będzie wpaniałą policjantką.

– Problem z teorią Novy jest taki, że nie pozwala na dalsze przewidywania. W razie następnego... czynu... wiemy jedynie, że stanie się to gdzieś w pobliżu wody. Albo miejsca, gdzie kiedyś była woda. W tym przypadku to całe miasto. Jednak *Knight's tour* podaje nam przynajmniej miejsce do przeszukania. A więc, Julio, jeśli się zgodzisz, to proponuję, żebyście – dopóki nie macie nic lepszego – wyszli od mojej teorii.

Nie czekał na odpowiedź, tylko przyłożył palec do kratki Lilly na mapie, poprowadził kreską do Williama, dalej do Fatbursparken, stamtąd na Skeppsholmen, gdzie został znaleziony Ossian, i do następnej pozycji na mapie.

– Zgodnie z tą trasą na mapie następne... znalezisko... będzie przy Djurgårdsbrunnsviken – powiedział.

– Przecież to cały kanał – wtrącił Peder. – A propos wody.

Vincent rzucił mu mroczne spojrzenie.

– To absolutnie nie do przyjęcia – stwierdziła Julia. – Vincent, ty nam mówisz, gdzie mamy szukać w razie kolejnej porażki. A chodzi o to, by nie dopuścić do następnego uprowadzenia. Trzeba zaalarmować wszystkie przedszkola. Muszą zwiększyć czujność przy odbieraniu dzieci i nie spuszczać z oczu żadnego podopiecznego.

– Jak długo? – spytał Peder. – Między Lilly a Williamem upłynęło przeszło pół roku, ale czas między Williamem a znaleziskiem w Fatbursparken był krótszy, i Ossianem zresztą też. Wydaje się, że nie istnieje jakiś schemat co do czasu, kiedy to się wydarza. Jak długo mamy kazać rodzicom żyć w strachu?

– Rodzice i tak mają już dość – powiedział Ruben, któremu się przypomniła kobieta napotkana przed domem Lovis, gdy był tam razem z Adamem. – Ted Hansson zbiera punkty wraz z każdym upływającym dniem. Nawet bez pomocy Jenny Holmgren.

– Wydaje mi się, że ostrzeżenia nie pomogą – wyraził pogląd Christer. – Porywacze przechytrzyli jak dotąd zarówno rodziców, jak i sąsiadów.

Ruben spojrział na Astrid. Miała tylko parę lat więcej od dzieci, o których była mowa. Vincent i Nova twierdzili, że to robota jakiejś organizacji. Nie potrafił zrozumieć, jak tyle zła może się zebrać w jednym i tym samym miejscu. W jego mieście.

Ścisnęło go w gardle, znów poprawił czapkę na głowie Astrid. Drań, który chciałby zbliżyć się do niej, będzie miał z nim do czynienia.

**WSZYSCY WYSZLI**, tylko Vincent został, patrząc na mapę. Przesunął ręką po śladach skoczka z szachownicy. Szlak mordercy przez dzielnice Sztokholmu. Coś mu umknęło. Czuł to.

Stojąca przy drzwiach Mina powiedziała coś.

Uwierały go słowa Pедера, a mianowicie, że odstępy czasowe między kolejnymi uprowadzeniami były różne. Ktoś tak staranny jak ten morderca nie zostawiłby tego przypadkowi. Wszystko na świecie dzieje się w czasie i przestrzeni – w określonym czasie i określonym miejscu. Zawsze jest jakieś kiedy i jakieś gdzie. Schemat na mapie był niesłychanie dokładny co do gdzie. Jednak był to tylko jeden element puzzli. Brakowało drugiego. Nie mieli puzzla kiedy.

– Vincent.

Odwrócił się. Mina stała w drzwiach, wyglądała, jakby oczekiwała odpowiedzi.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Spytałam, czy idziesz.

Cofnął się pamięcią, starając się przypomnieć sobie, co powiedziała. Jednak dźwięk jej głosu został zagłuszony przez jego myśli. Nie przypominał sobie. Spuścił oczy, wołał nie zdradzać, że nie słuchał.

– Bez obaw, wiem, że nie słyszałeś – powiedziała. – I właściwie o to mi chodzi. Wydaje mi się, że powinieneś zająć myśli czymś innym. No chodź.

Nie odważył się pytać dokąd, tylko wyszedł przez drzwi, które mu przytrzymała. Poszli do windy. Vincent czuł się nieswojo.

– Zadzwoń do Marii i uprzedź, że wrócisz późno – powiedziała, kiedy drzwi windy się otworzyły. – Zebranie w komendzie się przedłużyło albo coś w tym rodzaju.

– Dobrze, ale mogę spytać, dokąd się udajemy?

– Oboje musimy oczyścić głowę – wyjaśniła Mina, wciskając guzik garażu. – Żeby potem lepiej funkcjonować. Akurat ty powinieneś o tym wiedzieć.

Drzwi windy otworzyły się, Vincent nie wyszedł od razu, odczekał sekundę. Nie lubił wind, a jeszcze bardziej podziemnych garaży. Było tam za blisko do sufitu. Choć powinien się cieszyć, że Mina nie postawiła auta na ulicy. Gdziekolwiek pojedą, byłaby to jazda sauną na kółkach.

Doszli do auta Miny, gdzie – jak zauważył – siedzenie pasażera obok kierowcy było bez plastikowej osłony, czyli ostatnio nie wozila nikogo swoim samochodem.

– Pewna jesteś, że to dobry pomysł? – spytał.

– Osłona leży w schowku – powiedziała, włączając silnik. – Sam ją załóż.

– Naprawdę umiesz sprawić, żeby facet poczuł się mile widziany – skomentował, ale posłuchał.

Przejechała przez S:t Eriksbron, a z mostu dalej na Odenplan. Tuż przed miejską biblioteką skręciła w jakąś przecznicę i wjechała do podziemnego garażu.

– To kawałek drogi od pracy, ale właśnie o to chodzi – powiedziała.

Wychodząc z garażu, zobaczył obok drzwi tabliczkę. Koło liter ROQ trupia czaszka. Coraz mniej z tego rozumiał. Co to za miejsce?

– Wiem – przyznała, widząc jego wzrok skierowany na tabliczkę. – Staram się nie przychodzić, kiedy grają na żywo. Nie mam nie przeciwko muzyce, ale czy masz pojęcie, ile cząsteczek wzbija do góry jeden bębniarz? On powinni siedzieć w szklanej klatce.

Wszedł za Miną i potrzebował paru chwil, żeby oczy przestawiły mu się z pełnego słońca do przytłumionego światła lokalu. A potem zobaczył, że znajduje się w dużej sali z rzędami pustych stołów bilardowych.

– Mówiłam ci, że jestem dobra w grze w bilard, więc postanowiłam udzielić ci lekcji pokory, wygrywając z tobą. Dzięki temu, dla urozmaicenia, nie będziesz musiał czuć się taki wspaniały.

Vincent patrzył na nią, nie wiedząc, co myśleć, od czego zacząć. Bilard?

Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie, że ta policjantka, która nie lubi ludzi i dostaje paniki na samo wyobrażenie bakterii, chodzi do sali bilardowej. Zobaczył jednak, że sala jest w zasadzie pusta. I wysprzątana. Rzeczywiście, wprawdzie było to całe wieki temu, ale Mina mówiła mu, że lubi grę w bilard.

– Na razie nic nie wskóramy z tymi dziećmi – ciągnęła. – Walać głową w mur, niczego nie rozwiążemy. Będziemy lepsi w tym, co trzeba, jeśli przez chwilę pozwolimy sobie skupić się na czymś innym.

– Cześć, Mina! – odezwała się kobieta stojąca za barem.

– Cześć, Alice, co słyhać?

Kobieta o imieniu Alice była w białej koszulce, na którą włożyła drugą, czarną, z logo lokalu na piersi, a włosy miała upięte w starannie niedbałą fryzurę. Wzruszyła ramionami.

– No wiesz – powiedziała. – Czasem jest uparty, trzeba mocno zaczerpnąć tchu. Stół numer osiem jest jak zwykle zarezerwowany dla ciebie.

Alice nachyliła się i wyjęła zza baru tacę, na której stała butelka spirytusu do dezynfekcji i druciany koszyczek z mokrymi chusteczkami.

– Daj znać, gdyby twoja gorsza połowa stała się zbyt uciążliwa. Mam kilku kolegów, którzy chyba potrafią przemówić mu do rozumu.

Mina wzięła tacę i ruszyła do stołów bilardowych. Vincent nie miał innego wyboru, jak pójść za nią.

– To jak teraz będzie? Nie chcę się czepiać, ale czy najpierw myjemy wszystkie bile? Okrywamy stół plastikiem? Masz w torbie własny składany antyseptyczny kij? Nie chcę kpić, ale nie bardzo sobie wyobrażam, jak to zrobisz. Tych rzeczy musiało dotyczyć tysiące ludzi. Tacy, którzy przy tym pili piwo, mieli resztki tytoniu na palcach, którzy się pocili podczas tej muzyki na żywo...

– Dziękuję, wystarczy – przerwała mu.

– Czy to rodzaj agresywnej terapii kognitywno-behawioralnej?

– Zadawanie się z tobą wiąże się z potrzebą terapii – odpowiedziała. – Odkąd skończyłam z chodzeniem do AA, zaczęłam co tydzień przychodzić tu. Czasem kilka razy w tygodniu. Jest dostatecznie daleko od pracy, żeby nikt mnie nie poznał. Mam spokój. W pewnym sensie pomogło mi to bardziej od AA. Alice, którą widziałeś w barze, zawsze zmywa stół przed moim przyjściem. Kij i bile też. I owszem, poprosiłam ją, żeby używała przy tym plastikowych rękawiczek. Ona nie widzi w tym nic dziwnego. To całkiem normalne w porównaniu z tym, o co prosi ją jej mąż. On jest... ekspedycjonistą, w każdym razie tak to nazywa.

Vincent stał i patrzył, jak Mina układa bile w plastikowym trójkącie.

– Masz na myśli gościa, którego nakręca uprawianie seksu w miejscach publicznych, gdzie można zostać przyłapanym? To musi być męczące – zauważył.

Pchnął stół bilardowy, żeby sprawdzić jego stabilność. Łatwo było się domyślić, co mogło się odbywać na tym stole.

– Głupek – powiedziała, widząc jego spojrzenie. – To było oczywiście pierwsze, o co ją spytałam.

Podowała mu kij i zdjęła trójkąt.

– Rozbijasz.

Dalej mecz potoczył się dokładnie tak, jak Mina przepowiedziała. Mina była bezlitosna. A Vincent beznadziejny. Myśli na temat interwałów czasowych nie chciały zniknąć do końca i uwierały w głowie, zakłócając koncentrację.

Mina wycelowała starannie, by wykonać śrubę. Trafiła jedną bilę, która z kolei trafiła następną, a ta w reakcji łańcuchowej kolejną i jeszcze kolejną, aż ostatnia wpadła do luzu. Vincent zatrzymał się. Usiłował odtworzyć w głowie cały przebieg jak film. Chodziło o to, w jaki sposób bile uderzały się o siebie na coraz krótszej odległości. Czas. Wydarzenia, gdzie jedno prowadzi do następnego. W czasie. Czasie coraz krótszym wraz z każdym etapem reakcji, gdy bile wpadały na siebie...

– Mina – odezwał się.

Mina podniosła wzrok znad kija, nad którym się pochyliła.

– Myślisz, że moglibyśmy jeszcze dziś wieczorem ściągnąć wszystkich z powrotem do komendy? – spytał.

– No i koniec zabawy – powiedziała, podniosła się i oparła kij o stół. – Nie potrafisz nigdy wziąć na luz?

– Owszem, pamiętam, miałem wtedy dziewięć lat – odparł. – Było to okropnie nudne. Ale jak sądzisz? Moglibyśmy...?

– Żona Pедера chyba rozszarpie cię na kawałki, a następny w kolejce będzie mąż Julii. Poza tym nie powinno być problemów. Bo co?

– Powiem ci w drodze.

– A jesteś pewien, że to nie dlatego, że znów wygrywam z dużą przewagą? – spytała, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Słowo, że nie.

Mina westchnęła i pozbierała swoje rzeczy. Podeszli do baru i oddali tacę ze środkami czystości zdziwionej Alice.

– Krótko dziś było – zauważyła.

– Coś nam wyskoczyło – odparła Mina. – Ale zobaczymy się w tygodniu.

Vincent odczekał, aż wyjdą z lokalu i skierują się do samochodu Miny.

– Widziałaś, jak cały czas zerką na nasz stół, kiedy graliśmy? – odezwał się.

– Na pewno korzystała z tego stołu ze swoim mężem.



**MINIE UDAŁO SIĘ** szybko ściągnąć cały zespół, ponieważ wszyscy byli jeszcze w budynku z wyjątkiem Rubena. Ich zmęczone mroczne miny mówiły jednak, że Vincent ma u nich same minusy. Rzecz jasna zaznaczyła, że ponowne zebranie to jego pomysł. Nawet Peder nie potrafił wykrzesać z siebie entuzjazmu. Zagroziła również Vincentowi, że z hali bilardowej do komendy będzie musiał wrócić piechotą, za karę za jego ostatnie słowa. Przez niego będzie musiała poprosić Alice o zmianę stołu bilardowego.

– Przepraszam, że znów was tu ściągnąłem – zaczął – ale na telefon jest to za bardzo skomplikowane. Zastanawiałem się nad czymś, o czym wspomniał Peder...

Tu spojrzał na zegarek.

– ...dwie godziny temu.

– Ciekawe, co wyście przez ten czas robili we dwoje? – odezwał się Ruben znaczącym tonem.

Nie miał już ze sobą Astrid, więc wrócił do dawnej formy.

– Nie twoja sprawa – odparła Mina. – Ale powiem ci tylko tyle, że kule były umyte, a Vincent trąca mocniej, niż można by się spodziewać.

Christer i Peder parsknęli śmiechem, a Ruben poczerwieniał jak burak i wyglądał, jakby nie wiedział, gdzie się podziać. Coś wspaniałego. Wreszcie mu się odpłaciła za te wszystkie lata znaczących spojrzeń, komentarzy i insynuacji, i to tak, że spiekł raka jak uczeń.

– Wolno przypuszczać, że graliście w bilard? – spytał ostrożnie Adam.

Christer zaśmiał się jeszcze głośniej.

– No i to się nazywa spokój w klasie – skomentowała Julia. – Chętnie bym się z wami podroczyła, dzieci, ale w domu czeka na mnie ktoś ważniejszy. A konwersacja z nim odbywa się na ociupinę wyższym poziomie.

Mina odnotowała, że Julia mówi o jednej osobie, nie dwóch. Czyli najwyraźniej Torkel jest wciąż w niełasce.

– A więc o co chodzi? – spytała Julia, patrząc na Minę.

Mina cofnęła się o krok i machnęła ręką, wskazując Vincenta.

– *It's all yours* – powiedziała.

Vincent chrząknął i stanął przy mapie ściennej, tak jak poprzednio.

– Jak powiedziałem po południu, według mojej teorii następne ciało zostanie znalezione tutaj, w rejonie Djurgårdsbrunnsviken. Czego nie wiedzieliśmy, to tego,

kiedy sprawca, a raczej organizacja czy sekta, znów uderzy. Ale wydaje mi się, że znam rozwiązanie tej zagadki. Peder miał rację. Daty morderstw są jak uderzające o siebie bile bilardowe, tylko że dzieje się to coraz szybciej, zamiast zwalniać.

Wszyscy gapili się na niego zdezorientowani.

– I po to tłukłem się samochodem całą drogę z Vallentuny? – odezwał się Ruben.

Jednak właśnie takiego Vincenta Mina lubiła najbardziej. Pochłoniętego myślami, zapominającego o obecności innych w pomieszczeniu. Jego mowa ciała zmieniała się, stawał się bardziej rozluźniony, pewny siebie. Jakby poza takimi chwilami był czujny. Teraz był tym Vincentem, którego wpuściła za swoje wały obronne.

– Przedtem tego nie dostrzegłem – ciągnął Vincent, który najwyraźniej nie zarejestrował kwaśnej uwagi Rubena. – Nawet wtedy, gdy Milda powiedziała, że ofiara z Fatbursparken zginęła najwyżej dwa miesiące temu. Jednak zgadza się to aż za dobrze, żeby mogło być przypadkowe.

– Zgadza z czym? – dopytywał Ruben z rosnącym rozdrażnieniem.

Adam i Julia patrzyli wyczekująco, a Christer zmarszczył się, jakby rzeczywiście próbował zrozumieć, co im usiłował tłumaczyć mentalista.

– Zgadza się ze współczynnikiem przyspieszenia – odparł Vincent, podchodząc do białej tablicy.

Wziął marker i zaczął pisać.

– W ten sposób. Wykorzystanie *Knight's tour* wskazuje, że mamy do czynienia z osobami, które działają ściśle według zasad matematyki. Nie ma powodu sądzić, że zachowałyby się inaczej, gdy chodzi o częstotliwość tych działań. Lilly zaginęła na początku czerwca zeszłego roku. William pod koniec stycznia tego roku. To siedem miesięcy między jednym i drugim. Jeśli ciało z parku leżało tam najwyżej dwa miesiące, jak mówi Milda, oznacza to, że ten chłopiec zaginął w połowie maja. Trzy i pół miesiąca po Williamie. A Ossian osiem tygodni później. Nie widzicie?

Pokazał ręką to, co napisał.

*Lilly William, 7 miesięcy*

*William Fatbursparken, 3,5 miesiąca*

*Fatbursparken Ossian, 1,75 miesiąca (8 tygodni)*

– Czas między jednym morderstwem a każdym kolejnym skraca się o połowę – powiedział.

Odczekał, aż wszyscy obecni dostrzegą to, co już zdążył zobaczyć.

– O kurde – mruknął Christer.

– To znaczy, że następne zaginięcie nastąpi cztery tygodnie po Ossianie – odezwała się Julia.

– Dokładnie tak – przytaknął jej Vincent.

– Zaraz, czekaj – powiedział Christer. – Nie mówiłeś przypadkiem, że jeśli tego nie zatrzymamy, stanie się to sześćdziesiąt cztery razy? Tyle samo kroków co pól na szachownicy? Nie wydaje się, żeby to tempo skracania przedziałów czasowych pozwalało na zbyt wiele nowych przypadków.

– Masz rację – przyznał Vincent. – Słuszna uwaga. Przy tym tempie mordercy mogą wykonać maksymalnie cztery takie działania. Inaczej musieliby porywać jedno dziecko dziennie, a wkrótce jedno na godzinę, co jest zupełnie nieprawdopodobne. Czyli po ośmiu porwaniach nastąpiłby naturalny koniec. Nie mówię, że będzie osiem, tylko że może być osiem porwań. Co stwierdziwszy, musimy się skupić na tym, żeby uniemożliwić piąte porwanie.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy potraktowali to poważnie. Nawet Ruben wydawał się to rozważać.

– A więc, Vincent – powiedziała powoli Julia – to ile mamy czasu do następnego razu?

– Jak sama mówiłaś – odparł mentalista, pukając w tablicę. – Cztery tygodnie od porwania Ossiana. Dziś jest niedziela. W środę będą trzy tygodnie od jego uprowadzenia. Jeśli tego nie rozwikłamy, to za dziesięć dni w Sztokholmie zniknie kolejne dziecko.

# TYDZIEŃ CZWARTY

– HEJ!

Ruben aż podskoczył. Nie zauważył, że ktoś podszedł do niego.

– Hej! – odpowiedział, odruchowo poprawiając grzywkę, która tego wtorkowego poranka kierowała się własną wolą.

– Jak wam idzie? – spytała Sara z działu analiz.

Sara, która miała pomóc im w sortowaniu informacji, a z jakiegoś powodu go nie lubi. Teraz usiadła obok i Ruben poczuł zapach perfum i płynu do płukania. Wyglądała świeżo, jakby nie doskwierał jej upał w pomieszczeniu. Ruben powstrzymał się przed powąchaniem swoich pach i zamiast tego skupił się na danych, które miał przed sobą.

– Nasza praca stała się okropnie utrudniona – westchnął, wskazując palcem ekran komputera. – Od czasu upublicznienia tych morderstw w mediach zgłaszają nam zaginięcie już po kwadransie nieobecności dziecka. Toniemy w powodzi takich zgłoszeń. W dodatku ludzie są wściekli i uważają, że nie robimy, co do nas należy. No i boją się. Obawiają się spuścić dziecko z oka nawet na chwilę.

– Lepsze jedno zgłoszenie za dużo niż jedno za mało – powiedziała Sara, mrużąc oczy wpatrzone w ekran.

– I jakby nie dość tego, w weekend dowiedzieliśmy się, że morderca być może uderzy ponownie, i to w najbliższą środę – ciągnął z westchnieniem. – Po fiasku z Maurem wróciliśmy do punktu wyjścia. Wstyd przyznać, ale mamy zero tropów. Spędziliśmy cały wczorajszy dzień na przeglądaniu notatek z przesłuchań po zaginięciu Ossiana, ale nic nam to nie dało. Żadnych nowych tropów, nic, czego byśmy już wcześniej nie wiedzieli. Ten morderca jest jak duch.

– Mogę coś zrobić? – spytała, sięgając po swoją filizankę kawy, którą wcześniej postawiła na biurku.

– Dziękuję, ale nie wiem, co by to miało być. A jeśli ta kawa jest z automatu, to ostrzegam: potworna lura.

Sara się zaśmiała. Miała dźwięczny, melodyjny śmiech. Zabawne, że wcześniej tego nie zauważył.

– Jestem przyzwyczajona do amerykańskich sików – powiedziała, pijąc łyk. – W porównaniu z nimi nawet najgorsza kawa w Szwecji smakuje po prostu bosko.

– Okej. Właśnie, to jak będzie z tymi Stanami? Słyszałem, że wracasz tam już na stałe, tak?

– Chcesz powiedzieć, że słyszałeś o moim rozwodzie.

Westchnęła. Ruben starał się nie zerkać na jej figurę, naprawdę kształtną jak trzeba. Ten jej mąż to jakiś idiota.

– Okazało się, że mamy odmienne zapatrywania na różne rzeczy – powiedziała. – Uważał, że powinnam zostać w domu i ogólnie rzecz biorąc, zamknąć buzię. A ja uważałam... inaczej.

– Rozumiem. – Ruben wciąż scrollował doniesienia na komputerze. – Przepraszam za prywatne pytanie, ale jak rozwiążecie sprawę dzieci? Jeśli będziecie mieszkać na różnych kontynentach?

Sara spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– A to u ciebie coś nowego. Nie przypuszczałam, że wiesz, że mam dzieci.

Ruben zaczerwienił się, a potem się wyprostował. Sara ma rację. Rzeczywiście coś nowego. Zresztą nowego nie nowego, przecież zawsze był człowiekiem troszczącym się o innych, jeśli miałby sam się określić. Tyle że nie bardzo miał to komu okazywać. A może miał, tylko nie dostrzegał tych innych. Cholera, znów to pogmatwał. Chociaż taka gmatwanina to dobra rzecz, mawiała jego psycholożka Amanda. Gmatwanina to krok naprzód. Aczkolwiek bywa wyczerpująca.

– Dowiedziałem się, że mam córkę – powiedział. – Ma dziesięć lat, a na imię Astrid.

– Ojej, gratulacje!

Teraz spojrzała z jeszcze większym zdziwieniem.

– I jak się z tym czujesz?

– Fantastycznie – odparł, zdając sobie sprawę, że rzeczywiście tak jest.

Bo przecież tak było. Fantastycznie. Ona była fantastyczna.

– Oczywiście szkoda, że ominięło mnie tyle lat jej życia, ale jest jak jest. Zresztą nie jestem pewien, czybym się wtedy przydał. Jej mama jest mądra. Gdzieś tam w środku wiem, że miała rację, kiedy mnie wykopała. Za to teraz chcę zrobić co się tylko da, żeby być najlepszym tatą.

Sara pokręciła głową, podniosła kubek do ust, spojrzała na kawę i odstawiła.

– Widzę, że człowieka nie ma parę dni, a tu się naprawdę dzieje – powiedziała. – Cieszę się ze względu na ciebie. A odpowiadając na twoje pytanie o dzieci, jest to... trudne. Chcę mieszkać tutaj, blisko mojej rodziny, chciałabym

również, żeby moje dzieci się tutaj wychowywały. On tego nie chce. A amerykańskie przepisy dotyczące praw matki nie są za fajne, w każdym razie w odniesieniu do matek z innych państw. Jeśli dzieci pojedą do niego, to boję się, że je zatrzyma. Na razie powiedziałam mu, że jeśli chce się z nimi spotkać, może tu przyjeżdżać. Nasi adwokaci „prowadzą rozmowy”.

Palcami zrobiła w powietrzu cudzysłów.

– Cholera jasna – skomentował spontanicznie Ruben, a Sara przytaknęła.

Wypiła kolejny łyk kawy i skrzywiła się.

– Miałaś rację. Rzeczywiście obrzydliwa.

– Przecież mówiłem. Pomogłabyś mi przejrzeć zgłoszenia o zaginionych dzieciach z ostatnich tygodni? Większość z nich pewnie już się znalazła albo nawet wróciła sama, tylko rodzice nas nie zawiadomili, więc proponuję podzwonić po ludziach. Nie po to, by znaleźć naszego porywacza, jeśli zgadza się teoria, że poczeka do przyszłego tygodnia. Jednak to też jest robota, którą trzeba wykonać.

– Bardzo mądrze – zauważyła Sara, usiadła obok i wyjęła telefon. – Kto wie, może jednak odkryjemy coś interesującego. Czas cudów wcale nie musiał przeminąć.

Zerknął na nią ukradkiem. Dlaczego nigdy wcześniej z nią nie porozmawiał? Taka inteligentna i fajna. Czas cudów, a to dopiero. I jeszcze tak świeżo wygląda. Sięgnął dłonią pod pachę. Mokra. A niech to. W dodatku włożył dziś jasnoszary T-shirt. Przecież wiedział, że trzeba było włożyć czarny.

**PEDER MUSIAŁ** niechętnie przyznać, że broda swędziała go w stopniu przewyższającym korzystny – jak uważał – efekt dla jego wyglądu. Wprawdzie był dość osamotniony w przekonaniu, że z brodą wygląda megafajnie, bo nawet Anette dołączyła do obozu przeciwników. Gdyby nie to ciągle drapanie, być może oparłby się naciskom, jednak wciąż się wahał.

A więc drapiąc się, jak zwykle dokładnie studiował listy. Tu był jak w domu, zagłębiał się w masę informacji, odkrywał związki między danymi statystycznymi i rozmaitymi odchyleniami. Uwielbiał wyzwania polegające na szukaniu maleńkiej igły w stogu siana, tego punktu, od którego dochodzenie ruszy i dzięki któremu nastąpi rozwiązanie. Tym razem chodziło jednak o bardzo szczególne listy. Zaginionych dzieci nie dało się sprowadzić do anonimowych danych. Ruben z Sarą zrobili pierwszy przegląd, odsiewając dzieci, które się znalazły. Czyli większość. Jednak wiele zostało. Aż za wiele.

Przy każdej twarzy dziecka, każdym szczegółowym zgłoszeniu, stawały mu przed oczami jego trojaczki. Odkąd się pojawiły na świecie, miał wrażenie, jakby wszystkie jego siły życiowe były podłączone do jego dzieci. Były dla niego Yggdrasilem, drzewem świata, jego krwiobiegiem i płucami, dzięki którym mógł oddychać. Każde z dzieci figurujących na policyjnej liście danych miało co najmniej jednego rodzica, któremu teraz aż brakło tchu.

W większości przypadków zaginięć dziecka było jakieś wyjaśnienie. Krewny, który wywiózł je za granicę. Rodzina uchodźców, która się ukrywa, żeby uniknąć deportacji. Dziecko, które z własnej woli i tysiąca różnych powodów – wszystkich równie przykrych – uciekło od rodziców, rodziny zastępczej albo ośrodka karnego dla młodocianych.

Zostawała reszta. Tych, których zaginięcia nie dało się wytłumaczyć w wiarygodny sposób. Skupił się na nich i porównywał kolejno z opisem, jaki Milda sporządziła przy sekcji zwłok z Fatbursparken. Chociaż ze względu na zły stan tych zwłok nie było wiele punktów zaczepienia, coś się jednak znalazło. A Milda umiejętnie wypunktowała to, co mogło im pomóc.

Peder jeszcze raz sprawdził notatki Mildy, reasumując, co ma. Wysokość: około stu dwudziestu centymetrów. Wiek: około sześciu lat. Kolor włosów: brązowe. Płeć: chłopiec. Dziecko miało również złamane kiedyś prawe udo. Milda oceniła na podstawie stopnia zagojenia, że uraz nastąpił jakieś dwa lata

temu. Oczywiście trzeba to przyjąć z pewną rezerwą, jednak była to istotna wskazówka.

Peder powoli i dokładnie scrollował dokumenty na ekranie. Chwilami nieruchomiał, kiedy myślał, że trafił, ale ciągle coś się nie zgadzało.

W końcu się zatrzymał. Przeczytał jeszcze raz, co ma na ekranie, porównał ze swoją listą, sprawdził ponownie, wreszcie odsunął krzesło.

Desperacko poszukiwali jakiegoś nowego tropu. Czegoś, co ich przybliży do mordercy. A Peder właśnie to znalazł. Już wiedział, kim był chłopiec z Fatbursparken.



– **TATO, CO TO W OGÓLE** jest?

Rebecka przerzuciła z niesmakiem broszurę z Epicury, którą wzięła ze stolika przed kanapą.

– To zupełnie do ciebie niepodobne. „Cztery filary Epikura”?

Vincent podniósł wzrok znad swojej książki. Był głęboko pochłonięty lekturą książki Michela de Certeau *Wynaleźć codzienność*, tom 1, a konkretnie interesującym esejem na temat różnicy między tym, jak miasto jest odbierane z wysokości, a tym, jak z ulicy. Snuł podobne rozmyślenia, kiedy stał na wieży sztokholmskiego ratusza.

– Epikureizm to kierunek filozoficzny – odparł, zamykając książkę. – Pewna moja koleżanka, Nova, ma ośrodek kurso-konferencyjny, gdzie nauczają takich rzeczy. Nawiasem mówiąc, widzę, że siedzisz w domu. Z Denisem wszystko w porządku?

– Nova jest niesamowicie ładna – odezwał się Benjamin z kąta kanapy. – Wielu moich kolegów studentów śledzi ją na Instagramie.

– Denis pojechał do swojej rodziny – powiedziała Rebecka. – Wiesz co, Benjaminie, to obrzydliwe, przecież ta Nova jest ze dwa razy starsza od ciebie.

– No i co? To nie znaczy, że nie może być ładna.

Aston wyszedł ze swojego pokoju, tańcząc do muzyki, którą tylko on słyszał. Śpiewał i twerkował, trzęsąc pupą. Vincent pomyślał, że musi go spytać, gdzie – do licha – się tego nauczył.

– *Nie-sa-mo-wicie ła-adna* – śpiewał Aston do melodii *The Show Must Go On* zespołu Queen.

Najwyraźniej ta piosenka zepchnęła *Radio Ga Ga* z pierwszego miejsca jego prywatnej listy przebojów.

– *Nie-sa-mo-wicie ła-adna!*

Vincent stwierdził, że im jego dzieci są starsze, tym mniej je rozumie.

Maria siedziała pochylona nad telefonem. Nie trzeba było mentalisty, żeby się domyślić, z kim wymieniała esemesy. Teraz jednak podniosła głowę.

– A więc tę niesamowicie ładną Novę ty znasz, tak? Jak dobrze znasz?

– Przecież już mówiłem – odparł. – Od lat wpadamy na siebie. Teraz w dodatku jest zamieszana w to samo dochodzenie policyjne...

Urwał, zdając sobie sprawę ze swojego przejęzyczenia.

Za późno.

Maria aż poszarzała na twarzy.

– To samo co ty i ta policjantka? Mina? Teraz na dodatek jeszcze ta kobieta? Szczerze mówiąc, Vincent, czy ty się nie wstydzisz? Dochodzenie policyjne, no tak, akurat!

Wstała, wyglądała na absolutnie rozjuszoną. Esemesowanie z Kevinem najwyraźniej poszło w zapomnienie.

– To seks grupowy, o to chodzi – powiedziała.

– Ależ Maria! – Z przerażeniem zakrzyknęli chórem Benjamin i Rebecka.

– *Se-eks-gru-u-po-wy* – śpiewał Aston, twerkując radośnie przed akwariem w salonie.

Vincent ukrył twarz w dłoniach. Brakuje tylko, żeby rybki też doznały traumy. Spojrzał na zegarek. Oj nie, zaraz się spóźni na pociąg do Gävle, gdzie ma dzisiaj wykład. Wyparł to z pamięci, kiedy tak się cieszył, że zakończył sezon przedstawień. Wykład to prostsza rzecz. Nie będzie żadnego paska.

– To nie jest słowo, które... – zaczął. – Albo... mama ci wytłumaczy. Muszę jechać. Wrócę pociągiem o dwudziestej drugiej. Aston, będę już, kiedy się obudzisz.

Chwycił torbę z laptopem i wyszedł do przedpokoju. Maria poszła za nim. Przygotował się na następną reprimendę, a zamiast tego zadziwiła go.

– Powodzenia z wykładem – powiedziała cicho. – Nie zapominaj o mnie.

Drgnął i spojrzał na nią. Zakładał, że to sarkazm albo ukryty zarzut. Jednak jej szeroko otwarte oczy były lekko łzawe. Chyba myślała dokładnie to, co powiedziała. Wyglądała nawet na lekko zasmuconą.

– Myślisz... że właśnie tak jest, kiedy mnie nie ma w domu? – spytał. – Że o tobie zapominam?

To coś nowego. Usiłował domyślić się, co to znaczy. Podczas terapii nawet się do tego nie zbliżyli. Jednak to by wiele tłumaczyło. Jej agresywne ataki, jej szydercze nastawienie. Wprawdzie miał podejrzenie, że jest to u Marii postawa obronna, ale nigdy nie słyszał, żeby wypowiedziała to wprost. I zabolalo go, że ona to tak czuje.

– Vincent Walder, The Master Mentalist – powiedziała, usuwając z jego koszuli jakiś niewidzialny włos. – Mężczyzna pożądany przez wszystkich. Bardzo trudno jest mierzyć się z tobą, wiesz?

– Powinnaś przyjść na któreś z moich przedstawień albo na jakiś wykład – odparł. – Przekonałabyś się, że jestem mężczyzną, na którego chcą patrzeć. Z odpowiedniego dystansu. To duża różnica.

Postawił torbę na podłodze i ujął jej twarz w dłoń.

– A co do zapominania, jest wprost przeciwnie. Myślałem, że to oczywiste. Kiedy wyjeżdżam do pracy, to świadomość, że jesteście tutaj, pozwala mi czuć się

choć odrobinę normalnie. Że cokolwiek się zdarzy, mam do kogo wracać do domu. Bez ciebie i dzieci jestem nikim.

Zamrugła parę razy i uśmiechnęła się lekko. Potem po jej twarzy przesunął się cień.

– Chcesz powiedzieć, kiedy nie ma Miny.

Westchnął i wziął torbę. Było tak blisko. Może następnym razem. W salonie Aston śpiewał wciąż o seksie grupowym, kiedy Vincent wyszedł.

– **NIE ROZUMIEM!** Jak on się znalazł w Fatbursparken? Vendela też tam jest?

Thomas Jonsmark machnął dłonią, odganiając rękę charakteryzatorki, i odwrócił się do Rubena. Policja starała się o spotkanie z wielkim aktorem od kilku dni. Ruben z Pederem nie chcieli opowiadać o szczegółach sprawy agentowi Jonsmarka. Aktor powinien dowiedzieć się o nich jako pierwszy.

– Chcą, żebyś był gotów za dziesięć minut – zwróciła mu delikatnie uwagę charakteryzatorka.

– To poczekają – powiedział opryskliwie Jonsmark, przesuwając dłonią po ciemnych, gęstych włosach. – Możesz zostawić nas samych?

Ruben spojrzał zazdrośnie na słynną grzywę aktora. Uważał się za kobieciarza, ale nie wytrzymałby porównania z nim. Jonsmark był nie tylko wielką gwiazdą szwedzkiej telewizji i filmu, ale również obiektem pożądania wszystkich kobiet.

Prasa plotkarska miała zapewnione tematy dzięki jego romansom zarówno ze znanymi, jak i nieznanymi kobietami. A Dexter był jego dzieckiem. Jedynym. I już go nie ma, pomyślał Ruben z bólem serca.

Stanęła mu przed oczami twarz Astrid i kiedy pomyślał, że mogłoby jej się stać coś złego, poczuł się, jakby zaczął spadać w jakąś przepaść. Musiał się otrząsnąć, żeby pozbyć się tego wrażenia. Wcześniej nie miał pojęcia, że można mieć tak przepastne uczucia, i nie bardzo wiedział, co z tym zrobić.

– Niestety, nie odnaleźliśmy jeszcze pana byłej żony – powiedział Peder. – Z panem też nie było się łatwo skontaktować.

– Byłej partnerki – poprawił go Jonsmark, gapiąc się na brodę Pedera. – Z Vendelą nie byliśmy małżeństwem. Dexter był... Romans z Vendelą trwał dość krótko, szczerze mówiąc. Dexter to był wypadek. W każdym razie jeśli o mnie chodzi.

Pozostawił tę insynuację bez komentarza. Temat nie był bynajmniej nieznanym, pomyślał Ruben, przypominając sobie czołówki w tabloidach i kolorowej prasie. Wydaje się, że ton relacji Jonsmarka i Vendeli był od początku zapiekły, z obu stron padały mocne zarzuty. Pogorszył to jeszcze fakt, że Vendela zmagala się z problemami psychicznymi, co również trafiło do mediów.

– Poznaliśmy się na planie filmowym, była konsultantką, miała pomóc mi w pracy nad rolą w *Krwi o zmroku*, tą, no wiecie, za którą potem dostałem Złotego Żuka <sup>23</sup>.

Znów przeciągnął dłonią przez włosy. Ruben kiwnął głową, chociaż nic mu nie mówił ani tytuł filmu, ani jakiś żuk. Jeśli nie grał w nim Bruce Willis, Tom Hardy ani Dwayne Johnson, to raczej go nie widział.

– Była bardzo, bardzo piękna. I silna. Chociaż w taki kruchy sposób. Od razu wpadłem.

Młoda dziewczyna w słuchawkach zajrzała przez uchylone drzwi.

– Potrzebują cię zaraz na scenie.

Jonsmark zbył ją machnięciem ręki, przestraszona zamknęła drzwi.

– Może pan opowiedzieć o zniknięciu Vendeli i Dextera? – poprosił Peder. – W każdym razie to, co panu wiadomo na ten temat.

– Jak mówiłem, nie mieszkamy razem, nigdy nie mieszkaliśmy. A gdy Vendela trafiała do szpitala, Dexter był zawsze u jej matki. Tym razem Vendela została właśnie wypisana.

– Niepokoił się pan? – wtrącił Ruben.

Thomas Jonsmark zastanowił się chwilę, skubiąc skórę przy paznokciu.

– Nie, właściwie nie. Vendela zawsze miała skłonności do dramatyzowania. Podejmowała kilka prób samobójczych, ale to był raczej... teatr.

– Tym razem też groziła? Że odbierze sobie życie? – dopytywał Ruben.

– No tak, chyba przyszedł jakiś esemes. Wpadł jej w oczy artykuł na temat mojej nowej dziewczyny. Fotomodelki z Brazylii. I jak zwykle wpadła w szal. Ale z biegiem lat nauczyłem się, że najlepiej to ignorować.

Tu rozłożył ręce, kosmyk włosów opadł mu na czoło, a Ruben pomyślał, że rozumie, na co te kobiety lecą.

– Czy w dniu, w którym zniknęli, wydarzyło się coś nietypowego? – spytał Peder, drapiąc się w brodę.

Ruben w tym momencie zaczął się zastanawiać, jak mu powiedzieć, żeby już zgolił tego potwora.

– Nie. Zaniepokoiłem się, dopiero gdy matka Vendeli zadzwoniła, że Dexter nie przyszedł do przedszkola, a ona nie może skontaktować się z Vendelą. To było dziwne.

– A potem znaleźliście list w jej mieszkaniu? – dopytywał Peder.

– Tak, matka Vendeli miała klucz, więc weszliśmy razem i na stole w kuchni leżał list. List nie list – napisane było tylko „żegnajcie”. Nic więcej.

– I wtedy potraktowaliście to poważnie?

Ruben aż podskoczył, gdy rozległo się wściekłe pukanie do drzwi. Otworzyła je zaraz starsza kobieta o surowym wyglądzie.

– Musisz już wychodzić na scenę!

– Ale to policja. Znaleźli Dextera – odparł ostro Jonsmark.

Kobieta zbladła i tylko kiwnęła głową.

– Dajcie sobie tyle czasu, ile wam potrzeba – powiedziała, zamykając drzwi. – Zawiadomię ekipę.

– Odpowiadając na pana pytanie: nie, nie potraktowaliśmy tego poważnie.

Po raz pierwszy maska przybrana przez aktora jakby się lekko uchyliła, Ruben dojrzał coś, co wyglądało na autentyczny smutek. Jednak w następnym momencie maska wróciła na miejsce. Jakby całe życie było dla Jonsmarka jedną wielką rolą do zagrania.

– Dopiero wieczorem, gdy nie wrócili do domu, zrozumieliśmy, że może jednak coś się stało, i skontaktowaliśmy się z policją. Dalej już wiecie. Ostatni raz widziano ją, jak wsiadła na prom do Tallina. Świadkowie mówili, że widzieli ją z jakimś chłopcem, chociaż wykupiła tylko bilet dla dorosłej osoby. A w Tallinnie nie zeszli z promu.

Znów skubał skórkę przy paznokciu.

– Przesłuchaliśmy ponownie świadków. Przed naszą dzisiejszą rozmową z panem. Już nie są pewni, że chłopiec, którego widzieli, rzeczywiście był z nią. Sądzymy, że Vendela wsiadła na prom sama. I prawdopodobnie wyskoczyła. Jednak Dextera z nią nie było.

Peder przyglądał się ze współczuciem Jonsmarkowi, który w miarę przekazywania mu tych nowych informacji coraz bardziej się garbił na swoim obrotowym krześle. Był prawie całkiem ucharakteryzowany, Ruben widział z bliska, że był upudrowany i miał podmalowane brwi. Takich rzeczy się nie zauważało, kiedy występował w telewizji.

– Ale co? Jak to? Dlaczego został znaleziony w Fatbursparken?

– Jeszcze nie wiemy – odparł Ruben. – Z przykrością muszę poinformować, że został zamordowany, ale jeszcze nie wiemy przez kogo. Nie możemy wykluczyć jego matki, ale z przyczyn, w które nie mogę wchodzić bliżej, powiem, że nie sądzimy, aby to pańska była żo... partnerka zamordowała waszego syna.

– Dzieci – odezwał się Jonsmark głucho, blednąc pod warstwą pudru. – Te dzieci, o których było w wiadomościach.

– Jak już powiedziano, więcej nie możemy ujawnić – odparł Peder.

Obaj policjanci wstali.

– Gdyby się panu coś przypomniało, cokolwiek istotnego, proszę się nie wahać, tylko odezwać się do nas.

Peder położył dłoń na jego ramieniu. Wychodząc, Ruben zobaczył kątem oka, jak Thomas odkręcił się na krześle i odwrócił twarzą do lustra.

– **ZATRZYMAJ SIĘ TUTAJ** – powiedziała Nathalie. – Chyba nie powinniśmy podjeżdżać za blisko.

Karl skinął głową, podjechał do chodnika i zaparkował. Znajdowali się na Karlavägen, dwa kwartały od mieszkania ojca Nathalie na Linnégatan. Z tej odległości powinni być bezpieczni przed jego czujnym okiem.

– Iść z tobą? – spytała Ines.

– To chyba niedobry pomysł. Lepiej sama to załatwię. Zaczekajcie tutaj.

Założyła plecak, wysiadła i skręciła za róg Jungfrugatan. Pytanie, co wiedzą ochroniarze taty? Powiedział im, że zniknęła? W takim razie pewnie do niego zadzwonią w chwili, gdy ją tylko zobaczą. Ale trudno. Będzie sobie jakoś radzić. Weszła teraz w Linnégatan. Naprzeciw wejścia do kamienicy stał czarny samochód. Mógł to być zwyczajny prywatny samochód, ale mogli też w nim być ochroniarze taty. Nie miała jak sprawdzić. Jednak kiedy weszła do klatki, nikogo nie zobaczyła.

Weszła na czwarte piętro schodami, zamiast jechać windą. Żelazne drzwi windy wydawały charakterystyczny odgłos słyszalny w mieszkaniu, a wołała, żeby tata nic nie zauważył. Przystanęła przed masywnymi drzwiami do mieszkania, nasłuchując. Z kuchni dobiegł wyraźny łoskot, tata prawdopodobnie szykuje tam jakąś niepotrzebnie wyszukaną kolację, chociaż jest sam w domu. Nie rozumiała, po co się tak wysiła przy gotowaniu.

Powoli włożyła klucz do zamka, przekręciła i wsunęła się cichutko do mieszkania. Z przedpokoju mignęły jej plecy taty. Stał ze ścierką przewieszoną przez ramię, próbując jakiegoś sosu, zapewne zrobionego z czterech różnych rodzajów świeżego chili, a potem sprawdzał temperaturę opalonego mięsa, jednocześnie wybierając wśród krajowych pomidorów. Nie rozumiała, czemu nie otworzył restauracji, skoro go tak bawi wszystko, co związane z jedzeniem.

Przekradła się do swojego pokoju. Skrzynka stała na jej komodzie. Była zrobiona z czarnej ceramiki, na przykrywce znajdowała się trupia czaszka ze srebra. Otworzyła skrzynkę i zajrzała. Na pewno było w niej znacznie więcej niż dziesięć tysięcy, o których mówiła babci. Poczowała dumę na myśl, jak bardzo babcia się ucieszy, i włożyła skrzynkę do plecaka. Następnie wysunęła pierwszą szufladę od góry i zabrała stamtąd wszystkie czyste majtki i skarpetki. Myślała o tym, czy nie wziąć jednej pary dżinsów, ale nie potrzebowała ich, przecież Ines dawała jej wszystkie potrzebne ubrania poza bielizną. Pamiętała jednak, żeby

odszukać ładowarkę do telefonu. Potem zakradła się do łazienki, skąd zabrała swój neseserek, i wszystko to zapakowała do plecaka.

Wróciła do przedpokoju równie cicho, jak weszła. W kuchni zaskwierczały patelnie, poczuła ssanie w żołądku. Przystanęła w otwartych drzwiach do kuchni. Tata znajdował się zaledwie parę metrów od niej. Mogłaby wejść. Byłby przeszcześliwy, widząc ją. I mogłaby dostać tyle jedzenia, ile by tylko chciała.

Spojrzała na swoje dłonie i różową wciąż bolesną kreskę na palcach. Z kuchni pachniało rzeczywiście rozkosznie. Mogłaby łatwo wrócić do tego, co było przedtem. Wystarczyłby jeden krok przez próg.

Jednak wtedy by pewnie już nigdy nie spotkała się z babcią. A Ines jej potrzebowała. Pozostali też. Teraz oni byli jej rodziną. Nie ten mężczyzna w kuchni.

Szybko wymknęła się z mieszkania, drzwi zamknęły się za nią z cichym kliknięciem.



– **NO, CO ZA GOŚĆ!** Zaczynałem się już zastanawiać, czy pan przyjdzie. Przecież dziś sobota.

Kelner uśmiechnął się do niego szeroko. Christer przełknął ślinę. Jednak to chyba zły pomysł. Naprawdę. Jeszcze nie jest za późno, żeby się rozmyślić. Mógłby zawrócić na pięcie i pójść.

Ale skoro już przyszedł, może równie dobrze zamówić tego śledzia i jedno piwo. A potem odejść.

– Zapraszam, tak się składa, że pana stolik jest wolny. Czy jedziemy od razu z tym co zwykle?

Kelner poszedł przodem do dużej sali. Goście, którzy przyszli zjeść lunch, gwarzyli cicho. Ulla Winbladh to miejsce, gdzie rozmawia się głosem domowym, jak mawiała jego mama.

Myśl o mamie sprawiła, że musiał zaczerpnąć tchu. Nie podobałyby jej się te jego ciągłe rozważania. Dniem i nocą. W kółko. Dla matki byłoby to nie do przyjęcia. Powiedział sobie, że przecież mamy już nie ma. Matka mogła zachować swoje poglądy dla siebie, a on ma pełne prawo żyć tak, jak chce.

Musi się tylko odważyć.

Christer cofnął się o krok i spojrział w okno. Tym razem zabrał Bossego, bo zbankrutuje, jeśli będzie musiał poświęcić jeszcze więcej mebli. Pies został przywiązany do stojaka na rowery w cieniu. Z miską wody, którą Christer zabrał ze sobą. Ale jednak. Na pewno mu za gorąco. Naprawdę powinien...

– Proszę bardzo. Wolny i nakryty. Potrzebna karta?

Uśmiech kelnera rozświetlił pomieszczenie, już i tak jasne od słońca, i Christer niezdarnie usiadł przy stoliku.

– Śledź – mruknął, wlepiając wzrok w obrus. – I piwo.

– Czyli to co zwykle. Cóż, gdyby mnie zapytano, jest to najlepsze w naszym menu. Więc po co ryzykować? Takie rzeczy to tylko dla młodych.

W każdym razie niektórych, pomyślał Christer. Śmiech kelnera odbił się od ścian, Christera ścisnęło w żołądku. Tamten jakby czytał w jego myślach. Christer podniósł wzrok. A potem powiedział drżącym lekko głosem:

– À propos młodych ludzi, to jednak miał pan rację. Tydzień temu.

Kelner zmrużył oczy z miną, którą Christer pamiętał tak dobrze. Zrobiło mu się aż gorąco i nabrał tchu.

– No, pytał pan. Rzeczywiście znaleźliśmy się. I nawet więcej.

Dalej się nie posunął, bo ogarnęła go panika. Co on wyprawia? Nagle wstał, przy okazji omal nie przewrócił krzesła i stolika.

– Ojej, przepraszam, ale muszę odebrać – powiedział, wymachując ewidentnie wyłączonym telefonem. – Sprawa policyjna.

Jeszcze raz przeprosił i wybiegł, czując na plecach spojrzenie kelnera.

**PEDER POCIŁ SIĘ** obficie pod cylindrem. Urodzinowe przyjęcie Caspera trwało na całego w to niedzielne popołudnie, teraz zaś przyglądało mu się z pewnym powątpiewaniem dziesięć par dziecięcych oczu, jego dwuipółletnie trojaczki były najmłodsze, a ich pięcioletni właśnie kuzyn Casper był najstarszy.

Po tym, jak dzieci już zjadły tort, Peder pojawił się w cylindrze na głowie i z brodą ufarbowaną na niebiesko. Upierał się, że nie jest Pederem, tylko jego tajemniczym bratem, który ma na imię Pedro. Dzieci uważały, że to bardzo śmieszne. Im bardziej wykrzykiwały, że przecież jest Pederem, tym bardziej się upierał, że wcale nie, a trojaczki aż się krztusiły, śmiejąc się z jego niebieskiej brody.

Słuchając tych radosnych odgłosów, o mało nie pękł z przepelniającej go miłości. Jednocześnie czuł lęk. Od zebrania z zeszłego tygodnia ciągle miał w uszach słowa Vincenta, że prawdopodobnie dojdzie do kolejnego uprowadzenia. Pederowi udało się ustalić tożsamość martwego dziecka z Fatbursparken i był to ważny krok. Sprawdzili jeszcze po raz drugi i trzeci wszystkie listy zaginionych dzieci, upewniając się, że nic im nie umknęło. Adam zbadał skrupulatnie wszelkie informacje ze Skeppsholmen. Spędzili cały tydzień na tym, żeby się możliwie najlepiej przygotować.

Tymczasem nie mieli pojęcia, czego się spodziewać w środę. Ani gdzie wcześniej szukać. Policja oczywiście nie miała tylu ludzi, żeby pilnować każdego przedszkola w całym mieście. Nie zdecydowano się na wydanie komunikatu z ogólnym ostrzeżeniem, bo to by tylko nasiliło i tak narastającą panikę wśród rodziców małych dzieci. Prędzej czy później komuś by się coś stało.

Koledzy z zespołu czuli się, jakby tkwili między dwoma kamieniami, nie mogąc wykonać żadnego ruchu, ale ze świadomością, że jeśli nic nie zrobią, za trzy dni znów zginie dziecko.

To mógłby być Casper. Albo któraś z trojaczek, albo któreś z tych pozostałych gości urodzinowych. Równie dobrze one, jak inne dziecko. Peder chciałby ratować wszystkie, tylko nie wiedział jak.

A teraz stał przed nimi.

I czarował.

Zaczął od tego, że za dotknięciem różdżki znikła czerwona piłeczka. Wzbudziło to umiarkowany entuzjazm. Następnie, zaginając kartkę papieru, zrobił z niej czapczkę dla Caspera. Trojaczki zaczęły w tym momencie opowiadać

pozostałym dzieciom, co się przydarzyło czarodziejkom z *Klubu Winx*. Zresztą czapeczka okazała się dla Caspera za mała.

Od pełnej katastrofy i obrzucania się kawałkami tortu dzieliły go tylko sekundy. A więc pora użyć tajnej broni. Triku, którego nauczył go Vincent. Nie zdążył go jeszcze wypróbować, więc musiał go teraz wykonać zgodnie z instrukcjami. Trudno.

– A teraz mój ostatni i bardzo groźny trik – powiedział podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć dyskusje o Winxach. – Za pierwszym razem zrobiła mi się od niego niebieska broda.

Dzieci umilkły, usłyszawszy słowo „groźny”. Miał je. Na chwilę. Zerknął na kartkę z instrukcją i wyciągnął dwie duże żółte chustki do nosa, które związał ze sobą.

– Dwie duże chusty – powiedział powoli i głośno. – Które Peder, to jest oczywiście Pedro, zwiąże rogami na mocny supeł. Teraz powinny się znaleźć w takim miejscu, żeby nikt nie mógł nic pokręcić. Na szczęście mam najlepsze schowanko.

Zmiał zawiązaną część i nagle wetknął za pasek w taki sposób, że pozostałe części wystawały po bokach.

– Blee, schował do majtek – krzyknął ktoś, a reszta zaczęła się zaśmiewać do rozpuku.

Peder poczuł w tym momencie, że się świetnie bawi. Pewnie właśnie to miał na myśli Vincent, kiedy mówił, żeby bawić, a nie czarować. Zerknął znów na instrukcje i wyciągnął trzecią chustę, czerwoną, którą zademonstrował w możliwie wystudiowany sposób. Starsze dzieci zachichotały. Następnie wsadził czerwoną chustę do cylindra i włożył go na głowę.

– Jak teraz wszyscy krzykną „Hokus-pokus-abrakadabra”, to czerwona chusta zniknie z cylindra i pojawi się przywiązana między żółtymi – zapowiedział uroczyście. – W moich spodniach!

Dzieci się znów zaśmiały.

– Hokus-pokus-abrakadabra! Wszyscy naraz!

– Hokusabra! – przekrzykiwały się dzieci.

Peder uśmiechnął się z miną tak pewną siebie i dumną, jak tylko potrafił, chwycił obie żółte chusty i wyciągnął je zza paska od spodni, jednocześnie rozdzielając chusty.

– Ta-daaa! – zawołał.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. A po chwili nastąpiła eksplozja śmiechu. Casper aż się zwijał i śmiał się tak, że tryskał łzami.

– Ależ Peder! – powiedziała Anette ze zgrozą, chociaż i ona uśmiechała się szeroko, a stojąca obok siostra aż promieniała.

Vincent wiedział, co mówi. Peder spojrzał na chusty z udawanym zdziwieniem. Między nimi wisiała para sfatygowanych kalesonów.

Będzie musiał niejedno wyjaśnić w przedszkolu swoich trojaczków, bo z całą pewnością opowiedzą o tym, jak na urodzinach tata zdjął kalesony. Ale było warto. Był ich bohaterem. Na moment na świecie nie było zła, bo zostało wypędzone przez niego, Pедера.

Przyjęcie urodzinowe się skończyło, a Pederowi długo dźwięczało w uszach śmiech dzieci.

# TYDZIEŃ PIĄTY

**BENJAMIN PRZYNIÓSŁ** pocztę. Na kupkę leżącą na kuchennym stole składała się gazetka dla Astona wydawana przez klub Lego, kilka awizo dla Marii na próbki towarów do odebrania oraz koperta zaadresowana do Vincenta. Niedużo jak na poniedziałek. Najwyraźniej sezon urlopowy zaczął się na dobre.

Od razu wiedział, co to za koperta. Chociaż przyszła o pół roku za wcześnie. Zerwał naklejkę z mikołajem, którą została zapieczętowana, po czym wysypał na stół kawałeczki papieru przypominające kostki tetrisa. Na ich widok powrócił niepokój, który poczuł przy pierwszych puzzlach. Tym razem jeszcze silniejszy. Dlaczego koperta przyszła już teraz, w środku lata? Co się zmieniło?

Drgnął, otworzywszy załączoną kartkę na Boże Narodzenie. Nie była pusta, jak dotąd, ale zawierała odręcznie napisaną wiadomość.

*Widać, że się nie uczysz. Mam dość czekania. A więc Ossian zostanie omegą. (Aliteracja jest pospolita, ale w treści jest jakaś poezja).*

*I pamiętaj. Nie zrzucaj winy na nikogo innego. Mogłeś wybrać inną drogę, a jednak tego nie zrobiłeś.*

*A więc dotarliśmy do twojej omegi.*

*Początku twego końca.*

*PS Gdybyś się zastanawiał, dlaczego już teraz dostajesz te puzzle, to omega, jak wiesz, jest 24. literą greckiego alfabetu. A 24 dzielone przez dwa – ty i ja – to oczywiście 12, co daje 24/12, czyli Wigilię. Awansem życzę wesołych świąt.*

Poczuł drętwienie skóry na karku, jakby między włoskami łąził tam jakiś owad. Omega. W nieprzyjemny sposób przypomniało mu to myśl, która przyszła mu do głowy, gdy Julia mówiła o Ossianie na konferencji prasowej. Otóż pomyślał wtedy, że omega to sądny dzień. Koniec wszystkiego. A teraz to wigilijne wyliczenie. Dokładnie taka rozrywka, jakiej się sam oddawał. Ktoś wie aż za dobrze, jak funkcjonuje Vincent. Nie tylko wie, ale jakby mieszkał w jego głowie i miał bezpośredni dostęp do jego myśli. *Ty i ja*. Przeszył go dreszcz.

Od tego niepokoju obudził się mieszkający w nim cień, a to ostatnia rzecz, jakiej w tym momencie potrzebował. Jeśli się z tym pogodzi, w żaden sposób nie będzie mógł pomóc. Zamiast tego skupił się na ułożeniu puzzli, czynności pobudzającej do działania płaty czołowe mózgu i utrzymującej w szachu ośrodek emocji w ciele migdałowatym. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby nim ośwładnął. Nie teraz.

Tym razem tetrisopodobne kawałki okazały się trudniejsze do złożenia. Zapewne było to związane ze wzrostem hormonu stresu i przypływem adrenaliny, które zdusiły zdolność racjonalnego rozumowania. Przełknął ślinę. Miał suchość w gardle.

W końcu skonstruował nieregularny kształt, który podobnie jak tamte był pełen dziur. I jak tamte zawierał wiadomość:

*Monotonia? Dogoń mnie!*

Monotonia, rutyna.

Rytuały.

Nova dostrzegła w morderstwach elementy rytuału. A *Knight's tour* zdecydowanie był zrytualizowanym zachowaniem. Czy te puzzle przyszły od mordercy?

*Dogoń mnie!*

Czy to morderca rzucił mu wyzwanie? A może wyzwanie było tam od samego początku, czyli od pierwszych puzzli? Puzzli, które trafiły do jego skrzynki na listy już pół roku przed znalezieniem Lilly, pierwszej ofiary mordercy.

Uderzyła go przerażająca myśl. Lilly, William, Dexter, Ossian – a jeśli wszystkie były wyzwaniem pod jego adresem? A jeśli morderca jest jednym z jego fanów, który przeczytał o nim w gazecie i postanowił stworzyć dla niego ostateczne puzzle? On, Vincent, byłby przyczyną śmierci czworga dzieci. Tylko dlatego, że nie potraktował poważnie paru życzeń świątecznych.

Wiadomość na kartce wydawała się głęboko osobista. *Mogłeś wybrać inną drogę, ale tego nie zrobiłeś. Nie zrzucaj winy na nikogo innego*. Ktoś jest nim rozczarowany.

Spojrzał na tekst jeszcze raz. Grafolog powiedziała, że spiczaste wersaliki świadczą, iż jest to osoba dynamiczna, o wysokiej inteligencji, z kolei pochylenie

liter świadczy o silnych emocjach na granicy agresji. Zamknięte litery „o” wskazują na osobę introwertyczną, z kolei wąskie „l” na świadome opanowanie.

Wniosek – ma do czynienia z superinteligentnym introwertykiem starającym się panować nad sobą, jednak bliskim wybuchu emocji.

Przyniósł sobie szklankę wody i przyjrzał się ponownie trzem słowom układanki. Jeden pytajnik i jeden wykrzyknik. *Monotonia? Dogoń mnie!* Tym razem musi to rozwiązać. W szufladzie w kuchni znalazł rolkę skocza i starannie skleił kawałki, żeby się nie przesuwały. Następnie z szuflady biurka w gabinecie przyniósł dwa wcześniejsze puzzle, złożył i również skleił skoczem. Potem ułożył trzy zagadkowe wiadomości obok siebie.

*Witamy, pazerny Timie!*

*Mizerny order u Marii.*

*Monotonia? Dogoń mnie!*

Wypił duży łyk wody. Zimnej, lżej mu się dzięki temu oddychało. Osiemnaście liter w każdej wiadomości. Prawie te same we wszystkich trzech. Zrobił wydech nosem. Nie było już wątpliwości. Kluczem miał być anagram. Pytanie, która wiadomość była tą prawdziwą. Miał ją przed sobą, ukrytą w tych literach, chociaż jej nie widział.

Napił się jeszcze wody i zerknął na zegarek. Maria była u Kena. Rebecka, Benjamin i Aston poszli się kąpać. To znaczy Aston na pewno się kąpie. Vincent nie wyobrażał sobie, że Benjamin się kąpie, zważywszy na to, że poszły z nimi dwie koleżanki Rebecki. Upłynie co najmniej godzina, zanim ktoś przyjdzie do domu i spyta go, co robi.

Poszedł do pokoju Astona i wziął stamtąd jego Alfapet<sup>24</sup>. Wysypał na stół wszystkie litery i oddzielił te, które znalazły się w trzech wiadomościach. Osiemnaście liter. Dawało to

6 402 373 705 728 000 możliwych kombinacji.

Najpierw liczył ręcznie, ale mózg go od tego rozboleł. W końcu skorzystał z programu pod nazwą WolframAlpha, żeby uzyskać dokładną liczbę. A następnie wygooglował, by wiedzieć, jak to odczytać. Sześć tysięcy czterysta bilionów. Z osiemnastu małych płytek. Rzeczywiście dość, żeby mózg się zagotował.

Na szczęście liczba możliwych kombinacji była znacznie mniejsza, jeśli płytki miały utworzyć zrozumiałe słowa. Ale i tak zostało paręset tysięcy. Chociaż nieco mniej, gdyby wszystkie miały pochodzić z jednego i tego samego języka, to znaczy szwedzkiego. Jeszcze mniej, jeśli miały utworzyć logiczne zdanie. A w końcu jeszcze mniej, gdyby były to słowa znaczące dla niego coś personalnie. Jak sądził. Czyli jest jednak szansa, że to rozwiąże. Czysto teoretycznie.

Zaczął rozkładać płytki na chybił trafił. Na początek krótkie proste słowa.

ARAK



ARGON  
KONIECZNY  
ZAKOŃCZONY

W słowie „zakończony” było dziesięć liter. Nieźle. Niestety, w Alfapet dałoby to tylko osiem punktów. W dodatku chyba nie jest to właściwe słowo. Spróbował ponownie krótkich słów.

DRED  
PARMA  
MAGIA

O, jest coś. Magia. To może być nawiązanie do niego. Może da się to połączyć z którymś wcześniejszym słowem?

MAGIA  
ZAKOŃCZONA

Wpatrzył się w litery ze ściśniętym gardłem, bo domyślił się, co będzie dalej. Ale nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Nie zgadzał się, żeby tak było.

A jednak wiedział. Miał rację. Rozwiązanie zagadki dotyczyło go osobiście. Spośród sześciu tysięcy bilionów rozwiązań tylko jedno było właściwe. To, które odnosiło się do niego samego. Cień wyszedł z jeziora, kiedy Vincent był mały, a potem wzniósł się ponad horyzont. W każdej chwili mógł na niego spaść. Vincent miał ochotę wrzucić trzy sklejone puzzle do kosza i udać, że nie istnieją. Jednak musiał się dowiedzieć. Wrócił do swojego gabinetu i odszukał jasnobrązową kopertę A4, którą otrzymał od Rubena prawie dwa lata temu. Tę zawierającą wycinek z „Hallandsposten” o śmierci mamy.

Wtedy myślał, że Jane wysłała ją Rubenowi, żeby ten rzucił podejrzenie na niego. Jednak kiedy Vincent wspomniał siostrze o tej kopercie, Jane nie zrozumiała, o co chodzi. Teraz już rozumiał dlaczego.

Cień nad horyzontem był ogłuszająco.

Do tego wycia dołączyło uczucie niepokoju w trzewiach.

Vincent wyjął wycięty artykuł i położył obok Alfapet. Następnie na wytłuszczonym tytule ułożył kolejno płytki z literami. Ręka mu drżała, kiedy to robił. Pasowały idealnie. Trzy puzzle były anagramem zdania, którego miał nadzieję nie zobaczyć nigdy więcej.

*MAGIA ZAKOŃCZONA TRAGEDIĄ!*

Mowy nie ma, żeby to był przypadek. Osoba, która wysyłała mu puzzle na Boże Narodzenie i w trwające teraz skwarne lato, była tą samą, która dwa lata temu wysłała wycinek Rubenowi. Ta osoba już wtedy wiedziała o nim więcej niż inni.

I nie była to Jane.

Vincent nie miał pojęcia, kto by to mógł być. Przyjrzał się ponownie odręcznie napisanej wiadomości.

*Dotarliśmy do twojej omegi. Początku twego końca.*

Końca czego? Omega ma zawsze alfę, jakiś początek. Jeśli to jest jego omega, to co jest alfą? Co takiego zaczął, a morderca chce teraz dokończyć? Nie będzie mógł się chronić, dopóki tego nie wie. A czający się w środku mrok mówił mu, że ma coraz mniej czasu.

**RUBEN WYJĄTKOWO** poszedł na lunch do stołówki w komendzie. Przeważył argument, że jest tam klimatyzacja, inaczej musiałyby iść w upale do pobliskiej restauracji. Zresztą we wtorek daniem dnia był placek ziemniaczany, druga w kolejności spośród ulubionych potraw Rubena. Dopóki był podany z boczkiem i borówkami. Ewentualnie z duszonymi jabłkami. Ale żadnych krewetek czy innych głupich pomysłów, przy których upierają się niektóre knajpy. Po co poprawiać coś, co już jest wyborne?

Wszyscy członkowie zespołu żyli w napięciu przed jutrzejszym dniem. W środę porywacz miał uderzyć ponownie. Jeśli mu w tym nie przeszkodzą. Ruben miał szczerą nadzieję, że Vincent się myli. Że jest już po wszystkim.

Lunch stanowił chwilę wytchnienia od nieustannej nerwówki, że do niczego nie doszli, ale na widok Gunnara i chłopaków z oddziału prewencji stracił nadzieję, że będzie mógł odetchnąć przez chwilę. Siedzieli przy stoliku w głębi stołówki. Nie mógł udać, że ich nie widzi, bo Gunnar przywołał go skinieniem ręki. Ruben zaklął pod nosem, podszedł i postawił swoją tacę na stole.

– Słyszałem, że masz córkę – zarechotał Gunnar. – Kto by to pomyślał.

Kurde, ależ się te plotki rozchodzą po komendzie. Pewnie Peder podał dalej tę wiadomość, zachwycony, że w zespole jest jeszcze jeden ojciec.

– Tak, na imię jej Astrid – powiedział. – Ma dziesięć lat.

Pokroił placek, sprawdzając, czy jest chrupiący. Trochę za miękki, ale może być. W przeciwnym razie musiałyby się przespacerować w trzydziestostopniowym upale. To już lepiej miękki placek ziemniaczany.

– Kurde, Ruben, dziecko? – powiedział Gunnar. – Myślałem, że się zabezpieczasz. Chociaż człowiek wolałby nie jeść banana ze skórką.

Ruben szybko wpakował sobie do ust duży kawałek boczku, żeby nie odpowiadać. Odrobina borówek spadła mu na przód koszuli. Cholera jasna. A Gunnar najwyraźniej jeszcze nie skończył.

– To mówisz, że dziesięć lat – zarechotał. – Zaczekaj tylko, a za pięć lat zaczniesz przyprawiać swoje koleżanki. Ale będziesz miał w domu cukiereczki.

Ruben przełknął boczek i uśmiechnął się ze spokojem.

– Masz na myśli, jak twój syn? – spytał.

– Co? – Gunnar zrobił zdezorientowaną minę.

– No. Filip ma ze szesnaście lat? – ciągnął Ruben, starannie nakładając borówki na widelec. – Dlaczego nie przyprawisz go razem z jego

przyjaciółmi? Mamy tu trochę koleżanek, które z przyjemnością zdejmą papierki z tych cukierczków, jak powiedziałaś. Kolegów zresztą też, orientacja seksualna to już nie problem.

Uśmiech Gunnara zastygł, a potem zniknął.

– Co ty, kurwa, wygadujesz?!

Zrobił się czerwony jak burak. Ruben zobaczył kątem oka, że pozostali koledzy aż przestali jeść. Pewnie żalowali, że nie wzięli popcornu na taki seans. Ruben spojrzał na Gunnara nierozumiejącym wzrokiem.

– No co? – powiedział niewinnie. – Przecież powiedziałem to samo co ty.

– Kurde, przecież to nie to samo! Przecież Filip jest... przecież on...

– To jest dokładnie to samo – odparł Ruben, wstając i zabierając swoją tacę. – Idź do diabła, Gunnar.

Odwrócił się i poszedł. Cisza za jego plecami była wręcz ogłuszająca.

Astrid powinna chyba pójść na kurs samoobrony. Typu krav maga. Na świecie jest aż za wielu Gunnarów.

**BIJĘ GO I** próbuję się uwolnić, ale mi nie wychodzi. Najpierw zatkał mi ręką usta, żebym nie mogła krzyczeć, ale wtedy go ugryzłam z całej siły. On mówi okropnie brzydkie słowa, więc chyba go zabolalo. Dobrze mu tak.

Jednak kiedy bierze mnie na ręce, nikt za nami nie biegnie. A może i biegną, jest dużo ludzi. Dużo takich, co widzą. Ale on szybko biega. Kopię go, a on i tak biegnie, i wsadza mnie do auta.

W aucie boję się go bić, bo a nuż zjedzie z drogi i zginiemy. Więc wrzeszczę. Cały czas. Kiedy prowadzi, nie może mi zatkać ust i się nie zatrzymuje. Aż chrypnę od wrzasku.

Wcale nie chcę być w tym jego aucie, bo mam iść na lody. Dostałam pieniądze od mamy. Jak już wrócę do domu z lodami, to oddam jej resztę. Gardło mnie boli od tego wrzasku, więc przez chwilę jestem cicho.

On wtedy mówi:

– Nie bój się, Wilma.

– Ja wiem, kim ty jesteś – mówię mu.

On aż podskakuje.

– Wiesz... ty wiesz?

– Tak, ty jesteś takim panem, który zabiera dzieci. Pefodilem.

– Co? Nie, nie, naprawdę – odpowiada mi, jakby się przestraszył. – Nie chcę ci zrobić nic złego. Nawet przeciwnie. Urodzisz się na nowo.

– Ale ja nie chcę – krzyczę. – Bycie dzidziusiem było nudne, masz mnie zawieźć do domu.

Jestem taka zła, że jednak znów go biję. W kierownicę, walę po rękach i w głowę. I nagle on krzyczy na mnie. Strasznie głośno. Tak mnie przestraszył, że zaczynam płakać. I w majtkach mam pełno sików.

**JULIA CHODZIŁA** tam i z powrotem po korytarzu. Była środa, dzień, gdy jak przewidywał Vincent, miało dojść do następnego porwania. Wszyscy jakby wstrzymali oddech. Jak zwykle prowadziła przez komórkę cichą rozmowę tonem pełnym determinacji, zarezerwowanym dla Torkela.

– Żeby cię dobrze zrozumiała – powiedziała. – Problem polega na tym, że Harry wreszcie śpi, ale za to tobie nie udaje się zasnąć? Jeśli będziesz bardzo, bardzo cicho, to na pewno usłyszysz najmniejsze skrzypce świata, jak grają tylko dla ciebie.

– Julia, ja...

– Cicho, mówię. Posłuchaj. Skrzypce.

Korytarzem biegła do niej Mina, zasapana na tyle, że Julia domyśliła się, że wbiegła po schodach, zamiast wjechać windą. Czyli sprawa jest pilna. Julia rozłączyła się bez pożegnania.

– Właśnie rozmawiałam z Sarą z działu analiz – sapnęła Mina, wymachując notatnikiem. – Stało się. Dokładnie jak mówił Vincent.

– Jest tego pewna? Dostajemy codziennie po sto zgłoszeń o dzieciach rzekomo uprowadzonych przez obcych. Najczęściej zgłaszającym jest ktoś, kto widział jakieś dziecko idące ze swoim dziadkiem.

– A część to same zmyślenia – wpadła jej w słowo Mina. – Ludzie chcą zwrócić na siebie uwagę i mają nadzieję, że trafią do gazet. Wiem. Ale Sara jest najlepszą analityczką, z jaką miałam do tej pory do czynienia. Przestudiowała wszystkie materiały i zna się na rzeczy. Ona jest przekonana, że jest sprawa. Koło Fältöversten na Östermalmie świadkowie widzieli wąsatego blondyna w okularach słonecznych, jak złapał na rękę dziecko, pobiegł z nim do auta i odjechał. Dziewczynka krzyczała i opierała się, ale facet był szybki. W pobliżu było wielu innych dorosłych, ale zanim się zorientowali, że nie jest to tata ze złoszczącym się dzieckiem, już ich nie było.

Julia patrzyła na Minę i myślała o swoim mężu, którego największym problemem życiowym było to, że nie udało mu się zsynchronizować swojego rytmu snu z rytmem ich małego synka. Niechby któregoś dnia przyszedł do niej na praktykę.

– Rodziców przy niej nie było?

– I właśnie to przekonało Sarę – ciągnęła Mina. – Mianowicie zaraz przyszło następne zgłoszenie. Od rodziców, Jensa i Janiny Josefson. Wiem, dużo tych J.

Mieszkają w Fältöversten, nad samym centrum handlowym. Ich córka miała po raz pierwszy pójść sama kupić lody. Myśleli, że jest bezpiecznie, bo kiosk leży dokładnie dziesięć metrów od ich klatki schodowej. Jednak dziewczynka nie wróciła do domu. Rodzice myśleli, że się gdzieś zgubiła i siedzi na ławce obok kiosku albo zabłądziła w centrum handlowym, więc po nią wyszli. Nie mogli jej znaleźć. Czasowo zgadza się to dokładnie z tym facetem biegnącym z dzieckiem.

Julia poczuła, że kręci jej się w głowie. Porywacz musiał się zacząć. Czekać na właściwy moment. Że też są tacy zwyrodnialcy.

– Świadkowie opisali samochód jako czerwone renault clio – mówiła dalej Mina. – Ale skoro gość najwyraźniej nie bał się, że go zobaczą, to można podejrzewać, że i włosy, i wąsy były sztuczne, a samochód został już gdzieś porzucony.

Julia osunęła się na podłogę, oparła głowę o ścianę i przymknęła oczy.

– I mówisz, że to było pół godziny temu? Dlaczego nie zareagowaliśmy szybciej? Powinniśmy już od dwudziestu ośmiu minut ścigać ten samochód, zważywszy na to, że sprawa ma najwyższy priorytet.

– Sama mówiłaś, że do policji i na numer sto dwanaście ciągle przychodzą takie zgłoszenia – odparła Mina, siadając obok niej. – Nie da się wyjeżdżać natychmiast do wszystkich spraw, nie mamy takich możliwości. Jestem świadoma, że sytuacja jest jak z koszmaru. A morderca to wykorzystał. Porywacze mogli nawet sami dzwonić ze zgłoszeniami dla odwrócenia naszej uwagi.

Julia pokiwała powoli głową.

– Ogłaszam alert – powiedziała. – Tym razem złapiemy drania. Nie schowa się przed nami.

– Poproszę Christera, żeby sprawdził rysopis w naszych rejestrach – odpowiedziała Mina, wstając. – Myślę wprawdzie, że to było przebranie, ale nigdy nie wiadomo.

– Poprosisz Adama i Rubena, żeby pojechali porozmawiać z rodzicami?

– Oczywiście.

Julia przytrzymała ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Jak ma na imię to dziecko?

– Ma na imię Wilma.

**VINCENT NIE MÓGŁ** pogodzić się z myślą, że nie okazał się dostatecznie pomocny. Rozszyfrował schemat podrzucania ciał dzieci zgodnie z ruchami skoczka na szachownicy jak w *Knight's tour*. Udało mu się nawet przewidzieć, gdzie zostanie odnalezione następne ciało. Ale co z tego, kiedy chodziło o to, by powstrzymać sprawcę, a nie sprzątać po nim? Tymczasem Vincent wciąż nie miał pojęcia, kto jest przywódcą porywaczy, dlaczego dzieci są zabijane ani jak jedno łączy się z drugim.

I dlatego że nie znalazł odpowiednich informacji, Wilma była od wczorajszego popołudnia zaginiona.

To jego wina.

O uprowadzeniu dziecka zawiadomiła go Mina. A jednak Julia nie poprosiła go o pojawienie się w komendzie. Vincent rozumiał dlaczego. Liczyli, że on to rozszyfruje. Mina na niego liczyła, a on ją zawiódł.

W kuchni pojawił się Benjamin, trzymając w ręce broszurę, którą Vincent dostał od Novy. Miał rozbiegane oczy, jakby gorączkowo nad czymś myślał.

– Tato, masz chwilę? – spytał cicho, rzuciwszy krótkie spojrzenie na Marię. Kiwnął głową, wskazując swój pokój, i poszedł tam.

Maria w stanie rozkojarzenia ssała koniec ołówka. Znajdowała się w innym świecie, głęboko pochłonięta tworzeniem logo do swojego sklepu internetowego. Nawet nie zauważyła, jak Vincent wstał i poszedł za synem.

Benjamin zamknął za nim drzwi pokoju.

– O co chodzi? – spytał Vincent. – Coś ty taki tajemniczy? Nie powinieneś zjeść śniadania?

– Zjadłem wczesnym rankiem – odparł Benjamin. – Za to ty wyglądasz, jakbyś nie spał całą noc. Stało się coś?

Vincent przytaknął.

– O tym potem – powiedział.

– Okej. Tak czy inaczej. Wiem, że Maria nie lubi, kiedy rozmawiamy o Novie. Ale przeczytaj to.

Wskazał na tekst reklamowy w broszurze.

Vincent po raz zapewne setny przeczytał deklarację programową Epicury na temat epikureizmu.



*Imperatyw Epikura na nowe czasy jest ten sam co zawsze: pozwól sobie tylko na taki niepokój, który przemija, podobny komecie mijającej gwiazdę. Szybko i niezauważenie. Życie w spokoju to życie, które oczyszcza. Nader starannie unikaj wszelkiego bólu i nie miej pragnień, bo dopiero życie bez pragnień jest życiem, które jest wolne od cierpienia, dzięki czemu będziesz mógł cieszyć się sukcesem, gdy już osiągniesz Wszystko*

*John Wennhagen*

Vincent podejrzewał, że Wennhagen celowo sformułował to tak pretensjonalnie, aby tekst wydawał się głębszy, niż był w rzeczywistości. Vincent nie dostrzegał jakiegoś zasadniczego błędu w epikureizmie, ale uważał, że nie ma w nim również nic szczególnie zagadkowego.

– Zgadzam się, że tekst jest niepotrzebnie mętny – zauważył. – Ale im więcej możliwości własnych interpretacji tego przesłania, tym większa szansa, że ludzie się z nim zgodzą. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobał sposób sprzedawania tego produktu, chociaż można powiedzieć, że to klasyka.

– Ale spójrz na sam tekst – powiedział Benjamin. – Nie zwracaj uwagi na znaczenie. Widzisz to wielkie W w ostatnim słowie? I to, że nie ma po nim kropki? Ciągle mi się wydawało, że to jakieś dziwne.

Vincent usiadł na krześle przy biurku Benjamina, zdjęwszy najpierw leżącą tam książkę *How to make Money in Stocks*.

– Broszury tego rodzaju rzadko są poddawane starannej korekcie – powiedział. – W dodatku ojciec Novy napisał ten tekst jakoś w latach dziewięćdziesiątych. Domyślam się, że zamieszczenie go jest jakąś formą oddania mu czci, mimo wszelkich błędów.

– Może i tak – zgodził się z nim Benjamin. – Bo na ich stronie internetowej wygląda tak samo. Tak czy inaczej, zacząłem mu się bliżej przyglądać. Wiesz... ten problem szachowy... nad którym rozmyślałeś? Ile pól ma szachownica?

Vincent zaczął wertować książkę o zarabianiu na giełdzie. Ciekaw był zwłaszcza, które fragmenty Benjamin zaznaczył jako ważne. Giełda była dla niego zawsze zagadką.

– Wiesz to równie dobrze jak ja – odparł, patrząc w książkę. – Szachownica ma sześćdziesiąt cztery pola.

– Właśnie. A ten tekst składa się z sześćdziesięciu czterech słów.

Vincent zamknął książkę i spojrzał na syna.

– Żebyśmy się tylko zanadto nie rozpędzili – powiedział. – Zacznijmy od tego, że nie rozmyślam nad problemem szachowym, tylko usiłuję zrozumieć seryjnego mordercę dzieci. A w tej chwili wygląda na to, że ten morderca opiera się na

schemacie zaczerpniętym ze świata szachów. Z naciskiem na „wygląda na to”. Ale to jeszcze nie znaczy, że każda rzecz mająca jakąś cechę wspólną z szachami łączy się w sposób automatyczny z tymi morderstwami.

Przedstawiając policyjnemu zespołowi swoje teorie, Vincent i tak stąpał po cienkim lodzie. Wiedzieli, że opiera się na luźnych poszlakach, a właściwie przypuszczeniach. Jeśli pozwoli sobie wpaść jeszcze głębiej do tej króliczej nory, to wyjdzie z drugiej strony jako foliarz bez piątej klepki. Nie mówiąc o tym, że Mina już nigdy się do niego nie odezwie.

– Na pewno znalazłbym teraz sześćdziesiąt cztery kostki lodu w zamrażarce – ciągnął. – Albo jakiś program w telewizji, w którym jest król i królowa. Chcesz powiedzieć, że też mają coś wspólnego z tymi morderstwami?

– Słyszę, co mówisz – odparł Benjamin, siadając z laptopem na łóżku. – Korelacja a przyczynowość to nie to samo. Wiem o tym.

– Właśnie. Pamiętasz, jak kilka lat temu ludzie twierdzili, że maszty 5G powodują choroby i na „dowód” pokazywali mapy, które wyraźnie wskazywały, że miejsca, gdzie ludzie najbardziej chorują, to również miejsca, gdzie znajduje się najwięcej masztów 5G?

Benjamin kiwnął głową i dodał:

– I przypadkiem były to miejsca, gdzie było również najwięcej psów, samochodów i nawet najwięcej zdrowych osób. Ponieważ mieszkało tam najwięcej ludzi. Pamiętam. Jednak przyjmijmy choćby na chwilę, że wszystko się ze sobą łączy? Potraktuj to jak jedno z twoich przedstawień.

Oczy mu błyszczały, nie da się go teraz zatrzymać. Vincent z westchnieniem rozłożył ręce w geście rezygnacji. Niech się synek pobawi chwilę. Dopóki wie, że to nie dzieje się naprawdę. Już otworzył Google’a na laptopie.

– Skoro wiadomo, że napisał ten tekst John Wennhagen, to zacznijmy od niego – powiedział Vincent.

Benjamin odwrócił laptopa, żeby Vincent mógł patrzeć. „John Wennhagen” dał przeszło 71 000 wyników. Następnie wpisał „John Wennhagen Epicura”, ale wyskoczyły tylko rozmaite blogi i strony dotyczące rozwoju osobistego, które cytowały tekst deklaracji programowej Epicury albo też wspomniały książkę Novy. Nic, co by im pomogło w odnalezieniu samego Johna.

– To spróbuj „John Wennhagen Sztokholm”.

Dało to 50 700 wyników.

– To już lepiej, ale wciąż nie to – skomentował Benjamin. – On miał jakieś gospodarstwo za miastem, prawda? Nie wiesz, jak się nazywało?

Vincent pokręcił głową. Nie wiedział zbyt wiele na temat dzieciństwa i młodości Novy oprócz tego, co pisano w gazetach. A na tym z reguły nie polegał.

– Jeśli już musisz wejść do tej króliczej nory, czego nie zalecam, to co powiesz na to? Jako ćwiczenie. Nic innego. Mamy tekst ojca Novy składający się z sześćdziesięciu czterech słów. Dalej mamy cztery morderstwa i ciała rozmieszczone jak na szachownicy o sześćdziesięciu czterech polach. A więc...

Benjamin wpisał do wyszukiwarki „John Wennhagen szachy”.

Wyskoczyły zdjęcia gazetek członkowskich różnych lokalnych klubów szachowych. Wśród nich tytuł „Tidskrift för schack”. Wydawało się, że to ogólnokrajowa gazetka.

Okładka egzemplarza wybranego przez Google’a przedstawiała uśmiechniętego mężczyznę z wielkim wąsem. Człowiek ten trzymał przed sobą puchar. Podpis pod zdjęciem brzmiał *John Wennhagen, nowy mistrz regionu*.

– Właśnie do tego zmierzałem – powiedział Vincent. – Jeśli szukać dostatecznie długo, to wszystko wydaje się mieć ze sobą jakiś związek. Tylko dlatego, że znalazłeś kogoś o tym samym nazwisku co ojciec Novy, który gra w szachy, jeszcze nie znaczy, że...

Urwał.

Wpatrzył się w zdjęcie.

John Wennhagen trzymał w jednej ręce puchar, a w drugiej dziecko.

Czarnowłosą dziewczynkę o spojrzeniu, które już wtedy było zniewalające.

Nie mogło być żadnych wątpliwości.

Była to Jessica Wennhagen.

Znana później jako Nova.

– To jej ojciec – powiedział ledwo słyszalnym głosem. – Ojciec Novy. A to dopiero. Rzeczywiście grał w szachy. I najwyraźniej był dobry. To jeszcze niczego nie dowodzi. Ale jednak. Witaj w norze, biały króliczku.

Benjamin się zaśmiał.

– Wolę być Alicją – powiedział. – Myślę, że zestresowany królik jest bardziej w twoim stylu. Możemy się teraz przyjrzeć tekstowi?

Vincent mógł tylko przytaknąć.

To wszystko było wciąż za bardzo naciągane. A raczej chciał, żeby tak było. Że trafili na nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Właśnie tak, zbieg okoliczności. Jest ich niemało, więcej, niż się ludziom wydaje. Nawet gdyby każdy taki nieprawdopodobny przypadek miał skrajnie niskie szanse się ziścić, to ze statystyki wynikało, że niektóre z nich po prostu muszą się wydarzyć. I było ich nawet całkiem sporo. Vincent miał nadzieję, że to tylko jeden z nich.

I wtedy przypomniał sobie, co Nova powiedziała, gdy spotkali się w jego garderobie w Oscarsteatern; otóż, że jej ojciec napisał ten tekst zgodnie z zasadą, że może on się składać tylko z pewnej określonej liczby słów.

Szachista John Wennhagen wybrał sześćdziesiąt cztery słowa. Nie więcej i nie mniej. Jak na szachownicy.

Benjamin ma rację.

Kluczem jest tekst.

Vincent miał narastające wrażenie, że coś jest nie tak. I przekonanie, że będzie jeszcze gorzej.

Wziął laptopa, otworzył pusty dokument i rozmieścił słowa tekstu w ośmiu rzędach po osiem słów w każdym.

Impe- ratyw	Epikura	na	nowe	czasy	jest	ten	sam
co	zawsze:	przyzwól	sobie	tylko	na	taki	niepokój
który	prze- mija,	podobny	kome- cie	mijają- cej	gwiazdę.	Szybko	i
nieza- uwa- żenie.	Życie	w	spokoju	to	życie,	które	oczysz- cza.
Nader	staran- nie	unikaj	wszel- kiego	bólu	i	nie	miej
prag- nień,	bo	dopiero	życie	bez	pragnień	jest	życiem,
które	jest	wolne	od	cierpie- nia,	dzięki	czemu	będziesz
mógł	cieszyć	się	sukce- sem,	gdy	już	osiągniesz	Wszystko

– A więc każde słowo tekstu reprezentuje jedno pole na szachownicy – powiedział w zamyśleniu Benjamin. – Osiem razy osiem. Co będzie następnym krokiem?

– *Knight's tour*. Znów.

– Cholera. Dobra, jakie słowa czy raczej które pola na szachownicy odpowiadają miejscom, w których znaleźliście... dzieci?

Ledwo był w stanie wypowiedzieć ostatnie słowo, co według Vincenta było godne pochwały.

– Na szachownicy będzie to h1, g3, e2 i f4 – powiedział Vincent.

Zaschło mu w gardle. Zdecydowanie. Powinien przynieść sobie wody do picia, i to zaraz. Choć zdawał sobie sprawę, że to tylko psychologiczna ucieczka od koszmaru, który lada moment nabierze kształtu na laptopie Benjamina. Zmusił się, żeby to ciągnąć.

– A kontynuując tę sekwencję, następnym polem będzie h5 – mówił dalej. – Na mapie Sztokholmu wypada to w Djurgårdsbrunnsviken<sup>25</sup>. Gdzieś w tej okolicy znajdziemy zatem za dwa dni ciało Wilmy. Jeśli tego nie rozwiążemy.

– Dobra, zacznijmy od h1 w prawym dolnym rogu – powiedział Benjamin i wyszukał pięć słów odpowiadających pozycjom szachowym wymienionym przez Vincenta.

Następnie je wytuścił.

Impe- ratyw	Epikura	na	nowe	czasy	jest	ten	sam
co	zawsze:	przyzwól	sobie	tylko	na	taki	niepokój
który	prze- mija,	podobny	kome- cie	mijają- cej	gwiazdę.	Szybko	i
nieza- uwa- żenie.	Życie	w	spokoju	to	życie,	które	<b>oczysz- cza.</b>
Nader	staran- nie	unikaj	wszel- kiego	<b>bólu</b>	i	nie	miej
prag- nień,	bo	dopiero	życie	bez	pragnień	<b>jest</b>	życiem,
które	jest	wolne	od	<b>cier- pienia,</b>	dzięki	czemu	będziesz
mógł	cieszyć	się	sukce- sem,	gdy	już	osiągniesz	<b>Wszystko</b>

– Oczyszcza, ból, jest, cierpienie, Wszystko – odczytał. – Hm. Przez chwilę myślałem już... Cóż. Może ta nora królicza nie była aż tak głęboka.

Vincent wpatrywał się w słowa na ekranie.

– Przeciwnie – powiedział, kładąc rękę na ramieniu Benjamina, żeby się oprzeć. Wielkie W nie jest pomyłką, a „Wszystko” nie jest końcem zdania, lecz początkiem. Odczytaj te słowa w porządku, w jakim podałem ci pozycje, w porządku zamordowania dzieci.

Benjamin przesunął palcem po kolejnych słowach na ekranie.

– Wszystko... jest... cierpienie... ból... oczyszcza. O Boże.

– *Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza* – powtórzył Vincent. – Słynny cytat z ojca Novy. Z wielką literą na początku i nawet kropką na końcu. Jasne jak słońce. To nawet nie było zbyt skomplikowane. Wymagało zaledwie pięciu kroków. Muszę zadzwonić do Miny.

John Wennhagen uśmiechał się do nich szeroko z okładki szachowej gazetki. Nagle Vincentowi wydało się, że dziewczynka jest trzymana nie tyle w serdecznym objęciu, co w żelaznym uścisku.

**MINA SIĘ ROZŁĄCZYŁA.** Vincent mówił jakoś dziwnie przez telefon. Ciągłe przeproszał, że „w ostatnich tygodniach nie był sobą pod względem kognitywnym”. Mówił o swoim przedstawieniu, że pozwolił sobie na trochę zbyt częste odcinanie tlenu i przez to nie myślał jasno. A potem, że ma coś bardzo ważnego, co musi jej pokazać zaraz, przed jej wyjazdem do pracy. Widać na rozmowę telefoniczną było to zbyt zawiłe. No i teraz znajdował się już w drodze. Do niej.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Jedyna różnica, odkąd był tu prawie dwa lata temu, polegała na tym, że ściany zostały pokryte nowymi warstwami jasnoszarej farby. Odcień był ten sam co przedtem, ale ściany były czystsze. Pewnie przeraziłby się widokiem jej gabinetu z zapasami majtek, koszulek i środków czystości, wystarczającymi do przetrwania niewielkiej wojny światowej albo pandemii. Jednak nie musiał tego widzieć, przecież mogła zamknąć drzwi do pomieszczenia.

Natomiast nie była pewna, czy sama jest gotowa na tę wizytę. Lubiła się z nim spotykać, ale goszczenie go u siebie w mieszkaniu to co innego. W swojej twierdzy przeciw światu. Inna rzecz, że nie dał jej szansy na odmowę.

Spojrzała na zegarek. Miał być za dziesięć minut. Czyli jest czas na szybki prysznic. Zwykle brała jak najgorętszy, lubiła wyobrażać sobie, że bakterie na jej skórze wypalają się pod nim. Jednak obecne lato nie pozwalało na dodatkowe gorąco. A więc wzięła zimny prysznic z nadzieją, że nie zdąży się spocić, zanim przyjdzie Vincent.

Po prysznicu przyniosła sobie z gabinetu nowe majtki i nową koszulkę. Pozostałe ubrania wkładała powoli, żeby jak najdłużej utrzymać ochłodzenie ciała. Następnie przyniosła sobie butelkę alkożelu i przetrła nim wszystkie klamki w mieszkaniu, oparcia krzesel i stół.

Dotknęła czoła, było lekko wilgotne. Cholera jasna. Zerknęła na zegarek. Nie zdąży znów wziąć prysznic, bo Vincent mógłby zastać ją w samej bieliźnie.

Ale co tam.

Przygryzła wargę. Dlaczego umieściła w jednej myśli Vincenta i siebie w samej bieliźnie? Wycisnęła kroplę alkożelu na dłoń i oczyściła je. Następna kropla została wtarta w czoło i pod pachami, gdzie zaszczypało, ale trudno. Potem weźmie następny prysznic.

Rozległ się dzwonek do drzwi, Mina aż podskoczyła. Musi przestać się wygłupiać. Przecież to tylko Vincent. Napomniała siebie, że przecież chce się z nim spotkać.

Szybko potoczyła jeszcze spojrzeniem po mieszkaniu i otworzyła drzwi.

– Cześć – powiedział i wszedł.

Bardzo się pilnował, stając na małej wycieraczce i zdejmując tam buty. Jego spodnie wyglądały dziwnie, były wyjątkowo luźne i furkoczące.

– Vincent – powiedziała. – Jesteś... jesteś w spodniach od piżamy?

Vincent spojrzał w dół i zaczerwienił się jak burak.

– Więc, ojej.... trochę mi się spieszyło – wyjąkał. – Jadłem śniadanie, kiedy przyszedł Benjamin i...

Patrzył na nią z rozpaczą w oczach.

– A nie mogłabyś się również przebrać w piżamę? Żebym nie musiał się tak wstydzić?

Znów to samo, Vincent i bielizna. Za blisko. A właściwie to nawet go jeszcze nie wpuściła porządnie. Widocznie ta myśl odbiła się na jej twarzy, bo Vincent zrobił krok do tyłu, rozkładając ręce.

– Przepraszam – powiedział. – Nie pomyślałem. Na szczęście nie przyszedłem pokazywać ci spodni. Może sobie wyobrazisz, że są częścią lnianego garnituru czy czegoś takiego? Ciesz się, że przynajmniej nie chodzę w szortach. Spirytus do odkażenia rąk?

Wskazała mu łazienkę, gdzie zostawiła butelkę.

Vincent wszedł i umył ręce.

Nigdy nie dał jej do zrozumienia, że uważa jej rytuały za dziwactwo. Przeciwnie, po prostu dopasował się do niej, w czym był dosyć odosobniony. A ona dopasowała się do niego, chociaż tu chodziło raczej o próbę dopasowania do krętych ścieżek rozumowania mentalisty. Domyślała się, że tak naprawdę nie miał wokół siebie zbyt wielu takich osób, mimo owacji, z jakimi się spotykał, kiedy stał na scenie.

Vincent wyszedł z butelką w ręce.

– Zimno masz w tej łazience – powiedział. – Zaczęłaś brać zimne prysznice?

Przytaknęła, starając się powstrzymać łzy wzruszenia, kiedy beztrוסko przetarła kłamek w drzwiach wejściowych, której przedtem dotykał.

– Ciekawa sprawa z braniem zimnego prysznica – ciągnął. – Wim Hof naprawdę spotkał się z ogromnym odzewem. Zresztą zalety fizjologiczne i mentalne takich zimnych kąpieli są liczne i dobrze udokumentowane, począwszy od większej odporności na stres aż po poprawę koncentracji. W gruncie rzeczy jednak jest to efekt poddania swego ciała wstrząsowi, którego ono nie lubi. Wzrost poziomu kortyzolu, czyli hormonu stresu, na skutek ochłodzenia, jeśli



robisz to regularnie, prowadzi rzecz jasna do zwiększonej tolerancji na ten hormon. A silne wychłodzenie powoduje, że oddychasz głębiej, co z kolei doprowadza do lepszego utlenienia krwi i – co za tym idzie – mózgu. Co przynajmniej na krótko usprawnia aktywność mózgu, na przykład twoją koncentrację. A co do tego, że może również wzmacniać twoją determinację, to przecież trzeba jej naprawdę sporo, żeby nadal wystawiać na wstrząs swoje ciało, choćby protestowało. Czyli magiczny efekt powstaje nie tyle z powodu wychłodzenia, ale z tego, jak na nie reagujesz. To trochę jak gwóźdź, na który nadepniesz. A jaki ty masz w tym cel? To znaczy, żeby brać zimny prysznic?

Mina zabrała mu butelkę z alkocholem.

– Vincent, po pierwsze: stanowczo za dużo tych informacji. Znowu. Myślałam, że już się nauczyłeś powstrzymywać. Po drugie: biorę zimny prysznic, bo na dworze jest gorąco. Tylko tyle. A więc co masz takiego pilnego?

Vincent uśmiechnął się ponuro.

– Muszę ci coś pokazać. Zanim pokażę reszcie zespołu. Żebyś mogła stwierdzić, czy oszalałem. Najpierw jednak powiedz, czy znaleźliście coś więcej na temat Wilmy?

Mina pokręciła głową i przeszła do salonu.

– Adam z Rubenem byli wczoraj u jej rodziców – powiedziała. – Ta sama historia co z Ossianem. Zszokowani rodzice, wcześniej nie było jakichś gróźb, żadnych wściekłych krewnych, nie mają pojęcia, kto to mógł zrobić. I żadnych śladów. Dostaliśmy za to zdjęcie. Jednak tym razem chyba nie odważymy się zorganizować konferencji prasowej, bo media by nas zlinczowały. Więc pokaż, co masz, potrzebujemy czegoś. Choćbyś był szalony.

Opadła na kanapę, Vincent usiadł obok. Wyjął broszurę, mapę Sztokholmu, czarno-biały wydruk okładki jakiejś gazety i tekst napisany ręcznie na przezroczystym arkuszu plastiku.

– Ta broszura pochodzi od Epicury – powiedział. – Zawiera ten sam tekst, który zapisałem ręcznie na plastiku. Zmieniłem tylko sposób jego złamania. Ojciec Novy napisał go na krótko przed wypadkiem. Należy tu dodać, że był bardzo dobrym szachistą.

Pokazał jej okładkę gazetki z uśmiechniętym wąsatym mężczyzną trzymającym puchar. Tytuł mówił, że to John Wennhagen. Mina domyśliła się, że to zapewne ojciec Novy. Vincent wziął ołówek i zaczął od stawiania kropek na mapie, pokratkowanej w taki sam sposób jak mapa na ścianie w komendzie.

– Lilly, William, Dexter i Ossian zostali znaleźieni tu, tu, tu i tu na mapie. A według Knight's tour Wilma pojawi się tutaj, w okolicy Djurgårdsbrunnsviken.

Przezroczystym arkuszem przykrył mapę w taki sposób, że tekst objął ją całą, ale kropki były widoczne przez plastik. Następnie zakresił kółkiem słowa

znajdujące się na tych samych polach szachowych co kropki. Wreszcie połączył słowa kreskami, żeby było jej łatwiej odczytać.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – odczytała głośno. – Ale co...?

– Twoja reakcja jest prawidłowa. John Wennhagen napisał ten tekst co najmniej trzydzieści lat temu. Z rozmysłem ułożył go z sześćdziesięciu czterech słów i już wówczas ukrył w nich ten komunikat. Niewidoczny, ale pokrywający się całkowicie z naszymi miejscami zbrodni. Wiem, że brzmi to idiotycznie, ale naszym mordercą jest ojciec Novy. Planował to od bardzo długiego czasu.

Mina nie wiedziała, co powiedzieć. Zwykle zarzucała Vincentowi podawanie zbyt wielu informacji, ale w tym momencie miała wrażenie, jakby jedynie uchylił drzwi, zza których ona nic nie widzi. Nie podobało jej się to. W dodatku niemożliwe, żeby miał rację.

Wpatrywała się w oczy na czarno-białym zdjęciu, jakby mogła wymóc na nich odpowiedź. John Wennhagen tylko się uśmiechał.

– Nie gniewaj się, ale naprawdę mam nadzieję, że jesteś trochę przemęczony – powiedziała. – Jeśli dobrze rozumiem, ciała zostały rozmieszczone w taki sposób, aby utworzyć motto Wennhagena ukryte w tekście napisanym przez niego trzydzieści lat temu. A znaleźć je można pod warunkiem, że jest się równie biegłym szachistą jak on. Bardzo przekonujące. Poza tym, że zupełnie niemożliwe. Morderstwa odbywają się teraz. A ojciec Novy od dawna nie żyje.

– Pewna jesteś? Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Nova mówiła, że go szukali, ale nie wypłynęło. Może nie bez powodu. Według mnie wskazuje to dość wyraźnie, że John Wennhagen jest znacznie bardziej żywy, niż sądziliśmy.

Mina gapiała się na niego i nagle zrobiło jej się zimno nawet bez prysznic. Była za mała, żeby pamiętać, ale czytała o tym później, kiedy studiowała w szkole policyjnej. O tragicznym pożarze gospodarstwa i następującym po nim wypadku samochodowym, gdy z tonącego wraku auta uratowano tylko dziewczynkę. Kierowcy nie odnaleziono. Przypuszczano, że utonął i zniósł go prąd. Jednak dokładnie tak, jak powiedział Vincent, powód nieodnalezienia ciała mógł być zupełnie inny. Taki mianowicie, że Wennhagen przeżył i się ukrył. Czekał na właściwy moment. Do wniosków Vincenta pasowało to aż za dobrze.

– O Boże. Masz rację. John Wennhagen żyje. Myślisz... myślisz, że Nova wie?

– Niekoniecznie – odparł. – Mógł się ukryć również przed nią. Tak byłoby najsprytniej, skoro została włączona do tej sprawy. A zważywszy na to, czym się zajmuje w Epicurze, chyba by nie akceptowała jego postępowania.

Mina odetchnęła. Na pewno tak jest. Jednak tam jest Nathalie. Trzeba się z nią skontaktować, upewnić, że z nią wszystko dobrze. Najprościej byłoby zadzwonić do ojca dziewczyny. Jednak Mina sama prosiła go, żeby się wyłączył. W takim

razie to do niej należy odnalezienie ich córki. Może rzeczywiście tylko biwakuje gdzieś ze swoją babcią.

– Jak to możliwe, żeby Wennhagenowi udało się ukrywać przez tyle lat? – odezwała się.

– Przypuszczam, że przy zasobach, jakimi dysponował on bądź jego ojciec, było to całkiem proste. Łatwo stać się niewidzialnym, jeśli ludzie myślą, że człowiek nie żyje.

Mina pokręciła głową, jakby nadal było jej trudno to przyjąć.

– Musimy przekazać to wszystkim kolegom z zespołu – powiedziała, a Vincent przytaknął.

– Mamy jeszcze szansę uratować Wilmę – odparł. – Nareszcie wiadomo, kto to jest. Teraz trzeba jeszcze dowiedzieć się gdzie.

**DŁUGO JEDZIEMY.** *Z miasta do lasu. Prawie zasypiam. W końcu dojeżdżamy, to chyba jakaś stodoła. Wsiadamy i chcę uciekać, ale ktoś mnie łapie. Z całej siły gryzę rękę, która mnie trzyma. Ktoś krzyczy i ręka puszcza, ale ktoś inny łapie mnie, zanim zdążę odbiec. Kopię i biję ich, w końcu zamykają mnie w środku. Próbuję ich kopać przy schodzeniu po drabinie, ale nie udaje się. Potem muszę sama schodzić.*

*Dziś rano spytali mnie, czy chcę śniadanie. Jestem strasznie głodna, ale nie chcę ich wstrętnego jedzenia.*

*Oni mi mówią, żebym się uspokoiła.*

*Że znają moją mamę i mojego tatę.*

*Ale ja wiem, że to nieprawda.*

*– Kłamiecie! – krzyczę za każdym razem, kiedy mi coś mówią. – Nienawidzę was! Ja chcę do domu!*

*Już do mnie nie podchodzą. Jestem taka zła. I boję się. Ale muszę być zła, bo inaczej zrobi mi się smutno i będę się jeszcze bardziej bała. Nie chcę tego.*

*Śpię na materacu na ziemi. Nie wygląda na miękki, ale jest.*

*Rzucam się na materac i wrzeszczę w poduszkę. Pod nią jest coś twardego. Sięgam ręką i wyciągam iPada. Prawda, ten pan, co mnie przywiózł, mówił o nim. Że mogę go używać, ile mi się podoba. Rzucam nim o ścianę, ale i tak jest cały. Wtedy rzucam nim o podłogę tak długo, aż ekran pęka.*

*– Macie! – krzyczę. – Chcę do domu, i to JUŻ! Bo inaczej was pozabijam!*

*Jeśli będę krzyczeć bardzo głośno, to może usłyszą.*

*Tata mógłby mnie może uratować swoim najgroźniejszym głosem.*

*Albo mama. Na swoim szybkim rowerze.*

*Ale nikt do mnie nie przychodzi.*

*W ogóle nikt.*

**WBILI WZROK** w ścianę, jakby postanowili nie wierzyć w to, co powiedział Vincent. A wydawało mu się, że mówił aż nadto wyraźnie. Przygotował swoją prezentację dla nich jeszcze lepiej niż dla Miny. Christer pomógł mu znaleźć w policyjnym magazynie rzutnik. Ruben zaśmiał się głośno, gdy wtoczył to urządzenie do salki konferencyjnej.

Ale gdy już wyjaśnił ze szczegółami przesłanie Wennhagena a potem jeszcze zademonstrował swoje odkrycie, wyświetlając za pomocą rzutnika tekst z plastikowego arkusza na wielkiej mapie Sztokholmu, zapadło milczenie. Ruchy gałek ocznych zdradzały, jak każde z nich podąża wzrokiem po kreskach łączących na mapie słowa przesłania Wennhagena. Raz za razem. Jakby coś mogło się zmienić od kolejnego odczytywania go.

– O kurde – wybuchnął w końcu Ruben.

– A więc John Wennhagen – mruknął Christer. – Jeśli rzeczywiście nie zginął, to miał parę dziesięcioleci na odbudowanie swojej dawnej sekty. Nikt go nie szukał. Pewnie już nawet nie ma na imię John.

– Jakiej dawnej sekty? – zdziwił się Ruben.

– Nie pamiętacie krążących wtedy wieści? – ciągnął Christer. – Mieszkali wszyscy razem, to była cała grupa. Miejsce znajduje się w połowie drogi do Nynäshamn. Mówiło się, że to jakiś ruch podobny do sekty, ale nikt nie wiedział na pewno. A po wypadku rozpiezchli się na cztery wiatry. Rozumiem, dlaczego Nova postarała się usunąć swoje nazwisko, kiedy tylko stało się to możliwe. Kiedy mówi, że ma doświadczenie dotyczące sekt, to ma na myśli doświadczenie osobiste. Jak myślicie, dlaczego się dziś zajmuje deprogramowaniem?

– O mój Boże – odezwał się Peder, gładząc brodę w dziwne niebieskie plamy. – Jeśli Wennhagen już wtedy miał sektę i potem też działał w tajemnicy... to miał ładnych parę dekad na pranie mózgu kolejnym członkom.

Marszcząc czoła, znów spojrzeli na Vincenta.

– Cholera jasna – mruknął Christer.

Chwycił leżącą na stole plastikową torbę i zaczął rozdawać miniaturowe wiatraczki. Vincent z wdzięcznością przyjął jeden i dopiero wtedy zorientował się, że nie ma Bossego.

– Został w domu – powiedział Christer, widząc, że Vincent patrzy na pustą miseczkę psa. – Ma tam pół stopnia chłodniej. A jak go znam, to nalał sobie wody na zimną kąpiel w wannie.

Vincent uśmiechnął się, gdy przed oczami stanął mu obraz dużego golden retrievera pluskającego się w wannie. Może jeszcze z pachnącą pianą.

– Trzeba jak najprędzej dowiedzieć się, ile się tylko da, na temat Johna Wennhagena – odezwała się ponuro Julia. – I to szybko.

– Ja już zacząłem – powiedział Peder, otwierając laptopa.

– Ktoś powinien zawiadomić Novę, że ścigamy jej ojca – rzekł Christer.

Zatrzymał się nagle.

– A nie sądzicie... nie podejrzewacie, że ona ma z tym coś wspólnego? Ona albo Epicura?

Zapadło milczenie.

Mina pokręciła głową.

– Ona mówi o ojcu z prawdziwym żalem – powiedziała. – Jeśli John Wennhagen żyje, to ona o tym nie wie. Wydaje się absolutnie przekonana, że on nie żyje. Poza tym może nie znam się na epikureizmie, ale akurat to jedno wiem, że nie ma nic wspólnego z zabijaniem dzieci. Wydaje się, że epikurejczycy są skupieni przede wszystkim na tym, żeby nie robić hałasu wokół siebie, ale żyć w spokoju. Czyli wprost przeciwnie do nauczania jej ojca. To będzie dla niej bolesny cios. Mogę wziąć to na siebie.

Julia uniosła brwi, ale nie skomentowała.

– Powstaje pytanie, po co John Wennhagen zrobił to wszystko? – odezwał się Adam, który jakoś nie potrafił uruchomić swojego wiatraczka.

– Nie – odparła zdecydowanie Julia. – Tym będziemy zajmować się potem. Pytanie brzmi raczej, gdzie szukać. Mamy tylko dzisiejszy i jutrzejszy dzień na znalezienie Wilmy. Zakładając, że również tym razem Wennhagen będzie trzymał się trzech dni. Nawiasem mówiąc, Peder, muszę spytać, dlaczego masz niebieską brodę?

Peder, czerwieniąc się, spojrzał w stół.

– To było na imprezę urodzinową dziecka – wymamrotał. – Ale farba nie chce zejść, nie wiem...

Nagle weszła Milda i zatrzymała się jak wryta na widok całego zespołu.

– O, cześć, jesteście tu wszyscy? – zdziwiła się. – Właściwie to szukałam ciebie, Mina, ale nie zastałam cię w twoim pokoju. Mam uaktualnione dane dotyczące dzieci, a raczej tego, co znalazłam w ich ciałach.

– Masz na myśli włókna? – spytała Mina.

Christer rzucił wiatraczek Mildzie, która zręcznym ruchem złapała go jedną ręką. Vincent pomyślał, że pewnie w młodości często grała w palanta.

– Dzięki. Właśnie tak. Nie mogliśmy zidentyfikować ich tak od razu, tyle tylko, że chodzi o sierść. A więc poszukaliśmy dalej i na wszystkich włóknach

znaleźliśmy pewną bakterię, *Dermatophilus congolensis*. Utwierdza nas to w przekonaniu, że włókna pochodziły z tego samego miejsca.

– Co to za bakteria? – spytała Julia.

– Dziękuję za to pytanie. Powoduje chorobę skóry u koni, ale również u bydła i owiec. Chorobę o nazwie dermatofiloza. Wilgoć powoduje pęknięcia skóry, do których dostają się bakterie, tworząc strupy. Zdarzało się, choć rzadko, że choroba przechodziła ze zwierząt na ludzi, mamy wtedy do czynienia z zoonozą, chorobą odzwierzęcą. Zakażenie odbywa się przez bezpośredni kontakt albo przez rozmiękczenie strupów, z których uwalniają się zoospory i przyczepiają do zgrzebeł albo derek dla koni.

Milda przerwała, żeby uruchomić wiatraczek.

Vincent nie był pewien, czy rozumie. Dzieci miały te bakterie w gardłach. Jednak bakterie te występują na skórze zwierząt? Odniósł wrażenie, jakby mu coś umknęło.

– No to dlaczego bakterie znajdowały się na włóknach sierści? – spytał.

Uśmiechnęła się. Widać postawił właściwe pytanie.

Wiatraczek ruszył z piskiem.

– Sierść, z których pochodziły te włókna, musiała pozostawać w bezpośrednim kontakcie z zakażonymi zwierzętami – odparła. – A wełniana tkanina musiała być dostatecznie duża, aby przykryć twarz dziecka, może nawet całą głowę, żeby wdychały te włókna. Nie znaleźliśmy żadnych oznak, by tkanina była im wciskana przemocą do ust. Zgaduję, i to naprawdę nieoficjalny domysł...

– Tak? – zniecierpliwiła się Julia.

– ...że te włókna pochodzą z derek, którymi okrywa się konie.

Myśli Vincenta zatoczyły idealne koło. Konie. Wszystko zaczęło się i kończyło na tych zagadkowych koniach.

– Eee, posłuchajcie – odezwał się Peder, który podczas całej przemowy Mildy siedział z nosem w laptopie. – Wiecie, to gospodarstwo, które Wennhagen miał w latach dziewięćdziesiątych, to, które zostało podpalone?

– Właśnie, mnóstwo zwierząt tam wtedy zginęło, prawda? – podchwyciła Julia. – Chyba to pamiętam. To była wielka tragedia.

– I były to nie byle jakie zwierzęta – zauważył Peder, odwracając laptopa w taki sposób, żeby wszyscy zobaczyli zdjęcia, które znalazł.

Uśmiechnięty wąsaty mężczyzna stał przed ogrodzeniem, a znajdujące obok niego zwierzęta były okazałe, wspaniale umięśnione.

– Konie – dopowiedział Peder. – John Wennhagen miał jedną z najbardziej popularnych stajni w kraju. Znajdowała się tylko nieco ponad pięćdziesiąt kilometrów stąd, w Sorundzie. I wiecie co? Na zdjęciach satelitarnych z Google Earth widać, że od tamtej pory została częściowo odbudowana.

Spojrzeni na siebie, a potem zerwali się z miejsc.



**JULIA POPROSIŁA CHRISTERA** o pozostanie na miejscu, żeby pilnować interesu i dowiedzieć się czegoś więcej o Wennhagenie. Pozostali rzucili się do samochodów. Większość pojechała radiowozami, tylko Mina wzięła swoje prywatne auto. Julia miała już z drogi wezwać wsparcie oddziału antyterrorystów.

Mina wcisnęła pedał gazu. Vincent siedział obok i podczas jazdy drogą na Nynäs w kierunku Sorundy mocno się trzymał. W samochodzie była przynajmniej dobrze działająca klima, więc rozkoszował się chwilowym chłodem mimo kłębiących się w głowie myśli na temat Wennhagena i tego, co może się znajdować w jego gospodarstwie.

– Jesteś bardzo milcząca – powiedział Vincent.

– Skupiona – odparła, nie odrywając wzroku od drogi.

– Wiesz, że Sorunda jest znana z tortu o tej nazwie? – spytał. – Jak na wypiek jest bardzo symboliczny. Dekoruje się go emblematami wieczności i płodności, zazwyczaj są to jabłka i suszone śliwki, ale jeśli go podają na stypie, to bierze się same śliwki, żeby uzyskać ciemniejszy kolor. Jednak symbolika wieczności idzie ręką w rękę z ideą Novy dotyczącą wody, uosabiającej przecież życie i jedność, a...

– Vincent.

– Co?

– Głędzisz.

Mentalista umilkł.

Rozumiała, że jego potrzeba mówienia wynika ze zdenerwowania. Tak jak ona, niepokoił się, co znajdą na miejscu. Jeszcze więcej martwych dzieci? Może samego Wennhagena? Ale o ile Vincent bronił się przed tym, mówiąc, to ona potrzebowała ciszy. I chciała dzielić ją z nim. Zwłaszcza teraz.

Na szczęście chyba zrozumiał.

– Masz rację – powiedział, spoglądając przez boczne okno. – Przepraszam. Przecież nie ścigamy cukiernika.

Pomilczał przez kilka sekund, a potem znów zaczął mówić.

– Ale, ale – zaczął – wiedziałaś, że Urząd Ruchu Drogowego kilka lat temu zdjął wszystkie drogowskazy na Sorundę? Teraz wskazują tylko na Spångbro. Z początku...

Uciszyła go jednym mrocznym spojrzeniem. Vincent uśmiechnął się krzywo.

– Dałaś się złapać – powiedział.

Szturchnęła go pięścią w ramię.

– A więc chcesz mnie złapać, czy tak?

– Co? No więc ja... przecież nie... – jąkał się, wiercąc na siedzeniu.

– Vincent, kiedyś chyba rozmawialiśmy o dziaderstwie, prawda?

Niemal poczuła wzrost temperatury w samochodzie, gdy Vincent zaczerwienił się aż po nasadę włosów. Pozwoliła mu się pomęczyć jeszcze przez kilka długich sekund, a potem powiedziała:

– Dałeś się złapać.

Vincent w tym momencie wypuścił powietrze, którego starczyłoby na wypełnienie całego balonu, a potem roześmiał się, podczas gdy Mina wyprzedziła jakąś rozklekotaną skodę.

– *Touché* – powiedział. – Jednak jeśli mam być szczerzy... to nie mylisz się.

Nabrał głęboko powietrza, żeby mówić dalej, ale cokolwiek to miało być, najwyraźniej nie było to dla niego łatwe.

– Wprawdzie dwa lata temu wydarzyło się wiele strasznych rzeczy, ale chyba nigdy nie czułem tak mocno, że żyję, jak wtedy. Głównie dzięki tobie. Próbowiałem potem zapomnieć i żyć dalej, ale... nie szło mi za dobrze.

Szybko zerknęła na niego, by zaraz znów wrócić spojrzeniem na drogę.

– I naprawdę rozmawiamy o tym właśnie teraz?

– Sądzę, że muszę – odparł. – Jedziemy, żeby złapać naszego mordercę. Wkrótce być może będzie po wszystkim. A ja... widzisz, potrzebuję, żebyś była obecna w moim życiu. Takie to proste. Nie wiem nic o twoim życiu poza tym, że zaczęłaś randkować i pewnie w ogóle nie masz dla mnie czasu. Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebyśmy – jak już się uporamy z tą sprawą – nadal się... widywali? Czy w swoim życiu znajdziesz miejsce dla jeszcze jednego przyjaciela?

Jeszcze jednego przyjaciela. Jakby miała chociaż jednego. Chciało jej się krzyknąć i walnąć w kierownicę. Ach, Vincent. Niby dobrze ją znał, a wcale nie znał. I po co wracał, żeby zburzyć mur, który wokół siebie zbudowała? Nie chciała, żeby ktoś był jej potrzebny. A jednak – niech go diabli – potrzebowała go. Po prostu.

Zjechała na Spångbro, skręcając tak nagle, że Vincenta aż rzuciło w bok.

– Pewien jesteś, że nie wolałabyś widywać się z Novą? – spytała.

– Z Novą? A dlaczego, u licha, miałbym... Owszem, podziwiam Nową za jej głęboką wiedzę specjalistyczną. Jestem pod wrażeniem jej ciężkiej pracy, żeby dojść do tego, co osiągnęła. Jest szanowaną koleżanką prelegentką, ale to wszystko. Koleżanką. Ona nie jest... Nie jest tobą.

Mina w milczeniu kiwnęła głową.

– Mogę cię nauczyć grać w bilard – powiedziała.

Teraz Vincent kiwnął głową.

– Widziałeś? – odezwał się znacznie pogodniejszym tonem. – Przy zjeździe z autostrady był drogowskaz na Spångbro. Nie na Sorundę. Przecież mówiłem.

**OKROPNIE MNIE BOLI** gardło. Za dużo krzyczę. Ale mam jeszcze siłę się złościć. Biję każdego, kto do mnie podejdzie. Albo kopię. Dobrze im tak. Nienawidzę ich. Nienawidzę wszystkich dorosłych. I nienawidzę być w lesie.

Jeśli nie odwiozą mnie do domu, to pewnie będę sama musiała wrócić. Właśnie teraz nikogo nie ma. Szybko wydostaję się na górę i jeszcze kawałek, nikt mnie nie widzi. Słyszę jakieś odgłosy ze stajni. Wszyscy są w środku. Pewnie nie wierzą, że mogę się sama wydostać. Pachnie zwierzętami. Chociaż najbardziej śmierdzi zwierzęcymi kupami. To najpaskudniejszy smród na świecie.

Staję przed stajnią. Nikt z niej nie wychodzi. Bardzo dobrze, to ja idę sobie do domu. Ruszam po żwirowej drodze prowadzącej od domu. Słyszę za sobą zgrzyt, pewnie jakieś drzwi, ale nie patrzę, tylko idę przed siebie.

– Wilma?

To on woła. Ten, co mnie tu przywiózł. Pefodil. Jest gdzieś z tyłu, ale nie zwracam uwagi.

– Wilma, dokąd idziesz?

Zaczynam biec. Żwir pod nogami chrzęści, ale słyszę, że on też zaczyna biec. Biegnę wtedy jeszcze prędezej.

– Wilma, zaczekaj!

Chyba ciężko mu jednocześnie mówić i biec. Dobrze mu tak, że jest taki gruby. Ale za to ma długie nogi. Nie to co ja. Przeskakuję rów i wbiegam między drzewa. Może w lesie mnie nie znajdzie. Dobiegam właśnie do pierwszych drzew, kiedy ktoś z tyłu łapie mnie do góry. Kopię ze wszystkich sił, ale jestem zmęczona.

– Wilma – mówi do mnie.

Zasapał się, ale i tak się śmieje.

– Nie musisz biec, możesz już stąd odejść – mówi.

Chyba mu nie wierzę, ale tym razem jakby mówił prawdę.

Przestaję kopać.

Wchodzimy do stajni, on kładzie mi na ramionach koc, chociaż na dworze jest tak gorąco. Koc śmierdzi obrzydliwie koniem. Wszyscy są w środku. Widzę po nich, że zaraz znów wrócą do tej drabiny prowadzącej do ziemi. Chyba za chwilę coś się będzie działo. Coś, co mi się nie spodoba.

– No jak, Wilma? – pyta pefodil. – Pamiętasz, jak się urodziłaś?

**ASFALTÓWKA PRZESZŁA** w żwirówkę. Znajdowali się w środku lasu. Vincentowi nie mieściło się w głowie, że Mina nie boi się jechać tak szybko wąską drogą, za każdym zakretem mogło wyskoczyć cokolwiek. No ale przed nimi jechali Adam, Ruben, Julia i Peder. Gdyby coś się stało po drodze, trafiłoby najpierw na nich.

Żwirówka prowadziła ich jakiś kilometr między drzewami, gdy las się nagle otworzył. Po prawej stronie znajdowało się duże pastwisko. Po lewej stadnina Wennhagena. A raczej to, co z niej zostało. Vincent domyślał się, że część znajdująca się najbliżej była domem mieszkalnym. Jednak nie sposób było dopatrzeć się, jak ten dom wyglądał kiedyś, bo spłonął do fundamentów, a to, co zostało ze ścian, było porośnięte różnymi pnączami i krzakami. Przez kilka ostatnich dziesięcioleci las odzyskiwał swój teren. Gdyby nie większy budynek znajdujący się z tyłu, zapewne nie zauważyliby tej ruiny.

Budynek, dawna stajnia, jak przypuszczał Vincent, był w niemal równie złym stanie. W odróżnieniu od domu w stajni zostały wprowadzić fragmenty ścian i dachu, ale jego większa część zapadła się do środka, a ściany zbudowane z czarnych belek rozczapierzyły się jak patyczki biererek. Były wolne od roślinności, przez co wyglądały jeszcze upiorniej na tle zieleni drzew. Rozglądał się za tym, co Peder znalazł na mapie satelitarnej, ale widział jedynie zgliszcza.

– Tam – powiedziała Mina, pokazując zagajnik za stajnią.

Miała rację. Między drzewami prześwitywały wyraziste kolory czerwieni i bieli. Żwirówką okrążającą zagajnik dojechali do stosunkowo nowej stajni. A przed nią stały dwa samochody. Jednym z nich było czerwone renault clio. To samo, którym została uprowadzona Wilma.

– Dopiero co przyjechali – odezwała się Mina.

– Skąd wiesz? Te samochody mogą równie dobrze stać tutaj od pół roku.

– No to się przyjrzyj. Nie ma na nich liści ani igieł, żadnych ptasich odchodów ani kurzu. Są zbyt czyste, żeby mogły stać tu od dawna. A w ogóle to przypadkiem nie ty jesteś ekspertem od obserwowania różnych rzeczy?

Adam zatrzymał radiowóz, stając w poprzek za parkującymi samochodami, a Julia za nim, blokując je.

– Kiedy fajniej jest, jak ty to robisz – odpowiedział Vincent. – Co teraz?

Tamci zdążyli już wysiąść i szli w stronę stajni. Mina zatrzymała auto za radiowozem Julii.

– Teraz go zatrzymamy – oznajmiła.

Wysiedli, Vincent trzymał się z tyłu. Cisza w lesie była niemal ogłuszająca. Jakby nawet ptaki wstrzymały oddech w oczekiwaniu na to, co nastąpi.

Ruben szedł pierwszy. Mina zmarszczyła się, osłaniając oczy ręką.

– Co jest? – spytał Vincent.

– Nie wiem, wydawało mi się, jakbym coś zobaczyła w żwirze...

Drzwi stajni otworzyły się nagle, wyszedł stamtąd mężczyzna. Uśmiechał się szeroko. Blondyn z wyraźnym wąsem. Odpowiadał dokładnie rysopisowi porywacza Wilmy. Nawet nie spróbował zmienić ani ukryć swego wyglądu. Mówiło to sporo o pewności siebie zwolenników Johna Wennhagena.

Jednak na widok policjantów przestał się uśmiechać i zbladł jak ściana. Widocznie spodziewał się kogoś innego.

Zawrócił i wbiegł z powrotem do stajni. Dopiero wtedy dostrzegli dziewczynkę. Stała za nim, na ramionach miała koc i patrzyła na nich niepewnie.

Była to Wilma.

– Czeka! – krzyknął Ruben i pobiegł za tamtym.

Peder również ruszył tam, podobnie Julia, która najpierw wskazała Wilmę i kiwnęła głową do Adama. Adam podszedł do dziewczynki w ogrodniczkach i ukucnął przed nią.

– Jesteśmy z policji – powiedział. – Przyjechaliśmy po ciebie. Zabierzemy cię do mamy i taty, chcesz?

Wilma energicznie pokiwała głową.

– Czy ten pan zrobił ci jakąś krzywdę? Coś, co ci się nie podobało?

– Nie, ale on kłamał. Tu nie ma żadnych koni. Mówił, że będę mogła je pogłaskać. Ale dali mi tylko jakiś obrzydliwy koc.

A potem rozplakała się i objęła za szyję Adama, który wziął ją na ręce i zaniósł do radiowozu.

– Mina, pomożesz? – zawołał Adam, kiwnąwszy głową w stronę radiowozów.

Mina pobiegła tam w momencie, gdy Ruben, Julia i Peder wyprowadzili ze stajni sześć osób. Byli to blondyn, kobieta w średnim wieku, starszy mężczyzna i trzy kobiety w wieku około dwudziestu pięciu lat. Wszyscy patrzyli w ziemię i nie wydawało się, by mieli ochotę stawiać opór. Vincent nie mógł wiedzieć, ale byłby gotów się założyć o sporą sumę, że właśnie znaleźli porywaczy Lilly, Williama, Dextera, Ossiana i Wilmy.

– To wszyscy – powiedział Ruben. – Wennhagena tu nie ma. Jednak wygląda na to, że te typki szykowały się do jakiegoś obrzędu, więc domyślam się, że zaraz tu będzie.

W tym momencie odwrócili się, słysząc samochód, który wyjechał zza zagajnika. Niebieskie audi zahamowało ze zgrzytem opon na żwirze sto metrów od

nich.

– Kurde, przecież to on! – zawołał Ruben.

Vincent chciał zobaczyć, jak Wennhagen teraz wygląda, trzydzieści lat od zdjęcia na okładce gazetki szachowej, ale nie dało się przez odbłask słońca na przedniej szybie auta.

Ruben zdążył podbiec zaledwie dwa kroki, gdy Wennhagen wrzucił wsteczny bieg i zakręcił silnie, tak że auto obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni, a potem odjechało równie szybko, jak przyjechało.

– Kurwa – syknął Ruben, kopiąc żwir. – Domyślam się, że nikt nawet nie spojrzał na numer rejestracyjny. Vincent, ty chyba jesteś dobry w zapamiętywaniu cyfr i takich rzeczy?

– Ale nie z odległości stu metrów.

– Spoko – odezwał się Peder, gładząc brodę.

Uśmiechnął się do sześciorga zatrzymanych, wpatrujących się w ziemię.

– Nasi nowi przyjaciele powiedzą nam, gdzie on jest.

– Nie wiemy, o kim pan mówi – odezwała się jedna z kobiet. – Wszystkie nasze działania były dobrowolne.

– O tak, na pewno – powiedziała Julia.

– **FANTASTYCZNIE SIĘ** spisaliście – powiedziała Julia, uśmiechając się szeroko. – Wilma jest cała i chyba zupełnie zdrowa, ale okropnie się złości, że wciąż nie może wrócić do domu. Została zawieziona do szpitala Karolinska na bardziej szczegółowe badania i tam spotka się ze swoimi rodzicami. Gdyby nie wy, mogło się to skończyć całkiem inaczej. A nawet bardzo źle.

Rozejrzała się, zatrzymując kolejno wzrok na każdym z nich. Wyglądali na kompletnie wykończonych. Często tak było po doprowadzeniu do finału dochodzenia. Następował spadek napięcia i poziomu adrenaliny. Pracowali ciężko i niestrudzenie, teraz opadło ich wielkie zmęczenie. Mina czuła się jak balon, z którego uszło powietrze. W normalnej sytuacji byłoby to pożądane uczucie sygnalizujące, że niebezpieczeństwo minęło. Jednak tym razem można było pozwolić sobie na jedynie krótkie rozluźnienie. Wilma została uratowana, ale John Wennhagen pozostawał na wolności. A Nathalie wciąż nie wróciła do domu.

– Christer. Zdążyłeś zebrać sporo informacji o przeszłości Wennhagena. Przydałoby się, żebyś się z nami podzielił tym, co znalazłeś, bo na tym etapie nie wiemy, jakie szczegóły z jego życia mogą się okazać istotne.

Christer przytaknął i wyjął plik papierów.

– No tak, niezły z niego zawodnik. Syn bogacza, Baltazara Wennhagena, który dorobił się majątku na nieruchomościach. Chłopak dorastał w bogactwie, pieczone gołąbki i tak dalej... Na temat tej części jego życiorysu nie ma zbyt wiele. Tatuś już wtedy zaczął zajmować się tym całym epi... epi...

– Epikureizmem – wpadła mu w słowo Mina.

Christer pominął to i ciągnął dalej.

– W wieku dwudziestu paru lat John Wennhagen wyprawia się za granicę. Do Indii. I dołącza do jakiejś indyjskiej sekty.

Zmrużył oczy, żeby odczytać.

– Do ruchu sannjasinów, którego założycielem był guru Bhagwan Shree Rajneesh. I potem jedzie z nimi do Oregonu, gdzie prowadzą działalność, która się kompletnie wynaturza, parają się mordowaniem, truciem i tym podobnymi rzeczami.

– To chyba ta sekta, której członkiem był Ted Gärdestad? <sup>26</sup> – wtrącił Peder.

– To on był w sekcie? – zdziwił się Ruben. – Mówimy o tym facecie od *Sol, vind och vatten? I Satellit, satellit, oh oh oh?*



– Właśnie o nim – odparł Peder. – Szkoda, że mu się popsuło pod sufitem, bo był niesamowicie zdolny. Jako artysta spotkał się jednak z wielkim uznaniem, trzeba...

– Do rzeczy – napomniała ich ze znużeniem Julia i skinęła ręką na Christera, żeby kontynuował.

– Wydaje się, że John nawiał na chwilę przed tym, jak działalność w Oregonie diabli wzięli. I przywiózł trochę ludzi stamtąd do Szwecji. Kupił to gospodarstwo i założył tam własny ośrodek religijny.

– Z czego się utrzymywali? – spytał Ruben.

– Przez ileś lat prowadzili stajnię. Tę, którą właśnie odwiedziliście. Nova urodziła się tam, jej matką była jedna z kobiet, która odeszła od Rajneesha za Johnem. Z tamtych lat nie ma zbyt wielu śladów. Trzymali się na uboczu, nie mieli żadnych kontaktów z ludźmi z zewnątrz oprócz uczniów przyjeżdżających na lekcje jazdy konnej. Właściwie jedyne, co znalazłem, to trochę wściekłych listów do prasy od sąsiadów, którzy wiedzieli o ich sekciarskiej działalności. Jak rozumiem, te lekcje jazdy konnej były bardzo popularne wśród dzieci, co u innych spotykało się z dużą dezaprobatą. Potwierdzają to wydarzenia, które nastąpiły potem.

– Pożar? – spytała Mina.

– Właśnie. Nie ma na ten temat zbyt wielu szczegółów. Pewnej nocy w gospodarstwie wybuchł pożar, a wyniki późniejszego dochodzenia technicznego wskazywały na podpalenie.

– Pamiętam, pisały o tym gazety! – wtrącił Peder.

– Tak, wtedy to była bardzo głośna sprawa. Spaliło się wielu członków tej grupy, zarówno dorosłych, jak i dzieci. I konie. Ocalili tylko John Wennhagen i Nova. I aż do dziś wszyscy wierzyli, że zginął również John, tyle że w wypadku samochodowym podczas ucieczki z pożaru.

Christer wyciągnął odbitkę starego artykułu z „Expressen” i podał im do przeczytania.

– Ciekawe, że media nie rozwodziły się więcej na ten temat, zważywszy na to, jak znaną osobą stała się Nova – odezwała się w zamyśleniu Mina.

– I nie była to wcale żadna tajemnica – przypomniał Vincent. – Wydaje mi się, że po prostu nie chciano przysparzać jej bólu, wyciągając tę historię ponownie. Nie było wiele nowego do dodania, a ona była wtedy dzieckiem.

– Jak udawało mu się ukrywać przez tyle lat? – zastanawiał się Peder, drapiąc się w brodę.

– I właśnie to powinniśmy teraz ustalić – powiedziała Julia. – Jeśli uda się dowiedzieć, jak to zrobił, kim był przez ten czas i gdzie, będzie to najlepsza wskazówka, gdzie teraz się ukrywa.

– W Szwecji wcale nie jest łatwo załatwić sobie fałszywą tożsamość – wtrącił Christer.

– Mógł żyć bez formalnej tożsamości – zauważył Ruben, mażąc w zamyśleniu po notatniku.

Mina widziała, że były to gryzmoły bez znaczenia. Niektóre wyglądały chyba jak serduszka, ale na pewno jej się tylko zdawało.

Ruben chrząknął i mówił dalej.

– Jeśli miał wokół siebie ludzi, lojalnych zwolenników, którzy też przeżyli i się nim zaopiekowali, to nie musiał mieć do czynienia z żadnymi instytucjami państwa. Kontakt z urzędem to jedyna sytuacja, kiedy musimy przedstawić dokument tożsamości. Jeśli miał dach nad głową i pomoc w załatwieniu sobie żywności, to mógł żyć całkowicie poza radarami. Szczególnie że go nie szukano, bo wszyscy myśleli, że zginął.

– Zarządzono jego poszukiwanie – poinformowała Julia. – Zastanawiamy się również, czy z tym wyjść do mediów. Problem w tym, że nie ma aktualnych zdjęć Wennhagena, ostatnie są sprzed trzydziestu lat. Usiłujemy sporządzić jego portret, wychodząc od przewidywania, jak się starzał i jak może dziś wyglądać.

– Masz na myśli portret pamięciowy? Bzdury jakieś – skomentował Christer i rozejrzał się, szukając poparcia.

– Przeciwnie – odezwał się Adam, kręcąc głową. – To sprawdzone naukowo. Dziś robi to się cyfrowo, czyli nie jest to rysunek ręką, jak kiedyś. Ojej, są nawet apki do telefonów dla laików. Postaraj się być na bieżąco, Christer.

– Bzdury – powtórzył dotknięty Christer. – Tyle wam powiem.

Bosse podniósł łeb, jakby wczuwał się w nastrój swego pana, ale położył go z powrotem na łapach i westchnął.

– Poszukujemy również niebieskiego audi – dodała Julia – ale na razie nie ma po nim śladu. Znalezienie go ma być tylko kwestią czasu. Wypatrują go wszystkie wozy patrolowe.

– A członkowie sekty? – odezwał się znów Ruben, rysując na notesie figury coraz to bardziej psychodeliczne. – Chyba uda się ich skłonić do mówienia? Na pewno wiedzą, gdzie jest Wennhagen.

– Uważam, że Vincent mógłby spróbować – powiedziała Mina. – Dobrze się sprawił w podobnej sytuacji z Lenore Silver. Faktem jest, że dostrzegł takie rzeczy, na które my nie zwróciliśmy uwagi.

Julia spojrzała na mentalistę, który dotąd milczał.

– Co ty na to, Vincent? Pomógłbyś?

Mina zauważyła, że Julia ma pod pachami wielkie plamy od potu. Dyskretnie zerknęła pod własne pachy. Na razie chyba dezodorant działał. Po powrocie z gospodarstwa przetarła ciało mokrymi chusteczkami, na ile się dało. Nawet nie

dlatego, żeby dotknęła czegoś brudnego, ale miała wrażenie, jakby smród koni i ogólnie chora sytuacja w tamtym miejscu przeniknęły w głąb jej ciała.

– Oczywiście pomogę w razie potrzeby – odparł Vincent. – Ale Adam jest przecież przeszkolony w negocjowaniu. Wydaje mi się, że świetnie sobie poradzi. Współwyznawcy Wennhagena mogą się wydawać nieco fanatyczni, ale nie mają takiego doświadczenia w konfrontowaniu się z policją, jakie miała Lenore Silver. Przypuszczam, że najwyżej będą próbowali milczeć. To się powinno zmienić, kiedy zrozumieją, że zostali wykorzystani.

– Zgadzam się – przytaknął Adam. – Trzeba zadbać o to, żeby im się przykrzyło w areszcie. Powinno być łatwo, skoro nie będą mieli przy sobie swego zbawcy.

– Chyba na mnie pora – powiedział Vincent. – Dziękuję za to popołudnie pełne wydarzeń.

– To my dziękujemy – odparła Julia. – Nie znaleźlibyśmy Wennhagena, gdyby nie ty. Każdy z nas dołożył swoją cegiełkę, więc możemy się jeszcze raz poklepać po plecach i pogratulować sobie dobrej roboty. A potem zabierzemy się do pracy, żeby zlokalizować Wennhagena. Wszyscy wiedzą, co mają robić?

Mruknęli, że tak, kiwnęli głową w stronę Julii i wyszli.

Mina została w pomieszczeniu sama. Coś jej nie dawało spokoju. Coś, co powinna była zapamiętać.

Parę godzin później Minę nadal coś uwierało. Koledzy zajęli się poszukiwaniem Johna Wennhagena. Człowieka, który wstał z martwych. Odbyli też rozmowę z Novą, która przyznała, że zawsze miała takie podejrzenie. Twierdziła jednak, że nie miała z ojcem żadnego kontaktu. Od czasu pożaru nie postawiła nogi w gospodarstwie ojca. Jej informacje miały być oczywiście sprawdzane. Policja musiała przejrzeć billingi i prawdopodobnie przeprowadzić przeszukanie w Epicurze. Należało wypełnić mnóstwo papierów. Tymczasem Mina nie potrafiła skupić się na swoim zadaniu.

Będąc w gospodarstwie Wennhagena, coś zauważyła. Było to tak przelotne, że nie zdążyła zapisać w pamięci, bo za dużo się działo. A jednak była pewna, że to coś ważnego.

Osoby, które przetrzymywały Wilmę, zostały poddane przesłuchaniu. Vincent miał rację – wszyscy milczeli. Na razie. Adamowi nie udało się nawet poznać ich personaliów. Gdyby się okazało, że nie ma ich w rejestrach odcisków palców, ustalenie ich tożsamości będzie niemal niemożliwe. Prawdopodobnie trzeba będzie wyjść z tym do mediów i skorzystać z pomocy wielkiego detektywa, czyli Społeczeństwa.

Wilma znajdowała się wciąż w szpitalu. Julia i Peder mieli z nią porozmawiać, gdy tylko lekarze zakończą badania i upewnią się, że dziewczynka jest w stanie, który na to pozwala. A na razie pozostawało grzecznie czekać.

Mina wstała i zaczęła spacerować między biurkiem a ścianą. Nie mogła się skupić. Spędziła parę godzin na wyszukiwaniu w rejestrach dawniejszych informacji o Wennhagenie. Może coś z jego przeszłości zaprowadzi ją do obecnego miejsca pobytu. Przeszukała nawet wykazy nieruchomości, na wypadek gdyby posiadał jakąś poza wiadomym gospodarstwem, ale jak dotąd miała zero wyników.

Wiedziała przy tym, że w żadnej bazie nie znajdzie tego, czego szuka, bo znajdowało się poza zasięgiem, zagrzebane w jej podświadomości. Wymykało jej się. Drażniło. Taka była tym sfrustrowana, że miała ochotę kopnąć coś twardego. Nagle się zatrzymała. Może sama nie umie zmusić swojego mózgu do odpowiedzi, ale zna kogoś, kto to potrafi. Bo widziała, jak to robił.

Jeden telefon i już jechał do niej.

**VINCENT POZWOLIŁ SIĘ** zaprowadzić Minie do jednego z pokoi wypoczynkowych w komendzie.

– Przepraszam, że musiałeś wrócić tak szybko – powiedziała. – Twoja rodzina mnie już znienawidziła?

W pokoju znajdowało się łóżko, stolik i krzesło.

– Tak jest, cofam wszystko, co mówiłem w samochodzie o przyjaźni – odparł.  
– Nie, no skąd. Marii i tak nie było w domu. Rebecca miała iść do swojego chłopaka, ale przekupiłem ją i Benjamina, żeby obejrzeni z Astonem jakiś film, dopóki nie wrócę.

Vincent zauważył, że na widok łóżka Mina zeszywniała. Przypuszczalnie wyobraziła sobie, ile osób musiało na nim leżeć i wypoczywać, spać czy robić cokolwiek, a materac nie był prany ani razu.

– Przygotowałem im *Solaris* na Blu-rayu – powiedział. – W wersji Andrieja Tarkowskiego z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego, chociaż z dokumentu o Stanisławie Lemie wynikało, że był ciekaw, co mogliby z tym zrobić Soderbergh z George’em Clooneyem. Jednak co oryginał rosyjski, to oryginał. Benjamin obiecał, że zrobi im popcorn.

Mina spojrzała z niedowierzaniem.

– Aston nie ma przypadkiem dziewięciu lat? I myślisz, że woli obejrzeć... to, co właśnie wymieniałeś od, na przykład, *Jak ukraść Księżyc*?

– Byłem w jego wieku, kiedy oglądałem *Solaris* po raz pierwszy – odparł Vincent, wzruszając ramionami. – I sama widzisz, jak dobrze się skończyło. Poza tym film trwa prawie trzy godziny. W razie gdybyśmy potrzebowali więcej czasu.

Mina pokręciła głową. Ale przynajmniej nie wyglądała, jakby chciała zaraz owinąć plastikiem cały pokój. Odwrócenie uwagi okazało się skuteczne, przynajmniej na razie. Vincent usiadł na brzegu łóżka, żeby Mina mogła zająć krzesło.

– Opowiadaj. Co robimy w tym pokoju? Co to za pilna sprawa?

– Zahipnotyzowałeś Lenore, czy tak? Kiedy ją przepytywałeś.

Vincent zawahał się na sekundę. Hipnoza, temat kontrowersyjny, liczba opinii, czym jest ona w istocie, równa się liczbie osób parających się nią. A jakkolwiek spojrzeć, policja raczej nie zachęca do tego. Jeśli Mina zamierza go zwymyślać, to wybrała na to dziwny moment i miejsce.

– Ja... rozmawiałem z Lenore – powiedział. – Użyłem pewnych technik słownych i fizycznych, aby pomóc jej wejść w dość szczególny stan umysłu, żeby była odprężona i uważna, ale nie kwestionowała ani nie analizowała tego, co mówiłem.

– Czyli ją zahipnotyzowałeś.

– Jeśli chcesz to tak nazywać.

– A możesz... możesz mnie zahipnotyzować?

Padło to absolutnie niespodziewanie. Dokądkolwiek, jak sądził, zmierzała ich rozmowa, to na pewno nie tu. Mina stawiająca wokół siebie kolosalne mury, uzbrojona w tarczę równie kolosalnej grubości, ta Mina pyta go, czy on może wejść do jej duszy i umysłu.

– Mam twoje pytanie traktować jako wyzwanie, bo myślisz, że się nie da? – spytał. – Czy naprawdę chcesz, żebym spróbował?

– Będąc dziś w tym gospodarstwie, coś zobaczyłam – odparła. – Prawie to pamiętam, ale za dużo się działo jednocześnie i nie zdążyłam o tym pomyśleć. Przynajmniej świadomie. A teraz nie mogę sobie przypomnieć, co to było, chociaż sądzę, że to ważne. Czy możesz mnie zahipnotyzować i pomóc mi to odtworzyć?

Vincent myślał. Gdyby chodziło o kogoś innego, pytanie by go nie zdziwiło. Słyszał je setki razy. Jednak gdy padło z ust Miny, znaczyło coś innego. Mianowicie to, że ma do niego całkowite zaufanie i pozwala mu zajrzeć do jej głowy, gdzie on może zobaczyć, co chce. Jednocześnie ufała, że nie zajrzy głębiej, niż to konieczne. Nagle pokój wydał mu się za ciasny. Albo za duży. Chciał odwzajemnić jej zaufanie. Spróbował usiąść jakoś inaczej na łóżku. Mina skrzywiła się, gdy łóżko zgrzytnęło pod nim.

– Po pierwsze – powiedział, koncentrując się. – Jeśli to zrobimy, to nie musisz leżeć. Możesz równie dobrze siedzieć na krześle.

Widać było, że jej ulżyło. Jednak ciągle miała tę małą zmarszczkę między brwiami, która pojawiła się, gdy tylko wymówiła słowo „hipnoza”. Widocznie nie do końca jej odpowiadał ten pomysł.

– Po drugie, wydaje mi się, że hipnoza nie jest potrzebna – dodał szybko. – Mogę i tak pomóc ci wrócić do tego wspomnienia. Są do tego odpowiednie techniki.

Zmarszczka między brwiami znikła. A więc miał rację. Gdyby kontynuował coś, co brała za hipnozę, rezultat nie byłby dobry. Mina okazała wielką odwagę, prosząc go o to, chociaż w gruncie rzeczy się bała. A to tworzy przeszkody. Należało użyć innej taktyki.

– Musisz jednak zamknąć oczy i się odprężyć – powiedział. – Mogłabyś od razu spróbować?

Zamknęła oczy i po chwili słychać było, że jej oddech zwolnił.

– Dobrze. Otwórz oczy, jeszcze nie zaczęliśmy.

Mina zamruwała z lekko zdezorientowanym wyrazem twarzy.

– Ale dalej, kiedy już zaczniemy, chciałbym, żebyś miała świadomość swoich rąk leżących na kolanach. Zamknij oczy i poczuj to.

Mina zamknęła oczy i tym razem trochę zwiesiła głowę. Vincent policzył w myślach do pięciu.

– Znakomicie, otwórz oczy. Jeszcze nie zaczęliśmy.

Tym razem zrobiła to wolniej i wyglądała na rozespaną.

– Zaraz ci pomogę przypomnieć sobie, a ty będziesz robić wszystko, o co cię poproszę, i przemieścisz się z powrotem do gospodarstwa, możesz to wszystko zrobić i zamknąć oczy teraz... i rozluźnić się głębiej niż kiedykolwiek.

Mina zamknęła oczy i zwiesiła głowę.

– Coraz głębiej... i głębiej... zanurzysz się w swoją podświadomość i w to, czego doświadczyłaś tam w gospodarstwie – mówił miękkim, monotonnym głosem. – Poczuj tamte zapachy, usłysz dźwięki, zobacz to, co widziałaś.

Chwycił jej przegub i podniósł rękę nad kolano. Kiedy ją puścił, ręka pozostała zawieszona nad kolanem.

Vincent właściwie nie lubił metody, którą zastosował. Z jednej strony polegała na czymś, co nazwano frakcjonowaniem, gdy raz za razem wprowadza się kogoś w stan hipnozy, aby natychmiast go z niej ponownie wyprowadzić, zmiana będąca na tyle fizjologicznie wyczerpująca, aby mózg sam z siebie wolał pozostać pod działaniem hipnozy. Z drugiej strony polegała na nadmiernym obciążeniu poleceniami. Stara prawda głosi, że jeśli się kogoś dostatecznie skołuje, to osoba ta pójdzie za pierwszym jasnym poleceniem. W tym przypadku odpręży się bardziej niż kiedykolwiek. Nie lubił tej metody jako ofensywnej. Niemniej rzeczywiście przynosiła rezultaty. Mina już zapadła w głęboki stan hipnotyczny.

Vincent dotknął palcem wskazującym jej zawieszoną dłoń i delikatnie pchnął w dół na kolano.

– Im bardziej obniżasz rękę, tym wyraźniejsze będą wspomnienia – powiedział. – I tym ostrzejsze twoje spojrzenie. Jak będziesz gotowa, to opowiesz mi, co widzisz.

Mina milczała przez kolejnych kilka sekund.

– Parkujemy – odezwała się. – Przed stajnią. Wysiadamy z samochodu. Ruben idzie do wrót stajni. Rozglądam się.

– I co widzisz?

– Nowy budynek. Drzewa. Samochody, nasze i ich. Krzaki. Podwórko wysypane żwirem.

– Coś zwróciło twoją uwagę. Czy to odgłos?

Mina kręci głową.

– Na ziemi coś się błyszczy – mówi. – Nie powinno, bo jest tam tylko żwir. A jednak coś błyszczy w słońcu. Może szkło, jakiś śmieć, ale wydaje się symetryczne. Nie widzę dokładnie, muszę osłonić oczy ręką. A potem Ruben woła...

– Zatrzymaj się – mówi Vincent. – Już raz widziałaś ten przedmiot, tkwi w twojej pamięci. Masz laserowe widzenie, widzisz z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Zatrzymaj czas, spójrz jeszcze raz i powiedz, co to jest.

Mina skinęła głową. Widać było, ile wysiłku ją kosztuje, żeby ujrzeć swoje wspomnienie. Nagle uniosła powieki i spojrzała mu w oczy. Wskoczyła z hipnozy, jakby nic się nie stało.

– Wiem, co to było – powiedziała. – Musimy tam wrócić.



– **WIESZ, ŻE JEDZIESZ** bardzo szybko, prawda? – powiedział Vincent z przerażeniem w głosie. – Znowu.

Mina utrzymywała wzrok na drodze. Zaraz będą na miejscu. Poszła do samochodu, nie uprzedzając pozostałych kolegów z zespołu. Najpierw chciała się sama upewnić. Przecież w gospodarstwie nikt nie został i przecież towarzyszył jej Vincent. Chociaż w tym momencie Vincent wyglądał, jakby tego żałował, trzymając się kurczowo uchwytu po stronie pasażera.

Bez włączania kierunkowskazu skręciła w prawo na Spångbro i teraz miała przed sobą prosty odcinek drogi prowadzącej do gospodarstwa Wennhagen. Spięła się. Znow miała wrażenie otaczającego ją brudu, który wciska się pod jej ubranie i dalej w głąb skóry. Jednak potrzeba sprawdzenia jej podejrzania była silniejsza.

– To strzał w ciemno – odezwał się Vincent. – Może się okazać, że to nic takiego.

– Wiem – odparła, dociskając jeszcze mocniej pedał gazu.

Kamień oderwany od podłoża uderzył w przednią szybę, robiąc w niej porządny odprysk.

– Kurwa mać!

– Ooo, coś bluznęło – zauważył sucho Vincent, nadal trzymając się mocno uchwytu.

– Co ty, ćwiczysz się, żeby na swoją pięćdziesiątkę mówić jak emeryt?

– W tym momencie nie mam pewności, czy jej dożyję.

Mina zignorowała to, minęła zgliszcza domu mieszkalnego i z poślizgiem zajechała przed stajnię. Kiedy wysiedli, otoczyła ich dziwnie nieprzyjemna cisza, jedyną oznaką życia było krakanie ptaka na wielkim drzewie kawałek dalej. Przeszli szybko przez podwórze, spod ich stóp wzbijał się kurz.

Przeszli obok spalonego budynku i podeszli do nowej stajni. Mina przystanąła, przyglądając się zgliszczom, żeby nic jej nie umknęło.

– Straszne – odezwała się, patrząc na zapadnięty dach. – Mam wrażenie, jakbym słyszała krzyki tych ludzi. Ależ to musiało być okropne. Ogień. Odgłosy, gdy wszystko się wali. I konie. Te wszystkie konie...

– Też mam to w uszach – powiedział cicho Vincent. – Wyraźniej, niżbym chciał.

Przez chwilę patrzyli na zniszczenia. Mina czytała o ruinach, które po porośnięciu przez las tchnęły spokojem i jakąś tajemniczością. Tutaj tak nie było. Spalona stajnia Wennhagena nadal wyglądała jak wielka czarna rana. Jakby to, co się tu wydarzyło, było tak potworne, że nawet przyroda wolała obchodzić ją szerokim łukiem.

Mina różnym krokiem okrążyła zagajnik i podeszła w stronę nowej stajni. Osłoniła dłonią oczy jak poprzednim razem, chociaż słońce świeciło im w plecy i było to niepotrzebne.

– Tam – powiedziała, wskazując jakiś punkt nieopodal na żwirze.

Podeszła, zaraz za nią Vincent.

– Zobacz.

Ukucnęła i pokazała leżący na ziemi kawałek metalu. Vincent również przykucnął.

– Podkowa – powiedział.

– Co samo w sobie nie dziwi – zauważyła. – W końcu były tu stajnie. Chociaż w nowej stajni nie ma koni. Na pewno tu i ówdzie walają się jakieś stare podkowy. W takim razie powinny być pordzewiałe i brudne albo chociaż pościerane. A ta jest zupełnie czysta, aż się świeci. Dlaczego tu leży?

Chciała ją podnieść, żeby się bliżej przyjrzeć, ale nie dała się ruszyć.

– Jest przyczepiona – zdziwiła się.

Vincent nachylił się tak blisko, że na uchu poczuła jego oddech.

– Widzisz ten skobel? – powiedział. – To nie tylko podkowa. To uchwyt.

Odwróciła się i spojrzała na niego ze zdumieniem. Z oddali znów usłyszeli krakanie.

**MINA SPRÓBOWAŁA** pociągnąć jeszcze raz, ale podkowa tkwiła mocno.

– Czekaj, tu jest zasuwka sprężynowa – powiedział Vincent. – Widzisz ją?

Strzepnął trochę żwiru, odsłaniając zasuwkę umocowaną w sprężynowym zaczepie tuż obok podkowy. Vincent odsunął sprężynę i wsunął tam kamyczek dla przytrzymania.

– Teraz. Spróbujmy razem.

Staął za Miną, wyciągając ramiona po jej obu bokach, i położył dłonie koło jej dłoni na podkowie.

Podkowa była na tyle mała, że musiał je częściowo przykryć. Zastygł, spodziewając się, że Mina powie coś o dotyku, może nawet cofnie ręce.

Zamiast tego odchyliła się trochę do tyłu w taki sposób, że się przycisnęła do niego. Ciepło z jej pleców rozeszło się w jego klatce piersiowej i dalej. Prawie wstrzymał oddech.

– Vincent? – odezwała się.

– Tak?

– No, ciągnij tę podkowę.

Pociągnęli razem i w żwirze powoli odsłoniła się szpara. Ktoś starannie przykrył żwirem klapę, żeby była niewidoczna, ale kiedy ją podnieśli, pod spodem ukazał się czarny otwór z drabiną schodzącą w ciemność. Zasuwka sprężynowa znajdowała się na brzegu klapy, co sprawiało, że klapa po opuszczeniu automatycznie się zamykała.

– I teraz mamy zejść do króliczej nory... – powiedziała ponuro Mina.

Królicza nora. Kiedyś, jak już to się skończy, będzie musiał ją spytać, czy podsłuchiwała jego rozmowę z Benjaminem.

– Dasz radę? – spytał.

– Szczerze mówiąc, chce mi się rzygać na samą myśl, co tam może się znajdować – powiedziała. – Ale jeśli myślisz, że pozwolę ci zejść samemu, to wybij to sobie z głowy.

– Dobrze – odparł. – Wydaje mi się, że znaleźliśmy schron Wennhagena.

Ukląkł na żwirze, żeby zajrzeć do otworu, ale okazał się głęboki na tyle, by nie zdradzać żadnych tajemnic.

– Schron?

– Tak, to najbardziej prawdopodobne. W sektach często występuje motyw czekania na dzień sądu ostatecznego. Koniec świata staje się zagrożeniem

zarówno jednoczącym, jak i przerażającym dla jej członków, co czyni ich podatnymi na wpływy. Budowanie schronu to bardzo konkretny sposób, żeby wzmocnić przecucie nadchodzącej katastrofy. Oczywiście dotyczy to nie tylko sekt, eschatologia jest elementem większości religii. Również tych wielkich. Inna możliwość jest taka, że John cierpi na paranoję i potrzebuje schronu na własny użytek.

– Skatologia? – upewniła się Mina. – Jak sądzisz, co my tam zastaniemy?

Patrzyła na niego z wyraźnym przerażeniem.

– Eschatologia – poprawił ją, odwracając się plecami do otworu w ziemi i kucając na samym jego brzegu. – Słowo pochodzi od greckiego *eschatos*, co znaczy „ostatni”, i *logos*, co znaczy „słowo”. „Koniec wszystkiego” albo *eschaton* może oznaczać zakończenie życia, albo też koniec świata, koniec czasu. Chrześcijaństwo łączy *eschaton* z powrotem Chrystusa i ostatecznym rozprawieniem się Boga z Szatanem.

Serce mu waliło, kiedy zerknął za siebie, w głąb otworu. Nie był nawet taki wąski, za to mroczny. A kto wie, jak wygląda to jeszcze głębiej. Równie dobrze mógłby być w drodze do własnej trumny.

– Jednak w bahaizmie *eschaton* nie mówi o zniszczeniu, lecz o utworzeniu przez narody nowego porządku światowego pokoju w cieniu boskiej dobroci – dodał szybko, żeby rozproszyć myśli, jednocześnie opuszczając stopę do otworu, gdzie natrafił na pierwszy szczebel drabiny. – Przesłanie jest nieco pogodniejsze, innymi słowy. Ale chrześcijaństwo zawsze było prekursorem, jeśli chodzi o napędzanie ludziom strachu.

Sam słyszał, że głos go zawodzi. Trudno. Skupił się na oddychaniu i powoli schodził w ciemność.

Wdech. Wydech.

Wdech. Wydech.

Uczucie paniki było blisko, mogło w każdym momencie ogarnąć go całego, wprawiając w taki lęk bez dna, że mógłby już nigdy nie wynurzyć się z niego na powierzchnię.

**MINA PATRZYŁA**, jak jasna głowa Vincenta znika, zagłębiając się w czarnym otworze.

– Niezły kawałek drogi – dobiegł ją jego głos.

Nie odpowiedziała. Na dole będzie potwornie brudno, wiedziała to. Sam widok pordzewiałych szczelbi drabiny wywoływał u niej dreszcz obrzydzenia.

– Możesz zejść.

Głos Vincenta był jeszcze bardziej stłumiony, widać zszedł jeszcze głębiej.

– Jest w miarę czysto, jak na te warunki. Nie opieraj się o ściany, to będzie okej.

Mina zakłęła pod nosem i zaczęła schodzić. Szczebel po szczelbu. Starła się nie myśleć o tym, ile brudnych butów stawało na szczelblach, których dotykała, i kiedy w ciemności przestała widzieć brud, poczuła prawie ulgę. Prawie. Bo ciemność też nie była jej przyjazna. Wprawdzie nie widać brudu i bakterii, ale to nie znaczy, że ich nie ma.

W końcu dotarła na sam dół. Miał rację. Było w miarę czysto jak na betonowy podziemny bunkier, ale miała wrażenie, jakby tkwili w czeluści piekielnej. Choćby ściągnąć tu całe słońce, światła byłoby jeszcze za mało.

– Na pewno tutaj trzymali dzieci – odezwała się.

– Tak. Nie wydawało mi się prawdopodobne, żeby je trzymali w stajni na górze. Wprawdzie to na uboczu, ale za mało bezpiecznie, na wypadek gdyby coś się działo.

– Mieliśmy szczęście, że odnaleźliśmy Wilnę – powiedziała, sprawdzając niewielkie pomieszczenie. – Coś musiało skłonić ich do wyciągnięcia jej z bunkra dosłownie na moment przed naszym przyjazdem.

Niewiele tu było. Sterta materaców. Kilka koców. Resztki opakowań żywności. Papierki po słodyczach. Wiadro.

– Faj – powiedział Vincent, patrząc na ziemię.

Stał pośrodku kręgu światła padającego z otworu na górze i wskazał na materace.

– Koce wyglądają jak derki dla koni. To pewnie z nich pochodziły włókna w gardłach dzieci. Chociaż wciąż nie rozumiem, jak tam trafiły. Ani jak powstały urazy na płucach, o których mowa w protokołach z sekcji zwłok. Tyłu rzeczy wciąż nie wiemy. Jaki jest motyw Wennhagen? Dlaczego właśnie te dzieci? I w taki sposób? Wennhagen i jego współwyznawcy musieli prowadzić skrajnie

ubogą egzystencję, żeby przez tyle lat móc trzymać się poza zasięgiem radarów. Dlaczego postanowili działać właśnie teraz?

Vincent umilkł, patrzył na materace. I koce. Tym razem, jak się wydawało, nie potrafił dostrzec żadnego logicznego schematu. Mina nie wyobrażała sobie, jak musi czuć się człowiek, który takie schematy dostrzega nawet wtedy, gdy tego nie chce. Jednak tu na dole nie było nic poza ciemnością. Nawet krąg światła, w którym stał, skurczył się do kształtu półksiężyca. Jasne włosy Vincenta lśniły w świetle słońca. Spojrzała tam gdzie on.

Materace.

Koce.

Ślady na płucach, jakby były poddane silnemu uciskowi.

Włókna w gardle.

Powoli przypomniało jej się coś, co czytała, zanim została policjantką. Była to jedna z tych spraw, które skłoniły ją do podjęcia decyzji, że chce być wśród tych, którzy zagrodzą drogę złu.

– W Stanach umarła pewna dziewczyna – powiedziała powoli. – To chyba było w dwutysięcznym roku. Nazywała się... Candace. Wydaje mi się, że Candace Newmaker. Jej matka adopcyjna zaprowadziła ją do psychiatry, bo według niej dziewczyna nie zachowywała się normalnie...

Mina czuła mrowienie. Chciała się stąd wydostać. Wyjść na słońce, zadzwonić do Julii, sprowadzić zespół techników, żeby przeczesali pomieszczenie milimetr po milimetrze. Krąg światła wokół Vincenta skurczył się jeszcze bardziej.

– Kiedy leki nie pomogły – ciągnęła – matka zabrała ją do terapeuty. Candace miała być poddana terapii opartej na teorii więzi. Jedną z technik, którą zastosował terapeuta, nosiła nazwę ponownych narodzin. Candace umarła w drugim tygodniu terapii.

– Co? Ponowne narodziny?

Mina pokazała palcem materace i koce.

– Candace została zawinięta w koc. Następnie położono na niej materace, co miało symulować kanał rodny, i kazano jej się stamtąd wydostać. Żeby stworzyć więź z matką adopcyjną czy co, nie wiem. Ona walczyła, żeby się wydostać, tymczasem dorośli przytrzymywali ją swoim ciężarem. Krzyczała, wymiotowała, wręcz wyła, że umiera. Nikt nie słuchał. Następnego dnia lekarze stwierdzili śmierć mózgową z powodu niedotlenienia i ona umarła. To wszystko zostało zarejestrowane na filmie.

– Boże, przecież to się zgadza aż za dobrze z opisem Mildy. Trzeba skontaktować się z Julią.

W bunkrze nie było już tak gorąco, kiedy słońce nie świeciło prosto w dół. Krąg światła był już znacznie mniejszy od półksiężyca.

Światło.

Światło zniknęło.

Mina odwróciła wzrok od kurczącego się kręgu światła na podłodze i spojrzała w górę.

– Vincent – powiedziała. – Kłapa. Nie umocowaliśmy jej jak trzeba. Ona właśnie opada.

Vincent spojrzał na kłapę, potem na Minę i rzucił się do drabiny. W momencie, gdy postawił nogę na pierwszym szczeblu, reszta światła zniknęła, kłapa opadła z głuchym łoskotem. Mina nie usłyszała kliknięcia sprężynowej zasuwki, ale poczuła je całym ciałem.

– **CZY TO MOŻLIWE**, że ktoś nas zamknął?

Mina miała wrażenie, że ściany zbliżają się, otaczając ją coraz ściślej. Oddychała z wysiłkiem, płytko. Nagle poczuła dłoń na swoim ramieniu. Normalnie nie byłoby to coś, co by mogło zmniejszyć jej lęk, raczej przeciwnie. Jednak to była ręka Vincenta.

– Niestety, należy to chyba raczej przypisać tak zwanemu czynnikowi ludzkiemu – odparł. – Naszej własnej głupocie. Trzeba było lepiej zabezpieczyć klapę. Jak mogliśmy tego nie zrobić? Po prostu opadła.

– Bądź tak miły i ją otwórz – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Milczenie. Trochę za długie. Sięgnęła po telefon i włączyła funkcję latarki, żeby móc go widzieć. Jego twarz była bardzo spięta, Mina wolałaby jej takiej nie oglądać.

– Zamek jest skonstruowany w taki sposób, że nie da się go otworzyć od środka – odparł.

– Co? Co to za logika? Przecież to schron. Powinien chronić przed tym, co na zewnątrz. Nie w środku. Dlaczego John Wennhagen miałby zbudować schron bez możliwości wydostania się z niego?

– Po proroku sądu ostatecznego nie należy oczekiwać zwyczajnej logiki – tłumaczył Vincent. – W jego świecie dzień, gdy będą musieli skorzystać ze schronu, i tak będzie końcem wszystkiego.

– Ale to jeszcze bardziej nielogiczne. Po co w ogóle podejmować się budowy schronu, skoro i tak mają umrzeć? Równie dobrze mogli spotkać się ze śmiercią tam na górze?

Vincent usiadł ciężko na rogu sterty materacy. Nie odpowiedział. Widziała, że się zastanawia, więc zostawiła go w spokoju. Zerknęła na telefon. Bez zasięgu. Niczego innego się właściwie nie spodziewała. Weszła po drabinie i podstawiła telefon pod klapę. Bez różnicy. Telefon był bezużyteczny.

– Człowiek z tego typu osobowością jak Wennhagen uważa się często za absolutnie niezbędnego – powiedział, gdy zeszła z drabiny. – I za lepszego od innych. To on zna wszystkie odpowiedzi i on je przekazuje. Jest odpowiedzialny za to... żeby żyć dalej. Sądzę... Przypuszczam, że wyobrażał sobie, że inni umrą. Ale nie on. To miejsce było śmiertelną pułapką. Na pewno przechowywał tu jakiś rodzaj trucizny, żeby pozbawić ich życia. Dokładnie tak, jak o Jonestown i Heaven's Gate opowiadała Beata Ljung. Ja teraz teoretyzuję, ale Wennhagen



mógł planować, że zamknie się tutaj z członkami sekty i powie im, że świata nad ich głowami nie ma. Wówczas jedyną ich możliwością byłoby to, żeby sami zrobili krok, przechodząc na tamtą stronę. Zgodnie z tym, co mawiał: Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza. Z jednym wyjątkiem: jego samego. Bo on miał zamiar przeżyć.

Vincent rozejrzał się w zamyśleniu. Mina zrobiła to samo, świecąc telefonem. Patrzyła na nagie betonowe ściany i czuła coraz większą panikę.

– Niby jak? – spytała. – Tu nie ma wyjścia.

Poziom naładowania komórki wynosił tylko dziewięć procent. A bateria wyczerpywała się szybko przy używaniu latarki.

– Masz przy sobie telefon? Mój ma słabą baterię.

Pokręcił głową.

– Został w aucie.

Wstał. Przeszedł wzdłuż ścian, macając je, kazał sobie poświecić. Jakiś pajak uciekł szybko przed światłem, a Mina omal nie upuściła telefonu. Vincent odwrócił się do niej.

– Dobrze się czujesz?

– Daję radę. Szukaj.

Wyświetlacz wskazywał osiem procent naładowania.

– Wyłącz telefon – powiedział Vincent.

– Przepraszam, że co? – Wpatrzyła się w niego. – Co to, to nie.

– Wiem, że to nieprzyjemne. Jednak mój system sensoryczny i czucie w palcach działają lepiej, kiedy nie zakłócają ich wrażenia wzrokowe. Muszę poczuć otoczenie bez przeszkód ze strony wzroku.

– Lepiej, żebyś znalazł jakieś wyjście – syknęła Mina, wyłączając latarkę drżącymi palcami.

Zapadła absolutna ciemność. Nieprzenikniona. Nigdzie nie przesączała się najmniejsza odrobina światła, nic nie pomagało oczom się przyzwyczaić. To była bezdenna ciemność. Stojąc nieruchomo, Mina słyszała, jak Vincent chodzi po pomieszczeniu.

Zamknęła oczy, chociaż właściwie było to bez różnicy. Czuła się bezpieczniej, mając pod powiekami znajomą ciemność, niż patrząc szeroko otwartymi oczami w nicość.

– Mina, poświeć tutaj.

Był za nią. Drgnęła i się odwróciła. Drżącymi wciąż rękami włączyła latarkę w telefonie i poświeciła nią w stronę, skąd dochodził jego głos. Vincent stał, trzymając obie ręce na ścianie. Pomacał kieszeń i wyciągnął z niej pęk kluczy. Wziął jeden i zaczął nim drapać ścianę. Betonowy pył opadał mu na buty, a Mina patrzyła zafascynowana. Powoli, powoli w betonie ujawniła się prosta rysa.

Vincent przesunął po niej, a następnie przeciągnął klucz horyzontalnie. Po chwili na betonie zobaczyli prostokąt.

Klapę.

– Chyba znalazłem – powiedział spokojnie. – Tajne wyjście Wennhagena.

Nacisnął klapę. Rozległo się kliknięcie, kiedy puściła. Vincent zdjął ją i postawił na ziemi. Minę ścisnęło w gardle, kiedy poświeciła do otworu.

– Mowy nie ma. – Wzdrygnęła się i cofając, potknęła się, po czym upadła na materace.

Natychmiast się zerwała. Jej panika się nasiliła po dotknięciu brudnego, obrzydliwego materaca. Nie pomogła świadomość, że brudny otwór w ścianie obok Vincenta jest ich jedyną drogą ucieczki.

– Nie mogę...

– Mina. Nie starczy nam powietrza. Z każdym oddechem mamy coraz mniej tlenu. W dodatku sama powiedziałaś, że kończy ci się bateria. Nie wolisz mieć ze sobą światła w drodze do wyjścia?

Wciąż patrzyła na czarny otwór w ścianie.

– Co to jest? Jakiś tunel?

Z jednej strony chciałyby podejść i zajrzeć. Z drugiej wolałyby nie zbliżać się nawet na krok do tej zgrozy w ścianie. Widziała i słyszała, jak Vincent się waha przed odpowiedzią.

– Zgaduję, że to stara rura kanalizacyjna – powiedział. – Prawdopodobnie została po domu, który znajdował się tutaj przed budową bunkra.

– Żartujesz.

Aż się cofnęła, chociaż tym razem starannie unikała materacy. Spojrzała na wyświetlacz telefonu. Zostało pięć procent naładowania. Cholera, przecież wiedziała, że powinna dawno temu zmienić go na nowy, z pojemniejszą baterią, a jednak ciągle to odkładała. Zaraz będzie musiała czołgać się przez tę rurę w totalnej ciemności. Albo umrzeć tutaj.

Wybór nie był dla niej równie oczywisty jak dla kogoś innego. Myślała nawet o tym, że woli udusić się, umierając tutaj, niż zdać się na to nieznane czekające w wąskiej rurze.

– Przejdziemy przez to razem – przekonywał Vincent. – Będę z tobą przez cały czas. Chcesz iść pierwsza czy na końcu?

Aż jej w uszach zahuczało od tego pytania. Pierwsza czy na końcu? Dżuma czy cholera?

Oddychaj.

Wiedziała przecież, że Vincent ma rację. I jednak nie chciała umierać.

– Na końcu.

– No to ruszamy – powiedział. – Dasz radę.

– Zanim się rozmyślę – odparła ponuro i podała mu telefon.

Wczołgał się do rury głową naprzód, przesuając się na łokciach i przyświecając telefonem. Mina usiłowała wyobrazić sobie, że jego lniany garnitur ściąga na siebie cały brud, zostawiając dla niej czystą rurę, ale nie bardzo jej się udawało. Smród był straszny. Poczowała skurcz żołądka i odruch wymiotny. Przełknęła kwaśny sok żołądkowy. Nie poprawi to jej sytuacji, jeśli zwymiotuje.

– To nie może być daleko – odezwał się Vincent, jego głos brzmiał głucho. – Siedemset jeden, siedemset dziewięć, siedemset dziewiętnaście...

Nie chciała pytać, co liczy. Niemniej były to same liczby nieparzyste. Czyli niedobrze, jak na Vincenta.

Przesuwała się centymetr po centymetrze, starając się oddychać ustami, żeby nie czuć smrodu odchodów. Wciąż miała w ustach smak wymiocin. Kątem oka zobaczyła warstwy osadzone na rurze i wtedy już nie mogła się powstrzymać. Rzygnęła przed siebie, ochlapując znajdujące się przed nią buty Vincenta.

– O, w porządku? – spytał. Znów ten głuchy pogłos. – Siedemset pięćdziesiąt jeden, siedemset pięćdziesiąt siedem, siedemset sześćdziesiąt jeden.

Plując i parskając, Mina starała się pozbyć wymiocin z ust.

– Przedtem też tu nie pachniało – zauważył. – Siedemset sześćdziesiąt dziewięć, siedemset siedemdziesiąt trzy...

Jego głos zamierał. Z rosnącym przerażeniem uzmysłowiła sobie, że ma na rękach kwas żołądkowy i zwymiotowaną treść żołądka. Obrzydliwą maź, przez którą musiała się przeczołgiwać na łokciach. Tunelem śmierdzącym odchodami.

– Czołgaj się szybciej! – krzyknęła, posuwając się naprzód, podczas gdy fetor kłuł w nozdrza.

Ciepły sok żołądkowy lepił jej się na piersiach. Wypluła kolejne wymiociny i zaczęła oddychać ustami. Nagle wyczuła obok ruch. Krzyknęła, ześlizgnęła się łokciem po tym wszystkim i uderzyła w ramię. W snopie światła zobaczyła pełznącego olbrzymiego pająka. Serce jej o mało nie wyskoczyło z piersi.

– Chyba już niedaleko – powiedział. – Taką mam nadzieję. Osiemset pięćdziesiąt trzy.

Na myśl o tym, że już niedługo, przyspieszyła. Teraz nawet spodnie lepiły jej się do nóg. Najchętniej wyprzedziłaby Vincenta i wyskoczyła na świeże powietrze, ale ciasnota na to nie pozwalała.

Znów krzyknęła, bo coś spadło jej na włosy. Krzyk odbił się od ścian rury i wrócił jeszcze mocniejszy, jak przerażający chór. Coś jej chodziło we włosach, ale nie miała dość miejsca, żeby sięgnąć rękami i to usunąć. Zaczęła ziajać.

– Co się dzieje? Potrzebujesz pomocy?

– Dawaj dalej – wysapała, usiłując zapanować nad swoim oddechem.

Zdała sobie sprawę, że powodem głuchego brzmienia jego głosu była nie tylko akustyka, bo mówił przez zaciśnięte szczęki. Tak się skupiła na sobie, że zapomniała o problemach Vincenta, który nie znosił ciasnych pomieszczeń. Musiał włożyć ogromny wysiłek w to, żeby zachować spokój i jeszcze ją wspierać, chociaż czuł taką samą panikę jak ona. Umocniła ją ta myśl. Skoro on sobie radzi, to ona też będzie.

Latarka telefonu zgasła, w tunelu zrobiło się czarno.

Widocznie bateria w końcu padła.

Minie chciało się płakać, krzyczeć, tłuc rękami. Przez moment zapomniała o oddychaniu przez usta i znów walnął w nią smród. Kwaśno-gorzki fetor rzygów i odchodów. Łzy paliły ją pod powiekami, ale wciąż się posuwała naprzód w totalnej ciemności. Z nadzieją, że on tam gdzieś jest.

– Mina?

Głos Vincenta przedarł się przez ciemność.

– Tak?

– Wydaje mi się, że widzę światło. Tysiąc dwieście dziewięćdziesiąt siedem. Jesteśmy u wylotu. Tysiąc trzysta jeden.

Łzy spłynęły jej po policzkach, tym razem łzy ulgi, chociaż ciągle jej się coś ruszało we włosach. Ruszyła za jego głosem ku wolności.

**NA WIDOK MINY** wypadającej z rury Vincent właściwie chciał ją uściskać. Zdawał sobie jednak sprawę, że to pewnie najgorsze, co by mógł zrobić. Zwłaszcza z powodu ostrego smrodu, jaki roztaczała, i zapaćkanego ubrania klejącego się do ciała. Poza tym chyba nie był w stanie. Tyle go kosztowało to, żeby w ciasnej rurze zapanować nad swoim obsesyjnym lękiem, że teraz zupełnie opadł z sił. Mina z dziką energią szarpała włosy, trzy spore pająki wypadły z nich na ziemię. Vincent za ich przykładem padł na wznak w wysokiej trawie i teraz patrzył w błękitne niebo.

Po ciemnościach w rurze oczy piekły go od światła, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Mógł znów oddychać. Miał powietrze i przestrzeń. Odwrócił głowę. Mina też rzuciła się na ziemię na wznak z rozłożonymi rękami, jakby chciała w trawie zrobić orła. Fakt, że z własnej woli położyła się na ziemi, mówił wiele o tym, co przeszła. Jej mózg został zapewne zalany przyływem adrenaliny, która dzięki pierwotnemu instynktowi przetrwania pozwoliła jej przejść przez rurę, a teraz chroniła ją przed otoczeniem. Ale to się zaraz skończy. Już widział łzy na jej policzkach. Wyłobiły ślady w brudzie. Strasznie śmierdziała, a mimo to wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek.

– Niech to szlag – powiedziała, szcękając zębami.

Pewnie marzyła o tym, żeby zedrzeć z siebie ubranie, ale najwyraźniej, tak jak jemu, nie starczyło jej sił.

– Co to za paskudny, chory facet? – odezwała się w końcu ze wzrokiem utkwionym w błękitnym niebie. – Jeśli jest, jak mówisz, to zamierzał zabić wszystkich ze swego otoczenia, a sam, wymykając się, uratować własną skórę. Jak myślisz, czy chciał zabrać ze sobą Novę? Czy raczej miała też zginąć? Chyba rodzic ma w swojej naturze to, żeby nie porzucać swego dziecka?

Vincent obserwował chmurę, która płynęła powoli po błękitnym nieboskłonie. Zastanawiał się nad odpowiedzią. Domyślał się, że jej pytanie sięga znacznie dalej niż tylko do Johna Wennhagena. Wolał stąpać ostrożnie. Mina nigdy dotąd nie dopuściła do pęknięcia w swojej zbroi, nie okazała też chęci rozmawiania o tym, co zapewne było jej otwartą raną. A więc nie pytał. Nie do niego należała decyzja o tym, kiedy ona to robi.

– Wydaje mi się... – powiedział, przeciągając słowa. – Wydaje mi się, że to nie takie proste, jak się ludziom często wydaje. Według mnie miłość rodzica do swego dziecka ma taką moc jak mało co na świecie. Mogłbym ją wyjaśniać

zarówno naukowo, psychologicznie, jak i ewolucyjnie. Jednak wydaje mi się, że jest tam jeszcze coś, co nie da się wytłumaczyć biologią i przetrwaniem gatunku. Chciałbym nazwać to darem, jednak takie sformułowanie rodzi niepotrzebne pytanie, od kogo w takim razie otrzymaliśmy ten dar.

Tu zrobił przerwę i zawahał się. Poruszał się po samym skraju własnych przekonań o stanie rzeczy. I nie chciał obrazić Miny tym, co zamierzał teraz powiedzieć.

– To jest miłość, która rozciąga się ponad jakimkolwiek oddaleniem – ciągnął.  
– Znasz opowieść o królu Salomonie? Dwie kobiety przychodzą do króla znanego ze swojej mądrości. Obie twierdzą, że są matkami pewnego małego dziecka i żadna nie chce się poddać. Król sięga wtedy po miecz i chce rozciąć dziecko na dwie połowy, by dać je każdej z nich. Jedna z kobiet uważa, że to dobry pomysł, podczas gdy druga woli raczej oddać dziecko, niż żeby miało zginąć. Salomon orzeka wtedy, że ta druga jest prawdziwą matką, ponieważ tylko ona była gotowa dla dobra dziecka poświęcić własne szczęście.

Mina milczała dłuższą chwilę.

– To była najtrudniejsza rzecz w moim życiu – powiedziała w końcu. – Żeby z niej zrezygnować. Ale wiedziałam, że tak będzie najlepiej. W każdym razie myślałam, że wiem. Nie chciałam, żeby dorastając, przeżywała to co ja. Z matką, której nie można zaufać. Która w głowie miała tylko swoje uzależnienie. Nie miałam jej nic do ofiarowania. Nic. Byłam nikim. Skorupą. I nie wierzyłam, że mogłabym kiedykolwiek stać się inna. Nie wierzyłam, że mogłabym jej coś dać.

– Mówisz w tej chwili o Nathalie?

– Tak. O Nathalie.

Zaszlochała i zaraz się opanowała. Przepływała nad nią kolejna chmura. Mina mówiła dalej, głosem cichym, łamiącym się.

– Wiesz, Vincent, on był potwornie urażony tym, że odeszłam od niego, ale przede wszystkim tym, że odeszłam od Nathalie. A więc postawił mi ultimatum. Że jeśli mam zamiar odejść, to już na dobre. Z jej życia i z jego życia. I sądzę... nie, ja wiem, że nie kierował się złymi pobudkami, bo on w ten sposób nie myśli. Wierzył i również teraz wierzy w to, że najlepsza dla Nathalie jest konsekwencja w postępowaniu. Ma swoje powody. Niesie jakiś własny bagaż. Jak my wszyscy. Jednak wiem, że stawiając mi to ultimatum, miał na względzie tylko jej dobro. Jakaś część mnie przyznała mu rację. Przecież postanowiłam odejść. Nathalie miała pięć lat, a ja wybrałam odejście.

Chmura przepłynęła, słońce grzało przyjemnie. Co nie wpłynęło na stłumienie woni bijącej z ubrania Miny. Vincent położył się na boku, żeby móc na nią patrzeć. Jego garnitur był cały w plamach od trawy, które nałożyły się na resztki gówna z tunelu. I również nie pachniał.

– W byciu człowiekiem fajne jest to – powiedział – że wszystko albo prawie wszystko da się zmienić. Nie jesteś dziś tą samą osobą co wtedy. Ani jedna komórka twego ciała nie jest tą samą co wtedy. Twoje myśli też są zupełnie inne. Dziś możesz spotkać się z Nathalie na warunkach, na jakich kiedyś nie mogłaś.

– A jeśli ona nie będzie chciała mnie znać?!

Jej słowa wzleciały ku niebu jak krzyk rozpacz. Vincent chciałby jej dotknąć, zapewnić, że się myli, ale zostawił rękę na trawie. Zresztą Mina była i tak za daleko.

– Nie mówię, że będzie łatwo. Ale masz pierwsze otwarcie. Jej ojciec wpuścił cię przez drzwi. Coś to jednak znaczy.

– Nie można powiedzieć, żeby miał wybór – zauważyła Mina. – Gdyby mógł decydować, to pottrzymałby mnie jeszcze na mrozie.

– Nie mów tak. Ludzie czasem robią to, czego naprawdę chcą, dopiero wtedy, gdy są zmuszeni przez okoliczności.

Nie odpowiedziała. Pojawiła się kolejna chmura i zaczęła ścigać poprzedni biały kłębek.

– Co ty liczyłeś w tej rurze? – spytała po dłuższej chwili.

– Liczby pierwsze. Musiałem uspokajać hipokamp, żeby dać radę.

– Hm.

Znów milczeli przez chwilę.

– Muszę cię o coś spytać – powiedziała. – Chodzi o ten czerwony ślad na szyi, pojawia się co pewien czas. Czy mam się niepokoić?

– Co masz na myśli? Aa, ten. Myślałem, że go nie widać. To z mojego przedstawienia. Ale już nie robię tego numeru.

– Czyli... nie jest to ślad od duszenia podczas seksu?

Trudno, wezbrał w nim wielki, gromki śmiech, który odbił się echem między drzewami. I przyniósł niesłychaną ulgę. Mina się uśmiechała. Vincent musiał otrzeć łzy ze śmiechu, zanim się w końcu uspokoił.

– Czy wiesz, jak powstają atomy? – spytał.

– Atomy?

– Tak, atomy. Powstają w gwiazdach.

– Jak na przykład w Słońcu? – spytała, mrużąc oczy.

Przytaknął i również spojrzął w niebo. Tam daleko są, ponad błękitem. W ciemności.

– Gwiazdy to właściwie fabryki atomów – ciągnął. – W samej ich głębi, gdzie jest najgoręcej, powstają wszystkie cegiełki budujące resztę wszechświata. Atomy, które następnie są wyrzucane do przestrzeni kosmicznej i trafiają choćby tutaj, na ziemię. Wszystko, co widzisz wokół siebie, ludzi i przedmioty, jest zbudowane z atomów pochodzących z tysięcy, a może i milionów gwiazd.

Mina zaczęła ciągnąć za swoją bluzkę. System alarmowy w jej mózgu najwyraźniej uznał, że niebezpieczeństwo minęło, a więc poziom adrenaliny opadł.

– Ta tkanina też – dodał. – I ziemia, na której leżymy. I ty, i ja. Powiedzenie, że pochodzimy z gwiazd, nie jest jakąś romantyczną poezją, tylko czystą nauką. Wszystko to gwiazdne atomy.

Na moment umilkł, nie wiedząc, jak kontynuować.

– A dlaczego rozmawiamy o atomach? – spytała i przestała ciągnąć za bluzkę.

– Bo kiedy jestem z tobą... – Tu urwał.

Przełknął ślinę. Spojrzał jej w oczy. Wielkie czyste oczy, w których było wszystko, czym była ona, Mina. Te oczy, które widziały jego. Musiał odwrócić wzrok. A potem znów spojrzał. Raz kozie śmierć.

– Wiem, jak głupio to brzmi, ale kiedy jestem z tobą, to odnoszę wrażenie, jakbyśmy byli zbudowani z atomów z tej samej gwiazdy. Znajdującej się tak daleko, że ten budulec, który dotarł do ziemi, być może wystarczył tylko dla ciebie i dla mnie. Gwiazdne atomy, których już nikt inny nie dostał. Bo ja... to tak, jakbym...

Co będzie właściwym słowem? Wyczuwam cię? Rozumiem cię? Nie. To za mało.

– Sądzę, Mina, że wiem ciebie. Tu, w środku.

Wskazał palcem na swoją głowę, następnie zmienił zdanie i pokazał na klatkę piersiową.

– Jeśli już, to poza tobą nie wiem nikogo innego. W tym sensie. Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. Ale z tobą po raz pierwszy czuję się... taki sam.

Nie odpowiadając, powoli skinęła głową. Pomyślał, że właśnie chyba zrobił z siebie głupka. Z wysiłkiem wstał.

– Wracamy? – odezwał się.

– Jeśli zaraz nie wyskoczę z tego ubrania, chyba zacznę wrzeszczeć – powiedziała, wyciągając z pewnym trudem kluczyk z kieszeni spodni. – W samochodzie mam nową bieliznę. W każdym razie dla siebie. A dla ciebie mokre chusteczki.

Vincent spojrzał na swój brudny, porwany garnitur. Po powrocie do domu będzie miał się z czego tłumaczyć.



**VINCENT SZEDŁ DO** pokoju przesłuchań. Czwarty raz w jego życiu. Cztery razy więcej, niżby kiedykolwiek przypuszczał. Tym razem Adam poprosił go, żeby przyszedł porozmawiać z jednym z członków sekty. Zaciekawilo go to. W końcu Adam został wyszkolony w sztuce negocjacji, a jednak nic to nie pomogło, gdy współwyznawcy Wennhagena wybrali milczenie.

Adam czekał na niego w wejściu do gmachu komendy. Vincent wolał, kiedy to Mina czekała na niego przy bramkach. Jednak po wczorajszej przygodzie w bunkrze została w domu. Dzwonił do niej, ale nie odebrała. Domyślał się, że spędziła pod prysznicem ostatnich dwanaście godzin.

– Dziękuję ci, że przyszedłeś – powiedział Adam, podając mu rękę. – Słyszałem, co was wczoraj spotkało. Nadal wyglądasz dość mizernie, na pewno dasz radę?

Vincent odpowiedział słabym uśmiechem.

– Wydaje mi się, że teraz akurat będzie to dla mnie najlepsze. Cokolwiek, byle skupić się na czymś innym.

– Rozumiem. Jednak nie miałbym pretensji, gdybyś postanowił nigdy więcej nie postawić tu swojej nogi. Tak czy inaczej, jesteś w tym lepszy ode mnie. I poczułbym ulgę, gdybym przed końcem tygodnia mógł zwalić z siebie tę sprawę.

– Kadzisz, żeby mnie zmiękczyć? Nie podejrzewałem cię o coś takiego – powiedział Vincent, przechodząc przez bramkę.

– Chciałem cię tylko poddać próbie – zaśmiał się Adam. – Jednak autentycznie mam problem. Oni po prostu nie mówią.

Innymi słowy, dokładnie tak, jak przewidział Vincent.

Poszli korytarzem w stronę pokoi przesłuchań.

– A nie możesz po prostu poczekać, aż zmiękną? – spytał.

Adam pokręcił głową.

– Nie możemy ich trzymać nie wiadomo jak długo. A dopóki nie mamy Wennhagena, nie wiemy, czy jest już po sprawie. Być może nie wszystkich złapaliśmy. W związku z uprowadzeniem Lilly widziano starszą parę, kobieta miała być ubrana w płaszcz w kolorze lila, jednak wśród zatrzymanych nie ma takich ludzi. Jedynie pojedynczy starszy mężczyzna. A jeśli coś się wydarzy ponownie w czasie, gdy my będziemy próbowali skłonić ich do mówienia? Pomyślałem, że może wyłapiesz jakieś nieuświadomione przez niego sygnały, kiedy będę go przesłuchiwał.

– Mam lepszy pomysł – powiedział Vincent. – Skoro już trzeba to zrobić. Daj mi porozmawiać z nim sam na sam, tylko zostaw w pomieszczeniu swój telefon, żeby nagrał wszystko, co zostanie powiedziane.

Adam patrzył na Vincenta i chyba się zastanawiał. A potem kiwnął głową i otworzył drzwi do pokoju przesłuchań, takiego samego jak ten, gdzie Vincent rozmawiał z Lenore i z Maurem. Tym razem siedział tam mężczyzna po sześćdziesiątce. Miał falujące siwe włosy, a zmarszczki mimiczne wokół oczu sprawiały, że wyglądał jak ucieleśnienie ulubionego przez wszystkich dziadka. Tyle że przypuszczalnie był współsprawcą morderstw na dzieciach.

Mężczyzna przyglądał im się intensywnie, kiedy weszli. To zachowanie było samo w sobie interesujące, bo Vincent sądził, że spotka się z rezerwą albo wrogością. Myślał też, że po spędzeniu nocy w areszcie zwolennicy Wennhagena będą zmęczeni, może nawet wystraszeni. W końcu nie byli to zawodowi kryminaliści. Jednak ten mężczyzna był... czujny. Bardzo obecny. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto odmawia rozmowy. Chodzi tylko o znalezienie tematu, na jaki będzie skłonny rozmawiać. Vincent miał dość konkretne wyobrażenie, co by to mogło być, zważywszy na żar bijący z oczu tego mężczyzny. Żarliwi wyznawcy bardzo chcą nawracać innych.

Adam zatrzymał się zaraz przy drzwiach, gdzie odłożył coś na półeczkę. Pewnie telefon, pomyślał Vincent i wszedł dalej.

– Cześć – odezwał się. – Na imię mi Vincent, bardzo czekałem na tę możliwość spotkania z tobą.

Tamten nie odpowiedział.

– Nie jestem z policji – ciągnął Vincent, poruszywszy głową w stronę Adama. – A więc to nie jest przesłuchanie. Natomiast interesuję się filozofią moralności, a Epikur jest moim ulubionym filozofem. Dlatego dostałem zgodę na rozmowę z tobą. Mogę usiąść? Nawiasem mówiąc, jestem trochę głodny, może ty też? Zjadłbyś coś? Mam zamiar poprosić o jakieś ciasteczka i kawę albo coś w tym rodzaju. Jeśli ty też będziesz chciał.

Vincent odwrócił się do Adama, jakby składał zamówienie w kawiarni. Im mniej Vincent zachowywał się jak policjant, tym lepiej. W tym momencie potrzebował stworzyć jakąś więź z tym mężczyzną, znaleźć jakiś łącznik między nimi. Udawane niezainteresowanie władzą policji było dobrym początkiem, choćby Adamowi się to nie bardzo podobało.

– Mogą być ciastka – odparł mężczyzna. – A jak już, to i kawa.

Jeden zero.

Vincent zerknął na Adama, który wymknął się z pokoju przesłuchań. Taktyka Vincenta zadziałała. Jednak reakcja mężczyzny informowała o czymś jeszcze. Otóż osoby, które wstydzą się swoich postępów, raczej nie przyjmują darów ani

przysług od innych, bo podświadomie nie uważają, że na nie zasłużyli. Fakt, że ten człowiek chciał ciasteczek, pokazywał, jak mocno trzymają szpony Wennhagena. Tu nie było wstydu. Co również znaczyło, że będzie trudniej interpretować to, czego Vincent – oby – się dowie. Bo zakładał, że mężczyzna żyje w zbudowanym przez Wennhagena świecie wyobrażonym. Takim, który pozwala na beztrioskie uprowadzanie, a nawet mordowanie dzieci.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – powiedział Vincent. – To błyskotliwe dopełnienie Wennhagena czterech podstawowych zasad epikureizmu.

Oczy tamtego załśniły jeszcze mocniej.

– Możesz pomóc mi zrozumieć, co znaczy, że ból oczyszcza? Zważywszy na to, że Epikur mówił raczej, aby unikać bólu.

– Słyszę, że jesteś przygotowany – odpowiedział mężczyzna. – Nie to co tamci. Kiedy, jak wiesz, Epikur mówił, aby unikać bólu, mówił właściwie o cierpieniu. O cierpieniu wynikającym z życia w świecie kuszonym przez to, co przemijające. Tak samo, jak uważają również buddyści. Jednak John Wennhagen rozumiał, że ból – fizyczny albo emocjonalny – przynosi również korzyści, gdy chodzi o perspektywę na świat. Kiedy żyjesz z bólem, zyskujesz ostrość widzenia, która niczym laser odcina to, co niepotrzebne. Ból jest konieczny, aby osiągnąć stan, kiedy go nie będzie. Nawiasem mówiąc, na imię mi Gustav.

Podał rękę, Vincent chwycił ją. Miał ciepły, mocny uścisk. Jak się rzekło, ulubiony dziadek.

– Nie myślałem nigdy w ten sposób – powiedział Vincent. – Czyli to dobrze, jeśli czujemy ból?

– Słyszę, że nigdy nie poczułeś prawdziwego bólu – odparł Gustav.

Vincentowi jak w kalejdoskopie przesunęły się pod powiekami obrazy z przeszłości. Mama w jego skrzyni czarów. Mama, która przez niego umarła. On zamknięty razem z Miną w zbiorniku z wodą, która zalewała mu usta i nos, gdy tonął. Potem Mina. Mina, bez której nie dawał rady. Zacisnął powieki, żeby pozbyć się tych obrazów, a potem pokręcił głową. Żadnego bólu.

– Dopóki nie doświadczysz czegoś, co naprawdę boli, nie zrozumiesz, o czym mówię – ciągnął Gustav. – Ja doznałem odgięciowego urazu kręgosłupa szyjnego. Siedzieliśmy z żoną w samochodzie i ktoś w nas wjechał. Miałem już po tygodniu być zdrow dzięki lekom i rehabilitacji. Od tamtego czasu minęło piętnaście lat. Przy każdym ruchu czuję taki ból, jakby mi wbijali noże w plecy. Palce mi drętwieją. Mam zawroty głowy. A żona przeszła pięć operacji biodra i jest tylko coraz gorzej. Proszę mnie nie zrozumieć źle. Nie skarżę się. Ból pomaga nam dokonywać właściwych wyborów. Zyskaliśmy inną perspektywę na życie.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. A więc najbliższy krąg ludzi wokół Johna to ludzie, którzy rozumieją, jak ból może oczyszczać, bo sami żyją z bólem,

tak?

Gustav przytaknął.

– Dokładnie tak. My jako jedyni mamy zdolność widzenia świata takim, jaki jest.

Vincent nie odważył się odwrócić, żeby spojrzeć na telefon Adama na półeczce. Pozostawało mieć nadzieję, że wciąż nagrywa.

– A gdzie jest teraz twoja żona? – spytał.

Gustav zacisnął usta. Cholera. Za bardzo to pytanie przypominało przesłuchanie. Trzeba zrobić krok wstecz.

– Miałem na myśli, czy z nią wszystko w porządku – dodał, a Gustav wtedy jakby się trochę rozluźnił. – Czyli co chcieliście dawać tym dzieciom? Ból?

Mężczyzna zmarszczył czoło. Zniknął ulubiony dziadek.

– Nic nie rozumiałeś – powiedział. – Dlaczego mielibyśmy chcieć czegoś takiego? Chyba nikt nie chce krzywdy dziecka. Na pewno nie jesteś policjantem?

– Przepraszam, ale nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób Wennhagen mógł motywować zabijanie dzieci.

Wiedział, że to niezręczne, ale musiał do tego przejść. Był bliski tego, żeby powiedzieć „zmotywować ciebie do zabijania dzieci”, ale w ostatniej chwili wyraził się bardziej neutralnie. Przede wszystkim nie chciał, żeby Gustav poczuł się zamieszany w to osobiście, choćby rzeczywiście był. Szansa otrzymania następnych odpowiedzi była większa, gdyby pozwolił Gustavowi trwać przy swoim postrzeganiu.

– My nikogo nie zabijamy – fuknął Gustav. – To stanowczo zbyt wąskie spojrzenie na nas. Dzięki naszej gwiazdzie przewodniej oszczędzamy dzieciom cierpienia, które przyniesie im życie na tej ziemi. Wprowadzamy je tylko w następny wymiar. Bez cierpienia. Nasze poświęcenie polega na tym, żeby pozostając tutaj, pomóc innym się wyzwolić.

– Ile dzieci chcecie jeszcze „wyzwolić”, zanim z tym skończycie? I dlaczego akurat te dzieci?

Gustav zmrużył oczy i skrzyżował mocno ramiona na piersi.

– Myślałem, że jesteś wtajemniczony – powiedział. – Że rozumiesz cokolwiek na temat cierpienia i bólu. Ale najwyraźniej słowa Johna jeszcze cię nie obudziły. Skończyliśmy. Nie chcę twojej kawy.

**MINA PRZETARŁA** szmatką zaparowane lustro i spojrzała na swoje odbicie. Woda kapiała jej z włosów i z nosa. Przyjrzała się cerze i zębom, czy znajdzie coś, czego tam być nie powinno. Chociaż wiedziała, że to niemożliwe.

W czwartek zaraz po powrocie do domu weszła pod prysznic. Wyszorowała szczotką całe ciało co do centymetra. Szczególnie starannie czyściła paznokcie, przestrzeń między palcami stóp, wszystkie miejsca, gdzie coś się mogło przyczepić. Stojąc pod prysznicem, czterokrotnie wyszczotkowała zęby i zużyła litr Dentoluxa, płynu do płukania ust. Nie pomogło. Najchętniej przemyłaby usta i gardło Klorinem.

Stuliła dłoń przed ustami, żeby powąchać własny oddech. Ciągłe wydawało jej się, że śmierdzi.

Jednak było coraz lepiej. W czwartek stała przez trzy godziny pod prysznicem, maksymalnie gorącym, aż skóra jej szzerwieniała i piekła potwornie. Następnie wyszorowała całe mieszkanie szczotką do mycia naczyń i szarym mydłem. Wliczając w to ściany. Potem znów wzięła prysznic, pod którym stała godzinę. Wczoraj także brała prysznic kilka razy, ale dziś stała pod nim tylko pół godziny. Woda była równie gorąca jak przedtem, ale jej skóra nie była już tak samo czerwona.

Teraz, po czasie, nie mieściło jej się w głowie, że mogła razem z Vincentem leżeć tam w wysokiej trawie. Jakby jej mózg został tak przeciążony doświadczeniem przeciskania się przez obrzydliwą rurę kanalizacyjną i na kilka minut wyłączył lęk, żeby mogła to przeżyć. Albo też była silniejsza, niż sądzi.

Jednak uczucie wstrętu wróciło, zanim jeszcze doszli do samochodu. Zdarła z siebie bluzkę, spodnie, buty i skarpetki, zostawiając je na ziemi. Z torby w aucie szybko wyciągnęła nową koszulkę. Najchętniej zmieniłaby i majtki.

Potem dostała ataku dreszczy, nie mogła opanować dygotu, więc Vincent musiał prowadzić. A ona siedziała obok i trzęsła się w samej koszulce i majtkach. Jak w jakimś maczystowskim kryminale o silnym i zaradnym facecie, który zapewnia bezpieczeństwo kruchej kobiecie. Na wszelki wypadek na wpół gołej. Jak w filmie Briana De Palmy. Nie cierpiała takich sytuacji. I tego, że okazała słabość.

Vincent na szczęście nie usiłował być macho, tylko przez całą drogę rozprawiał na temat systemu nerwowego ludzkiego ciała. Tłumaczył, że zarówno dygot, jak i niewytłumaczalne ataki płaczu, a nawet poczucie winy to fizyczne

i psychologiczne reakcje, z którymi muszą się liczyć oboje. W końcu przeżyli traumę.

A potem dopilnował, by mogła przebiec z samochodu do mieszkania tak, żeby nikt jej nie widział.

Pomyślała o Nathalie i nagle zaszlochała. No właśnie, ataki płaczu. Opowiedziała Vincentowi o swoim niewybaczalnym postępku. Swoim największym grzechu. O tym, jak pozwoliła, by jej uzależnienie zniszczyło ich rodzinę, i postanowiła ich zostawić. Zostawić Nathalie. Własne dziecko. Zrobiła to, czego żadnej matce nie wolno zrobić. I co na to odpowiedział Vincent? Gadał jej o atomach.

Znów spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej włosy wyglądały jak wronie gniazdo. Chcąc się upewnić, że naprawdę pozbyła się z nich wszystkiego, użyła płynu do zmywania naczyń zamiast szamponu. Albo tak, albo ponownie ściąć.

Nie poczuł do niej obrzydzenia. Nawet oburzenia tym, z czego się zwierzyła. Zamiast tego powiedział, że... Jak on to ujął? Że ją wie.

Cholerny Vincent.

**TO BYŁ GŁUPI** pomysł. Wręcz idiotyczny. W dodatku spocił się. Christer sięgnął do kieszeni po chustkę i otarł czoło. Idący obok Bosse sapał, ale wydawał się nastawiony do spaceru znacznie pozytywniej od swego pana. Djurgården wyglądał rzecz jasna tak samo pięknie jak zwykle, ale Christer jakoś nie potrafił tego docenić. W oddali ukazał się biały budynek z dachem pokrytym pomarańczowymi ceramicznymi dachówkami i otaczającym go bujnym ogrodem.

Minął tydzień, od kiedy tu był ostatnio. Zeszłej soboty jego wizyta w restauracji Ulla Winbladh skończyła się katastrofą. Tak się dobrze zaczęła. W końcu odważył się powiedzieć Lassemu, kierownikowi sali, że się znają. Ale zaraz potem dostał ataku paniki, udał, że musi odebrać pilny telefon, i potykając się, pospiesznie wyszedł.

Teraz wrócił. Równie dobrze mógłby rzucić się w przepaść. W cichości ducha modlił się do nieokreślonego bóstwa, żeby Lasse przynajmniej nie skojarzył, kim był. Żeby mógł zacząć wszystko od nowa. Niechby go teraz matka zobaczyła. Miałaby niejedno do powiedzenia.

Bosse rozpoznał restaurację i pobiegł do stojaka na rowery, gdzie czekał poprzednim razem. Christer zgadywał, że szuka miski z wodą.

Mądre psisko ten Bosse.

– Czekał tu – powiedział, tarmosząc mu lekko sierść. – Nie idę na długo.

Wszedł do restauracji, zastanawiając się, co powinien powiedzieć. Właściwie powinien to przemyśleć wcześniej. Jednak Lasse dostrzegł go prawie od razu i uniemożliwił jakiegokolwiek planowanie.

– Aha – powiedział krótko. – Więc to ty.

Jego głos był zupełnie pozbawiony emocji. Christer patrzył w ziemię. Poszło jeszcze gorzej niż w jego najgorszym scenariuszu.

– No więc chciałem cię przeprosić – odchrząknął. – Za ten poprzedni raz. Ja... Głupio się zachowałem. Prawdę mówiąc, nie dostałem żadnego telefonu. Zresztą pewnie się domyśliłeś. Nie chciałem robić sceny.

– Rzeczywiście, powinieneś przeprosić – odparł Lasse.

Christer ze zdziwieniem podniósł na niego wzrok.

– Kiedy uciekłeś, nagle stało się dla mnie oczywiste, kim jesteś. Ta sama reakcja ucieczkowa co wtedy. Długo czekałem, aż mnie przeprosisz za to, co się stało trzydzieści pięć lat temu. Liczyłem na ciebie, a ty mnie kompletnie zawiodłeś. Muszę ci powiedzieć, że długo nie mogłem się z tym uporać. Dopiero

z czasem zrozumiałem, że te przeprosiny nie nastąpią. A więc przeszedłem nad tym do porządku.

Rozmowa przybrała kierunek, jakiego Christer się nie spodziewał. Wyobraził sobie, że przeprosi, potem pośmieją się z jego głupiego zachowania, wtedy on ujawni, kim jest, Lasse się ucieszy i sięgną do miłych wspomnień. Jednak ta myśl wydawała się coraz bardziej nierealna. Ponownie otarł czoło chustką.

– Co się wydarzyło... O co ci chodzi? – spytał. – Naprawdę nie wiem, co... Przeszedłem tylko dlatego, że naprawdę chciałem...

Szukał słów.

– Słuchaj... – powiedział w końcu. – Moglibyśmy gdzieś spokojnie porozmawiać, kiedy nie będziesz w pracy?

Lasse spojrzał w głąb restauracji zapełniającej się gośćmi, którzy przyszli na lunch. Kilkoro niecierpliwiło się, oczekując wskazania im stolika.

– Chyba nie ma potrzeby – powiedział i machnął gościom, że już idzie.

– Proszę.

Na twarzy Lassego pojawiła się przykrość. Potem spojrzał Christerowi w oczy.

– Dobra – odparł. – W przyszłą sobotę. Będę wolny. W południe w Vasaparken. Koło kawiarni. Nie spóźnij się.

Christer poczuł motylka w swoim sporym brzuchu. Matka by się zgorszyła. Patrzył za Lasse, który poszedł zająć się gośćmi. Następnie Christer wyszedł do Bossego i ruszył spacerem z powrotem do miasta. I przez całą drogę towarzyszył mu tamten motylek.



**VINCENT ROZŁOŻYŁ** na kuchennym stole dodatki do niedzielnego wydania „Dagens Nyheter”. Był jeszcze w szlafroku i nie potrafił się skupić na tytułach. Przez cały weekend był kompletnie bez energii. Ciągle wracał w myślach do tego, jak wraz z Miną czołgali się przez rurę. Nie wiedział, czy z niej wyjdą, i jedyny sposób, aby nie wpaść w panikę w tamtych ciemnościach, polegał na tym, by zdusić własne emocje bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Wyłączył tę część mózgu i stał się robotem. Jednak potem te emocje wróciły, w dodatku wszystkie naraz.

Nie wpadł w dygot, jak Mina. Natomiast wróciła świadomość, że naprawdę mogli umrzeć w tej rurze kanalizacyjnej. Nie mógł pozbyć się wyobrażenia, że nagle uderza głową w koniec rury i oboje tkwią zamknięci pod ziemią. Za każdym razem, gdy to sobie wyobraził, wybuchał nieopanowanym płaczem. Dotąd, na szczęście, udało się tego uniknąć w obecności jego najbliższych.

Domyślał się, że jego wyczerpanie jest mechanizmem obronnym. Że jego ciało dawkuje traumę w takim tempie, które jest dla niego do przyjęcia. W piątek poszło mu na tyle dobrze, żeby pojechać do komendy i odbyć rozmowę z Gustavem, ale potem dopadło go wielkie zmęczenie. Teraz próbował pomóc swemu ciału w radzeniu sobie z traumą, pobudzając racjonalne myślenie. Przynajmniej do pewnego stopnia. Podmuchał na kawę. Stara maszynka do parzenia wróciła do łask i kawa była taka gorąca, jak ją zapamiętał.

Na początek byłoby dobrze przejrzeć wszystko, co ustalili w ciągu ostatnich tygodni. Po pierwsze, czworo zamordowanych dzieci. Ich ciała rozmieszczone przez starego przywódcę sekty i szachistę Johna Wennhagena zgodnie ze schematem *Knight's tour*, klasycznego problemu szachowego. Dzieci zamordowane po to, aby, jak ujawnił w areszcie Gustav, oszczędzić im ziemskich cierpień.

*Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza.*

Filozofia życiowa, którą John Wennhagen zakodował, wpisując zarówno do deklaracji programowej Epicury, jak i do swego problemu szachowego. Tym samym zatoczył jakieś koło, jak przypuszczał Vincent. Wzdrygnął się. To chore. Nawet jak dla niego, lubiącego najróżniejsze schematy. Są jednak granice.

Rozejrzał się po kuchni, szukając jakiejś drogi powrotu do normalności. Aston poszedł na rower, zanim zrobi się za gorąco, a Benjamin w swoim pokoju grzebał przy akcjach. Jednak Rebecka została po śniadaniu i siedziała, czytając przy stole poranną gazetę. Uwielbiał to, że dzieci nie miały nic przeciwko temu, by od czasu

do czasu poczytać papierową gazetę, i cieszył się szelestem stron przewracanych przez Rebeckę. Oczywiście udawał, że tego nie widzi, bo pewnie czytałaby gazetę ostatni raz. Ich wzajemna relacja nie należała obecnie do najłatwiejszych.

*Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza.*

Obrzydliwość. A policji wciąż nie udało się schwycić Wennhagena. Nadal był gdzieś tam na wolnej stopie. I mógł w każdej chwili zacząć wszystko od początku.

Jeszcze nie było szach-mat.

Maria tkwiła w garażu, sortując kolejne zamówienia na ceramiczne figurki i ręcznie malowane drewniane szyldy. Jej biznes kręcił się tak dobrze, że już nie mieściła się ze wszystkim w salonie. Najwyraźniej Maria i Kevin zrozumieli coś o swoich bliźnich, czego Vincent nigdy nie zrozumie.

Kevin.

Od pewnego czasu biznesowy trener Marii jakby się nie odzywał. A przynajmniej Vincent tego nie zauważył. Natomiast Maria często siedziała nad swoją komórką z przyklejonym na stałe uśmiechem na ustach. Jeśli w ogóle była w domu.

Zobaczył, że jej telefon leży na stole, podniósł go i odwrócił. Nie powiedział Marii o tym, co dwa lata temu przydarzyło mu się z Ulriką. Może nie powinno się mówić wszystkiego. Może dotyczy to i jego, i Marii.

W myślach wrócił do Johna Wennhagena. Ten człowiek wydaje się robić wszystko z matematyczną precyzją. I wyraźnie uwielbia udowadniać, jaki jest sprytny. Może uda się zgadnąć, gdzie się ukrył, cofając się w jego historii?

Należałoby również rozgryźć, dlaczego Wennhagen dokonał tych ohydnych czynów. Dlaczego zamordował czworo niewinnych dzieci. Vincent nie potrafił pojąć, co może do czegoś takiego pchnąć człowieka, który przynajmniej wcześniej wydawał się funkcjonować w pełni normalnie. Musi za tym stać jakaś wręcz fanatyczna wiara albo oślepiająca nienawiść.

Wiara, której prawdopodobnie nie powstrzyma to, że o mało nie został schwytany. W przyszłości Wennhagen raczej okaże większą ostrożność.

Vincent napił się trochę kawy i spojrzał na trzymany w ręce telefon. Maria nienawidziła wszystkiego, co związane z techniką, i nie chciało jej się nauczyć odblokowywania telefonu za pomocą rozpoznawania twarzy. Z czystej ciekawości zastanawiał się, jakiego kodu PIN używała. Najprawdopodobniej jakiegoś łatwego. Najczęściej używane na świecie czterocyfrowe kody PIN to 1234, 1111 i 0000. Że też ludziom nie wstyd. Maria pewnie się bardziej postarała, choćby po to, żeby uniknąć jego uszczypliwych komentarzy. Jednak na pewno nie postarała się bardziej niż na tyle, żeby był łatwy do zapamiętania. Nacisnął 1. Następnie spróbował 00. I jeszcze 4, bo czwórka znajduje się zaraz pod jedyką.

Telefon się odblokował.

W tym samym momencie pojawiła się informacja o nowym esemesie od Kevina. Kciuk Vincenta zawisł nad odpowiednią ikonką. Jeden ruch i uzyska dostęp do całej korespondencji żony z Kevinem. Gdyby zechciał, mógłby jeszcze przewinąć zarówno Messengera, jak i WhatsAppa, zanim Maria wróci.

Jednak. Jednak, jednak. Kiedyś prosił ją, aby uwierzyła mu na słowo, gdy chodziło o Minę. Co z niego będzie za człowiek, jeśli on z kolei nie zaufa słowu swojej żony?

– Co ty robisz z telefonem Marii? – spytała Rebecka, podnosząc wzrok znad gazety.

– Nic – powiedział, odkładając go na stół. – Absolutnie nic.

Nigdy nie zadał Marii pytania wprost o Kevina. Może dał coś do zrozumienia. Może insynuował. A ona miała pełne prawo to zignorować. Jednak jeśli Vincent zdecyduje się postawić to pytanie, to musi wierzyć, że żona powie prawdę. Każda inna możliwość byłaby druzgocąca dla ich związku.

Maria jakby czytała mu w myślach, bo właśnie wróciła z garażu, niosąc w objęciach karton. Rzuciła mu spojrzenie trudne do zinterpretowania.

– Co takiego? – odezwała się. – Wyglądasz, jakbyś się nad czymś zastanawiał. Otworzył usta i zaraz zamknął.

– Nie, wcale nie – odrzekł. – Jednak wydaje mi się, że powinnaś mieć jakiś lepszy kod PIN do telefonu.

**PO ZABRANIU** pieniędzy z mieszkania taty w zeszły piątek Nathalie znów przebywała w ośrodku szkoleniowym Epicury. Nie wrócili już do gospodarstwa, w którym mieszkała ostatnio, tylko została przez Ines zabrana do Novy. Z początku czuła się zawiedziona, bo przyczyniła się do remontu stajen i zaczęła się tam czuć jak w domu. Ośrodek szkoleniowy był jednak prawdziwym luksusem w porównaniu z tamtym gospodarstwem, więc nie narzekała. Przebywanie tutaj odbierała jako nagrodę. I im więcej o tym myślała, tym jaśniej zdawała sobie sprawę, że chyba właśnie tak jest. Jednak udowodniła, że jest jedną z nich.

Wróciwszy wieczorem po umyciu zębów, zastała na swoim łóżku białą kupkę materiału, a na nim kartkę.

*Przebierz się i przyjdź do mnie do auli  
/babcia*

Rozwinęła materiał. Była to długa koszula podobna do tej, w której kiedyś widziała Ines. Może to koszula nocna? Było już dość późno. Jednak wydała jej się... jakaś ładniejsza. Zdjęła spodnie i koszulkę, następnie wciągnęła koszulę przez głowę. Czuła się czysta. Ważna. Jakby miało się wydarzyć coś wielkiego.

Nie miała pewności, gdzie leży aula, potrzebowała zatem kilku minut, żeby znaleźć właściwą drogę przez cały ośrodek. W końcu jednak dotarła do dużego białego pomieszczenia.

Ines stała na środku obok sterty materaców i koców. Za nią w półkolu stało około dziesięciu osób. Nathalie rozpoznała kilkoro z nich, ale w większości były to dla niej zupełnie nowe twarze. Nie zobaczyła nikogo ze swoich przyjaciół z gospodarstwa. Nikogo, kto miałby bandaż na dłoniach.

– Witaj, Nathalie! – zawołała uroczyście Ines, rozkładając ramiona. – Dziś jest szczególny dzień. Jesteś już jedną z nas i pora zrzucić skórę. To dzień, gdy opuścisz martwą skorupę swego dawnego pustego życia i wkroczysz w nowe życie, pełne i barwne. Kiedyś będziesz go postrzegać jako dzień, gdy urodziłaś się naprawdę.

Nathalie nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć, ale zabrzmiało poważnie. Na skraju jej pola widzenia tańczyły gwiazdy, często tak miała ostatnio, a babcia

aż się mieniła.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho. – Bardzo chciałabym być taka barwna jak ty.

Ines uśmiechnęła się szeroko, wzięła ją za rękę i zaprowadziła do sterty materaców. Usiadły.

– Słyszałaś wiele razy, jak cytowałam naszego wielkiego przywódcę Johna Wennhagena. Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza. Ale nie wyjaśniłam ci do końca, co to znaczy. Pierwsza część tej sentencji jest wzięta z buddyzmu. Kiedy oni mówią, że wszystko jest cierpieniem, mają na myśli, że cierpimy niepotrzebnie z powodu naszych pragnień i życzeń. Chcemy kupować rzeczy, na które nas nie stać. Wydaje nam się, że będziemy szczęśliwsi, gdy przeprowadzimy się do większych i ładniejszych domów. Inni ludzie z Instagrama prowadzą fajniejsze życie od nas. Każde nierealistyczne marzenie, każda rzecz, której pragniemy, a nie jest nam potrzebna, wszystko to rodzi cierpienie. Buddyści mówią, że aby pozbyć się cierpienia, trzeba pozbyć się pragnień. Nadążasz za mną?

Nathalie przytaknęła. Przypominało to wykład Novy. Chyba była kiedyś na jednym? Wydawało się, jakby od tamtej pory minęły wieki.

– U nas robimy to, otwierając nową perspektywę – ciągnęła babcia. – Albo, jak mówi John, ból oczyszcza. Kiedyś już doświadczyłaś, co to znaczy. Jak myślisz, co było dotąd twoim najboleśniejszym przeżyciem?

Co miała powiedzieć? Kiedyś powiedziałaaby może, że to, kiedy ochroniarze taty postraszyli chłopaka, który jej się podobał. Albo jak jeżdżąc na desce, złamała nogę. Albo kiedy zrozumiała, co to znaczy, że jej mama nie żyje. Ale teraz? Wzruszyła ramionami.

– To było wtedy, kiedy się rodziłaś – powiedziała Ines. – Wcześniej w twoim życiu nie istniało coś takiego jak ból. Było ci ciepło, byłaś bezpieczna i zaopiekowana, niczego innego nie znałaś. I nagle, ni stąd, ni zowąd musiałaś godzinami przebijać się przez ciasny kanał, naciskana ze wszystkich stron, aby w końcu wydostać się na świat pełen światła, chłodu i nieznanych zapachów, gdzie już nie słyszałaś bicia serca mamy. Coś okropnego. I nie mogłaś tego z niczym porównać, żeby zrozumieć, co przeżyłaś. Nic nie może się równać z tym pierwszym bólem. A więc to, co tu robimy, to przywrócenie tego wspomnienia. Po to, żebyś zrozumiała, kim jesteś naprawdę. Ty, Nathalie, urodzisz się ponownie. Poproszę cię teraz, żebyś się rozebrała.

**MARIA SIEDZIAŁA** na podłodze w salonie i zajmowała się pakowaniem figurek ceramicznych. Vincent nie miał pojęcia, jak to się stało, że weekend prawie minął, przez dwa dni snuł się jak we mgle, nie robiąc nic szczególnego. Była niedziela, w pół do jedenastej wieczorem, zapadający zmierzch nadawał figurkom lekko tajemniczy charakter. W złotych promieniach wieczornego słońca nawet nie wyglądały tak źle. Vincent spojrzał na żonę. Kąciki jej ust były uniesione w lekkim uśmiechu i miała zaróżowione policzki. I chyba sobie coś nuciła.

– *Moja miłość zapłonie jasno niczym gwiazda na niebie* – zaśpiewała cicho.

Poczuł, że musi spytać, gdzie się podziała jego żona i kto właściwie siedzi tu na podłodze. Niestety, było rzeczą dość oczywistą, kto zna odpowiedź. Minie powiedział, że nie chce wiedzieć, ale to już nie była prawda.

– Kochanie – odezwał się. – Powinniśmy porozmawiać. O Kevinie.

– Ale z ciebie maruda – odpowiedziała, zamykając gustowne pudełko w kolorze rózu i limonki.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– A może zamiast tego porozmawiamy o tej całej Minie? Wydaje mi się, że to znacznie ważniejsze.

– Mogłabyś sobie odpuścić – powiedział, rozkładając ręce. – Przypomnij sobie, co mówił terapeuta. To się dzieje tylko w twojej głowie. A oskarżanie mnie tego nie zmieni. W dalszym ciągu chcę porozmawiać o Kevinie.

– No cóż, łatwiej mieć do czynienia z nim niż z tobą – mruknęła Maria.

Tok myśli Vincenta przerwał widok Benjamina. Syn trzymał iPada, zapewne z ostatnimi danymi z giełdy, i miał mocno pomarszczone czoło. Widać któraś z jego inwestycji nie dała takiego wyniku, jakiego oczekiwał.

– Tato, masz sekundę?

Maria zacisnęła usta i ostentacyjnie zabrała się do pakowania kolejnej figurki.

– Czy to może chwilę poczekać? Rozmawiamy z Marią o Ke... o jej przedsięwzięciu.

Jednak coś w mowie ciała syna kazało mu zareagować. Cokolwiek to było, najwyraźniej nie mogło czekać. Benjamin odwrócił iPada w stronę Vincenta. Nie miał na ekranie notowań z giełdy, tylko otwartą stronę Epicury.

Vincent rzucił spojrzenie w stronę pokoju syna, potem w niemym pytaniu uniósł brwi i dwa palce. Dwie minuty. Potrzebuje dwóch minut. Benjamin kiwnął głową i poszedł do swego pokoju.

– Maria – odezwał się Vincent. – Niezależnie od tego, co się stanie, to chciałbym, żebyś wiedziała jedną rzecz. Możesz spojrzeć na mnie, kiedy do ciebie mówię?

Maria podniosła wzrok znad pudła. Jej oczy były pełne wyrzutów i złości, ale również łez i smutku.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa – ciągnął. – Przykro mi, jeśli za dużo pytam, ale to dlatego, że chcę zrozumieć. A ważne jest tylko jedno, żebyś była... jeśli nie szczęśliwa, to przynajmniej, żeby ci było dobrze. Nic innego nie jest ważne. Okej?

Maria długo patrzyła na niego. A potem powoli przytaknęła.

– To fajnie – stwierdził. – To teraz idę, żeby побыć tatą dwudziestojednolatka.

Wszedł do pokoju Benjamina i zamknął drzwi za sobą. Benjamin siedział przy biurku, wpatrując się w swojego iPada.

– Co jest takie pilne? – spytał Vincent, siadając na łóżku, które okazało się posłane.

Nie tyle jak zwykle, z narzutą przykrywającą wszystko, co mogło się tam znajdować, ile posłane naprawdę. Vincent już chciał spytać, czy ma się martwić, gdy nagle dostrzegł, że syn jest bardzo blady.

– Sam nie wiem – odparł Benjamin, wskazując na ekran. – To tylko... przecucie. Całymi dniami poruszam się wśród liczb i statystyk giełdowych. Ważę ryzyka i prawdopodobieństwa, a potem podejmuję decyzje o inwestycjach, nie mając wszystkich niezbędnych danych. Na początku czytałem mnóstwo książek. Jak mówi David Tennant w *Doctor Who*, książki są najlepszą bronią na świecie.

– Nie wiedziałem, że oglądasz ten serial.

Benjamin spojrzał na niego.

– Jestem twoim synem. Dlaczego, do licha, miałbym tego nie oglądać? A David Tennant jest najlepszym aktorem, jaki występował w tym serialu, o czym ty również wiesz. Jednak nie o tym chciałem mówić. Co to ja... właśnie. Moje decyzje inwestycyjne. Otóż często działam na podstawie intuicji. Liczę, że moja podświadomość wyłapała schematy, których nie zdążyła przekazać świadomości, ale zamiast tego daje mi przecucie, co jest właściwe.

Vincent się uśmiechnął. Benjamin stawał się z każdym dniem coraz bardziej podobny do niego. Nie żeby życzył tego swemu synowi. Skądże. Ale nie mógł nie odczuwać dumy ze zdolności analitycznych Benjamina.

– Właśnie tak to działa – odrzekł. – Podświadomość można wyćwiczyć do podejmowania złożonych decyzji, i to szybszych, niż gdyby się człowiek miał namyślać. Oczywiście pod warunkiem że regularnie znajdujemy się w takiej sytuacji i otrzymujemy natychmiast informację zwrotną, czy decyzja była właściwa, czy nie. Niestety właśnie na giełdzie liczba zmiennych jest tak duża, że

większość rzekomo dostrzeganych przez nas schematów to właściwie złudzenia. Podejrzewam jednak, że nie po to mnie zawołałeś, by ze mną rozmawiać o swoich inwestycjach w akcje.

Benjamin pokręcił głową i pokazał na ekran ze stroną Epicury.

– Próbuję ci powiedzieć, że to, co znaleźliśmy, nie wydaje mi się tym, o co chodzi. Wszystko niby się zgadza. Ty odkryłeś, że pięć morderstw jest zgodnych z pozycjami skoczka na szachownicy. Te same pozycje zaprowadziły nas do pięciu słów i ukrytego w nich przesłania od ojca Novy. Który jest dawnym mistrzem szachowym. Wszystko pasuje. A jednak... przecucie nie pozwoliłoby mi zainwestować w to na giełdzie.

– Ale w takim razie nie wiem... – Vincent urwał.

Uzmysłowił sobie, co powiedział Benjamin, i aż mu się zimno zrobiło, gdy zrozumiał, jaki popełnił błąd. Pięć morderstw. Pięć słów. Ich wniosek nie był fałszywy, ale za wcześnie na nim poprzestali. To nie miało być pięć.

Vincent przekonał ich do szukania niewłaściwego mordercy.



**NIE MOGŁA ODDYCHAĆ.** Nacisk ze wszystkich stron był za silny, nie sposób było stawić mu opór. Nie mogła ruszyć rękami ani nogami, ani nawet zorientować się, gdzie góra, a gdzie dół. Wiedziała tylko jedno, że jest ciemno i kończy jej się tlen.

Najpierw Ines zawinęła ją w jakieś koce. Nathalie poczuła się jak gołąbek w kapuście. Wtedy jeszcze chichotała, wydawało jej się to trochę śmieszne. Następnie babcia powiedziała jej, żeby się położyła na stercie trzech materaców. Pozostałe miały być ułożone na niej w taki sposób, żeby znalazła się między materacami. Jak ludzki hamburger, pomyślała. Albo hot dog.

Ona musiała tylko wyczołgać się potem spomiędzy materaców i koców, co miało symbolizować jej powtórne narodziny. Nie bardzo rozumiała, jaki w tym jest sens, ale nie miała siły się sprzeciwić.

Ines nie powiedziała jej jednego, otóż że kiedy Nathalie znajdzie się między materacami, wszystkie pozostałe osoby w pomieszczeniu położą się na tej stercie. Nagle ścisnęły ją między materacami ciała dziesięciu dorosłych osób.

Stało się to szybko i niemal wycisnęło z niej powietrze. Uczucie zmęczenia i zawroty głowy znikły nagle jak kamfora, zamiast tego całe jej ciało wypełniła adrenalina. Ciężar został częściowo rozłożony przez materace, a mimo to miała wrażenie, że zaraz zostanie zgnieciona na śmierć. Naprawdę.

Zdała sobie sprawę, że może się udusić. Nie miała dość powietrza, żeby krzyczeć, zresztą kto by ją usłyszał? Cokolwiek się zdarzy, nie wolno jej stracić przytomności.

Gdyby chociaż mogła uwolnić ręce i wykopać sobie drogę wyjścia, ale koce, w które została zawinięta, uniemożliwiały każdy ruch tego rodzaju. Światło zniknęło, kiedy została ściśnięta materacami, więc również nic nie widziała.

Chwilami nie wiedziała, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna koc. Mogła tylko jedno: kręcić ciałem w tę i z powrotem w nadziei, że to wystarczy, by z każdym ruchem wysunąć się o kilka milimetrów. W każdym razie wydawało jej się, że kręci ciałem, ale pewności nie miała.

Ines powiedziała przedtem, że leżąc między materacami, uświadomi sobie, kim jest. Jednak w tym momencie Nathalie była samą emocją. Konkretnie myśli znikły od gorąca i ciemności. A tą emocją była panika. Ale również... rezygnacja.

Adrenaliny nie starczyło na tyle, ile trzeba.

Nathalie miała za mało energii.

I żadnego powietrza.

Wdychała to samo powietrze, które wydychała. Pod warunkiem że w ogóle oddychała, bo miała płuca ściśnięte od ciężaru. Była bliska zapadnięcia w sen, który zabrałby ją stamtąd, sprawiając, że odprężyłaby się. Poddawała. Może i dobrze. Chyba zazwyczaj się poddawała, nie? Gdy chodziło o szkołę czy kolegów, to nie ona podejmowała inicjatywę. Podążała tylko za głównym nurtem. Bo po co walczyć? Życie i tak jest trudne. Więc może nie szkodzi, jeśli teraz też się podda? Czy jest właśnie taką osobą?

Sama nie wiedziała.

A jednak poczuła, że nie do końca.

Bo przecież ona jest... jest Nathalie. Nathalie, która mieszka na Östermalmie ze swoim tatą, pochodzi ze stukniętej rodziny, ale zamierza zostać policjantką, kiedy dorośnie. Nathalie, której pilnowali ochroniarze, a mimo to przez krótki czas udało jej się mieć w szkole chłopaka, o którym tata nie wiedział. To wszystko było wprawdzie kiedyś, ale jednak. To też była ona. Przede wszystkim zaś była Nathalie, która wie, że ból oczyszcza. A przecież się go pokonuje. Owszem, czasem się poddawała, ale kto tego nie robi?

Spróbowała wyczuć, gdzie się zaczyna i gdzie kończy jej ciało między kocami. Nie było to łatwe, myśli migotały, jednak nie poddawała się. I w końcu wyczuła własne kontury. Tam są jej stopy, jej nogi, jej brzuch, jej piersi. Dłonie, ramiona, plecy, szyja, głowa.

Oto jest Nathalie.

Która zaraz się wydostanie.

Nic innego się nie liczyło. Ani to, co uważa tata, ani to, czym się zajmuje babcia, ani koledzy w szkole, ani nic.

Tylko jedna rzecz liczyła się naprawdę.

*To, że jest Nathalie i ma się wydostać.*

Znalazła w sobie moc, o którą zupełnie się nie podejrzewała.

Wydała z siebie krzyk wściekłości. Koce zmoczyły się od jej warg. Kręciła się i czuła, że się przesuwają. Krzyczała, kręciła się i znów się przesuwawała. Da radę. Wygra.

Z zewnątrz dobiegł ją jakiś głuchy dźwięk, jakby wzburzone głosy, które się kłóciły ze sobą. Przynajmniej istniało jakieś „zewnątrz”, do którego ona zaraz dotrze.

Smuga światła w ciemności tuż ponad jej głową. Szpara między materacami. Znaczyło to, że dopływa powietrze. Spróbowała napędnąć nim płuca, ale nacisk na ciało był wciąż za silny. Jednak nadal próbowała. Przecież otwór jest tuż-tuż.

Przez szparę dobiegł ją jakiś głos, teraz już wyraźniej.

– Zgłupiałaś? Ona jest nam potrzebna! Zapomniałaś już, po co ona tu jest?

Nathalie warknęła przez zaciśnięte zęby i poruszyła się jeszcze raz. Nosem i połową twarzy wychyliła się przez szparę. Przedtem zamierzała ich skłąć, ale znajdowała się już poza jakimś racjonalnym myśleniem. Była czystą emocją, czystą furią. Użyła resztek swoich sił, by wydobyć z siebie pierwotne wycie, które nie miało końca.

Nacisk na jej ciało zelżał.

Wypadła na zimną betonową posadzkę. Ktoś usiadł obok, położył jej głowę na swoich kolanach. Ktoś pogłaskał ją po policzku, okazał miłość. Okazał, że już dobrze. Ostrożnie otworzyła oczy i spojrzała w oczy Novy.

– Przepraszam – powiedziała miękko Nova. – Gdybym wiedziała, że Ines zamierza ci to zrobić, tobym jej zabroniła. Nie chcę cię narażać na żadne niebezpieczeństwo.

Nathalie nabierała wielkie hausty powietrza, poczuła, jak tlen rozchodzi się z płuc do krwi. Oczy łzawiły od oślepiającego światła w pomieszczeniu. Żyła, narodzona po raz drugi do świata, który do tej pory brała za oczywistość. Naprawdę poczuła, że żyje. Do tej pory była taka naiwna. Ale teraz już nie.

– Jest okej – powiedziała, kaszląc.

Bo babcia miała rację. Wreszcie wiedziała, kim jest. Nathalie, która w tej sekundzie czuła się kochana i bezpieczna. Przyjęta przez kogoś, komu na niej zależy i tym razem jej nie opuści.

I tylko to się liczyło.

– Chciałabym, żebyśmy miały dla siebie więcej czasu, ale niestety się skończył – powiedziała Nova. – Pora, żebyś poznała prawdę o swojej mamie.

**VINCENT NAJCHĘTNIEJ PRZYWALIŁBY** sam sobie. Wskazanie na ojca Novy było tak dobrze ukryte, że kiedy już je znaleźli, poprzestał na nim. A przecież dokładnie dwa tygodnie temu w komendzie sam wskazał właściwy trop. Chociaż wtedy tego nie rozumiał.

Chciałby tłumaczyć się tym, że mieli mało czasu, bo chodziło o życie dziecka, ale to żadne tłumaczenie. Przecież jest Mistrzem Mentalistą. Nie wolno mu popełniać takich błędów. Jeśli chce być bardziej ludzki, to nie przy takiej okazji.

Vincent poszedł do swego gabinetu po notatnik.

Po drodze minął Marię, która przeszła do pakowania mydeł. W salonie unosił się charakterystyczny zapach lawendy.

Nie podniosła na niego wzroku, kiedy przechodził obok.

– Mówisz pięć morderstw – powiedział do Benjamin, kiedy już wrócił. – I pięć słów.

– Tak, przez to ostatnie morderstwo, któremu zapobiegliście, cytat jest kompletny – stwierdził Benjamin. – „Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza”. Nawet jest kropka na końcu.

Vincent wertował swój notatnik, w końcu trafił na początek swego *Knight's tour*. Dla kogoś niewtajemniczonego wyglądałoby to pewnie na przedziwny wzór haftu. Jednak ten wzór był sam w sobie osiągnięciem matematycznym.

Nie dość, że *Knight's tour* był od początku wyzwaniem, to jeszcze Vincent zdał sobie sprawę, że wersja mordercy miała prawdopodobnie również to, co jest określane jako magiczne cechy matematyczne.

Matematyka była tu jeszcze piękniejsza, bo *Knight's tour* mordercy był symetryczny. Skoczek poruszał się w taki sposób, że jego ruchy po lewej stronie szachownicy odbijały się jak w lustrze po prawej, tworząc wzór niemal idealnie regularny i harmonijny. Stworzenie takiego wzoru było niebywale skomplikowane. On sam odnalazł tylko dziesięć pierwszych kroków.

Z punktu widzenia psychologii oznaczało to, że morderca nie tylko kieruje się sztywnymi regułami, ale że te z kolei podlegają swoim własnym regułom. Podejrzewał, że morderca ma tak silną potrzebę kontroli, że wymaga to brania leków.

– Halo! Tato! Gdzie się podziałeś? Rozmawialiśmy o pięciu morderstwach.

Vincent zamrugał powiekami, by wrócić do rzeczywistości.

– No właśnie. Tyle że nie było pięciu morderstw. Dokładnej liczby nie znaleźliśmy. Ja stwierdziłem, że zważywszy na połowiczne skracanie się interwałów czasowych między kolejnymi uprowadzeniami, jest przestrzeń do maksymalnie ośmiu morderstw. To niekoniecznie oznaczało, że będzie osiem, a jedynie, że jest jakiś próg. Oczywiście mieliśmy nadzieję, że będzie ich mniej. Wilma miała być piątą ofiarą. A w związku z tym, że znaleźliśmy pełne zdanie składające się z pięciu słów, wszystko wskazywało, że Wilma miała być ostatnia.

– A więc... – odezwał się Benjamin. – Jeśli nie było pięć, w takim razie osiem morderstw oznacza osiem pozycji na mapie.

Vincent przytaknął.

– Osiem pozycji na mapie. I osiem słów w tekście.

Benjamin otworzył na laptopie tekst manifestu programowego Epicury w stworzonym przez nich układzie siatki złożonej z ośmiu rzędów po osiem słów.

– Nie szukaliśmy pozostałych trzech, bo myśleliśmy, że to koniec – powiedział Vincent.

– A więc dokąd przejdzie skoczek z pozycji piątej na szachownicy? – spytał Benjamin. – Po Wilmie?

Vincent chrząknął i czytał z notatnika.

– Po pozycji h5 i słowie „oczyszcza” mamy... g7. Drugi rząd od góry, przedostatnia kratka.

Benjamin zaznaczył odpowiednie słowa w tekście.

– Następnie e8, a potem f6.

– O cholera. – Benjamin odsunął się nieco, aby Vincent mógł odczytać z ekranu.

W tekście zostały wytłuszczone trzy kolejne słowa.

Impe- ratyw	Epikura	na	<b>nowe</b>	czasy	jest	ten	sam
co	zawsze:	przyzwól	sobie	tylko	na	<b>taki</b>	niepokój
który	prze- mija,	podobny	kome- cie	mijają- cej	<b>gwiazdę.</b>	Szybko	i
nieza- uwa- żenie.	Życie	w	spokoju	to	życie,	które	<b>oczysz- cza.</b>
Nader	staran- nie	unikaj	wszel- kiego	bólu	i	nie	miej
prag- nień,	bo	dopiero	życie	bez	pragnień	jest	życiem,
które	jest	wolne	od	<b>cier- pienia,</b>	dzięki	czemu	będziesz
mógł	cieszyć	się	sukce- sem,	gdy	już	osiąg- niesz	<b>Wszystko</b>

– Z kolejności podanej przez ciebie wynika, że będzie to „taka nowa gwiazda”  
– powiedział Benjamin. – *Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza. Nowa gwiazda.*

Vincentowi zakręciło się w głowie, złapał się rękami za brzeg łóżka.

Dobrze wiedział, jak po łacinie brzmi „nowa gwiazda”. I domyślał się, że Benjamin również wie.

– To nie jest wiadomość od Johna Wennhagena – wymamrotał Vincent.

Przecież niedawno słyszał, jak mówiła w telewizji, że idzie przez życie, jakby podążała Ścieżką Hamiltona, czyli tak, by w każdym punkcie znaleźć się tylko raz. *A czymże jest Knigh’s tour*, jeśli nie właśnie taką drogą?

A starszy mężczyzna, z którym rozmawiał w areszcie, powiedział to nawet wprost. Nasza gwiazda przewodnia, tak się wyraził. Osoba żyjąca z nieustannym bólem fizycznym.

A Vincent nie słuchał. Potrzebował wypowiedzieć głośno te słowa. Jednak musiał zapanować nad sobą, żeby ich nie wyrzeszczyć.

- Nowa gwiazda – powiedział. – Stella Nova.
- Benjamin, na ile to możliwe, zbladł jeszcze bardziej.
- To od początku była Nova.

# TYDZIEŃ SZÓSTY

**MINA ZNALAZŁA VINCENTA** na jednej z ławek w pobliżu fontanny w Kungsträdgården. Był to właściwie basen wpuszczony w ziemię, na wodzie unosiło się kwiecie opadłe z rosnących wokół drzew, oprócz tego papierki po lodach i serwetki. Miejskie służby sprzątające mimo starań przegrywały bitwę o porządek w fontannie, a Mina podejrzewała, że na jej dnie znalazłaby się również niejedna strzykawka. A jednak Kungsträdgården był pięknym miejscem. Przede wszystkim zaś na ławkach pod drzewami był cień.

Na miejscu obok Vincenta drewno było nieco ciemniejsze od reszty i pachniało lekko środkiem antyseptycznym. Musiał je przetrzeć krótko przed jej przyjściem. Chociaż sam nigdy by o tym nie wspomniał. Tym razem Vincent był w koszuli z krótkimi rękawami ze wzorem w meduzy oraz w szortach. Wyglądał jak turysta.

– Zmieniłeś styl? – zdziwiła się, siadając. – Chyba mówiłeś, że nie jesteś facetem, który chodzi w szortach?

– Ta rura, przez którą się czołgaliśmy, skłoniła mnie do przemyślenia mojego stylu ubierania się – odparł. – Poczuję, że potrzebuję czegoś nieco... luźniejszego. Mam dość ciasnych ciuchów na... pewien czas. Nie podoba ci się moja koszula? Chyba masz rację.

Przyjrzał się meduzom na piersi.

– Możliwe, że nie był to jeden z moich najlepszych pomysłów. Powinienem robić jak ty i nosić samą koszulkę na ramiączkach.

– Na pewno nie – powiedziała. – W mieście mężczyźni nie mogą nosić koszulki na ramiączkach. Zresztą do ciebie lepiej pasuje styl elegancki i bardziej ugrzeczniomy.

– Twoje szczęście, że to dodałaś, bo musiałbym ci zdradzić, że przemyłem ławkę wodą z fontanny.

Mina powstrzymała odruch, by zerwać się z ławki. Na pewno żartował. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Chyba? Pozostanie na ławce tyle ją kosztowało, że



aż się spociła pod pachami. Czego najbardziej nienawidziła. Odetchnęła, dopiero kiedy zobaczyła, że kosz na śmieci obok ławki jest pełen wilgotnych chusteczek.

– No więc o czym to musimy porozmawiać? – spytała, bez powodzenia udając obojętność.

Kąciki ust Vincenta drgały. Ale ona mu jeszcze pokaże. Ta opowieść o wodzie z fontanny wymaga zemsty, ale wtedy, gdy nie będzie się jej spodziewał.

– Pewnie powinienem zadzwonić do ciebie wczoraj wieczorem – powiedział, poważniejąc. – Ale było już późno, zresztą i tak nie dałoby się nic zrobić.

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz. Znów znalazłeś nad wodą jakąś zabawkę Lego? I dlatego jesteśmy koło fontanny?

Vincent pokręcił głową i pogrzebał w torbie.

– Ta gadanina Novy o wodzie była fałszywym tropem – powiedział. – Rzuciła tę myśl, żebyście całą swoją energię skupili nie na tym, co trzeba. To moja wina. Popełniłem straszny błąd.

Wyjął złożoną kartkę i podał jej.

– Pamiętasz ten ukryty cytat z ojca Novy – powiedział – ten, który jest w ich tekście programowym? Założyliśmy, że to on był mordercą, ponieważ tekst jest jego autorstwa.

– Ale?

– Za wcześnie przestałem się temu przyglądać. A było tam więcej. Zresztą nie sądzę, że tekst został napisany przez Johna Wennhagena. To kolejny fałszywy trop. *Misdirection*, tak się to określa w języku iluzjonistów.

Mina rozwinęła kartkę. Był to tekst programowy Epicury w formie słów podzielonych na sześćdziesiąt cztery kratki, w których zaznaczono osiem słów.

– Odczytaliśmy tylko pięć pierwszych słów z *Knight's tour* – powiedział. – Aż do wprowadzenia Wilmy. Jednak dopiero osiem tworzy całość.

– Tak, mówiłeś coś, że morderca zdąży tylko z ośmioma, zważywszy na coraz krótsze interwały czasowe między nimi – powiedziała Mina.

Pokazał palcem trzy ostatnie słowa.

– Nasza... nowa... gwiazda – przeczytała.

Sekunda, i zrozumiała.

– Nova – powiedziała, patrząc na Vincenta.

– Nova, właśnie tak – potwierdził. – To ona jest mózgiem, który stoi za tym wszystkim.

Z miejsca po drugiej stronie fontanny dobiegł krzyk zawodu, gdy jakiś rodzic w ostatniej chwili złapał dziecko zmierzające prosto do wody.

– Nie tylko Nova – zaoponowała Mina. – Miała do pomocy całą Epicurę.

Vincent kiwnął głową.

– Przypuszczam, że nie wszyscy są w to zamieszani. Większość tych, którzy do niej dołączyli, przypuszczalnie nie zrobiła nic takiego poza podarowaniem jej swoich pieniędzy. Ale prawdopodobnie miała wokół siebie krąg najbliższych osób, być może tych samych, które od czasu uwolnienia Wilmy siedzą u was w areszcie. Nie dziwi mnie, że nic nie mówią. To ludzie, którzy są z Novą od samego początku. Ufają jej w takim samym stopniu, jak ona ufa im, że zrobią co trzeba.

Mina się zgarbiła. Krąg najbliższych Novy. Słyszała o tym od jednej z nich.

– Jak moja mama – powiedziała. – Jak Ines.

Jednak gdy zabierali Wilmę, Ines nie było wśród tamtych. Istniała możliwość, że mama nic nie wie. Choćby minimalna.

– Prawie ją wtedy złapaliśmy – mówiła dalej. – Tam przy stajni. To na pewno Nova przyjechała tym samochodem, a myśmy myśleli, że Wennhagen. Cholera jasna. I co teraz robimy? Jedziemy do ośrodka Epicury i dokonujemy jej zatrzymania?

– Nie wydaje mi się, żeby jeszcze tam była – odparł. – John Wennhagen to był ślepy trop, żeby nas zmylić, ale na pewno rozumiała, że wkrótce się domyślimy, że to ona. W końcu sama sygnowała tę wiadomość. Gdybym ja był na jej miejscu, to zwałbym stamtąd, i to szybko. Ale jest jeszcze jedna rzecz. Pamiętasz, jak mówiłem, że morderca... to znaczy Nova, skraca interwał czasowy między kolejnymi porwaniami? Gdybyśmy jej nie przeszkodzili, minęłyby dwa tygodnie między Wilmą a następnym morderstwem, które byłoby szóstym. Potem zostałyby tylko tydzień do siódmego i zaledwie pół tygodnia do ostatniego, ósmego. Jednak udało nam się ich zastopować. Zatrzymaliście członków sekty, którzy mogli jej pomóc przy dzieciach. Dlatego sądzę, że Nova przejdzie od razu do finału. Do ósmego ruchu na szachownicy. Zgodnie z jej zasadami, czyli po pół tygodnia.

Dziecko po drugiej stronie fontanny chciało jeszcze raz wejść do wody i znów wrzasnęło, gdy rodzice mu w tym przeszkodzili. Mina miała ochotę zawołać, by pozwolili mu się wykąpać, żeby mogła pomyśleć w spokoju.

– Czekaj – powiedziała. – Wilmę uratowaliśmy w piątek, a dziś jest poniedziałek. Czyli minęły już trzy doby.

– Dokładnie – odparł, odwracając się do niej.

Nigdy nie był równie poważny.

– Finał nastąpi dziś po południu – dodał.

Mina się przeraziła.

– Nathalie, muszę zabrać stamtąd Nathalie.

Ręka tak jej się trzęsła, że ledwo była w stanie wyjąć z kieszeni telefon, następnie wybrała numer ojca Nathalie. Trudno.

– Cześć, to ja. – Natychmiast weszła mu w słowo. – Masz jechać do Epicury po Nathalie. Tyle. I to natychmiast. Wyślę ci adres. Mogłabym jechać radiowozem na sygnale, ale zanimbym dotarła do komendy i dostała zgodę, zabrałoby to za dużo czasu. Którego nie mamy. Złam wszelkie zasady ruchu. Albo poleć śmigłowcem. Ona musi znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

Rozłączyła się, nie dając mu szansy na odpowiedź.

Nigdy przedtem nie odważyła się mówić do niego w ten sposób. W latach, kiedy mieszkali razem, ani razu nie powiedziała mu, co powinien zrobić. Nie mówiąc o rozkazywaniu. Przypuszczalnie spotka się to z jakimiś konsekwencjami. Ale czy miała jakikolwiek wybór?

Otworzyła apkę GPS i przygryzła wargę, czekając na odnalezienie nadajnika w plecaku Nathalie. Apka długo szukała, aż za długo. W końcu dała za wygraną. *Transmitter inactive*, brzmiał komunikat. *Please check batteries*.

**VINCENT POGRZEBAŁ** jeszcze raz w torbie i wyjął mapę Sztokholmu, którą rozłożył na kolanach. Posługując się linijką, zaznaczył osiem ruchów w *Knight's tour* Novy, prowadzące aż do końca jej wiadomości.

– Zobacz – zwrócił się do Miny. – Słowo „gwiazda” ma tę samą pozycję co pole szachowe f6. To ósmy i ostatni ruch. Na mapie wypada to na środku Östermalmu. Tam są same domy, żadnych parków ani cieków wodnych. Ale gdzieś tam nastąpi finał Novy.

Mina patrzyła na mapę, trzymając jednocześnie telefon w taki sposób, żeby go widzieć. Słońce stało coraz wyżej, więc musiała osłonić dłonią wyświetlacz.

– W tej samej kratce leży Östermalmstorg – zauważyła. – To wprawdzie nie park, ale duży otwarty plac. W tej samej kratce mieści się kościół tuż koło placu. Novie pasowałby chyba ten cmentarzyk obok.

Vincent zerknął na Minę. Podziwiał ją, bardzo się starała być pozbierana, tylko trochę za często i za mocno mrugała powiekami, a jej ruchy stały się niezborne, wysilone, co zdradzało, że ma napiętą przeponę w okolicy żołądka. Była bliska załamania. Rozpaczliwie chciał jej pomóc, tylko nie wiedział jak.

– Nie wydaje mi się, żeby Nova chciała zostać zauważona, a tak by się stało na placu albo koło kościoła – powiedział. – Przypuszczalnie wie, że wpadliśmy na jej trop. Ja na jej miejscu wolałbym być dyskretny. Prawie wszystkie pozostałe budynki w tej kratce to domy mieszkalne. Więc możliwe, że są w mieszkaniu u któregoś z członków Epicury. Może będziemy musieli chodzić od drzwi do drzwi. Ale jest również... to.

W górnym rogu kratki znajdował się budynek o innym kształcie od pozostałych.

– Liceum Östra Real – odezwała się Mina, przesuwając palcem po mapie. – Tak się składa, że tam chodziłam.

– Czy to były szczęśliwe lata?

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to nie byłam wtedy równie... wrażliwa jak teraz. Ale wystarczająco, żeby zostać klasowym odmieńcem. Kiedyś w pierwszej klasie liceum chłopcy zabawili się w ten sposób, że na mojej całej szafce, a zwłaszcza na zamku, poprzyklejali karteczki z namalowanym kółkiem. Najpierw nie rozumiałam, o co chodzi. Potem ktoś mi wyjaśnił, że to znaczy, że zamek został potarty fiutem.

Vincent się zaśmiał, ale zobaczył jej nieszczęśliwą minę.

– Przepraszam – powiedział. – Trochę to było niespodziewane.

– Pewnie żartowali – odparła. – W rzeczywistości nie odważyliby się tego zrobić, jednak od tamtej pory, otwierając szafkę, zawsze miałam rękawiczki.

W jej oczach widział upór, ale i łyż. Również wolę walki, odmowę ustąpienia komukolwiek. Pewnie właśnie to skłoniło kolegów z klasy do tego grubiańskiego żartu. Może i była dziwaczką, ale nie dała sobą pomiatać. Bo była to Mina. Nigdy nieudająca niczego, z ogniem w oku i ze spierzchniętymi dłońmi.

– Tak czy inaczej, szkoła jest latem zamknięta – zauważyła. – Więc tam jej raczej nie ma. Będziemy musieli zadzwonić do Julii, zobaczymy, ile osób zdoła ściągnąć do chodzenia po okolicznych domach.

– Mam nadzieję, że całe to towarzystwo dręczycieli skończyło szkołę ze stopniem niedostatecznym – odparł. – Pewnie masz rację. Latem szkoły otwierają się tylko wówczas, gdy jak w szkole Astona, mogą trochę zarobić, użyczając swoich lokali na konferencje, skoro uczniów...

Tu urwał.

Zagapili się na siebie.

Mina trzymała wciąż telefon w ręce. Szybko wybrała numer Christera i przełączyła na tryb głośnomówiący. Christer odebrał prawie natychmiast. Wydawał się lekko zasapany.

– Christer, jesteś na miejscu? – spytała.

– Zaczekaj chwilę – odpowiedział. – Z Bossem tylko... czekaj... Bosse, zostaw pieska tej pani!

– Christer – odezwała się Mina.

– Bardzo przepraszam – powiedział Christer, ale nie do Miny. – On na pewno chciał się tylko przywitać, on naprawdę nie... doprawdy, mówi pani, że to nie suczka? Nie, nie, oczywiście rozumiem...

– Christer – powtórzyła Mina jeszcze głośniej.

– Jestem. Musiałem tylko załatwić jedną rzecz. O co chodzi?

– Mógłbyś się dowiedzieć, czy w Östra Real odbywają się w tym tygodniu jakieś konferencje? – spytał Vincent. – Najlepiej zaraz?

– O, i Vincent jest. Cześć. Nie ma problemu, dojdę tylko na miejsce i dam wody Bossemu.

– To jest ważniejsze – wtrąciła Mina. – Najpierw Östra Real, potem Bosse.

Zapadło milczenie. Vincent mógłby przysiąc, że zarówno Christer, jak i Bosse spojrzeli na nich krzywo przez telefon.

– Przepraszam cię, Bosse – dodał. – Twój pan da ci potem pysznej wody. Christer, nie nalegalibyśmy, gdyby to nie było pilne, przecież wiesz.

– Zaraz to załatwię – odparł Christer. – Oddzwonię.

Mina rozłączyła się i spróbowała ponownie uruchomić apkę GPS-a. Nadajnik nie padł tak do końca. Krąg, w którym apka szukała, był teraz mniejszy, ale wciąż

nie łapała pozycji. Widać było tylko jedno, że Nathalie prawdopodobnie nie ma już w ośrodku. Dokładnie tak, jak podejrzewał Vincent.

– Myślisz, że Nova zamierza sama dokonać tej ostatniej zbrodni? – spytała. – Przecież zatrzymaliśmy tych, którzy przypuszczalnie stali za wcześniejszymi porwaniami, więc może nie ma już tylu osób, które mogłyby jej pomóc.

Vincent spoglądał na fontannę i dalej. Turyści jedli lody, robili sobie selfie, pili napoje orzeźwiające. Grupki nastolatków siedziały na ziemi, robiąc to, co zwykle robią nastolatki podczas wakacji. Za kilka lat Aston będzie jednym z nich. A Lilly, William, Dexter i Ossian już nigdy nie będą. Dla nich jest już po wszystkim. Tylko dlaczego? Wciąż nie rozumiał, jaki Nova miała w tym cel, ale był pewien, że jeszcze nie skończyła.

– Nie wydaje mi się, że to ósme pole szachowe będzie tak proste jak porwanie – powiedział. – W końcu sygnowała je swoim imieniem. To będzie coś innego. Ostatnia pozycja. Końcowa rozgrywka. Sądzę, że zjawi się we własnej osobie.

Zadzwoił telefon Myny, znów przełączyła na głośnomówiący.

– Nie rozumiem, dlaczego sama tam nie zadzwoniłaś – odezwał się Christer. – Dodzwoniłem się bardzo szybko. Mają tylko jedną imprezę w tym tygodniu i to właśnie dziś.

Christer mówił, a na wyświetlaczu pojawiła się informacja. Najwyraźniej nadajnik GPS znów zaczął działać i apka zlokalizowała jej córkę. Mina podsunęła telefon tak, żeby Vincent mógł zobaczyć mapę na wyświetlaczu. Nathalie znajdowała się w centrum Sztokholmu.

– Śmieszna rzecz, ale znamy ludzi, którzy wynajęli lokal – ciągnął Christer, podczas gdy Mina powiększyła obraz mapy. – Epicura ma całodniowy kurs dla osiemdziesięciu osób. A teraz, przepraszam, ale jednak muszę się zająć psem.

Christer się rozłączył. Vincent osłonił telefon dłonią, żeby lepiej widzieć. Mina powiększyła mapę na GPS-ie i widzieli teraz wyraźnie wszystkie budynki. Nie było już wątpliwości. Nathalie znajdowała się w Östra Real.

Słońce stało jeszcze wyżej i choć było już około dwudziestu siedmiu stopni, Vincentowi zrobiło się zimno. Objął się ramionami.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – powiedział. – Boże. Pamiętasz, że Wennhagen zbudował bunkier tak, żeby był śmiertelną pułapką? I to, co mówiła Beata Ljung na temat destrukcyjnych sekt? Przypuszczam, że Nova zamierza pójść za słowami swego ojca i wynikającym z nich logicznym wnioskiem. Jej finałem nie będzie jedno morderstwo. Tam ma być osiemdziesiąt osób. I Nathalie. Nova zamierza zabić ich wszystkich.

**VINCENT CZUJE SIĘ** bezradny jak nigdy dotąd. Chciałby pomóc Minie, po prostu musi, ale nie wie, co zrobić. W tym momencie jest zupełnie do niczego. Mina podnosi się z ławki i w tym samym momencie z jej telefonu dochodzi sygnał esemesa.

– Czyżby znów Christer? – pyta Vincent.

Mina zastyga w pół ruchu. Z pobielającą twarzą wpatruje się w ekran.

– Nova – mówi i podaje mu telefon, żeby mógł odczytać.

*Cześć, Mina,  
cieszę się na dzisiejsze spotkanie z tobą.  
Obawiam się jednak, że masz problem.  
Możesz uratować albo swoją mamę, albo córkę.  
Bo nie zdążysz uratować obu.  
Co wybierzesz? Przejdiesz tę drogę do końca?  
Zapraszam.  
/Nova*

– Co ja mam zrobić? – mówi Mina. – Nawet nie rozumiem, co ona ma na myśli. Jak to wybieram i jaką drogę mam przejść?

Vincent czyta wiadomość jeszcze raz. Coś go uwiera w tym esemesie, ale teraz nie może się nad tym zastanawiać.

– Nie zwracaj uwagi – odpowiada. – Ona chce tylko zyskać na czasie, budząc w tobie niepewność. Dla niej jest najlepiej, żebyś się zaczęła miotać, więc nie rób tego. Jedź i zabierz stamtąd Nathalie. To nie ja jestem ci potrzebny do tego, by się zająć Epicurą i schwytać Novę, tylko twoi koledzy z policji. Oni wiedzą, co robić, ja bym tylko przeszkadzał. Lepiej, żebym się skupił na tej wiadomości od Novy. Masz rację, że jest w niej coś jeszcze. Nova nigdy nie komunikuje się tak wprost. Ale bądź ostrożna. Ona tam będzie, a nie wiemy, jakie niespodzianki szykuje.

– Spróbuję się znów skontaktować z ojcem Nathalie – mówi Mina. – On ma duże możliwości.

Vincent kiwnął głową.

– Jedź już.

– To będzie bardzo ciekawe – mówi Nova.

Nathalie, która jeszcze nie widziała u niej tak płomiennego spojrzenia, rozgląda się po pomieszczeniu. Przychodzi jej do głowy określenie „z tradycjami”, chociaż nie bardzo wie, co to znaczy.

– Dlaczego jesteśmy tutaj, a nie z razem z tamtymi? – pyta.

Nie bardzo rozumie, dlaczego musieli się podzielić. Bardzo chciałyby być zarówno z tamtymi, jak i z Novą. Z osobami, które naprawdę ją rozumieją.

– Oni udają się w swoją podróż – mówi Nova z uśmiechem. – Miałam zamiar im towarzyszyć, ale zmieniłam zdanie. Uświadomiłam sobie, że jeszcze nie jestem gotowa. Pojadą beze mnie.

– Dobrze, ale dlaczego siedzimy w tym pokoju?

– Jesteśmy tu, bo daję szansę twojej mamie, żeby cię zabrała, zanim dla mnie przyjdzie pora... zacząć wszystko od początku.

Nie jest to zbyt zrozumiałe, ale Nathalie powoli się już do tego przyzwyczajała. Nova już taka jest. Trochę tajemnicza. Nathalie patrzy na drewniane drzwi, jakby mogła je zmusić, żeby się otworzyły. Jej mama. Wciąż nie potrafi przyjąć do siebie informacji, że jej mama żyje. Zaledwie miesiąc temu nie wiedziała, że ma babcię, a wczoraj Nova powiedziała jej, że ma mamę. Mamę, która ponoć nie chciała się z nią kontaktować. A jest policjantką.

No i nici z jej planów na przyszłość.

Nathalie próbuje wrócić do tego, co wydaje jej się, że pamięta o mamie. Bo nie wie, czy to prawdziwe wspomnienie, czy tylko marzenie. Zapach, głos, śmiech. Nie chce, żeby mama po nią przyszła. W tej chwili nienawidzi mamy bardziej niż kogokolwiek. Tata też może wypieprzać za to, że nie powiedział jej o mamie.

Nova jako jedyna zaopiekowała się nią naprawdę i zobaczyła ją taką, jaka jest. Ona jedna nigdy jej nie okłamała w odróżnieniu od reszty świata. Gdyby zależało to od Nathalie, zostałyaby na zawsze u Novy. Nova to jedyna mama, której potrzebuje.

Mina idzie szybkim krokiem do wielkiego, przypominającego pałac budynku z brązowej cegły. Nie była tam od wielu lat i miała nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała. Na wielkim dziedzińcu przed Östra Real nie widać nikogo. Zerka na telefon. Sygnał z nadajnika GPS Nathalie jest nadal wyraźny. Dziewczynka jest w gmachu. Mina może nie interesować się tym, co wyprawia Ines, ale Nathalie... Musi znaleźć swoją córkę.



Za nią idą Adam i Peder w pełnym umundurowaniu. Peder ma wciąż lekko niebieską brodę. Jadąc tu, Mina zadzwoniła do zespołu i Adam z Pederem zjawili się przed szkołą w tym samym momencie co ona. Julia z Rubenem też zaraz będą, ale Mina nie może na nich czekać. A ojciec Nathalie wciąż nie odpowiada. Nie ma czasu.

*Nie zdążysz uratować ich obu.*

– Masz – mówi Adam i rzuca jej radiotelefon. – Żebyśmy byli w kontakcie.

Ze świadomością, że oto zachowuje się zgodnie z filmowym stereotypem, Mina wbiega po schodach do wielkich drzwi. Sama, bez dostatecznego wsparcia. Ale jeśli Vincent ma rację, członkowie Epicury sami są swoimi największymi wrogami.

Otwiera jasnobrązowe drewniane drzwi wejściowe, a obaj koledzy są tuż za nią.

– Gdzie oni są? W którym pomieszczeniu? – pyta Mina.

Przed sobą mają szerokie schody z czarnego kamienia. Aż za dobrze znane Minie. Wiele razy stawała tam, zastanawiając się, czy może lepiej jednak zawrócić i iść do domu. Powietrze stoi nieruchomo, jest gorąco jak w łaźni. Peder ociera pot z czoła. Patrzy na tablicę obok wejścia, gdzie znajduje się plan klas i wszystkich pomieszczeń.

– Zarezerwowali aulę – mówi, wskazując na schody. – Na drugim piętrze.

Mina znów sprawdza apkę.

– Ale nie Nathalie – mówi. – Ona jest w jednej z klas.

Nie czeka na to, co powiedzą Peder i Adam, wbiega po schodach i następnie, nie odrywając wzroku od telefonu, w korytarz. Nathalie znajduje się w pomieszczeniu na końcu. Stare drewniane drzwi do klas wyglądają na solidne. Nie uda jej się wejść, jeśli ci, co są w środku, nie będą tego chcieli. Jednak jest nadzieja, że Nova nie wie, że już tu są. Mina przyspiesza.

Nova stoi przy oknie. Marszczy czoło.

– Coś jest nie tak? – pyta Nathalie.

– Myślałam, że będzie stąd widać wejście – odpowiada Nova. – Ale to pomieszczenie znajduje się pod niewłaściwym kątem. Byłoby dobrze wiedzieć, ilu ich przyjdzie.

Nova siada obok niej i uśmiecha się serdecznie. Gładzi ją po głowie.

– Przykro mi, że musisz tu czekać – mówi. – Wiem, że wolałabyś zostać w ośrodku. Ale pamiętasz, co mówi epikureizm: *Żyj tak, aby nie wzbudzać fal*. Zresztą nie zostaniemy tu długo.

Nathalie chciałaby coś zjeść. Albo się napić. Jest tak wygłodniała, że brzuch ją od tego boli. Język klei się do podniebienia. Trudno jej się myśli, kiedy jest taka głodna. Jednak spojrzenie Novy jest serdeczne i Nathalie domyśla się, że wszystko będzie dobrze. Wprawdzie nie rozumie, co się teraz dzieje, ale wie, że może polegać na Novie, Nova się nią zaopiekuje.

– Jeśli się gdzieś wybierasz, to może mogłabym iść z tobą? – pyta Nathalie. – I tak nikogo nie obchodzę poza tobą.

Nova uśmiecha się i z torby termicznej wyjmuje butelkę.

– Niedługo dołączysz do twoich przyjaciół z Epicury – mówi, stawiając na stole butelkę i szklanę. – Do Moniki, Karla, wszystkich znanych ci osób. No i Ines. Wkrótce znów będziesz razem z nimi.

Butelka zawiera chyba mrożoną herbatą albo sok. Wreszcie coś do picia. Nathalie wyciąga rękę, ale Nova ją odpycha.

– Zostawimy to na trochę później – mówi.

Znów ma ten sam pałający wzrok co przedtem.

– Gdyby się miało okazać, że to nie twoja mama przyszła.

Vincent nie może przestać myśleć o esemesie Novy. Dobór słów jest jakiś dziwny. Oczywiście zrobiła to umyślnie, żeby ich zdezorientować, ale lepiej, żeby on się nad tym głowił niż Mina. Sytuacja w Östra Real wymaga jej pełnej uwagi. To w końcu jej córka. Vincent wcale nie jest pewien, czy potrafiłby zdobyć się na takie skupienie, gdyby chodziło o Astona.

Eseses. Przekonał się już, że Nova chętnie podrzuca jakieś wskazówki. Zarówno fałszywe, jak i prawdziwe. Powinien rozgryźć, jakiego rodzaju wskazówkę zawiera ten esemes.

*Nie zdązysz uratować ich obu – napisała. – Co wybierzesz? Przejdziesz tę drogę do końca?*

Na pierwszy rzut oka pytanie Novy wydaje się odnosić do tego, kogo Mina będzie chciała ratować. Nathalie czy Ines. Jednak z punktu widzenia gramatyki pytanie jest nie o to. „Co wybierzesz?” odnosi się właściwie do tego, co następuje po pytaniu, a więc czy Mina „przejdzie tę drogę do końca”, czy nie. To jest ten wybór, przed którym Nova ją stawia.

Przejść tę drogę do końca – czy nie.

Dwie możliwości.

Dwie osoby do uratowania.

Przejść drogę do końca – czy nie

Nathalie – Ines

Vincent zrywa się na nogi, gdy zdaje sobie sprawę, co to znaczy.

– Ile mamy jeszcze czekać? – wzdycha Nathalie.

Nova patrzy na zegarek.

– Już niedługo – mówi. – Powinni byli wpaść na to jakąś chwilę temu, bo zrobiłam rezerwację w imieniu Epicury. Kilkoro na pewno jest już w budynku. Domyślam się, że twoja mama szuka teraz właściwego pomieszczenia. Więc albo ktoś przyjdzie tu lada chwila, albo wcale.

Nathalie jak zwykle nie rozumie, ale już nie ma siły pytać. Chce jej się jeść i pić, poza tym zaczyna jej się nudzić. Wie, że sytuacja, w której ma Novę tylko dla siebie, jest wyjątkowa. To prawie grzech, że nie cieszy się każdą sekundą, ale prawda jest taka, że chciałoby jej się pospać chwilę. Może by ją tak nie ssało w żołądku. Może mogłaby się przynajmniej trochę napić? Znow sięga po sok, ale Nova jeszcze raz odsuwa butelkę.

– Ale strasznie mi się chce pić – mówi Nathalie, wstając. – To pójdę przynieść sobie wody.

– Niestety, musisz tu zostać – odpowiada Nova i pod wpływem jej spojrzenia Nathalie siada na miejsce.

Oczy Novy już nie spoglądają serdecznie i z uśmiechem. W stalowym wzroku nie ma miłości.

Nathalie już nie chce tu być. Naprawdę. Nie wie jednak, czy zdobędzie się na to, żeby znow wstać.

– Jesteś moim zabezpieczeniem – mówi Nova. – W razie gdyby coś poszło źle. I nie bój się, niedługo będziesz mogła wypić ten sok.

Nathalie się wierci. Nagle odechciewa jej się pić. Wydaje się, że ktoś biegnie gdzieś niżej, pod nimi. Kroki się przybliżają, ale potem zawracają i cichną.

– Jakim zabezpieczeniem? – pyta. – Co tu się dzieje?

Nova w odpowiedzi uśmiecha się, ale uśmiech nie sięga oczu. Nathalie odsuwa się z krzesłem w głąb pomieszczenia, dalej od Novy.

Mina dociera na koniec korytarza. Nagle czuje się bardzo samotna ze swoim strachem. Nie ma przy niej Vincenta, a gorączkowe telefony do ojca Nathalie pozostały bez odpowiedzi. W końcu zostawia mu wiadomość na poczcie głosowej. Musi się teraz skupić. Musi ratować swoją córkę.

Układ drzwi nie zgadza się z pozycją kropki GPS w apce. Cholera jasna. Jej córki nie ma na tym piętrze. Wraca biegiem do schodów, gdzie Adam najwyraźniej rozmawia z Julią przez system głośnomówiący.

Pot kapie jej z nosa, ale nie ma czasu się tym przejmować. Po co oni zbudowali korytarze takiej idiotycznej długości?

– Jak daleko jesteście? – pyta Adam przez telefon, wymieniając spojrzenia z Pederem, który stoi obok, niecierpliwiąc się. – Jesteście tu potrzebni.

Mina mija ich, wchodzi na kolejne piętro i skręca w korytarz. Biegnie ciszej niż poprzednio. Nova jest zapewne w auli z pozostałymi, ale pewności nie ma.

Na końcu korytarza jest sala klasowa A311. Słynna, z murałem Georga Pauli. Podchodzi tam i dotyka dłonią drewnianych drzwi, łapiąc oddech.

Sprawdza apkę. Zgadza się. To właściwe miejsce.

Nathalie jest po drugiej stronie drzwi.

Zaraz zobaczy swoją córkę. Córkę, która nie wie, kim jest Mina. Nie wolno jej teraz popełnić błędu.

Nagle w radiotelefonie rozlega się trzask. Mina wycofuje się szybko spod drzwi, ma nadzieję, że po drugiej stronie nie było go słychać.

– Mina, właśnie tam zajrzeliśmy – mówi Adam przez radio. – Wydaje się, że tu są wszyscy, cała Epicura. I naprawdę wygląda to na zwyczajną konferencję.

Mina marszczy czoło. W takim razie Ines też tam jest. Dziwne, że tak łatwo było ją znaleźć. Myślała, że będzie to trudne, zważywszy na esemes od Novy.

*Nie będziesz mogła uratować ich obu.*

Coś jest nie tak.

Mina czuje to całym ciałem, chociaż nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Co oni teraz robią? – pyta.

– Właśnie mają przerwę na kawę. Nie widzę wprawdzie żadnych termosów z kawą, za to nalewają sobie jakieś napoje orzeźwiające albo soki. Prawdziwi wyznawcy zdrowego trybu życia.

Zimny pot spływa jej po krzyżu, przez ten chłód aż musi zaczerpnąć tchu. Już wie, co jest nie tak.

Nova chodzi tam i z powrotem po pomieszczeniu. Nathalie nie znała jej takiej. Do tej pory Nova przypominała jej sarnę. Ale teraz to wilczyca.

– Zaczynam mieć dość – odzywa się Nova. – Naprawdę, czy tylko ja jestem gotowa grać w tę grę aż do końca?

Zwraca się do Nathalie, jej spojrzenie jest mroczne. Dziewczyna się wzdryga.

– Twoja mama mi przerwała – mówi. – Zostały mi trzy. Z Wilmą cztery. Dopiero wtedy mogłabym odpocząć od bólu. A zdążyłam tylko dotrzeć do połowy. Więc muszę zacząć od początku. Chociaż nie teraz, będę musiała się ukrywać, dopóki ludzie się nie znużą i nie zapomną. Dopiero wtedy.

Z korytarza dochodzą szybkie kroki. Potem jakiś trzask i kroki znów odchodzą.

– To wszystko przez twoją mamę – ciągnie Nova. – To wina jej i Vincenta Waldera. Próbowałam mu przeszkodzić, ale nie wyszło. I dlatego tu jesteśmy. Ale

mam już dość. Jesteśmy tu od godziny, a nikt nie przyszedł. Skończyliśmy. Pójdiesz z Epicurą. I tak mówiłaś, że chce ci się pić.

Mina przyciska wargi do radia, żeby móc szeptać. Gdzieś w środku rejestruje fakt, że przyciska usta do powierzchni, której Adam dotykał swoją ciepłą dłonią. Robi jej się niedobrze na tę myśl, jednak z tamtej strony drzwi nie powinni jej słyszeć.

– Musisz to powstrzymać, nie wolno im tego pić – szepcze. – Przewróć stół albo cokolwiek. Vincent mówił, że Nova chce ich wszystkich zabić. To nie sok, tylko trucizna. Przyjdę, jak tylko będę mogła.

– O cholera, tam się coś dzieje – mówi Adam. – Wchodzimy.

Kontakt jest zerwany. Mina odkłada radiotelefon na podłogę i zerka na apkę w swoim telefonie. Cokolwiek dzieje się teraz w auli, ona jest i tak za daleko, żeby im pomóc.

Za drzwiami nie słyhać żadnego ruchu. Oby jej nie słyszeli. Mina nabiera tchu, otwiera drzwi do klasy A311 i wchodzi do swojej córki.

*Przejdiesz tę drogę do końca?*

Vincent rozumie. Nathalie i Ines znajdują się w różnych miejscach. Takie jest znaczenie esemesa.

Nova jest osobą, która waży słowa. Każde coś znaczy. I nie przypadkiem użyła słowa „droga”.

A Vincent wie dokładnie, o jaką drogę chodzi.

Zamyka oczy i usiłuje wrócić pamięcią do programu telewizyjnego z Tilde de Paula Eby. Wydaje mu się, że całe lata minęły od chwili, kiedy go oglądał. Nie od razu odnajduje to wspomnienie, widocznie nie przywiązywał do niego większego znaczenia, gdy się odkładało w jego pamięci długotrwałej. Zmienia więc strategię i zaczyna od wrażenia, że siedzi na kanapie u siebie w salonie. Czuje dotyk miękkiego aksamitnego obicia na plecach i łączy to wrażenie z głosem Marii, która siedząc obok, mówi, że to „mętne”.

I to już wystarcza do ożywienia wspomnienia oglądanego programu. Jest prawie tak wyraźne, jak gdyby znów oglądał ten program.

Nova i Ines siedzą na telewizyjnej kanapie. Rozmawiają o bólu. Tilde pyta, co Nova robi, by nie zgorzknąć po wypadku, który spowodował u niej urazy na całe życie.

– *Hamiltonian paths* – odpowiada Nova. – Ścieżka Hamiltona. To pojęcie matematyczne. Odnosi się do takiego sposobu poruszania się między wierzchołkami figury geometrycznej, żeby w każdym z tych punktów znaleźć się tylko raz. Ja próbuję żyć właśnie w ten sposób.

Słyszał te słowa, ale nie zrozumiał, że wypowiadając je, Nova miała na myśli kilka różnych rzeczy. Nie tylko to, że nie chce wałkować starych spraw. Również – dosłownie – to, że porusza się po specyficznej matematycznej drodze.

Vincent znów rozkłada mapę na ławce. Słońce odbija się od papieru i prawie go oślepia. Zazaczył już osiem pierwszych punktów *Knight's tour*, które zaprowadziły go do Östra Real. Każdy ruch skoczka na szachownicy otwiera możliwość przejścia na następne pola, ale tylko jedno jest tym właściwym. I tak jest za każdym razem. Nic dziwnego, że używa się do tego komputerów.

Vincent stawia palec na ósmej pozycji. Östra Real. Słowo „gwiazda”. Wcześniej wyliczył dziesięć pozycji, ale lepiej się upewnić. Zastosuje regułę Warnsdorffa, by przejść na pozycję, która otwiera minimalną liczbę kolejnych pozycji. W ten sposób przechodzi na pole e8, Kungliga Tekniska högskolan<sup>27</sup>. Próbuje nie poddać się gwałtownemu wyrzutowi adrenaliny w organizmie, która mogłaby pogorszyć jego zdolność rozumowania.

To zajmie mu trochę czasu. Każdy kolejny krok na mapie może zaprowadzić go w ślepy zaułek jeden, pięć albo dziesięć ruchów później. Musiałby wtedy cofnąć się i zacząć wszystko od początku. A czas to jest coś, czego Mina nie ma.

*Przejdiesz tę drogę do końca?*

Na mapie zostało jeszcze pięćdziesiąt pięć kratek do dokończenia *Knight's tour*. Zanim Nova zakończy trasę między punktami. Któraś z tych krater jest ostatnia i kończy trasę.

Vincent musi tylko odkryć która.

Klasa wygląda zupełnie tak samo, jak ją Mina zapamiętała. W silnym słońcu wpadającym przez okna białe stoły i krzesła wyglądają niemal widmowo. Postaci na tle zieleni muralu stoją w takich samych pozach, jak je zapamiętała.

Sala jest zupełnie pusta.

W pierwszej chwili Mina myśli, że Nathalie się gdzieś chowa, ale nie ma gdzie. Na jednej z ławek w głębi coś leży. I tylko to świadczy o tym, że ktoś tutaj był.

Plecak.

Mina nie widziała go od dwóch lat, ale nie ma wątpliwości, że to plecak Nathalie.

Podbiega do ławki. Na klapie plecaka leży złożona kartka A4. Mina czyta i aż brak jej tchu.

*Cześć ponownie. Mino, ten nadajnik GPS w plecaku to był sprytny pomysł. Jednak potrzebne były nowe baterie. Domyśliłam się, że wybierzesz swoją*

*córkę, nie matkę. Trafny wybór. To samo zrobił mój tata. Niestety, wtedy to nie pomogło, tym razem też nie pomoże. Kiedy to czytasz, piętro niżej twoja mama pije truciznę. A ty jesteś za daleko, żeby pomóc Nathalie. Ale tak było od lat. Szach-mat. Ona należy teraz do mnie.*

*/Nova*

Mina próbuje złapać oddech, ale powietrze nie dociera do płuc. Ręce i nogi są jak nie jej. Coś migocze w jej polu widzenia, pomieszczenie zaczyna wirować. Wie, że powinna ratować Nathalie, a nie może się ruszyć. Próbuje oprzeć się o stół, który wydaje się stać kilometr od niej. Musi być dla Natti, a wie, że nie jest w stanie.

Sztuczne ognie przed oczami biorą górę i Mina czuje, że pada. Nagły ból w ramieniu. Padając, musiała uderzyć się o krzesło. A potem ląduje na podłodze i klasa A311 znika wraz z resztą świata.

Adam słyszy wzburzone głosy dochodzące z auli. Cokolwiek Nova zaplanowała, chyba nie przebiega to gładko. Julia z Rubenem jeszcze nie przyjechali, ale nie można już dłużej czekać. Trzeba działać. Kiwa głową na Pedera, upewniając się, że kolega mu towarzyszy, a następnie wchodzi do środka.

– Policja! – woła do zgromadzonego tłumu. – Proszę natychmiast przerwać to, co robicie. Nikt się nie rusza!

Adam widzi dwie rzeczy jednocześnie. Po pierwsze, że między członkami Epicury doszło do jakichś scysji. Zupełnie nie zwracają uwagi ani na niego, ani na Pedera. Chyba że wśród tego krzyku i zamieszania ich nie zauważyli. Na ziemi koło stołu klęczy młoda kobieta i płacze histerycznie. Obok niej leży mężczyzna wstrząsany konwulsjami. W pomieszczeniu unosi się ostry zapach. Jakby moczu.

– Nie będziemy pić! – woła mężczyzna stojący w grupce siedmiu lub ośmiu osób.

Młody człowiek niewiele starszy od nastolatka podchodzi i pałką wali po kolanach mężczyznę stojącego najbliżej. Ten wydaje krzyk i przewraca się na kilka ciał leżących na podłodze. Wyje z bólu, obejmując kolana. Leżące pod nim ciała nie ruszają się.

– Pijcie – rozkazuje młody człowiek, wywijając pałką przed grupą. – Wszyscy piją. Ból oczyszcza.

Wzdłuż stołu stoją rzędem ludzie i mruczą coś cicho, monotownie.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – powtarzają raz za razem, biorąc do ręki plastikowe kubki i podają następnym.

Płacząca kobieta podnosi się i chce wytrącić im kubki z rąk, ale chwieje się na nogach i udaje im się przytknąć kubek do jej ust.

Drugie, co dostrzega Adam, to pistolet w ręce niskiej sześćdziesięciolatki w płaszczu w kolorze lila. Pistolet jest skierowany w stronę grupki osób, które odmawiają przyjęcia kubków, ale teraz kobieta zwraca go przeciwko niemu i Pederowi. Dostrzegła ich jednak.

– To wy macie się nie ruszać – rozkazuje.

Adam zatrzymuje dłoń na swoim pistolecie, nie ma odwagi chwycić go i kątem oka widzi, że Peder jest w tej samej sytuacji.

– Nova uprzedziła, że być może się pojawicie – mówi. – Więc pistolet jest naładowany. Odłóżcie broń na podłogę. Powoli. Ty pierwszy.

Skinieniem głowy wskazuje Pedera.

Adam zauważa, że dwie osoby spośród stojących przy stole padają na podłogę, wbijając paznokcie w szyje. Mężczyzna, który odmówił picia, woła imię jednej z nich i próbuje się do niej przedostać, ale inni go przytrzymują i podtykają mu kubek do ust.

Starsza kobieta nie spuszcza wzroku z Adama i Pedera. Znow kiwa głową w stronę Pedera, który wyjmując pistolet trzema palcami i wyraźnym ruchem odkłada na ziemię.

– Twoja kolej – mówi kobieta, machając pistoletem w stronę Adama.

Adam trzyma swoją broń trzema palcami, tak jak przedtem Peder. Kobieta jest spokojna, pozbierana. Raczej nie wystrzeli przypadkiem czy z nerwów, ale wolałby, żeby nie zinterpretowała fałszywie jego ruchów, więc powoli kładzie pistolet na podłodze.

Ostry zapach staje się coraz silniejszy, w miarę jak ludzie oddają mocz, leżąc na podłodze wstrząsani drgawkami. Adam stara się oddychać przez usta. Kobieta wspomniała Nowę, ale Adam nigdzie jej nie dostrzega.

– Stańcie tam, przy ścianie – mówi kobieta, poruszając lufą pistoletu. – Żebyście nam nie przeszkadzali, dopóki nie skończymy.

Podnosi głos i woła do kogoś, kto znajduje się w głębi sali.

– Monica, zajmiesz się resztą?

– Oczywiście – odpowiada kobieta stojąca przy stole. – Trochę to zajmie, ale nie będzie problemu. Karl?

Wysoki jasnowłosy mężczyzna, wyglądający na bardzo sprawnego, staje obok niej i uśmiechając się szeroko, podaje jej pałkę teleskopową.

– Przypomnijcie sobie obietnicę Novy – zwraca się głośno Monica do ludzi w sali. – Zostaniecie w końcu uwolnieni od bólu. Wreszcie otrzymacie nagrodę. A w następnym życiu, w podziękowaniu za to, co wycierpieliśmy tutaj, to my



będziemy królami i królowymi. To zrozumiałe, że się boicie. Jednak strach jest złudzeniem. Chodźcie i pijcie, mamy tyle, że wystarczy dla wszystkich.

Niektórzy zerkają na pałkę. Na Karla. Na pistolet, który w tym momencie jest skierowany na Adama. A potem wyrównują szereg przy stole.

– Nie róbcie tego – mówi Peder do kobiety w płaszczu lila. – Mylicie się! Życie nie składa się z samego cierpienia.

– Przeszkadzacie nam – odpowiada tamta, machając lekko pistoletem. – To zostało zaplanowane wiele lat temu, ale przez was musieliśmy wszystko przyspieszyć. Nie jest to optymalne, ale tak musi być.

– Przecież nie możecie pozabijać wszystkich – mówi Peder, robiąc krok naprzód. – To szaleństwo.

Adam wpatruje się w niebieskie plamki na brodzie Pedera. Coś mu migocze w oczach, skok adrenaliny wywołuje u niego widzenie tunelowe. Nie może na to pozwolić, więc kilka razy zaciska mocno powieki. Musi być czujny i w gotowości. Peder robi jeszcze jeden krok, Adam spina się cały.

– My nikogo nie zabijamy – odpowiada kobieta, cofając się, jednocześnie unosi broń na wysokość twarzy Pedera. – Po prostu przechodzimy do następnego etapu. Wszyscy są tutaj z własnej woli, tylko są trochę zdezorientowani, co zrozumiałe. To ważna decyzja.

Robi teraz wymach wolną ręką.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza! – woła.

– Wszystko jest cierpieniem, ból oczyszcza – pada głośna odpowiedź z sali.

Kobieta się uśmiecha.

– Żebyście tylko nie zrobili błędu, myśląc, że go nie użyję – mówi, wskazując pistolet. – Bo zrobię co trzeba. I tak została mi tylko minuta życia, może dwie.

– Ale tyle was ominie – przekonuje Peder.

W jego głosie słychać lekką desperację. Adam rozumie, że Peder chciałby uratować wszystkich. Niebieskobrody Peder, który każdemu dobrze życzy. Jednak nie da się. Fakt, już jest za późno. Na podłodze leży pewnie ze dwadzieścia osób. Adam wie, że nigdy nie zapomni tej chwili, gdy zmuszeni byli patrzeć, jak Nova mordowała wszystkich, którzy w nią uwierzyli.

– Pokażę, co mam na myśli – mówi Peder.

Nie do wiary, ale uśmiecha się pośród tego całego okropieństwa.

– Mam tu filmik z trojaczkami, jak śpiewają do wtóru podczas festiwalu piosenki – mówi, wciąż się uśmiechając.

Robi ruch w stronę tylnej kieszeni.

– Razem z Anisem Don Demina. Jak je zobaczysz, to zrozumiesz, że...

Kobieta strzela. W wielkiej sali huk wystrzału jest jak wybuch gwiazdy.

Pedera rzuca do tyłu, jakby został pociągnięty gumką.

Jego ciało uderza o ścianę.

Ktoś krzyczy głośno.

Może Adam.

**MINA DRGNĘŁA.** Obudził ją jakiś odgłos i wiedziała bardzo dobrze, co to było. Strzał z pistoletu. Zerwała się na nogi, jednocześnie do jej świadomości przedarło się, co napisała na kartce Nova. Wybiegła z klasy na wciąż chwiejących się nogach, ale po drodze wpadła na kilka krzeseł.

Nova napisała, że piętro niżej. Jej mama jest piętro niżej. W auli. Czy Natti też tam jest? Rozgrywka Novy była dezorientująca, Mina nie wszystko rozumiała.

Korytarz wydawał się nie mieć końca, zanim wreszcie dotarła do schodów, zbiegła nimi po kilka stopni naraz. W połowie omal nie upadła, ale zdołała złapać się poręczy. Serce waliło, zmusiła się, żeby ostatnie kroki stawiać trochę spokojniej.

Podchodząc do auli, przez na wpół zamknięte drzwi usłyszała jakieś krzyki i podniesione głosy. Ostrożnie uchyliła drzwi tak, żeby móc zajrzeć i ocenić sytuację. Bił stamtąd potworny smród, jak z gigantycznej kociej kuwety. Adam stał, mierząc z pistoletu do grupy ludzi z podniesionymi rękami. Na podłodze leżała nieokreślona liczba osób, większość nieruchomo. Kilkoro wiło się z bólu. Jednak cokolwiek się tam działo, zostało przerwane. Starsza kobieta w płaszczu w kolorze lila siedziała na podłodze z rękami na plecach. Ktoś, Adam albo Peder, założył jej kajdanki. Kawalek dalej, wśród leżących na podłodze zobaczyła Ines.

– Adam! To ja, Mina! Wchodzę! – zawołała, żeby kolega nie strzelił do niej przez pomyłkę.

Powoli sięgnęła po pistolet, czekając na „dobra!”, że droga wolna. Wtedy otworzyła szeroko drzwi i podbiegła do Ines. Jej mama resztkami sił walczyła o to, żeby mieć oczy otwarte. Obok niej leżał pusty kubek.

– Coś ty zrobiła? Mamo! Gdzie Nathalie?

Ines spojrzała i z wysiłkiem wyciągnęła do niej rękę. Mina chwyciła ją po chwili wahania. Wrażenie było jednocześnie dziwne i znajome. Kiedyś to mama trzymała ją za rękę. Teraz było odwrotnie. Ręka mamy wydawała się krucha i wątpa, jakby najmniejsze ściśnięcie mogło ją złamać. Mina poczuła wściekłość. To nie powinno tak być. Miały tyle do omówienia, tyle pytań domagało się odpowiedzi. W tym jedno najważniejsze. Mina spojrzała jej błagalnie w oczy.

– Mamo, gdzie jest Nathalie?

– Mina, ja ją oszukałam – odezwała się Ines ochryple. – Naprawdę. Oszukałam Novę. Przepraszam. Nie rozumiałam... Dopiero pod sam koniec. Nie wiedziałam, co zrobiła, co tamci zrobili. Ale kiedy to sobie uzmysłowiłam, zrobiłam, co

mogłam. Dla ciebie. Dla Nathalie. Ona chciała zabić Nathalie. Zdałam sobie z tego sprawę, zanim było za późno. Więc powiedziałam Novie, że kupi sobie czas, zabierając ze sobą Nathalie. Bo potrzebuje czasu, by dokończyć dzieła. Że jest zbyt ważna, aby zginąć teraz razem z nami. Wiedziałam, że przez ten swój narcyzm posłucha...

– Dokąd ją zabrała?

Ines zakaszlała, widać było, ile ją kosztuje wypowiedzenie każdego słowa. Mina nie chciała jej zostawiać, ale myśl o Nathalie kazała jej już wstać. Ines ścisnęła jej rękę.

– Przepraszam cię. Za wszystko. Przepraszam.

A potem Ines wypuściła dłoń córki i zamknęła oczy.

**ZADZWONIŁ TELEFON** Vincenta. Mina. W samą porę.

– Wiem, co miała na myśli Nova – powiedział od razu. – Nathalie i Ines są w dwóch różnych miejscach.

– Wiem – odparła głośno Mina. – To mama o to zadbała, żeby Nathalie znalazła się z dala stąd. Jednak nie zostało nam chyba dużo czasu. A ja nie wiem, gdzie ona jest. Kurde, nie wiem, gdzie się znajduje! Tyle się tutaj działo, pili truciznę, a Ines... ona... Boże, ona...

Coś się stało. Głos Miny to się przybliżał, to oddalał, jakby nie potrafiła nad nim zapanować. Vincent słyszał w tle wołanie Adama, ale nie było czasu, żeby pytać, co się stało. Najpierw Nathalie, potem wszystko inne. Taką kolejność powinien zachować, jeśli w ogóle ma pomóc w czymkolwiek.

– Ja wiem, gdzie ona jest – powiedział, przebiegając przez ulicę do swego samochodu. – Nova napisała ci w tej wiadomości, że musisz przejść całą drogę, żeby ją znaleźć. Pamiętasz? Więc zrobiłem to. Wykalkulowałem pozostałą część jej *Knigth's tour*. Zabrało mi to trochę czasu, ale już jestem pewien. Jeśli chciała uzyskać matematycznie symetryczny schemat, to na szachownicy, przepraszam, na mapie, jest tylko jeden kwadrat, na którym można to zakończyć. Mieszczą się na nim zarówno Reimersholme, jak i Långholmen. Jednak nie wydaje mi się, żeby to było Reimersholme. Zważywszy na jej skłonności do dramatyzmu, mogę się założyć, że znajduje się teraz w dawnym więzieniu na Långholmen, dziś hotelu i hostelu.

Podszedł do auta, grzebiąc w kieszeni.

– Ale to jest na drugim końcu miasta! – krzyknęła z rozpaczą. – Dotarcie na miejsce zajmie mi nie wiem ile czasu. A Ines...

– Już tam jadę – odparł, znalazł kluczyk i otworzył auto.

– Vincent?

– Tak. – Zatrzymał się w pół ruchu.

– Jedź szybciej.

– **MOJA CÓRKA I NOVA** są na Långholmen, muszę tam jechać – powiedziała Mina, odstępując o krok od ciała Ines.

Z tyłu dochodziły głucho brzmiące słowa Adama, mówił coś do niej, i to kilka razy, ale nie była w stanie słuchać. Myśl o Nathalie zagłuszyła wszystko inne.

– Mina! – zawołał do niej.

Drgnęła i się odwróciła.

– Mina, musisz coś wiedzieć.

Dźwięk policyjnych syren był coraz głośniejszy. Przybywały posiłki. Rozejrzała się. Adam miał chyba sytuację pod kontrolą, nie musiała tu zostać, czekać na kolegów.

– I wyjaśnić, co twoja córka robi u Novy, nawet nie wiedziałem, że masz córkę.

– Nie mam czasu, muszę znaleźć Nathalie – powiedziała niecierpliwie, idąc w stronę drzwi.

– Mina!

Adam trzymał wciąż pistolet wymierzony w grupę członków Epicury, którzy nie przejawiali najmniejszej chęci sprzeciwu. Skinął głową, wskazując podłogę tuż obok drzwi. Przedtem nic nie zauważyła. Teraz dostrzegła parę butów wystających zza jakichś krzesel. Najpierw myślała, że to kolejny członek sekty, który napił się trucizny. A potem rozpoznała skarpetki. Jego ulubione skarpetki z Bartem Simpsonem. Zrobiła parę kroków w tamtą stronę.

Nie chciała.

Nie chciała widzieć.

Nie chciała wiedzieć.

Ale musiała. Jeszcze parę kroków. I nie mogła powstrzymać krzyku. Przeraziwego, rozdzierającego. Za krzesłami leżał na wznak Peder. Z brodą w niebieskie plamy i szeroko otwartymi oczami. Jedynie czerwone kółeczko na policzku zdradzało, że coś jest nie tak. Kółeczko i rozbryzgi na ścianie od krwi, która teraz płynęła swobodnie z wielkiej dziury na potylicy Pedera.

– Ona go zastrzeliła – powiedział Adam, wskazując, ale nie patrząc na siedzącą na podłodze starszą kobietę w kajdankach.

Powiedział to monotonnym głosem, jakby mu już nie wystarczyło emocji.

Za dużo było tego wszystkiego. Mina czuła, że nie ma już siły na więcej śmierci. Z oczami pełnymi łez odwróciła się i pobięła do wyjścia. Pederowi nie

mogła już pomóc. Ale mogła, musiała pomóc Nathalie.

**VINCENT JECHAŁ** Söder Mälarstrand w kierunku Långholmen. Po prawej stronie mieniły się w słońcu wody jeziora Melar, ale nie miał czasu na podziwianie widoku. Choć raz cieszył się, że to upalny poniedziałek w samym środku sezonu urlopowego, bo droga przed nim była w większości pusta. Zrobił, jak prosiła Mina, czyli jechał tak szybko, na ile starczyło mu odwagi.

– Vincent – odezwał się Christer przez telefon głośnomówiący.

Vincent zadzwonił do niego, kiedy tylko wsiadł do auta.

– Mam już te informacje, wszystkie rezerwacje zarówno w hotelu, jak i hostelu. Tak jak prosiłeś. Mają dość pełne obłożenie w związku z sezonem letnim.

Vincent skręcił na niewielki most prowadzący na Långholmen, wyspę pyszniącą się posiadaniem jednego z najstarszych gmachów więziennych w Sztokholmie.

– Jednak wczoraj wieczorem mieli dość dziwną rezerwację – ciągnął Christer. – Pokój sto dwadzieścia jeden. Potrzebowała go tylko na trzy godziny. Dlatego przyjęli tę rezerwację. Domyślasz się, kto to.

– Nova – powiedział Vincent, wjeżdżając na parking. – Dziękuję.

Szybko zaparkował i pobiegł pod górę do dawnego więzienia, obecnie służącego za hotel.

Skupić myśli. Nie zastanawiać się, z czym się spotka. Nie pozwolić sobie na emocje. Podobała mu się symetria w numerze pokoju. 121. Zaczyna się tak, jak się kończy. A w środku podwójność. Krzywa rozkładu normalnego.

Tyle że tu nic nie było normalne. Nathalie była w zasadzie w tym samym wieku co Rebecka. Jeśli nie zdąży na czas... Nie, tak nie można. Skupienie.

Spojrzał w górę na żółty kamienny budynek. Wiedział, że więzienie zostało ukończone w 1880 roku. Budowa zabrała sześć lat. 18 plus 80 równa się 98. Minus sześć lat równa się 92. Węzienie zaczęto likwidować w 1972 roku. 1972 minus 1880 również daje 92.

Hm. Ciekawe. Może istnieje tu jakiś matematyczny związek, ale nie znalazł go, a nie lubił, kiedy przypadek okazywał się symetryczny bez powodu. Jednak 92 plus 92 równa się 184. 18/4. Osiemnasty kwietnia, urodziny Davida Tennanta, jeśli dobrze zapamiętał. Tego samego, który był ulubionym aktorem Benjamina w serialu *Doctor Who*.



Otwierając drzwi do hotelowego westybulu, zwizualizował sobie alfabet. Pogrupował po trzy litery i doszedł do tego, że litery DOCTORWHO znajdują się na miejscach 4, 15, 3, 20, 15, 18, 23, 8 i 15. A suma tych liczb to... 121.

Krzywa rozkładu normalnego.

Pokój, gdzie Nova czeka razem z Nathalie.

Oby nie przyszedł za późno.

W recepcji wytłumaczyli mu, jak trafić do pokoju na pierwszym piętrze. Z jakiegoś powodu za krótką ladą recepcji znajdowały się trzy osoby. Trzy boki trójkąta. Mamine grzanki. Nie mogły wystarczyć dwie osoby?

Wbiegł na piętro i dalej wzdłuż rzędu cel starego więzienia; przypomniał sobie, że dwa razy trzy równa się sześć. Fajna parzysta liczba.

Zatrzymał się przed celą numer 121 i zdał sobie sprawę, że nie przygotował sobie żadnego planu. Jednak nie było czasu. Dotknął klamki i drzwi się otworzyły. Nie były zamknięte na klucz.

Nova siedziała przy stole, właśnie miała nalać coś z butelki do małej szklanki.

– Cześć, Vincent – uśmiechnęła się, odstawiając butelkę. – Zaczęłam już tracić nadzieję.

– Sorry, utknąłem w korku – odparł, rozglądając się szybko.

Nie dostrzegł w pokoju nic groźnego, co świadczyłoby o niebezpieczeństwie. Zobaczył szklankę i butelkę na stole przed Novą, elegancko ubraną w niebieski kombinezon. Młoda dziewczyna – musiała to być Nathalie – siedziała naprzeciw niej na łóżku, miała na sobie biały T-shirt i białe spodnie. Wszystko to sprawiało wrażenie braku jakiegokolwiek przymusu.

– Cześć, Nathalie – odezwał się. – Mam na imię Vincent, jak już słyszałaś. Jestem przyjacielem...

– Twojej mamy – dokończyła Nova.

Słyszając to, Nathalie zgarbiła się, skrzyżowała ręce na piersi i ze złością zaczęła wpatrywać się w łóżko.

– No i... co teraz? – spytał.

– To bardzo proste – odpowiedziała Nova. – Moja wolność w zamian za wolność Nathalie. Oddaję ci dziewczynę, a ty przekonujesz policję, żeby przestała mnie szukać.

– A skąd wiesz, że policja już nie otoczyła tego miejsca?

Nova uśmiechnęła się do niego swoim pięknym uśmiechem.

– Mój drogi, przecież wiem, ile mają roboty w Östra Real. Upłynie sporo czasu, zanim będą mogli dojechać. I wiem, że nie są równie sprytni jak ty i ja. Nikt oprócz ciebie nie wpadłby na to, że jestem tutaj. Podejrzewam, że kiedy to zrobiłeś, od razu rzuciłeś się do samochodu. Co oznacza, że jesteś tu sam.

Vincent usiadł na jedynym wolnym krześle. Miała rację, nie było sensu udawać, że jest inaczej.

– Nathalie, bardzo mi przykro z powodu tego wszystkiego – powiedział, patrząc na dziewczynę. – Żadne z nas nie zdawało sobie sprawy z tego, co wyprawia twoja babcia.

– Nie przydawaj Ines zbyt wielkiego znaczenia – fuknęła Nova. – Kiedy tylko dowiedziałam się, że w dochodzeniu uczestniczy jej córka i że w dodatku ta ma córkę imieniem Nathalie, poprosiłam Ines o skontaktowanie się ze swoją wnuczką. Nigdy za wiele asów w rękawie.

– Co ty mówisz? – odezwała się siedząca na łóżku Nathalie. – Babcia...

– Twoja babcia zrobiła to, o co ją prosiłam – odparła Nova. – Już miesiąc temu zdawałam sobie sprawę, że prędzej czy później wykorzystam cię do moich celów. Naprawdę myślisz, że to przypadek, że Ines wsiadła z tobą do tego metra?

Nathalie zwinęła się w kłębek, jakby chciała zniknąć.

– A więc twoja wolność w zamian za wolność Nathalie? – spytał Vincent. – Zdajesz sobie sprawę, że zadzwonię na policję, jak tylko stąd wyjdiesz? Nigdy nie przestanę cię ścigać.

– Dla ciebie lepiej, żebyś ich przekonał – odparła. – Powiem im, gdzie znajdują Nathalie, ale dopiero gdy będę miała pewność, że jestem bezpieczna. Czyli to policja zdecyduje, kiedy i czy w ogóle ujrzą kiedyś Nathalie.

– A dlaczego myślisz, że po prostu nie zabiorę stąd Nathalie, a ciebie nie przekażę policji? – powiedział Vincent, wyjmując swój telefon. – Nie bardzo widzę, jak mogłabyś mi w tym przeszkodzić.

– Ja może nie, ale dlaczego sądzisz, że jestem tu sama? Zapewniam cię, że jeśli spróbujesz opuścić hotel z Nathalie, nie przejdiesz nawet przez parking.

No tak, całkiem prawdopodobne, że Nova się zaasekurowała. Choć ciągle dotykała szyi, kiedy mówiła. Dotyk fizyczny hamuje wydzielanie hormonu stresu, stąd ten odruch. Czy zatem możliwe, że Nova kłamie? Przesunięcie wszystkiego na dziś musiało być skutkiem nagłej decyzji, a pierwotny plan raczej nie przewidywał obecnej sytuacji, że Nova nie jest razem z pozostałymi osobami z Epicury. Czy na pewno miała czas zorganizować sobie własną ochronę?

Wyjrzał przez okno. Po parkingu chodziło bez celu trzech mężczyzn w białych kurtkach, które wydawały się zupełnie nie na miejscu w tym upale. Może to turyści, a może Nova mówi prawdę i są to jej ludzie. Vincent nie wiedział, jak miałby to ustalić.

Natomiast nie wierzył ani przez chwilę, że Nova pozwoli odejść Nathalie. Miała na sumieniu życie tylu osób, że jedna więcej nie ma już znaczenia. Zaczęła kopać grób tej dziewczynie już w momencie, gdy Nathalie przyjechała do ośrodka Epicury. A on wtedy przekonywał Minę, że Nova jest niegroźna. Gdyby nie on,

Nathalie zostałaaby dawno temu zabrana stamtąd przez swego ojca. To jego wina. I jego rzecz, żeby to naprawić. Zerknął znów przez okno. Trzej mężczyźni wciąż tam byli.

Prawdopodobieństwo, że są ludźmi Novy, nie było duże, zważywszy na presję czasową, pod którą się znajdowała, i fakt, że nieświadomie zdradzała silny stres. Jednak nie mógł wykluczyć, że mówiła prawdę.

Możliwość, że są to ochroniarze Novy, ocenił na 30 procent, a na 70, że nie. A jeśli są, to na ile było prawdopodobne, że udałoby im się obezwładnić jego i Nathalie? Z hotelu prowadziło wiele dróg. Mieli niezłą szansę ucieczki, tak by tamci się nie spostrzegli, dopóki nie będzie za późno. Prawdopodobieństwo, że w takiej sytuacji im się uda, wynosiło jednak 20 procent. 20 procent z 30 to 6. A więc mieli 6 procent szans, że im się uda, jeśli to rzeczywiście ochroniarze. 70 procent w innym przypadku. Co znaczy, że on i Nathalie mają 76 procent szans, jeśli obezwładnią Novę i uciekną, niezależnie od tego, czy tamci są, czy nie są ochroniarzami.

Jednocześnie istniało 24 procent ryzyka, że zostaną złapani, a wtedy na prawie sto procent jedno z nich albo oboje przypłaciliby to życiem.

Nie mógł wziąć na siebie tego ryzyka.

– Okej, wygrałaś – powiedział, odkładając telefon. – Ale ja wciąż nie rozumiem, dlaczego tu jesteśmy. Jeśli tylko chcesz użyć Nathalie do szantażu, to łatwiej byłoby ci to zrobić przez telefon z nieznanego miejsca. Dużo ryzykujesz, że tu jesteś.

– Nie – odparła, marszcząc czoło. – Chodzi o moją Ścieżkę Hamiltona, która kończy się w tym miejscu. Muszę tu być, bo tutaj odbywa się ostatni ruch. Sam widziałeś. Muszę iść tą drogą aż do końca. Moim następnym miejscem będzie start do czegoś nowego, nie wiem jeszcze, dokąd mnie zaprowadzi ta droga. Jednak najpierw muszę to dokończyć.

Vincent patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Przedtem doszedł do wniosku, że morderca jest niewolnikiem własnych reguł matematycznych, ale tu chodziło o coś więcej. Nova była obłąkana. Błyskotliwa, ale obłąkana. I zapewne tylko sekundy dzielą go od tego, że Nova wyjdzie, zabierając ze sobą Nathalie. Sekundy od tego, że Vincent utraci na dobre córkę Miny. Musiał skłonić Novę do pozostania, aż on coś wymyśli. Ale co?

Co

Co

Co

Coś, co mówiła. Że musi pójść tą drogą aż do końca. Do ostatniego posunięcia.

Jest.

Miał to.

Udowodniłaby wtedy, że jest od niego sprytniejsza. Jest osobą tak narcystyczną, że się temu nie oprze.

– Jak mówiłaś, to twoje ostatnie pole – powiedział. – Ostatnia zagrywka. Jednak ostatnim ruchem nie może być szantaż. To zbyt... tandetne jak na ciebie.

Jej uśmiech już nie obejmował oczu.

– A skoro już mowa o grze – ciągnął – to nie rozumiem tych puzzli, które mi przysyłałaś. Czy chodziło o to, żeby odwrócić moją uwagę od dochodzenia, na wypadek gdyby mnie zatrudnili? Jestem pełen podziwu dla twojej operatywności, żeby już dwa lata temu, cały rok przed porwaniem Lilly, wysłać wycinek artykułu Rubenowi. Boję się jednak, że te puzzle nie odniosły skutku, na który liczyłaś, bo jednak jestem tutaj.

To był ślepy strzał. Nova na pewno była dumna z tego, że potrafi planować tak starannie. Liczył, że słowo o tandecie albo że jej pomysł nie wypalił, sprowokują ją do tego, by z czystej dumy zgodziła się na jego propozycję.

– Nie wysłałam ci żadnych puzzli ani wycinka z gazety – powiedziała.

Jej uśmiech całkiem znikł.

Tego się nie spodziewał. Mogła oczywiście kłamać, chociaż nie sądził, aby tak było. Na to była zbyt dumna ze swego dzieła. Ale jeśli to nie Nova, to kto? Zmarszczył czoło. Teraz nie miał na to czasu. Zostawił to na później.

Uśmiechnął się do niej i wziął ze stołu butelkę. Mina wspomniała, że w Östra Real była trucizna. Płyn w tej butelce to pewnie więcej tego samego towaru, tym razem przeznaczony dla Nathalie.

Najwyższy czas. Docisnął Novę mentalnie, jak tylko mógł. Wszystko zależy teraz od tego, czy zareaguje tak, jak oczekiwał, i przyjmie jego wyzwanie.

– Zagrałaś w szachy sama ze sobą i dotarłaś do kresu drogi. Dosłownie. Nawiasem mówiąc, namalowałaś bardzo piękny wzór nad miastem. Kiedy zobaczyłem, że nawet jest symetryczny... To było coś, naprawdę ekstra. A więc skoro dotarliśmy do ostatniego pola, to rozegramy tę grę, tak jak należy. Bo co za sens rozgrywać partię szachów, jeśli nie jest to gra o coś? Co za sens wkraczać jutro na nową drogę, jeśli tej nie dokończyłaś, tak jak należy? Zaimprovizowanym szantażem. Oboje wiemy, że jesteś za dobra na coś takiego. Zagramy szach-mat. Domyślam się, że masz więcej szklanek?

Nova wpatrywała się w niego, potem znów się uśmiechnęła i ze swojej torebki Louis Vuitton wyjęła dwie szklanki razem z jeszcze jedną butelką.

– Bez trucizny, mam nadzieję? – spytał.

– Sok gruszkowy.

Postawiła tę butelkę obok poprzedniej. Zawartość wyglądała identycznie, ale jedna była śmiertelna. Druga miała smak owoców. Nova spojrzała mu w oczy.

– Jeśli wygram, a ty wypijesz truciznę, dostanę Nathalie – powiedział. – A wtedy ostatnią rzeczą, jaką zrobisz w tym życiu, będzie rozkazanie twoim ochroniarzom, żeby nas zostawili w spokoju. A ty będziesz w końcu wolna od twego przewlekłego bólu. Jeśli wygrasz, a ja umrę, dostaniesz Nathalie i będziesz mogła dokończyć swój plan. Wiem, że nie zdążyłaś dojść do czterech pól. Nie zabiłaś czworga dzieci. Więc tak czy tak wygrasz.

Nathalie otworzyła szeroko oczy.

– Jakich dzieci? – spytała, patrząc z desperacją na Novę. – O czym on mówi?

Nova nie patrzyła na nią, wciąż miała wzrok skierowany na Vincenta. O ile Gustav miał w oczach żar, to oczy Novy płonęły jak wulkan.

– Nie rozumiem – powiedziała przerażona Nathalie. – Jaka trucizna? Będziecie grać o mnie, jakbym była jakimś pionkiem? Nie zgadzam się! Nova, powiedz coś. Wyłumacz mu, że się myli, że nie chcesz niczyjej krzywdy.

Nova nie odpowiadała.

– Przypuszczam, że możliwość, jaką Nova chciała ci zaoferować, była taka, żebyś sama zagrała – mówił dalej Vincent. – Ale nie z dwiema butelkami, tylko jedną. Chciała cię otruć po wyjściu stąd. Wcale nie miała zamiaru użyć cię jako karty przetargowej w rokowaniach z policją. Zamierzała tylko zabić cię i uciec. Teraz masz przynajmniej pięćdziesiąt procent szans, że wyjdiesz z tego cało. Jeśli się nie uda, to trudno. Lepiej żebym to był ja niż ty.

Mówiąc, cały czas patrzył na Novę. Bał się, że jeśli spojrzy na Nathalie, nie da rady zrobić tego, co konieczne. Uważał, że ponosi winę, że nie dostrzegł na czas sygnałów ostrzegawczych. Musi zrobić to dla Nathalie. Tak bardzo przypominała mu Minę. Uzmysłował sobie, że jest gotów zrobić dla niej wszystko.

– Przykro mi, Nathalie – powiedział. – Wiem, że to mało, ale to najlepsze, co mogę zrobić.

Odkręcił zakrętkę butelki z trucizną i nalał do jednej szklanki, uderzając mocno o brzeg szklanki, żeby ściekła ostatnia kropla. Następnie odstawił butelkę i nałożył zakrętkę. Nova nie odrywała oczu od jego rąk. Vincent wziął następną butelkę i zabrał się do napełniania drugiej szklanki.

– Jesteś pewien, że wzięłaś właściwą butelkę? – spytała Nova, uśmiechając się.

– Mam taką nadzieję. – Odpowiedział jej uśmiechem. – W przeciwnym razie mogłoby się zdarzyć, że nalałem trucizny do obu szklanek. Głupio by było.

Przestała się uśmiechać.

– Nathalie – powiedział Vincent. – My się teraz odwrócimy i policzymy do dziesięciu. A ty kilka razy zamienisz szklanki miejscami, żebyśmy nie wiedzieli, która jest która.

– Nie chcę – odpowiedziała słabym głosem Nathalie.

– Ja też nie, ale i tak to zrobimy. Raz...

Gestem nakazał Novie, żeby się odwróciła, i zrobił to samo. Licząc głośno do dziesięciu, słyszał chrobot przesuwających się szklanek.

– ...i dziesięć.

Odwrócił się jednocześnie z Novą. Szklanki stały tak jak przedtem. Były identyczne.

– Pijemy jednocześnie – powiedział, biorąc jedną.

**NOVA OPRÓŻNIA** swoją szklankę jednocześnie z Vincentem. Patrzy na mentalistę. W ustach ma smak gruszek. To nic nie znaczy, bo trucizna ma taki sam smak jak sok.

Teraz, gdy ciecz spływa do żołądka, Nova wczuwa się, sprawdza, czy jest jej niedobrze, czy pali ją w środku albo ściska w gardle. Nic. Czas stoi w miejscu.

Wącha swoją szklankę. Nadal tylko zapach gruszki.

Przygląda się twarzy Vincenta.

Mentalista zastygł z ręką w powietrzu. Jego źrenice rozszerzają się powoli.

Jego dłoń wykonuje powolny ruch w dół, wreszcie opada bezwładnie na stół. Pusta szklanka uderza o blat i wypada mu z ręki, toczy się po nim, zostawiając za sobą cienką strużkę płynu.

Vincent patrzy na nią, ale jego wzrok nie jest skupiony, najwyraźniej widzi coś innego niż to, co jest w tym pokoju.

Następnie Vincent zaczyna się przekrzywiać na bok, by w końcu zwalić się z krzesła na ziemię. Głowa uderza z trzaskiem o podłogę.

Nova czeka jeszcze kilka sekund. Nathalie zwinęła się w kłębek na łóżku. Z głową schowaną między kolanami kiwa się w tył i w przód. Może i dobrze. Nie musi tego widzieć.

Nova nie sądziła, że pójdzie jej tak łatwo. Jednak pycha kroczy przed upadkiem, a Vincent był pełen pychy.

Wstaje i podchodzi do mentalisty leżącego na podłodze. Jego oczy są częściowo zamknięte. Klatka piersiowa unosi się i opada w płytkim oddechu. Trwa to kilka sekund, potem całkiem ustaje.

Nova kuca obok i sprawdza mu tętno.

Nic.

– Szach-mat – mówi i się podnosi.

Strzepuje kombinezon i zabiera torebkę, potem odwraca się do Nathalie.

– Muszę sprawdzić, czy rzeczywiście był sam, czy na dole nikt na nas nie czeka – mówi. – Nie ruszaj się stąd, bo będziesz musiała wypić to samo co on.

Nova liczy, że dziewczyna jest na tyle wystraszona, aby być posłuszna. Chyba tak jest, zważywszy na przerażenie w jej oczach.

Nova otwiera drzwi i wychodzi na korytarz.

Wygrała.

Aż nie może w to uwierzyć, ale naprawdę wygrała. Jest wolna i może kontynuować swój plan. Oczywiście musi zniknąć, co jest tragiczne, zważywszy na to, co zbudowała. Dla Epicury to koniec, ale Nova zawsze może zostać ponownie Jessicą.

Opiera się dłonią o ścianę i dyszy. Dzień był jednak bardziej wyczerpujący, niż myślała. Nathalie przyda jej się, żeby utrzymać policję na odległość, gdy ona będzie szukać sobie schronienia. A potem Nathalie może... zniknąć. Potem trzeba będzie odczekać rok, dwa, żeby zacząć wszystko od nowa. Została jej jeszcze czwórka.

Jeszcze czwórka dzieci, żeby zadośćuczynić Johnowi.

Nova znowu rusza, ale potyka się o własne nogi. Co jest, do cholery? Powinna zachowywać się naturalnie, na wypadek gdyby ktoś ją zobaczył.

Wraca myślami do tamtej czwórki. Policja nie domyśliła się, co to za dzieci ani dlaczego zginęły. Zatem nie powstrzymają jej. Ma tyle czasu, ile potrzeba.

Nagle robi jej się duszno. Ogarnia ją fala zawrotów głowy. To coś więcej niż wyczerpanie.

Nova spogląda w stronę otwartych drzwi pokoju numer 121. Vincent wciąż leży na ziemi bez życia.

O, nie.

Nova widzi przed sobą scenę, gdy nalewał truciznę. Najpierw do jednej szklanki, potem... Idiota, on to naprawdę zrobił. Niby żartował, a to było na serio. Miał tylko jeden pewny sposób, żeby ją powstrzymać, i zrobił to.

Poświęcił się dla Nathalie.

Nalał truciznę do obu szklanek.

W gardle robi jej się obrzęk, Nova pada na podłogę, drapiąc się w szyję. W płucach ma ogień, jakby je ktoś podpalił. Myliła się. Już nie chce pozbyć się bólu. Chce żyć i to jest warte każdego bólu. Choć jakaś część niej godzi się z tym, co się dzieje. Do tej pory to zawsze ona przeżywała. Ceną było to, że umierał ktoś, kto wiele dla niej znaczył. Ojciec ratował ją zamiast matki. Doprowadziło to tylko do utraty obojga rodziców. A sama żyła dalej.

Więc może choć raz jest to sprawiedliwe.

Jednak chciałaby to kontynuować.

Żyć dalej.

Z poczuciem winy. Z bólem.

Nova leży na korytarzu, skąd widzi Vincenta na podłodze w celi. W jej polu widzenia tańczą gwiazdy, może nowe, może to jej gwiazdy, komunikujące, że tlen się kończy, że serce się poddaje. Wyciąga rękę w stronę Vincenta, usiłuje go dosięgnąć przez tę przestrzeń wypełnioną gwiazdami. Chce spytać, czy też żył z bólem. Jak sobie z tym radził. Czy teraz czuje się wolny.



Juž pora.

– **NATHALIE!** – zawołała Mina, jak tylko mogła najgłośniej. Wbiegła po schodach na piętro, gdzie prawie potknęła się o leżącą na korzytarzu Novę.

– Tu jestem! – odezwał się młody dziewczęcy głos.

Nathalie. Gdzieś trochę dalej.

– Czekaj, zaraz będę – odkrzyknęła Mina.

Nachyliła się nad Novą, szukając znaku życia. Nie była w stanie znieść więcej śmierci. Po Pederze, po Ines, po ludziach z Epicury. To było tak potwornie bez sensu. W ciągu ostatniej godziny widziała więcej śmierci, niżby się spodziewała oglądać przez resztę swego życia. Gdyby istniała szansa uratowania Novy, podjęłaby ją, mimo nienawiści do niej za wszystko, co zrobiła. Jednak Nova wydawała się stracona. A tam jest Nathalie.

Julia z Rubenem znajdowali się tuż za nią, niech dzwonią po karetkę, jeśli już nie jest za późno. Wstała i pobiegła w stronę otwartych drzwi, skąd dobiegał głos.

Zanim jeszcze weszła do środka, zobaczyła, że ktoś leży na podłodze, ale myślała tylko o tym, by nie okazało się, że to jej córka.

Wbiegła i zaskoczyła ją. Nathalie siedziała skulona na łóżku.

– To ty? – powiedziała. – Pamiętam cię.

Mina przytaknęła. Temtego lata, było to dwa lata temu, piły razem kawę w Kungsträdgården, ale Mina nie powiedziała jej wtedy, kim jest. Nie sądziła, że Nathalie będzie pamiętała to spotkanie.

– Więc ty jesteś moją mamą? Nic z tego nie rozumiem.

Mina już nie słuchała, bo zobaczyła, kto leży na ziemi. I nie chciała przyjąć tego do wiadomości, nie zgadzała się. To nie może być Vincent. Jej Vincent. Który dotarł do jej wnętrza. Jako jedyny, któremu na to pozwoliła.

A teraz leży, jakby się w ogóle nie zastanowił, co jej tym wyrządzi.

– Coś ty zrobił? – wymamrotała, patrząc na mentalistę. – Vincent, coś ty zrobił?

Upadła na kolana, by szukać u niego oznak życia, jak przedtem u Novy. I podobnie jak u Novy, nie znalazła.

– Zadzwoniliśmy po karetkę – powiedziała Julia, wchodząc do pokoju – chociaż jestem dość pewna, że Nova nie żyje, więc my...

Urwała na widok Vincenta.

– Ojej. Mina...

– No więc czy ty jesteś moją mamą? – spytała znów Nathalie.

Mina nie miała siły odpowiedzieć. Właśnie odzyskała swoją córkę. Powinna być przeszczęśliwa. A jednak wstając z podłogi, od Vincenta, wstając, żeby ciągnąć to dalej, do końca tego dnia i następnego, do końca miesiąca i roku, przez resztę swego życia bez niego, bez Vincenta, nie liczyło się dla niej nic na świecie poza smutkiem.

**CHRISTER SPOJRZAŁ** z obrzydzeniem na czarne i białe pola na ekranie laptopa. Zupełnie mu przeszła ochota na szachy. Córka Johna Wennhagena, Jessica, znana jako Nova, zepsuła mu tę przyjemność raz na zawsze. Chora osoba. Przez nią Mina straciła matkę. Dzięki Vincentowi przynajmniej odzyskała córkę. Christer nie miał innych wiadomości po tym, jak Nathalie trafiła wczoraj z Långholmen prosto do szpitala. Miał nadzieję, że dziewczyna ma się dobrze. Śmieszna rzecz, jeszcze kilka dni temu nawet nie wiedział, że Mina ma rodzinę.

Zerknął znów na szachownicę na ekranie. Chciał tylko dokończyć partię, która czekała od tygodnia, a potem będzie koniec.

Wiedział, że lada moment czeka go upokorzenie. Jakikolwiek ruch i będzie po wszystkim. Próbował odwlekać jak najdłużej to, co nieuniknione, ale niechby już miał to za sobą.

Na liście partii zaznaczył tę rozpoczętą i kliknął, otwierając ją. Pionki były rozstawione na pozycjach, gdzie je zostawił. Przyjrzał się konfiguracji, starając się z niej wyczytać, czy miał przedtem jakiś plan, a w takim razie jaki.

Zdecydowanie nie wyglądało to na żaden plan.

Był bez szans.

Obojętnie zrobił kilka ruchów, żeby skrócić męczarnie. Jednak na szachownicy nie pozostało zbyt wiele pionków. Widocznie przed przerwą szło mu i tak lepiej niż zwykle. Przesunął skoczek, który mu jeszcze został. I nagle odezwał mu się w głowie Vincent, od tygodni powtarzający te same słowa.

Skoczek.

Koń.

Hippo.

HORSE.

Arab pełnej krwi.

*My Little Pony.*

*The Psychology of the Pawn.*

*Knight's tour.*

Turagapadabandha.

Niech to szlag. Po prostu. Komputer zrobił ruch i Christer ponownie przesunął skoczek. Nagle program szachowy wydał dźwięk, którego Christer nigdy dotąd nie słyszał.

Na ekranie błysnął napis WINNER: WHITE.

Grał białymi. A niech to. Wygrał. Po tylu miesiącach.

Christer przyjął do siebie tę informację. Następnie zamknął grę, odszukał aplikację z programem szachowym i przeciągnął do kosza. Kliknął na „Opróżnij kosz” i usłyszał przyjemny szelest towarzyszący usunięciu programu raz na zawsze.

– **NAPIJESZ SIĘ KAWY** przed wyjściem?

Ruben próbował zorientować się, czy pytanie nie jest wstępem do jakiejś reprimendy i czy Ellinor nie przybrała tej swojej miny, że chce „poważnie porozmawiać”.

Nie pochwaliła go bynajmniej, dowiedziawszy się, że tydzień temu Astrid była z nim na zebraniu dotyczącym mordowania dzieci. Co za cholerny facet z tego Vincenta. Chociaż nie powinien chyba myśleć o nim w ten sposób, na pewno nie po tym, co się wydarzyło na Långholmen.

Tym razem Ruben nie mógł sobie przypomnieć, żeby popełnił jakiś błąd. Zresztą Ellinor nie wyglądała na zagniewaną. Choć była prawdziwą mistrzynią druzgocących i jednocześnie rzeczowych uwag. Filiżanka kawy mogła oznaczać uprzejmą rozmowę, po której nie będzie mógł więcej spotykać się z Astrid.

Zerknął na córkę, która nadal miała na sobie białe kimono z treningu. Podobno nie sposób było namówić ją, żeby w domu nosiła coś innego.

– Tak, poproszę – odparł ostrożnie. – Jeśli nie będę przeszkadzał?

– Chodź, Ruben – powiedziała Astrid, biorąc go za rękę. – Możemy zjeść jeszcze jeden deser. Chcę pokazać mamie mój *choke hold*.

– Jeszcze jeden deser? – Ellinor uniosła brew.

– Były jakieś lody po treningu – odparł, chrząkając. – Może i dwa.

Podczas spotkania z Astrid postarał się o miły nastrój, żeby nie myśleć za dużo o Pederze. Albo o Anette i trojaczkach. Czy poświęceniu Vincenta dla córki Miny. Upłynęły dopiero dwa dni i Ruben nawet nie zaczął sobie radzić z tym wszystkim. Nie chciał jednak, aby Astrid oglądała smutnego tatę. Może nawet liczył, że będzie to dla niego swego rodzaju terapia. Jednak nie bardzo mu się udawało odsunąć te myśli od siebie. Za dużo tego było. A więc przykrył je pójściem na lody i chyba pomogło.

Poszedł do kuchni za Ellinor. Astrid zdążyła już usiąść i zabrać się do rysowania. Zdecydowanie odziedziczyła zdolności po mamie. Ellinor postawiła przed nim filiżankę.

– Chcesz soku? – spytała córkę, która właśnie wstała i spróbowała obezwładnić mamę.

– Tak, sensei! – odparła Astrid, puściła mamę i się ukloniła.

Ellinor się zaśmiała. Dziesięć lat nie słyszał tego śmiechu i dopiero teraz do niego dotarło, jak bardzo mu go brakowało.

– Wcześniej tego nie mówiłam – odezwała się, nalewając mu kawę. – Ale dziękuję ci za wszystko, co dla niej robisz. Myślałam, że będzie się odnosiła do ciebie z rezerwą, bo przecież cię nie zna, ale stało się zupełnie przeciwnie. Nawet nie rozumiem, jak ci się to udało. Jednak cieszę się.

Ruben zaśmiał się lekko zawstydzony. Ledwo się odważył spojrzeć na Ellinor. Nawet po rocznym chodzeniu na spotkania u Amandy pewne tematy wciąż sprawiały, że czuł się niezręcznie. Wypił trochę kawy. Mocna. Pamiętał, że dokładnie taka, jaką lubiła.

– Przebywanie z Astrid to sama przyjemność – powiedział. – Przecież ona lubi to samo co ja.

Ellinor długo patrzyła na niego. Potem pokiwała głową.

– Jako mój facet może i byłeś beznadziejny – powiedziała cicho, zerkając na córkę, która była zajęta mieszaniem soku w wielkim dzbanku – ale tatą jesteś dobrym. Chcę, żebyś to wiedział.

Ruben tylko skinął głową. Bał się, że głos go zawiedzie.

– Mam coś dla ciebie – ciągnęła Ellinor, podając mu gruby album fotograficzny. – To Astrid, od urodzenia aż do teraz. Pomyślałam, że może chciałbyś się dowiedzieć, co porabiała w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Znów tylko skinął głową. Jeśli przed chwilą nie był w stanie odpowiedzieć, to co dopiero teraz. Łzy napłynęły mu do oczu, w gardle pojawiła się wielka gęsia skórka. Przyszedł mu na myśl Peder. A potem w jego myślach nagle pojawiła się Sara. Przypomniał sobie, jaki miała ciepły głos, kiedy mówiła o swoich dzieciach. Rozumiał dlaczego. Bo czuł to samo ciepło, kiedy spoglądał na Astrid. Założyłby się, że Sara jest dobrą mamą, zupełnie jak Ellinor. A mąż Sary, jak widać, jest idiotą.

Astrid usiadła koło Rubena ze szklanką soku w ręce. Opróżniła ją jednym haustem i głośno beknęła.

– Astrid, no wiesz! – zaśmiała się Ellinor.

– Ruben, nie mógłbyś zostać u nas na kolacji? – zapytała go córka. – To znaczy tato. Proooszę!

Ruben zerknął na Ellinor. Wciąż nie miał odwagi powiedzieć słowa.

**W SALCE KONFERENCYJNEJ** panowało milczenie. Nie wiedzieli, co mówić. I nie potrafili spojrzeć na puste krzesło Pедера. Z wyjątkiem Bossego, który popatrzył smutno, a potem położył Christerowi łeb na kolanach. Krzesło jako problem. W końcu Ruben wstał i rzucił je w kąt. Wszyscy drgnęli. Mina rozumiała jednak, że powodowała nim nie tyle złość, ile frustracja. Sama by chętnie coś rozwaliała.

To wszystko było tak strasznie niesprawiedliwe.

I nic nie mogło tego zmienić.

Bosse zaskomlał cicho, Christer uspokajał psa. Mina patrzyła na ścianę z mapą Sztokholmu. Tę, którą Vincent najpierw pokreślił, dzieląc na pola szachownicy, a potem zaznaczył na niej drogę. Drogę prowadzącą tylko ku śmierci. Za dużo było tych śmierci.

Julia podeszła do białej tablicy, której używali podczas dochodzenia. Wszystko nadal tam było: obrazki, słowa, strzałki, zdjęcia.

– Jesteśmy w żałobie po koledze – zaczęła cicho – przyjacielu i jednym z najwspanialszych ludzi, jakiego znaleźmy. Będziemy musieli dać sobie czas, bo ta żałoba będzie trwała bardzo długo. Przede wszystkim jednak trzeba zrobić to, czego chciałby Peder, czyli upewnić się, że nic nam nie umknie. Że wiemy na pewno, bez jakichkolwiek wątpliwości, że już jest po wszystkim.

Głos jej się załamał, chrząknęła.

Minę ścisnęło w gardle od łez, które jeszcze nie popłynęły. Po tym, jak zobaczyła Nathalie i już miała pewność, że córka jest cała i zdrowa, pozwoliła sobie na moment radości, że dziewczyna jest bezpieczna. Ale trwało to krótko.

Wpadła w taką rozpacz, że zupełnie nie wiedziała, jak sobie z nią poradzić. Ani jak miałoby jako zespół przejść nad tym do porządku. Okazało się, że Peder, z tą swoją pogodą ducha, przyjaznym podejściem i napojem energetycznym, był ich zwornikiem, to on spajał ich grupę. Dałaby wszystko, żeby znów zobaczyć jego filmik z trojaczkami.

Do tego jeszcze Vincent.

Boże, Vincent. Wciąż nie mogła mu wybaczyć.

Spojrzała na mentalistę. Siedział obok, kule położył na podłodze.

– Ale może najpierw Vincent powie nam, dlaczego Mina myślała, że umarł – powiedziała ostro Julia.

Vincent miał zakłopotany wyraz twarzy. Dobrze mu tak.



– No tak, potrafię na krótki czas zatrzymać krążenie krwi w jednej ręce – powiedział. – To trik wykonywany podczas przedstawień, żeby wydawało się, że nie mam tętna. Udało mi się w ten sposób oszukać Novę, żeby uwierzyła, że wypilem truciznę. Liczyłem, że zostawi w spokoju Nathalie, jeśli będzie myślała, że nie żyję. Jednak to dość niebezpieczne i raczej tego nie polecam.

– Mówisz, że na krótki czas – odezwał się Adam. – Ale kiedy Mina przyszła, nadal nie miałeś tętna. Kim ty właściwie jesteś, Łazarzem?

Vincent wyglądał teraz na jeszcze bardziej zakłopotanego. Zerknął na Minę, ale zobaczywszy jej spojrzenie, znów uciekł wzrokiem.

– Usłyszałem jakieś hałasy i myślałem, że może to Nova wróciła – powiedział. – Kiepsko mi się myślało, bo bardzo bolała mnie stopa. Więc zatrzymałem tętno jeszcze raz. Na wszelki wypadek.

– Idiota jeden – mruknęła Mina. – Zasłużyłeś sobie na tę złamaną stopę. Kto to słyszał, żeby złamać stopę po upadku z krzesła?

Potwornie się przeraziła, kiedy znalazła go leżącego na ziemi. A jeszcze bardziej, kiedy nagle otworzył oczy i zaczął do niej mówić. Od tamtej chwili prawie nie zamieniła z nim słowa. Pozorna śmierć Vincenta, paniczny lęk o Nathalie, do tego śmierć Pedera, wszystkie te emocje razem okazały się wręcz przemożne. Chciała potem tylko jednego: zaszyć się w swoim bezpiecznym mieszkaniu, skulić się i odłączyć od wszystkiego, co ją rozdzierało od środka.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Zrobiłem to dla Nathalie. Nawiasem mówiąc, złapaliście tych trzech gości na parkingu? Czy to byli ludzie Novy?

Mina poczuła dłoń na swoim ramieniu i spojrzała w niebieskie oczy Vincenta. Wiedziała, że mu wybaczy. Przynajmniej żyje. Nathalie również.

– Ci w białych kurtkach? To byli japońscy turyści – odparła.

– Ja wciąż nie rozumiem, dlaczego Nova zrobiła to wszystko – odezwał się Christer. – Jaki miała motyw? I po co, do cholery, udawała, że chce nam pomóc? Przecież współpracując z policją, strasznie ryzykowała. – Powiedziawszy to, przełknął ślinę, jakby walczył ze łzami.

– Mogę? – Vincent spojrzał pytająco na Julię.

Przytaknęła, wtedy stanął przed białą tablicą, a ona usiadła.

– Rozmawiałem z kilkorgiem członków sekty, którzy przeżyli – powiedział. – Teraz, po śmierci Novy, są już rozmowniejsi. Wyjaśnienie, jakie od nich otrzymałem, jest nieco kulawe, ale wydaje mi się, że i tak zawiera jakąś część odpowiedzi. Jak wiecie, Nova doświadczyła w dzieciństwie niezwykle traumatycznego wydarzenia. Doznała ciężkich urazów podczas wypadku samochodowego, w którym jej ojciec najprawdopodobniej zginął, chociaż zostaliśmy wprowadzeni w błąd i myśleliśmy, że jednak żyje. Po wypadku, który spowodował u niej trwałą uraz, trafiła do domu swego dziadka Baltazara

Wennhagena. Wychowywał ją, nauczając epikureizmu. Sądzę jednak, że zdążyła się też nauczyć sporo od ojca. Jedno z drugim się mieszało, w rezultacie powstała wykoślawiona wersja epikureizmu, a w centrum znalazł się towarzyszący jej nieustannie ból fizyczny. Musiała odnaleźć jakiś sens w tym bólu. Poszukując go, lgnęła do innych ludzi żyjących z bólem i również chcących odnaleźć w tym jakiś sens, by łatwiej znosić cierpienie. Nie zapominajcie, że ból Novy miał charakter zarówno fizyczny, jak i psychiczny. Ta kombinacja okazała się niesłychanie destrukcyjna, bo racjonalność i logikę zastąpiły fanatyzm i desperacja.

Zarówno ton, jakim mówił, jak i dobór słów pomogły im zrozumieć. Zabrzmiało to jak wykład, ale wtedy łatwiej jest o spojrzenie jakby z zewnątrz i wypracowanie postawy wolnej od emocji.

Mina odnotowała, z jaką uwagą mówił, patrząc kolejno na każdego z osobna, i zdała sobie sprawę, że celowo dystansował ich od emocji. Mentalista robił, co mógł i jak najlepiej potrafił, aby przynajmniej chwilowo uporali się z żalobą.

– Ciągłe nie rozumiem, po co się wtrącała do dochodzenia – odezwał się Christer. – Przecież nic nie mogła na tym zyskać, prawda?

– Pewnie miała dzięki temu poczucie kontroli nad sytuacją, bo mogła sprawdzić, co my wiemy, i do pewnego stopnia skierować dochodzenie na manowce – odparł Vincent. – Przede wszystkim jednak był to wyraz narcyzmu, jednej z najsilniejszych cech jej charakteru. To wcale nierzadkie, że sprawcy o osobowości narcystycznej próbują wtrącać się do policyjnego dochodzenia, które ich dotyczy. Nova nie była tu jakimś wyjątkiem.

– Czy wszyscy w Epicurze zdawali sobie sprawę, co robią z dziećmi? – spytała Julia.

– Nie, na ile się zorientowałem, to nie. – Vincent skrzyżował ramiona na piersi. – Wyznawcy kultu najczęściej nie są informowani na takim samym poziomie. To jak warstwy cebuli. Im głębiej wejdiesz, tym masz większy dostęp do informacji. Tak samo działa scjentologia. Tyle że tam wykupujesz kursy, żeby stopniowo docierać na wyższy poziom wiedzy. W Epicurze chodziło o pokazanie się przed Novą jako osoba godna zaufania i znosząca dostatecznie wielki ból.

– Ines o tym wiedziała? – spytała Mina.

Zdawała sobie sprawę, że się odsłania w tym momencie, że wszyscy obecni już wiedzą o jej związku zarówno z Ines, jak i z Nathalie. Czekwała tylko na pierwsze komentarze.

– Według tych członków sekty, z którymi rozmawiałem, to nie – odparł Vincent.

Mina skinęła głową, ale nie była przekonana. Nie wiedziała, kim w gruncie rzeczy była jej matka ani jaką rolę odegrała. Ines powiedziała jej na chwilę przed śmiercią, że nie wiedziała o poczynaniach Novy. Mina uchwyciła się tych słów i bardzo chciała w nie wierzyć.

– Nova twierdziła, że dzieci utorują drogę ku nowemu życiu bez bólu – ciągnął Vincent. – Dzieci zawsze były traktowane jako absolutny symbol niewinności i w różnych religiach służyły jako wyznacznik ich drogi. Ludzie z wewnętrznego kręgu Epicury wierzyli, że uwalniają dzieci od bólu, pozwalając im urodzić się powtórnie jako nowe i czyste istoty. Tak aby jako pierwsze weszły w nową erę, tysiącletnią rzeszę w wersji Epicury.

– Kurde, ale to mętne – mruknął Ruben.

– Nie wiem, czy dziwniejsze niż to, że miliony ludzi wierzą, że Syn Boży zmartwychwstał trzeciego dnia po swojej śmierci – odezwał się Adam. – Każda religia, każda wspólnota ma własne mity.

– Nova była silną przywódczynią – powiedział Vincent. – Przekonującą. I oferowała dokładnie to, czego jej zwolennicy pragnęli najbardziej ze wszystkiego: uwolnienia od bólu.

– Ale dlaczego akurat te dzieci? – zastanawiała się Julia. – Wciąż tego nie rozumiem.

– W tej sprawie nie uzyskałem jasności – odparł Vincent. – Osoby, z którymi rozmawiałem, nie wiedziały. Nova podawała im niezbędne dane, a one tylko wykonywały rozkaz. Dzieci mogły zostać wybrane przypadkowo. Być może pod kątem tego, jak łatwo będzie je uprowadzić. To chyba najbardziej prawdopodobne. Jeśli Nova kierowała się jakimiś innymi kryteriami, to ich nie podała.

Umilkł, przypatrując im się. Mina podążyła za jego spojrzeniem. Adam, tym razem w T-shircie zamiast koszuli. Ruben, który na samo wspomnienie dzieci wyglądał jak chmura gradowa. Christer z ponurą miną, drapiący łeb Bossego. I Julia, która od powrotu z urlopu macierzyńskiego miała wciąż tę samą zmarszczkę na czole. Na koniec jej oczy spotkały się z niebieskimi oczami Vincenta. Wyglądał na zmęczonego. Bardzo, bardzo zmęczonego.

– Ale pamiętajcie jedno – powiedział. – Gdyby Nova nie została powstrzymana, uderzyłoby to w jeszcze więcej rodzin. Bo już wiemy, że nie miała jeszcze zamiaru skończyć. Najprawdopodobniej uratowaliście troje kolejnych dzieci, oprócz Wilmy. Nigdy się nie dowiemy których. Niemniej one gdzieś tam są i ich życie nie jest już zagrożone.

Nikt nie odpowiedział. Słowa Vincenta powinny ich pocieszyć, ale w tym momencie trudno było im czerpać z nich większą satysfakcję.

Ruben wstał, zabrał z kąta krzesło Pedera, odwrócił i zaniósł z powrotem na miejsce. A potem wyszedł z salki konferencyjnej. Mina zdążyła zobaczyć, że nie mógł zapanować nad drżeniem podbródka.

Drzwi za nim zatrzasnęły się i zapadła ogłuszająca cisza, w której przemawiało jedynie puste krzesło Pedera.

**SIEDZIELI W SALONIE** u Anette. Jej siostra zabrała trojaczki na spacer, żeby mogli zostać sami. Ruben niby rozumiał, że w ciągu zaledwie kilku dni nie można stracić na wadze dwudziestu kilogramów, ale Anette właśnie tak wyglądała. Miała szarą cerę, wzrok utkwiony w czymś znajdującym się bardzo daleko, czego nie widział nikt inny.

Ruben był właściwie przeciwny temu, żeby do niej jechać. Uważał, że są ostatnimi osobami na świecie, które Anette chciałaby oglądać w tym momencie. Bo nie potrafili ocalić jej męża. A jednak okazała się niezwykle opanowana. Czy może zrezygnowana.

– Wiem, że ci to nie pomoże – powiedziała miękko Julia, kładąc dłoń na ramieniu Anette. – Jednak chcę, żebyś wiedziała, że przez cały czas myślimy o tobie. I o Pederze. O tym, jakim był fantastycznym człowiekiem. I fantastycznym tatą.

– Masz rację, że nie pomoże – odparła cicho Anette, cofając ramię. – Codziennie wydaje mi się, że się obudzę, a on wejdzie z tą swoją durną niebieską brodą i powie, że to wszystko jest jakimś nieporozumieniem.

Nie próbowała ocierać łez spływających po jej policzkach. Ruben zaczął się nawet zastanawiać, ile łez może pomieścić dorosły człowiek. Pewnie aż za wiele. Anette wyglądała, jakby od poniedziałku nieprzerwanie płakała.

Zauważył, że Mina balansuje, siedząc na skraju kanapy. Miała krótkie, chaotyczne ruchy i patrzyła z przerażeniem na lepkie resztki jedzenia i rzeczy porzucane przez trojaczki po całej powierzchni pokoju, wliczając w to kanapę. Po całym salonie walały się lalki, kredki, klocki Duplo, zabawkowe tablety, nadjedzone kanapki i rozgniecione słodczyce.

Ruben już miał jej coś powiedzieć, ale uzmysłowił sobie, że Mina, podobnie jak on, ma teraz córkę. Kiedyś pewnie w jej mieszkaniu wyglądało to podobnie, chociaż wydawało się to niewyobrażalne. Poza tym, jak mówiła jego psycholożka Amanda: to nie myśli nas definiują, tylko nasze czyny. A Mina jednak tkwiła na tej kanapie, chociaż na pewno było to dla niej trudne. Nagle poczuł, że jest z niej dumny.

Przypomniały mu się trojaczki, jak tańczyły na filmiku w telefonie Pedera, i tak go zakłuło w piersi, że nie mógł złapać tchu.

– Czy trojaczki wiedzą... – zaczął Ruben, ale musiał urwać.  
To było za trudne.

– Nie. – Anette pokręciła głową. – Jeszcze im nie powiedziałam. Myślałam, że wyjechał na kilka dni. Ale wiem, że muszę, tylko nie wiem jak... bo jak powiedzieć trzem małym dziewczynkom, że ich tata nie żyje? No jak? Może ty wiesz?

Ruben pokręcił głową. Nie potrafił sobie wyobrazić czegoś paskudniejszego.

– Mogę wtedy być przy tobie – odezwał się miękko Christer. – Prawie zawsze na mnie spada zawiadamianie bliskich ofiar. Niech ci Julia powie. Wiem, że to niełatwe, ale już mam doświadczenie. Jeśli tylko chcesz, to będę z tobą, Anette. Zrobimy to razem.

– Tak – odpowiedziała, uśmiechając się przez łzy.

– Dobrze, że twoja siostra może teraz pomieszkać z tobą – odezwała się ponownie Julia. – I pamiętasz, że policja oferuje ci każdą możliwą pomoc w postaci rozmów i psychologa.

– Dziękuję... ale na razie nie bardzo mam ochotę na kontakty z policją. Co za cholerny zawód. Po co on się tak narażał, kiedy miał w domu trójkę dzieci?

Głośno pociągnęła nosem.

Kilroy was here

– Chociaż wiem dlaczego – ciągnęła. – Zawsze mówił, że właśnie dlatego musi być policjantem, że ma małe dzieci. Że musi uczestniczyć w kształtowaniu świata, w którym one będą dorastać.

– I tak robił – wtrącił Adam. – Był dobrym policjantem i taki był miły.

– Najmilszy – dopowiedziała Mina z oczami pełnymi łez.

– Nie bierz tego do siebie – Anette zwróciła się do Adama – ale dlaczego ona strzeliła do Pедера? Nie do ciebie? Dlaczego nie mogłeś go ochronić?

– Myślała, że Peder sięgnął po ukrytą broń – odparł. – Zareagowała odruchowo.

– A sięgnął? To znaczy po broń?

– Nie, po komórkę, bo chciał pokazać filmik w telefonie. Żeby ją uradować.

Anette przyjęła to w milczeniu. Potem kiwnęła głową.

– Najmilszy – powiedziała.

**SIEDZĄC PRZY BIURKU**, Adam przeglądał ogłoszenia mieszkaniowe. Mama ma rację, nie może dłużej żyć jako kawaler. Powinien załatwić lepsze mieszkanie i znaleźć sobie kogoś, żeby je z nim dzielić. Nikt nie potraktuje go poważnie, widząc, jak teraz mieszka.

Może powinien też pójść na kurs gotowania. Nie można zapraszać na randkę i podawać spaghetti z sosem mięsnym. To znaczy oczywiście można. Problemem byłaby jednak kolejna randka, bo jego repertuar gastronomiczny był dość ograniczony. Praca zawsze miała pierwszeństwo przed innymi zainteresowaniami. A więc pora to zmienić.

Scrollował ogłoszenia na portalu Hemnet. Może dwa pokoje w centrum. Nie, lepiej trzy. Ale czy będzie go stać?

Odchylił się na krześle i westchnął. Chyba zabrał się do tego nie od tej strony. Może lepiej załadować apkę Tindera? Albo zgłosić się na ten kurs gotowania?

Zobaczył przed oczami swoją mamę, goniącą za czwórką zaśmiewających się dzieciaków. Uśmiechnął do tego obrazu i aż mu się zrobiło ciepło na sercu. Byłaby taka szczęśliwa. Chociaż czwórka to może nie. Musiałaby się zadowolić trójką.

Rozległo się pukanie, Julia zajrzała przez uchylone drzwi.

– Cześć – odezwał się.

– Cześć. Chciałam ci tylko powiedzieć... że dobra robota. No i witaj w zespole. Wiedz, że nie zawsze jest u nas tak intensywnie.

– No, mam nadzieję – zaśmiał się.

Zabrzęczała jego komórka leżąca na biurku. Nieznany numer. Zwykle wtedy nie odbierał.

– Nie odbierzesz? – spytała Julia.

Wzruszył ramionami i nacisnął zieloną słuchawkę. A potem głęboko westchnął.

– Już jadę.

Rozłączył się.

– Stało się coś?

– Tak. To mama.

Adam wypadł z pokoju na korytarz. Julia wołała za nim, ale już nie słuchał.

**CHRISTER JUŻ ŻAŁOWAŁ**, że nie wybrał ładniejszej koszuli. Co mu przyszło do głowy, że włożył tę wiskozową w brązowo-beżowe paski? Najchętniej nałożyłby na nią jeszcze swoją włóczkową kamizelkę, ale przecież nie w ten upał, zresztą kamizelka też nie była szczególnie porywająca. A poza tym zajmowanie się swoim wyglądem wydało mu się teraz niemal grzeszne.

W czwartek razem z Anette odbyli rozmowę z trojaczkami. Dzieci to szczególne stworzenia, rozumiały i jednocześnie nic nie rozumiały. Są przecież małe. Zasmuciły się, tak jak Anette i on sam, ale wciąż były to tylko słowa. Zrozumienie zaboli może nie dziś ani jutro, ale wkrótce. Kiedy tata wciąż nie będzie wracał do domu. I wtedy rozpocznie się dla Anette jej prawdziwe zadanie.

A życie potoczy się dalej. Życie. Jasna cholera.

Christer wyjął chustkę i wytarł czoło, Bosse w tym momencie nieco dalej dostrzegł innego golden retrievera i zaczął radośnie skomleć.

– Nie, Bosse, zostań – powiedział Christer, ciągnąc za smycz.

Nagle poczuł wątpliwości, to jednak błąd. I po co zabrał ze sobą psa? Kiedy Lasse zaproponował, żeby spotkać się w Vasaparken, Christer odruchowo pomyślał, że to idealne miejsce dla Bossego. Uwiązanie go przed Ulla Winbladh to jednak co innego niż bliski kontakt. Może się przecież okazać, że Lasse ma alergię na psy.

Cholera.

Znów wytarł czoło chustką.

W głębi parku widać było kawiarnię, w której mieli się spotkać. Zaplanował sobie, że przyjdzie wcześniej, żeby znaleźć się tam przed Lassem i pozować na doświadczonego, obytego policjanta, dźwigającego na swoich barkach odpowiedzialność za cały świat. Może robiącego notatki albo czytającego gazetę nad filiżanką podwójnego espresso. Chciał wyglądać jak jego ulubiona postać Harry Bosch. Jednak w tym momencie nie był pewien, czy on i Harry Bosch są choćby mieszkańcami tej samej planety.

Uczucie zwątpienia przesunęło się z trzewi na nogi. Christer przystanął. Popatrzył na kawiarnię. Nic z tego nie będzie. Trzeba wracać do domu. Natychmiast. Już miał zawrócić, kiedy z tyłu dobiegł go dźwięczny śmiech. Głos brzmiał głębiej niż w latach ich młodości, ale tak jak wtedy Christerowi robiło się od niego ciepło na sercu.

– Chcesz mnie przekabacić, łapiąc na psa? – zaśmiał się znów Lasse, kiedy Christer się obejrzał.

Lasse ukląkł i pozwolił Bossemu przywitać się z nim.

– No cześć, cześć, ale z ciebie piękny piesek.

Lasse potar mosił sierść Bossego, który merdał ogonem z wielkim entuzjazmem, a z pyska pocięła mu niemała ilość śliny.

– Przekabacić? – wyjąkał Christer. – Nie, więc... chciałem powiedzieć... nie miałem...

Co sobie ten Lasse o nim pomyśli? Po prostu żenada. Christer poczuł się, jakby Lasse nagle ściągnął mu spodnie. Chociaż nie, to skrajnie niewłaściwe porównanie. Przyłapany. Tego słowa szukał. Poczuł się przyłapany.

Lasse wstał.

– Bo jeśli tak, to muszę powiedzieć, że to najnudniejszy sposób, jaki kiedykolwiek widziałem – powiedział, uśmiechając się. – Tęgawy sześćdziesięciolatek z zapchlonym kundlem.

Christer pamiętał ten uśmiech z lat młodości. Wtedy mu się podobał. Spróbował się również uśmiechnąć. Prawdopodobnie wyglądało to idiotycznie.

– Właściwie to się na ciebie gniewam – rzekł Lasse. – Powinniśmy sobie to i owo wyjaśnić. Ale muszę powiedzieć, że wyglądacie obaj absolutnie cudownie. To co, idziemy na tę kawę?



**MINA WSUNĘŁA** się cicho do sali szpitalnej. Domyślała się, że to nie przypadek, że jej córka jest tu sama. Jednak tym razem Minie nie przeszkadzało, że ojciec dziewczyny wykorzystał swoje stanowisko.

Córka spała spokojnie. Nie miała żadnych widocznych urazów, ale lekarze woleli zatrzymać ją na obserwacji. Mina musiała powściągnąć odruchową chęć, żeby podejść i pogłaskać ją po włosach. Tak dawno jej nie dotykała. Nawet się bała, że już nie wie, jak matka dotyka swego dziecka.

Ostrożnie postawiła krzesło tuż obok łóżka i usiadła. Blisko, żeby móc patrzeć na twarz śpiącej córki. Wprawdzie w minionych latach obserwowała ją z oddali, ale uczucie, kiedy mogła przyglądać jej się dokładnie, było bardzo szczególne. Twarz tak znajoma, a jednocześnie obca. Kiedy Mina odchodziła, córka była żywą i śliczną pięciolatką. Część ówczesnych rysów i gestów zniknęła, wymazana przez upływ czasu. Inne trwały. Jak lekkie drganie górnej wargi podczas snu. Długie ciemne rzęsy wyglądały jak małe wachlarze.

Mina nie mogła się na nią napatrzeć. Jednocześnie truchlała na myśl o tym, jaki obrót przybierze ich wspólna droga w przyszłość. Tyle bagażu do rozpakowania, tyle poczucia winy ukrytego za wymówkami i durnymi usprawiedliwieniami, które już nie wydawały się takie logiczne jak kiedyś.

Powieki Nathalie drgnęły. Powoli, powoli otworzyła oczy. Przez moment Mina chciała uciekać. Wybiec z pokoju i zostawić ją, żeby nie odpowiadać na pytania, które nieodwołalnie padną.

– Ty... – odezwała się Nathalie, z trudem wydobywając głos, pomału przytomniejąc.

Jej spojrzenie stawało się coraz bardziej rozbudzone. Dłoń Miny leżała tuż obok jej, ale nie dotykając. Nathalie gwałtownie cofnęła swoją i odwróciła wzrok. Ostentacyjnie patrzyła teraz na okno.

– Co tu robisz? – spytała zimno.

– Chciałam się upewnić, że się dobrze czujesz – odparła Mina lekko drżącym głosem.

– Czuję się dobrze. Możesz już iść.

Mina milczała przez chwilę, nie poruszyła się.

– Wiem, że mam wiele do wyjaśnienia – odezwała się w końcu. – Wiele rzeczy, za które muszę przeprosić, ale mam nadzieję, że przynajmniej zechcesz mnie wysłuchać.

– Radziliśmy sobie z tatą bez ciebie. Nie jesteś mi potrzebna.

Jej głos brzmiał hardo i zimno, ale było w nim jakieś pęknięcie sugerujące, że tuż pod powierzchnią kłębią się silne emocje.

– Wiem, że sobie radziliście, że ty sobie radziłaś – powiedziała Mina. – Tylko mam nadzieję... Mam nadzieję, że może nam też się uda trafić jakoś na wspólną ścieżkę?

– Wynoś się, przecież ci powiedziałam! – zaszlochała Nathalie, już nie potrafiła utrzymać pozorów zimnej obojętności. – Dlaczego mnie nie słuchasz! Idź sobie!

Mina wstała. Usłyszała, że ktoś wszedł do pokoju. Odwróciła się, był to ojciec Nathalie.

– Potrzeba trochę czasu – odezwał się zaskakująco miękko. – To jest wciąż bardzo świeże. Zdałem sobie sprawę, że całkowite zerwanie kontaktu jednak nie było najlepszym rozwiązaniem. Nie musiałyby do tego dojść. Przyjdź do nas na kolację, jak ona już wróci do domu. Zaczniemy od tego.

– Nie chcę, żeby przychodziła na żadną durną kolację! – wrzasnęła ze swego łóżka Nathalie.

Mina zdusiła szloch. Ojciec Nathalie położył dłoń na jej ramieniu, co też było i znajome, i nieznanym.

– Ułoży się. Zdzwonimy się. A teraz chyba będzie najlepiej, jak pójdziesz. I jeszcze jedno... Przepraszam, że nie odebrałem, kiedy zadzwoniłaś, żebym zabrał Nathalie. Miałem... kryzys... w pracy.

– No tak, widziałam tytuły w gazetach – powiedziała Mina.

Zwiesił głowę, bo nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

– Moja praca... Nathalie jest dla mnie najważniejsza i zawsze była, musisz to wiedzieć. Ale ta cholerna praca...

Mina tylko kiwnęła głową. Woląca wyjść na korytarz, zanim się rozpłaczę. Żeby nie widział jej płaczącej. Nawet do tego nie miała prawa. On za to nie miał powodu, żeby się wstydzić przed nią. To ona przez całe życie wyznaczała sobie inne priorytety. Dokonywała innych wyborów.

Wychodząc, odwróciła się w drzwiach. Nathalie zarzuciła ojcu ręce na szyję i mocno się do niego przytuliła.

Mina zrobiła kilka kroków korytarzem i wtedy popłynęły łzy.

– **TORKEL! CO SIĘ STAŁO!** Jak on się czuje?

Julia wpadła do wskazanego jej pokoiku w szpitalu dziecięcym imienia Astrid Lindgren. Torkel wstał z krzesła przy ścianie i podszedł. Uściskał ją tak mocno, że prawie nie mogła złapać tchu. Wyzwolila się z jego objęć i spojrzała na Harry'ego, który leżał na stoliku do badania. Nad nim stała nachylona kobieta w białym fartuchu.

– Harry?

Julia rzuciła się do synka.

Spojrzał swymi wielkimi niebieskimi oczami i na jej widok zagulgotał radośnie. Julia poczuła taką ulgę, że prawie nogi się pod nią ugięły.

– Widzę, że ten mały człowieczek wywołał mały dramat w domu – powiedziała lekarka, uśmiechając się uspokajająco. – Wziął do buzi nie to, co trzeba, ale tata zachował się przytomnie i karetka dojechała na czas. Nie widzę, żeby stało się coś poważniejszego poza tym, że o mało nie przyprawił taty o zawał.

Lekarka podniosła Harry'ego i podała Julii, która przytuliła mocno synka, a potem spojrzała w oczy Torkela.

– Dziękuję.

Mąż tylko skinął głową, miał łzy w oczach. Pierwszy raz widziała, żeby płakał. Nie płakał nawet, gdy Harry się urodził. Wtedy z radości podskakiwał na jednej nodze jak pobudzony królik z reklam Duracell.

– Możemy wracać z nim do domu? – spytała Julia.

Lekarka przytaknęła.

Torkel pozbierał rzeczy i wyszedł za Julią. Kiedy objął ją ramieniem, poczuła, że mąż drży.

– Ja prowadzę, ty siadasz z tyłu z Harrym – powiedziała zdecydowanie, kiedy już szli do samochodu.

– Okej – odparł bez sprzeciwu.

Przypięli Harry'ego, który wciąż gulgotał radośnie, Julia usiadła za kierownicą, a Torkel zapiął pas na tylnym siedzeniu. Już miała ruszyć, gdy poczuła jego dłoń na ramieniu.

– Poczekaj, chcę ci coś powiedzieć.

Ich spojrzenia spotkały się w lusterku wstecznym. Torkel musiał najpierw odchrząknąć.

– Zachowywałem się jak ostatni dupek – powiedział.

– Torkel... – zaczęła, ale jej przerwał.

– Nie, daj mi powiedzieć. W życiu nie bałem się tak strasznie jak dziś. Myślałem, że on umrze. Naprawdę myślałem, że umrze. I dopiero wtedy uzmysłowiłem sobie, co ty robisz w pracy. Tamci rodzice...

Głos uwiązał mu w gardle.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak można przeżyć stratę dziecka. A ty chodzisz codziennie do pracy, gdzie musisz im pomagać, znajdując niezbędne odpowiedzi. I jeszcze zapobiec temu, żeby inni rodzice przeżywali to samo. A ja siedzę w domu i marudzę jak jakiś gówniarz. Przepraszam. Wstyd mi. I przyrzekam ci, że od tego momentu będę jak *mister Mom*. Nie usłyszysz ode mnie ani jednego narzekania.

Przesunął palcem po wargach, jakby to był zamek błyskawiczny, zakręcił i wyrzucił niewidoczny klucz.

Julia odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Masz rację. Zachowałeś się jak dupek. Ale jesteś moim dupkiem. I najlepszym tatą, jakiego mógłbyś chcieć Harry. Tylko na początku miałeś trochę pecha, kiedy ci się wydawało... Zapomnijmy o tym i zacznijmy od początku. Wiesz co, mam jeszcze trzy tygodnie urlopu, pomyślałam, że cię zmienię. Wiem, że dopiero co wróciłam do pracy, ale po tej sprawie nawet mój ojciec nic nie powie na to, że poproszę o urlop. Więc możesz jutro iść do pracy. Albo pograć w golfa. Cokolwiek zechcesz. Zajmę się nim.

– Wiesz, że nienawidzę golfa – roześmiał się Torkel. – A w pracy dadzą sobie świetnie radę beze mnie. Wmawiałem sobie, że jestem niezbędny. Pomysł z urlopem mi się podoba. Ale weźmy go razem. Co drugą noc? Co drugą zmianę pieluch? Razem w domu? Potem znów przejmę wszystko, kiedy wrócisz do pracy. Umowa stoi?

Julia uśmiechnęła się i uruchomiła silnik.

Znów spojrzała mu w oczy w lusterku.

– Umowa stoi.

**MINA WYBRAŁA SIĘ** na spacer do Rålambshovsparken, żeby zebrać myśli. Jej były mąż miał oczywiście rację. Musi dać córce czas. Na szczęście obecnie miała dość tego czasu. Pomyślała o Vincencie. Ona ma jedno dziecko, ale on aż troje. Czy też miewa z nimi trudne relacje? Prawdopodobnie. To chyba nieodłączne od idei rodzica obecnego.

Vincent.

Inaczej niż poprzednim razem, nie pożegnali się po zebraniu w gmachu komendy. Nawet nie powiedzieli sobie cześć. Tylko nieokreślone „do zobaczenia”. Problem w tym, że nie powiedzieli, kiedy się zobaczą. Spotkają się oczywiście na pogrzebie Pedera, ale to się właściwie nie liczy. W każdym razie postanowiła dopilnować, żeby nie minęło znów dwadzieścia miesięcy. Bądź co bądź złamał sobie stopę w związku z Nathalie. Nie mówiąc o tym, że ocalił jej życie.

Powinno wystarczyć za usprawiedliwienie.

Sięgnęła po telefon, żeby do niego zadzwonić. Zatrzymała się, gdy spojrzała na symbol apki z białym płomieniem na czerwonym tle. Tinder.

Uzmysłowiła sobie, że to zrobiła. Naprawdę, zupełnie tak jak to robią inni. Zachowała się zgodnie z ich regułami gry. Normalnie się z kimś umówiła i poszła na normalną randkę. I zachowywała się mniej więcej normalnie. Śmiała wtedy, kiedy trzeba. Jeśli ktoś wątpił, że mogłaby być taka jak inni, to udowodniła, że jednak może.

I zamierzała nigdy tego nie powtórzyć.

Przytrzymała palec na apce, aż ją usunęła. A potem ruszyła brzegiem zatoki.

Ostatnio była tam dwukrotnie z Vincentem. Raz zimą, a drugi zaledwie parę tygodni temu. Bez niego park wydał się dość nieciekawym. Na pewno opowiadałby jej, jaki jest efekt psychologiczny faktu, że nad parkiem przebiegają wysokie mosty, albo wyjaśniłby matematycznie relację między pomostami a lokalizacją trasy rowerowej.

Przesunęła dłonią po włosach. Tym razem oparła się pokusie ścięcia ich po wydostaniu się z bunkra. Wystarczy jedno obrażenie wojenne w postaci złamanej stopy Vincenta.

Vincenta, którego przez krótką chwilę uważała za zmarłego, chociaż jej ta chwila wydawała się trwać całe wieki. Wciąż mu tego nie wybaczyła. Jeszcze mu

się za to odpłaci, i za ten żart o wodzie z fontanny w Kungsträdgården. Kiedy nie będzie się tego spodziewał. Powinna przygotować sobie listę.

Sięgnęła do kieszeni i poczuła plastik pod palcami. Cholera. Zapomniała mu oddać. Wyjęła to i spojrzała. Przy pomocy Mildy zalamowała dwa źdźbła trawy wyrwane przez Vincenta w Fatbursparken. Jedno jasne, drugie ciemne, umieszczone obok siebie i zatopione w plastikowy czworokąt. Jak kawałek lego.

Miał być prezentem na pamiątkę tego, co przeżyli. Ale może i dobrze, że zapomniała mu dać. Za bardzo makabryczny. Czasem nie bardzo umiała ocenić takie rzeczy. Choć przecież te źdźbła trawy były czymś więcej niż przypomnieniem o morderstwie.

Były jak ona.

I Vincent.

Były wszystkim, co dla swojej egzystencji potrzebuje zarówno jasnej, jak i ciemnej strony. Obok siebie te źdźbła były nawet nią i nim razem.

Schowała plastikowy prostokącik do kieszeni i poprawiła swoje okulary przeciwsłoneczne. Park był pełen ludzi, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. I całe szczęście, bo chyba się zaczerwieniła.

**VINCENT PODPIERAŁ SIĘ** kulami, podskakując na alejce w Tantolunden. Przypomniawszy sobie inny ciepły dzień, kiedy tam spacerował. Wtedy była z nim Mina. Stanowczo za dużo czasu upłynęło od tamtej pory. Postanowił, że przed końcem lata powinni to powtórzyć. Oczywiście jeśli ona zechce. Podejrzewał, że wciąż jest u niej na lekkim minusie.

nie szkodzi. Będzie dość czasu, żeby jej to wynagrodzić.

Nie powiedział nikomu, jak mało brakowało, aby wtedy w pokoju z Novą wziął niewłaściwą szklankę. Podstęp z butelkami był celowy, chodziło o podsuniecie jej myśli, że może nalał truciznę do obu. Nawet gdyby w to nie uwierzyła, ta myśl by została i uprawdopodobniła jego udawaną śmierć.

Uderzając butelką z trucizną o brzeg szklanki, chciał zrobić to, co w języku iluzjonistów nazywają *nick*, znaczek niewidoczny dla tego, kto nie będzie go szukał, ale jemu pomoże odróżnić właściwą szklankę. Stara technika wykorzystywana między innymi przez podstępnych spirytystów, urządzających seanse dla wielu osób jednocześnie. Każdy uczestnik takiego seansu ma napisać na karteczce osobiste pytanie. Przedtem te karteczki są sprawdzane dla upewnienia się, że są identyczne, i by zagwarantować anonimowość pytających. Jednak przy zbieraniu pytań asystent bądź asystentka medium wykonują paznokciem niewidoczny *nick* na brzegu karteczki. Wystarczy potem wyczuć palcem umiejscowienie *nicka*, by wiedzieć, które pytanie pochodzi od kogo, i upozorować, że medium zostało przez duchy poprowadzone do właściwej osoby.

Tylko że na szklance nic się nie odznaczyło. Powinien był uderzyć mocniej. Kiedy potem Nathalie przestawiła szklanki, nie miał pojęcia, która z nich zawiera truciznę.

W końcu zaryzykował.

I udało się. Jeśli nie liczyć złamanej stopy, rzecz jasna.

Po ostatnim zebraniu zespołu zarówno jemu, jak i Minie zaoferowano terapię, żeby mogli uporać się ze wszystkim, przez co przeszli, ale obydwójce podziękowali. Jediną osobą w policji, z którą Vincent chciał rozmawiać, była Mina.

Nie zamierzał powtórzyć błędu, żeby się z nią nie kontaktować. Patrząc z perspektywy czasu, było to niepotrzebne i głupie. Co on sobie właściwie myślał, żeby tak się separować? Maria musi zrozumieć, że Vincent może mieć przyjaciół. A jeśli nie potrafi, trzeba będzie umówić się na kolejny cykl terapii dla par. Bo

Mina zamieszkała w jego wnętrzu. Po prostu. Potrzebował jej, żeby trzymać się w kupie. Chwilami czuł, jakby tylko ona była osobą realną. Chociaż nigdy nie powiedziała by tego głośno. Nie chciał wyjść na pełnego wariata.

Faktem jest, że mógłby już do niej zadzwonić i zaproponować spacer. Dlaczego nie? Lato nie trwa wiecznie. Tak, robi to. Tylko najpierw musi załatwić jeszcze jeden telefon.

Włożył słuchawki do uszu, żeby móc rozmawiać i jednocześnie podskakiwać, podpierając się kulami, a potem wybrał numer z listy.

– Cześć, to tylko ja – powiedział, gdy po drugiej stronie odezwał się Umberto z ShowLife Productions.

– Cześć, Vincent! – zawołał radośnie Umberto. – Dawno się nie odzywałeś. Jesteś gotów do jutrzejszego wyjazdu do Fortu Boyard?

Dobrze, że nie telefonowali przez Facetime, więc Umberto nie mógł widzieć uśmiechu Vincenta.

– Ja właśnie o tym – odparł, udając z troską. – Niestety, mam niedobre wiadomości. Uszkodziłem sobie stopę i tydzień czy dwa będę musiał poruszać się o kulach. Więc nie będę mógł wziąć udziału w programie.

W słuchawce zapadła chwilowa cisza.

– Ależ Vincent, nie dostałeś ostatniego apdektu?... Zresztą nieważne. Masz dzikie szczęście, wiesz? Nic nie szkodzi, że nie możesz chodzić normalnie. Produkcja postanowiła, że trafisz do celi z robactwem. No wiesz, takiego ciasnego korytarzyka pełnego stworzeń na ośmiu odnóżach i innych podobnych, równie przyjemnych. Więc i tak nie będą ci potrzebne nogi, bo tylko się czołgasz i całą robotę wykonujesz rękami. Czyli nie ma przeszkód.

Vincent musiał zaczerpnąć tchu. Określenie Umberta „dzikie szczęście” wymagało redefinicji. To, co mu właśnie opisał, było ostatnią rzeczą, jaką miał zamiar robić Vincent. Nigdy w życiu. Zastanawiał się, czy produkcja da mu spokój, jeśli postara się o dwie złamane stopy zamiast jednej. Albo je amputuje. Wydawało się to całkiem rozsądne w porównaniu z tamtym.

– Nawiasem mówiąc, właśnie rozmawiałem z asystentką nagrania – ciągnął Umberto. – Strasznie się ucieszyła, że tam będziesz. Na imię ma Anna. Podobno się znacie. Na pewno wiesz, kim jest, i owszem, trochę to odjechane, ale mówią, że ona ma na plecach tatuaż, który przedstawia ciebie. Dobrze się tobą zaopiekuje.

Vincent zamknął oczy i oparł się na kulach. Wyobraził sobie siebie w obcisłym kostiumie, jak rozogniony prezenter programu go dopinguje, a jego stalkerka Anna woła do niego, żeby chwycił dzień.

Mina padnie ze śmiechu.



**FREDRIK WALTHERSSON** zaparkował auto na zwirowce przed letnim domkiem na Djurö. Dojechali z Josefin jako ostatni, sądząc po liczbie samochodów stojących wzdłuż drogi. Przeszli przez trawnik do brązowego domku. Bujny ogród znajdował się w pełnym rozkwicie, między dwiema jabłonkami wisiał hamak. Był piękny letni dzień, po prostu nie mógłby być piękniejszy. Jednak Fredrik nie potrafił się nim cieszyć. Minęło ładnych kilka dni, odkąd skontaktowała się z nimi policja, żeby poinformować, kto uprowadził Ossiana oraz że sprawczyni zginęła, popełniając samobójstwo.

Potem oboje z Josefin czekali na tę rozmowę.

No i teraz są tutaj.

Mauro Meyer wyszedł do nich przed dom, uścisnęli sobie ręce.

– Wszyscy już są – powiedział cicho. – Chodźcie, to od razu zaczniemy.

Zaprowadził ich do środka. W przedpokoju było mnóstwo butów. Fredrik, nie myśląc wiele, zdjął swoje. Zabawne, jak silne są odruchowe zachowania niezależnie od okoliczności.

Weszli do salonu, gdzie potrzebowali kilku sekund, żeby wszystkich rozpoznać. Byli teraz znacznie starsi i czas obszedł się z nimi bardzo różnie. Jedni, jak Mauro, rozkwitli. Do twarzy mu było z czterdziestką. Podczas gdy inni, jak Lovis Carlsson, wydawali się znosić swój wiek tak, jakby im przypominał o nieodległej śmierci.

Fredrik kiwnął głową Jensowi i Janinie Josefssonom, którzy siedzieli w milczeniu na kanapie. Byli tam również Hugo i Karin obok Henry'ego i Tobiasa. Ich dzieci wciąż żyły, tak jak w przypadku Jensa i Janiny. Istniała wyraźna różnica między nastrojem wokół nich a drugą częścią pokoju, gdzie znajdowali się on z Josefin oraz Mauro i Lovis.

Fredrik i Josefin usiedli przy stole. Mauro wystawił tam kawę i drożdżówki, ale wyglądały na nietknięte.

– Pewnie lepiej by było podać czystą wódkę – powiedział Mauro, widząc spojrzenie Fredrika. – Ale przecież musicie móc stąd odjechać.

Chrząknął i mówił dalej.

– Lepiej zacznijmy już. Jesteśmy tu wszyscy z wyjątkiem naszej nieodżałowanej Vendeli. Jak wiemy, wiosną odebrała sobie życie i wszyscy myśleli, że zabrała ze sobą również Dextera, bo zniknął w tym samym czasie. Jednak parę dni temu na Flashbacku pojawił się wątek, że w jednym ze

sztokholmskich parków znaleziono ciało syna Thomasa Jonsmarka. Trzeba zatem założyć, że to również było dzieło Novy... to znaczy Jessiki.

Jens i Janina spojrzeli po sobie.

Josefin zaczęła oskubywać perełki cukru na bułce, chociaż, co podejrzewał Fredrik, nie była chyba świadoma tego, co robi.

– Thomas Jonsmark wie? – spytał Henry.

Ten sam Henry, który razem z Tobiasem wychowywał syna imieniem Alfons. Fredrik nie znał tego syna i nie pragnął poznać, bo Alfons żył, w przeciwieństwie do Ossiana. Zawstydził się, kiedy to pomyślał, ale byłby gotów się zamienić. Życie za życie. Dokładnie tak, jak zrobiła Jessica. Albo Nova, bo potem przybrała to imię.

– Nie wydaje mi się, żeby Jonsmark wiedział – odparł Mauro. – Ja też nie mówiłem nic Jenny. Mogło się i tak źle skończyć, kiedy próbowała mnie zrobić w te morderstwa. Jednak wtedy nic nie powiedziałem, potem też nie. Cecilia również nie wie. W pewnym sensie byłoby może sprawiedliwie, gdybym został skazany.

– Nie myśl w ten sposób – powiedziała Josefin, kładąc dłoń na ramieniu Maura. – To taka dawna sprawa. Zresztą to był przecież wypadek. Nie mieliśmy pojęcia, co z tego wyniknie. Byliśmy dziećmi. Durnymi, bezmyślnie rozsiewającymi plotki.

– To nie był wypadek – zaproponował gorzko Mauro. – Nakłamaliśmy. Przecież Wennhagen nic nie zrobił. Był niewinny. A myśmy wymyślali jakieś historie i o nim, i o tamtych. Nawet nie wiem dlaczego. Bo tak było ciekawiej? Chcieliśmy się zemścić, bo powiedział coś, co nam się nie spodobało? Bo słyszeliśmy, jak się o nich mówi, że jacyś dziwni? A nasi rodzice uwierzyli w te kłamstwa. No i wymknęło się spod kontroli. Wyszła z tego straszna katastrofa. Przecież nigdy... nie chcieliśmy... Żadne z nas nie myślało, nasi rodzice mogli...

Umilkł.

Nikt inny się nie odezwał.

Poczucie winy zaległo ciężko w pokoju.

– Ja Jörgenowi też nic nie mówiłam – powiedziała w końcu ochryple Lovis. – Siedzi w Hall za zamordowanie Williama i niech tam gnije, drań jeden, chociaż tego nie zrobił.

Milczenie. Większość wpatrywała się w podłogę.

Kiedyś, dawno temu mogliby skoczyć w ogień jedno za drugiego. A potem życie im się różnie potoczyło. Jedni stali się wtedy parą albo byli nią nadal. Niektórzy zrobili wspaniałą karierę. Inni prowadzili skromne życie. Spośród nich wszystkich tylko życie Lovis ułożyło się naprawdę źle. Vendeli właściwie też. Biedna Vendela. Ale skąd mieliby wiedzieć, że skończy się to tak tragicznie?

Przysięgli sobie, że nie będą się kontaktować. Nawet zeszłego lata, kiedy Josefin pokazała Fredrikowi informację w gazecie o znalezieniu martwej dziewczynki Lilly Meyer, nawet wtedy nie odezwali się do Maura.

– To, co się stało, jest tak potworne, że aż nie do opisanie – stwierdził w końcu Mauro. – Ale już po wszystkim. Jessica nie żyje. A więc chciałem się tylko upewnić, że nasza przysięga wciąż obowiązuje. Że nikt z nas nic nie powie. Czy może ktoś zmienił zdanie? Może ktoś chciałby porozmawiać o przeszłości z policją albo nawet z mediami?

Pokręcili zdecydowanie głowami.

– Dobrze. No to ustalone – powiedział. – Ci z was, którzy utrzymują ze sobą kontakt, powinni zachować ostrożność. Korzystajcie z WhatsAppa, nie podawajcie swoich prawdziwych danych. Ale – jak już wtedy stwierdziliśmy – najlepiej, żebyśmy się w ogóle nie kontaktowali. To nasza odpowiedzialność i musimy dźwigać ją wspólnie. W milczeniu. A ci z was, których rodzice wciąż żyją, nie powinni im nic mówić. I tak jest nam ciężko radzić sobie z tą winą. Z nimi nie trzeba się nią dzielić. Nic by się nie stało, gdybyśmy wtedy nie nakłamali. W każdym razie ja tak to widzę.

Pozostali przytaknęli, a potem wstali i wyszli, nie żegnając się.

**BYŁ WIECZÓR.** Większa część rodziny zaczęła szykować się do pójścia spać, ale Vincenta męczyło poczucie niepokoju. Niespodziewanie nadciągnęła letnia burza, wiatr targał drzewami przed domem. Pnie skrzypiały, a liście szeleściły, jakby miały się zaraz zerwać i odlecieć. Vincent siedział w swoim gabinecie i patrzył na dobrze mu znany wycinek z gazety.

### *MAGIA ZAKOŃCZONA TRAGEDIĄ!*

*W pewnym gospodarstwie w okolicach Kvibille zabawa w iluzję zamieniła się w śmiertelną rzeczywistość.*

Vincent nie umiałby zliczyć, ile razy to czytał.

A jednak odkąd w zeszłym tygodniu wziął z półki ten wycinek, nie potrafił odłożyć go na miejsce. Czytał go raz za razem, usiłując odtworzyć sobie rozmowę ze wścibską reporterką. Wspomnienie było wciąż niewyraźne. To było tak dawno. A on sam był nie do końca... obecny.

Pamiętał, że był tam jakiś przyjazny policjant, a kobieta była opryskliwa, ale nie odróżniał prawdziwego wspomnienia od wyobrażenia, które w dziecięcym umyśle złożyło się z obrazów z seriali telewizyjnych, książek i rzeczywistości. Prawda oczywiście leżała gdzieś pośrodku. Zdawał sobie sprawę, że spośród tamtych wydarzeń tylko niewiele – jeśli w ogóle – miało dokładnie taki przebieg, jak zapamiętał. A obraz oczu smutnego siedmiolatka spoglądającego na niego ze zdjęcia w gazecie był wspomnieniem, które postarał się odfiltrować.

Jednak trzy puzzle na jego biurku nie pozostawiały wątpliwości. Ktoś chciał mu przypomnieć o tym, co się wydarzyło w jego dzieciństwie. I nie była to ani Jane, ani Nova. Przedtem myślał, że Nova. Albo po to, żeby go zdezorientować i odciągnąć jego uwagę od dochodzenia. Albo też, zważywszy na jej narcystyczne cechy, puzzle zawierały jakieś istotne tropy. Nieraz bywało, że osoby o wysokim mniemaniu na swój temat chciały podzielić się tym z innymi, dostatecznie inteligentnymi, aby to zrozumieć.

Jednak w tym przypadku nie chodziło o żadną z tych rzeczy. To nie Nova przysłała te puzzle. I nie ona wysłała Rubenowi wycinek z gazety.

Ktoś prowadzi z nim wysoce nieprzyjemną grę, a on nie wie kto.

– Co robisz? – spytała Maria od drzwi. – Twoja płyta w salonie już się dawno skończyła. Comfort Module, co to właściwie za nazwa zespołu?

Przyjrzała mu się niespokojnie.

– Źle się czujesz?

Nie potrafił odpowiedzieć. Sam nie wiedział. Odruchowo nakrył dłońmi wycinek. Było to oczywiście dziecinne, ale nie miał siły na jej nieuchronne pytania. Maria, zgodnie z jego przewidywaniem, zauważyła wycinek i zerknęła, ale postanowiła nie komentować.

– Wyglądasz, jakbyś był chory – powiedziała. – Chodź, zaprowadzę cię do łóżka. Przecież jutro wyjeżdżasz do Fortu Boyard i musisz być wypoczęty. Pozwól, że ci tu posprzątam, a potem pójdziemy spać.

Zebrała poklejone puzzle z biurka, kładąc je jedno na drugim. Na szczęście nie zwróciła uwagi na ich dziwne przesłanie.

– Gdzie ci to położyć? – spytała, machnąwszy plikiem papieru pod lampą.

Vincent potarł oczy. Może Maria ma rację. Nie powinien tkwić tu sam ze swoimi myślami. Docenił tę spontaniczną troskę i zdał sobie sprawę, że mu jej brakowało.

Nagle na biurku zatrzepotały żywe litery. Zatańczyły w świetle lampy, zamazały się, a potem znów stały się wyraźne. Czyżby miał omamy od zbyt mocnego tarcia oczu? Nie, litery były w najwyższym stopniu rzeczywiste. Głuchy trzask przed domem oznaczał, że wiatr właśnie złamał gałąź na którymś z drzew.

– Czekaj – odezwał się, zabierając jej puzzle.

Wzruszyła ramionami.

– W każdym razie próbowałam – powiedziała. – Proszę cię, przyjdź zaraz na górę, bo naprawdę nie wyglądasz na zdrowego.

Wyszła, a Vincent patrzył na papierowy plik.

Otwory.

We wszystkich trzech puzzlach, które skleił skoczem, żeby uzyskać mniej więcej sensowny komunikat, między poszczególnymi kawałkami powstały spore i nieregularne otwory. Ale kiedy puzzle leżały jedno na drugim, nieregularności utworzyły pewien wzór. Otwory znajdowały się mniej więcej w tym samym miejscu w każdym puzzlu, ale miały różny kształt. Nałożone na siebie, utworzyły nowe, bardziej ograniczone kontury.

Kontury liter.

Otwory utworzyły litery.

Odsunął wycinek i potrzywał puzzle pod lampą, tak jak przedtem zrobiła Maria. Światło padające przez otwory na biurko utworzyło wyraźne słowo.

## WINNY.

Tkwiały w nim cień zaczął coś mrużyć, oczy Vincenta zasły łzami. Musiał mocno zamrużyć powiekami, żeby cokolwiek widzieć.

Przez te łzy zdjęcie zrobiło się nieostre i nagle dostrzegł na nim dwie kreski, które były wyraźniejsze od reszty. Wytarł oczy wierzchem dłoni i znów spojrział. Ktoś narysował piórem na zdjęciu. Sam tak robił, kiedy był mały i nie miał nic lepszego do roboty. Nawet jako dorosły brał jakieś pióro i w zamyśleniu obrysowywał kontury osób albo przedmiotów w gazecie. Na koniec dorysowywał wąsy.

Wcześniej tego nie zauważył, kiedy czytał artykuł, częściowo dlatego, że atrament zbladł, zresztą kreski znajdowały się tylko na prostej krawędzi magicznej skrzyni, która stała w głębi.

Skrzyni, w której mama...

Słumił tę myśl, skupiając się znów na zdjęciu. Cień w nim rósł coraz większy i silniejszy.

Na zdjęciu były dorysowane trzy kreski. Jedna wzdłuż wierzchniej krawędzi skrzyni, łącząc się z linią pionową wzdłuż boku skrzyni. Trzecia biegła między tamtymi dwiema.

Nagle uzmysłowił sobie, na co patrzy.

To było A. A jak w alfa. Jak na początku.

Wyjął kartę dostarczoną w trzeciej kopercie i przeczytał.

*Nie zrzucaj winy na nikogo innego. Mogłeś wybrać inną drogę, a jednak tego nie zrobiłeś.*

*A więc dotarliśmy do twojej omegi.*

Przedtem myślał, że jeśli znajdzie to, co było początkiem, będzie mu łatwiej zrozumieć, co ma na myśli autor puzzli. Co ma się skończyć. A teraz to znalazł. Autor puzzla zaznaczył jego początek już dwa lata temu, kiedy Ruben dostał artykuł, ale Vincent się wtedy nie przyjrzał. Początek to wtedy, gdy miał siedem lat i mama umarła. Kiedy stał się Vincentem Walderem, który skupiał się na parzystych cyfrach i na tworzeniu skomplikowanych schematów, żeby móc uciec od swoich emocji. Kiedy zamieszkał w nim cień.

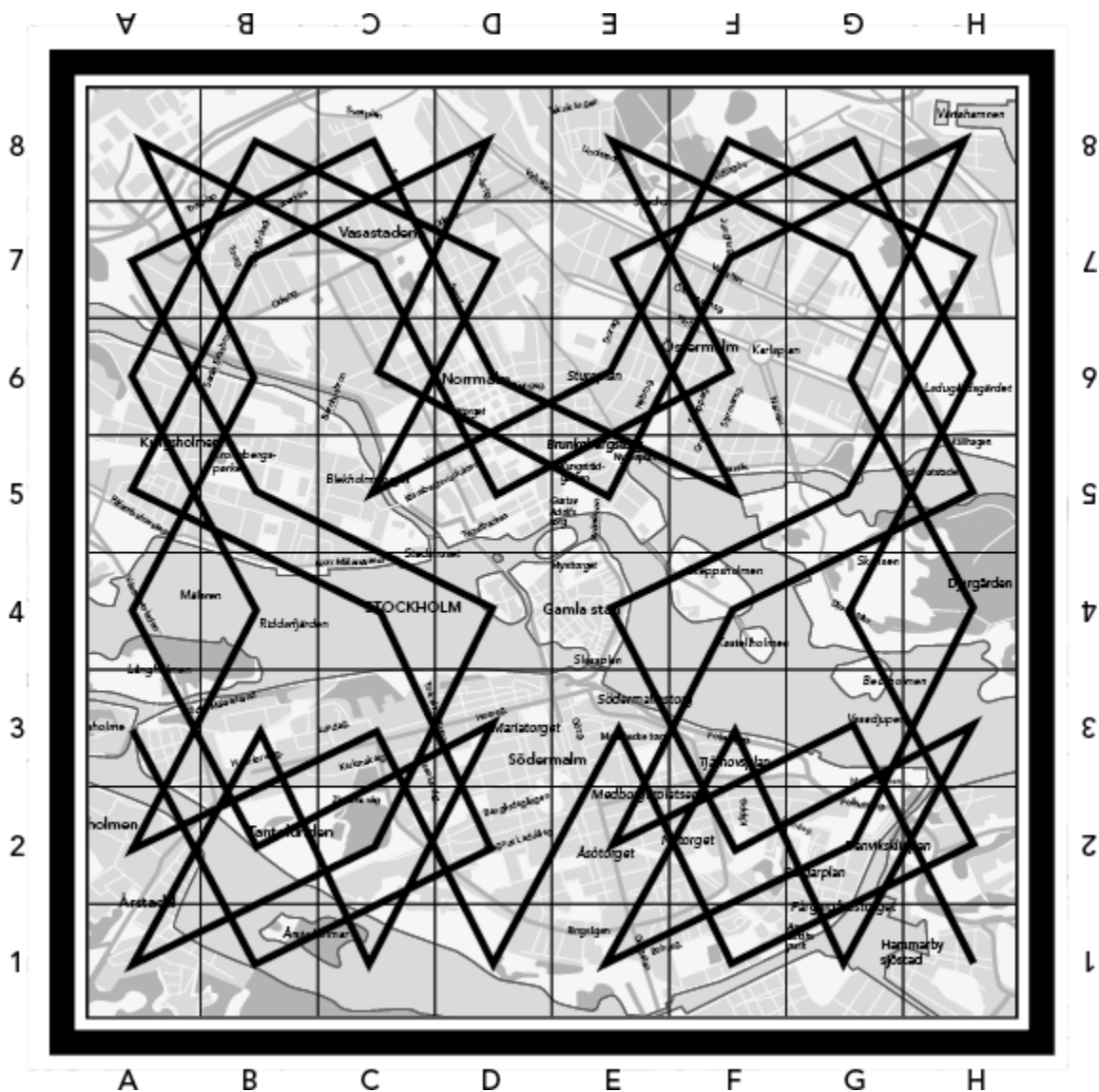
To jest jego alfa.

Myślał, że przeszedł nad tym do porządku i uporał się ze swoim życiem, ale przesłanie puzzli było wyraźne. Nie pozwolono mu zostawić nic za sobą. Wszystko zaczęło się tam, na podwórku w Kvibille. A teraz go dogoniło.

*A więc dotarliśmy do twojej omegi.*

*Do początku twego końca.*

Wiatr wyl za oknem, łomocząc w szyby, jakby chciał wdrzeć się do środka. Vincent będzie musiał odpowiedzieć. Czterdzieści lat od śmierci mamy dostanie w końcu swoją karę. Nie wiedział, kto mu ją wymierzy. Ani kiedy. Jedynie, że to nastąpi. Mieszkający w nim cień zawył tak przeraźliwie, że Vincent zatkał uszy rękami.



# GOSPODARSTWO SORUNDA

## 1996 rok

**COŚ SIĘ ŚNIŁO** Jessice. Nie miała jasności co dokładnie, ale to był fajny sen. O tym, że wolno jej było pobyc z tymi dużymi dziećmi. I stąd wiedziała, że to sen. Bo przecież nigdy jej nie pozwalali, a jeśli już, to z pewnej odległości. Mówili, że jest za mała. I za dziwna. Owszem, jest mała, chociaż niewiele mniejsza od nich, ale dziwna? Jej rodzina wcale nie była dziwna. Poza tym, że liczna i ona sama nie rozumiała, kto jest kim dla kogo. Mama i tata, to wiedziała. A wszyscy pozostali byli po prostu... rodziną.

Obróciła się na łóżku, wtulając twarz w poduszkę. Chciała wrócić do swego snu. We śnie nikt się z nią nie drażnił. Jechała do szkoły w Ösmo, nie słysząc szeptów za plecami. Ci duzi są po prostu zazdrośni, wiedziała to. Tata już im nie pozwalał przychodzić do gospodarstwa. Powiedział, że najpierw muszą dorosnąć i nauczyć się zachowywać. Do koni będą mogli przychodzić, dopiero gdy przestaną gadać na innych.

Nieczęsto słyszała, żeby tata mówił coś takiego. Zawsze był taki dobry. Najlepszy ze wszystkich. Mama też była dobra, ale bywała surowa. Tata był wyjątkowy. Czasem nie starczało jej słów, gdy próbowała powiedzieć, jak bardzo go kocha. Tata mawiał, że kocha ją tak jak stąd do księżycy i z powrotem. Ale to za blisko. Ona kochała tatę tak bardzo, że było to aż nie do opisanania.

Poczuła dziwny zapach. Odrzuciła kołdrę i opuściła nogi na podłogę. Bose, bo było lato, chociaż tej nocy było goręcej niż zwykle. Chyba usłyszała jakieś głosy. Wzburzone. Głosy dorosłych. Nie miała jednak pewności, czy to wciąż sen, czy rzeczywistość.

Otworzyła drzwi i cichutko wysunęła się z pokoju. Zapach nasilił się, gryzło w nosie, rozkaszała się. Zakryła usta ręką i zeszła cicho po schodach, unikając skrzypiących stopni. Mama by się nie ucieszyła, gdyby ją obudziła.



Zeszła na parter i od razu ujrzała ogień. Zapach był teraz tak silny, że oczy łzawiły. Paliło się w przedpokoju, a drzwi były w połowie uchylone. Czyżby przedtem ktoś tu był?

Przez drzwi spojrzała w stronę stajni. Tam też pokazały się płomienie, dosłyszala kwiczenie koni.

Bez zastanowienia skoczyła przez ogień do drzwi, płomienie sięgnęły po nią, ale nie chwyciły. Z bijącym sercem pobiegła przez podwórkę do stajni.

Podbiegając, usłyszała kwiczenie Stjärny. Stjärna<sup>28</sup> była jej ulubienicą. Srokatym kucykiem o różowym pysku. Kochała Stjärnę i to niemal jeszcze bardziej niż tatę. Była przy narodzinach klaczki. Widziała jej pierwsze niezdarne kroki. Karmiła ją z butelki. A tata powiedział, że Stjärna jest pierwszym koniem, który jest tylko jej.

Stjärna kwiknęła jeszcze głośniej, jakby chciała uzyskać pomoc od wszystkich swoich siostrzanych gwiazd na niebie. Jej kwik zmieszał się z odgłosami pozostałych koni. Ale wrota stajni były zamknięte i konie nie mogły się wydostać. Płomienie miały już wysokość kilku metrów, lizały ściany budynku, wspinając się ku czarnemu niebu.

Wrota były zaryglowane. Jessica, płacząc, próbowała podnieść rygiel. Przerazona Stjärna kwiczyła coraz głośniej, ale rygiel był dla Jessiki za wysoko i był za ciężki.

Czuła gorąco od ognia, który zbliżał się z ogromną szybkością, ale nie zważała na to, bo chodziło o Stjärnę. Krzyknęła z bezradności i ze strachu, modląc się jak nigdy dotąd, ale rygiel nie drgnął nawet o milimetr.

Poczuła szarpnięcie, ktoś oderwał ją od wrót.

– Nie, nie! – krzyknęła, wymachując rękami, żeby się uwolnić, ale trzymał mocno.

– Ćśśś... Za późno, już nie da się ich uratować.

Głos taty, jego silne objęcia. Płakała, krzyczała i waliła w klatkę piersiową, ale trzymał coraz mocniej. Podniosła głowę. Poczuła z tyłu żar od ognia.

– Mama? – zapytała i dopiero teraz obejrzała się na dom.

A tam już nie było mowy o niewielkim pożarze w przedpokoju, bo cały budynek stał w ogniu, który aż huczał w tę letnią noc.

– Za późno – westchnął tata. – Za późno się obudziłem. Ale my możemy się jeszcze uratować.

Wtulił twarz w jej włosy, wziął ją na ręce i pobiegł przez podwórkę. Już nie miała siły się wyrwać. Wszystko zginęło. Zostały tylko objęcia taty.

– To na pewno wypadek – rzekł. – Oni nie chcieli, ta benzyna była jedynie na postrach. Tylko że oni byli tacy wściekli. Mówili, że dzieci im powiedziały, że... Nic nie rozumiem. To jednak musiał być wypadek...

Widziała po nim, że sam w to nie wierzy.

Ostrożnie posadził ją na miejscu pasażera, ale jej nie przypiął, tylko szybko zatrzasnął drzwi, obiegł auto, siadł za kierownicą i ruszył.

Widzieli sylwetki ludzi stojących w ciemności wzdłuż drogi. Odblask pożaru błędził po twarzach, ale trudno było ocenić, ilu ich tam stało. Na widok jadącego samochodu cofali się w mrok.

Auto podskoczyło na żwirówce, przez moment na ich twarze padły światła reflektorów. Jessica widziała ich tak wyraźnie, jakby to był dzień. Z otwartymi ustami gapili się jak urzeczeni na piekło, które rozpętali. Rozpoznała ich, rodziców przywożących i odbierających swoje dzieci z lekcji jazdy konnej.

I nagle wszystko zrozumiała. Że to ci dorośli rozpalili ogień, którego płomień wznoszące się ku niebu widziała w lusterku wstecznym. Przedtem w szkole słyszała również szept, plotki powtarzane o jej rodzinie. I wiedziała, że to właściwie dzieci wzniciły pożar swoim podłym gadaniem i kłamstwami. Znała nawet ich imiona. Fredrik, Lovis, Josefin, Mauro, Vendela, Henry, Karin, Tobias, Hugo, Jens, Janina.

– Przysięgam – powiedziała cicho do siebie.

Pomyślała o Stjärnie, która spaliła się w stajni.

I o mamie.

Miała wrażenie, jakby też paliła się w środku.

– Przysięgam, że kiedyś odbiorę wam to, co dla was najdroższe – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Sama myśl natchnęła ją spokojem. Będzie dobrze. A potem znów skierowała wzrok przed siebie.

Miała cel.

Jazda w ciemności przypominała jazdę tunelem, gdzie świeci się tylko mały punkt z przodu. Nie bała się jednak. Była z tatą. Wszystko będzie dobrze.

Tata jechał szybko, szybciej niż kiedykolwiek. Jessica opuściła szybę po swojej stronie, wystawiła twarz do wiatru i zamknęła oczy. Ciepły wiatr pieścił jej twarz, gdy pędzili po żwirówce. Z tyłu wciąż dochodziło huczenie ognia. Zaraz będzie most. Uwielbiała most i rwącą pod nim wodę. Czasem tata zatrzymywał się na środku mostu, żeby mogła sobie popatrzeć.

Zachwycało ją, że woda robi, co chce, płynie, gdzie tylko może, że skacze i żyje. Zupełnie jak ogień, chociaż odwrotnie. Woda daje życie. Miała nadzieję, że tata i tym razem zatrzyma się na moście, żeby szum wody zagłuszył kwiczenie Stjärny. Ale tata nie zwolnił, tylko jeszcze przyspieszył. Aż nie byli już na moście, tylko lecieli w powietrzu. A potem szum wody wypełnił jej uszy. Jednak nie pomogło. Bo wciąż słyszała kwik Stjärny.

I wiedziała, że nigdy nie przestanie go słyszeć.

# Podziękowania

Podkreślano to nieraz, ale warto powtórzyć: książka nie powstaje jedynie dzięki autorowi. Nawet wtedy, gdy autorów jest dwoje. Jesteśmy wielkimi dłużnikami wielu osób, które przyczyniły się do utrzymania naszego pisania na właściwym kursie.

Zacniemy od tych, którzy się przyczynili do treści tej książki:

Mgr Kelda Stagg, specjalistka technik kryminalistycznych w Policji Regionu Sztokholmskiego, która tłumaczyła nam (aż do najmniejszego niepojętego szczegółu), co dzieje się z ludzkim ciałem po śmierci, na przykład zakopany pod trawnikiem, albo jak przebiega jego poprawne otwieranie na stole sekcyjnym. Dzięki jej wiedzy z dziedziny mikrobiologii zdołaliśmy też uniknąć najpoważniejszych błędów, gdy chodzi o bakterie, które mogą przechodzić z koni na ludzi – to dziedzina znacznie bardziej złożona, niżbyśmy mogli przypuszczać.

(Kelda Stagg jest również jednym trzech mózgów, które stoją za instagramowym kontem @liketefterdoden, możecie je śledzić, jeśli te tematy fascynują was tak samo jak nas).

Bezcennej pomocy udzieliły nam również osoby, które mają wgląd w policyjne negocjacje i skrupulatnie zanalizowały naszą nową postać, Adama, dbając o to, by w napiętych sytuacjach zachowywał się w sposób wiarygodny, a nasi książkowi policjanci działali poprawnie podczas akcji. Adam ma oczywiście jakieś własne niedostatki, ale my jesteśmy pełni podziwu dla prawdziwych negocjatorów i ich kompetencji. Z uwagi na wykonywany zawód chcą pozostać anonimowi, a czytelnik może sobie tylko wyobrazić, jak oni balansują na linie w swoich codziennych rutynowych działaniach.

Magnus Svensson, inspektor kryminalny w zakładzie karnym Hall, z największą cierpliwością odpowiadał nam na mailowe zapytania dotyczące zasad widzeń, a było tych maili znacznie więcej, niż się zapewne spodziewał. Może się to wydawać drobnym szczegółem, ale wiecie, co się mówi na temat szczegółów.

Eline Dinnetz, której mózg matematyczny jest większy od naszych obu razem wziętych, prowadziła nas za rękę przy wyliczaniu liczby permutacji anagramów i innych rzeczy, które dla niej były oczywiste, a nam – kiedy sami próbowaliśmy – przypominało zawiązanie na supeł płata czołowego mózgu.

Dziękujemy również wszystkim osobom, które bezinteresownie odpowiadały na zagadkowe maile i telefony dotyczące fresków, pokoi hotelowych i wszelkich innych rzeczy, których musieliśmy się dowiedzieć, albo w inny sposób przyczynili się, podsuwając nam informacje i pomysły.

Jak zwykle pozwoliliśmy sobie na pewną swobodę w traktowaniu rzeczywistości, zarówno co do szczegółów pracy policyjnej (lombardy, o ile nam wiadomo, nie otrzymują list skradzionej biżuterii), jak i ogólnie świata zewnętrznego (ani przedszkole Backens, ani ośrodek kursokonferencyjny Epicury nie istnieją). Mamy nadzieję, że nasza opowieść na tym tylko zyskała.

Po to, by mogła powstać prawdziwa książka, trzeba było jeszcze więcej osób poza wspomnianymi. Bez nich, wymienionych niżej, *Kult* pozostałby tylko bardzo długim dokumentem w Wordzie.

Na początek niespożyty zespół Bokförlaget Forum. Liczba osób zaangażowanych w naszą książkę jest duża, ale wymienimy przede wszystkim dwie. Naszej wydawczyni Ebbie Östberg obiecywaliśmy uroczyście, że ta książka nie będzie grubsza od poprzedniej. Skłamaliśmy. Przepraszamy. Nasza redaktorka Kerstin Ödeen sprawdziła do tej pory, że przeszło milion liter i przecinków trafiło na miejsce, zweryfikowała również setki naszych twierdzeń na różne tematy. Wielkie uściski dla Was i – jeszcze raz – przepraszamy.

Gromkie hura dla naszego genialnego projektanta szwedzkich okładek Marcella Bandickssona, który trafił w punkt, gdy chodzi o zrozumienie naszych zakręconych umysłów, i stworzył najładniejszą pozycję w historii książki drukowanej.

Joakim Hansson, Anna Frankl, Signe Lundgren i pozostali pracownicy Nordin Agency, jak też Lili Assefa i Paulina Bånge z kolegami z Assefa Kommunikation, wykonują na forum międzynarodowym fantastyczną robotę, która wręcz odbiera nam mowę. Jeśli znajdziesz się na niedostępnej japońskiej wyspie albo wysoko w górach Nepalu i trafisz w tamtejszym schronisku na książkę o Vincencie i Minie w tłumaczeniu na miejscowy język, będziecie to zawdzięczać tym supergwiazdom.

Największe podziękowania kierujemy jednak do Was, drodzy czytelnicy, że postanowiliście wybrać się w tę podróż razem z nami, Vincentem i Miną.

Opowieść powstaje właściwie dopiero wtedy, gdy ją ktoś przeczyta albo wysłucha. A więc dziękujemy, że tchnęliście życie w Vincenta i Minę. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźniliście na tyle, aby jeszcze się z nimi spotkać.

*Osobiste podziękowania Camilli:* Bez najbliższych mi osób nie mogłabym nigdy napisać żadnej książki. Ich wsparcie, zachęta i miłość niosą mnie przez kolejne strony. Największe dzięki kieruję do mojego męża Simona, moich dzieci Willego, Mei, Charliego i Polly. Ale chcę też podziękować zespołowi wspierającemu mnie na co dzień, a są to: Mathilda Norman, Natasa Maric i Johan Hultman. No i wszystkim przyjaciom... Kim ja bym była bez was? Nikogo nie wymieniam, choć o nikim nie zapominam, mam nadzieję, że wiecie, ile dla mnie znaczą.

*Osobiste podziękowania Henrika:* Pisanie książki podczas pandemii to szczególna rzecz. *Kult* powstawał w okresie, gdy widywaliśmy się w rodzinie więcej, niżbyśmy kiedyś uznawali za możliwe. Dlatego chcę udekorować medalami za bohaterstwo Lindę, Sebastiana, Nemo i Milo, za to, że żadne z nich do tej pory nie zamordowało mnie we śnie. Dziękuję również wszystkim przyjaciom, którzy wciąż mnie zagrzewają i zachęcają. Na koniec szczególne podziękowania dla mentalisty i przyjaciela Anthony'ego Headsa za długie dyskusje przy dobrej whisky i kiepskich drinkach.

# Przypisy końcowe

1. Efekt horoskopowy lub efekt Barnuma – spostrzeżenie, że ludzie wierzą, iż opis odnosi się do nich osobiście, choć w rzeczywistości jest oparty na danych dotyczących dużej liczby osób (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)
2. Kolmården – popularny, największy w Skandynawii park dla dzikich zwierząt; rozciąga się na powierzchni 1,75 km<sup>2</sup> między krainami Sörmland i Östergötland we wschodniej Szwecji. Parken Zoo, również we wschodniej Szwecji koło Eskilstuny, to z kolei ogród zoologiczny połączony z parkiem rozrywki. [\[wróć\]](#)
3. Roladki ponczowe (szw. Punschrullar) – odpowiednik polskiej bajaderki obtoczonej marcepanem i czekoladą. [\[wróć\]](#)
4. Bi i marinad (szw.) – pszczoła w marynacie. [\[wróć\]](#)
5. Gröna Lund – popularny sztokholmski park rozrywki. [\[wróć\]](#)
6. simama (swahili) – przestań. [\[wróć\]](#)
7. Kajsa Bergqvist – znakomita szwedzka lekkoatletka, skoczkini wzwyż. [\[wróć\]](#)
8. Episkt (szw.) – epicki. [\[wróć\]](#)
9. Nationalmuseet – Muzeum Narodowe; Kungliga Konsthögskolan – Królewska Akademia Sztuk Plastycznych. [\[wróć\]](#)
10. Riddarfjärden – najbardziej wysunięta na wschód zatoka jeziora Melar znajdująca się w centrum Sztokholmu. [\[wróć\]](#)
11. Knutby – miejscowość niedaleko Uppsali, gdzie pastor zgromadzenia zielonoświątkowców zlecił zamordowanie swojej żony. Po jego skazaniu na czele zgromadzenia stanęła siostra zamordowanej, Åsa Waldau, zwana przez wiernych oblubienicą Chrystusa. Miała na tym zrobić spory majątek. [\[wróć\]](#)
12. NFC – Nationellt Forensiskt Centrum – Narodowe Centrum Analiz Sądowych. [\[wróć\]](#)

13. Zakładka (szw. bokmärke) oznacza również mały kolorowy obrazek przedstawiający aniołki, księżniczki czy zwierzątka. [\[wróć\]](#)
14. Medelhavsmuseet – Muzeum archeologiczne regionu Morza Śródziemnego. [\[wróć\]](#)
15. Hall – zakład karny uważany za najsurowszy w Szwecji. [\[wróć\]](#)
16. William Spetz to szwedzki aktor i scenarzysta. [\[wróć\]](#)
17. Mora – miasto w prowincji Dalarna, gdzie produkowano charakterystyczne zegary szafkowe. [\[wróć\]](#)
18. Melodikrysset – niezmiernie popularny program nadawany przez Szwedzkie Radio co sobotę od 1965 roku. [\[wróć\]](#)
19. SöS – potocznie o Södersjukhuset, czyli szpitalu dzielnicy Södermalm. [\[wróć\]](#)
20. Liseberg – liczący prawie sto lat park rozrywki w Göteborgu. [\[wróć\]](#)
21. Birkastan – część sztokholmskiej dzielnicy Vasastan. [\[wróć\]](#)
22. drift – po szwedzku słowo to znaczy napęd. [\[wróć\]](#)
23. Złoty Żuk (szw. Guldbaggen) – najważniejsza nagroda filmowa przyznawana przez szwedzki Filminstitutet. [\[wróć\]](#)
24. Alfapet – szwedzki odpowiednik Scrabble’a. [\[wróć\]](#)
25. Djurgårdsbrunnsviken – zatoka oddzielająca wyspę Djurgården od ścisłego centrum. [\[wróć\]](#)
26. Ted Gärdestad – popularny szwedzki piosenkarz, zm. w 1997 roku. [\[wróć\]](#)
27. Kungliga Tekniska högskolan – Politechnika Królewska. [\[wróć\]](#)
28. Stjärna (szw.) – gwiazda. [\[wróć\]](#)